

**ALEKSANDER KOWARZ
RYDWAN BOGÓW**

ZYSK I S-KA

PROLOG

Październik tego roku był wyjątkowo piękny i ciepły. Prawdziwa złota polska jesień. Chmury i ulewy nadciągnęły dopiero pod koniec miesiąca, jakby pozwalając cieszyć się rym przedłużeniem lata w zamian za deszczowy lipiec.

Noce za to były zimne. Suche liście szeleściły nieprzyjemnie pod stopami, przyprowadzając o gęsią skórkę czwórki nastolatków', którzy w środku nocy przedzierali się przez gęsty las w stronę jeziora. Trzech piętnastoletnich chłopców i dziewczyna

— Jesteście pewni, że to dobry pomysł? — zapytała dziewczyna, przeskakując zwałony pień wyłuskany z mroku promieniem latarki.

— A co. boisz się? — odparł jeden z podążających za nią chłopców, starając się, aby jego głos brzmiał pewnie.

— Nie. tylko... zimno jest — nie mogła się przecież przyznać, prawda?'

— Trzeba się było cieplej ubrać.

— Szkoda, że nie ma Michała westchnęła dziewczyna idąca samotnie w szpicie małego oddziału.

— Nie marudź. Kaśka. Chory jest. przecież wiesz. Nie mógł iść.

— Ale i tak szkoda.

Pomyślała, że z Michałem byłoby różnie. Szedłby koło niej i razem pilnowaliby ścieżki. Skoro jednak Michała nie było. musiała sama pełnić ten obowiązek. I choć wokół niej tańczyły cienie rzucone przez światła latarek idących za nią przyjaciół, w niewielkim stopniu poprawiało to jej nastrój.

Marsz utrudniał niesiony przez, chłopców nadmuchany ponton. Teraz, po namyśle, doszli do wniosku, że napompowanie go w domu nie było najlepszym pomysłem, ale nikt nie chciał zostawać nad jeziorem dłużej, niż to było konieczne. W każdym razie nie w nocy.

Dwójka chłopców, Robert i Mateusz, szła przodem, tuż za Kaśką. Z tyłu, milczący, z wiosłem i latarką w wolnej dłoni, dreptał Maciek. Czesio potykał się o wystające korzenie, gdy z wiosło utrudniało manewrowanie latarką. W dodatku bał się.

Dwuosobowy, szary ponton, podtrzymywany przez trójkę chłop-

ców za biegnącą wzdłuż niego linkę, kołysał się na boki Ścieżka, którą podążali, była stara, wąska i ledwie widoczna w nocy. W wielu miejscach gęste krzewy niemal zupełnie ją zagradały, a wtedy stawiali ponton na sztorc, aby przenieść go ponad splątanymi gałęziami

To zadziwiające, jak znane i lubiane za dnia otoczenie, w nocy potrafi zmienić się w miejsce obce i straszne. Maciek po raz kolejny pomyślał, że to był bardzo głupi pomysł.

Wąska ścieżka doprowadziła czwórkę nastolatków na niewielką plażę nad jeziorem. Był to właściwie tylko splachetek piasku wśród sitowia, niezbyt atrakcyjny dla turystów i rzadko odwiedzany przez miejscowych. Czasem latem można było tu spotkać dziewczyny, które szukały odosobnionego miejsca, żeby poopalać się topless.

Chłopcy rzucili ponton na wilgotny piasek i przez chwilę cała czwórka stała bez ruchu, patrząc na lekko pomarszczoną tafłę jeziora, w której odbijał się księżyc w pełni.

Jezioro było duże. Otoczone lasem skrywającym na przeciwległym brzegu ośrodek turystyczny „Merkury”, pole namiotowe, kilka letnich domków oraz przystań, z której w sezonie letnim wyruszały liczne patrole ratowników. Pomiedzy plażą, na której stała czwórka nastolatków a przystanią znajdowała się wyspa. Z lotu ptaka jezioro przypominało nadgryziony obwarzanek.

— No, jesteśmy — powiedział Mateusz, spoglądając na Maćka

Wybrali właśnie tę małą plażę, ponieważ stąd było najbliżej na wyspę, zwaną Skałką. Maciek wpatrywał się w jej zarys majaczący wśród srebrnych wód jeziora.

— Rozpalimy ognisko, żeby łatwiej było ci nas znaleźć — rzekł Mateusz

— Poza tym jest zimno — dodała, uśmiechając się, Kasia Razem z Robertem zaczęli zbierać gałęzie.

Maciek również się uśmiechnął. Mateusz podał mu latarkę i pomógł zepchnąć ponton do wody.

— Niedługo wracam — rzucił Maciek

Pomachał przyjaciołom na pożegnanie, wsiadł do pontonu,

chwycił wiosła i popłynął w stronę wyspy.

...

— Słyszeliście o psie starego Wojciechowskiego? — zapytała Kasia.

— Nie. co z nim? — zainteresował się Michał

— Uciekł mu jakiś tydzień temu. Wczoraj ktoś go znalazł na brzegu jeziora, martwego. Podobno wyglądał, jakby coś go wyssało. Psa, znaczy się — Kasia była przejęta. Niezbyt lubiła swojego sąsiada, ale litowała się nad losem jego owczarka.

Rozmawiali, siedząc na szczycie Wzgórza Trzech Krzyży. Właśnie to spotkanie tydzień później zaowocowało wyprawą Maćka.

W dole skrzyła się w popołudniowym słońcu wstęga Wisły. Było cicho i ciepło. Gwar miasteczka dochodził tu jedynie w postaci niewyraźnego pomniku. Rynek przemierzali turyści. Z tej odległości wyglądali jak mrówki, które zgubiły drogę. Wydawało się, że w Kazimierzu Dolnym sezon turystyczny nigdy się nie kończył.

— To na pewno duchy z wyspy zgłodniały — zakpił Mateusz.

— E tam. nie ma żadnych duchów, a Wojciechowski to dziwak. Jego pies był zawsze chudy, rzadko dostawał jeść. Kto wie. może mu w końcu uciekł na dobre, dotarł do jeziora i w końcu zdechł z głodu? — rozważał Maciek.

— Chyba by wrócił, gdyby zgłodniał? — rzucił Robert.

— A ty byś wrócił do takiego człowieka? — odpowiedziała Kasia pytaniem. — Zresztą pewnie oberwałby po pysku, a nie dostał jeść.

— A tak w ogóle, to kto znalazł tego psa?

— Nie wiem, nie pytałam. Koleżankami o tym powiedziała w szkole.

— Aha. Czyli plotka — stwierdził Robert. - - Kaśka, wierzysz w plotki?

— Coś ty, przecież...

— A w duchy? — wtrącił Mateusz.

Cisza, jaka zapadła po tym pytaniu, wystarczyła wszystkim za odpowiedź. Po chwili Maciek jęknął.

— Nie ma żadnych duchów — powtórzył.

— A skąd możesz wiedzieć, co?! - krzyknęła Kasia. — Tylku

dlatego, że żadnego nie widziałeś, nie znaczy, że ich nie ma!

— Jejku, o co ten krzyk — Maciek skulił się w sobie.

— Wierzę w duchy. I tyle. A wy się ze mnie wyśmiewacie. A ty — oskarżycielski palec zatrzymał się tuż przed nosem Maćka — jak jesteś taki mądry, to idź o północy na cmentarz.

— Albo popłynij na wyspę — mruknął Mateusz, — Na Skalkę.

— Właśnie — podchwyciła Kasia. — Chyba się nie boisz?

— Oczywiście, że nie.

Maćkowi ciarki przeszły po plecach. Nic wierzył w duchy, ale o wyspie opowiadano różne rzeczy. A znaleźć się tam samemu, w nocy...

— Musisz coś zabrać z wyspy, żebyśmy wiedzieli, że nic pływałeś w kółko — Robert się uśmiechał. Pozostali też. Zapowiadała się niezła zabawa.

Było już za późno, żeby się wycofać. Umówili się na przyszłą sobotę.

W sobotni wieczór Kasia, Maciek, Mateusz i Robert spotkali się w domu tego ostatniego. Ojciec Roberta miał ponton, instrument niezbędny dla powodzenia całej akcji.

— Koło dziesiątej moi rodzice wybierają się do znajomych i nie wrócą przed drugą.

— A więc wszystko zgodnie z planem — ucieszył się Mateusz

— Tak. Będziemy mieli dużo czasu. Aha. jest tylko mały problem z noclegiem. Kaśka, ty dostaniesz łóżko, a my się musimy jakoś zmieścić na dwóch materacach.

— Ale po co się tak gnieść — wtrącił Mateusz, — Ja mogę z Kasią...

— Nie możesz, łobuzie — stwierdziła dziewczyna, jednocześnie bijąc Mateusza po głowie poduszką porwaną z łóżka

Maciek cały czas milczał.

Żeby zabić jakoś czas. zaczęli grać w „Eurobiznes” i omawiać wyprawę.

— Celem jest dopłynięcie Maćka na wyspę i powrót — zaczął Mateusz.

— Oraz zdobycie dowodu na to. że naprawdę tam był — dodała Kasia.

Maciek się skrzywił.

— Nie ufacie mi. czy co?

— Ufamy, ufamy — zapewnił Robert. — Jednakże, jak mówi mój ojciec, zaufanie jest dobre, ale kontrola jeszcze lepsza.

— Noto wszystko jasne - stwierdził Maciek i rzucił kostką. Wypadła szóstka i mógł kupić hotel w Barcelonie.

— Przywieź mi jakąś ładną pamiątkę — poprosiła Kasia

— A co chcesz? Kamyczek z plaży czy spróchniałą gałąź?

— Dobra. Moi starzy niedługo wychodzą. Wtedy my pójdziemy do garażu napompować ponton. Zostawię uchylone okno w pokoju, na wypadek, gdyby wrócili wcześniej. Macie latarki? — upewnił się Robert.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

— No to świetnie.

Jakaś godzinę później usłyszeli krzątanie w przedpokoju. Kobiecy głos oznajmił, że wychodzą i nie wiedzą, kiedy wrócą, na co Robert odkrzyknął, żeby dobrze się bawili.

Po chwili z garażu wyjechało stare audi.

— To jak, chłopcy i dziewczęta, gotowi? — zapytał Robert.

Wiosła gładko cięły tafłę jeziora. Maciek widział przed sobą nikły blask ogniska rozpalonego na plaży. Co jakiś czas odwracał się, żeby sprawdzić, czy nie zboczył z kursu. Wyspa była coraz bliżej. A na wyspie...

Zły pomysł. Zły i głupi

Przywieźć coś z wyspy... Łatwo powiedzieć. Na wyspie było tylko jedno miejsce, gdzie mógłby znaleźć coś, co stanowiłoby dowód, że rzeczywiście tam był.

Mniej więcej na środku porośniętej gęsto drzewami Skałki była polana. Znajdowały się na niej ruiny starej kaplicy, a dookoła nich wyrastały z ziemi nagrobki.

W lecie wyspa była częstym miejscem wypadów piątki przyjaciół, ale nigdy nocą. Rzadko też zapuszczali się w pobliże ruin. Woleli brzegi wyspy, bliskość wody i lasu, do którego uciekali, chroniąc się przed upałem.

Owszem, bywali na polanie, nawet buszowali w kaplicy, zasta-

nawiając się. ile było prawdy w starych legendach

Ponton z chrzestem osiadł na brzegu. Maciek wyskoczył i wciągnął go w zarośla. Potem spojrzał na odległą plażę, gdzie zostali jego przyjaciele. Blask ognia utwierdził go w przekonaniu, że wciąż tam są. czekają na niego Włączył latarkę i zatoczył nią koło, dając znak, że dotarł na wyspę Z brzegu nikt mu nie odpowiedział podobnym sygnałem

— Głupi pomysł — mruknął Maciek, odwracając się plecami do jeziora. Zaczął się powoli przedzierać przez gęsie zarośla w głąb wyspy.

Na temat znajdujących się na mej rum krążyło wiele opowieści, ale prawdziwą zagadkę stanowiły groby. Polana była usiana mogiłami franciszkanów zwanych reformatami. To właśnie oni w XVII wieku zbudowali kaplicę w miejscu, gdzie niegdyś ponoć stał kamienny krąg. Ludność okolicznych wiosek jeszcze trzysta lat wcześniej zbierała się w tym miejscu, aby oddać cześć pogańskim bożkom, odprawiając zakazane przez Kościół rytuały. W czasach, gdy przewrócono ostatnie stojące pionowo głązy i zbudowano kaplicę, nikt już nie pamiętał, jakie to byty rytuały, ani komu poświęcone

Na dnie jeziora archeolodzy odkryli pozostałości dawnej osady, co sugerowało, że jeszcze w czasach przedchrześcijańskich w miejscu jeziora znajdowała się dolina, a wyspa była wzgórzem górującym nad okolicą, doskonale nadającym się na miejsce kultu. Później jednak okolicę musiała nawiedzić wielka powódź i woda zalała dolinę

Gdy franciszkanie trafili do Kazimierza Dolnego, wyspę z brzegiem jeziora łączyła grobla. Zaniepokoiło to braci zakonnych, jednak nic nie wskazywało na istnienie w okolicy jakiegokolwiek pogańskiego kultu. Mimo wszystko franciszkanie postanowili zburzyć pozostałości kamiennego kręgu i postawić na jego miejscu kaplicę. Legendy mówią, że ci, którzy zbudowali kaplicę, wkrótce potem zapadli na dziwną chorobę i zmarli. To właśnie oni mają być pochowani na wyspie. Inna wersja legendy podaje, że budowniczo wie świątyni nie zmarli, ale po prostu zniknęli.

Ponoć franciszkanie jeszcze w XIX wieku nosili się z zamiarem

budowy na wyspie małego klasztoru z kościołem, którego częścią miała być kaplica, ale ostatecznie zrezygnowali. Groblę zburzono, a kaplicę i groby pozostawiono samym sobie.

Stare podania nie podnosiły Maćka na duchu, gdy parł przez gęstwinę paproci w stronę polany. Powtarzał sobie wciąż, że przecież to tylko sterta głazów i kilka starych kości zakopanych głęboko pod ziemią. Jednak serce nie chciało słuchać rozumu i bilo zdecydowanie zbyt szybko. Mimo że Maciek nie należał do bojaźliwych, a w duchy nie wierzył, więc się ich nie bał. to jednak aura tajemniczości otaczająca wyspę sprawiała, że miał przyspieszone tętno i gęsią skórę.

Nagle paprocie rozstały się i chłopiec znalazł się na zalanej księżycowym blaskiem polanie. Na jej środku wyrastała, trupio blada w świetle księżyca, bryła kaplicy. Puste oczodoły witraży spoglądały wprost na Maćka.

Kaplicę zbudowano na planie prostokąta. Była zorientowana według stron świata, tak że wejście znajdowało się od strony zachodniej. Północno-wschodni narożnik zawalił się niemal całkowicie i zamienił w kupę gruzu. Nad wejściem znajdowała się niezbyt wysoka wieża z dzwonnica. Co się stało z dzwonem, nikt nie wie. Dach nad nawą główną był dziurawy, ale stare krokwie jakimś cudem wciąż wytrzymywały ciężar ceramicznych dachówek. Z obu stron budowli, w równych odstępach, przechylone, przewrócone, do połowy zagrzebane w ziemi, znajdowały się kamienie nagrobne franciszkanów. Maćkowi kojarzyły się z rzędami zębów.

Przynieść coś z wyspy, myślał chłopiec.

Ale co? Przecież nie wyrwę krzyża z jakiegoś grobu.

Ruszył pomiędzy groby zakonników, kierując promień latarki na mijane pomniki. Widział prawie całkowicie zatarte inskrypcje, epitafia, porośnięte mchem płaskorzeźby przedstawiające świętych i anioły. Zastanawiał się, czy nie zabrać jakiegoś małego odłupanego kawałka nagrobka, ale odrzucił ten pomysł.

Zatrzymał się przy wejściu do kaplicy. Stał w progu i skierował promień latarki do wnętrza. Światło wydobyło z mroku kawałki starych desek, fragmenty zaprawy, kurz i brud pokrywające podłogę. W dali majaczył mały kamienny ołtarz.

Maciek przestąpił próg. Pod nogami chrzęściły mu sproszkowane cegły. Podłoga usiana była plamami księżycowego blasku. Przemierzył nawę i dotarł do ołtarza. Poświecił latarką w lewo. Zobaczył przewróconą figurkę. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że jest to rzeźba anioła ze złożonymi do modlitwy dłońmi. Anioł leżał na prawym skrzydle, strzaskanym przez ciężką stopę czasu, głowę miał pochyloną. Gdyby ustawić go prosto, wpatrywałby się w podłogę. Chłopiec podniósł figurkę. Zdziwił się, jaka jest ciężka. Pomyślał, że musiała być częścią jakiejś większej całości, po której nie został żaden ślad.

To było to. Dowód, że był na wyspie. Teraz mógł wracać do przyjaciół.

Ruszył do wyjścia. Przez chwilę miał wrażenie, jakby przedzierał się przez gęstą, lepka pajęczynę, ale gdy tylko przestąpił próg, wrażenie minęło. Odetchnął głęboko.

Już miał iść w stronę brzegu, gdy nagle coś przykuło jego wzrok. Promień księżycy odbił się w czymś lśniącym, co leżało w trawie niemal na wprost wejścia do kaplicy. Maciek podszedł bliżej i przykleknął. Poświecił latarką i zobaczył kawałek błyszczącego metalu, ledwo wystającego z ziemi. Nie zastanawiając się długo, postanowił go wydobyć. Ziemia była wilgotna, łatwo poddawała się palcom Maćka. Już po chwili trzymał w ubrudzonych dłoniach, gładki, owalny i delikatnie rzeźbiony klejnot. Uśmiechnął się i pomyślał, że powinien podziękować księżycowi za to, że mu go pokazał.

Maciek wstał, otrzepał się i zadowolony z siebie ruszył w stronę lasu. Nagle zrobiło się bardzo zimno. Miał wrażenie, jakby wszędzie wokół niego zaczął osiadać szron. Znów poruszał się jak w gęstym syropie. Usłyszał coś jakby szept, westchnienie. Odwrócił się, ale za nim była tylko pusta polana. Odgłos się powtórzył. Chłopiec zaczął krzyczeć. Wtedy wszystko ucichło. Noc była cicha.

Maciek pobiegł do pontonu. Zsunął go do wody. chwycił wiosła i zaczął pracować ramionami jak szalony. Strach dodawał mu sił. Wydawało mu się, że słyszy słabnące szepty dochodzące z wyspy.

Kilkanaście minut później był już na plaży.

— Co się stało, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha — zaśmiał się Robert, gdy Maciek wygramolił się z pontonu.

Chłopiec otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale rozmyślił się i tylko uśmiechnął.

Mam im powiedzieć, że SŁYSZAŁEM ducha?

— Rany, cieszysz się, jak małpa na plantacji bananów.

— Masz coś? — zapytała Kasia, podchodząc z Mateuszem.

— Jasne — odparł Maciek i schylił się po trofea leżące na dnie pontonu. Zaraz polem cała czwórka udała się w pobliże ogniska. Usiedli na piasku jak najbliżej Maćka i patrzyli mu przez ramię.

— To znalazłem w kaplicy — powiedział, pokazując figurkę anioła i podając ją Kasi.

— Byłeś w środku?

Dziewczyna obracała rzeźbę na wszystkie strony, w końcu podała ją Mateuszowi.

— Miałem do wyboru: poszukać czegoś w kaplicy albo przytarzać któryś z nagrobków. A to znalazłem przed kaplicą.

Zapomnieli o figurce anioła, gdy Maciek wyjął z kieszeni drugie znalezisko. Blask ognia odbijał się w gładkiej powierzchni, wciąż nieco przybrudzonej ziemią.

— Wygląda jak... żuk — stwierdziła Kasia, przyglądając się bryłce. — To złoto?

— Całkiem możliwe.

— No to bracie, znalazłeś skarb — powiedział Robert, klepiąc kolegę w ramię. — Pytanie tylko, co z tym teraz zrobimy?

— Nikomu ani słowa — rzekł Maciek. Popatrzył każdemu w oczy i powtórzył: — Nikomu ani słowa. Dobra?

— Daj spokój. To przecież oczywiste — oburzyła się Kasia.

— Komu mielibyśmy powiedzieć, że byliśmy nocą na Skałce? Rodzicom? — zawtórował Robert.

Mateusz tylko pokiwał głową.

— OK. No to spadajmy stąd — powiedział Maciek.

Za pomocą leżącego nieopodal zardzewiałego garnka z dziurawym dnem zalali ognisko. Potem w świetle latarek spuścili powietrze z pontonu i zwinęli go. Maciek, który nie musiał już pomagać nieść pontonu, szedł obok Kasi, wspólnie z nią prowadząc ich

małą karawanę.

— Ten żuk, którego znalazłeś... — zaczęła Kasia.

— No?

— Jest piękny.

— Tak uważasz?

— Tak. I chyba jest bardzo stary.

— Czemu tak myślisz?

— Gdzieś już widziałam takie żuki. Ale nie pamiętam gdzie.

Przez chwile, szli w milczeniu. Łagodny szum lasu zagłuszał odgłos stóp deptających poszycie.

— Bałeś się?

Maciek przypomniał sobie głosy w ciemnościach i chłód przenikający jego ciało. Wzdrygnął się.

— Trochę. W końcu sam zwiedzałem ruiny kaplicy. Może następnym razem wybierzesz się ze mną?

— Czy proponujesz mi randkę? — zapytała, śmiejąc się, Kasia.

— No. Wyobrażasz sobie jakieś bardziej romantyczne miejsce?

Dochodziła pierwsza w nocy. gdy Maciek kładł się na materacu w pokoju Roberta. Wyprawa nad jezioro zajęła im trzy godziny. Rodzice Roberta jeszcze nie wrócili, nie musieli więc wślizgiwać się przez okno.

Ponownie przeżywał swój pobyt na wyspie Obracał w dłoniach żuka. którego wykopał przed kaplicą i zastanawiał się. czym jest i skąd wziął się na wyspie.

Kasia mówiła, że już gdzieś widziała coś podobnego, i że to było bardzo stare. Jemu ten mały kawałek złota też coś przypominał, ale nic potrafił tego z niczym skojarzyć. Później Maciek nic mógł zrozumieć, dlaczego od razu nie poznał, co przedstawia klejnot.

No i jeszcze te dziwne głosy, chłód...

Gdy zasypiał, wydawało mu się. że słyszy szepty.

Poniedziałek był dla Maćka ciężki. Nie wyspał się. a klasówka z matematyki okazała się trudniejsza, niż myślał.

W domu był później niż zwykle, bo autobus z Puław się spóźnił.

Miał ochotę na drzemkę przed obiadem, więc w korytarzu rzucił tylko „cześć”, mając nadzieję, że matka go usłyszy, gdziekolwiek się akurat znajduje, i poszedł prosto do swojego pokoju

Po chwili kobieta stanęła w drzwiach

— Maciek, skąd to masz?

W dłoni trzymała złotego skarabeusza.

ROZDZIAŁ 12

Kraków. Kazimierz Dolny, 2004

Dzień chylił się ku końcowi, gdy Andrzej Stawicki skończył przeglądać zdjęcia, które zrobił niedawno w kraju oddalonym o ponad trzy tysiące kilometrów. Jutro miał zamiar wypalić je na płycie CD i zanieść do redakcji czasopisma, w którym pracował. Wyłączył komputer, przymknął oczy i odchylił się na krzesło. Dopiero teraz, gdy oderwał się od pracy, dotarł do niego hałas ruchu ulicznego. W otwartym na oścież oknie, poruszana ciepłym wiosennym wietrzykiem, tańczyła lekka firanka, którą wieki temu kupiła jego była żona. Gosia.

Na progu pokoju pojawił się husky. Andrzej uśmiechnął się, wspominając, w jaki sposób Adi zapracował na swoje krótkie imię.

Pies przemierzył pokój spokojnym, leniwym krokiem i położył swój wielki łeb na kolanach Andrzeja. Jego duże niebieskie oczy zdawały się mówić „rusz się wreszcie”. Jakżeby inaczej. Właśnie nadszedł czas na wieczorny spacer. Po chwili na szyi psa podzwaniała łańcuchowa obroża, a on sam kręcił się koło drzwi. Andrzej i Adi szybko pokonali trzy piętra dzielące ich od świeżego podwórkowego powietrza. Andrzej z radością powitał ostatnie promienie zachodzącego słońca, które musnęły jego twarz, gdy wyszedł z klatki schodowej. Stał przez chwilę z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłem i tym delikatnym wiatrem. Adi cierpliwie czekał, aż upojenie jego pana minie

Nagle szczeknął raz i szarpnął się na smyczy. Andrzej otworzył oczy i ujrzał sąsiadkę z pietra zmierzającą ku nim z pustym wiaderkiem na śmieci w ręku.

— Dzień dobry. Andrzeju! — zaszczebotała. — Cześć Adi!

Śliczny mamy dzień, nieprawdaż? — dodała, głaszcząc husky'ego po łbie.

— Dzień dobry, Krysiu — odparł Stawicki. — Rzeczywiście, piękny dziś dzień.

Krysia Piekarska była drobną brunetką po trzydziestce, której Andrzej podrzucał Adiego zawsze, gdy wyjeżdżał zbierać materiały do kolejnych reportaży. Byli dobrymi przyjaciółmi Często prześiadywał u niej długie godziny, popijając wytrawne wino i rozmawiając na najróżniejsze tematy.

— Może wpadniecie do mnie później? Ugotuję coś pysznego — obiecała i z uśmiechem ruszyła w stronę klatki schodowej, nie czekając na odpowiedź.

Spaghetti, przemknęło Andrzejowi przez myśl. Zdarzało mu się już wcześniej przewidywanie przyszłości. Niezbyt odległej i dotyczącej raczej niewiele znaczących rzeczy, ale zawsze. Nazywał to zjawisko „przebłyskami jasnowidzenia”, jego świętej pamięci była żona zaś - „lekką paranoją”. Gosia była bardzo wrażliwa na punkcie wszelkich form postrzegania pozazmysłowego. Jej ojciec lubił sobie wypić. Gdy miał w czubie, próbował czytania w myślach, jasnowidzenia i telekinezy. Tej ostatniej najczęściej na wazonie. Gdy mu nic wychodziło, po prostu rzucał nim o ścianę, a matka następnego dnia kupowała nowy,

— To dlaczego wciąż nic możesz trafić szóstki w totka? — krzyczała na ojca. gdy chwalił się swoimi zdolnościami. Na Andrzeja też krzyczała, gdy udawało mu się odgadnąć, co będzie na obiad.

— Co ty na to, druhu? Odwiedzimy dziś Krysię? — zapytał Andrzej, tarmosząc psa za uszy i odrywając się od wspomnień.

Adi zamierzał ogonem.

— Świetnie. A teraz chodźmy już na ten spacer.

Poszli nad zakole Wisły. Adi z niegasnącym entuzjazmem starał się obwąchać każdą kępkę trawy i obsikać połowę z nich. Rzeka lśniła, puszczając spacerowiczom zajaczki. Szeroki, poprzecinany chodnikami pas trawy rozciągający się pod wzgórzem zamkowym zajęła młodzież. Chłopcy i dziewczęta wylegiwali się na kocach bądź bezpośrednio na trawie, śmiali się. rozmawiali, grali w karty

i pili piwo.

Andrzej usiadł na ławce i zapatrzył się w skąpany w złocie Wawel. Uwielbiał zakole Wisły, uwielbiał Kraków z jego wszędobylskimi gołębiami, turystami i korkami ulicznymi. A jednak nie potrafił się cieszyć ani krakowskim majem, ani swoją pracą, która jeszcze do niedawna dawała mu tak wiele satysfakcji. Demony, które zamknął w klatce, gdzieś na samym dnie umysłu, spały, lecz sen miały czujny, niespokojny.

Czekały.

W nocy znów miał ten sen. Kiedy pojawił się po raz pierwszy, niepokojąco realistyczny i zarazem całkiem przyjemny, powitał go z wdzięcznością, widząc w nim drogę ucieczki od okropieństw, których nie tak dawno był świadkiem. Kiedyś twarze postaci występujących w tym śnie stały się wyraźniejsze i od tamtego czasu przestał on być dla niego przyjemny. Za bardzo przypominał przeszłość, z którą nie chciał już mieć do czynienia, o której nie chciał pamiętać.

Miewał też inne sny. równie realistyczne i niepokojące, choć nie na tyle, by bać się zasnąć.

Adi poruszył się niecierpliwie. Chciał iść dalej, łowić nowe zapachy unoszące się w powietrzu i oznaczać teren, a nie siedzieć przy ławce, czekając, aż jego pan wróci na spokojne wody rzeczywistości.

Poszli dalej.

W drodze do domu Andrzej kupił pudełko czekoladek i późnym wieczorem pojawił się przed drzwiami mieszkania Krysi. Otworzyła po pierwszym dzwonku.

— Hej, wejdźcie — powiedziała. Adi nie czekał na zaproszenie, przepchnął się koło Andrzeja i już był w dużym pokoju. Rozwalił się pod kanapą, wywiesił język i wyszczerzył z zadowolenia zęby. Krysia przepadała za Adim. a Adi za Krysią. W końcu łączyły ich wspólne tygodnie, podczas gdy Andrzej gdzieś na końcu świata biegał z aparatem fotograficznym w ręce.

Andrzej wręczył sąsiadce bombonierkę i usiadł na kanapie. Czekoladki, wciąż zapakowane, wylądowały na stole.

— Zjemy na deser. Podać ci coś do picia?

— Masz jakiś sok owocowy? — zapytał Andrzej,

— Może być z czarnej porzeczki?

— Oczywiście,

Kryścia zniknęła w kuchni, aby po chwili wrócić z tacą. na której stały dwie wysokie szklanki, sztućce i sok w kartonie. Postawiła tacę na stole i gdy Andrzej zajął się rozlewaniem soku. ponownie poszła do kuchni, tym razem po dwa talerze parującego spaghetti.

— Mam nadzieję, że będzie wam smakowało — powiedziała. Adi dostał wolową kość.

Andrzej podał Kryści szklanę.

— Rozpieszczasz mi psa. Niedługo będzie wolał mieszkać u ciebie.

Trącili się i zabrali do jedzenia. Andrzej zamieszał widelcem w makaronie, porwał kilka nitek, wykręcił nimi piruet na łyżce i włożył sobie do ust.

Pochłonał swoją porcję w ciągu kilku radosnych, acz pracowitych minut. Dziewczyna miała naturalny talent do gotowania i w pełni go wykorzystywała. Ze zwykłego spaghetti potrafiła stworzyć poemat na cześć makaronu. Pod stołem Adi chrupał swoją koić.

— Jutro idę do redakcji oddać ostatnie zdjęcia - powiedział Andrzej, gdy puste talerze znikły w kuchni.

— Te z Iraku

— Tak.

— Chciałabym je zobaczyć — rzekła Kryścia. — Jeszcze zanim trafią do druku.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Cześć już trafiła.

— Więc może pokażesz mi te, które masz w swoim komputerze? W magazynie ukazują się tylko niektóre.

— Te zdjęcia to tylko echo tego, co widziałem w Iraku — powiedział Andrzej. — Ten kraj naprawdę ciężko będzie odbudować. Ludzie żyją w ciągłym strachu, zamachy terrorystyczne są coraz częstsze...

Umilkł. Zawsze się cieszył, gdy wyjeżdżał za granicę jako fotoreporter. Wiadomość o wyjeździe do Iraku również go ucieszyła,

choć wiedział, że nic będzie to majówka. Pomimo oficjalnie zakończonych działań wojennych kraj wciąż stał w ogniu. Amerykanie deptali po piętach Saddamowi, którego bojówki z kolei uprzykrzały życie żołnierzom koalicji, jak tylko mogły.

Nic jednak nic było w stanic przygotować go do tego, co zastał na miejscu. Na każdym kroku strach, zniszczenie, cierpienie. Pierwszy raz w życiu znalazł się w samym centrum krwawych walk. W głowie utkwiała mu jednak szczególnie pewna kasetka wideo, którą wraz z patrolem wojska znalazł w mieszkaniu jednego z członków partu Haas.

— Andrzeju? Wszystko w porządku? — zaniepokojony głos Krysi wyrwał go z odrętwienia.

— Tak. Tak, przepraszam. Zamyśliłem się.

— To przez ten wyjazd do Iraku, prawda? Zmienił cię. Widzę, jak nagle stajesz się nieobecny. Może powinieneś z kimś o tym porozmawiać? Wiesz...

— Z jednym z tych wiecznie uśmiechających się doktorów od głowy? Raczej nie. Myślę, że sobie sam z tym poradzę. Muszę już iść. Dzięki za kolację. Była przepyszna.

— Andrzeju, przepraszam... — powiedziała Krysia do zamykających się drzwi.

W nocy Andrzej długo nie mógł zasnąć. Bał się. Krysia obudziła jego demony Niechcący, przypadkiem sprawiła, że zaczęły się miotać w swojej klatce, szarpać pręty i opętańczo wyć. Tak samo, jak przypadkiem trącony czubkiem buta kamyczek zamienia się w niszczącą wszystko na swojej drodze lawinę. Potrzeba będzie trochę czasu, żeby demony się znów uspokoiły i zasnęły. Czasu i może...

Nie! Lepiej nawet o tym nie myśleć. I tak mało brakowało, żeby stracił nad rym kontrolę.

Krysia również nie spała. Myślała o Andrzeju. Z Iraku wrócił Andrzej niepodobny do tego, który tam pojechał. Nie było już Andrzeja zadowolonego z życia. Andrzeja, który zawsze potrafił ją rozbawić. Był ktoś inny. Ten ktoś ją martwił i przerażał

•••

Kilkaset kilometrów dalej i nieco później, w sanatorium dla ludzi cierpiących na nerwice i inne choroby psychiczne, jeden z pacjentów- zaczął krzyczeć. Na korytarzu rozległ się tupot i po chwili do pokoju wpadło dwóch pielęgniarzy, kopniakiem zamykając za sobą drzwi. W chwilę później krzyki ustały.

W tym czasie korytarz zdążył już zapełnić się pensjonariuszami ośrodka, napędzanymi niezdrową ciekawością. Była wśród nich całkiem urocza, młoda blondynka. Pomyślała, że ten, kto krzyczał, musiał mieć zły sen. Ona często budziła się w nocy ze zduszonym krzykiem na ustach. Na szczęście zawsze udawało jej się nad tym zapanować, w przeciwnym razie zostałaby nafaszerowana środkami uspokajającymi. tak samo jak tamten nieszczęśnik.

Dla niej jednak koszmary już się skończyły. Rankiem miała wyjść do domu z nadzieją, że już nigdy nie będzie musiała tu wracać. Wygasły wszystkie negatywne uczucia i złe myśli spowodowane zdarzeniami, przez które tu trafiła. Teraz było ich już zdecydowanie mniej niż na początku i cieszyła się z tego. według niej koszmary stanowiły swoisty wentyl bezpieczeństwa, przez który jej głowę powoli opuszczała choroba. Brakowało tylko świstu, jaki towarzyszy spuszczeniu powietrza z rowerowej dętki.

Właściwie tylko ona nazywała to miejsce „sanatorium” Dla całej reszty był to zakład psychiatryczny, w którym próbowano złagodzić objawy schizofrenii, paranoi i całej gamy różnych chorób. Ci, którzy opuszczali mury zakładu, najczęściej do końca życia musieli łykać tabletki.

Przez jakiś czas ona również będzie jeszcze musiała „brać prochy”, ale najgorsze miała już za sobą. Tak. Zdecydowanie. Już wkrótce opuści sanatorium, a potem... polem się zobaczy. Będzie wiedziała, co robić. Wierzyła swojej intuicji, słuchała jej i zawsze wychodziła na tym dobrze. Poza jednym przypadkiem, ale to przeszłość, tak odległa, że niewarta nawet wspomnień. Zresztą. to i tak musiało się zdarzyć

•••

Najpierw usłyszał przejeżdżający za oknem tramwaj. Potem otworzył oczy i spojrzał na lśniące cyferki zegarka stojącego na

szafce obok łóżka. Siódma rano. Wybierzcie mnie na prezydenta, a obiecuję wprowadzić ustawowy zakaz rozpoczynania dnia przed godziną dziewiątą, zwykł mawiać jako student. Potem jednak wstawanie o siódmej stało się nawykiem, jednym z tych, które ciężko wykorzenić, a studenckie wizje zmiany świata na lepsze odpłynęły w niebyt.

Na chwilę jeszcze zamknął oczy i wsłuchał się w bicie serca.

Wszystko gra.

Każdy dzień rozpoczynał w ten sam sposób, od lał. Najpierw marsz do toalety, potem mycie zębów. W kuchni włączał ekspres do kawy i dopiero potem się ubierał. Wtedy Adi zazwyczaj już siedział przed drzwiami, czekając na swoją okazję do opróżnienia pęcherza. Andrzej zapinał mu smycz na obroży i wyprowadzał na podwórko. Był chyba jedynym mieszkańcem miasta, który na spacerzy z psem zabierał szufelkę i foliowe woreczki.

Zapowiadał się następny słoneczny dzień. Chłód poranka przyjemnie orzeźwiał, nieliczne kępki niezadeptanej trawy lśniły od rosy. Andrzej nie po raz pierwszy pomyślał, że fajnie byłoby mieć dom gdzieś na przedmieściach i móc co rano rozkoszować się takimi chwilami, przechadzając się bosy po własnym ogródku.

Tymczasem Adi zdążył załatwić swoje potrzeby. Andrzej zgarmał, co było do zgarnięcia, i wyrzucił woreczek do najbliższego śmietnika

W mieszkaniu unosił się przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy. Andrzej nalał sobie pełny kubek i usiadł przy biurku. Śniadanie, jak zwykle, zje później.

Otworzył szufladę, w której schował płyty ze zdjęciami z Iraku i poczuł, jak demony znów walą w kraty więzienia, które dla nich zbudował.

Gabinet kierownika działu zagranicznego „Explotera”, czasopisma, dla którego pracował Andrzej, był zagracony nieco bardziej niż zwykle. Wszędzie wałały się plastikowe kubki po kawie, stare numery tygodnika i mnóstwo innych papierów.

— Andrzej! Masz te zdjęcia?

Ani cześć, ani pocałuj mnie w dupę. tylko czy masz już te zdję-

cia. Cholera!

Ale Maciek Krzyżewski taki już był. Rzadko kiedy bawił się w uprzejmości i przez lata współpracy z nim Andrzej zdażył się przyzwyczaić, że od razu przechodzi do sedna. Niemniej dziś niezmiernie go to zirytowało.

Kierownik działu był gruby i kształtem przypominał baryłkę. Jego garnitury i koszule krawcy szyli na zamówienie, bo w sklepach miał kłopoty ze znalezieniem czegoś na swój rozmiar. Poza tym było go na to stać. Znali się z Andrzejem od dziewięciu lat, czyli od początku istnienia gazety, kiedy to Andrzej jeszcze się cieszył, że będą mu płacić za zwiedzanie świata.

— Tak. mam — powiedział, podchodząc do biurka.

— Pokaż — Maciek odstawił kubek z kawą i wyciągnął rękę.

Andrzej podał mu kopertę z płytą CD.

— Masz ochotę na kawę? Sam piję trzecią. Lekarz kazał mi się ograniczać, więc piję pół na pół z mlekiem.

— Aha. To kakao pijesz, nie kawę. Kawa powinna być czarna i bez cukru, żeby można było nazwać ją kawą.

— Prawie już zapomniałem, jak lubisz się wymądrzać. Moniko, bądź tak dobra... — powiedział do sekretarki, która właśnie weszła do gabinetu. Dziewczyna uśmiechnęła i wyszła bez słowa. Po kilku minutach wróciła z kubkiem gorącej kawy.

— Czarna, tak jak lubisz -- powiedziała, podając kubek Andrzejowi.

— Dziękuję.

— Dobra, daj mi trochę czasu na przejrzanie tych zdjęć.

— Jasne, nie krępuj się,

Maciek otworzył kopertę, włożył płytę do napędu i uruchomił odpowiedni program, a Andrzej zaczął kontemplować własne paznokcie. Ogarnęło go znajome uczucie, takie jakie towarzyszy człowiekowi podczas przejażdżki kolejką górską w wesołym miasteczku. Czuł się tak zawsze, gdy ktoś w jego obecności przeglądał zdjęcia, które zrobił. Pomimo lat pracy to szczególne wrażenie wciąż było silne.

Doskonale pamiętał dzień, gdy przyniósł do redakcji swoje pierwsze zdjęcia. Był zdenerwowany, a zachowanie Maćka nic

pomagało w uspokojeniu nerwów. Ale gdy gruby człowiek za zagraconym biurkiem zaczął przebiegać wzrokiem kolejne kolorowe fotografie, Andrzej po raz pierwszy poczuł się, jakby pędził swoją osobistą kolejką górską z prędkością bliską prędkości światła. Wtedy wydawało mu się to lepsze od seksu. W ciągu następnych lat zdążył zmienić zdanie, ale przyspieszone bicie serca i łaskotanie poniżej pępka pozostało, niczym wierna kochanka.

— Chryste — szepnął Maciek kilka minut później. Andrzej myślał, że kierownik działu wzruszył się losem ludzi, których Andrzej fotografował, ale Maciek oceniał zdjęcia jako redaktor, a nie człowiek. — Są świetne. Naprawdę świetne. Ucałowałbym cię, ale sam rozumiesz...

— Taa, biurko jest dla ciebie za szerokie.

— Żartowniś. Ale wybaczę ci, bo te zdjęcia są naprawdę dobre.

— Cieszę się, że ci się podobają. Słuchaj, chcę wziąć zaległy urlop — wypalił Andrzej.

Maciek na moment znieruchomiał, potem jego twarz rozlała się w szerokim uśmiechu.

— Jasne, nie ma sprawy, odwaliłeś kawał dobrej roboty. Należą ci się wakacje.

Z redakcji Stawicki wychodził już w lepszym humorze.

Andrzej poprosił o urlop całkowicie spontanicznie, bez zastanowienia. Ogarnęło go wtedy dziwne uczucie, o którym niemal natychmiast zapomniał, zupełnie jakby ktoś inny podjął za niego decyzję. Ktokolwiek to był, opuścił Andrzeja, pozostawiając go z problemem zagospodarowania następnych dwudziestu dni. Jedno było pewne — Andrzej potrzebował tego urlopu i to bardzo, ale uświadomił sobie to dopiero, gdy już go dostał. Musiał się siad wyrwać. Uspokoić skołatane nerwy, odzyskać wewnętrzną równowagę.

Najtrudniejszym oczywiście zadaniem był wybór miejsca przyszłego wypoczynku. Do dyspozycji był niemal cały świat, lecz tym razem Andrzej nie chciał zostawiać Adiego na głowie Krysi, a wyjazd za granicę z jakimkolwiek zwierzęciem wiązał się z istnym biurokratycznym torem przeszkód, nie wspominając już o

koniecznych szczepieniach i kwarantannie wymaganej przez niektóre kraje. Tak więc, mimo iż podczas licznych wyjazdów Andrzej szczególnie upodobał sobie Grecję, do której zawsze chętnie powracał, ilekroć miał ku temu okazję, tym razem zdecydował się na spędzenie urlopu w kraju. Tym bardziej, że wiosna była w tym roku naprawdę piękna.

Pomyślał o górach, o Tatrach. Malująca się przed oczyma wizja spędzania całych dni na hasaniu po stokach była kusząca, mimo iż złąził już większość tamtejszych szlaków jeszcze za czasów studenckich. Góry kusiły go czymś jeszcze. Ciszą i spokojem panującymi na zboczach i w sosnowych lasach. Andrzej bardzo potrzebował spokoju.

•••

Wieczorem ponownie zastukał do drzwi Krysi,

— Słuchaj, przepraszam za moje wczorajsze zachowanie — powiedział, gdy gestem zaprosiła go do środka.

— Nic się nie stało — odparła, lecz jej niepewny uśmiech mówił coś innego. — Napijesz się czegoś?

— Wody mineralnej, jeśli masz. Gorąco się zrobiło.

Przeszli przez pokój dzienny i usiedli przy siole w małej kuchni. Krysia wydobyła ze zgrzewki butelkę i podała ją Andrzejowi.

— Wyjeżdżam — oznajmił Andrzej i pociągnął solidny łyk.

— Dokąd? Znow gdzieś, gdzie toczy się jakiś krwawy konflikt?

— Nie. Nie rym razem. Wyjeżdżam na urlop. W góry.

— Chcesz, żebym się zaopiekowała Adim?

— Dzięki, ale mam zamiar zabrać go ze sobą. Już i tak przysporzyłem ci sporo kłopotów.

— Wiesz, że to żaden kłopot.

Przez chwilę oboje siedzieli, nic nie mówiąc.

— Naprawdę jest mi przykro, że cię wczoraj uraziłem — odezwał się w końcu Andrzej. -- Właśnie dlatego chcę wyjechać. Muszę dojść do siebie.

— Więc miałam rację? — podchwyciła Krysia. — Chodzi o Irak? Co tam się stało?

— Nie, Krysiu. Nie dziś. Zbyt piękny mamy dzień, aby go psuć ponurymi historiami. Dzięki za wodę. Będę się zbierał.

Andrzej odstawił na stół opróżnioną do połowy butelkę

I ruszył w kierunku drzwi. Przechodząc przez pokój, nagle się zatrzymał. Powoli obrócił głowę w lewo, w kierunku regału z książkami. Znowu opanowało go uczucie, jakby ktoś inny nim sterował. Mgliście przypomniał sobie, że już kiedyś, całkiem niedawno, czuł coś podobnego, ale nie zastanawiał się nad tym dłużej. Podeszedł bliżej i wyciągnął dłoń po coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak kołonoatnik formatu A6. Gdy tylko zacisnął na nim palce, uczucie znikło i Andrzej natychmiast o nim zapomniał.

— Kazimierz Dolny, przewodnik turystyczny — przeczytał, spoglądając na trzymaną w dłoni niewielką książeczkę. — Nigdy tam nie byłem,

— Naprawdę? — Krysia zaglądała mu przez ramię. — Żałuj. Tam jest pięknie.

— Mogę to pożyczyć? — na twarzy Andrzeja pojawił się szeroki uśmiech, który Krysia tak lubiła.

Gdy łódź wypełniona sprzętem dobiła wreszcie do brzegu Skałki, pierwszy wyskoczył z niej profesor archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Antoni Orańczak. Był szczupły, średniego wzrostu, po sześćdziesiątce i trzymał się zadziwiająco prosto jak na swój wiek. Oczy płonęły mu blaskiem, gdy w to ciepłe, niemal upalne popołudnie lustrował teren, pragnąc przebić wzrokiem gęste krzaki broniące dostępu w głąb wyspy.

Za nim grupka jego studentów, postępując i posapując, wyładowywała skrzynie z łodzi. Profesor zadarł głowę, starając się dostrzec interesujący go obiekt pomiędzy kołyszącymi się czubkami wysokich drzew.

— Niesamowite — szepnął. — Wprost niewiarygodne...

— Sprzęt już wyładowany — zawołała najbliższa współpracownica Orańczaka, doktor Anna Nawrot. Była bardzo atrakcyjną brunetką, mimo że zbliżała się już do czterdziestki. Długie, lśniące włosy upięła wysoko na głowie, ale niesforne kosmyki i tak wymykały się spod spinki.

— Doskonale — rzeki profesor, wracając na brzeg. — A więc bierzmy się do roboty, zanim dzień nam się skończy!

Grupa pod jego przewodnictwem ruszyła w głąb wyspy.

ROZDZIAŁ 23

Kazimierz Dolny. 2004

Trzy dni później, jak każdego ranka. Andrzeja obudził tramwaj. Znów o siódmej rano. Jak co dzień najpierw umył zęby, potem włączył ekspres do kawy i poszedł z psem na podwórko.

A potem zaczął się pakować. Postanowił już, że urlop, a przynajmniej jego część, spędzi w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą.

Dwa ostatnie wieczory poświęcił na przestudiowanie przewodnika pożyczonego od Krysi i skusiły go zawarte w nim opisy i zdjęcia przedstawiające miasteczko.

Zdołał się zapakować do podróźnej torby i małego plecaka. W ostatniej chwili zabrał jeden ze swoich cyfrowych aparatów fotograficznych, po czym wziął Adiego na smycz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Torbę załadował do bagażnika, a psa i plecak na tylne siedzenie swojego trzy drzwiowego bordowego renault clio. Adi natychmiast przeskoczył do przodu i zajął fotel pasażera. Przez chwilę patrzyli na siebie: Andrzej z irytacją, a pies z najbardziej niewinną miną, jaką tylko może przybrać husky. W końcu Andrzej się uśmiechnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył spod bloku. Pies zaczął obśliniać szybę.

Miasto było zakorkowane. Jak zawsze w Krakowie o poranku, w południe i wieczorem. Samochody poruszały się w żółtym tempie, co chwilę jakiś zniecierpliwiony kierowca maltretował klakson.

Andrzej postanowił, że nie będzie się denerwował. W końcu jechał właśnie na zasłużony urlop. Adi rozłożył się na siedzeniu, okazując pogardę dla zmagań użytkowników dróg.

Nie jest łatwo być cierpliwym w korku. W pewnej chwili Stawicki usłyszał trzask, a potem ujrzał corcę stojącą w poprzek jezdni ze zderzakiem wbitym w drzwi ford focusa od strony pasażera. Kierowcy obu pojazdów wysiedli, obejrzeni zderzak i drzwi, po czym zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Następnie w ruch poszły pięści. Potrzebna była interwencja osób trzecich. Chociaż w końcu udało się ich rozdzielić, na jezdni pozostała przyczyna po-

większającego się zatoru ulicznego w postaci dwóch szepionych ze sobą samochodów. Przepchnięcie ich na chodnik na szczęście nie trwało długo.

Kiedy w końcu Andrzej wyjechał z Krakowa, odetchnął z ulgą. Była już dziesiąta.

Poza miastem drogi były przejezdne, choć panował duży ruch. Adi, czując, że samochód przyspieszył, znów zaczął obśliniać szybę. Lubił jazdę samochodem. Rozglądał się ciekawie na wszystkie strony, podziwiając widoki.

Koło Kielc Andrzej zatrzymał się na małym przydrożnym parkingu otoczonym świerkami, żeby coś zjeść. Zamówił sobie hot doga i zdziwił się niepomniernie, gdy wśród kukurydzy, kiszonych ogórków i majonezu dostrzegł czerwoną kapustę. *Lokalny folklor*, pomyślał, przeżuwając pierwszy kęs.

Nie zapomniał też o Adim. Najpierw wypuścił go, żeby pies mógł się załatwić, potem wydobyl z bagażnika jego miski, tak zaprojektowane, że jedna mieściła się w drugiej. Andrzej kupił je poprzedniego dnia, specjalnie na ten wyjazd. Do pierwszej nasytał trochę suchej karmy, do drugiej wlał wodę mineralną i postawił obie na ziemi. Po chwili pies zaczął pożerać chrupki, a Andrzej sięgnął do plecaka po kanapki, które sobie przezornie przygotował przed wyjazdem. Hot dogiem się nie najadł, na drugiego nie miał ochoty, a bał się zamówić hamburgera czy chociażby zapiekankę. Nie wiadomo, co mógłby w nich znaleźć.

Jedząc kanapki, słuchał wiadomości. Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, ponieważ nie potrzebował spikera do stwierdzenia, że „mamy piękny dzień, a temperatura może sięgnąć nawet dwudziestu stopni powyżej zera”.

Po posiłku zapakował Adiego z powrotem do samochodu, schował puste miski i ruszył dalej.

•••

Minał Puławy i powoli zbliżał się do celu podróży.

Miał już dosyć muzycznej papki puszczonej w radiu i przerywanej częstymi reklamami środków przeczyszczających lub powstrzymujących gwałtowne przeczyszczanie. Przez chwilę grzebał w schowku od strony pasażera, po czym wyciągnął starą kasetę

Guns N'Roses. Kiedy z głośników rozległ się ryk gitary elektrycznej Slasha. Adi skulił uszy i uciekł na tylne siedzenie. Jakoś nie trawił rocka.

Andrzej odruchowo przyspieszył i zaczął nucić pod nosem ulubione kawałki.

Ojcie, kto zbudował piramidy?

Ludzie.

Tacy jak my?

Nie. Znacznie mądrzejsi i potężniejsi.

Andrzej nerwowo zamrugał. Piramidy? Nigdy nie słyszał, żeby Gunsi śpiewali o piramidach... Przewinął kasetę i puścił jeszcze raz. Usłyszał tylko doskonale znany tekst *Dont Cry*. Ciarki przeszły mu po plecach. Z tyłu pisnął Adi.

— Co piesku, też słyszałeś coś dziwnego?

Co się stało z tymi ludźmi?

Zabiliśmy ich.

— Co jest...?

Przed oczami coś mu błysnęło. Jakiś okrągły przedmiot i coś błyszczącego pod nim... Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie, jak zwykle w takich chwilach.

Właśnie zbliżał się do ostrego zakrętu. Jechał za szybko.

W polu widzenia nagle znalazł się żółty samochód dostawczy, który, ścinając zakręt, wjechał na lewy pas. Andrzej wcisnął hamulec i skręcił w prawo. W tym momencie dostrzegł plecy pieszego. Szedł po niewłaściwej stronie pobocza. Andrzej odbił w lewo i dodał gazu, żeby nie potrącić beztroskiego spacerowicza. Zdołał go ominąć, ale samochodem rzuciło. Andrzej słyszał, jak husky przetacza się po siedzeniu, pchany siłą bezwładności. Potem stracił panowanie nad kierownicą, bordowe clio obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i tyłem wjechało do rowu, kasując przy okazji znak informujący o niebezpiecznym zakręcie. Kierowca samochodu dostawczego niczego nawet nie zauważył.

Przez chwilę Andrzej siedział nieruchomo, wsłuchując się w bicie własnego serca.

— Wszystko w porządku — szepnął do siebie. — Oprócz tego, że zaczynam słyszeć głosy, wszystko jest w porządku.

Pocieszyła go myśl, że wciąż żyje. Potem do głuchego łomotu serca dołączył inny dźwięk: popiskiwanie Adiego. Andrzej spojrział za siebie. Husky na wpół siedział, a na wpół leżał na tylnej kanapie. Miał rozbiegany wzrok i drżał na całym ciele, ale poza tym chyba nic mu się nie stało. Andrzej uświadomił sobie, że sam również drży. Pomyślał, że to szok i z niejakim zdziwieniem obserwował jego oznaki u psa.

Nagle pojawienie się twarzy w oknie spowodowało niekontrolowany podskok kierowcy i znacząco przyspieszyło mu puls.

— Nic się panu nie stało? — krzyknęła twarz, której właściciela Andrzej o mały włos nie wysłał na tamten świat. Twarz, jak i zapewne cała reszta, należała do kobiety.

Pokręcił przecząco głową.

— Pomogę panu wysiąść — zaoferowała się niedoszła ofiara wypadku, otwierając skrzypiące drzwi.

Andrzej drżącą ręką sięgnął do klamry pasa bezpieczeństwa. Pas odskoczył ze świstem, uderzając go w lewą dłoń.

Dopiero polem wyłączył wciąż pracujący silnik i wygramolił się z samochodu. Adi wyszedł tuż za nim.

— Dziękuję — wy sapał Stawicki.

Kobieta pierwsza wyszła z rowu i wyciągnęła do Andrzeja rękę. Zauważył, że jest bardzo szczupłą blondynką o krótko przyciętych włosach. Po chwili stał obok niej na poboczu, spoglądając z góry na samochód i głaszcząc husky'ego po łbie. Pies przysiadł koło nogi swojego pana.

— Jest pan cały? — zapyłała ponownie kobieta.

— Dziękuję, nic mi nie jest — odparł Andrzej. — A pani? Prawie panią potrafiłem.

— Niech się pan nic martwi, nic trafił pan — uśmiechnęła się blondynka.

— Cale szczęście.

— Nie powinien pan rozstawić trójkąta albo coś w rym rodzaju?

— Racja. Oczywiście — rzucił Andrzej.

Zsunął się z powrotem do rowu i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Z tylnego siedzenia zabrał też swój plecak i smycz. Okrążając sa-

mochód, zauważył, że w drzwiach od strony pasażera jest spore wgniecenie, a znak drogowy wybił szybę. W końcu wydobył z bagażnika trójkąt ostrzegawczy i wrócił na pobocze. Zapiął Adiemu smycz i podał ją kobiecie.

— Proszę potrzymać — powiedział i ruszył w stronę, z której nadjechał samochód dostawczy. Gdy uznał, że oddalił się od samochodu mniej więcej o przepisowe sto metrów, rozstawił trójkąt i zawrócił. Pomyślał, że w sumie wszyscy mieli sporo szczęścia. Nikomu nie się nie stało, a i szkody wyglądały na niewielkie. Samochód był ubezpieczony, więc kosztami naprawy nic musiał się przejmować. Uznał, że nie powinno być również problemu z wyciągnięciem renówki z rowu, bo wpadła do niego pod kątem i przednimi kołami opierała się o pobocze.

— Śliczny pies — powiedziała kobieta.

— 1 wyjątkowo grzeczny — odparł Andrzej z uśmiechem. - - Zazwyczaj rzuca się na ludzi.

Żrenice zielonych oczu blondynki gwałtownie się rozszerzyły.

— Nie. nic jest groźny — pospieszył z wyjaśnieniem Andrzej — Jest bardzo przyjacielski i na swój sposób wylewny. Wszystkich próbuje lizać po twarzy.

— Aha — mruknęła kobieta, ale nic wyglądała na uspokojoną

— Andrzej Stawicki przedstawił się reporter, wyciągając dłoń.

— Iza Mieleniuk — odparła blondynka. Miała silny uścisk. Po chwili oddała Andrzejowi smycz.

— Cóż, chyba muszę zadzwonić po pomoc drogową — stwierdził Andrzej.

Wyjął z plecaka na szczęście nieuszkodzony telefon komórkowy i wybrał numer linii alarmowej swojego zakładu ubezpieczeń. Po krótkiej rozmowie dyspozytor zapytał o miejsce wypadku

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — zapytał Andrzej, zasłaniając mikrofon telefonu.

Iza odpowiedziała.

— Pięć kilometrów od Kazimierza Dolnego, w stronę Puław — powtórzył Andrzej.

Profesor Orańczak i dwóch jego młodych asystentów wyszli ze

sklepu spożywczego. Ci ostami nieśli ciężkie siatki pełne żywności, profesor zaś z butelką wody mineralnej w ręce pełnił rolę przewodnika stada. Przecięli rynek miasteczka i ruszyli w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

Gdy ładowali się wraz z zakupami do środka, minęło ich bordowe clio na lawecie.

Profesor usiadł za rozgrzaną kierownicą. Upał powoli stawał się nie do zniesienia. Co się dzieje z tym majem?

Kwatera zespołu naukowego znajdowała się w Domu Pracy Twórczej Politechniki Lubelskiej. Nie było to szczególnie atrakcyjne miejsce, ale profesorowi zależało, żeby mieszkać jak najbliżej wyspy. W ośrodku turystycznym nad jeziorem było zbyt mało wolnych miejsc, a noce wciąż były za chłodne, aby sypiać pod namiotami na wyspie.

Pilnowanie terenu musiał zlecić firmie ochroniarskiej, co również mu się nie podobało. Cóż, na razie to musiało wystarczyć. Przynajmniej do chwili, gdy zrobi się na tyle ciepło, że będzie można przenieść się na wyspę.

W progu budynku przywitała ich Anna.

— Nareszcie. Umieramy z głodu — powiedziała, biorąc siatkę od jednego ze studentów.

— Pani doktor, nie mogę pamiętać przecież o wszystkim! — odparł Orańczak.

— A powinien pan, powinien. W końcu to pan jest profesorem.

Profesor parsknął śmiechem. Jego znajomość z Anną Nawrot sięgała czasów, gdy była studentką trzeciego roku archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Była jedną z lepszych studentek na roku, a ponadto cechował ją zapal, jaki profesor zawsze cenił u młodych ludzi. Dlatego ucieszył się, gdy Anna po obronie pracy magisterskiej oznajmiła, że zamierza pozostać na uczelni i pod jego kierunkiem zrobić doktorat.

Anna poprowadziła całą trójkę do przestronnej jadalni. Reszta zespołu była właśnie zajęta zsuwaniem kilku stołów. Po chwili dosunęli krzesła, na blacie wylądowały ciężkie pakunki przywiezione przez profesora, a za nimi sztuce i talerze wygrzebane w kuchni.

Wszyscy członkowie zespołu zasiedli do wspólnej kolacji. Oprócz Orańczaka i Anny Nawrot, grupa składała się z czternastu studentów, od trzeciego roku wzwyż, i dwóch doktorantów.

— Czy oficjalne pozwolenie już doszło? — zapytał profesor między kęsami kanapki z serem.

— Owszem — potwierdziła Anna. — Dziś rano.

— Świetnie. Jutro o poranku zabierz ludzi na wyspę, a ja udam się ze świstkiem do gwardiana klasztoru reformatów.

— Postawimy go w niezręcznej sytuacji. Nie miał nic do powiedzenia w sprawie ziemi, która bądź co bądź należy do klasztoru od wieków.

— Trudno. Nie było czasu na negocjacje z miejscowymi braćmi. Gdybyśmy wdali się z nimi w dyskusję, najpewniej stracilibyśmy środki na badania, nim doszłoby do podjęcia jakichkolwiek decyzji.

— Mimo wszystko moim zdaniem lepiej by było przynajmniej powiadomić gwardiana o naszych zamiarach, zanim jeszcze doszło do rozmowy z prowincjałem zakonu.

Orańczak westchnął.

— Pewnie masz rację. Powinienem był zostawić ci sprawy administracyjne, jak zwykle. Ale nadarzyła się okazja, a pokusa była zbyt silna. Jak już mówiłem — trudno. Stało się.

Przez cały wieczór nie wrócili już do tematu. Po kolacji jednak zajęli się kwestiami technicznymi. Pochyleni nad mapą wyspy i serią zrobionych wcześniej zdjęć dyskutowali o tym, w którym miejscu najlepiej rozpocząć wykopaliska.

Pomarańczowy samochód pomocy drogowej zatrzymał się nieopodal rynku. Z szoferki wyskoczył Andrzej z Adim. a za nimi Iza. Gdy tylko Andrzej wydobył z samochodu swoje bagaże i zatrzasnął za sobą drzwi, kierowca ruszył, zabierając rozbitą renówkę do warsztatu.

Przez chwilę stali na chodniku, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu odezwał się Andrzej.

— Czy dałaby się pani zaprosić na kolację? W ramach przeprosin za to, że o mało pani nie rozjechałem...

Iza wahala się przez chwilę, w końcu jednak uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Czemu nie? — odparła. — Ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze chciałabym jeszcze na chwilę pójść do siebie, żeby się odświeżyć i przebrać, a po drugie — przejdźmy na ty

— Dobrze. W takim razie spotkajmy się koło studni na rynku, powiedzmy za godzinę, zgoda? Muszę znaleźć jakiś pensjonat, gdzie zechcą przyjąć mnie i psa.

•••

Andrzej znalazł lokum nadspodziewanie szybko, bo już po kilkunastu minutach. Wynajął pokój w małym, jednorodziennym domku przy ulicy Sadowej, w którym mieszkał samotny starszy pan. Na tyłach domu rozciągał się ogród, było więc sporo miejsca dla Adiego. Sadowa była równoległa do brzegu Wisły i z piętra można było dostrzec lśniącą wstęgę rzeki.

— Oczywiście, pies może spać w pokoju razem z panem, ale wtedy będzie trochę więcej kosztowało wynajęcie. Wie pan. sierść, ciężko posprzątać, może nabrudzi...

Andrzej nie wyklócał się o cenę. Sadził, że będzie miał kłopot ze znalezieniem kogoś, kto zgodzi się przyjąć pod swój dach psa, więc tym bardziej się ucieszył, że tak łatwo mu poszło. Adiemu będzie dobrze w ogrodzie, podczas gdy jego pan będzie jadł kolację w restauracji.

Pokój, który wynajął, znajdował się na piętrze. Nic był duży. stało w nim jedynie łóżko, stolik, dwa krzesła, szafka i telewizor, ale Andrzejowi to odpowiadało, ponieważ i tak zamierzał w nim spędzać jedynie noce. Łazienka z wanną i prysznicem znajdowała się na korytarzu, kolo schodów. Na piętrze był jeszcze jeden pokój do wynajęcia, w tej chwili wolny.

Zadowolony z pomyślnego rozwoju sytuacji. Andrzej zrzucił z ramienia swoją torbę podróżną. Plecak położył na jednym z krzeseł i wyjrzał przez małe okienko wpuszczone w ukośny sufit. Widział stamtąd kawałek ogrodu i wężącego w nim psa Husky wydawał się być lekko zdezorientowany. Stawicki uśmiechnął się do swoich myśli i poszedł wziąć prysznic.

Pod strumieniem gorącej wody przykre wspomnienie wypadku

szybko zbladło, wróciła natomiast myśl, która tuż przed zdarzeniem pojawiła się w jego głowie.

Ojczy, kto zbudował piramidy?

Dopiero teraz miał chwilę, żeby się nad tym zastanowić. Skąd wzięła się ta myśl? Nie była jego, to pewne. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek prowadził sam ze sobą dyskusję o piramidach. Wniosek z tego płynął taki, że naprawdę zaczął słyszeć głosy. Jak ci wszyscy ludzie, którzy przeżyli jakiś wstrząs psychiczny i nie potrafili w pełni z niego wyjść.

Boże, jest gorzej, niż sądziłem. A jeśli tak, to może Krysia miała rację?' Mnie naprawdę sam sobie z tym nie poradzę?

Zdecydował, że jeszcze ma czas. Jeśli to nie minie samo, jeśli będzie się powtarzać — wtedy będzie się martwił.

Dokładnie o umówionym czasie Andrzej znalazł się koło studni na kazimierskim rynku. Nie czekał długo. Iza zjawiała się ubrana w lekką, kwiecistą sukienkę, która podkreślała bladość jej uśmiechniętej twarzy. Z daleka dojrzała Andrzeja i pomachała do niego, przyspieszając kroku.

— Widziałem po drodze miłą knajpkę — zagadnął Andrzej, gdy Iza podeszła bliżej.

— Prowadź więc — odparła dziewczyna.

Po krótkim spacerku stanęli przed drewnianą furtką. Wisiał nad nią szyld głoszący, iż za progiem na głodnych turystów czeka "Zielona Tawerna". Andrzej pchnął furtkę i znaleźli się w dużym ogrodzie otoczonym drzewami. Pod ich stopami ścieliła się brukowana dróżka prowadząca do znajdującego się po lewej stronie budynku. Tam właśnie mieściła się restauracja, ale ze względu na piękną pogodę i rozkwitający sezon letni, wiele stolików wystawiono na zewnątrz.

Andrzej i Iza wybrali stolik pod rozłożystą jabłonią, niedaleko budynku. Otoczyły ich zapachy przeróżnych potraw spożywanych przy sąsiednich stolikach i przygotowywanych w kuchni.

Kelner zjawił się szybko, ze służbowym uśmiechem na twarzy i dwiema kartami dań w dłoni. Oboje nabrali już porządnego apetytu, więc z zapalem zabrali się do studiowania menu.

Niedługo potem kelner pojawił się ponownie, tym razem z notesem i długopisem. Iza zamówiła pstrąga ze smażonymi ziemniakami i surówką, Andrzej - smażony ser z frytkami. Kelner nabazgrał coś w swoim notesie i odplynął w stronę kuchni, pozostawiając turystów zatopionych w wiklinowych fotelach.

— Miło tu — stwierdziła, rozglądając się, Iza. — I tak ładnie pachnie. Jestem już strasznie głodna.

— Ja też — przyznał Andrzej. — Ależ ten kelner się grzebie...

Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Lubiłam kiedyś gotować.

— Co się zmieniło?

— Dla jednego się nie opłaca — cień przemknął po twarzy Izy — Co cię sprowadza do Kazimierza? — zapytała, zmieniając temat.

— Urlop. Szukałem jakiegoś miłego miejsca, gdzie mógłbym odpocząć od pracy i trafiłem tutaj. Jak dotąd miałem mnóstwo stresu zamiast odpoczynku.

— A co robisz?

— Jestem fotoreporterem,

— A jakiej gazety?

Andrzej mchem głowy wskazał grubego jegomościa kilka stolików dalej. Obok jego talerza leżało czasopismo.

— Och... — Iza była pod wrażeniem.

W tym momencie nadszedł kelner, ucinając dyskusję o życiu zawodowym Andrzeja.

— Gdy leżałeś w rowie, zauważyłam krakowską rejestrację. Zawsze chciałam tam mieszkać.

— To piękne miasto — odparł Andrzej, próbując nabrać na widelec kawałek rozciągliwego sera. — Ale spowszedniałoby ci.

— Dlaczego tak myślisz?

— Urodziłem się w Krakowie. Nie dostrzegam już tego, czym zachwycają się przyjezdni. Każdy, kto decyduje się zamieszkać w Krakowie, po pewnym czasie obojętnieje na uroki miasta. A turyści bywają irytujący. W lecie trudno znaleźć wolne miejsce w knajpce gdzieś koło rynku.

— Nie powiesz chyba, że Kraków w ogóle na ciebie nie działa.

— Owszem, działa. Ale nie tak jak na ludzi, którzy widzą to

miasto po raz pierwszy. Mam kilka swoich ulubionych miejsc. Nic ponadto.

— Co zrobiłeś z psem? — Iza znów z uśmiechem zmieniła temat.

— Został w pensjonacie. Spodobał mu się ogródek. A ty? Też jesteś na urlopie? — zapytał Andrzej.

— Tak. Znajomi polecili mi to miejsce. Przyjechałam trzy dni temu. Moglibyśmy razem pozwiedzać okolicę, jeśli chcesz.

Andrzej był zaskoczony. Zastanawiał się przez chwilę, ale szybko stwierdził, że podoba mu się i propozycja... i dziewczyna.

— Bardzo chętnie — powiedział w końcu. — Obawiałem się, że tylko Adi i przewodnik turystyczny będą dotrzymywać mi towarzystwa.

Zmierzch już zapadał nad Kazimierzem, gdy poprosili o rachunek.

ROZDZIAŁ 3

Egipt. 3000 lat p.n.e.

Kapłan Świątyni Bytu zwanej również Świątynią Horusa przemierzał ulice miasta szybkim krokiem. Było gorąco, znad pustyni wiał suchy wiatr i na łysej czaszce kapłana perlily się krople potu.

Przeciał targ, zanurzając się na kilka chwil w zawodzące głosy handlarzy zachwalających swoje towary, po czym skierował kroki w wąską, długą uliczkę. Sandały stukwały rytmicznie o pokryty piaskiem bruk. Mieszkańcy Behdet pozdrawiali go, gdy ich mijał. Mimo niezbyt wysokiego stanowiska w hierarchii kapłanów cieszył się w mieście sporym szacunkiem.

Spieszył się. Wezwanie od arcykapłana brzmiało jednoznacznie: natychmiast.

W końcu wyszedł na kolejny plac, większy od targowego i nie tak zatłoczony. Nie było na nim handlarzy, nie było zgielku, który z takim zapalem wzniecali. Otaczały go niskie domy, a na samym środku stała Świątynia. Kształtem przypominała pomniejszoną wersję zikkuratu. Różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do babilońskich świątyń, w których do głównego ołtarza na szczycie schodkowej piramidy prowadziły zewnętrzne schody, w tej budowli ołtarz znajdował się wewnątrz, a do Świątyni wchodziło się przez bogato rzeźbione odrzwia znajdujące się na poziomie ulicy. Fronton otoczony był kolumnadą sięgającą pierwszego stopnia małej piramidy.

W cieniu po obu stronach wejścia stali uzbrojeni we włócznie strażnicy. Sefian minął ich obojętnie i wkroczył w przyjemny

chłód Świątyni.

Wnętrze tonęło w półmroku. Rozświetlały je promienie słońca wpadające przez wąskie okna oraz pochodnie płonące w uchwytych wiszących na ścianach i kolumnach. Kolumny otaczały rozległą komnatę z trzech stron. Na wprost wejścia, mniej więcej w połowie szerokości Świątyni, mur odgradzał ogólnodostępną część budowli od prywatnych komnat arcykapłana i kilku kapłanów wyższych rangą. Przechodziło się tam przez wąskie i niskie drzwi. Przed ścianą stał pięciometrowy posąg Horusa zwrócony w kierunku wiernych, a jego surowy wzrok przeszywał każdego, kto przestąpił próg Świątyni. Przed posągiem również stali uzbrojeni strażnicy, na pokaz raczej, ponieważ potężna magia chroniła tę budowlę.

Minał wartowników, otworzył drzwi i wspiał się na schody. Po chwili stał w progu przestronnej komnaty arcykapłana.

— Witaj, Sefianie.

— Wzywałeś mnie, panie.

Oprócz wiekowego Merukesa, najwyższego kapłana Świątyni Horusa, we wnętrzu znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę drzwi. Sefian rozpoznał dwóch z nich, byli to zaufani zastępcy arcykapłana. Trzeciego nie znał.

— Zostawcie nas, proszę — powiedział Merukes.

Trzej mężczyźni bez słowa podnieśli się ze swoich miejsc i wyszli. Obcy rzucił Sefianowi przenikliwe spojrzenie, mijając go w drzwiach.

— Podejź — rzekł arcykapłan, zbliżając się do okna. — Co widzisz?

U jego stóp miasto przypominało popękany płaskowyż, poprzecinany wąwozami i kanionami wąskich i szerokich ulic. biegnących między ostrymi stokami budynków. Gdzieś tam fragment kolorowego materiału znaczył zakład rzemieślniczy bądź stragan kupca. Ludzki gwar przypominał brzęczenie much w senne popołudnie. Dalej aż po horyzont rozciągały się gorące piaski, które wydawały się poruszać niczym morskie fale w nagrzanym powietrzu.

— Miasto, ludzi — odparł Sefian, stając o krok za Merukesem.
— I pustynię za miastem.

— Trudno odmówić ci racji — odparł arcykapłan. Sefian nie mógł tego widzieć, ale wydawało mu się, że w głosie Merukesa rozbrzmiała delikatna sugestia uśmiechu. — Ja zaś widzę oazę spokoju, ładu i porządku, w którego samym centrum znajduje się ta Świątynia. Usiądź.

Sefian posłusznie zajął krzesło za niskim stołem. Po chwili Merukes odwrócił się i również usiadł.

— Czy wiesz, kim był człowiek, którego przed chwilą ujrzałeś w towarzystwie moich zastępców? — zapytał.

— Nie, panie. Widziałem go po raz pierwszy w życiu.

— To emisariusz — ciężki łańcuch złożony z prostokątnych nefrytowych płytek obramowanych złotem zadźwięczał, gdy arcykapłan pochylił się w stronę Sefiana. W płytkę znajdującą się pod brodą wtopiony był złoty skarabeusz.

Sefian nic odpowiedział. On również nosił podobny łańcuch ze skarabeuszem, jednak mniejszy i wykonany z lapis-lazuli otoczonego złotem.

— Emisariusz — powtórzył Merukes. — A poza tym zaufany człowiek faraona. Przybywa z Inebu-Hedż. Faraon jest zaniepokojony.

Te słowa wywarły na Sefianie ogromne wrażenie. Faraon, człowiek, który zjednoczył Egipt i władał nim niepodzielnie. Jego niepokój, którego wyrazem była obecność posłańca, mógł dotyczyć tylko jednego.

— Chodzi o Rydwan.

— Tak — przyznał Merukes. — Faraon dokonał z jego pomocą wielkiej rzeczy. Wielu powiedziałoby, że wręcz niemożliwej. Nie wszyscy są jednak z tego powodu zadowoleni.

— Mówisz, panie, o wyznawcach Seta.

— Tak. Słudzy złego brata Horusa rosną w siłę. Zagrożona jest równowaga Ładu i Chaosu. Tym właśnie martwi się faraon i to przekazał mi dziś ustami swego posłańca.

— Dlaczego więc wezwałeś mnie, panie?

— Ponieważ przeznaczone ci jest odegrać rolę w tym odwiecz-

nym starciu Ładu i Chaosu. Bytu i Niebytu.

— Nic rozumiem.

— Wezwałem cię tu, aby powierzyć ci zadanie. Rydwan Bogów musi zniknąć. I to szybko, nim położą na nim łapy słudzy Seta. Widzisz, Sefianie, oni wiedzą. W jakiś sposób się dowiedzieli, że Rydwan wciąż istnieje i że jest w naszym posiadaniu. Musisz więc zabrać stąd Rydwan i przekazać go faraonowi. Później zajmą się nim inni ludzie, wybrani osobiście przez faraona. Ukryją go. Wszystko zostało już przygotowane.

— Dlaczego ja? Dlaczego nie powierzysz go. panie, któremuś z wyższych kapłanów bądź samemu emisariuszowi?

— Ponieważ oni będą pilnie obserwowani. Ty, Sefianie, jesteś naszą tajną bronią. Jesteś nie tylko kapłanem, ale i magiem. Jest w tobie ogromny potencjał, dzięki któremu pewnego dnia sięgniesz po najwyższe godności. Dlatego też Rydwan zostanie powierzony tobie. Wierzę w ciebie, Sefianie. Wierzę, że jesteś gotowy, że wykonasz to zadanie. Nie wolno ci mnie zawieść.

— Jak każesz, panie — Sefian skłonił głowę.

— Wszystko się zmieni, gdy zniknie Rydwan — powiedział arcykapłan ze smutkiem.

— Panie?

— To wszystko, co widziałeś za oknem. Miasto, kraj. Wraz z ukryciem Rydwanu nasz świat ulegnie zmianie. Stare świątynie stracą na znaczeniu i upadną. Powstaną nowe, poświęcone nowym bogom, aż któregoś dnia Horus i Set utoną w morzu religii, a nikt nie będzie pamiętał, że kiedyś reprezentowali Byt i Niebyt. Zmieni się miasta, ale nie ludzie — Merukes zamilkł, aby po dłuższej chwili znów przemówić: — Wyruszysz jeszcze dziś w nocy. Staw się w Świątyni po zmroku, wszystko będzie gotowe.

— Co z moim synem? Nie mam go z kim zostawić.

— Świątynia zaopiekuje się nim do twojego powrotu.

— Tak, panie.

— A teraz już idź. Mamy dużo do zrobienia.

Ze Świątyni wyszedł zmęczony, ale i podekscytowany. Nieśpiesznie przemierzał ulice miasta, rozmyślając o czekającej go

podróży. Wszystko to nie wydawało mu się zbyt skomplikowane. Ot. dostarczyć niepostrzeżenie artefakt do stolicy kraju. Nic trudnego dla kogoś takiego, jak on. Dlaczego więc czuł niepokój?

Ulice opustoszały niemal zupełnie. Zbliżała się najgorętsza pora dnia i ludzie chronili się w chłodzie swych domów. Sefian dotarł do niepozornych, zbitych z ciemnego drewna drzwi osadzonych w żółtym piaskowcu. Wszedł do mieszkania, rozejrzał się po wnętrzu. Pusto. Jego syn, Achon, zapewne bawił się w domu jednego ze swoich przyjaciół, tak więc Sefian miał przynajmniej dwie godziny spokoju. Jako że noc zapowiadała się długa i bezsenna, postanowił się zdrzemnąć.

Poszedł do sypialni, padł na łóżko i zasnął niemal natychmiast, ukojony ciszą miasta czekającego, aż słońcu znudzi się przysmażanie jego mieszkańców i wyruszy szukać sobie innego celu.

Znów nawiedził go najdziwniejszy ze wszystkich snów. Domyślał się, że kryje się za nim jakieś przesłanie, ale nie miał pojęcia jakie.

W tym śnie jego żona jeszcze żyła. Leżała na wielkim łożu w komnacie, do której światło wpadało przez jedno małe okno umieszczone pod sufitem, nadając wszystkiemu złoty poblask. Komnata znajdowała się w Świątyni Horusa, prowadził do niej długi korytarz, pod którego ścianami stały rzędy posągów. Ciało kobiety skryte pod cienką narzutą przecinały jasne smugi. Czarne włosy były rozsypane bezładnie na poduszce. Wyciągnęła ku niemu ramiona, a on w nie wpadł.

Potem szepnęła:

— Opiekuj się Achonem.

— Obiecuję — odparł.

Jednocześnie wciąż czuł czyjąś obecność w pokoju, jakby ktoś stał obok i przyglądał się. Ale komnata była pusta.

A kiedy ponownie spojrzął na swoją żonę, krzyknął. Pod nim leżała kobieta o jaśniejszych włosach i pełniejszym biuście, z szaleństwem w oczach. Mówiła coś do niego, ale nic rozumiał słów. Wskoczył z łóżka.

Nastąpiła nagła zamiana ról i teraz on był obserwatorem. Stał za plecami jakichś ludzi ubranych w dziwne stroje, z których jedy-

nym znanym elementem były hełmy. Domyślał się więc, że są żołnierzami. Nie rozumiał, co mówią. Czuł natomiast, że mężczyzna, który stał tuż przed nim, był człowiekiem, który obserwował go kochającego się z żoną.

Stali w jakimś pomieszczeniu, w którym były meble, jakich nigdy nie widział na oczy. Rozpoznał jedynie stół, za którym znajdowała się skrzynia pokazująca potworne obrazy. Jeden z żołnierzy ryknął i rzucił w skrzynię swoim hełmem. Skrzynia eksplodowała.

Sefian usiadł na łóżku w swoim mieszkaniu, dysząc ciężko. Spojrzał w okno i ze zdumieniem zauważył, że zapadł zmrok.

— Ojczy? — dobiegł go głos z pokoju obok.

— Tutaj, synu — odparł.

Po chwili w drzwiach komnaty stanął wysoki jak na swój wiek dwunastolatek.

Ma oczy i włosy swojej maiki, pomyślał Sefian.

— Znów miałeś ten koszmar? — zapytał Achon, widząc krople potu na czole ojca.

— Tak.

Którejś nocy Achon usłyszał, jak ojciec krzyknął przez sen. Poszedł do sypialni i zastał Sefiana siedzącego na łóżku, zupełnie jak w tej chwili, z szeroko otwartymi oczami i zlanego potem. Achon był bardziej inteligentny i rozwinięty od większości swoich rówieśników, ale Sefian nie chciał mu opowiadać swojego snu. Nie mógł. Poprzestał na stwierdzeniu, że czasem, od śmierci mamy, śnią mu się koszmary. Chłopiec zaakceptował to i nigdy nie pytał, o czym śni ojciec.

— Musimy porozmawiać — powiedział Sefian.

Usiedli przy stole w jadalni.

— Wybierasz się w podróż — oznajmił chłopiec, nim Sefian zdołał otworzyć usta.

— Skąd wiesz?

Achon wzruszył ramionami.

— Po prostu wiem.

— Czy ktoś ci powiedział?

— Nie.

Sefian westchnął.

— Tak. wybieram się w podróż.

— I nie możesz mi powiedzieć dokąd.

Kapłan pokręcił głową.

— Ani zabrać mnie ze sobą.

Kolejny przeczący ruch głowy.

— Długo cię nie będzie?

— Nie wiem. Postaram się wrócić jak najszybciej.

— Czyli długo.

— Zostaniesz pod opieką kapłanów do czasu mojego powrotu.

Chodź.

Wyszli z domu. ojciec i syn, ramię w ramię. Sefian objął syna. Rzadko pozwalał sobie na takie okazywanie uczuć. Oczywiście, kochał chłopca, ale zbyt przypominał matkę. Ilekroć spoglądał na syna. widział w jego oczach swoją zmarłą żonę. To sprawiało ból, który musiał w sobie tłumić, a w konsekwencji stłumił również inne uczucia. Lecz Achon był jego synem i Sefian go kochał. Miał nadzieję, że przez takie drobne gesty chłopiec o tym nie zapomni.

Mrok dyskretnie wlewał się na ulice miasta, wydłużając cienie i ochładzając powietrze. Zapalały się pierwsze pochodnie. Ich migotliwy blask tworzył niezwykle, ogniste mozaiki na starych murach, wcale nie rozpraszając nadchodzącej ciemności, a jedynie ją podkreślając.

Nocą Świątynia zdawała się sięgać nieba. W oczach Achona tak właśnie było, gdyż światło pochodni płonących przy wejściu i blask dochodzący z okien kilku komnat nie pozwalały dojrzeć szczytu budowli.

Przy drzwiach obok milczących i nieruchomych strażników czekał na nich Daikan. zastępca Merukesa. Gdy podeszli, odwrócił się bez słowa i zniknął wewnątrz Świątyni.

Achon, przekraczając próg, spojrzał w kamienne oczy posągu Horusa i zamarł. Przeszedł go dreszcz. Zdawało mu się, że bóg przewierca go spojrzeniem na wylot, zagląda w najciemniejsze zakamarki jego duszy. Przed nim nie było żadnych tajemnic. Potem, usatysfakcjonowany. Horus odwrócił swą uwagę ku innym sprawom, uwalniając Achona z oków swojej mocy. Przez chwilę chło-

piec bał się, że ugną się pod nim nogi i po prostu zemdleje. Zadrżał, a potem skarcił się sam za takie myśli.

Przecież to tylko posąg.

Rozejrzył się, ale nie dostrzegł ojca ani Daikana. W głąb Świątyni prowadziły tylko jedne drzwi i Achon puścił się pędem ku nim. Strażnicy stojący przed posągiem Horusa nawet nie drgnęli.

Achon wskoczył na schody i ujrzał ojca znikającego w ostatnich drzwiach po prawej stronie korytarza. Pobiegł i po chwili stanął w progu bogato urządzonej komnaty. Za ustawionym na jej środku stołem siedział podeszły wiekiem mężczyzna, którego szyję zdobił nefrytowy naszyjnik. Achon rozpoznał w nim Merukesa, arcykapłana Świątyni Horusa. Sefian stał o krok od stołu.

— Witaj, chłopcze — powiedział, uśmiechając się, Merukes. Sefian spojrzał przez ramię na syna. Jego wzrok wyrażał przyganę za opieszałość i niestosowne zachowanie. Achon niemal słyszał, jak ojciec go ruga: w Świątyni się nie biega. Chłopiec znów poczuł dreszcze, ale nie sprawił ich gniew Sefiana, lecz uśmiech arcykapłana. Tak mógłby się uśmiechać lew do antylopy, nim ją zabije i pożre.

— Wejdz, proszę — rzekł Merukes, zapraszając chłopca gestem. Achon postąpił kilka kroków, stanął przy ojcu i pokłonił się arcykapłanowi. Gdy podniósł głowę, Merukes wciąż się uśmiechał, ale tym razem był to uśmiech pełen samozadowolenia, pychy i dumy. To nie wróżyło nic dobrego.

— Wiesz, dlaczego tu jesteś?

— Tak, panie — wymamrotał Achon.

Merukes kontynuował, jakby go nie słyszał:

— Twój ojciec wybiera się do stolicy. Ponieważ twoja matka nie żyje, na czas jego nieobecności zostałeś powierzony pieczy Świątyni.

To stwierdzenie miało zabołeć i zaboląło. Sefiana — ponieważ przywołało wspomnienia. Achona — gdyż przypomniało mu, że jest pólsierotą i gdyby ojcu coś się stało, stałby się własnością Świątyni. Poniżenie było karą za urządzenie sobie zabaw w Domu Horusa. Chłopiec pokornie spuścił wzrok, natomiast Sefian starał się ze wszystkich sił zapanować nad ogarniającą go złością. Zda-

wało się, że Merukes nie zwrócił na to uwagi zajęty napawaniem się poczuciem wyższości.

— Zostaniesz tu do powrotu ojca — powtórzył arcykapłan, po czym podniósł się z krzesła.

— Sefianie.

— Idę, panie.

Merukes wyszedł, pozostawiając ojca i syna samych w komnacie.

— Bądź grzeczny — powiedział Sefian, tuląc syna.

— Będę.

— I nie bierz sobie do serca słów Merukesa. Nie zamierzał cię urazić.

To było kłamstwo i obaj o tym wiedzieli.

— Wiem.

Kolejne kłamstwo.

— Uważaj na siebie, ojcze.

— Wróć, nim zdążysz się zorientować, że mnie nie ma — powiedział Sefian, odsuwając się od syna na odległość wyciągniętych ramion. Uśmiechnął się jednym z tych swoich gorzkich półuśmiechów. Achon odpowiedział mu swoim, szczerym, choć smutnym uśmiechem odziedziczonym po matce. Po chwili już stał na środku komnaty zupełnie sam. Ogarnęło go poczucie straty. Zbliżała się katastrofa, a on nie mógł nic na to poradzić. Nagle uświadomił sobie, że może już nigdy nie zobaczyć ojca i łzy stanęły mu w oczach.

Sefian, idąc za Merukesem krętymi korytarzami ciągnącymi się pod Świątynią, podążał ku swemu przeznaczeniu.

Jego myśli zaprzętały Achon i arcykapłan. Nie dało się ukryć, że z wiekiem Merukes jest coraz bardziej... małostkowy? Tak. to chyba dobre słowo. Sposób, w jaki potraktował chłopca, nie przystoi człowiekowi pełniącemu funkcję Strażnika Bytu. Była to jednorazowa demonstracja władzy i potęgi, czy syndrom jakichś głębszych zmian? Sefian podejrzewał, że to drugie. Widywał już wcześniej Merukesa tak wściekłego, że jego gniew kruszył mury. ale pierwszy raz był świadkiem czystej satysfakcji płynącej z po-

nizenia innego człowieka. Sefian obawiał się, że mogą to być pierwsze oznaki utraty pełni władz umysłowych Merukesa. Jeśli rzeczywiście tak było, to dobrze, że Rydwan opuszcza Świątynię.

Pierwszy raz w historii zdarzyło się, że Świątynią kieruje człowiek, który zdaje się tracić rozum. Czy to możliwe, aby tylko Sefian to zauważył? A może Merukesowi pozwolono zachować stanowisko ze względu na rychłą potrzebę ukrycia Rydwanu? Była też trzecia możliwość, najbardziej niepokojąca. Zakładała, że arcykapłan jest zbyt potężny i przebiegły, aby dać się usunąć. Ale wkrótce Rydwan zniknie, a wraz z nim świetność tej Świątyni i władza Merukesa.

Czego nie dostrzegam?

Schodzili coraz niżej, aż znaleźli się w ogromnej jaskini wydrążonej w litej skale. Dwa rzędy bogato rzeźbionych kolumn dzieliły grocie na trzy nawy, z których środkowa była najszersza. Płonące pochodnie, tkwiące w pierścieniach rozmieszczonych wzdłuż ścian, rozświetlały pomieszczenie. Sefian nigdy wcześniej tu nie był.

Pośrodku jaskini stał kolejny posąg Horusa. Był wyższy od swojego odpowiednika w głównej sali Świątyni, a jego wzrok nie spoczywał na każdym, kto znajdzie się w jaskini. Ten Horus spoglądał wprost przed siebie, zapatrzony w nieskończoność, może w pustkę. Posąg był tak doskonały, że niemal żywy. Wydawało się, że w każdej chwili może zejść z piedestału i podążyć tam, dokąd sięgał jego wzrok.

W złożonych dłoniach posągu tkwiła sporych rozmiarów kula. Prawdziwy Rydwan Bogów zwany leż Okiem Horusa lub Okiem Seta, w zależności od tego, po której stronie stał człowiek dokonujący opisu. Na dwóch rzędach kolumn spisano historię tego potężnego artefaktu.

Merukes zatrzymał się w połowie drogi i zdjął swój naszyjnik. Wyjął z niego złotego skarabeusza, nieco większego niż ten, który tkwił w naszyjniku Sefiana, po czym wsunął go w pasujące kształtem wgłębienie w jednej z kolumn. Figurka zniknęła całkiem we wnętrzu podpory. Zza ścian dał się słyszeć szum wody, a potem stukoty i zgrzyty starego mechanizmu wprawionego w ruch.

Coś szczęknęło i posąg Horusa zaczął się zapadać pod posadzkę. Kiedy się zatrzymał, złożone dłonie rzeźby zwrócone były w stronę Merukesa. Jakby bóg podawał Rydwan arcykapłanowi. Jednocześnie dwoje kamiennych oczu, wielkich jak pięści, spoglądało znad zakrzywionego dzioba już nie gdzieś w dal, ale wprost w oczy starego kapłana. Komuś nieprzygotowanemu to spojrzenie mogło wypalić dziurę w duszy, ale znajdującym się w jaskini mężczyznom nic nie groziło.

Merukes podszedł, wyjął kulę z rąk posągu i wręczył ją Sefianowi.

Kula była duża, ledwo mieściła się w dłoni, i ciężka. Nikt nie wiedział, z czego jest zbudowana. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to marmur wypolerowany tak dokładnie, że można się było w nim przejrzeć, lecz z pewnością nie był to marmur. Gdy Rydwan był aktywny, na jego powierzchni tańczyły złote symbole różnej wielkości. Pojawiały się i znikwały tak szybko, że nie można było dokładnie im się przyjrzeć. I znów nikt nie potrafił powiedzieć, co oznaczały. Może było to jakieś dawno zapomniane pismo, a może coś zupełnie innego.

Sefian spojrział na kulę i zobaczył swoją zniekształconą głowę.

Igramy z siłami, których nie rozumiemy.

Nie po raz pierwszy pojawiła się u niego ta myśl.

— Nie używaj go — przestrzegł Merukes. — Nigdy go nie używaj.

— Nie mam zamiaru — odparł zgodnie z prawdą Sefian.

Opuścili podziemia Świątyni.

— Wszystko zostało już przygotowane — powiedział Daikan, prowadząc Sefiana do świątynnych stajni. — Wielbłądy czekają, łódź też.

— Łódź?

— Tak. Dziś część drogi pokonasz rzeką. Potem będziesz zdany tylko na siebie. Musisz się przebrać.

Znaleźli się w stajniach. Dwa wielbłądy ponuro spoglądały ze swoich boksów na intruzów.

Sefian szybko zamienił kapłańskie szaty na chłopską odzież,

łańcuch zaś schował do sakwy, w której ukryty był Rydwan Bogów.

— Mogę go dla ciebie przechować — zaoferował się Daikan.

— Nie.

Daikan skinął głową, po czym razem z Sefianem wyprowadzili oba wielbłądy ze stajni i objuczyli je. Sakwa natychmiast znalazła się w jednym z juków.

— Masz tu wszystko, co będzie ci potrzebne w czasie podróży. Żywność, wodę, futra, nawet piwo i kilka mikstur przygotowanych przez Merukesa.

— Co z resztą? — zapytał Sefian, mając na myśli pozostałych ośmiu kapłanów Świątyni.

— Nic wiedzą nic o twoim zadaniu. Mimo to bądź ostrożny. I uważaj na szpiegów.

— Jakich szpiegów?

— Zwierzęta — odparł Daikan. — Ptaki, skorpiony, węże... Set ma wiele oczu.

Sefian skinął głową i przywiązał wielbłąda obładowanego bagażami do siodła zwierzęcia, na którym miał jechać. Uścisnął Daikana i ruszył do wyjścia, prowadząc za sobą oba wielbłądy.

— Uważaj na siebie — zdążył jeszcze powiedzieć Daikan. nim Sefian wtopił się w mrok pograżonego we śnie miasta.

Merukes obserwował początek podróży Sefiana z okna swojej komnaty. Kościstym ramieniem obejmował drżącego chłopca.

Łódź kołysała się łagodnie pchana naprzód prądem Nilu i wiatrem. Wielbłądy leżały spokojnie na pokładzie, przeżuając późną kolację. Sefian stał na dziobie, obserwując rzekę i jej brzegi. Zdało mu się, że dostrzegł kilka sylwetek krokodyli, ale było zbyt ciemno, aby mógł być tego pewny. Wkrótce wszędzie księżyc, a wtedy kapitan łodzi przybije do brzegu i Sefian rozpocznie drugi etap podróży.

Światła Behdet już dawno zniknęły za horyzontem. Sefian przez chwilę zastanawiał się, czy Achon już śpi i czy śnią mu się jakieś dobre sny, ale po chwili porzucił te myśli jako nieprowadzące do niczego. Miał zadanie do wykonania i nie mógł sobie pozwolić na

rozkojarzenie.

Wciąż dręczył go jakiś nieokreślony niepokój. Nie potrafił zlokalizować jego źródła, lecz był tam, zwinięty w żołądku niczym wąż czekający na dogodny moment, aby opleść i udusić swoją ofiarę. A może to tylko wyolbrzymiony strach wywołany odpowiedzialnością, jaką niosła ze sobą jego misja? Bo przecież co mogło pójść źle? Czekало go kilka tygodni wędrówki przez pustynię, aby dostarczyć Rydwan faraonowi. Ci, którzy wiedzieli o tym zadaniu, byli godni zaufania, ponieważ to właśnie oni powierzyli mu tę misję.

Ale było coś jeszcze, coś związanego z Achonem... i Meruksem. Zawsze, gdy myśli zaczynały krążyć wokół któregoś z nich, niepokój Sefiana rósł. Dlaczego?

Kapitan przerwał jego rozmyślenia.

— Wkrótce wzejdzie księżyc, panie.

— Dziękuję. Proszę mnie wysadzić na prawym brzegu.

— Oczywiście — kapitan uklonił się i odszedł.

Po kilku minutach zza wydm wyłonił się księżyc. Zwinięto żagiel i spuszczoneo trap. Sefian zszedł z pokładu i, nie oglądając się, dosiadł pierwszego wielbłąda. Spojrzał na gwiazdy i skierował się na północny wschód, pozostawiając za sobą rzekę. Wkrótce miał dotrzeć na szlak, który za około trzy dni doprowadzi go do oazy.

ROZDZIAŁ 4

Kazimierz Dolny. Irak. Warszawa

Ranek przyniósł ze sobą ołowiane chmury, które, nadciągając niczym armia przygotowująca się do bitwy, zajęły całe niebo i przysłoniły słońce. Najpierw zrzuciły na miasto oddział zwiadowców — wielkie ciężkie krople wody rozbryzgiwały się na dachach domów i ulicach. Wkrótce polem rozpoczął się szturm głównych sił i na Kazimierz spadła ulewa.

Dla profesora Orańczaka uderzenie deszczu było jak smagnięcie biczem po twarzy, gdy wysiadł z samochodu i szybkim krokiem ruszył ku klasztornej bramie, kuląc się pod wściekłymi atakami nawałnicy. Zaklął pod nosem, kiedy, minąwszy łuk bramy, zobaczył zaparkowane na rozległym dziedzińcu samochody.

Niemal wbiegł na kryte schody prowadzące do klasztoru. Zatrzymał się na pierwszych stopniach, zdjął mokrą letnią kurtkę, przeklinając deszcz, przeczesał dłonią włosy i ruszył dalej.

Profesor najlepsze lata miał już za sobą i pokonanie sześćdziesięciu drewnianych stopni wywołało u niego zadyszkę i łomotanie serca. U szczytu schodów musiał przystanąć na chwilę, aby uspokoić oddech i pozbyć się nieprzyjemnego pulsowania w uszach.

Zatrzymał mijającego go franciszkanina i zapytał, gdzie może znaleźć gwardiana. Wskazówki zakonnika zaprowadziły profesora wprost pod drzwi gabinetu.

Orańczak zapukał, a usłyszawszy suche „proszę”, otworzył drzwi.

Gabinet był urządzone skromnie. Wszystko w nim było stare. Duże biurko ustawione naprzeciwko okna, szafy i regały, szczelnie wypełniające ściany, święte obrazy i mężczyzna siedzący za biurkiem. Zasuszony, mały człowiek, który wbijał igły swego spojrzenia w niemilego, acz oczekiwanego gościa. Jedynym obiektem, który zdawał się nie być starszy od gwardiana, był komputer znajdujący się na stojącym w kącie pomieszczenia drugim biurku. Nad meblem wisiał sporych rozmiarów krzyż. Wszystko to profesor ogarnął jednym spojrzeniem.

Dla sędziwego gwardiana używanie komputera musi być prawdziwą karą za grzechy, pomyślał archeolog. Mylił się. Staruszek doskonale radził sobie z obsługą nowoczesnego urządzenia.

— Nazywam się Antoni Orańczak — przedstawił się profesor, podchodząc do biurka.

— Wiem, kim pan jest — głos Bogusława Prokopowicza, gwardiana klasztoru ojców reformatów, był szorstki i zimny niczym mury klasztoru. — Dotarło do mnie to — dodał, wskazując leżącą wśród innych papierów kopertę.

Gwardian nie zaproponował Orańczakowi, aby usiadł, toteż profesor stał obok krzesła z wysokim oparciem.

Archeolog kiwnął głową. Wiedział, że w kopercie znajduje się decyzja prowincjała odnośnie prowadzenia prac badawczych na ziemiach klasztornych.

— Niech pan usiądzie — rzekł w końcu Prokopowicz, biorąc

kopertę do ręki. — Czy wic pan, ile ten klasztor ma lat?

— Tak.

— Do Kazimierza sprowadziła nas w 1626 roku rodzina Firlejów — zaczął gwardian, jakby nic słyszał odpowiedzi. — Budowa tego klasztoru trwała od 1639 do 1668 roku. Wyspa, którą chce pan przekopać, została nam podarowana w 1627 roku i służyła za miejsce pochówku pierwszych przybyłych tu braci. Małą murowaną kaplicę bracia franciszkanie postawili w miejscu, gdzie dawniej oddawano cześć pogańskim bożkom. Utrzymywaliśmy tę kaplicę w dobrym stanie aż do XIX wieku. Ponoć kiedyś, jeszcze zanim chrześcijaństwo dotarło do Polski, tam gdzie dziś rozciąga się jezioro, była osada. Ale to już pan lepiej wie.

— Owszem, na dnie jeziora odkryto ślady dawnej zabudowy — przytaknął Orańczak.

— Wie pan, nie chodzi o samą kaplicę — podjął ojciec Prokopowicz. — Ona nie nadaje się już do renowacji. Chodzi o groby naszych braci. Nie chcemy, aby zakłócano im spokój.

— Nie mamy takiego zamiaru — wtrącił profesor. Zdecydował się wyjawić gwardianowi prawdziwy powód zainteresowania wyspą. — Nie o groby franciszkanów nam chodzi, nawet nie o kaplicę, tylko o to, skąd wzięło się tam to, co znalazł pewien chłopiec i czy oprócz tego jest tam coś więcej.

— O czym pan mówi? — gwardian był zbity z tropu. — Na wyspie jest tylko ta świątynia i groby moich współbraci.

— Mówię o złotym skarabeuszu, którego znalazł tutejszy chłopiec. Niech ojciec o tym pomyśli. Złoty skarabeusz pochodzący mniej więcej z okresu pierwszej dynastii, prawie dwa i pół tysiąca kilometrów od Egiptu.

Duchowny osłupiał. Gdy w końcu odzyskał władzę nad głosem, zapytał:

— Czemu nic o tym nie wiem?

— Staraliśmy się utrzymać sprawę w tajemnicy. Zależało nam, żeby nie robić niepotrzebnej sensacji, dopóki nie będziemy całkowicie pewni. Dopiero niedawno udało się potwierdzić wiek i autentyczność znaleziska. Nie mamy pojęcia, skąd mógł się wziąć na wyspie, w środku Polski, dlatego chcemy rozpocząć wykopaliska.

Może dowiemy się czegoś więcej.

— Czy to możliwe, że ktoś po prostu tego skarabeusza zgubił? Jakiś turysta może podczas wycieczki... — Prokopowicz stracił resztki rezonu.

— Nie — odparł Orańczak. — Przeleżał w ziemi tysiące lat. Poza tym nikt nie zabiera tak cennych rzeczy do kieszeni, gdy się wybiera na wycieczkę. Moim zdaniem został wypłukany z ziemi. Być może ostatnia powódź zniosła warstwę gruntu kryjącą skarabeusza, a reszty dokonały deszcze.

— Rozumiem — mruknął gwardian klasztoru reformatów, choć jego mina świadczyła o czymś zgoła przeciwnym. — Zresztą, wobec oficjalnego pozwolenia prowincjała mam związane ręce. Ale bardzo pana proszę, zostawcie ciała naszych braci w spokoju.

— Oczywiście — przyrzekł archeolog.

— Dlaczego nazwałeś swojego psa Adi? — zapytała Iza.

Po południu deszcz przestał padać, choć chmury nie ustąpiły i słońce nie mogło się przedrzeć przez ich gęstą pokrywę. Andrzej i Iza przechadzali się wzdłuż brzegu Wisły, Adi zaś grzecznie szedł przy nodze swojego pana. Trawa lśniła pod stopami spacerującej pary. na pamiątkę niedawnej ulewy.

Ranek Andrzej spędził w filii swojego zakładu ubezpieczeniowego, załatwiając formalności związane z odszkodowaniem i naprawą clio. Teraz największym jego zmartwieniem było oczekiwanie na samochód, który miał być gotowy w ciągu tygodnia.

Potem spotkał się z Izą znów w „Zielonej Tawernie”. Przeczekali tam ulewę i wybrali się na spacer.

— Adi to fetyszysta — zaśmiał się Andrzej. — Gdy go przywiozłem do domu jako szczeniaka, pierwsze co zrobił, to schował się za moimi adidasami i za nic nie chciał zza nich wyleźć. Co go wyciągałem, zaraz dreptał z powrotem. W końcu więc położyłem je na kocyku, który wcześniej dla niego przygotowałem, oddając je tym samym we władanie psa. Wiesz, on nadal lubi spać koło moich butów. Tylko że teraz już do nich nie sika.

Iza się roześmiała. Wydawała się być zawsze wesółą, wręcz beztroską. Wysoka i smukła niczym gałązka wierzbowy, w ciem-

noniebieskich džinsach i białym golfie, pod którym odznaczały się małe sterczące piersi, z blond czupryną, którą bawił się wiosenny wiatr, sprawiała, że Andrzejowi serce biło żywiej. Prawie już nie pamiętał tego uczucia. Tu, w Kazimierzu, czuł się jak nowo narodzony, jakby wszystkie troski i zmartwienia pozostawił w Krakowie. Miał nadzieję, że zostały tam również jego demony. Urlop zapowiadał się znakomicie i miał szansę na pierwsze miejsce w rankingu urlopów Andrzeja.

— Chodźmy gdzieś na kawę — zaproponowała Iza.

Poszli na rynek. Usiedli w jednym z dopiero co otwartych ogródków piwnych i poprosili o dwie kawy i miseczkę z wodą dla psa. Adi leżał pod stołem z wywieszonym językiem i sapał.

— Opowiedz mi coś o życiu fotoreportera znanego magazynu — poprosiła dziewczyna, opierając łokcie na drewnianym blacie stołu i wychylając się lekko do przodu. W tej pozie przywodziła Andrzejowi na myśl dziecko, które z błyskiem w oku oczekuje na opowieści o dalekich krajach.

— Zapomniałaś, że jestem na urlopie. Praca została w Krakowie. Poza tym ja wciąż nie wiem prawie nic o tobie.

— A o czym tu mówić... Mieszkam w Radomiu, jestem rozwódką.

— Mamy ze sobą coś wspólnego. Ja jestem kawalerem z odzysku.

Iza znów się roześmiała, a Andrzej odkrył, że lubi ją rozśmiać.

— Kim jest twoja była żona?

Andrzej nie odpowiedział od razu. Po pierwsze dlatego, że nie lubił o tym mówić, a po drugie — ponieważ miał ogromną ochotę powiedzieć Izie, a było to uczucie całkowicie mu obce.

— Była artystką — rzekł w końcu, siłąc się na obojętny ton głosu. — Malowała, próbowała też trochę pisać, choć z marnym skutkiem.

— Była? — podchwyciła Iza.

— Trzy lata temu wzięliśmy rozwód. Rok później zmarła.

— Przepraszam... Nie chciałam...

— Nic nie szkodzi. Poza tym zostawiła mi Adiego.

— Dużo dla ciebie znaczyła, prawda?

— Tak.

Na chwilę zapadło między nimi milczenie. Obydwoje zapatrzyli się w swoje filizanki, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W końcu znów odezwał się Andrzej.

— Patrz. Wciąż mówimy o mnie. Strasznie jesteś tajemnicza.

— Nic. Po prostu ciekawska. Lubię słuchać ludzi. I ciekawi mnie, jak wygląda życie fotoreportera.

— Jest pełne niespodzianek...

Demony Andrzeja wcale nie zostały w Krakowie. Nie pozwoliły się zamknąć w pudełku z nieprzyjemnymi wspomnieniami, przyczaiły się tylko w kącie jego umysłu, być może nawet zasnęły. A teraz się budziły.

Nie, proszę. Nie tu, nie teraz...

Kolejny pocisk eksplodował jeszcze bliżej. Czołgając się wśród ruin. w palącym słońcu, Andrzej po raz kolejny zadał sobie pytanie:

Co ja tu, u licha, robię? Po czym sam sobie odpowiedział:

Zbierasz materiały, zbierasz materiały, zbierasz materiały... Teren wokół przypominał pogorzelnisko. Na ulicy i na poboczach dogorywały wypalone szkielety samochodów, niektóre pozbawione okien budynki płonęły. Wykrzykiwane rozkazy ginęły wśród terkotu broni maszynowej i kolejnych wybuchów granatów. Małe miasteczko na wschód od Tikritu, rodzinnego miasta Saddama Husajna, stawiało zaciekły opór żołnierzom koalicji. A miało być spokojnie...

Andrzej nie szukał Husajna. Amerykanie znaleźli go wcześniej i przetrzymywali Bóg jeden wie gdzie. Niektórzy twierdzili, że iracki przywódca wciąż jest na terenie kraju, inni, że został już dawno wywieziony do Stanów Zjednoczonych.

Andrzej przyjechał z reporterem „Explorera”, Karolem Marszałkiem, który z kolei uległ namowom swojego przewodnika, twierdzącego, że jest tu zupełnie bezpiecznie. Jak większość reporterów, Andrzej niechętnie korzystał z żołnierskiej „opieki”. Konwoje wojskowe coraz częściej stawały się celem ataków irackich bo-

jówek, a sama obecność żołnierzy bardziej przeszkadzała, niż pomagała w nawiązaniu kontaktów z ludnością.

Karol miał zamiar spotkać się tu z jednym z dowódców bojówek Mustafy Al-Sadra. Chciał przeprowadzić z nim wywiad, poznać i opisać ludzi, których media całego świata uznały za terrorystów. Ich przewodnik znał odpowiednich ludzi i obiecał zaaranżować spotkanie, które miało się odbyć właśnie tego dnia. Bojówkarz z góry zastrzegł, że nie zgodzi się na żadne zdjęcia, tak więc Andrzej snuł się po ulicach miasta, fotografując kupców, którzy rozłożyli stragany na targowisku. Później miał się spotkać z Karolem w umówionym miejscu.

Przypadkiem znalazł się w centrum działań zbrojnych. Stał na chodniku, robiąc zdjęcia, gdy nagle wokół niego rozległy się strzały. Skamieniał ze strachu, potem ktoś go pociągnął na ziemię i dosłownie zawlókł za róg jakiegoś budynku. Tam dopiero Andrzej zobaczył, że jego wybawca należy do oddziału amerykańskiej piechoty. Rozejrzał się i dostrzegł innych żołnierzy ostrzeliwujących cel pozostający poza zasięgiem jego wzroku.

Ponad dachami przemknęły dwa bojowe Apache'e, odpaliły po kilka rakiet, wykonały zwrot i zniknęły. Strzały ucichły, lecz po chwili grad kul ponownie zasypał pozycje Amerykanów.

Andrzej skulił się pod ścianą. Żołnierze przestali się nim interesować. W końcu przezwyciężył strach, jak wiele razy wcześniej, i wychylił się zza rogu. Kilka razy nacisnął spust migawki i zaraz się cofnął. Na karcie pamięci udało mu się utrwalić irackiego nastolatka mierzącego z AK-47. Chłopak zginął tego samego dnia. Zdjęcie nigdy nie zostało opublikowane.

Dowódca oddziału podbiegł do Andrzeja. Zaczął krzyczeć, a Andrzej zrozumiał tyle, że nie chcieli, aby robił zdjęcia. Powody mogły być dwa. Albo niechący bierze udział w jednej z tajnych operacji wymierzonych przeciwko ludziom, z którymi chciał się spotkać Karol, albo też w walkach nie liczone się z ludnością cywilną, o czym świat niekoniecznie musiał wiedzieć. Amerykańska propaganda wciąż mówiła o precyzyjnych atakach na wzór chirurgicznych cięć. A może obydwie powody były jednakowo ważne?

Dowódca oddziału wyrwał Andrzejowi aparat fotograficzny.

— Chodź ze mną — powiedział po angielsku i pociągnął go w stronę stojącego nieco dalej wozu opancerzonego, który Pełnił funkcję centrum dowodzenia. Wokół roilo się od amerykańskich żołnierzy.

— Zostań tu — rzekł dowódca, przez chwilę rozmawiał z pozostałymi żołnierzami, po czym pobiegł z powrotem.

Żołnierze nie spuszczaali Andrzeja z oczu. Nagle gdzieś blisko nastąpiła eksplozja. Potem druga. Ktoś ostrzeliwał wóz bojowy z granatnika. Po pierwszym wybuchu Andrzej rzucił się na ziemię. Po drugim — zrezygnował z szukania schronienia w pojeździe. Trzeci pocisk wybuchł tak blisko, że Andrzejowi zadzwoniło w uszach. Zaczął się czołgać jak najdalej od wozu. aż trafił na niski, zrujnowany murek. Schował się za nim, próbując się uspokoić. Po chwili prowizoryczną barykadę przesadziło dwóch Amerykanów. Przykucnęli koło Andrzeja, oparli o murek lufy karabinów i zaczęli strzelać.

Stawicki był przerażony. Mimo to przez myśl przemknęło mu, że powinien poświęcić tym wydarzeniom osobny artykuł. O ile przeżyje.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła ziemią. Huk był ogłuszający. Ktoś krzyknął *Allahu Akbar!*. Transporter opancerzony był już tylko masą dymiącej, poskręcanej stali. Pocisk wpadł do środka przez otwarty tylny właz i rozerwał pojazd.

Ponad murkiem, za którym schronił się Andrzej i dwaj amerykańscy żołnierze, ponownie przeleciały Apache'e. Rozległ się terkot działka maszynowego, a potem wszystko ucichło.

Wśród ciszy, która zapanowała nad miastem, Andrzej słyszał tylko bicie własnego serca.

Nagle wokół murka zrobiło się tłoczno. Zebrał się cały oddział. Żołnierze wyglądali na zadowolonych z siebie. Nikt nie został ranny, nikt nie zginął, stracili jedynie środek transportu, ale w pobliżu znajdowały się inne oddziały. Miasto było okrążone. Oficer dowodzący akcją wydał swoim podwładnym nowe rozkazy i żołnierze się rozbiegli.

Amerykanin spojrział z góry na wciąż tulącego się do cegieł Andrzeja i powiedział:

— Trzymaj się blisko, jeśli chcesz z tego wyjść cało.

Andrzej powoli wstał, rozejrzał się i pospieszył za dowódcą, który prowadził oddział w stronę centrum.

Posuwali się ostrożnie ulicami miasta. Nigdzie nie było widać ani żywej duszy, lecz w każdej chwili spodziewali się nowej napaści. Słońce piekło niemiłosiernie i żołnierze pocili się pod swoimi hełmami i kamizelkami kuloodpornymi. Andrzej, choć nie miał na sobie ani hełmu, ani kamizelki, pocił się również. Głównie ze strachu.

Miasto wyglądało jak wymarłe. Minęli już strefę bezpośrednich walk i krajobraz nieco się zmienił. Budynki miały szyby w oknach, a na poboczach stały niezniszczone samochody, choć z powodzeniem mogły robić za reklamę złomowiska. Stare i przedziewałe w wielu miejscach, nadal były na chodzie i służyły swym właścicielom jako środek transportu. Zawodny, ale jednak. Oddział przechodził obok opuszczonych straganów, na których wciąż leżały owoce i warzywa. Mieszkańcy pochowali się w swych mieszkaniach. Nic chcieli się narażać, przynajmniej dopóki jedna ze stron nie przejmie kontroli nad miastem.

Jeden z wysłanych na zwiad żołnierzy złożył meldunek przez radio.

— Zbliżamy się do celu.

— A inni?

— Są już na miejscu.

— Doskonale. Wracaj na pozycję.

— Tak jest.

Zbliżamy się do celu? Jakiego celu?

Wciąż się bał. ale najgorsze, jego zdaniem, już minęło. Zapanował nad swoim strachem. Pojawiła się zawodowa ciekawość. W końcu był fotoreporterem.

— Powie mi pan. o co chodzi? — zapytał Andrzej oficera.

— Ścisłe tajne — mruknął żołnierz.

— Niech pan da spokój. Już i tak siedzę w tym po uszy. Przecież mnie nie zamkniecie.

Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kogoś szukacie?

Brak odpowiedzi.

— Ukrywa się tu ktoś z talii kart? — nie poddawał się Andrzej. Tym razem doczekał się reakcji.

— Zamknij się wreszcie, człowieku — warknął żołnierz.

A więc zgadłem.

Dotarli do skrzyżowania w kształcie litery T. Dokładnie naprzeciwko ulicy stanowiącej jej pionową nóżkę, znajdowała się duża, czteropiętrowa kamienica. Była otoczona.

Do oficera, w którego oddziale tak niespodziewanie znalazł się Andrzej, podbiegł żołnierz i złożył meldunek. Wyglądało to tak, jakby wszyscy czekali właśnie na tego jednego człowieka. Andrzej zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem dowódca oddziału nie jest oficerem wywiadu.

Grupa żołnierzy rozbiegła się na wszystkie strony. Przed drzwiami budynku został tylko oficer, kilku jego podwładnych i Andrzej. Dowódca najwyraźniej zastanawiał się, co z nim zrobić. W końcu zdecydował się pozostawić reportera pod opieką żołnierzy pilnujących budynku, a sam ze swoimi ludźmi wszedł do środka.

Gdy rozpętało się piekło, dwójka żołnierzy właśnie eskortowała Andrzeja w bezpieczne miejsce. W bocznej uliczce nieopodal kamienicy stały cztery hummery i ciężarówka, którą przyjechali żołnierze pozostający w odwodzie.

Atak nastąpił z dwóch stron. W uliczkę wtargnęły cztery toyoty wyładowane uzbrojonymi po zęby i strzelającymi na oślep Irakijczykami. Andrzej rzucił się do ucieczki, cudem unikając postrzeżenia. Nagle znów znalazł się na skrzyżowaniu, skręcił w lewo i zatrzymał się przed wejściem do kamienicy, do której wcześniej weszli żołnierze. Bez zbędnego namysłu pchnął drzwi i wbiegł do środka.

Wnętrze było chłodne i pogrążone w półmroku. Odgłosy strzelaniny dochodziły przytłumione, choć walki toczyły się zaledwie kilkadziesiąt metrów od budynku.

Hol był pusty. Żołnierze, którzy tu weszli, mieli inne zadanie do wykonania i nie zwracali uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz.

Andrzej wskoczył na schody i pokonując po dwa stopnie na raz.

wbiegł na pierwsze piętro, potem drugie i trzecie. Tam usłyszał głosy. Dochodziły zza otwartych drzwi na końcu korytarza. Ruszył w tamtą stronę.

Po chwili zobaczył znajomego oficera i jego ludzi. Stali plecami do niego, półkolem, niczym zahipnotyzowani. Nikt się nie odzywał. Andrzej zrozumiał, że głosy, cienkie i piskliwe, które słyszał, dochodzą z telewizora.

Wtedy zobaczył to, co oglądali żołnierze. Przewrzenie i zgroza odebrały mu mowę i zdolność ruchów.

Jeden z szeregowców z rykiem rzucił w telewizor swoim hełmem. Kineskop eksplodował. Andrzej stał bez ruchu i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w resztki urządzenia, aż któryś z żołnierzy klepnął go delikatnie w ramię. Wyszli z pokoju.

Wtedy narodziły się demony, które nawiedzały go potem tak często w snach i na jawie.

•••

Trzydziestosześcioletni zakonnik wszedł do gabinetu prowincjała zakonu franciszkanów. Ubrany był cały na czarno, a ciemne okulary stanowiły dopełnienie tego stroju. W oczach prowincjała, który nosił na karku już siódmy krzyżyk, ten wysoki blondyn stojący przy drzwiach był młodzieniaszkiem.

— Podejdz, synu — powiedział dostojnik.

Tomasz Wysocki zbliżył się do biurka i nie czekając na dalszą zachętę, usiadł na niewygodnym krześle. Zdjął okulary, mrużąc powieki. Zdziwiło go to nagłe wezwanie, ale nawet nie próbował się domyślać, o co może chodzić. Cierpliwość była jedną z jego nielicznych zalet. Zdołał ją w sobie wykształcić podczas lat służby w Kościele i nie tylko. Teraz jednak ciekawość walczyła o lepsze z cierpliwością i Wysocki musiał użyć całej swej siły woli, żeby nie zasypać prowincjała pytaniami.

Tymczasem zwierzchnik klasztoru przez długą chwilę nie odzywał się, spoglądał jedynie w oczy młodego zakonnika; bladobłękitne, zdające się lśnić własnym blaskiem. Pomimo siedmiu lat współpracy, prowincjał nadal odczuwał jakiś irracjonalny niepokój, gdy Wysocki spoglądał na niego z niemym wyczekiwaniem, a jego oczy wierciły mu dziury w mózgu. Większość ludzi pod tym

spojrzeniem traciła nerwy i miała ochotę wykrzyzczyć swoje grzechy. W takich chwilach prowincjał cieszył się, że Wysocki jest jego człowiekiem do zadań specjalnych.

— Kontaktował się ze mną gwardian klasztoru franciszkanów w Kazimierzu Dolnym.

Wysocki uniósł brew. To była jedyna zewnętrzna oznaka jego zainteresowania.

— Jest zaniepokojony — ciągnął prowincjał. — Jakiś czas temu na wyspie należącej do klasztoru znaleziony został jakiś zabytek. Egipski skarabeusz, o ile się nie mylę.

— Egipski skarabeusz? — powtórzył Wysocki.

— Wiem jak to brzmi...

Wcale nie wiesz.

...ale widziałem zdjęcia. W każdym razie profesor Antoni Orańczak poprosił mnie o zgodę na przeprowadzenie wykopalisk, które mają na celu ustalenie, skąd ten skarabeusz się tam wziął i czy nie przyprowadził ze sobą rodzinki.

Wysocki uśmiechnął się lekko, ale czuł tylko pogardę, nie rozbawienie. Prowincjałowi wydawało się, że jest taki zabawny!

— Gwardian czuje się urażony, że nikt nie zapytał go o zdanie i że w ogóle o niczym nie miał pojęcia, postanowił więc nieco utrudnić życie profesorowi i jego ekipie. Zwrócił się do mnie z prośbą o przysłanie obserwatora, który miałby patrzeć im na ręce.

— A jaki jest oficjalny powód tej prośby?

— Oficjalny powód to obawa o doczesne szczątki współbraci pochowanych na wyspie. Profesorowi mogłoby przyjść do głowy, żeby zajrzeć do jednego czy dwóch grobów, a o tym gwardian nawet nie chce słyszeć.

— Zgodziłby się, gdyby Orańczak najpierw poszedł do niego, a potem dopiero zaangażował prowincjała?

— Kto wie? Być może, że tak. W każdym razie uznałem, że ty najbardziej się nadajesz do tej roli. Tu masz potrzebne dokumenty — prowincjał podał Wysockiemu kopertę. — Będziesz mnie o wszystkim informował.

— Oczywiście.

— Możesz odejść.

Wysocki skrył oczy za ciemnymi szklami i wyszedł z gabinetu. Kopertę otworzył dopiero, gdy usiadł za kierownicą swojego srebrnego volvo S60. Lubił myśleć o nim jako o „swoim” wozie, choć w gruncie rzeczy należał do zakonu i był mu przydzielony jako samochód służbowy.

Koperta zawierała skargę gwardiana, upoważnienie prowincjała oraz garść informacji dotyczących klasztoru i samej wyspy, zwanej Skalką.

Zakonnik uśmiechnął się do siebie. Dawno temu już przestał wierzyć w zbiegi okoliczności. Czuł, że Skalka jest tym miejscem, którego szukał przez ostatnie siedem lat, gdy jako bliski współpracownik prowincjała mógł swobodnie podróżować po całym kraju, a często i za granicą.

Wiedział, że stuprocentową pewność uzyska dopiero na miejscu, ale postanowił zgromadzić wszelkie dostępne informacje o wyspie. Żeby to osiągnąć, musiał odwiedzić kilka większych bibliotek, nim uda się do Kazimierza.

Rzucił kopertę na tylne siedzenie, uruchomił silnik i odjechał.

•••

Profesor Orańczak dotarł na wyspę późnym popołudniem. Na brzegu powitała go Anna.

— Jak idą przygotowania? — zapytał profesor.

— Zgodnie z planem. Ustawiliśmy już namioty i przygotowujemy teren.

— Jesteś nieoceniona.

— A tak kiepsko mi płacą...

Ruszyli w głąb wyspy. Po kilkuminutowym spacerze ścieżką przez las, wciąż wilgotny po niedawnym deszczu, dotarli na rozległą polanę. Na jej środku wznosiły się ruiny kaplicy.

Nieremontowana, niekonserwowana od połowy XIX wieku, kiedy to franciszkanie ostatecznie przestali się nią interesować, rozpadała się w oczach i pozostało z niej niewiele poza gołymi murami oraz trzymającym się na słowo honoru dachem. Powódź, która nawiedziła tę okolicę kilka lat wcześniej, dopełniła dzieła zniszczenia. Mimo to wciąż można było dostrzec ślady dawnego piękna. Wieża z dzwonnica zdawała się niemal nienaruszona i wznosi-

ła się dumnie nad okolicą. Wokół kaplicy rozsiane były różnej wielkości i kształtów kamienne krzyże. Groby braci zakonnych całkowicie porosła trawa.

Studenci i studentki zaczęli dzielić teren wokół kaplicy na sektory. Służyły do tego wbijane w ziemię drewniane paliki i rozciągnięte pomiędzy nimi sznury. Wkrótce łąka przypominała szachownicę. Na skraju polany, tuż przy baraku ochroniarzy, który ustawiono dzień wcześniej, znajdowały się dwa spore namioty.

— Tam będziemy wstępnie katalogować wszystkie znaleziska — wyjaśniła Anna. — Przydadzą się też jako skład narzędzi.

— Doskonale — ocenił profesor. — Jutro będziemy mogli rozpocząć prace.

ROZDZIAŁ 5

Kazimierz Dolny. 2004

Następny tydzień upłynął Andrzejowi i Izie na wspólnych spacerach. Wszystkie koszmary Andrzeja zniknęły. Zapanował nad nimi z pomocą dziewczyny. Demony skuliły się w swojej klatce, gdy opowiedział jej o swoich przeżyciach w Iraku i choć nic otworzył się przed dziewczyną do końca, to jednak doznał pewnego rodzaju *katharsis*. Iza nawet się nie domyślała, jak jest jej za to wdzięczny.

Odwiedzili Kuncewiczówkę (zwaną również willą „Pod Wiewiórką”) należącą niegdyś do pisarki Marii Kuncewiczowej i jej męża Jerzego. W willi znajdowała się stała ekspozycja przedstawiająca życie i twórczość gospodarzy, którą dwójka urlopowiczów obejrzała z zainteresowaniem, choć nie mieli pojęcia, kim był Jerzy Kuncewicz, ani nie czytali żadnej z książek jego żony.

W niedzielę wybrali się do najstarszego w mieście kościoła. Nie, żeby któreś z nich było rzeczywiście praktykującym katolikiem, ale wydawało im się, iż właśnie podczas mszy najpełniej odczują piękno i powagę świątyni.

Górujący nad miejskim rynkiem kościół farny, pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja, pochodził z okresu romańskiego, kiedy to w 1325 roku ustanowiono w Kazimierzu Dolnym parafię. Później, mniej więcej w połowie wieku, rozbudowano ko-

ściół o elementy gotyckie, które uwidaczniały się w postaci strze-listej sylwetki, wydłużonego planu świątyni i wieży o charakterze obronnym. Skarpy podpierające budowlę oraz zachodni portal również pochodziły z tamtego okresu. W 1561 roku kościół spłonał. W roku 1585 spłonał po raz drugi. Odrestaurowano go z rozmachem, podwyższając przy okazji jedyną nawę oraz budując nowe prezbiterium.

Po mszy, lekko oszołomieni zapachem kadzidła, ruszyli ulica Zamkową, która tuż za kościołem mijała starą dzwonnice fary i wspinała się pod strome wzniesienie, prowadząc do ruin zamku, który powstał za czasów Kazimierza Wielkiego.

— Wiesz, że Kazimierz zbudował w Bochnicy zamek dla swojej kochanki. Estery? — zagadnął Andrzej, posiłkując się pożyczonym przewodnikiem.

— Miał gest — stwierdziła Iza. jednocześnie krytycznym okiem taksując stare mury.

— No, a do tego ponoć kazał wykopać podziemny tunel łączący oba zamki.

Iza zachichotała, wyobrażając sobie dostojnego króla maszerującego ciemnym tunelem do sypialni Estery i pojawiającego się przy wezłowie jej łoża, niczym zjawa.

— Biedna dziewczyna pewnie nie wysypiała się najlepiej, gdy król był w pobliżu — powiedziała, próbując opanować śmiech.

Andrzejowi podobał się ten śmiech. Lubił go słuchać. Sama Iza też mu się podobała, z każdym dniem coraz bardziej.

Opuścili miny zamku i, wbrew przewodnikowi, który proponował, aby najpierw zwiedzić wznoszącą się w pewnym oddaleniu od min basztę, skierowali się na Górę Trzech Krzyży.

Dzień był upalny, powietrze ciężkie i nieruchome, jakby wiatr też wziął urlop i umknął przed bezlitosnym żarem lejącym się z nieba.

Iza miała na sobie dżinsowe szorty eksponujące długie nogi. i cienką bawełnianą bluzeczkę, pod którą nic było stanika. Andrzej już wcześniej zauważył, że jest bardzo szczupła.

— Piękny widok — Iza nie kryła zachwytu.

Stali na odsłoniętym wierzchołku góry, wśród nielicznej gro-

madki turystów. Za nimi ku niebu wznosiły się trzy drewniane krzyże, które u Andrzeja wywoływały skojarzenia z Golgotą.

— Piękny widok — powtórzyła dziewczyna.

— Założę się, że jeszcze lepszy byłby z baszty — szepnął jej wprost do ucha Andrzej.

Gdy się obróciła, oczy jej błyszczały.

— Chodźmy tam natychmiast — powiedziała.

Andrzej pstryknął kilka zdjęć i poszli.

— Szkoda, że nie wziąłeś Adiego.

— Nie mogłem go przecież wziąć do kościoła, a nie chciałem, żeby czekał na nas przywiązany do jakiegoś słupa w ten skwar — odparł Andrzej. — Będzie mu dobrze w ogrodzie.

— Miałeś szczęście, że znalazłeś kogoś, kto lubi zwierzęta.

— O, tak. Właściciel pensjonatu chyba nie ma zbyt wielu znajomych, więc szybko zaprzyjaźnił się z Adim.

— Starość jest straszna, nie sądzisz? — zapytała Iza, gdy schodzili z Góry Trzech Krzyży w stronę zamkowej baszty. Szła pierwsza, dzięki czemu Andrzej mógł bez skrepowania podziwiać jej figurę.

— Nie sądzę. Czasem nie mogę się już doczekać emerytury.

— Wiesz już, co będziesz wtedy robił?

— Wszystko to, na co nie mam czasu teraz — rzekł Andrzej, doganiając Izę. Uznał, że zostając wciąż z tyłu, wzbudzi w końcu jej podejrzenia. Gdy zrównał krok z dziewczyną, dostrzegł błaskający się na jej twarzy uśmiech.

No tak. Zauważyła. Oczywiście, że zauważyła. Nie mogło być inaczej. Zawsze wiedzą.

— Może w końcu przebrnę przez *Ulissesa* — kontynuował, jak gdyby nigdy nic. — Zacznę wędkować, napiszę książkę...

Ale jego myśli zaprzętały wciąż kształtne łydki dziewczyny.

Dwudziestometrowa baszta powstała wcześniej niż zamek. Wzniesiono ją na przełomie XIII i XIV wieku, jako strażnicę celną. Do znajdującego się na wysokości sześciu metrów wejścia prowadziły drewniane schody, latem często zakorkowane przez turystów, chcących podziwiać widoki.

Tego dnia jednak turystów nie było, toteż Andrzej i Iza w szybkim tempie pokonali strome stopnie i stanęli na szczycie wieży.

— Cóż, panie dziennikarzu, chyba miał pan rację.

— Chyba tak — przytaknął Andrzej, podziwiając roztaczającą się przed jego oczyma panoramę. — Ale jestem fotoreporterem, nie dziennikarzem.

Kazimierz oglądany z tak wysoka wyglądał jak swoja własna makieta. Na pierwszym planie widniały ruiny zamku przysłaniające częściowo kościół, do którego poszli rano, dalej znajdował się maleńki rynek oraz ukryty wśród zielonych koron drzew kościół franciszkanów. Andrzej spostrzegł, że wszystkie te budowle leżą na jednej osi.

— Zrób mi zdjęcie — poprosiła Iza, opierając się o rozgrzany mur. Andrzej przyklęknął i nastawił ostrość. Rozległ się suchy trzask zwalnianej migawki.

Nim zeszli z baszty, zrobił jej jeszcze sześć zdjęć.

Anna Nawrot była zdenerwowana. Denerwował ją upał, przez który jej koszulka z krótkimi rękawami śmierdziała potem, i denerwował ją facet ubrany na czarno i w ciemnych okularach, któremu upał zdawał się wcale nie przeszkadzać.

Specjalny obserwator prowincjała. Zapewne robola ojca Prokopowicza.

Tego nie było w umowie. Nie było aż do wczoraj, kiedy to w mieście pojawiło się srebrne volvo S60, a jego właściciel wyjął z kieszeni urzędowe pismo od prowincjała.

W dodatku agencja ochrony, którą zatrudnili, pokpiła sprawę i przysłała na wyspę zabobonnego, starego głupca, który twierdził, że tu straszy, a sama wyspa jest przeklęta, i zwiął poprzedniej nocy, tuż nad ranem. Anna była przekonana, że staruszek wypił o jedno piwo za dużo, usłyszał sowę albo jakieś inne zwierzę, może spadającą gałąź, i śmiertelnie się przeraził.

Pewnie jest alkoholikiem.

Wszystko to sprawiło, że Anna od rana zachowywała się jak wściekła osa.

Głupiec.

— Więc jak idą wykopaliska? — zapytał zakonnik. Była niedziela, lecz mimo to praca na wykopaliskach szła pełną parą.

Szli powoli wzdłuż krawędzi terenów objętych we władanie przez archeologów. Franciszkanin z rękoma założonymi do tyłu spoglądał na studentów pochylonych nad ziemią. Przywodzili mu na myśl poszukiwaczy złota rodem z westernu.

Anna, pomimo swojej złości, zdołała zauważyć, że był przystojny. Szczupły, wysoki blondyn, w jej ocenie — nieco po trzydziestce.

Pytanie skierowane było do Anny, lecz zakonnik patrzył w stronę starej kaplicy. Oczywiście, mnicha bardziej interesowało to, czego nie wykopano.

— Nie mogę na razie pochwalić się spektakularnymi sukcesami, ale...

— Profesora nie ma? — mężczyzna nagle zmienił temat, jednocześnie zwracając swoje ciemne okulary wprost ku Annie.

— Nie ma, musiał...

Tym razem to nie franciszkanin przerwał jej wypowiedź.

Rozległ się łoskot, a tuż po nim krótki, przenikliwy wrzask przeobrażenia i bólu. Z pozbawionego drzwi wejścia do kaplicy wydobyła się gęsta chmura kurzu.

Studenci, mnich i asystentka profesora Orańczaka zamarli. Wszyscy patrzyli na rozwarte usta kaplicy.

Anna pierwsza otrząsnęła się z osłupienia. Zaczęła biec wprosi ku budowli, po drodze zahaczając nogą i zrywając sznur, za pomocą którego podzielono teren na sektory. Za nią ruszył zakonnik. Wkrótce po czerni jego spodni pozostało wspomnienie, ukryte pod siwizną pyłu wzbijanego w powietrze stopami jego i Anny. Studenci również ocknęli się i pognali jak wilki za przewodnikiem stada.

Gdy Anna wpadła do wnętrza starej świątyni, kurz częściowo zdążył już opaść, jednak jego drobinki wciąż tańczyły w promieniach słońca, wpadających przez pozbawione szyb okna. Plamy światła padały niemal dokładnie na środek nawy. Największa z nich rozjaśniała sporą stertę spróchniałych desek leżących przed kamiennym ołtarzem. Spod sterty wystawały nogi.

Anna zdusiła okrzyk przerażenia i pobiegła naprzód. Ody pochylała się nad stosem drewna, dogonił ją franciszkanin. Nawet nie miał zadyszki, ale Anna nie zwróciła na to uwagi. Ciemne okulary wylądowały w kieszeni czarnej koszuli. Na progu tłoczyli się studenci. Nie śmieli podejść bliżej.

— O Boże... — jęknęła Anna.

Wiedziała, kto leżał pod deskami. Był to jeden ze studentów, który pracował na wykopaliskach, choć nic potrafiła sobie przypomnieć jego imienia.

Zakonnik nie patrzył na deski. Spoglądał w górę, w miejsce, skąd deski spadły. Widział tylko błękit nieba.

— Dach się zawalił — stwierdził. Dopiero wtedy Anna podniosła wzrok.

— O Boże...

Zaczęła odrzucać deski, pod którymi leżał człowiek. Miała nadzieję, że jeszcze żył. Mnich ukląkł obok niej i wspólnie próbowali odsłonić ciało. Oboje znajdowali się tuż poza kręgiem światła padającego z miejsca, gdzie niedawno jeszcze był strop. Podświadomie lękali się przekroczyć barierę między mrokiem starej budowli a słonecznym światłem.

Po chwili dołączył do nich jeszcze jeden student.

Anna odwróciła się i krzyknęła:

— Wezwijcie pomoc!

Nikt się nie ruszył.

— Wezwijcie cholerny WOPR! — powtórzyła.

Głos jej drżał. Była na krawędzi hysterii. I wtedy przypomniała sobie zajęcia z psychologii, które miała na studiach.

W razie wypadku, nie mówcie do tłumu, równie dobrze moglibyście nic nie mówić. Każdy będzie sądził, że zwracacie się do kogoś innego i w efekcie nie nastąpi żadna reakcja. Zwróćcie się do konkretnej osoby. Sprawcie, by poczuła się osobiście odpowiedzialna za rozwój sytuacji.

— Ty! — Anna wskazała palcem jednego ze studentów. Jego imienia również nic mogła sobie przypomnieć. Miała wrażenie, jakby w ciągu kilku sekund zapomniała mnóstwa rzeczy. — Sprowadź pomoc! Szybko!

Student drgnął, jakby palec Anny nagle go ożywił. Przez chwilę tylko patrzył tępo, potem wybiegł, pociągając za sobą dwóch kolegów. Gdzieś tam, wśród ich rzeczy powinny się znajdować telefony komórkowe. Żeby tylko był zasięg...

Tymczasem Anna, franciszkanin i jeden z chłopaków, którego skusiła propozycja odbycia praktyki w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, usuwali ostatnie deski. Ciało, które przykrywały, było nieruchome.

Chłopak leżał na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi kończynami. Głowę miał zwróconą w prawo, ze świeżych zadrapań na policzku, czole i ustach ciekły strużki krwi.

Przez głowę Anny przebiegały dzikie, chaotyczne myśli.

Nie żyje.

Spóźnił się.

Co on tu robił?

Może jednak żyje?

Uczepiła się tej myśli z całą siłą, jaką jej psychika jeszcze dysponowała. Anna bała się sprawdzić, bała się tego, co może odkryć. Pomagający im przy usuwaniu desek student cofnął się o dwa kroki, dając do zrozumienia, że jego rola w tym przedstawieniu dobiega końca.

Oboje wyręczył franciszkanin.

— Czuję puls — mruknął, przytykając dwa palce do tętnicy szyjnej studenta.

Anna przypomniała sobie nagle, jak ma na imię. Paweł. Paweł Rasza.

— Oddycha. Słabo, ale oddycha — zakonnik podał kolejną informację takim tonem, jakby na co dzień pracował w szpitalu.

— Powinniśmy go stąd zabrać — powiedziała Anna i wyciągnęła rękę w stronę rannego.

— Nie — mnich złapał ją za przegub prawej ręki. Miał lodowato zimną dłoń. Jego oczy zdawały się świecić własnym blaskiem w półmroku kaplicy. — Może mieć pęknięty kręgosłup.

— Ma brat rację — rzekła Anna, a w myślach dodała bezsensownie:

Ma rację, a ja nawet nie wiem, jak się nazywa.

Gdy przybył na wyspę, nie przedstawił się, a Anna nie miała zamiaru jako pierwsza wyciągać ręki. Tradycyjne „miło mi, Anna Nawrot” nie chciało jej przejść przez gardło, a próba przepchnięcia formułki siłą mogłaby zakończyć się śmiercią przez udławienie. W końcu była zła i chciała, żeby intruz o tym wiedział. Postanowiła, że gdy tylko sytuacja będzie pod kontrolą, naprawi swój błąd.

•••

Ratownicy WOPR zjawili się po kilkunastu minutach. Ich nadejście zwiastowało nagłe poruszenie wśród studentów i studentek kłębiących się przy wejściu do kaplicy. Tłumek rozstał się i do wnętrza budowli weszła trójka ratowników, kobieta i dwóch mężczyzn. Nieśli aluminiową skrzynkę ze sprzętem pierwszej pomocy i nosze. Ich pomarańczowe ubrania wydawały się dziwnie nie na miejscu, zbyt radosne na te ponure i niewesołe okoliczności.

— Co się stało? — zawołał od progu jeden z mężczyzn.

— Strop się zawalił — odparł zakonnik, nim Anna zdążyła otworzyć usta.

Ratownicy przystanęli nad nieprzytomnym studentem. Jeden z nich wyciągnął stetoskop i przyłożył słuchawkę do piersi Pawła. Potem zbadał puls.

— Musimy go jak najszybciej zabrać do szpitala — ratownik stwierdził oczywisty fakt.

W tym czasie kobieta wyjęła z aluminiowej skrzynki kołnierz do usztywniania karku.

— W Puławach? — zapytała Anna.

— Tak.

Ratownicy delikatnie dźwignęli głowę i tors studenta, aby założyć kołnierz. Następnie przenieśli go na nosze i zapięli pasy, unieruchamiając całe ciało. Kobieta wyjęła ze skrzynki maskę tlenową, przyłożyła studentowi do twarzy i zaczęła uciskać połączony z maską elastyczny worek, wspomagając oddychanie rannego. Mężczyźni złapali uchwyty na dwóch końcach noszy i ruszyli w kierunku wyjścia. Kobiecie, która szła obok noszy, wciąż pompując powietrze w płuca nieprzytomnego chłopaka, przypadło w udziale dźwiganie aluminiowej skrzynki. Anna i zakonnik ruszyli za nimi.

Studenci również.

Kolorowy korowód opuścił świątynię. Na jego czele, niczym kapłani w jaskrawych szatach, szli ratownicy niosący nosze. Tuż za nimi podążali kobieta i mężczyzna w czerni, a po piętach deptała im grupa niezdrowo podekscytowanych młodych ludzi.

Ratownicy posuwali się powoli i zygzakiem, aby oszczędzić nieprzytomnemu dalszych wstrząsów, omijając dziury wykopane przez studentów archeologii.

Pogoda zaczęła się psuć. Anna zauważyła, że nad wyspą zbierają się ciemne chmury i wiedziała, że niedługo zacznie padać. Pomyślała, że ktoś powinien przykryć teren wykopalisk, ale nie odezwała się ani słowem. Wszystko po kolei. Najpierw niech się skończy ta koszmarna procesja.

Wkrótce dotarli nad brzeg rozległego jeziora. Niewielkie fale wygładzały piasek, na którym bielila się łódź ratowników. Jej kolor, łuszcząca się farba i przechył na lewy bok sprawiały, że przypominała szkielet ryby, którą woda wyrzuciła na plażę, aby tu dokonała swojego żywota.

Dwójka młodych, silnych chłopców podbiegła do drewnianego szkieletu, ustawiła go pionowo i pchnęła do wody. Ratownicy ostrożnie ułożyli nosze na ławkach. Kobieta wsiadła do łodzi, a mężczyźni razem z dwójką studentów zepchnęli ją na głębsze wody. Ktoś odwiązał i podał im linę, którą na wszelki wypadek przywiązali łódź do drzewa. Jeden z ratowników odwrócił się do Anny i rzekł:

— Chłopak ma szczęście, że żyje. Potraktujcie to jako ostrzeżenie i nie wchodźcie do tej kaplicy.

Anna wskoczyła do łodzi i zajęła miejsce obok leżącego na noszach studenta. Po chwili mnich poszedł w jej ślady. Ciemne okulary skierowały się na Annę. W ich szklach dojrzała jedynie swoje odbicie. Potem mężczyzna przeniósł wzrok na rannego. Zaraz za zakonnikami w łodzi pojawili się ratownicy. Jeden z nich zapuścił silnik i łódź odpłynęła w stronę przeciwległego brzegu.

Anna wpatrywała się w bezwładne ciało przywiązane do noszy. Nie będą wchodzili już do kaplicy. Nikt. Na pewno.

ROZDZIAŁ 6

Kazimierz Dolny 2004. Egipt. 1997

Gdy łódź z ofiarą wypadku zbliżała się do przysłani, Andrzej i Iza siedzieli w kawiarni na kazimierskim rynku. Zajęli stolik przy szerokim oknie, przez które wlewał się rozproszony słoneczny blask, padając na wiszące na ścianach obrazy. Wszystkie były na sprzedaż, oprócz ogromnego, znajdującego się nad barem pejzażu miasta.

Nie rozmawiali zbyt dużo. Rozkoszowali się dniem i sobą nawzajem. Na stoliku obok Izy leżał zwinięty najnowszy egzemplarz „Explorera”.

— Nie mogłam się oprzeć — powiedziała Iza.

Patrzyła na Andrzeja szeroko otwartymi, zielonymi oczami, a w jej wzroku była ciekawość, nadzieja i coś jeszcze, ukryte na samym dnie. coś czego Andrzej nie potrafił zidentyfikować.

Nadzieja?, zapytał sam siebie po chwili.

Na co? Na autograf, na pochwałę, że zadała sobie trud i wydała pięć złotych po to, żeby zobaczyć moje zdjęcia? Co chcesz mi przekazać, kobieto? Że ci na mnie zależy, że masz wobec mnie jakieś plany?

Andrzej sam nie wiedział, dlaczego jest zirytowany. Przecież sam fakt kupna czasopisma nie musiał jeszcze o niczym świadczyć. Może chciała po prostu przeczytać artykuł o opolskich dinozaurach.

Ale Andrzej doskonale wiedział, że powód jest inny. Przez chwilę widział to wypisane wielkimi literami na twarzy Izy. Patrz, kupiłam twoją gazetkę, widzisz, jak bardzo cię lubię?

I to go zdenerwowało. Odkąd żona najpierw go opuściła, a potem umarła, Andrzej nie był w żadnym stałym związku. Owszem, miał przelotne romanse, ale Iza wyraźnie chciała czegoś więcej. Nagle dotarło to do niego z całą mocą i po progu wiedział, że ma rację, tak jak wtedy, gdy wiedział, że Krysia przyrządzi spaghetti. Mimo że minęły już trzy lata od rozstania z Gosią, Andrzej wciąż często o niej myślał i wciąż nie był pewien, czy jest gotowy na stały związek. To go przerażało i irytowało, bo przecież Iza jest miłą dziewczyną i właściwie dlaczego nie spróbować, przecież do

tej pory świetnie się razem bawili. Z drugiej strony czy to nie jest aby za szybko...

—Andrzej?

— Przepraszam. Zamyśliłem się — odparł i zmusił się do uśmiechu. — Znalazłaś coś ciekawego?

— Jest fajny artykuł o dinozaurach spod Opolą, ale twoje zdjęcia są po prostu zachwycające.

Andrzejowi dreszcze przebiegły po plecach. Artykuł o dinozaurach. Nie miał pojęcia, że w tym numerze był jakiś artykuł o dinozaurach, lecz właśnie o tym pomyślał. Zorientował się, że te dziwne przebłyski jasnowidzenia zdarzają mu się coraz częściej. Lekka paranoja.

— Wybacz, muszę wyjść do toalety — bąknął i wstał tak gwałtownie, że niemal przewrócił krzesło.

Ojczy, kto zbudował piramidy?

Zatoczył się i wpadł na drzwi toalety. Zatrzasnął je za sobą i ciężko usiadł na sedesie. Przez chwilę znów widział jakiś okrągły przedmiot i coś błyszczącego pod nim, jak wtedy w samochodzie. Ale teraz obraz zatrzymał się na dłużej i Andrzej rozpoznał łysą głowę i naszyjnik opadający aż na plecy. Zupełnie jakby odbierał obraz z kamery znajdującej się za plecami łysego mężczyzny, gdzieś na wysokości krzyża i z obiektywem skierowanym ku górze. Od naszyjnika bił oślepiający blask. Andrzej zauważył, że łańcuch składał się z dwóch rzędów różnej wielkości płytek. Mniejsze, stanowiące wewnętrzną obręcz, były błękitne, natomiast większe, wychodzące na zewnątrz, wydawały się szczerozłote.

Chyba tracę rozum. Krysia miała rację, na to nie pomoże żadna wycieczka.

Po chwili wszystko minęło i znów przed oczami miał białe kafelki kabiny. Siedział na sedesie, głowę ukrył w dłoniach i powtarzał sobie, że wszystko jest w porządku, kołysząc się w tył i w przód. Powtarzał to tak długo, aż uwierzył. Dopiero wtedy wstał, ale tylko po to, żeby szybko ściągnąć spodnie i usiąść ponownie.

Sraczka pojasnowidzeniowa.

To określenie rozbawiło go, a paroksyzmy śmiechu pomogły w szybszym pozbyciu się niestrawionych resztek posiłku.

W końcu opuścił kabinę z wrażeniem, że jest o kilka kilogramów lżejszy, niż kiedy do niej wchodził. Umył ręce i spojrzał na swoją twarz w lustrze. Przyglądał się sobie przez chwilę i stwierdził, że Kazimierz dobrze mu służy. Wyleczył się z bezsenności, nie ciągnęło go do alkoholu. Może nawet udało mu się uniknąć alkoholizmu, kto wie? Zbawienny wpływ urlopu, wypoczynku i niemal całkowitej beztroski. A całkiem możliwe, że i pewnej kobiety. Uśmiechnął się. Twarz w lustrze również się uśmiechnęła, a potem każdy z Andrzejów poszedł w swoją stronę.

Zbliżając się do stolika, doszedł do wniosku, że jednak przesadził. Przecież to tylko cholerne czasopismo, kilkanaście spiętych razem kartek papieru, a on się zachował, jakby to była obrączka z dołączonym darmowym grubym łańcuchem.

Wszystko gra.

W drzwiach kawiarenki stanął starszy mężczyzna. Był tylko plamą mroku w świetlistej ramie i początkowo Andrzej wziął go za jednego ze stałych bywalców, jakich często się widuje w małomiasteczkowych knajpach, pochylonych nad szachownicami i kuanami piwa. Kiedy jednak spojrzał na gościa ponownie po kilku krokach, pod nieco innym kątem, dostrzegł już nienaganny grafitowy garnitur i starannie ułożone siwe włosy. Nieznajomy patrzył na Andrzeja. Minęła chwila, nim pamięć odszukała drogę wśród zakurzonych półek umysłu i wydobyła z jakiegoś kąta portret mężczyzny z podpisem. Twarz z portretu była młodsza, miała nieco łagodniejsze rysy, ale bez wątpienia należała do tego samego człowieka. W tym momencie i nieznajomy rozpoznał Andrzeja, gdyż jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, ukazujący dwa rzędy niezwykle równych i białych zębów.

— Antoni! — wykrzyknął Andrzej, podchodząc do profesora.

— Witaj! Kopę lat.

— Rzeczywiście. Uścisnęli się serdecznie.

— Choć. napijesz się z nami kawy — powiedział Andrzej, prowadząc profesora do stolika. — Izo, pozwól, że ci przedstawię profesora Antoniego Orańczaka.

— Bardzo mi miło — odparł Orańczak, ściskając lekko drobną dłoń.

Wiele się zmieniło od ostatniego spotkania fotoreportera i archeologa. Gosia, która zrobiła na profesorze ogromne wrażenie podczas jego pobytu w Krakowie, nie była już towarzyszką życia Andrzeja. Orańczak wiedział o ich rozstaniu, ale Andrzej nie wdawał się w szczegóły, więc przyczyny rozvodu pozostały dla profesora tajemnicą. Nie zamierzał jednak się dopytywać. Uznał, że jeśli Andrzej będzie miał ochotę, to samo tym opowie. A jednak widok przyjaciela w towarzystwie innej kobiety zaskoczył Orańczaka, choć starał się nie dać tego po sobie poznać. W końcu byli z Gosią tak zgraną parą... Poza tym Iza stanowiła całkowite przeciwieństwo Gosi, posagowej, długowłosej szatynki o pełnym biuście, wyniosłym spojrzeniu i uśmiechu, który mógłby przyprawić o rumieńce bazyliuszka. No, ale Andrzej był przecież dość młodym mężczyzną, przynajmniej w porównaniu z profesorem, więc nie miał się czemu dziwić.

Podeszła kelnerka, profesor zamówił piwo i usiadł. Dopiero teraz zorientował się, że Andrzej proponował mu kawę, nie piwo. Na stoliku stały dwie filiżanki i Orańczak pojął, że zachował się nietaktownie, ale było już za późno. Tak, bardzo wiele mogło się zmienić, odkąd widzieli się po raz ostatni... Postanowił nadrobić miną.

— Andrzej nic nie mówił, że ma tak piękną przyjaciółkę.

— Niedawno się poznaliśmy — odparła Iza z uśmiechem. — Tu, w Kazimierzu.

— Oboje jesteśmy na urlopiach — uzupełnił Andrzej. — A ty?

— A ja nie.

Kelnerka postawiła przed Orańczakiem oszroniony kufel. Profesor pociągnął łyk i spojrzał na Andrzeja. W oku uczonego Andrzej dostrzegł znajomy błysk. Po raz pierwszy widział go w południowym Egipcie i wiedział dobrze, co oznacza. Profesor był na tropie jakiegoś wielkiego odkrycia.

— Ale tu przecież jest Kazimierz... — powiedział.

Iza spojrzała na niego ze zdumieniem, szybko więc dodał:

— Profesor Orańczak jest egiptologiem.

— Zgadza się. Egiptologiem z dala od Egiptu, a jednak w pracy. Zadzwoił telefon. Profesor odebrał, słuchał przez chwilę, rzucił

"już jadę" i się rozłączył.

— To Anna. Przykro mi bardzo, ale muszę was opuścić.

— Anna jest z tobą?

— Oczywiście. I liczne grono studentów chętnych do pracy. Zatrzymaliśmy się w Domu Pracy Twórczej. Wpadnij do nas na kolację. I nie zapomnij zabrać swojej pięknej przyjaciółki — dodał, uśmiechając się do Izy. — A teraz — do widzenia!

Wstał, zapłacił przy barze za piwo, które ledwo napoczął i wyszedł z lokalu. Widzieli go, jak szybkim krokiem przemierzał rynek, aż zniknął w jednej z bocznych uliczek, gdzie zapewne zostawił samochód.

— Miły facet — powiedziała Iza.

— Owszem. Masz ochotę na kolejny spacer?

Iza pokiwała głową.

— To chodźmy. Weźmiemy jeszcze Adiego.

— A gdzie pójdziemy?

— Jeszcze nie wiem. Zobaczymy.

Profesor Orańczak odnalazł swojego starego jeepa cherokee i już po chwili był w drodze do Puław.

Telefon od Anny bardzo go zaniepokoił. Nie chciał o tym mówić w kawiarni, a jeśli Andrzej i Iza przyjadą na kolację, też lepiej nic im nie wspominać o wypadku na wyspie. Oczywiście, coś będzie musiał powiedzieć, ale jeszcze nie wiedział co. Andrzej na pewno się domyśla, że dzieje się tu coś ciekawego. Już podczas ich pierwszego spotkania w Egipcie profesor zauważył, że ten młody fotoreporter jest bardzo bystry i spostrzegawczy. Między innymi dlatego spodobał się Annie.

— Szkoda — mruknął do siebie profesor. — Szkoda, że wolał fotografować skarby, zamiast samemu ich szukać...

Wypadek, jaki miał miejsce na wyspie, to bez wątpienia przykry incydent, ale Anna zapewniła Orańczaka, że życiu studenta nie zagraża niebezpieczeństwo i pewnie obejdzie się nawet bez kołnierza. Co prawda już raczej nie wróci do pracy przy wykopaliskach, ale i tak wykpił się tanim kosztem. Bardziej niepokojąca była wzmianka o obserwatorze przysłanym przez prowincjała. To zde-

cydowało, że profesor postanowił natychmiast pojechać do Puław. Oczywiście, martwił się studentem, ale jego myśli w o wiele większym stopniu zaprzętał tajemniczy franciszkanin. Czego mógł tu chcieć? Czyżby gwardian Prokopowicz mu nie ufał? Czy to on poprosił o tego obserwatora?

Orańczak westchnął. Te pytania muszą poczekać. Tu, w samochodzie niczego nie wymyśli, a z czasem na pewno wszystkiego się dowie. Teraz nie mógł nic w tej sprawie zrobić.

Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z Andrzejem Stawickim.

Żar lał się z bezchmurnego nieba. Temperatura sięgała czterdziestu stopni Celsjusza. Gorący piasek pustyni bronił swych skarbów przed grupą polskich archeologów przekopujących wydmy. Ale piasek zostanie pokonany, tak jak w latach trzydziestych XX wieku, kiedy to Kazimierz Michałowski i Tadeusz Wałek-Czarnecki z Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego dokonali tu wspaniałych odkryć. Były to między innymi fortyfikacje z Pierwszego Okresu Przejściowego, a w ich obrębie nekropolia z czasów Średniego Państwa i mastaby dostojników, zabytki z okresu ptolomejskiego i rzymskiego oraz klasztor koptyjski. Nie udałoby się to zapewne bez współpracy z francuskim Instytutem Archeologii Orientalnej w Kairze, do której wielkim nakładem sił doprowadzili panowie Michałowski i Wałek-Czarnecki.

Kilu, które w starożytności nazywało się Behdet, okazało się prawdziwym skarbcem, a zabytki tam odnalezione do dziś znajdują się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Profesor Orańczak i jego ekipa przyjechali do Edfu w 1997 roku, pięćdziesiąt osiem lat po sławnych archeologach dwudziestolecia międzywojennego, aby dokonać jeszcze jednego wielkiego odkrycia.

Wraz z profesorem do Egiptu przyjechała Anna Nawrot, która już wtedy była jego asystentką, oraz dwudziestosiedmioletni fotoreporter „Explorera”. Andrzej Stawicki.

Stanowisko archeologiczne znajdowało się na zachód od bramy elefantyjskiej — starożytnego cmentarza strzegącego południowych granic Egiptu. Nieco dalej można było dostrzec ogromne,

trzydziestopięciometrowe pylony Świątyni Horusa, drugiej co do wielkości świątyni egipskiej. Największa znajduje się w Kamaku i jest poświęcona bogu słońca, Re.

Na Orańczaku. doświadczonym archeologu. Świątynia Horusa nie robiła już takiego wrażenia, jak za pierwszym razem. Zrobiła natomiast, i to wielkie, na Annie i Andrzeju. Oboje byli po raz pierwszy w Egipcie i po raz pierwszy mieli okazję oglądać słynne zabytki na własne oczy. Już pierwszego dnia. mimo że do Edfu przybyli późnym wieczorem po uciążliwej podróży przez pustynię, wybrali się razem podziwiać pylony sanktuarium. Na dziedzińcu nie mogli wejść, gdyż obiekt był już zamknięty na noc, ale obiecali sobie, że nadrobią to. gdy tylko znajdą chwilę wolnego czasu.

Stali przed wykutą w kamieniu bramą, zadzierając głowy. Strzeżyły jej dwa granitowe posągi Horusa. Nad nimi sylwetki wielokrotnie przewyższające wzrostem normalnego człowieka od wieków tańczyły ten sam taniec; faraon zabijający swych wrogów na oczach sprzyjających temu bóstw, Horusa i Hathor. Dwójka spóźnionych turystów podziwiała sztukę dawnych artystów i architektów, których dzieło przeżyło ich samych o kilka tysięcy lat.

— Niesamowite — szepnął Andrzej. Anna tylko się uśmiechała. Tamtą noc spędzili razem.

Następnego dnia rano rozpoczęły się prace przy wykopaliskach. Wynajęci egipscy robotnicy ustawiali brezentowe namioty, ogradzali teren i pod nadzorem profesora i jego asystentki wybierali, a potem wynosili w koszach pierwsze łopaty piasku. Andrzej kręcił się w pobliżu i robił dziesiątki zdjęć, co chwila zerkając w kierunku Anny. Młoda pani doktor zdawała się nieco rozkojarzona i również popatrywała na Andrzeja.

Dzieci, pomyślał profesor. Naprawdę sądzą, że nic nie widzę i że obchodzą mnie ich nocne igraszki. On również często spoglądał to na Annę, to na Andrzeja i uśmiechał się pod nosem, widząc ich zakłopotanie. W końcu się znudził, wezwał do siebie kochanków i wyjaśnił, że to, co robią w namiocie, jest tylko i wyłącznie ich sprawą. Orańczak wyraźnie widział, że jego deklaracja odniosła pożądany skutek i oboje odczuli ulgę.

Minęło zaledwie pięć dni, gdy piasek skapitulował i oddał kolejną ze swoich wielkich tajemnic.

Anna, Andrzej i profesor siedzieli w namiocie, pijąc bardzo słodką, doskonałą na upały herbatę, gdy nagle wbiegł jeden z egipskich studentów ostatniego roku archeologii. Był bardzo podniecony. Mówił z prędkością karabinu maszynowego, ale Orańczak, który doskonale posługiwał się arabskim, nie miał kłopotów ze zrozumieniem.

— Trafili na ślad jakiejś budowli — przetłumaczył. — Właśnie ją odkopują.

Zostawili niedopitą herbatę i ruszyli za studentem, który przyniósł im tę wspaniałą wiadomość. Andrzej jeszcze skoczył do swojego namiotu po aparat fotograficzny i pobiegł za archeologami. Po chwili cała czwórka stanęła nad wykopanym w piasku niezbyt głębokim dołem.

— Mamy szczęście — powiedział Orańczak. — Niecałe dwa metry pod powierzchnią.

Na ich oczach studenci odsłaniali gładką, ceglana powierzchnię. Oczy profesora błyszczały jak dziecku, które znalazło pod choinką wymarzony prezent.

— Sklepienie mastaby? — zaryzykowała stwierdzenie Anna.

— Mastaba tutaj? Wątpię. Przecież nekropolia znajduje się w ruinach osiedla. Może jakiś warsztat rzemieślniczy — odparł profesor, choć nie miał zielonego pojęcia, czym mógł być odkryty przez nich obiekt, a następnie krzyknął coś do studenta, który zbyt zapalczywie machał łopatą.

Andrzej biegał dookoła i robił zdjęcia pod wszystkimi możliwymi kątami. Był niemal tak samo podniecony, jak studenci, którzy cierpliwie i z mozołem przekopywali się przez kolejne warstwy piasku.

Po jakichś dwóch godzinach okazało się, że to jednak Anna miała rację. Była to mastaba, starożytny grobowiec.

— Dziwne — mruknął profesor. — Może chociaż jest nietknięty.

Było już późne popołudnie, gdy Orańczak zszedł na dno wyko-

pu, aby osobiście doglądać prac. Stał obok granitowej płyty, która, jak miał nadzieję, skrywała szyb wiodący w głąb grobowca. Profesor pierwszy raz spotkał się z zasłoniętym szybem. Zasypane piaskiem, aby utrudnić dostęp złodziejom widywał wcześniej, ale nigdy przykryte granitową płytą. To dobry czy zły znak? Rabusie raczej nie zadawaliby sobie trudu umieszczenia jej na miejscu, gdyby pierwsi odkryli grób. Oczywiście istniała jeszcze możliwość, że po prostu przebili się przez ścianę, a szyb mimo wszystko może być zasypany, ale profesor wołał o tym nie myśleć. Zawsze w takich chwilach ogarniały go sprzeczne uczucia. Nadzieja pomieszana z lękiem, że oto znalazł kolejną pustą skorupę, obrabowaną dosłownie ze wszystkiego. Marzył, aby dokonać odkrycia na miarę grobu Tutanchamona albo Ramzesa Wielkiego. Nadzieję dawał mu fakt, że ta mastaba była całkowicie ukryta w piaskach pustyni. Nadzieję zwodniczą, bo przecież rabusie grobów istnieli zawsze, nawet w starożytnym Egipcie, i mogli obrabować grobowiec kilka dni po jego zabezpieczeniu, ale jednak nadzieję. Wieczór szybko zapadał na pustyni i wkrótce cienie zaczęły się wydłużać, a w wykopie zapanował nieprzyjemny półmrok.

Jutro, pomyślał profesor. Jutro, gdy będzie jasno, odsuniemy płytę.

—Zupełnie jak grobowiec Hetepheres — powiedziała Anna.

— Obyś miała rację — porównanie Anny, mimo że niedokładnie pasujące do sytuacji, podniosło Orańczaka na duchu.

Grobowiec Hetepheres. matki Cheopsa. Odkryty dzięki czystemu przypadkowi. Dwójka archeologów na zakończenie prac wykopaliskowych chciała sobie zrobić pamiątkowe zdjęcie na tle Wielkiej Piramidy, a fotograf akurat tak ustawił statyw aparatu, że jedna z jego nóg zagłębiła się w sypkim piasku, dokładnie w pionowym szybie prowadzącym do komory grobowej! W dodatku zachowanej w doskonałym stanie. Żeby choć raz w życiu trafić na coś takiego!

Przy kolacji Antoni. Anna i Andrzej rozmawiali o niezwykłym odkryciu.

— To niesamowite — mówił Orańczak pomiędzy kęsami pieczonego kurczaka. — Mastaba tutaj!

— W dodatku wygląda na grobowiec jakiegoś dostojnika.

— Co w tym takiego dziwnego? — zapytał Andrzej, dolewając sobie wina.

— Ano to, że powinna się ona znajdować w nekropoli, mieście umarłych, na cmentarzu w Edfu.

— Może właśnie odkryliście kolejną nekropolię?

— Możliwe, choć mało prawdopodobne. Mój Boże, sam nie wiem, co o tym myśleć. Lepiej odłóżmy wszelkie rozważania na jutro. Dziś mam za duży mętlik w głowie.

— Masz nadzieję, że grobowiec jest nienaruszony?

— I to jaką! Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak rzadkie jest takie znalezisko. Rabusie grobów często docierali do miejsc pochówków przed archeologami. Na przykład grobowiec Ramzesa Wielkiego. Gdyby pewien Brytyjczyk nie prowadził śledztwa w sprawie handlu dziełami sztuki starożytnego Egiptu, moglibyśmy znaleźć tylko kolejny pusty grób. Albo nie odnaleźć go nigdy.

— Jakiś pasterz owiec zapędził się w poszukiwaniu zaginionego jagnięcia — podjęła Anna. — Znalazł wejście do jaskini, a w niej — grobowiec Ramzesa. Przez dobrych kilka lat handlował na targu w Kairze zabytkami, które stamtąd wydobywał, aż wreszcie został złapany. I to on później doprowadził do jaskini archeologów.

— Ktoś mu za to podziękował?

— Wątpię. Ale być może uniknął kary śmierci.

Następnego ranka dokopali się do krawędzi. Dalej była już opadająca pod kątem ściana grobowca. Profesor Orańczak zarządził odsłonięcie szybu. Przez pół nocy nie mógł zasnąć z podniecenia. Słyszał, że Andrzej i Anna również byli podnieceni, choć może nieco inaczej. Później miał zamiar zwrócić im uwagę, żeby zachowywali się trochę ciszej, tymczasem jednak modlił się, patrząc na robotników przesuwających centymetr po centymetrze kamienny blok. Głównie o to, żeby grobowiec był nietknięty. Niech będzie zasypany, ale nietknięty.

Wreszcie, gdy płyta została odsunięta na tyle, że można było zajrzeć w głąb szybu, profesor przykleknął.

— Och... — wyrwało mu się. — Dajcie latarkę!

Natychmiast pojawili się przy nim Andrzej i Anna. Stawicki podał profesorowi małą kieszonkową latarkę, a widząc błysk w oczach i uśmiezek na ustach uczonego, sam się uśmiechnął. Profesor skierował promień światła w wąską szparę między płytą a krawędzią szybu.

— Boże... — szepnął.

— Ani ziarenka — dodała Anna.

— O czym mówicie?

— Nie ma piasku. Szyb był tylko zasłonięty, nie zasypany.

— To dobrze?

— Nie wiem. Może ktoś tu już był przed nami.

— Złodziej rzadko zamyka za sobą drzwi.

— Andrzej ma rację — przytaknął Orańczak. — Myślę, że grobowiec jest zachowany w idealnym stanie. Dobra, dość tego oglądania. Nie wiem jak wy, ale ja schodzę na dół.

Krzyknął coś po arabsku i kilku robotników rozbiegło się w różne strony, aby po kilku minutach wrócić z niezbędnymi materiałami. Przytaszczyli kilka drewnianych belek, zwój liny i zaczęli na krawędzi wykopu konstruować coś na kształt bardzo prymitywnej windy, zasilanej pracą ludzkich mięśni. Na końcu najdłuższej belki zamocowali bloczek, przez który przewiesili linę z zawiązaną na niej pętlą, a całość ustawili w ten sposób, że pętla zawisała dokładnie nad otwartym szybem.

— Antoni, czyżbyś chciał się pozbyć współników przed wydobyciem skarbu? — mruknął Andrzej, spoglądając na dyndającą mu przed oczami pętlę. — Wygląda jak stryczek.

Profesor nie odpowiedział, posłał tylko Andrzejowi szelmowski uśmiezek i gdy pętla zjechała niżej, oparł na niej stopy, oburącz chwycił linę i znów wykrzyknął kilka słów po arabsku. Na ten sygnał robotnicy do spółki ze studentami zaczęli ostrożnie popuszczać linę, a uczepiony jej Orańczak powoli osuwał się w głąb szybu. Gdy profesor swoim donośnym głosem oznajmił światu, że jest już na dnie, lina została wyciągnięta i miejsce pasażera zajął Andrzej. Na końcu pod ziemię zjechała Anna. Przez całą, trwającą kilkadziesiąt sekund podróż miała zamknięte oczy i kurczowo trzymała się liny, aż nie dotknęła stopami gruntu.

— W porządku, już możesz puścić — usłyszała łagodny głos Andrzeja. Otworzyła oczy, zobaczyła jego uśmiech w bladym świetle przesączającym się do wnętrza mastaby i lekko się zaczerwieniła.

Profesor stał kilka kroków dalej, omiatając promieniem laurki ściany poziomego korytarza.

— Chyba prowadzi do komory grobowej — powiedział, odwracając się do swoich towarzyszy. Blask w jego oczach zamienił się w prawdziwy płomień.

— Więc chodźmy — rzuciła Anna, włączając swoją latarkę.

Wyminęła obu mężczyzn i ruszyła przodem, aby zatrzeć niekorzystne wrażenie. Była zła na siebie, ponieważ Andrzej przez chwilę widział w niej słabą i bezbronną kobietę, a takiej nie poznał jej nikt, odkąd opuściła rodzinny Kalisz, aby rozpocząć studia w Warszawie.

Cała trójka ruszyła w głąb korytarza, rozglądając się na wszystkie strony.

— Dziwne — mruknął profesor. — Te ściany są gołe.

— Słucham? — zainteresował się Andrzej.

— Nie ma na nich ani jednego hieroglifu — wyjaśnił Orańczak.

— A powinny być? — zapytał Stawicki, ale nie doczekał się odpowiedzi, gdyż w tej chwili ściany korytarza uciekły w bok i wszyscy znaleźli się nagle w komorze grobowej.

— Nie... — jęknął archeolog. — Proszę, nie...

Wystarczył mu jeden rzut okiem, aby zorientować się, że jeśli nic liczyć stojącego pod przeciwległą ścianą granitowego sarkofagu w kształcie leżącego prostopadłościanu, komora jest zupełnie pusta.

A więc ziścił się mój koszmar. Kłóś był tu już wcześniej...

— Spójrz, Antoni — powiedziała Anna, wyrywając go z zamyślenia. — Tu też ściany są gołe.

— Faktycznie. A to już bardzo dziwne.

Andrzej pomyślał, że dziś „dziwne” jest ulubionym słowem profesora.

— Dlaczego? — zapytał.

— To chyba nie miejsce na wykład z historii starożytnej. Potem ci to wyjaśnimy.

— Chodźcie tutaj! — zawołała Anna. Stała przed sarkofagiem i oświetlała fragment ściany.

Gdy profesor i Andrzej podeszli bliżej, ujrzeli jedyną inskrypcję. Znajdowała się dokładnie nad sarkofagiem.

— Zrób parę zdjęć i wynośmy się stąd — rzucił profesor.

Stracił cały entuzjizm, gdy jego nadzieje związane z mastabą okazały się płonne.

Andrzej posłusznie uniósł obiektyw swojego nikona. Dal się słyszeć suchy trzask migawki zwalnianej w rytm lampy błyskowej, po czym cała trójka wycofała się na korytarz i ruszyła w stronę czekającej na jego końcu windy.

Gdy już wyciągnięto ich na powierzchnię, profesor streścił studentom wynik wyprawy, po czym zniknął w swoim namiocie.

— Biedaczysko — westchnęła Anna. — Nie pokusił się nawet o otwarcie sarkofagu.

— Wkrótce sobie o nim przypomni.

— Pewnie masz rację. W każdym razie możemy już zacząć przygotowania.

— A ja pójdę oddać fotki do wywołania.

— Okay — zgodziła się Anna, po czym wyjaśniła studentom po angielsku, czego od nich oczekuje i poszła do namiotu Orańczaka.

Zastała go ze szklaneczką whisky w ręce.

— Antoni... — podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. — Antoni...

— Tak, wiem. Za wcześnie na picie.

Uśmiechnęła się mimo woli.

— Nie o to mi chodzi.

Orańczak westchnął i pociągnął łyk.

— Siadaj, naleję ci też — powiedział i napełnił drugą szklaneczkę. — Gdzie Andrzej?

— Poszedł oddać film — odparła Anna, siadając naprzeciw profesora. Upiła mały łyczek trunku. — Mocna.

— Jak to szkocka.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, aż w końcu profesor uniósł głowę i spojrzał w ciemne oczy Anny.

— Wiązałem z tą mastabą wielkie nadzieje.

— Wiem.

— Mogłaby być największym moim sukcesem.

— Chcesz się poddać?

— Nie. Ale jakiego wspanialszego odkrycia może dziś dokonać egiptolog niż odnaleźć nietknięty grobowiec? — na jego ustach pojawił się blady uśmiech. — Drugiej Wielkiej Piramidy nie znajdę.

— Jesteś wspaniałym archeologiem — powiedziała Anna, kładąc swoją smukłą dłoń na szorstkiej i pomarszczonej dłoni Orańczyka. — Wiesz o tym przecież. Dokonałeś wielu znaczących odkryć. Jesteś znany na całym świecie. I wierzę, że jeszcze znajdziesz swój nietknięty grobowiec.

Profesor uśmiechnął się szerzej. Zaczął odzyskiwać dobry humor i wrodzony optymizm.

— Dzięki.

— Nie ma za co — odparła Anna, również się uśmiechając.

— Czy teraz ktoś mógłby mnie oświecić, o co chodzi z tymi gołymi ścianami? — powiedział Andrzej, wchodząc do namiotu.

— Oczywiście — odrzekł profesor. — Anno, możesz? Ja * tym czasie spróbuję sobie przypomnieć inskrypcję.

— Sprawa jest o ryle ciekawa — zaczęła Anna, sięgając po butelkę — że to pierwsza mastaba, której ścian nie pokrywają od podłogi do sufitu hieroglify i portrety zmarłego.

— Jak to?

— Gdybyś wszedł do nienaruszonego grobowca, ujrzałbyś, że jest wypełniony, w zależności od majątku mieszkańca oczywiście, różnymi przedmiotami i sprzętami.

— To wiem. Przeczytałem kilka książek o starożytnym Egipcie — skrzywił się Andrzej.

— Powinieneś więc również wiedzieć, że ściany grobowców pełnią rolę kronik. Jest na nich zapisana historia życia zmarłego, jego czyny i dokonania.

— Chcesz powiedzieć, że starożytni Egipcjanie wystawiali sami sobie pośmiertne pomniki?

— Mniej więcej. Zresztą w wielu mastabach rzeczywiście znajdowano posągi zmarłego, często przedstawiające go w otoczeniu

rodziny. Nawiasem mówiąc, jakie ty książki czytałeś. że nie wspominały o tym?

— Takie, które opisywały polskie odkrycia, a nie życie codzienne i wierzenia Egipcjan.

— A może po prostu opuściłeś kilka rozdziałów?

— Hej, jestem fotografem. Nie muszę być znawcą starożytności, aby robić dobre zdjęcia.

— Racja. Ale nie zaszkodziłoby ci. W każdym razie, Egipcjanie wyobrażali sobie życie po śmierci bardzo dosłownie. Po śmierci miało nastąpić odrodzenie w zaświatach, a każdy chciał tam mieć swoje ulubione rzeczy. I nie tylko rzeczy. W ostatniej podróży wysokim urzędnikom i faraonom czasem towarzyszyły żony, niewolnicy, wielbłądy...

— Straszne.

— Niektórzy uważali to za zaszczyt.

— Zapewne ci, którzy nigdzie się nie wybierali... — mruknął Andrzej, podnosząc do ust szklaneczkę z whisky.

— Znacznie częściej w grobach znajdowano przedmioty codziennego użytku — podjęła Anna. — Bizuterię, stoły, krzesła, amulety, figurki zwierząt, które miały służyć zmarłemu w zaświatach, a nawet łodzie. Grobowce Hetepheres czy Ramzesa Wielkiego przypominały kompletnie umeblowane, gotowe do zamieszkania komnaty. Niezależnie jednak od wystroju wnętrza, ściany komory grobowej, a nierzadko i korytarza do niej prowadzącego, pokrywały hieroglify sławiące zmarłego, zawierające inwokacje, modlitwy do bogów. Czy teraz rozumiesz już, dlaczego gładkie ściany tego grobowca są dla nas takim zaskoczeniem?

— Skończyłaś? — zapytał profesor, a gdy Anna przytaknęła, dodał: — To dobrze, bo ja też. Odszyfrowałem inskrypcję.

— Tak szybko? — zdziwił się Andrzej.

— Lata praktyki. I doskonała pamięć.

Orańczak położył na środku stołu kartkę, na której nakreślił hieroglify.

— Widzicie te symbole? — zapytał, wskazując palcem pierwszą grupę znaków. — To chyba imię. Kartusz, w którym zostały umieszczone, jest prostokątny, nie zaokrąglony, pochodzi więc z

Okresu Archaicznego, sprzed czwartej dynastii. Sądzę, że można to odczytać jako Sefian. Kolejne hieroglify oznaczają sprawowaną funkcję. Kapłan. A ten skarabeusz to symbol Chepriego, boga porannego słońca, młodzieńczego aspektu boga słońca. Re. Wieczorne słońce dla odmiany przedstawiano pod postacią mężczyzny z baranią głową.

— Całość więc można odczytać jako „Sefian. kapłan Chepriego”?

— Dokładnie tak. moja zdolna asystentko.

— Tylko ryle?

— Właśnie. Tylko tyle.

— Może sarkofag powie nam coś więcej?

— Może. Chodźmy poczynić odpowiednie przygotowania.

— Zostały już poczynione, panie profesorze — odrzekła Anna z uśmiechem.

— Zdziwiasz mnie — powiedział Orańczak i niemal wybiegł z namiotu.

W komorze grobowej rzeczywiście wszystko było już gotowe. W rogach komnaty ustawiono potężne reflektory, a wokół jasno oświetlonego sarkofagu sześciu krzepkich robotników pożywiało się kanapkami z serem, które popijali coca-colą.

Nieco dalej stało kilku studentów dyskutujących żywo o odkrytym grobowcu. Ich zadanie polegało na pilnowaniu robotników i doglądaniu przygotowań do otwarcia sarkofagu.

Orańczak podszedł do sarkofagu i przesunął dłonią po jego pokrywie. Potem się odsunął i dał znak robotnikom. Dwóch z nich naparło na ciężką płytę, która zaczęła się przesuwać z przeraźliwym zgrzytem. Dwóch następnych mężczyzn pchnęło pokrywę z drugiej strony, tak że ustawili ją najpierw na skos, a potem w poprzek pierwotnej pozycji. W końcu podnieśli ją i położyli na podłodze.

Profesor zajrzał do wnętrza sarkofagu i aż się zachłysnął z wrażenia. Anna i Andrzej zaglądali mu przez ramię.

W środku leżał drugi, mniejszy i wykonany z drewna sarkofag, a na jego pokrywie widniała płaskorzeźba przedstawiająca kapłana Chepriego.

— Jak żywy — szepnęła Anna.

— Wyciągnijcie go — zwrócił się profesor do robotników. Ci podnieśli nieco najpierw rzeźbioną w drewnie głowę i podłożyli pod nią linę, następnie powtórzyli czynność z drugiej strony trumny. Potem w czwórkę, stękając z wysiłku, zaczęli wybierać liny, aż trumna wynurzyła się z sarkofagu. Wtedy pozostała dwójka robotników uniosła ją i delikatnie położyła na płycie, która wcześniej przykrywała sarkofag.

Andrzej jak oszalały pstrykał zdjęcia, a Orańczak i jego asystentka wpatrywali się urzeczeni w łysą czaszkę i surową twarz kapłana o ostro zarysowanym podbródku i lekko wystających kościach policzkowych. Skrzyżowane na piersi dłonie nieco zmurzały, ale wciąż doskonale widoczne były ornamenty zdobiące szatę zmarłego i łańcuch otaczający szyję.

— Może nadal ma na sobie pierwowzór — powiedział Orańczak podekscytowany do granic.

I te oczy. Ciemne oczy, od których Anna nie potrafiła oderwać wzroku, zdawały się przenikać nieskończoność i przydawały twarzy kapłana osobliwej urody.

— Unieście wieko — zawołał profesor drżącym głosem.

Robotnicy posłusznie przyklęknęli i zaczęli powoli i ostrożnie podnosić misternie rzeźbione wieko. Kiedy w końcu znalazło się na ziemi, trójka odkrywców rzuciła się do otwartej trumny. Studenci usiłowali dojrzeć coś ponad ich ramionami.

Widok był tak niespodziewany i nieoczekiwany, że na moment wszystkim odebrało mowę.

— Sefianie, kim byłeś? — zapytał wreszcie profesor, wpatrując się w stertę kamieni zajmujących miejsce przeznaczone dla mumii kapłana.

Zrozumiał, że natrafił na nie tyle nietknięty grobowiec, co raczej nigdy nie wykorzystany. Wydawało się, że mastaba jest po prostu wielką atrapą, bo jacy rabusie grobów po wyniesieniu mumii napełniliby trumnę kamieniami, zamknęli ją szczelnie w sarkofagu i przykryli szyb prowadzący do komory grobowej granitową płytą?

Była to nie lada zagadka, a profesor żywił bardzo silne przekonanie, że nigdy nie pozna jej rozwiązania.

ROZDZIAŁ 7

Egipt, 3000 lat p.n.e.

Pustynia. Bezkrzesne monę piasku, w którym oazy są niczym wyspy. Jedyne towarzyszami są palące słońce i suchy wiatr, pędzący przed sobą wydmy. W istocie jesteś sam ze swoimi myślami. Nietrudno zmylić drogę i zabłądzić. A jeśli tak się stanie, to nie ma ratunku. Pustynia nie wybacza. Nie zna litości dla tych, którzy dadzą się skusić obrazom ogrodów i odpoczynku w ich cieniu. Zawsze pozostającym na horyzoncie, na wyciągnięcie ręki, a jednak niedostępnym. Samotność, szaleństwo i śmierć, oto czym jest pustynia. Samotną śmiercią w szaleństwie. Chyba że jesteś silny, doskonale wiesz, dokąd zmierzasz i jesteś pewien swej drogi. Wtedy i tylko wtedy pustynia nie ma nad tobą władzy. Jeśli zwątpisz — zginiesz i nawet sępy nie znajdą twoich zwłok. Ja wiem, dokąd idę. Szlak jest prosty, gwiazdy wskazują drogę. Wkrótce wzejdzie słońce, a niedługo potem powinienem znaleźć ogród, maleńką wyspę pełną życia na tym bezkrzesnym oceanie z piasku. A potem dalej i dalej, aż do celu. na spotkanie z faraonem, który czeka na Rydwan Bogów, aby go ukryć przed światem. Rydwan. Jaka to dziwna nazwa dla czarnej kuli, o której tak mało wiemy. A teraz trzeba ją schować, żeby nikt inny nie zgłębił jej tajemnic. Ale czy coś tak potężnego da się ukryć na długo? Zawsze znajdzie się ktoś, kto pamięta i ktoś, kto pragnie. I ktoś kiedyś znów odnajdzie tę kulę i zrobi z niej użytek. To już nie będzie moje zmartwienie. Ani nikogo z mojego pokolenia. Pamięć jest świeża, zagrożenie bliskie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Rydwan

zniknie ze świata na długie stulecia, a potem... Nie ma znaczenia, co będzie potem. Ważne jest to, co jest teraz, a teraz jest pustynia i piasek...

Czwartego dnia podróży o świcie, leżąc w cieniu karłowatej palmy. Sefian zauważył, że jest śledzony.

Człowiek na wielbłądzie. Sam? Czy tylko zwiadowca oddziału kryjącego się za wydumą? Jeśli to drugie, to doprawdy jakiś młokos nie mający pojęcia o sztuce wojennej. Powinien wiedzieć, że

zbliża się do oazy, powinien założyć, że znużony wędrowiec zechce tu odpocząć, wreszcie powinien zostawić wielbłąda niżej i wczłgać się na wydmy. Miałby większe szanse pozostania niezauważonym, a jednocześnie sam mógłby swobodnie obserwować oazę. Podstawową trudnością przy tego typu obserwacjach jest brak osłoniętych miejsc. Jak okiem sięgnąć — sam piasek, a w oazie może się przecież z powodzeniem kryć mała armia.

Tajemniczy zwiadowca wciąż znajdował się na szczycie wydmy, jakby w nosie miał to, czy ktoś go zauważy. W końcu zachwiał się. spadł z siodła i już nie wstał. Po chwili wielbłąd położył się obok swojego pana.

Sefian stanął przed dylematem. Najwyraźniej szpieg był sam. do tego zupełnie nie miał doświadczenia. A teraz umierał, zapewne z pragnienia, o rzut kamieniem od oazy. Logika nakazywała zostawić go tam, gdzie leży. W końcu był wrogiem. Sumienie jednak podpowiadało, że należy udzielić mu pomocy. Zawsze można będzie zostawić go w oazie i zabrać wielbłąda. W ten sposób biedak przeżyje, ale nie będzie już nikogo śledził. A przy odrobinie szczęścia, ktoś się zainteresuje jego losem i może go znajdzie.

Sefian osiodłał wielbłąda i ruszył w stronę nieprzytomnego człowieka. Postanowił jednak zachować więcej ostrożności. niż nieszczęśnik, który go śledził, toteż zostawił wielbłąda pod szczytem wydmy i dalej ruszył pieszo. Nie mógł mieć pewności, że za zwiadowcą nie podążają inni. Być może właśnie teraz zbliżają się do wydmy z drugiej strony, a on za chwilę wpadnie im w ramiona. Tak czy inaczej, nie było sensu zawracać. Z mozołem piął się coraz wyżej, grzęznąc w sypkim piasku, aż zostało mu do pokonania tylko kilka metrów.

Wielbłąd patrzył na niego podejrzliwie, leniwie przeżuając. Sefian zignorował zwierzę i leżącego obok człowieka, wchodząc jeszcze wyżej, aż mógł spojrzeć na krajobraz za wydumą.

Piasek. Nic. tylko piasek.

Teraz, kiedy się upewnił, że szpieg jest sam. mógł się nim zająć. Podeszedł do nieruchomej postaci i zamarł.

— Synu — szepnął.

Achon leżał twarzą w dół. lecz ojciec poznał go od razu. Ukląkł

przy chłopcu, odwrócił go i delikatnie wziął w ramiona. Głowa Achona bezwładnie opadła do tyłu. Był rozpalony. Sefian podniósł go i posadził przed sobą na wielbłądzie. Zwierzę posłusznie wstało i ruszyło w kierunku oazy. Po drodze kapłan chwycił lejce swojego wielbłąda i po kilku minutach znaleźli się w cieniu drzew.

Sefian wmusił w syna nieco wody. Chłopak jęknął, ale nic otworzył oczu. Achon nie zabrał żadnych zapasów oprócz dwóch bukłaków z wodą, teraz już pustych.

Skąd się tu wziął? Po co pojechał za ojcem? I jak tu trafił? Te pytania trapiły Sefiana, ale musiały poczekać. Najpierw należało się zaopiekować chłopcem, a gdy ten odzyska przytomność, na pewno wszystko mu wyjawia.

Wieczorem Achon dostał dreszczy. Sefian okrył go futrami i rozpalil ognisko. Postanowił, że tę noc i być może jeszcze następny dzień spędzą w oazie. Położył się koło syna i zapatrzył w gwiazdy.

Ocknął się, gdy usłyszał słaby głos Achona:

— Ojczy?

— Jestem — odparł kapłan, lecz Achon ponownie stracił przytomność.

Sefian spojrzal w gwiazdy i stwierdził, że minęły trzy godziny. Ognisko dogasało, więc dorzucił drew. Potem znów się położył i zasnął.

Zbudził się o świcie. Achon siedział opatulony w futra przy wygasłym ognisku, grzebiąc patykiem w popiołach.

— Jak się czujesz? — zapytał Sefian, wstając.

— Dobrze. Strasznie chciało mi się pić — odparł Achon, odwracając się w stronę nadchodzącego ojca.

— Byłeś odwodniony.

— Chyba tak.

— Miałeś sporo szczęścia, chłopcze — stwierdził kapłan nieco ostrzej, niż zamierzał.

— Wiem.

— Dlaczego przyjechałeś za mną i jak udało ci się mnie znaleźć?

— Nie chciałem cię stracić, ojczy. A wiedziałem, gdzie cię szukać, bo słyszałem jak Merukes rozmawia z Daikanem o łodzi i oazach. Ukradłem im wielbłąda i ruszyłem za tobą.

— Dziękuj Horusowi za to, że mnie odnalazłeś. Ale dlaczego w ogóle zdobyłeś się na takie głupstwo?

— Mówiłem. Nie chcę cię stracić. Kiedy patrzyłem z okna jak odjeżdżasz, miałem wrażenie, że widzę cię po raz ostatni. A Merukes... on już chyba nie jest sobą, ojczy.

Sefian kiwnął głową w zamyśleniu. Nauczył się już nie ignorować przeczuć syna, choć nie zawsze się sprawdzały. Miał nadzieję, że to właśnie jeden z tych przypadków.

— Wykradłem wielbłąda i wyruszyłem rankiem po tobie — ciągnął Achon. — Zatrzymałem się w oazie, żeby uzupełnić wodę. Potem znalazłem się tu.

Chłopiec najwyraźniej nic miał już nic do dodania, ponieważ znów zaczął grzebać patykami w popiele.

— Mogę jechać z tobą do Inebu-Hedż? — zapytał po chwili.

— Tak — odparł Sefian.

Właściwie nie miał wyboru, Achon postawił go przed faktem dokonanym. Przebył pustynię, aby znaleźć ojca. Miał go odesłać z powrotem? Chłopiec mógłby tego nie przeżyć albo po prostu nie usłuchać i nadal podążać jego tropem. Sefian był zdania, że Achon tak właśnie by postąpił.

Nie mógł też wrócić z synem do Behdet i ponownie oddać go pod opiekę Merukesa. To byłoby zbyt niebezpieczne. No i nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu. Chłopiec tak czy inaczej będzie stanowił obciążenie w podróży.

— Wyruszymy po zmroku — stwierdził Sefian, po czym dodał — Myślę, że czas na śniadanie.

Posiłek złożony z chleba, sera i świeżych daktyli zerwanych z pobliskich palm zjedli w milczeniu. Sefiana nurtował kolejny kłopot. Czy wystarczy żywności dla nich obu? Racje, które zabrał ze sobą obliczone były na jedną osobę.

Cóż, tym będę się martwił, gdy przyjdzie na to czas.

Po śniadaniu Achon wybrał się na przechadzkę po okolicy.

Była to całkiem spora oaza. Ukryta w dolinie pomiędzy wydma-

mi wyglądała jak mały, zapomniany kawałek Krainy Bogów. W środku znajdowało się krystalicznie czyste jezioro, którego brzegi porastał tamaryszek. Nieco dalej pięły się w górę palmy daktylowe, tworząc prawdziwy gaj.

Achon usiadł wśród pachnących krzewów i zanurzył stopy w wodzie. Podobało mu się tutaj. Oaza przypominała wspaniały ogród, jeśli potrafiło się na chwilę zapomnieć o otaczających ją ze wszystkich stron piaskach. Cisza i spokój z dala od zgiełku miasta i Świątyni. Był świadomy, że to nie potrwa długo. Wkrótce wraz z ojcem opuści oazę i wyruszą w głąb pustyni.

Miał niebywale szczęście, że odnalazł ojca i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Może sam Horus nad nim czuwał? Pytanie tylko, co dalej? Owszem, jest tutaj, dopiął swego, ale w gruncie rzeczy decyzja była nieprzemyślana, nie zastanawiał się też nad konsekwencjami swojego czynu.

Po kilkunastu minutach przy Achonie pojawił się Sefian. Pomimo gęsto rosnących krzewów, stąpił cicho jak kot i Achon go nie zauważył, dopóki nie usiadł obok niego. Podobnie jak syn zanurzył bosc stopy w wodzie, zapatrzył się w palmy rosnące na drugim brzegu jeziora i zasłuchał w ciszę.

Przemówił dopiero po kilku chwilach:

— Myślę, że powinieneś znać powód mojej wyprawy.

— Chodzi o Rydwan Bogów?

— Skąd wiesz o Rydwanie? — zapytał Sefian, gwałtownie odwracając się w stronę Achona.

— Mówiłem ci, że słyszałem jak Merukes rozmawia z Daikaniem. Myśleli, że są sami, więc rozmawiali swobodnie.

— A co wiesz o Rydwanie?

— Nic ponad to, że musi zostać ukryty. Myślę, że jest czymś bardzo ważnym.

Sefian skinął głową.

— Wiozę go do Inebu-Hedż, gdzie zajmie się nim faraon.

— Dlaczego?

— No właśnie. To jest sedno całej sprawy. Czy wiesz jak inaczej nazywany jest Rydwan Bogów?

— Nie.

— Mówi się o nim Oko Horusa. Albo Oko Seta.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie — twarz Sefiana na moment rozjaśnił uśmiech. Achona zalała gorąca fala synowskiej miłości. — W każdym razie nie do końca. Przypuszczam, że nikt nie rozumie. Nadając Rydwanowi nazwę Oka Horusa, kapłani Świątyni w istocie przywłaszczyli go sobie. Są w końcu wykonawcami woli Horusa, a to oznacza, że jego intencją było przekazanie kapłanom Rydwanu. Dość pokrętna logika, nie uważasz?

Achon energicznie pokiwał głową. Rzeczywiście wydawało mu się, że rozumie, co ojciec chce mu przekazać.

— W każdym razie — ciągnął Sefian — druga strona myśli lak samo.

— Ci, którzy Rydwan nazwali Okiem Seta? — domyślił się chłopiec.

— Tak. Jak wiesz, Horus i Set są braćmi. Kapłani Świątyni uczą, że Set został zniszczony, ale to nieprawda. Jak można zabić boga? Można o nim najwyżej zapomnieć, a Set nie został zapomniany.

Kapłan nagle zmienił temat.

— Legenda głosi — mówił — że bracia stworzyli Rydwan wspólnymi siłami, a potem, jak to często między braćmi bywa, pokłócili się o niego. W wyniku tej kłótni Rydwan znalazł się na ziemi. Być może w tej opowieści jest ziarnko prawdy, ale w rzeczywistości nie mamy pojęcia, skąd wziął się Rydwan.

— Nie stworzyli go bogowie?

— Nie wiem. Wiem natomiast, że wierzy w to Merukes i inni kapłani. Dzięki temu wydaje im się, że mają prawo do Rydwanu. Usprawiedliwiają to prawo sami przed sobą. Ale Rydwan nie należał do Egiptu od zawsze.

— Nie?

— Nie. Przybył do nas z Wielkiej Wyspy. Nie wiemy, skąd jej mieszkańcy mieli Rydwan. Wiemy natomiast, że na długie lata Rydwan wpadł w ręce ludzi, którzy okrzyknęli go Okiem Seta. To był smutny czas dla Egiptu. Prowadziliśmy wojny niemal z każdym sąsiadującym państwem i plemieniem.

— Mówisz, jakbyś pamiętał te czasy.

— Nie było mnie wtedy na świecie — Sefian ponownie się uśmiechnął. — Ani Merukesa. Działo się to setki lat temu. Legenda o Horusie i Secie dopiero się rodziła.

— Nic wierzysz w Horusa ani w Seta, prawda?

— Powiem ci coś, choć nie jestem pewien, czy powinienem. Jesteś jednak bystrym chłopcem i wcześniej czy później pewnie sam byś na to wpadł. Horus i Set to tylko imiona. Mógłbyś ich nazwać Figa i Daktyl, a nic by to nie zmieniło.

Achon był wstrząśnięty. Słowa ojca kłóciły się z wszystkim tym, co przez lata wpajali jemu i innym dzieciom kapłani Świątyni.

— Horus i Set, czy jak ich tam nazwiesz — ciągnął Sefian, spoglądając uważnie na syna — to tylko symbole. Personifikacja dwóch wiecznych, przeciwstawnych sił. Większość ludzi określa je jako Dobro i Zło, ale to jest zbyt uproszczenie. My nazywamy te siły Światłem i Ciemnością, Łądem i Chaosem lub, co mi najbardziej odpowiada, Bytem i Niebytem. Nie masz pojęcia o czym mówię, prawda?

Achon pokręcił głową. Oczy miał wielkie jak spodki z przerażenia. Nigdy jeszcze nie słyszał takich bluźnierstw. Sefian z łagodnym uśmiechem zwichrzył mu czuprynę.

— A chcesz zrozumieć? — zapytał.

— Chcę.

— Dobrze — Sefian popatrzył w niebo i dodał: — Słońce zaraz stanie w zenicie. Chodź, schowamy się w cieniu palm.

Po chwili oboje siedzieli pod rozłożystym drzewem i oparci o pień zajadali daktyle. Sefian kontynuował swą opowieść.

— Ludzi można podzielić na dwa typy. Na tych, którzy chcą być i tych, którzy chcą mieć. Rozumiesz? Ci pierwsi są nastawieni na rozwój duchowy, drudzy zaś to straszni materialści. Każdy człowiek sam dokonuje wyboru i to niekoniecznie w tym życiu. Mógł wybrać w poprzednim albo jeszcze wcześniejszym wcieleniu, mógł też jeszcze nie zdecydować. Efekt na ogół jest taki, że ludziom, którzy stoją po stronie Bytu nie trzeba wiele do szczęścia. Na pewno znasz takich ludzi. Wydają się może biedni, ale są

szczęśliwi. Tych drugich natomiast często zżera ambicja nie do zaspokojenia, zazdrość, zawiść, głód posiadania oraz nierzadko głód władzy. Mógłbyś tych ludzi nazwać złymi. I w tym kryje się trudność, bo oni z kolei mogą tak myśleć o tobie.

— Dlaczego?

— Ponieważ mają odwrócony system wartości. Jeśli dla nas na pierwszym miejscu jest miłość, to dla nich jest tam jej przeciwieństwo. My chcemy być, oni chcą mieć. Dla nas oni są źli, dla nich to my jesteśmy źli. Teraz rozumiesz?

— Chyba tak. Mniej więcej.

— Zło i dobro to pojęcia względne, mój synu. Ale chyba za bardzo odbiegłem od tematu. Mówiliśmy o Rydwanie. Jakiś czas po przybyciu ludzi z Wielkiej Wyspy, Rydwan dostał się w ręce wyznawców Seta. Nastął czas wojen. Podczas którejś z bitew zdarzył się przedziwny wypadek. Zabłąkana strzała zabiła potężnego maga, który akurat dzierżył Rydwan i rzucał jakieś zaklęcie. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto wypuścił strzałę, ani co to był za czar. Mag upadł, a nieukończony zaklęcie dosłownie eksplodowało, zabijając połowę wrogiej armii. To musiało być coś naprawdę potężnego i wolę nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby owemu magowi udało się rzucić ten czar. No cóż, nic udało mu się na szczęście. Ktoś mógłby nazwać to przypadkiem, zbiegiem okoliczności. Ja nie wierzę w przypadki. Wierzę w przeznaczenie. W każdym razie wróg się rozproszył, żołnierze uciekali w popłochu i bitwa się skończyła. Kapłani Horusa odnaleźli Rydwan i ukryli go. Jego istnienie zostało zatajone, rozpuszczono plotkę, że uległ zniszczeniu w bitwie.

— Wiec skąd to całe zamieszanie?

— Jakiś czas temu szpiedzy na dworze faraona odkryli, że Rydwan nie został zniszczony, że znajduje się w Świątyni Horusa. Widzisz, pozwoliliśmy faraonowi użyć go do zjednoczenia Egiptu kilkanaście lat temu, jeszcze zanim ty się urodziłeś. Bogowie wiedzą, że odradzałem to kapłanom, ale oni sądzili, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Mylili się. Ktoś dowiedział się o Rydwanie i zaczęły się kłopoty. Trzeba było zabrać Rydwan ze Świątyni i ukryć go gdzie indziej. Zajmie się tym osobiście faraon. I wiesz

co? Martwi mnie to.

— Dlaczego?

— Faraon jest człowiekiem o silnym charakterze i silnej woli. Potrafił użyć Rydwanu zgodnie z własną wolą. Nie jestem do końca przekonany, że uda mu się oprzeć pokusie i użyć go ponownie. Poza tym wiemy, że w pałacu są szpiegzy. To tak, jakbyśmy wchodzili do gniazda szerszeni.

— Nie wierzysz w siłę i rozsądek faraona, prawda?

— Masz rację. Być może niesłusznie wątpię. Widzisz, w istocie nie udaję się do stolicy. Faraon będzie mnie oczekiwał u stóp Wielkiej Piramidy.

— Czy wobec tego nie lepiej by było zniszczyć Rydwan?

— Zniszczyć coś tak potężnego? — zdziwił się Sefian.

— Tak. Być może z jego pomocą udało się zjednoczyć kraj, ale spowodował też wiele bólu i cierpienia.

— Ponownie masz rację. Tylko że Rydwanu nic da się zniszczyć. Mieszkańcy Wielkiej Wyspy próbowali tego. Próba zakończyła się zniszczeniem Wyspy.

Na pustyni noc zapada błyskawicznie. Równie szybko spada temperatura. Niebo rozjaśniły już pierwsze gwiazdy, gdy Sefian i Achon wyruszyli w drogę.

— Musimy jechać nocą? — zapytał chłopak. Drżał z zimna, mimo że był okryty grubym futrem.

— Dziś tak. Straciłem cały dzień, więc musimy to teraz nadrobić. Zatrzymamy się dopiero w południe. Zrobimy sobie kilka godzin przerwy i ruszymy dalej, już bez dalszych postoi aż do zmroku. O świcie znów będziemy w drodze.

Achon jęknął w duchu. Gdy uciekł ze Świątyni, podróżował niemal bez przerwy, jedynie w najzimniejsze godziny nocy zatrzymując się i tuląc do wielbłąda w poszukiwaniu ciepła. Nie wspominał tego najlepiej.

— Ojczy, czy zobaczę piramidy?

— Tak. Z pewnością.

— Wspaniale. Zawsze chciałem je zobaczyć.

— Wiem.

- Ojczy?
- Tak?
- Kto zbudował piramidy?
- Ludzie.
- Tacy jak my?
- Nie. Znacznie mądrzejsi i potężniejszy. Ostatni ocaleni z Wielkiej Wyspy.
- Co się z nimi stało?
- Zabiliśmy ich. Zabiliśmy ich wszystkich.

ROZDZIAŁ 8

Kazimierz Dolny. 2004

— Kim byłeś, Sefianic? — szepnął Orańczak do siebie, zajeżdżając na parking przed szpitalem.

Wspominanie dawnych dziejów zajęło mu całą drogę i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że niewiele z niej pamięta.

Cud. że umknąłem wypadku...

Sympatyczna, atrakcyjna recepcjonistka, powiedziała mu, na którym piętrze leży nieszczęsny student. Również ona zapewniła go, że ofierze wypadku nie zagraża niebezpieczeństwo. Najwyraźniej uprzedził ją któryś z lekarzy albo Anna, że zjawi się ktoś jeszcze z ekipy archeologów, więc z góry przygotowała sobie uspokajający komunikat.

Gdy tylko Orańczak wyszedł z windy na jasno oświetlony, biały korytarz, ujrzał Annę i tajemniczego wysłannika władz Zakonu Braci Mniejszych pograżonych w rozmowie.

Franciszkanin pierwszy spostrzegł profesora, gdy ten akurat mijał pielęgniarkę w połowie korytarza.

— Pan zapewne jest tym słynnym egiptologiem, który prowadzi wykopaliska w Kazimierzu — powiedział, wychodząc profesorowi naprzeciw.

— Owszem, to ja. Antoni Orańczak.

Uścisnęli sobie dłonie. Zakonnik utkwiał spojrzenie skryte za ciemnymi okularami w oczach profesora i wpatrywał się w nie tak długo, aż Orańczak poczuł dreszcze na plecach.

— Tomasz Wysocki — przedstawił się w końcu mnich.

Uśmiechnął się lekko, samymi tylko ustami. W ciemnych szklach profesor wciąż widział tylko swoje odbicie.

— Dobrze, że już jesteś — rzuciła Anna, dając profesorowi pretekst do zwolnienia uścisku i oderwania wzroku od zakonnika — Choć wcale nic musiałeś przyjeżdżać. Wszystko jest pod kontrolą.

— Co się właściwie stało? — zapytał profesor, mijając Tomasa.

— Może usiadzimy — zaproponował Wysocki, wskazując na ustawione pod ścianą plastikowe krzeselka.

Cała trójka spoczęła na niezbyt wygodnych siedziskach i Anna zrelacjonowała profesorowi przebieg wydarzeń na wyspie,

— I jeszcze nie odzyskał przytomności? — zapytał profesor, gdy Anna skończyła.

— Nie.

— Więc jak możesz mówić, że wszystko jest pod kontrolą?

— Bo jest. Lekarze nie stwierdzili żadnych uszkodzeń mózgu, podejrzewają jedynie szok pourazowy.

— A gdzie teraz są ci lekarze?

— Jeden właśnie tu idzie — wtrącił Wysocki.

Rzeczywiście. Korytarzem szedł mężczyzna w średnim wieku, o lekko zgarbionej sylwetce i zmęczonej twarzy lekarza pod koniec dwunastogodzinnego dyżuru. Bawił się słuchawką stetoskopu zawieszoną na szyi.

— To pan opiekuje się studentem, którego niedawno tu przewieziono? — zawołał Orańczak, zastępując zaskoczonemu lekarzowi drogę.

— Pawłem Rasza? Tak. A pan jest...

— Profesorem archeologii odpowiedzialnym za niego.

— Ach tak. Zbigniew Małecki, miło mi.

— Co może mi pan powiedzieć o stanie pana Raszy? — zapytał Orańczak, ignorując wyciągniętą dłoń lekarza.

— Hm... Jest stabilny. O ile mi wiadomo, ma lekkie wstrząśnienie mózgu i przez parę dni będzie musiał zostać w szpitalu, ale poza tym wszystko w porządku.

— Wstrząśnienie mózgu?

— Lekkie. Proszę się nie martwić. Przez jakiś czas będzie miał

zawroty głowy i nudności, nic więcej.

— Dlaczego jeszcze nie odzyskał przytomności?

— Czasem się to zdarza w podobnych przypadkach, ale powtarzam, naprawdę nie ma się czym martwić. Pan Rasza niedługo zapewne się obudzi.

Orańczak podejrzewał, że doktor nie mówi mu całej prawdy.

Małecki nie ma pojęcia czy i kiedy Paweł Rasza się obudzi, ale przecież się nie przyzna, prawda?

— Możemy go zobaczyć?

— Owszem, tylko proszę nie za długo. Zaprowadzić pana?

— Dziękuję. Myślę, że moja asystentka wie, w którym pokoju leży pan Rasza.

Lekarz skinął głową i poszedł dalej, wciąż miętosząc słuchawkę stetoskopu.

— Pójdziemy? — zwrócił się Orańczak do Anny, a widząc, że Wysocki również wstaje, dodał: — Będzie ksiądz łaskaw poczekać tu na nas.

Wysocki przez chwilę świdrował Orańczaka wzrokiem, nim wreszcie odparł:

— Oczywiście. Ale proszę mi mówić „bracie”. Nie jestem wyświęconym księdzem.

Anna poprowadziła profesora w głąb korytarza.

— Dlaczego jesteś taki napastliwy? — zapytała, otwierając drzwi jednej z izolatek i wchodząc do środka.

— Ten stary ramol z klasztoru złożył zażalenie, a prowincjał przysyła swojego człowieka, żeby nas pilnował i mówił, gdzie możemy kopać, a gdzie nie i jeszcze przy tym będzie się powoływał na Słowo Boże. Nie irytuje cię to?

— Irytuje, ale to akurat nie jego wina, że ma do spełnienia takie, a nie inne zadanie.

Stali przy łóżku nieprzytomnego studenta. Na ekranie niewielkiego monitora zielona linia podskakiwała w rytm bicia jego serca. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących.

Profesor spojrział przelotnie na Pawła i wrócił do przerwanej dyskusji.

— Nie będzie mi mówił, jak mam prowadzić wykopaliska.

— A kto twierdził, że w ogóle będzie próbował? Uprzedziłeś się do niego. Wiem, że nie przepadasz za duchownymi, ale..,

— To nie ma nic wspólnego z faktem, że jest duchownym. Gdyby był arabskim sułtanem, tak samo nie podobałaby mi się jego obecność. W tych okularach wygląda jak jakiś tajniak. W ogóle ich nie zdejmuję.

— Posłuchaj. Wiem, dlaczego tak szybko tu przyjechałeś. Mnie też na początku nic przypadł do gustu, ale bardzo mi pomógł tam, na wyspie.

Profesor milczał przez chwilę. Przeniósł wzrok na twarz Pawła. Podeszedł do łóżka.

— Denerwuje mnie, gdy tak na mnie patrzy, a ja widzę tylko swoją gębę w tych jego szklach.

— Wiem. Dreszcze człowieka przechodzą.

— Będzie nam uważnie patrzył na ręce. Myślę, że prowincjał nie bez powodu go wybrał.

Nagle z ust Pawła wydobył się przeciągły jęk, Otworzył oczy, powiódł rozbieranym wzrokiem po twarzach Anny i profesora, ale nic potrafił go na nich ani zogniskować, ani zatrzymać na dłużej, więc z powrotem zacisnął mocno powieki.

Anna przysiadła na skraju łóżka i dotknęła czoła studenta.

— Paweł? Jak się czujesz?

Profesor właśnie chciał wyjść i zawołać lekarza, ale w tym momencie Paweł znów się odezwał.

— Kopia... rozdzierają... znajdują... nie mogą — znów otworzył oczy i spojrzał wprost na profesora. — Nie możecie. Nie wolno wam! Słyszycie? Nie wolno!

— Paweł? O co ci... — profesor nie dokończył, ponieważ w tym momencie student zaczął się rzucać na łóżku i krzyczeć.

— Pomóż mi! — zawołała Anna, starając się przytrzymać Pawła.

Profesor podbiegł na drugą stronę łóżka i chwycił studenta za rękę, przyciskając ją mocno do prześcieradła. Wolną dłonią wcisnął znajdujący się za głową pacjenta przycisk wezwania pielęgniarki.

Po chwili do pokoju weszła młoda kobieta. Rzuciła okiem na

scenę rozgrywającą się wewnątrz i natychmiast wybiegła, wołając doktora Małeckiego.

Lekarz przybiegł po kilkunastu sekundach. Pielęgniarka podała mu strzykawkę z fenytoiną. Paweł przestał krzyczeć, ale wciąż rzucał się jak ryba wyciągnięta na brzeg. Małecki zdjął nasadkę z igły, przytrzymał ramię Pawła i usiłował znaleźć żyłę. Po chwili mu się to udało, a wtedy się w nią wkłuł i wcisnął tłok strzykawki. W kilka sekund Paweł się uspokoił.

Orańczak był przerażony nagłym atakiem.

— Co to było? — zapytał.

— Nie mam pojęcia — odparł lekarz. — Ale dowiemy się. Myślę, że potrzebne są dodatkowe badania.

Orańczak spojrział przez otwarte drzwi izolatki. Na korytarzu stał Tomasz Wysocki, ale nic patrzył na profesora. Wzrok miał skupiony na Pawle.

— Czy pacjent coś mówił? — zapytał lekarz.

— Majaczył. Nie było w tym sensu.

— Dobrze. Proszę, by państwo wyszli z pokoju.

Anna i profesor wyszli razem z pielęgniarką.

— Drodzy państwo, nic tu po was. Proszę wracać do domu. Skontaktuję się z państwem, jak tylko otrzymam wyniki. Pani Nawrot podała mi numer swojej komórki — powiedział Małecki, wychodząc na korytarz.

— Panie doktorze...

— Nie, panie profesorze. Już wystarczy, pacjent potrzebuje spokoju i odpoczynku. Czy rodzina została powiadomiona o wypadku?

Profesor spojrział na Annę. Ta skinęła głową.

— Bardzo dobrze — rzekł Małecki. — A teraz proszę już

Anna, profesor i brat stali w korytarzu jeszcze chwilę po tym, gdy doktor Małecki zamknął drzwi pokoju, w którym leżał Paweł Raza. W końcu ciszę przerwał Wysocki.

— Profesorze, myślę, że powinniśmy porozmawiać.

— Oczywiście. Ale nie dziś. Proszę wybaczyć. To był ciężki dzień. Niech brat będzie jutro o dziewiątej rano na przystani. Zabierze się brat z nami na wyspę. Będziemy mieli dużo czasu na

rozmowy.

— Oczywiście.

Cała trójka udała się do windy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy wychodzili przez główne drzwi szpitala. Wysocki rzucił im zdawkowe „do widzenia”. Profesor śledził wzrokiem zakonniką, aż ten wsiadł do swojego volvo.

— Jeździ czymś takim? — zdumiał się Orańczak, siadając za kierownicą jeepa. — Nieźle im płacą, nie ma co.

— To służbowy samochód — odparła Anna.

— Przyjechałaś z nim?

— No pewnie. A jak inaczej miałam się tu dostać twoim zdaniem?

— Masz rację — westchnął profesor. — Przepraszam.

— Jedźmy już. Jestem głodna.

— A właśnie. Nic mówiłem ci jeszcze, że spotkałem na rynku Andrzeja Stawickiego.

— A co on tu robi?

— Mówił, że jest na urlopie. Zaprosiłem go dziś do nas na kolację.

— Co zrobiłeś?! Dlaczego?

— A dlaczego nie? Przyjaźnimy się od dawna.

— O Boże... — jęknęła Anna.

— Daj spokój. Nie sądzisz, że już najwyższy czas zakopać topór wojenny? Minęło już sporo czasu.

Anna nie odpowiedziała.

Zawędrowali aż do wąwozu zwanego Korzeniowym Dołem. Adi biegał od jednego stromego zbocza do drugiego, obwąchując ziemię. Andrzej i Iza szli za nim.

Promienie zachodzącego słońca barwiły ścieżkę złotymi plamami. Droga wiała się pod górę, a nad nią splecione korony drzew tworzyły szumiący baldachim. Grube korzenie, od których wąwóz wziął swą nazwę, wyrastały wprost z lessowych ścian, po czym wystrzeliwały w górę, przekształcając się w sękate pnie i konary.

— Więc to było twoje pierwsze zlecenie?

— Nic. To był mój pierwszy wyjazd zagraniczny.

— I od razu Egipt. Nieźle.

Przez ostatnie pół godziny Andrzej opowiadał Izie o swoim udziale w polskiej ekspedycji archeologicznej, która odkryła tajemniczy grobowiec z trumną wypełnioną kamieniami. Mówił o profesorze Orańczaku i ich przyjaźni, ale ani słowem nie wspominał o swoim romansie z Anną.

— Ma pan niezwykłych przyjaciół, panie fotografie.

— O, tak. Antoni jest rzeczywiście wyjątkową osobistością.

Przez chwilę szli w milczeniu, słuchając koncertujących Świerszczy.

— Dawno się nie widzieliśmy — podjął Andrzej. — Głównie z mojej winy.

— Jak to?

— Nie dbam o swoje znajomości, szczególnie te dalsze. Pomi-
mo iż uważam Antoniego za swojego przyjaciela, to jednak cha-
rakter mojej i jego pracy nie pozwalały nam na zbyt częste kon-
takty. W końcu przestaliśmy się spotykać nawet sporadycznie.
Przez jakiś czas pisaliśmy do siebie listy, ale i to się skończyło.
Do tego jeszcze kłopoty w domu... Prawdziwy cud, że się tu spo-
tkaliśmy.

— Czyżby?

— Co czyżby?

— Uznasz mnie za wariatkę, ale co tam. Nie będziesz pierwszy.

Wymuszony śmiech Izy wprowadził Andrzeja w zakłopotanie.

— Obiecuję, że nie — zapewnił natychmiast, ale zabrzmiało to sztucznie.

Nagle pojawił się między nimi jakiś dystans. Nawet odsunęli się od siebie nieznacznie. Andrzejowi stanęła przed oczami Gosia podczas jednego z tych napadów, kiedy wydzierała się, że jest pa-
ranoikiem, jak jej ojciec.

— Moja żona też czasem uważała, że jestem świrem.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Ty pierwsza.

Napięcie opadło. Wyznanie Andrzeja ośmieliło Izę, znów szli
ramię w ramię.

— Okay. Słyszałeś kiedyś o synchroniczności?

— Zapewne nie chodzi ci o pojęcie z zakresu fizyki?

— Nic. Chodzi raczej o to, że nic nie dzieje się przypadkiem. Tak zwane zbiegi okoliczności nie są wcale zbiegami okoliczności. Przypadek nie istnieje.

— Chcesz powiedzieć, że wszystko jest częścią jakiegoś wielkiego planu?

— Myślisz o przeznaczeniu?

— Tak.

— Nie całkiem o to mi chodzi. Kurczę, jak ci to wyjaśnić... Nie neguję istnienia przeznaczenia, ale pojmuję je nieco inaczej niż inni ludzie. Nie całe nasze życie jest z góry zaplanowane.

— Tylko niektóre zdarzenia?

— Właśnie. Każdy na tym świecie ma jakiś cel, jakieś zadanie do spełnienia. Określone wydarzenia czy sytuacje kierują nas ku temu celowi, ale nie podlega mu całe życie.

— Jednym słowem jesteś zdania, że spotkanie z Antonim tu, w Kazimierzu, nie jest przypadkowe.

— Otóż to.

— A jaki jest jego sens?

— Tego nie wiem. To twoje życie i twój przyjaciel, z którym nie utrzymujesz kontaktów. Być może celem tego spotkania jest właśnie odnowienie tego kontaktu?

— Tak myślisz?

— To jest logiczne wyjaśnienie, ale nie twierdzę, że słuszne i jedynie właściwe. Myślę też, że i twój wypadek miał cel — powiedziała Iza, biorąc Andrzeja pod rękę.

Przed Domem Pracy Twórczej Politechniki Lubelskiej pojawili się o zmroku.

— Myślisz, że to tu? — zapytała Iza.

— Jestem prawie pewien. Co prawda Antoni zapomniał nam powiedzieć, w którym Domu Pracy Twórczej zatrzymał się ze swoją ekipą, ale według mojego przewodnika są tylko dwa takie w Kazimierzu. Znam Antoniego na tyle dobrze, żeby móc z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że nie wybrał budynku należącego do Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

— Dlaczego?

— Nie przepada za księżmi.

— Aha. To co. sprawdzimy?

— Jasne. Przecież nie będziemy tu sterczeć jak dwa kołki. Trzy kołki — poprawił się Andrzej, spoglądając na Adiego, spokojnie siedzącego przy jego nodze.

Pies odwzajemnił spojrzenie i kilka razy machnął ogonem, po czym stracił zainteresowanie i poszedł obwąchać pobliski krzaczek.

— Adi, noga! — zawołał Andrzej, podał Izie ramię i ruszył w stronę drzwi.

W holu zobaczyli młodego człowieka z piwem w dłoni, rozmawiającego z atrakcyjną brunetką.

— Witaj, Anno — powiedział Andrzej.

Na te słowa kobieta gwałtownie uniosła głowę.

— Jesteś — stwierdziła. — Nie sądziłam, że przyjdiesz.

— A jednak.

— Antoni jest w jadalni — rzekła, ruchem głowy wskazując kierunek.

Andrzej skinął głową i poprowadził Izę w głąb holu, odprowadzany chłodnym spojrzeniem Anny.

— Przyprowadziłeś psa?! — krzyknęła za nim asystentka profesora.

— Adi nie sprawi kłopotu — mruknął Andrzej.

— Ale to pies!

— Najlepszy przyjaciel człowieka — odparł Stawicki, posyłając Annie promienny uśmiech.

Nie oglądając się już, dwoje ludzi i pies podążyło do jadalni.

— Nie wydawała się zachwycona twoim widokiem — zauważyła Iza.

— Bo też zapewne nie jest.

Nie chciał ciągnąć tego tematu. Nie chciał rozdrapywać ran, które zdążyły się już zabiżnić, ale wiedział, że będzie do tego zmuszony. Znów odezwała się jego „lekka paranoja”, jak mawiała Gosia i Andrzej wiedział, że stanie się to jeszcze dziś. Jedyne na co mógł liczyć teraz, to odroczenie wyroku.

Profesor zmierzał ku nim z wyciągniętymi ramionami, zanim jeszcze przekroczyli próg.

— Już się bałem, że nie przyjdziecie — powiedział. — Zapomniałem wam powiedzieć, w którym Domu Pracy Twórczej się zatrzymaliśmy.

— Jakoś się domyśliłem — odparł Andrzej. — Mam nadzieję, że obecność Adiego nie sprawi ci kłopotu?

— Jasne, że nie. Pod warunkiem, że właściciele go nie zobaczą. Chodźcie.

Jadalnia była wysokim, przestronnym pomieszczeniem z szeregiem okien po jednej stronie. Stoły ustawiono w podkowę, jak podczas szkolnej potańcówki. Były zastawione koszykami ze świeżym pieczywem, półmiskami pełnymi wędlin i sera, paterami owoców i butelkami różnego rodzaju napojów. Andrzej dostrzegł też kilka termosów z kawą lub herbatą. Prawdziwa uczta. A wśród tego wszystkiego mrowie hałasujących studentów. Mało kto zwracał na nich uwagę, większość była pochłonięta jedzeniem lub rozmową z kolegami, a często jednym i drugim w tym samym czasie.

Orańczak poprowadził ich wzdłuż ścian aż do stołu znajdującego się w samym środku poprzecznego ramienia podkowy.

— Jak król — zaśmiał się Andrzej.

— Jestem tu królem — uśmiechnął się Orańczak. — Proszę, siadajcie.

Zajęli miejsca po lewej ręce profesora, Adi zaś położył się pod stołem. Nie przeszkadzał mu ani nie interesował go chaos dookoła.

— Może teraz zdradzisz nam, co tu robisz? — zagadnął Andrzej.

— Widzę, że nie interesują cię rozkosze stołu, ja jednak jestem głodny. Pozwolisz więc, że coś zjem. nim zdradzę ci tajemnicę?

Przez jakiś czas zajmowali się napełnianiem żołądków, rozmawiając o błahych sprawach i ożywiając wspomnienia.

Iza przysłuchiwała się z ciekawością i tylko od czasu do czasu dorzucała zdanie czy dwa. Była zafascynowana tą głęboką przyjaźnią, jaka łączyła Andrzeja i profesora, przyjaźnią, która przetrwała już tak wiele lat. Sama nigdy nie doświadczy, la czegoś po-

dobnego i trochę im zazdrościła.

Anna nic pojawiła się na kolacji. Andrzej sądził, że to przez jego obecność, ale kiedy wspomniał o tym profesorowi, ten tylko wzruszył ramionami.

Kiedy w końcu się posilili, profesor zaprowadził ich do swojego pokoju. Adi pochłonął kiełbasę, którą podrzucił mu któryś ze studentów, i poczłapał za swoim panem.

Andrzej z Izą usadowili się na kanapie, przed którą profesor ustawił mały stolik. Potem przyciągnął wygodny fotel. Ze skórzanego aktówki wyjął kilka fotografii formatu A4 i bez słowa rzucił je na stolik.

Andrzej spojrzał na niego wyczekująco. Nic doczekał się żadnej reakcji, sięgnął więc po pierwszą odbitkę. Po chwili podał ją Izie i przejrzał pozostałe. Na wszystkich znajdował się ten sam obiekt fotografowany pod różnymi kątami.

— Złoty skarabeusz o wymiarach trzydzieści na szesnaście na siedem milimetrów — powiedział profesor, gdy wszystkie odbitki znalazły się z powrotem na stoliku. — Znaleziony przez Macieja Tygę, lat piętnaście.

— Tu?

— W pobliżu. Przywiózł go z wyprawy na wyspę zwaną Skałka. Skałka leży na jeziorze, które miejscowi nazywają po prostu Kazimierskim. Chłopiec wybrał się tam z powodu zakładu. Na wyspie ponoć straszy. Są tam ruiny kaplicy i groby franciszkanów. I znalazł ten mały skarb.

— To niezwykle — powiedziała Iza. — Prawda?

— Owszem — zaśmiał się profesor. — Ale nie aż tak bardzo, jak ci się wydaje. Cywilizacja egipska rozprzestrzeniła się daleko poza granice swojego państwa. Jej elementy można odnaleźć w kulturach starożytnej Grecji i Rzymu. A jej symbole, jak choćby skarabeusze, podążały jeszcze dalej. Nawet w Polsce znajdowano je już wcześniej. Dokładnie rzecz biorąc, znaleziono cztery. Produkowano je prawdopodobnie na peryferiach Imperium Rzymskiego jako naśladownictwa.

— Falsyfikaty?

— Fałszowanie skarabeuszy było powszechne nawet w starożyt-

nym Egipcie. Historię tego państwa można podzielić na kilka epok. Okres Archaiczny, Stare Państwo, kiedy to Egipt się zjednoczył, Średnie Państwo i najmłodsze. Nowe Państwo, a każdą epokę oddzielały tak zwane Okresy Przejściowe. W okresie Nowego Państwa wykonywano skarabeusze z imionami władców Starego Państwa, a wtedy skarabeusze jeszcze nie istniały. Nawet w XIX i XX wieku w Czechach i na Śląsku produkowano falsyfikaty.

— A teraz jeden z nich odnaleziono w pobliżu Kazimierza — wtrącił Andrzej.

— I to w dodatku szczerozłoty. Z tym, że to jest oryginał. Chcę się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Spójrzcie, na bazie tej figurki nie ma żadnego tekstu — powiedział profesor, pokazując zdjęcie podstawy skarabeusza. — Nie służył więc jako pieczęć, nie upamiętnia żadnego znaczącego wydarzenia. Nie wygląda też na ozdobę, którą można nosić na łańcuszku, nie ma żadnych otworów, przez które można by taki łańcuszek przewlec. Są tylko cztery drobne nacięcia, po jednym z każdego boku, przy głowie i odwłoku. Tu, przy samej podstawie.

— Może należał do jednego z zakonników, którego grób znajduje się na wyspie?

— Może. Ale nie wygląda na falsyfiikat. Jest zbyt niepozorny, a jednocześnie ta niepozorność jest niezwykła. Dlatego zwróciłem się do prowincjała o pozwolenie na prowadzenie wykopalisk na Skałce.

— Udałeś się do samego prowincjała franciszkanów? — zdumiał się Andrzej. — Ty?

— Czasem trzeba schować dumę do kieszeni. W każdym razie zgodził się, a ja mam zamiar przekopać wyspę dokładnie. Mam tylko jeden problem. Otóż gwardianowi klasztoru reformatów, do którego formalnie należy Skałka, nic spodobał się ani mój pomysł, ani droga, którą wybrałem do jego realizacji.

— Czyli, że uderzyłeś od razu do prowincjała, zamiast udać się najpierw do niego?

— Yhm. Podejrzewam, że wysłał w tej sprawie list do prowincjała. A ten w odpowiedzi przysłał swojego obserwatora. Rozmawiałem z nim tylko chwilę w szpitalu, ale sądzę, że jego zadanie

polega na dopilnowaniu, żebym nie dotknął przypadkiem któregoś z grobów.

— W szpitalu? Coś ci dolega?

— A skąd — zaczął się Orańczak. — Mieliśmy na Skałce drobny wypadek. Zawalił się fragment dachu kaplicy i przygniótł znajdującego się tam studenta,

— I pan mówi, że to drobny wypadek? — wtrąciła Iza.

— Moja droga, nie oburzaj się. Chłopakowi nic się nie stało, ma tylko lekki wstrząs mózgu. Poleży trochę w łóżeczku i wróci do domu zdrow jak ryba.

— Kiedy chłopiec znalazł tego skarabeusza? — zapytał Andrzej.

— W zeszłym roku. Chyba w październiku.

— I tak długo udało się wam wszystko utrzymać w tajemnicy?

— Też się dziwię. Ale nic chcieliśmy, żeby jacyś domorośli poszukiwacze skarbów zaczęli tu węszyć przed nami. Z tego właśnie powodu poszedłem od razu do prowincjała z pominięciem pośrednich szczebli. Wszystkich, którzy wiedzieli o tym odkryciu, zobowiązaliśmy do milczenia. Na piśmie i pod groźbą wysokich kar. Na szczęście nie było ich wielu. Pracownicy muzeum, chłopak, jego przyjaciele i rodzina. To jego matka skontaktowała się z pobliskim muzeum. Myślała, że to może być część jakiegoś skradzionego skarbu.

— Słuchaj, co ty na to, żebym zrobił o tym reportaż?

— Zastanawiałem się, kiedy mnie o to zapytasz. Przyjdźcie tu jutro rano, koło ósmej. Zabiorę was na Skałkę. Adiego też możecie wziąć.

Pies podniósł łeb na dźwięk swojego imienia. Skoro jednak przekonał się, że nic chcą mu dać nic do jedzenia, ponownie zapadł w drzemkę.

Księżyc stał wysoko, gdy zegnali się z Orańczakiem.

— Więc — zaczęła Iza, biorąc Andrzeja pod rękę. — Opowiedz mi o tobie i Annie?

W zimnym świetle latami jej twarz zdawała się płaska i pozbawiona życia, ale w oczach tańczyły iskierki. Rozbawienia? Gniewu? Ale dlaczego miałyby się na niego gniewać? Zatem, może za-

zdrości? Albo ciekawości? Andrzej chciał wierzyć, że właśnie o to chodzi, o zwykłą, czy raczej w wypadku Izy niezwykłą, ciekawość. Nadal jednak jej wzrok niepokoił go. Coś w tym spojrzeniu nie pasowało do reszty. Do uśmiechu, jakim go obdarzyła.

— O czym tu mówić — mruknął.

~~ Nie przyszła na kolację. Sądząc po wcześniejszym zachowaniu, nie przyszła z twojego powodu.

Andrzej westchnął.

— No dobrze. Więc coś między nami było. Dawno temu. Potem się skończyło i nie ma co wspominać.

Iza milczała. Przez chwilę panowała między nimi niezręczna cisza. Andrzej niemal słyszał, jak ta cisza krzyczy, żeby ją wypełnić.

— To nie było nic wielkiego — powiedział.

No i stało się. Teraz się przed nią usprawiedliwiam. Jak uczeń przyłapany w toalecie z papierosem. Cholera.

Wziął się w garść i zaczął jeszcze raz.

— Więc chcesz usłyszeć o mnie i o Annie?

— Tak.

— To naprawdę krótka historia. Poznaliśmy się w Egipcie, na wykopaliskach prowadzonych przez Antoniego. Anna mnie zauroczyła. Chyba tylko tak można to nazwać, bo miłości w tym nic było. Mieliśmy ze sobą romans. Antoni oczywiście wiedział, niełatwo przed nim ukryć cokolwiek. Ale nie przeszkadzało mu to.

— Więc właściwie nie byliście razem?

— Nie. Wszystko się skończyło, gdy wróciliśmy do Polski. Kontakt utrzymywałem tylko z Antonim.

— Anna się nie odzywała?

— Dzwoniła do mnie czasami. Przestała, gdy jej powiedziałem, że się żenię.

— Aha.

— Co "aha"?

— Wszyscy jesteście tacy sami. Wykorzystujecie kobiety, a potem je zostawiacie.

— Naprawdę tak myślisz?

— Żartowałam tylko.

Posłała mu ciepły uśmiech, ale Andrzej czuł, że mówiła poważnie.

— Biedna dziewczyna zakochała się w tobie i nie mogła znieść myśli, że żenisz się z inną. Może miała nadzieję, że ona będzie twoją żoną... Dla ciebie był to tylko przelotny romans. a dla niej? Nie zastanawiałeś się nad tym?

— Zastanawiałem się. Ale uznałem, że jeśli chciałyby być ze mną, to by mi powiedziały. Anna to osoba, która zawsze mówi to co myśli. Poza tym jest nieco starsza ode mnie.

— No tak. Nic dość. że wykorzystujecie kobiety, to jeszcze ich nie rozumiecie — powiedziała Iza i się roześmiała.

Dla Andrzeja brzmiało to trochę sztucznie, wymuszenie.

Znow zapadła między nimi chwilowa cisza, a potem byli już przed bramą pensjonatu, w którym mieszkała Iza.

— Chcesz wejść na chwilę? — zapytała.

Nic zawahała się nawet przez moment. W jednej chwili oskarżała Andrzeja pół żartem, pół serio o wykorzystywanie kobiet, a w następnej zapraszała go do siebie. Andrzej poczuł ulgę. Przecież gdyby myślała poważnie, że wobec Anny zachował się nie fair. nic złożyłaby mu takiej propozycji.

Rany. Dziewczyna pyta. czy chcę wejść na chwilę, a ja to traktuję jak uniewinnienie, ułaskawienie i zaproszenie do pościeli. Opanuj się. chłopie.

Skarcił się w myślach, a na głos powiedział:

— Jasne.

Iza zaczęła otwierać furtkę.

— Ale co z Adim? — zmartwił się Andrzej. — Właściciele tolerują zwierzęta?

— Hm. No tak. Może więc odprowadź go do domu i wróć do mnie? A ja w tym czasie otworzę wino. Pokój numer czternaście.

I nie czekając na odpowiedź, weszła na podwórko. Żwir chrzęścił pod jej tenisówkami, a Andrzej przez chwilę stał za furką i gapił się na nią. Czuł się zbity z tropu.

Od swojego pensjonatu dzieliły go dwie przecznice. Pokonał je szybko. W pokoju spryskał się wodą kolońską i wyszedł, zostawiając psa.

W recepcji hoteliku Izy nie było nikogo. Andrzej przekradł się cichutko do schodów i pokonując po dwa schodki na raz, pobiegł na piętro. Przypomniały mu się wycieczki w liceum, kiedy to w podobny sposób przekradał się do pokoju dziewcząt, aby jeszcze przez chwilę pogadać, wypalić ostatniego papierosa, zagrać w karty i skraść którejś całusa. Nic więcej, tylko całusa na dobranoc. Teraz pozwolił sobie mieć nadzieję, że na całusie się nie skończy.

Po chwili zapukał do drzwi pokoju numer czternaście. Iza otworzyła prawie natychmiast.

— Cześć.

— Cześć. Wejdz.

Andrzej znalazł się w pokoju niewiele większym od swojego, ale za to z własną łazienką i aneksem kuchennym. Pokój był skromnie umeblowany i wytapetowany na jasnoróżowo. Pod oknem stał stół, a na nim butelka czerwonego wina i dwa kieliszki. W kącie małe radio wydawało z siebie smętne tony jakiegoś dawno zapomnianego przeboju.

— Nic łapie zbyt wielu stacji — powiedziała Iza tytułem wyjaśnienia. — To najlepsze, co udało mi się znaleźć. Siadaj proszę.

Andrzejowi wpadło do głowy, że w podobnym pokoju spędzała czas jako dziecko. Dodać trochę półek, bibelotów, jakieś lalki...

— Mam nadzieję, że nie jesteś głodny, bo mam tylko to — rzekła, podsuwając Andrzejowi talerz z ciasteczkami.

— Co ty, po takiej kolacji?

Stuknęli się kieliszkami, a potem tylko patrzyli sobie w oczy.

— To nie fair — powiedział Andrzej.

— Co takiego?

— Wyciągasz ode mnie informacje jak rosyjski szpieg, a ja nadal prawie nic nie wiem o tobie.

— Moje życie nie miało zbyt wielu interesujących momentów, o których warto opowiadać. Wyszłam za mąż tuż po maturze. Chciałam iść na studia, ale zaszłam w ciążę i skończyło się na marnościach. Wytrzymałam z mężem prawie pięć lat, potem rozstaliśmy się na dobre. Straszny był z niego drań.

— Dziecko zostało z nim?

— Nie. Nie urodziło się żywe.

Po policzku Izy potoczyła się łza. Duża, jak ziarnko grochu. Zawisała na chwilę w kąciku ust i wpadła do kieliszka.

— Przepraszam — szepnął Andrzej, biorąc Izę za rękę. — Nie chciałem.

— Wiem — odparła, lekko się uśmiechając. — To nie twoja wina.

Parę razy pociągnęła nosem i Andrzej podał jej chusteczkę.

— Dziękuję. Teraz już wiesz, dlaczego nie chciałam mówić o sobie. Ale cieszę się, że w końcu ci powiedziałam.

Radio zaczęło grać *Love Me Tender*.

— Moja ulubiona piosenka z ulubionego filmu — powiedziała Iza.

— Naprawdę? A jaki to film?

— *Dzikość serca* Davida Lyncha. Chociaż wolę, gdy śpiewa Cage, a nie Presley.

— Ja nic przepadam za filmami Lyncha. Nigdy nie rozumiem, o co chodzi.

— Tam nic ma czego rozumieć. Sam reżyser mówi, żeby nie doszukiwać się w jego filmach jakichś głębszych sensów, bo ich tam nie ma. Sztuka dla sztuki. Jak książki Kundery. Ludzie mu mówią, że coś zrozumieli, że jego książki odmieniły ich życie. A on się dziwi, bo pisząc, nigdy nie miał zamiaru czegokolwiek przekazywać ani dawać do zrozumienia. Po prostu lubi pisać.

Nagle zmieniła temat.

— Zatańcz ze mną — poprosiła, a Andrzej się zgodził.

Kręcili się powoli w takt utworu, wokół osi wyznaczonej ich złączonymi ciałami. Iza przywarła do Andrzeja opierając głowę na jego ramieniu. Nic nie mówili. *Love Me Tender* przeszło w *Forever Young* zespołu Alphaville, a oni nic zwrócili na to uwagi.

W pewnym momencie dłoń Izy powędrowała na kark Andrzeja i zaczęła go tam lekko głaskać. Andrzej odpowiedział tym samym. Dziewczyna uniosła głowę i napotkała jego wzrok. Pochylił się i delikatnie musnął swymi wargami jej wargi. Oddała pocałunek. Narastało w nich pożądanie, całowali się coraz gwałtowniej. Paznokcie Izy drapały mu plecy, on wsunął dłonie pod jej bluzeczkę, szukając stwardniałych z podniecenia sutków. Popchnęła go na

łóżko i w chwilę potem weszła na niego.

Andrzej śnił. Miał bardzo wyrazisty sen. Wszystko w nim miało barwę złota. Był na pustyni, gorący piasek parzył jego nagie stopy. Przed sobą widział lśniący, wielki budynek o gładkich, lekko pochyłych ścianach. Miał kształt ściętego ostrosłupa, a każdy róg ozdobiony był niską wieżą. W samym środku frontowej ściany było wejście. Wyglądało jak trapez wycięty z rzeczywistości, tak nieprzenikniona ciemność w nim panowała.

Nagle Andrzej znalazł się wewnątrz budowli. I tu również wszystko było w odcieniach nieco przygaszonego złota. Panował półmrok i przyjemny chłód. Rozejrzył się dookoła. Dostrzegł wiele posągów stojących pod ścianami i zrozumiał, że to świątynia.

Ruszył korytarzem prowadzącym w głąb budynku. Mijał posągi ludzi z głowami zwierząt ustawione w niszach między kolumnami. Na ścianach płonęły pochodnie, ale nie rozpraszały mroku, jedynie podkreślały cienie.

Korytarz był długi, zdawał się ciągnąć bez końca, zupełnie jakby świątynia wewnątrz była większa niż na zewnątrz, w snach perspektywa wyczynia przeróżne sztuczki.

W końcu dotarł do komnaty położonej na końcu korytarza. Odwrócił się i ujrzał, że wejście do świątyni jest doskonale widoczne. Przeszedł może kilkadziesiąt metrów.

Wszedł do komnaty. Zalewało ją złote światło wpadające przez ogromne okno wykute tuż pod sufitem w przeciwległej ścianie. Światło padało wprost na zasłonięte zwiewnym, półprzezroczystym materiałem łożem. Odsunął materiał i ujrzał piękną, nagą kobietę, kapłankę świątyni. Jej kruczoczarne włosy rozsypały się na poduszkach, a oczy lśniły złotym blaskiem.

Bez słowa wszedł na nią i zaczęli się kochać. Czuł jak kobieta ustępuje pod jego naporem i jak jej ciało wygina się w łuk. Zamknął oczy. a gdy je otworzył, leżała pod nim inna kobieta. Równie zmysłowa, ale niebezpieczna szatynka o pełnym biuście. Jego była żona.

— Andrzeju... — szepnęła.

Wystraszył się. Nie wiedział, co oznacza to dziwne słowo, które

do niego wypowiedziała. I nic wiedział, skąd przyszła myśl, że ta kobieta była jego żoną. Przecież zmarła dawno i pochowano ją w...

— Gosia — usłyszał kolejne słowo, którego znaczenia nic pojmował. I tym razem to on je wypowiedział. Czy to były imiona?

Chciał uciec. Nie panował nad swoimi ustami, nie rozumiał kim jest i co mówi do niego ta dziwna kobieta, ani co on jej odpowiada. Gdzie się podziała kapłanka? Co ona z nią zrobiła?

Przerażenie ścisnęło mu gardło. Zerwał się z łóżka, odwrócił...

I zamarł.

Nie tylko kobieta się zmieniła. Zmienił się cały budynek. Nie było już długiego korytarza. Zniknęło gdzieś złote światło. Teraz stał w progu innej komnaty. Stał za kimś. Widział gęste włosy zakrywające kark, widział dziwne ubranie i blade dłonie. I wiedział, że ten obcy człowiek jest w jakiś niepojęty sposób nim samym, chociaż on był łysy, ciemnoskóry i w porównaniu z obcym, prawie nagi. W komnacie byli też inni ludzie. Mieli na sobie hełmy i elastyczne zbroje. Wpatrywali się w jakieś pudełko. Poruszały się w nim małe postacie. Wtedy jeden z owych ludzi stojących przed pudełkiem wrzasnął, zdjął swój hełm i cisnął nim w pudełko, które eksplodowało.

Rozumiał, co wywołało reakcję tego człowieka. Rozumiał, dlaczego jego drugie ja stało wciąż bez ruchu, drżąc na całym ciele. On też drżał. Widzieli to samo. Nim dziwne pudełko wybuchło, widział, co się tam poruszało. I wiedział, że nigdy tego nie zapomni.

ROZDZIAŁ 9

Kazimierz Dolny. 2004

— Andrzeju...

Głos dochodził z wielkiej odległości.

— Gosia... — mruknął w odpowiedzi.

Cisza. Zbyt długa. Sen trwał. Nie mógł się z niego wyzwolić.

— Nie, nic Gosia — odparł głos. Miękki, kojący. Dotknięcie. Lekkie potrząśnięcie.

Otworzył oczy.

— Już w porządku.

Ale on nie czuł się w porządku. Przez chwilę nie wiedział ani kim jest. ani gdzie jest.

— To tylko zły sen — kontynuował głos.

— Tak — odrzekł Andrzej. — Koszmar.

— Ale już minął.

Iza przytuliła się do jego pleców. Poczul jej rękę na brzuchu i ścisnął ją mocno.

— Tak — powtórzył.

Skłamał. Doskonale wiedział, że wspomnienie tego snu będzie go dręczyło jeszcze długo. Jak zawsze. Śnił go niemal co noc, odkąd wrócił z Iraku.

— Muszę do toalety — mruknął.

Wstał i odruchowo spojrzął na zegarek. Siódma rano, oczywiście.

Poszedł do łazienki, zamknął za sobą drzwi i usiadł na sedesie, kryjąc twarz w dłoniach. Nienawidził tego snu. Zawsze czuł się, jakby występował w podwójnej roli. Jakby śnił Andrzej i... i ktoś jeszcze, ktoś, kto śnił ten sam sen, ale nie rozumiał, co się dzieje, aż do ostatniej sceny. Tę zawsze rozumieli obydwaj, Andrzej i ten obcy stojący za jego plecami. Przebudzeniu zawsze towarzyszył zamęt, zupełnie jakby się nagle znalazł w innym czasie, miejscu i ciele. Przerażające. Najdziwniejsze było to, że choć za każdym razem w tym śnie występowała jego była żona, jednocześnie poznawał ją i nie miał pojęcia, kim jest. Wiedział, że to Gosia, bo tylko ona umiała się tak uśmiechać. Tym uśmiechem właśnie kiedyś go uwiodła. Ale drugi mężczyzna, który śnił z Andrzejem ten sam sen, nie znał Gosi i nic rozumiał, co mówi.

— Wszystko w porządku — szeptał. — Wszystko jest w porządku...

Jednak demony nie chciały go słuchać.

Iza leżała w skołtunionej pościeli i patrzyła w sufit. Tak samo patrzyła na Andrzeja, gdy rzucał się na łóżku. Długo mu się przypatrywała, nim zdecydowała się go obudzić. Znała potęgę snów. Wiedziała, co ze sobą niosą.

Koszmary są szczególnie cenne, o tak. Niosą odpowiedzi. Ludzie są głupi, że budzą tych, którym się śnią koszmary. Nic wiedzą, że niszczą informację. Iza nic chciała, żeby przez nią Andrzej otrzymał niepełną wiadomość. Dlatego tylko patrzyła. I czekała. W końcu wyszeptała jego imię, a on nazwał ją Gosią. To ją zdumiało. Wtedy zmieniła zdanie. Postanowiła, że jednak go obudzi.

Wreszcie Andrzej wyszedł z łazienki. Usiadł na brzegu łóżka, uśmiechając się niepewnie.

— Już dobrze? — spytała Iza.

— Tak — skłamał.

Patrzył na nią, podpartą na łokciu, na jej nagie ramię lśniące w promieniach porannego słońca i przyszło mu do głowy, że powinien jakoś skomentować to, co zaszło między nimi tej nocy. Jednak w tej chwili wyobraźnia podsunęła mu twarz byki żony wykrzywioną w grymasie, który czasem zastępował uśmiech i Andrzej zdołał jedynie wykrztusić:

— Powinienem już iść. Wezmę Adiego. zajrzę do warsztatu i spotkamy się u profesora, dobrze?

— Jasne.

Ubrał się i już miał wychodzić, gdy usłyszał:

— A nie dostanę buzi na do widzenia?

W uszach Andrzeja zabrzmiało to, jak aż nazbyt dobrze znane senne mruknięcie. Ileż to razy słyszał je przed wyjściem do pracy?

Cmoknął Izę w usta i wyszedł.

Znów zapatrzyła się w sufit. Andrzej zdecydowanie dziwnie się zachowywał. Jak nastolatek, który wstydzi się swojego nagłego wybuchu hormonów i boi się jego skutków. Można to złożyć na karb sennego kosmaru, ale czy na pewno? Może rzeczywiście ma teraz wyrzuty sumienia? Z drugiej strony nie próbował zniechęcić jej do wyprawy na wyspę, nie powiedział też, ani nie zrobił nic, co mogłoby wskazywać, że nic chce się z nią już spotykać. Postanowiła, że tym razem mu wybaczy. Na wyspie pociągnie go za język i spróbuje się zorientować, o co mu chodziło.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Zresztą wszyscy mężczyźni są tacy sami, prawda?

Wyspa. Cieszyła się, że będzie mogła ją zobaczyć. I wykopaliska. Wiedziała, że Skałka jest miejscem, w którym powinna się znaleźć, choć nic miała o tym pojęcia, nim usłyszała o wyspie. Zapytana, nie potrafiłaby odpowiedzieć, dlaczego tak myśli. Dawniej często zadawano jej podobne pytania, a odpowiedzi nigdy nie były satysfakcjonujące. Intuicja? Przeczucia? To chyba jakieś kpiny!

Ale teraz nie musiała się przed nikim tłumaczyć i już nigdy nie miała zamiaru tego robić.

Brat Tomasz Wysocki starannie przygotował się do swojej drugiej wyprawy na Skałkę. Pomimo iż był duchownym, nie odprawiał porannych ani wieczornych modłów. Już dawno odkrył, że medytacja jest o wiele skuteczniejsza. Tego dnia poświęcił jej szczególnie dużo czasu.

Z samego rana wziął długi, gorący prysznic, aby oczyścić ciało. Potem, w pokoju, w którym nigdy nie podnosił zasłon, rozpalił wonne kadzidła, aby oczyścić atmosferę. W końcu rozebrany do pasa usiadł na podłodze w pozycji lotosu, zamknął oczy i zajął się oczyszczaniem swojego umysłu i ducha.

Poprzednia wyprawa na wyspę nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. W dużej części winę za ten stan rzeczy ponosiło zamieszanie powstałe w związku z zawaleniem się części stropu kaplicy.

Tomasz dopiero teraz zadał sobie pytanie, które od początku nurtowało Annę Nawrot.

Co ten chłopak tam robił? Dlaczego w ogóle poszedł do kaplicy, zamiast grzecznie rozkopywać ziemią, jak jego koledzy?

Franciszkanin podejrzewał, że Paweł Rasza nic znalazł się tam przypadkiem. Słowo „przypadek” w ogóle nie występowało w słowniku Wysockiego. Według niego coś zwabiło bądź wezwało studenta i posłużyło się nim, aby przesłać wiadomość. Bardzo konkretną wiadomość, której treść dla otwartego umysłu była całkiem jasna.

Przestańcie.

Opuście wyspę.

Fakt, iż student przeżył, również był informacją samą w sobie.

To było ostrzeżenie. Kolejny wypadek może być śmiertelny.

Profesor Orańczak oczywiście nie potrafił odczytać tej wiadomości. Podobnie Anna. Patrzeli, lecz nie widzieli. Interesowała ich tylko ziemia kryjąca tajemnice, które usiłowali jej wydrzeć. Gdyby na moment unieśli wzrok, dostrzegliby, że naprawdę przerażająca tajemnica słoi tuż nad ich głowami.

Tomasz zauważył tę tajemnicę. Zamanifestowała mu się pośrednio, jednocześnie starając się ukryć swą obecność.

Dla zakonnika wypadek w kaplicy również miał znaczenie. Nie pozwolił Wysockiemu skoncentrować się na tyle, by wyczuć tę obecność. A skoro przypadki nie istnieją, zawalenie się stropu budowli mogło być dziełem tego, co nie chciało zostać odkryte. Dlaczego ich nie zabiło? Zapewne było zbyt słabe. Zostało przebudzone przez dzieciaka, który znalazł skarabeusza, ale było niemal bezsilne. W końcu, jeśli Tomasz miał rację, istniało w tamtym miejscu od bardzo, bardzo dawna.

Dziś Wysocki był o wiele lepiej przygotowany niż poprzednio. Jeśli to, czego szuka znajduje się na Skałce — on dziś się tego dowie.

Można się spodziewać niezwykłych wydarzeń na wyspie. Niezwykłych oczywiście dla tych, którzy mają oczy do patrzenia i uszy do słuchania.

Profesor Orańczak stanowił osobny problem. Franciszkanin musiał zdobyć zaufanie Orańczaka, a przynajmniej uśpić jego czujność. Część tej pracy wykona za niego Anna Nawrot. Na pewno ma wpływ na profesora, a pomoc Wysockiego w akcji ratowania studenta powinna wzbudzić w niej sympatię do zakonnika i poczucie wdzięczności.

Tomasz nic zawaha się przed wykorzystaniem tych uczuć na własną korzyść. Choć, być może, okaże się, że nie będzie to wcale potrzebne.

Tak czy owak, jego mocodawcy powinni być zadowoleni.

Wysocki otworzył oczy. Intensywny zapach kadzidła drażnił nozdrza. Szary dym snuł się nad podłogą. Zakonnik przez chwilę jeszcze oddychał głęboko, po czym ubrał się, założył czarną koszulę oraz ciemne okulary i wyszedł z pokoju.

Andrzej usiłował odgonić ponure myśli. Chciał od nich uciec, przyspieszając kroku, aż prawie zaczął biec.

Adi spojrział z wyrzutem na swojego pana, gdy ten wszedł do pokoju, ale podniósł się ze swojego miejsca i niemrawo machając ogonem, podszedł do Andrzeja.

— Miałem ciężką noc, piesku — powiedział Andrzej, wcale nie myśląc o wyczynach z Izą. — Ale wszystko jest już w porządku.

Iza. Teraz pewnie je śniadanie. W normalnych okolicznościach chętnie zabrałby ją ze sobą. Andrzej miał szczerą nadzieję, że zrozumie i nie będzie mu robić wyrzutów. Jego demony wkrótce znów się uspokoją, a wtedy wszystko wróci do normy, wszystko będzie dobrze.

Droga do warsztatu zajęła Andrzejowi i jego psu piętnaście minut. Na miejscu Stawicki dowiedział się, że samochód po wymianie drzwi od strony pasażera jest gotowy do odbioru. Przyjrzał się z bliska swojemu renault. Nic było najmniejszego śladu po wypadku, nie można też było poznać, że wgnieciona część dachu i błotnika została wycięta i dosztukowana. Nawet lakier miał identyczny kolor.

Koszty naprawy pokryło w całości towarzystwo ubezpieczeniowe, więc Andrzej tylko podziękował mechanikowi za świetną robotę. Potem wsiadł do samochodu i pojechał wraz z Adim do Domu Pracy Twórczej, w którym mieszkał Orańczak i jego ekipa młodych archeologów.

Profesor wraz z Izą czekali już, skryci w cieniu drzew rosnących przed budynkiem.

— Andrzej! Nareszcie! — zawołał profesor, gdy fotograf wysiadł z samochodu. — Czekamy już tylko na ciebie.

Andrzej uścisnął dłoń przyjaciela i podszedł do Izy. Objął ją i pocałował w policzek.

— Cześć — powiedziała z uśmiechem.

— Cześć.

— Dobra gołąbki, skończcie już gruchać — zażartował Orariaczak. Był w doskonałym humorze. — Jedziemy na przystań. Studenci już są na miejscu i kopia. Zobaczmy jak im idzie.

— Anna też? — zapytał Andrzej.

— Nie. Anna pojechała do szpitala, odwiedzić tego rannego studenta.

— Mam wrażenie, że mnie unika.

— Tyś rzekł — odparł profesor z błyskiem w oku. — A teraz jedziemy.

— Cześć. Adi. Nie miałam okazji się z tobą przywitać — stwierdziła Iza. wsiadając do samochodu Andrzeja i czochrając siedzącego na tylnym siedzeniu psa. Husky polizał ją po twarzy.

Po chwili jeep Orańczaka ruszył, wzniesając tumany kurzu. Bordowe clio podążyło za nim.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Samochód podskakiwał na nierównej szosie. Gdy skręcili w wąską, asfaltową, lecz jeszcze bardziej dziurawą drogę prowadzącą przez gęsty las, Iza Przerwała ciszę:

— Co się stało rano?

Andrzej przygarbił się za kierownicą.

— Sam właściwie nic wiem.

— Żałujesz? Wskoczyłeś ode mnie jak oparzony.

— Nie, skąd. Oczywiście, że nie. Było mi z tobą wspaniale, tylko że...

— Tylko że co? — ponagliła Iza.

— Odkąd wróciłem z Iraku mam sny. Przerazające, koszmarne sny, które przypominają mi o rzeczach, o których nie chcę pamiętać.

— O byłej żonie.

— Tak, o niej również. Ale nie tylko. Dzieje się tam wiele rzeczy, których nie rozumiem.

— Jakich? Powiedz, proszę.

— Nie dzisiaj, Izo. Mamy taki piękny dzień, po co go psuć mrocznymi opowieściami?

— Przez sen wypowiadałeś jej imię.

— Jest częstym, choć niemile widzianym gościem w tych snach.

— Wciąż ją kochasz, co?

— Nie. Już nie. Wspomnienia o niej są dla mnie tak samo nieprzyjemne jak te, które przywiozłem z Iraku. O, chyba już jeste-

śmy.

Właśnie w tym momencie wyjechali z lasu i znaleźli się na terenie ośrodka wypoczynkowego „Merkury”. Droga kończyła się przy dwupiętrowym pensjonacie, zasłaniającym widok na jezioro. Wybetonowany plac przed budynkiem służył za parking, na którym zatrzymał się wóz Orańczaka. Andrzej zaparkował tuż obok. Cieszył się, że tak szybko dojechali na miejsce. Znow uniknął zgłębiania drażliwych dla niego tematów. Wciąż nie był gotowy, aby je poruszyć. Pewnie nigdy nie będzie do końca gotowy.

Orańczak uśmiechał się od ucha do ucha.

— Chodźcie, gołabczki — powiedział. — Dwa kroki stąd czeka na nas łódź. Mam nadzieję.

— Jak to? — zainteresował się Andrzej.

— Jeden ze studentów ma za zadanie wrócić tu po odwiezieniu kolegów na wyspę. Jeśli zapomniał, powyrywam mu nogi z dupy i go nimi zatłukę.

Trójka ludzi i pies obeszli budynek i stanęli na ciągnącej się wzdłuż brzegu promenadzie. Poniżej znajdowała się plaża, dalej sporych rozmiarów jezioro z widoczną w oddali kopułą wyspy wystającą nieco ponad tafłę wody.

— O, jest — powiedział profesor, wskazując niewielką łódź motorową w połowie wyciągniętą na piasek. W łodzi ktoś siedział, zapewne student, o którym wspominał Orańczak.

— Nie mów, że całą ekipę przierzucacie tą łupiną — mruknął Andrzej.

— A gdzie tam — zachnął się profesor. — Wynajmujemy do tego celu małą flotę. Sześć takich łodzi. Żebyście widzieli, jaki był cyrk z transportem sprzętu! Jedyne dostatecznie duże pudło mają tu harcerze, w dodatku napędzane wiatrem i wiosłami. Tutejszy ośrodek ma same małe żaglóweczki, omegi, czy jak im tam... No i musieliśmy poprosić o pomoc tych harcerzy, za odpowiednią sumkę oczywiście.

— Taniej by wyszło rozbicie namiotów na wyspie.

— Tak, ale noce jeszcze są zbyt chłodne. Myślę, że w najbliższym czasie przemieścimy się tam na dobre.

— Przy tych upałach...

— Powinno być znośnie — dokończył Orańczak.

— Studenci pewnie nie będą zadowoleni.

— Trudno. Mamy ograniczony budżet, musimy oszczędzać. a te łódeczki żrą benzynę jak smoki. Do tego zakwaterowanie i tak dalej...

— Jasne. A sprzęt? Zostaje na wyspie?

— Przecież nie możemy tego wszystkiego co wieczór targać na brzeg. Kosztowałoby to kupę czasu i pieniędzy. Postawiliśmy koło wykopalisk mały barak, w baraku umieściliśmy ciecicia i po kłopotcie. Choć nic do końca, bo pierwszy zwiął, gdzie pieprz rośnie...

— Co?

— Pewnie się upił, przywidziało mu się coś i uciekł. Znalazł się dwa dni później. Bredził, że na wyspie straszy.

Dopiero w tym momencie Andrzej spostrzegł stojącego nieopodal łodzi drugiego człowieka, wysokiego blondyna w czarnej koszuli z krótkimi rękawami i czarnych spodniach.

— Trzeba być szaleńcem, żeby w taką pogodę ubierać się na czarno — zauważył, gdy zmierzali w kierunku motorówki.

— Ewentualnie zagorzałym fanem heavy metalu — dodał Orańczak. — Lub duchownym.

Blondyn odwrócił się w ich stronę. Na nosie miał ciemne okulary o szklach równie czarnych, co koszula i spodnie.

— Pozwólcie, że wam przedstawię brata Tomasza Wysockiego, specjalnego wysłannika prowincjała zakonu franciszkanów. Będzie nam towarzyszył w dzisiejszej wyprawie na Skałkę. A to, proszę brata, pani Iza Mieleniuk i pan Andrzej Stawicki, fotograf „Explorera”. Uczestniczył w jednej z moich wypraw badawczych do Egiptu.

— Witam — rzekł zakonnik, mierząc Andrzeja wzrokiem zza swoich przeciwsłonecznych okularów. — Pańskie zdjęcia z Iraku zrobiły na mnie duże wrażenie. Ma pan pięknego psa.

— Dziękuję — odparł Andrzej, ściskając wąską dłoń Wysockiego. — Wabi się Adi.

Po chwili łódź z czterema pasażerami i milczącym studentem u steru, sunęła w stronę wyspy, podskakując lekko na falach. Adi leżał na samym dnie z żalną miną. Iza głaskała go, próbując do-

dać psu otuchy.

— Podróż zabierze nam tylko chwilkę — zawołał profesor, przekrzykując warkot silnika. — Skalka leży bardzo blisko przeciwległego brzegu, ale stamtąd nie ma do niej dostępu. Nie ma nawet porządnej drogi dojazdowej, nie mówiąc już o czymkolwiek, co choćby w przybliżeniu przypominałoby przystań. Jest tylko maleńka plaża, z której korzystają miejscowi. Trudno uwierzyć, że kiedyś właśnie tam zaczynała się grobla łącząca stały ląd i wyspę.

— Już nie istnieje? — zapytał Andrzej.

— Zburzono ją dawno temu.

Wyspa rosła w ich oczach z każdą chwilą. Wkrótce byli już w stanie rozróżnić porastającą ją poszczególne drzewa.

— Opłyniemy ją dookoła — zarządził profesor. — Najdogodniejsze miejsce do zejścia jest właśnie tam, gdzie kiedyś była grobla. Co prawda i z tej strony znajduje się plaża, przepraszam, niewielka piaszczysta łacha, ale droga jest dłuższa i trzeba się przedzierać przez dzikie chaszczce.

Gdy tylko znaleźli się na brzegu, profesor poprowadził ich w głąb wyspy.

— Cały teren wokół kaplicy podzieliliśmy na sektory — objaśniał, gdy szli ścieżką przez las. — Starannie omijamy groby drogich franciszkanów, z czego się brat zapewne ucieszy.

— Zaufanie jest dobre, ale kontrola jeszcze lepsza.

Orańczak zatrzymał się i spojrzał w okulary przeciwsłoneczne Tomasza.

— Pokaż mi swój samochód, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem — odparował.

Kąciki ust franciszkanina uniosły się w parodii uśmiechu.

W końcu znaleźli się na polanie. Wprost przed nimi wznosiły się ruiny kaplicy. Jeden z narożników budowli zawalił się całkowicie. Po obu stronach świątyni można było dostrzec kilkanaście pokrzywionych i porośniętych mchem nagrobków. Pozostałe znajdowały się za świątynią, ukryte przed oczami przybyszy.

W pewnej odległości od grobów pracowali studenci. Polana była poprzecinana sznurami, dzielącymi ją na równej wielkości kwadraty. W każdym z nich po kilku studentów przekopywało i prze-

siewało ziemię, szukając świadectw minionych epok. Na samym krańcu polany, z prawej strony, stał samotny barak. Na schodkach przed nim siedział mężczyzna w mundurze firmy ochroniarskiej. W dłoni ścisnął kubek i znudzonym wzrokiem śledził poczynania młodych archeologów.

— Piękna — rzekł Wysocki, wpatrując się w wieżyczkę kaplicy.

— Kiedyś na tym miejscu stał kamienny krąg. Żadne tam Stonehenge, po prostu kilka głazów ustawionych mniej więcej w koło — powiedział Orańczak.

— Co się z nim stało? — zapytała Iza.

— Franciszkanie go zniszczyli. Stwierdzili, że jest ośrodkiem pogańskiego kultu, bluźnierstwem i wybudowali kaplicę.

— Rzeczywiście wyznawano tu jakiś pogański kult?

— Oczywiście. Chrześcijaństwo nie jest przecież pierwszą religią ludzkości. Jednak kroniki zakonu nie wspominają ani słowem o jakiegokolwiek pogańskiej aktywności na tych terenach w czasach, gdy przybyli franciszkanie.

— Więc wybudowanie tu kaplicy było akcją prewencyjną — stwierdził Andrzej.

— Nazwałbym to raczej eliminowaniem potencjalnego zagrożenia. Żeby przypadkiem kogoś nie podkusiło do reaktywacji kultu.

Profesor oprowadził całą grupkę dookoła polany, objaśniając szczegóły techniczne prowadzonych wykopalisk. Prosił, aby nie przekraczali granic sektorów wyznaczonych przez sznury pomiędzy wbitymi w ziemię palikami i „nic zdeptywali efektów pracy studentów”. Andrzej robił zdjęcia.

Potem wszyscy weszli do środka budowli. Wszyscy, oprócz Adiego. Husky zatrzymał się tuż przed drzwiami. Obnażył kły. a z głębi jego gardła wydobył się głuchy warkot. Sierść na karku stanęła mu dęba i zaczął się powoli wycofywać.

— Piesku, co ci? — zaniepokoił się Andrzej.

Pozostali przystanęli zdziwieni. Wysocki jednak nic okazał zdumienia, przyjrzał się jedynie psu. po czym sam przekroczył próg świątyni.

— Adi...

Andrzej podszedł do psa, wyciągając rękę. Adi rozwarł szczęki,

jakby chciał go ugryźć. Na twarzy Andrzeja odmalowało się zaskoczenie i niedowierzanie. Adi nigdy się tak nie zachowywał, nigdy nikogo nie ugryzł.

Nagle pies spotulniał. Zamknął pysk, położył uszy po sobie i zaskomlał. Andrzej przyklęknął i chwycił go za łeb.

— Co jest, piesku?

Adi wpatrywał się w niego żałośnie.

— Nie chcesz tam iść?

— Zostanę z nim — powiedziała Iza.

— Jesteś pewna?

— Tak. Idź. w końcu jesteś fotografem, musisz zrobić parę zdjęć. Ja przypilnuję Adiego. Nie mam ochoty wchodzić do środka. Cuchnie stęchlizną.

W jakiś sposób to miejsce ją odpychało i tak jak wcześniej była pewna, że powinna się znaleźć na wyspie, choć nie wiedziała dlaczego, tak teraz była przekonana, że kaplicę musi omijać z daleka. Każda wymówka była dobra.

Anna z wolna przemierzała korytarze oddziału neurologii w poszukiwaniu doktora Małeckiego. Wolała być tu, w szpitalu, niż na wyspie, w pobliżu Andrzeja. Nie sądziła, że po tylu latach spotkanie z nim wywoła takie emocje. Gniew, oczywiście. W końcu zachował się jak dupek. Ale pod przykrywką złości gotowały się w niej inne uczucia, o których sądziła, że już dawno zgasły. A potem on tu przyjechał i obudził je w niej. Jak śmiał! Jednak nie potrafiła udawać, że mrowienie, które poczuła na widok Andrzeja, było jedynie wynikiem targającego nią gniewu. To samo czuła wtedy w Egipcie. Ten człowiek ją zauroczył, kompletnie i bez reszty rozkochał w sobie, sprawił, że pożądała jak nigdy wcześniej żadnego mężczyzny, a potem zostawił. Niemal bez słowa.

A teraz czuła, że dawne uczucia znów się w niej rozpalają i była za to wściekła na siebie i na Andrzeja.

Wreszcie natknęła się na lekarza.

— Dzień dobry. Jak się czuje mój student?

— Witam panią. Pan Rasza ma się zdecydowanie lepiej. W nocy odzyskał przytomność. Myślę, że za dwa, trzy dni będzie już mógł

opuścić szpital.

— Mogę go zobaczyć?

— Oczywiście. Pani pozwoli... — Małecki zamierzał zaprowadzić Annę do sali, w której leżał Paweł.

— Dziękuję. Znam drogę.

Anna minęła lekarza i ruszyła dalej korytarzem. Stała przed drzwiami izolátky i stwierdziła, że jest pusta.

— Przenieśliśmy pana Raszę do sali ogólnej — Anna podskoczyła przestraszona. Doktor Małecki stał za jej plecami, uśmiechając się łagodnie. — Pozwoli pani?

— Tak, proszę... — Anna była lekko zmieszana.

W sali znajdowały się cztery łóżka, pacjenci zajęci byli oglądaniem jakiejś telenoweli. Któryś z nich podniósł się na chwilę i wrzucił do automatu dwuzłotową monetę, przedłużając o kolejną godzinę czas działania telewizora.

— Jak leci? — zapytała Anna, stając przy łóżku Pawła.

— W porządku. Choć karmią mnie jeszcze samą kroplówką, a ja mam ochotę na pizzę — odparł student.

Anna się uśmiechnęła.

— Jak cię wypuszczą, dostaniesz dużą pepperoni.

— Lepiej nie. Po pepperoni dostaję pryszczki. Ale chętnie dam się zaprosić na hawajską — powiedział, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu.

— Takiś sprytny? — zaśmiała się Anna. — Ale uważaj, jak nie zjesz całej, nie zaliczysz u mnie nawet egzaminu z kopania dziur w ziemi.

— U pani mogę zaliczać nawet tysiąc razy.

— O Boże... — westchnęła. — Rzeczywiście wracasz do zdrowia.

Szelmowski uśmiech Pawła jeszcze się poszerzył,

— Nie szczerz się tak. bo ci zaraz odpadnie czubek głowy.

— To miło, że pani wpadła — powiedział Paweł, poważniejąc.

— Cieszę się, że już ci lepiej. Ale teraz muszę już iść. Trzymaj się.

— Dziękuję.

Była w połowie korytarza, gdy usłyszała wrzask Pawła.

Franciszkanin rozglądał się wokół siebie. W kaplicy panowała absolutna cisza, dźwięki z zewnątrz dochodziły stłumione i jakby z oddali.

Ściągnął okulary. Jego niebieskie oczy zdawały się lekko lśnić w mroku. Przesunął wzrokiem wzdłuż ścian, na chwilę zatrzymując spojrzenie na kamiennym ołtarzu. Dziwnie nie pasował do tego miejsca. Sam fakt, że wyciosano go z kamienia zamiast użyć drewna był niepokojący. A może wrażenie niespójności wywoływały cztery, również kamienne, kule umieszczone na każdym z rogów ołtarza? Również nietypowe, niepasujące wręcz do charakteru budowli.

Potem spojrzał wyżej, przez dziurę w dachu. Musiał przymknąć powieki. Widział ciemne chmury. Nie poruszały się. Znów dziwne, bo przecież na zewnątrz wyraźnie czuł powiew wiatru.

Podejrzewał, że ta kaplica nie należała w pełni do tego Świata.

Nie miał wiele czasu. Tamci nic będą wiecznie rozczulać się nad psem. W końcu wejdą, a on do tej pory musi wiedzieć. Spojrzał przez ramię, upewniając się, że jest w świątyni sam.

Zamknął oczy. odetchnął głęboko. Przez jego ciało przebiegi dreszcz, gdy uwalniał nagromadzoną moc. Nic. A przecież coś tu musiało być, był o tym przekonany. Oczekał chwilę i ponowił próbę. Nadal nic nie widział, ale po chwili jego stopy straciły kontakt z podłogą i franciszkanin poleciał do tyłu.

Cokolwiek to było, było silne, inaczej ujrzałby to pod powiekami. Teraz dało mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego obecności, jednocześnie się nie ujawniając. Wysocki dał się zaskoczyć.

Skąd brało moc? Powinno być prawie słabe lub nawet martwe, stanowić jedynie blady punkt światła, który zakonnik mógłby ujrzeć po wewnętrznej stronie powiek! Chyba że...

Skoncentrował się. Wkrótce przekonał się, że miał rację. To, co mieszkało w kaplicy, było połączone z kimś na zewnątrz. Sięgnął umysłem w dal i ujrzał Pawła Raszę wijącego się w potwornym bólu na szpitalnym łóżku.

Tomasz otworzył oczy. Wiedział już to, co chciał wiedzieć. Był na dobrym tropie. Słusznie przypuszczał, że strażnik tego miejsca

był sam w sobie słaby, musiał czerpać energię z innych źródeł. Własnych sił starczyło mu tylko na to, żeby zrzucić pół stropu na biednego studenta, a potem wykorzystywać jego energię, tak jak niektórzy ludzie kradną prąd, podłączając się pod linię sąsiadów. Teraz, skoro już miał swoje źródło mocy, był niebezpieczny. Franciszkanin zrozumiał to niemal natychmiast, ale było już za późno.

Strażnik zadał kolejny cios, silniejszy. Wysocki znów upadł na plecy. Stęknął z bólu. Usiadł, a w miejsce, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa, uderzyła pojedyncza dachówka. Ostrzeżenie, czy nieudany zamach na życie'

Wysocki nie miał zamiaru tego sprawdzać. Wstał i pobiegł w kierunku wyjścia.

Nie sądził, że strażnik pozwoli mu tak po prostu opuścić kaplicę. Z drugiej strony może wystarczy mu, że przegonił intruza, a może nie ma dość sił, aby go powstrzymać. Bądź co bądź Paweł Rasza, źródło energii strażnika, jest ranny i osłabiony.

Tomasz widział swoich towarzyszy stojących przed budynkiem. Poruszali się bardzo powoli. Zupełnie jakby czas na zewnątrz biegł innym tempem niż w świątyni. Wysocki nie zauważył niczego takiego, gdy był tu pierwszy raz, ale wtedy strażnik był słabszy.

Nogi wrosły mu nagle w podłogę. A więc jednak nic miał stąd wyjść żywy. Szarpnął się do przodu raz i drugi — bezskutecznie. Spróbował zrobić krok do tyłu. Nic napotkał oporu. Usłyszał jakiś trzask nad głową. Spojrzał w górę. Jedna z krokwí właśnie pękała, jakby jakieś potężne dłonie próbowały ją wyrwać. I zrzucić mu na głowę. Teraz Tomasz był już zupełnie unieruchomiony od pasa w dół. Po raz pierwszy przestraszył się, że umrze, ale zaraz potem wieloletni trening wziął górę. Strażnik musiał podzielić swą uwagę między mnicha i drewnianą belkę. Wysocki sięgnął umysłem w głąb kaplicy, aby wyczuć przeciwnika. Tym razem udało się i zakonnik włożył całą moc w próbę odepchnięcia istoty. Poczuł, jak znikają pętające go więzy. Rzucił się w bok, mając nadzieję, że zmyli tym przeciwnika, po czym puścił się biegiem do wyjścia.

Wypadł z kaplicy i przewrócił się tuż za progiem. Momentalnie znaleźli się przy nim Andrzej i profesor Orańczak.

~ Co się stało? — zapytał ten pierwszy.

Zakonnik wstał z wysiłkiem, założył swoje ciemne okulary i odparł:

— Tam nie jest bezpiecznie. Słyszałem, jak pęka jedna Krokwi. Wolałem nie czekać, żeby sprawdzić która.

Jakby na potwierdzenie tych słów z wnętrza dobiegi huk.

— Cholera. Znowu zawalił się kawał stropu. Trzeba dopilnować, żeby nikt tam nie wchodził.

Kilku studentów, pamiętających ostatni wypadek, już biegło w stronę kaplicy. Profesor wyszedł im naprzeciw, podnosząc ręce w górę.

— Wszystko w porządku — zawołał. — Nikomu nic się nie stało, wracajcie do pracy.

Studenci posłusznie zawrócili, oprócz jednego. Zatrzymał się, prawie wpadając na profesora.

— Przecież mówiłem, że wszystko w porządku.

— Nie... ja nie o tym... — charczał zasapany student. Przez chwilę nie mógł jeszcze złapać oddechu.

— Znaleźliśmy coś... Myślę, że... zainteresuje to pana.

— Prowadź — zakomenderował profesor i wszyscy ruszyli za studentem.

Wysocki spojrzał w niebo. Cienkie pasma śnieżnobiałych chmur spokojnie sunęły na zachód. Mnich doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby strażnik był w pełni sił, nigdy nie przeżyłby tego starcia. Miał szczęście, bardzo dużo szczęścia. Nie był przygotowany na taki obrót sprawy. Sądził, że będzie w stanie dojrzeć obecność bardzo słabej istoty, na samej krawędzi bytu, która potwierdzi słuszność jego domysłów, a otarł się o śmierć

No tak. ale z drugiej strony, strażnik zachował na tyle sił, żeby zrzucić biednemu chłopakowi na głowę ładnych parę kilo dachu. Nie po to, żeby go zabić albo przekazać jakąś wiadomość, ale by zniewolić i uczynić z niego źródło energii, której tak potrzebował. Strażnik był bardzo głodny. A Wysocki, skoro tego nie dostrzegł, był po prostu głupi.

Czul potworne zmęczenie. Posługiwanie się magią wyczerpuje. Otrzeptał koszulę i spodnie z resztek kurzu, podążając za oddalają-

cą się grupką.

ROZDZIAŁ 10

Kazimierz Dolny. 2004

— Co to było? - zapytała Anna.

Ona, doktor Małecki i dwóch pielęgniarzy stali nad łóżkiem Pawła Raszy. Student był nieprzytomny, ale ledwie kilka minut wcześniej rzucał się na łóżku jak ptak ze złamanym skrzydłem.

— Co to było? — powtórzyła Anna.

Gdy na korytarzu usłyszała krzyk Pawła, pędem wróciła na salę. Zatrzymała się przy drzwiach i patrzyła oniemiała na studenta wstrząsanego atakiem. Przed chwilą z nim rozmawiała, wszystko było w porządku, a teraz jego ciało wyginało się w konwulsjach, na ustach pojawiła się piana, a wywrócone oczy ukazywały tylko białka. Pozostali pacjenci spoglądali przerażeni ze swoich łóżek.

— Może jakiś pourazowy napad. Albo uszkodzenie mózgu, którego wcześniej nic wykryliśmy — odparł Małecki.

— Nie wie pan?

— Nie jestem pewien. Musimy przeprowadzić dodatkowe badania.

— Jest pan lekarzem i nie wie pan, co tu się przed chwilą działo?!

— Proszę się uspokoić. Aby postawić prawidłową diagnozę niezbędne są badania. Na razie przeniesiemy pana Raszę z powrotem do izolatki. Proszę wracać do domu.

— Dlaczego? Zostanę tu i będę przy nim czuwać.

— Nie należy pani do rodziny.

Anna zrozumiała. Komunikat brzmiał: „Idź stąd, nie przerażaj nam”.

— A może jeszcze oskarży mnie pan o wywołanie tego ataku? — naskoczyła.

— Nie wiemy, jaka była przyczyna. Jest pani zdenerwowana. Musi się pani uspokoić, a pobyt w szpitalu temu nie służy.

Anna wybiegła z sali. Pragnęła teraz nade wszystko znaleźć Orańczaka.

— Przysięgam, że nie ruszyłem tego grobu.

Orańczak, Iza, Andrzej i Wysocki stali w rzędzie przy sznurze wyznaczającym kraniec jednego z sektorów. Student, który ich tam zaprowadził, zszedł do wykopu i pokazywał swoje odkrycie.

To był zewnętrzny sektor, ocierający się niemal o groby franciszkanów. Wykop kończył się tuż przy jednym z nich i w tym właśnie miejscu ziemia osunęła się, ukazując fragment zmurszałej trumny. Była uszkodzona. Wewnątrz o deski oparta była płaska, kamienna tablica pokryta dość wyraźnie widocznymi symbolami.

Orańczak zsunął się do wykopu, przyklęknął i przesunął dłonią po tablicy. Nie wierzył własnym oczom.

— Andrzej, pomóż mi. musimy to wyciągnąć! — zawołał.

— Przepraszam, ale czy nic sądzi pan, iż warto by było uzyskać zgodę zakonu, nim zacznie pan bezcześcić groby mnichów? — zapytał Wysocki.

Orańczak nie odpowiedział. We dwóch z Andrzejem chwycili płytę i wyszarpnęli ją, potracając przy okazji trumnę. Kilka desek rozsypało się w pył, z trumny wypadły kości.

— Jestem zmuszony poinformować o tym fakcie gwardiana klasztoru reformatów — ostrzegł zakonnik, lecz ponownie został zignorowany.

Sam też nie ruszył się z miejsca. Jak inni wpatrywał się w kamienną tablicę, która leżała teraz na ziemi-

prostokątna, mierząca na oko pół metra długości na trzydzieści centymetrów szerokości, cała pokryta była hieroglifami.

— Sefian, kapłan Cheprieo, strażnik Rydwanu Bogów... — odczytał Orańczak.

Piętnaście minut później brat Tomasz Wysocki zmierzał na pokładzie łodzi motorowej w stronę stałego lądu. Pogrążony w rozmyślaniach zdawał się nie zauważać wysokich fal ani zwiastujących burzę ciemnych chmur nadciągających od strony Kazimierza.

Jego myśli zaprzętało odkrycie, którego świadkiem był przed chwilą.

Kamienna tablica, pokryta hieroglifami, odnaleziona w starym

grobie mnicha, na malej wyspie nieopodal Kazimierza. Kto mógł się spodziewać? Wysocki właśnie uzyskał ostateczny dowód na to, że wreszcie, po tylu latach, trafił na właściwe miejsce.

Sefian. kapłan Chepriego... Głupcy.

Wiedział, że tylko on jeden ma pojęcie o wadze tego znaleziska. Orańczak, mimo że jest egiptologiem, tkwi w błędzie, a Stawicki jest tylko fotografem. Żaden z nich zapewne nigdy nie słyszał o Rydwanie Bogów zwanym też Okiem Horusa, a jeśli nawet, to przypisywali mu jakieś symboliczne znaczenie, bo czymże innym mógłby być w ich mniemaniu niż symbolem?

Wysocki jednak wiedział. Ludzie, dla których pracował, szukali Rydwanu od wieków. I wreszcie natrafili na jego ślad tu, w Polsce. Cóż za zbieg okoliczności. Tylko że on nie wierzył w zbiegi okoliczności, wierzył w przeznaczenie.

Ignoranci.

Napawał się tryumfem, świadomością, że zna sekrety niedostępne innym. Wkrótce jednak dowiedzą się wszyscy.

Sedno tego sekretu leżało głównie w nieprawidłowym tłumaczeniu, niedopatrzaniu. Pytanie, jak naukowcy mogli przeoczyć coś tak wielkiego? Nie pierwszy raz zresztą.

Przeznaczenie.

Skarabeusz był symbolem Chepriego, jednego z wielu bogów w egipskim panteonie, miał jednak i inne znaczenia. Jednym z nich, o czym egiptolodzy dobrze wiedzieli, był Byt.

Sefian nic był kapłanem Chepriego, był kapłanem Bytu, jednej z dwóch pierwotnych religii, z których wywodzą się wszelkie inne wierzenia. Być może, gdyby archeolodzy kopali gdzie indziej, natrafiliby na ślady kultów Bytu i jego przeciwieństwa — Niebytu. A tak, jedyną pozostałością są skarabeusze i spisane na papirusie teksty.

Teraz między zakonnikiem a Rydwanem Bogów stał jedynie strażnik z wyspy, ale z nim rozprawi się jeszcze tej nocy.

•••

Orańczak siedział oszołomiony przy drewnianym stole, pod dwiema złączonymi plastikowymi altankami, jakie można kupić w sklepie z meblami ogrodowymi. Obok siedzieli Iza i Andrzej, na

blacie leżała kamienna tablica.

— Czy to ten sam Sefian. o którym mi opowiadałeś? — zapytała Iza.

— Nie wiem — odparł Andrzej.

— Inskrypcja, choć wykonana dość prymitywnie, jest ta sama — mruknął Orańczak — poza wzmianką o Rydwanie Bogów.

— A co znaczą te hieroglify pomiędzy słowami „strażnik i „Rydwan Bogów”? — zapytał Stawicki.

— Są bardzo słabo widoczne, ale odczytałbym je jako..-„Oko Horusa”.

— Sefian. strażnik Oka Horusa, Rydwanu Bogów? Co to może znaczyć według ciebie?

— Nie mam pojęcia — westchnął profesor. — Może jakaś szczególna godność albo tytuł. Pierwszy raz się z czymś takim spotykam.

Wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż stołu.

— Skąd to się tu w ogóle wzięło?

— Myślałem, że spodziewałeś się tu coś znaleźć.

— Owszem, ale nie inskrypcji mówiącej, że tu pochowano człowieka, którego pusty grób odkopaliśmy na Saharze! Myślałem, że to może będzie kolekcja egipskich zabytków, która jakimś sposobem trafiła w ręce jednego z tych mnichów, ale nie to! Co do jasnej cholery robił egipski kapłan w tej części Europy tysiące lat temu?

Westchnął. Wsparł się dłońmi o blat i zapatrzył w tablicę. W głowie miał jeden wielki zamęt.

— Sefian — szepnął. — Przecież to niemożliwe! Jego grób znajduje się w Egipcie!

— Pusty grób — uzupełnił Andrzej.

— Boże. Jeśli to prawda... Jeśli on rzeczywiście tu leży... Zdajecie sobie sprawę, jakie to musiało być straszne?

— Umarł z dala od rodaków i swoich bliskich — powiedziała Iza

— Chyba niezupełnie — mruknął Andrzej.

— Nie to miałem na myśli. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że aby ich ciało zmartwychwstało w zaświatach, musi być pochowa-

ne w Egipcie... — Orańczak urwał. Dopiero teraz zrozumiał, co miał na myśli Andrzej, mówiąc „niezupełnie”.

— Biedny człowiek — wzruszyła się Iza.

Orańczak wpatrywał się w Andrzeja jak zahipnotyzowany.

— Musiało ich być co najmniej dwóch, może więcej — powiedział.

Andrzej pokiwał głową.

— Muszę natychmiast skontaktować się z ojcem Prokopowiczem — dodał profesor.

Chwytał tablicę i niemal wybiegł z altanki. Andrzej z Izą ruszyli za nim. Adi pobiegł za swoim panem.

— Co się stało?

— Nie rozumiesz? Jeśli Sefian rzeczywiście zmarł tutaj, to znaczy, że jego ciało leży gdzieś tu zakopane. A ktoś przecież musiał wyryć tę tablicę.

— Nie mógł tego zrobić sam przed śmiercią?

— Istnieje taka możliwość, o ile spodziewał się śmierci. Ale musiałby spędzić godziny, jeśli nie dni, ryjąc w kamieniu. Myślisz, że osłabiony, być może chory człowiek mógłby to zrobić? Tym bardziej bez odpowiednich narzędzi? Samo znalezienie odpowiedniego kamienia, w miarę płaskiego, musiało kosztować masę czasu i energii. Hieroglify są nierówne i dość płytko wyryte, jakby za pomocą innego kamienia, a nie dłuta.

— Przecież ta tablica ma kształt niemal idealnego prostokąta — zaprotestowała Iza. — Myślisz, że można taką znaleźć leżącą w trawie?

— Nie. Myślę jednak, że tego nie zrobił ani Sefian, ani jego towarzysze. Krawędzie są zbyt równe i zbyt gładkie w porównaniu ze znakami znajdującymi się na tablicy.

— Więc kto według ciebie mógł to zrobić?

— Mnisi.

Dogonili profesora dopiero na brzegu. Właśnie wsiadał do łodzi. Student, który trzymał ster, nie wyglądał na zachwyconego. Dopiero co wysadził na przystani franciszkanina, a już musi robić drugi kurs. W dodatku zapowiadała się burza, a prowadzenie łodzi w takich warunkach nie należało do przyjemności.

— Poczekaj! — krzyknął Andrzej.

— Pospieszcie się! Nie ma czasu do stracenia.

— Zachowujesz się, jakby diabeł w ciebie wstąpił — powiedział Andrzej, sadowiając się na ławce.

— Dziwisz się?

— Wcale.

Drogę na stały ład przebyli w milczeniu zakłócanym jedynie przez ryk silnika, szum fal i odległe jeszcze grzmoty.

Nim wsiadł do swojego jeepa, Orańczak rzucił jeszcze:

— Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to jutro zaczniemy szukać ciała. Spotkamy się tu rano.

— Ciekawe mruknęła Iza, gdy minął ich samochód profesora.

— Po prostu założył, że będziemy pomagać mu jutro kopać dziury w ziemi.

— Jestem fotoreporterem. Nic przepuszczę takiej okazji. A ty?

— Jasne, że nie — uśmiechnęła się Iza. — Jedziemy do mnie.'

Orańczak długo rozmawiał z gwardianem Prokopowiczem. Wyjaśniał, prosił i groził, bez skutku. Stary mnich nie miał zamiaru zgodzić się, aby ktokolwiek bezcześcił groby jego współbraci, niezależnie pod jakim pretekstem.

Profesor nic nie wskórał. Wyszedł wściekły i obiecał sobie, że z samego rana skontaktuje się z prowincjałem.

Burza rozszalała się na dobre.

Iza poszła pod prysznic. Słuchając szumu wody, Andrzej zastanawiał się, czy do niej nie dołączyć, ale zrezygnował z tego pomysłu. Czuł się przyjemnie zmęczony i postanowił jeszcze poleżeć. W powietrzu wciąż unosił się zapach seksu.

Andrzej przymknął oczy. Wspomnienia niedawnych rozkoszy mieszały się w jego głowie z wydarzeniami, jakie miały miejsce na wyspie.

Zasnął, nim Iza wyszła z kabiny. Nie przeszkadzały mil grzmoty zza okna.

Anna długo czekała na profesora. W hotelu zjawiał się dopiero

późnym wieczorem. Rozpierała go energia. Anna rzadko widziała go w stanie takiego uniesienia, chyba że podczas ich wypraw, gdy udało mu się wydrzeć pustyni kolejne ruiny pełne tajemnic.

Opowiedziała mu o swojej wizycie w szpitalu i o nagłym pogorszeniu stanu zdrowia Pawła Raszy, ale profesor słuchał jej jednym uchem. Zdawało się, że w ogóle nie wywarło to na nim wrażenia.

Za to Annę poruszyła relacja Orańczaka. Aż zachłysnęła się, gdy pokazał jej tablicę.

— Jutro płyniesz ze mną — oznajmił archeolog.

— Nie mogę. Jadę do szpitala sprawdzić, co z Raszą.

— Jesteś mi potrzebna. Jemu i tak nie pomożesz.

— Ale... — próbowała protestować Anna.

— Możesz przecież zadzwonić, powiedzą ci.

Anna skapitulowała. Poza tym była archeologiem. Chciała być w centrum wydarzeń i brać udział w poszukiwaniach. Po to tu przecież przyjechała.

Antoni Orańczak resztę nocy strawił na odczytywaniu wciąż na nowo tekstu zapisanego na kamiennej tablicy.

Tomasz Wysocki czekał, aż zapadnie noc. Był cierpliwym człowiekiem, umiał czekać. Oczywiście nie skontaktował się ani z gwardianem franciszkanów, ani ze swoimi mocodawcami. Jeszcze nie czas na to. Tomasz nie chciał, aby właśnie teraz zaczęli mu patrzeć na ręce. Da znać, gdy będzie gotów. Albo jeszcze lepiej, gdy już zdobędzie Rydwan.

Zapadła noc. Zakonnik założył gruby sweter, kurtkę przeciwdeszczową, wyjął z szuflady nocnej szafki pistolet i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 11

Egipt, 3000 lat p.n.e.

Dni mijały tak monotennie, że zdawały się zlewać w jedno. Krajobraz wciąż ten sam. Wszędzie, gdzie spojrzeć, ciągnęły się wydmy i Achon miał wrażenie, jakby po całym dniu wędrówki nic ruszyli nawet z miejsca. Stracił też rachubę czasu i nie wiedział jak długo znajdują się w drodze. Gdyby zapytał ojca, ten odparłby,

że właśnie mijał piętnasty dzień, odkąd wyruszyli z oazy.

Sefian zaczął się niepokoić. Zapasy wody kurczyły się w zaskakującym tempie i jeśli szybko nie znajdą jakiegoś źródła, to grozi im śmierć z pragnienia. Wiedział, że oaza znajduje się o kilka dni drogi. Gdyby podróżował sam, dotarłby do niej bezpiecznie, nim opróżniłby ostatni bukłak. Ale teraz jest ich dwóch, do tego Achon spowalniał wędrówkę. Chłopakowi już kilka razy wydawało się, że dostrzega na horyzoncie jeziora otoczone gąszczem palm i Sefian musiał za każdym razem tłumaczyć, iż to tylko miraż, widma, którymi pustynia wabi nieostrożnych wędrowców, a tych, którzy dają się zwieść, czeka śmierć w męczarniach.

Sefian podjął decyzję. Dłuższe marsze, krótsze postoje i zmniejszone racje wody. Inaczej nie mają szans. Achon nie przyjmie tych wiadomości z zachwytem; coraz częściej skarżył się na dokuczające pragnienie i prosił o wodę, ale będzie musiał zrozumieć, że innego wyjścia nie ma.

Zbliżało się południe, czas popasu. Wkrótce rozwieszą na czterech wbitych w sypki piasek palikach dużą płachtę, pod którą będą mogli wraz ze zwierzętami schronić się przed bezlitosnym słońcem. Zjedzą lekki posiłek, popijając odrobiną wody. może trochę się zdrzemną i znów ruszą w drogę. Tymczasem Sefian będzie musiał powiadomić syna o podjętych właśnie decyzjach, a to nie poprawiało mu nastroju.

— Ojczy, spójrz — zawołał Achon, wskazując jakiś punkt na horyzoncie.

Było wczesne popołudnie, do zmierzchu pozostało jeszcze kilka godzin i powietrze drżało od żaru. Mimo to Sefian dostrzegł to, co zwróciło uwagę jego syna.

— Co to jest? — zapytał chłopiec.

— Trąba powietrzna — odparł kapłan.

W głębi duszy obawiał się jednak, że jest to coś znacznie, znacznie gorszego.

— Powinniśmy zejść z wydmy — powiedział i zawrócił wielbłąda.

Po chwili zwierzęta leżały na piasku u stóp wydmy. Achon zaś

oparł głowę o grzbiet jednego z nich.

— Pójdę sprawdzić, może przejdzie obok — powiedział Sefian i wspiął się z powrotem na grzbiet wydmy.

Ani jedno tchnienie wiatru nie poruszało piaskiem, gdy, leżąc na brzuchu, kapłan wypatrywał podejrzanej trąby powietrznej. Zniknęła. Nie, jest. Wynurzyła się zza wydm i widać było, że jest naprawdę duża i porusza się bardzo szybko. Sefian już wiedział, że nie jest to zwykła trąba powietrzna, wirująca szaleńczo kolumna piasku, wysoka jak trzech ludzi, sunęła prosto przed siebie z celowością, która przywodziła na myśl tylko jedno.

Patrol.

Sefian wyszeptał słowa zaklęcia ochronnego, wykonując jednocześnie kilka gestów. Modlił się, aby to wystarczyło.

Niemal podskoczył ze strachu, gdy coś musnęło jego łydkę. Odwrócił się błyskawicznie i spostrzegł Achona. Chłopiec wczołgiwał się na wydme, a rękaw jego szaty zahaczył o nogę Sefiana.

— Na dół — syknął kapłan.

Chłopiec nie zwrócił uwagi na słowa ojca. Wpatrywał się zafascynowany w kolumnę piasku, która nagle zmieniła kierunek i zaczęła się oddalać.

— Co to jest?

— Duch pustyni — odparł Sefian. — A teraz uciekaj stąd.

Achon jeszcze raz spojrział na widmo i zsunął się z powrotem. Sefian został, obserwując ducha. Zaklęcie zadziało, pozostali niezauważeni i wyglądało na to, że kolumna piasku minie ich w odległości kilkuset metrów.

Wtedy jeden z trzech wielbłądów zaryczał.

Upiór zatrzymał się, wciąż wirując. Po chwili z przerażającą precyzją i szybkością strzały ruszył w stronę źródła dźwięku.

Sefian wstał i rozłożył ręce, jakby chciał zagrozić komuś drogę. Wypowiedział kilka słów i duch się zatrzymał. Potem z wirującej kolumny wytrysnął strumień piasku, trafiając kapłana w pierś. Siłą uderzenia odrzuciła go i Sefian stoczył się z grzbietu wydmy.

Achon ze zgrozą patrzył, jak niezwykle trąba powietrzna wyłania się zza wydmy. Wielbłądy zaryczały rozdzierająco na jej wi-

dok, poderwały się z miejsc i przerażone pobiegly przed siebie. Wir piasku ruszył wprost na Sefiana, który już dźwigał się na nogi. Nic miał jednak szans wstać i nawet nie próbował. Zamiast tego przyklęknął na jednym kolanie, pochylił głowę i skrzyżował ręce na piersi. Achon widział, że wargi ojca poruszają się, ale nie słyszał słów. Demon pochłoniął Sefiana, kapłan po prostu zniknął w wirującej kolumnie piasku.

Duch zatrzymał się w miejscu, jakby zastanawiał się nad dalszym działaniem. I chociaż nie miał oczu, Achon przysięgłby, że poczuł na sobie spojrzenie upiora. Krew zaczęła mu dudnić w uszach, gdy ujrzał swą zgubę. Kolana mu zmiękły, czyste przerażenie zalało jego umysł, gdy uświadomił sobie, że zaraz umrze.

Tymczasem duch nic ruszał się z miejsca, tylko wirował szaleńczo. W pewnym momencie kolumna piasku zaczęła się chwiać i wyginać na wszystkie strony. Trwało to kilkanaście sekund, aż wreszcie demon dosłownie się rozpadł. W jednej chwili piasek przestał wirować wokół niewidocznej osi i rozprysnął się promieniście, boleśnie raniąc przy tym Achona.

Chłopiec podniósł wzrok i ujrzał swojego ojca stojącego w rozkroku, z rozpostartymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Sefian niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń i spazmatycznie łapał powietrze. Potem osunął się na piasek.

Wielbłądy na szczęście nie uciekły daleko i na polecenie ojca Achon szybko sprowadził je z powrotem.

Sefian, mimo że bardzo osłabiony po niedawnej walce, natychmiast podszedł do swojego wielbłąda i zaczął gorączkowo grzebać w jukach. Wreszcie z westchnieniem ulgi wydobył niewielką torbę z mocnego materiału. Wyciągnął z niej dużą czarną kulę i Achon, choć nigdy wcześniej go nie widział, natychmiast odgadł, że to Rydwan Bogów.

Kapłan przez chwilę wpatrywał się w błyszczącą sferę, nim znów schował ją do torby, którą następnie przewiesił sobie przez ramię. Potem z innej torby wyjął małą buteleczkę różowego płynu, odkorkował ją i wypił całą zawartość jednym haustem. Była to jedna z mikstur przygotowanych przez Merukesa, która

miała mu pomóc w szybkim odzyskaniu sił.

— Musimy ruszać — powiedział i próbował dosiąść wielbłąda. Nie udało mu się i upadł.

— Może lepiej trochę tu odpocznijmy — zaproponował Achon.

Widok ojca niezdarnie padającego na piasek sprawił mu ogromny ból. Był to przecież jego ojciec, w oczach Achona najpotężniejszy, niezwyciężony człowiek.

— Nie. musimy ruszać — powtórzył Sefian. Tym razem zdołał usiąść w siodle. — Ten, kto wysłał ducha pustyni wkrótce zorientuje się, że coś jest nie tak, a ja chcę być wtedy daleko stąd — dodał, ponaglając zwierzę do szybszego marszu.

Achon zrównał się z nim po chwili.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

— To była magia, prawda? — zapytał w końcu chłopiec.

— Tak. To była magia.

Tej nocy Achon nie mógł zasnąć. Magia! Prawdziwa potęga, którą dysponował jego ojciec, a o której nigdy nie wspomniał ani jednym słowem. Gdyby nie starcie z demonem, Achon wciąż nic by o tym nie wiedział. I wtedy zapragnął również osiąść taką moc.

Sefian także długo nie spał. Wpatrywał się w gwiazdy, słuchał odgłosów drewna pękającego w ogniu i rozmyślał o patrolu. Jego pojawienie się stanowiło dla kapłana zagadkę. Czy to możliwe, że słudzy Seta już ich szukali i posługiwali się przy tym duchami pustyni? Zachowanie demona świadczyło o tym, że tak. Duchy pustyni na ogół są łagodne, dopóki coś ich nie rozdrażni. Ten był agresywny i żądny krwi. Polował na nich.

Pytanie, skąd oni wiedzieli, że Rydwanu nie ma już w Świątyni? Oczywiście, mogliby się tego spodziewać, gdyby ich szpieg w pałacu faraona został zdemaskowany. Wtedy pierwszą rzeczą byłoby przesłuchanie szpiega i próba zniwelowania poczynionych przez niego szkód, w tym przypadku przeniesienie Rydwanu w bezpieczne miejsce. Ale faraon był mądrym człowiekiem, do czasu ukrycia Rydwanu nie poczyniłby żadnych pochopnych kroków.

Sefian nie wierzył też, żeby był śledzony, bo wówczas atak nastąpiłby szybciej, byłby zdecydowany, a zamiast ducha pojawiliby

się magowie.

Podsumowując: słudzy Niebytu wiedzą, bądź domyślają się z jakiegoś powodu, że Rydwan opuścił Świątynię, jednak nie mają pojęcia, przynajmniej na razie, dokąd został wywieziony. Szukają na oślep, licząc na łut szczęścia. Nie była to dobra wiadomość, ale też nie działo się nic bardzo złego.

Nieco pocieszony tą myślą, Sefian zdołał wreszcie zasnąć.

— Opowiedz mi o duchach pustyni i magii — poprosił Achon. gdy przed świtem zwijali obóz.

Sefian westchnął. Wiedział, że ten dzień musiał kiedyś nadejść, ale nie spodziewał się, że tak szybko. Niemniej on sam był niewiele starszy, gdy rozpoczął nauki.

— Najprościej mówiąc — zaczął, dosiadając wielbłąda — to, co nazywasz magią, to nic innego, jak zdolność umysłu do kształtowania rzeczywistości. Wymaga lat ćwiczeń i samodyscypliny.

— Czyli magią może się posługiwać każdy?

— O tak. Pamiętaj, że na tym świecie nie ma rzeczy niemożliwych.

— Czy to, co nas wczoraj zaatakowało, było wytworem magii?

— Nie. To był jeden z duchów pustyni, które bardzo niechętnie opuszczają swoje kryjówki wśród wydm, jeśli nie są do tego zmuszane.

— A tamten był?

— Tak. Prawdopodobnie ktoś go wysłał z misją. Nie był z tego powodu zadowolony, czego zresztą nie ukrywał. Stanowił dla nas zagrożenie.

— Dlatego musiałeś go zabić?

— Tak.

— Szukają nas słudzy Seta, prawda?

— Owszem.

Wzeszło słońce, zaczynał się kolejny upalny dzień.

— Mama wiedziała?

— O czym?

— Że jesteś magiem.

Sefian uśmiechnął się przelotnie.

— Tak, wiedziała.

— A kapłani w Świątyni?

— Merukes wie. Dlatego powierzył mi Rydwan pomimo niskiej pozycji w Świątyni. Moja moc ma być gwarantem bezpieczeństwa Rydwanu. Dla całej reszty jestem po prostu jeszcze jednym szeregowym kapłanem, mozolnie torującym sobie drogę do zaszczytów. No. może z wyjątkiem Daikana, Jest blisko Merukesa, więc zapewne też wie.

— Dlaczego ukrywasz swoją moc?

— A jak ci się wydaje?

Achon się zastanowił.

— Kiedyś mama zapakowała mi trochę daktyli, gdy szedłem bawić się z kolegami — odparł w końcu. — Schowałem je pod ubraniem, bo bałem się, żeby mi ich ktoś nie zabrał. Czy w przypadku magii jest podobnie?

— Niezupełnie. Twojej mocy nikt nie może ci odebrać. Czasem jednak jest lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, że nią dysponujesz.

— Ale dlaczego? Gdybym miał wtedy taką moc, nic musiałbym się bać, że jakiś głupek zabierze mi garść owoców.

— Znalazłby sposób, gdyby mu bardzo zależało.

— Załatwiłbym go tak, jak ty tego ducha, gdyby tylko krzywo na mnie spojrział.

— I tu dochodzimy do pierwszej bardzo ważnej zasady. Nigdy nie wolno używać magii, żeby kogoś zaatakować. Nigdy. A wiesz dlaczego?

— Bo byłbym taki, jak ci, którzy nas szukają?

— Nie inaczej. Przeszedłbyś na stronę Niebytu, a stamtąd bardzo trudno jest wrócić. A teraz pomyśl: gdyby ktoś rzeczywiście chciał ci zabrać twoje daktyle, byłbyś gotów rozerwać go za to na strzępy?

— Raczej nie. Nie.

— A co by się stało, gdybyś mu powiedział albo jeszcze lepiej, pokazał, że potrafisz posługiwać się magią?

— Przestraszyłby się.

— Masz rację. Ludzie boją się wszystkiego, czego nie rozumieją, a większość z nich nie rozumie magii. Gorzej, uważają ją za

coś nienaturalnego, jak okręt płynący przez pustynię. I boją się jeszcze bardziej, a to prowadzi do nienawiści. Magowie Niebytu nie mają takich oporów. Chcą, żeby ludzie się ich bali. Żerują na ich strachu. Dlatego my wolimy się nie ujawniać. Nie chcemy, aby się nas obawiano i nie ufano nam. Wręcz przeciwnie. Ale dla ludzi mag to mag. Nie widzą różnicy. Nauczyli się, że od magów nie można oczekiwać niczego dobrego i nie da się już tego zmienić. Nieufność i podejrzliwość w stosunku do ludzi posługujących się magią zakorzeniła się głęboko w ludzkim umyśle i pozostanie tam już na zawsze. No i jest jeszcze jeden powód, żeby się nie ujawniać.

— Jaki?

— Po co przeciwnik ma wiedzieć, jakimi siłami dysponujemy?

— Naucz mnie posługiwać się magią — poprosił Achon.

Sefian przez długą chwilę wpatrywał się w syna.

— Dobrze — odpowiedział w końcu. — Zaczniemy wieczorem.

— Zamknij oczy — polecił Sefian.

Było cicho i chłodno. Nie wiał wiatr, słońce już nie przypiekało podróżnych. Kapłan-mag i jego syn siedzieli naprzeciw siebie ze skrzyżowanymi nogami na wciąż jeszcze ciepłym piasku. Wielbłądy przywiązane do palika zostawili w obozie odległym o jakieś dziesięć minut drogi. Nic ich nie rozpraszało.

— Wyprostuj się! — rozkazał Sefian, mocno klepiąc Achona w plecy. — Dobrze. Zamknij oczy. Co widzisz?

— Nic — odparł chłopiec.

— Co słyszysz?

— Nic.

— Skup się. Jeszcze raz. Co widzisz?

— Ciemność...

— Co słyszysz?

— Ciebie... swój oddech... bicie serca.

— To już coś. Skoncentruj się na oddechu. Wdech... wydech. Wdech... wydech. Powoli i spokojnie. Czujesz, jak z każdym oddechem przez twoje ciało przepływa esencja życia? Wnika w ciebie, a serce przenosi ją do każdego członka. Jest w twojej krwi.

Oczyszcza cię ze wszystkiego, co zbędne i szkodliwe. W tej chwili oczyszcza też twój umysł ze wszystkich myśli. Poczuj ją. Pozwól, aby tobą zawładnęła. Poddaj się jej. Jest tobą, a ty jesteś nią. Ona jest twoim największym skarbem, twoją mocą. Możesz jej rozkazywać, możesz ją wykorzystać tak, jak tego chcesz.

Sefian zamilkł. Przez jakiś czas panowała absolutna cisza zakłócana jedynie jednostajnym szmerem oddechów. Achon starał się skoncentrować na sile, o której mówił jego ojciec. Nie potrafił. Przed oczami stawały mu obrazy pustynnego ducha wirującego wokół własnej osi, Rydwanu Bogów, matki. Nie mógł się od nich uwolnić. Ilekroć odsuwał od siebie jedną myśl, następna natychmiast pojawiała się na jej miejscu. Wreszcie, nie będąc w stanie dłużej tego znieść, zerwał się na równe nogi i wykrzyknął: |

— Nie potrafię! Nigdy nie będę tak potężny jak ty!

Na te słowa Sefian także wstał i spojrzał na syna z góry.

— Nie oczekuj, że moc sama do ciebie przyjdzie! To nie jest kot, który mruczy, gdy go podrapiesz za uchem! Najpierw musisz się jej oddać, aby potem móc nią zawładnąć. Na dziś wystarczy.

Kapłan odwrócił się na pięcie i odszedł, pozostawiając lekko oszołomionego Achona sam na sam ze swoimi myślami.

Bądź gotów.

Achon się obudził. Był środek nocy. gwiazdy mrugały do niego. Sefian chrapał, a po ognisku pozostało ledwie wspomnienie. Któryś z wielbłądów się poruszył. Chłopak, leżąc w ciemnościach, zastanawiał się, co go obudziło.

Musisz być gotów.

To ten głos. Dlatego się obudził. Achon znał ten głos, choć nie potrafił sobie przypomnieć skąd. Usiadł i rozejrzał się, choć wiedział, że nikogo nic zobaczy. Kilka kroków dalej Sefian odwrócił się na drugi bok, mruknąwszy coś niezrozumiale. Nagle chłopiec zdał sobie sprawę, że ten głos, do kogokolwiek należy, rozbrzmiewa wprost w jego głowie.

Będzie cię potrzebował.

Wreszcie Achon rozpoznał tajemniczy głos i nie mógł uwierzyć, że potrzebował na to tak wiele czasu. To była jego matka. Chłopiec odgadł swoje przeznaczenie i się przestraszył.

Bądź gotów.

ROZDZIAŁ 12

Kazimierz Dolny. 2004

Srebrne volvo zatrzymało się na parkingu przed szpitalem. Zgasły światła, wycieraczki zamarły w bezruchu.

Wysocki wysiadł i w strugach deszczu, ścigany przez grzmoty i pioruny, pobiegł do drzwi budynku. Nie otwierając ich, spojrzął przez szybę do środka. W recepcji nic było nikogo. Nie zdziwiło go to zbytnio, wszak jego przeznaczeniem było wejść i wyjść ze szpitala niezauważonym.

Przemknął korytarzem, pozostawiając za sobą mokry ślad. Odnalazł drzwi prowadzące na klatkę schodową. Wspiął się na trzecie piętro i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Ujrzał plecy pielęgniarki znikającej za rogiem. To było niemal zbyt łatwe.

Oczywiście, przecież kierowało nim przeznaczenie. Zakradł się do izolatki Pawła Raszy. Student spał albo był nieprzytomny. Nic miało to większego znaczenia, gdyż i tak miał umrzeć.

Takie było jego przeznaczenie.

Linia na monitorze stojącym przy łóżku podskakiwała w rytm bicia serca chłopca. Wtórowały jej ciche piski. Zakonnik wyjął poduszkę spod głowy Pawła i przycisnął ją do jego twarzy. Trzymał ją tak długo, aż linia na monitorze przestała podskakiwać, a z głośnika rozległ się jednostajny jęk. Potem wsunął poduszkę z powrotem pod głowę studenta i opuścił pokój.

Był już na schodach, gdy usłyszał tupot pielęgniarki biegnącej korytarzem.

Nie niepokojony przez nikogo, wyszedł ze szpitala i zniknął w strugach deszczu. Po chwili ożył silnik samochodu, snop światła przeciął mrok i volvo odjechało. Następny przystanek — ośrodek „Merkury”.

Rozszalały żywioł, jakim było tej nocy jezioro, sprawiał niesamowite wrażenie. Ogromne fale, gnane silnym wiatrem, raz po raz z rykiem załamywały się o brzeg. Kilka łódek przycumowanych do boi wyczyniało dzikie harce, miotane przez wodę na wszystkie

strony. Jedna czy dwie leżały przewrócone na brzegu, przypominając truchła zwierząt, które przegrały walkę ze sztormem. Pioruny co chwilę uderzały w tafle jeziora, rozświetlając na moment fale ozdobione na szczycie białą pianą i ciemne, skłębione chmury nad nimi.

Wysocki stał na brzegu zafascynowany. Rozszalała natura w stanic pierwotnego chaosu przyprawiała go o drżenie.

Zbiegł po mokrym piasku i zepchnął do wody jedną z łódek motorowych. Łódka momentalnie zaczęła wirować i podskakiwać niczym narowisty koń.

Nie bez trudu uruchomił silnik i skierował łódź w stronę, gdzie, jak miał nadzieję, znajdowała się Skalka.

Podróż nic należała do przyjemnych. Szybko stracił z oczu brzeg. jedynie nikłe światła ośrodka wskazywały kierunek. Wkrótce poczuł się jak na pełnym morzu. Wokół tylko woda. ciemność i nic więcej. Potężne fale raz za razem uderzały w małą łupinę, którą kierował Wysocki, jakby postawiły sobie za punkt honoru pograżenie jej w toni. Ale zakonnik nie przejmował się tym zupełnie. Sterował łodzią tak, żeby dziób zawsze znajdował się na wprost czoła fali i do tej pory mu się udawało. Tylko kierunku nie był już pewien, ale gdy po raz kolejny niebo przeciął jaskrawy zygzak, dojrzał w oddali ciemną bryłę. Wystarczyła lekka korekta kursu i po chwili łódź zaryła w piasek. Jej jedyny pasażer i sternik w jednej osobie wyskoczył i wciągnął ją głębiej na niewielką plażę.

To niemal cud, że właśnie na nią trafił. Nie, nie cud. przeznaczenie.

O ileż prostsze jest życie, gdy kieruje nami przeznaczenie!

Orańczyk miał rację, ledwo widoczną w świetle latarki drózkę zarastały jeżyny i paprocie.

Burza się uspokajała. Wiatr również tracił na sile. Duże krople deszczu jeszcze przez kilka minut rozbryzgiwały się na liściach, a potem wszystko ucichło.

Akurat, gdy Wysocki postawił stopę na polanie.

Mimo że burza się skończyła, ciężkie chmury nie odpłynęły. Polany nie rozświetlał ani blask księżyca, ani migotanie odległych gwiazd. Kaplica była tylko ciemniejszą bryłą na tle niemal zupeł-

nej czerni. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk.

Przez chwilę Wysocki rozważał, czy nie zastrzelić ochroniarza, ale uznał to za zbyt ryzykowne. Nie sądził, aby z jego strony groziło mu jakiejkolwiek niebezpieczeństwo, a nie lubił zabijać bez powodu. Nie był seryjnym mordercą, który czerpie radość z pozbawiania ludzi życia.

Ruszył, jak mógł najciszej, w kierunku świątyni.

Po chwili stał już przed wejściem. Zamknął oczy, skoncentrował się i ledwie powstrzymał okrzyk radości, gdy niczego nie wyczuł. Wbiegł do środka. W progu przez chwilę miał wrażenie, jakby napierał na niewidzialną, rozciągliwą i spowalniającą ruchy błonę, ale gdy zrobił następny krok, wrażenie minęło i natychmiast o nim zapomniał. Poddał się uczuciu pełnego tryumfu. Był teraz tak blisko! Jego rachuby okazały się trafne. Strażnik, ta tajemnicza Obecność, z którą niedawno walczył, zginął, gdy Paweł Rasza oddał ostatnie tchnienie.

Pozostawało już tylko odnaleźć wśród ruin lub w ich pobliżu Rydwan. Wiedział, że jeszcze tej nocy wpadnie mu w ręce.

Franciszkanin podszedł do ołtarza.

Ranek powitał ich piękną pogodą. Po gwałtownej burzy pozostały jedynie zerwane liście, kałuże na ulicach i lśniąca od wilgoci trawa.

Andrzej zerwał się z łóżka rześki i wypoczęty. Nie miał żadnych snów, nic go nie dręczyło. Wypełniało go za to uczucie bezgranicznej radości, co zapewne miało związek z Izą i ich nocnymi igraszkami.

Nucąc pod nosem jakąś melodię, włączył czajnik i poszedł do łazienki. Pięć minut później obudził Izę, całując ją w szyję-

— Podano kawę — szepnął, gdy otworzyła oczy.

— Czym sobie zasłużyłam? — mruknęła, przeciągając się.

— Po prostu miałem ochotę przynieść ci kawę do łóżka.

— Śniadanie też dostanę?

— Przemyślę to.

Potem, gdy Iza poszła pod prysznic, Andrzej wyciągnął swój telefon komórkowy i wybrał numer redakcji „Explorera”.

— Maciek? Mam super temat na reportaż. Posłuchaj...

W tym samym momencie profesor Antoni Orańczak właśnie odkładał słuchawkę. Stał przy oknie, westchnął i zapatrzył się w dal.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę! — rzucił, odwracając się.

Do pokoju weszła Anna. Miała podkrążone oczy.

— Złe spałaś?

— W ogóle nic spałam — odparła. — Tablica, wypadek Pawła, burza w nocy... Wszystko to nie pozwoliło mi zmrużyć oczu.

— I Andrzej — dodał profesor.

— Tak, on też.

— Cóż, dziś będziesz musiała stawić mu czoła.

— Płynię z nami na wyspę?

— Jest fotoreporterem. Nie przepuści takiej okazji.

Anna opadła ciężko na fotel.

— A przy okazji może wyjaśnicie sobie pewne rzeczy — zakończył Orańczak.

— Ja nie chcę nic wyjaśniać. Nic chcę go nawet widzieć na oczy.

— Możesz go traktować jak powietrze, ale wolałbym, żebyśmy znów stanowili zgrany zespół, jak wtedy, w Egipcie. Pamiętasz?

— Oczywiście. Sęk w tym, że od tamtego czasu wiele się zmieniło.

— Postaraj się. Mamy tu do czynienia z czymś wielkim. Jesteś mi potrzebna.

— Domyślam się, że moje protesty i tak na nic by się nie zdały.

— Skoro więc mamy to już za sobą, może zejdziemy na śniadanie?

— Wspaniały pomysł — przyznała Anna.

Dwie minuty później siedzieli przy stoliku w jadalni, popijając gorącą kawę.

— Rozmawiałem z prowincjałem, nim przyszedł — oznajmił Orańczak.

— I?

— Twierdzi, że sprawa jest delikatna i musi się zastanowić. Boję się, że będzie utrudniał nam działanie.

— Nie powinien. W końcu chodzi o ważne odkrycie. Kto wie, jakie mogą być jego konsekwencje.

— Nie zapominaj, że przede wszystkim jest katolickim duchownym, a wiesz jak oni podchodzą do nauki, szczególnie jeśli chodzi o wnioski płynące z badań.

— Daj spokój, w końcu uznali koncepcję Kopernika — żartowała Anna.

— Ale najpierw spalili Giordana Bruna — mruknął Orańczak.

— Mamy XXI wiek.

— Racja. No nic, zobaczymy co będzie dalej. A przy okazji — odczytałem tekst z tablicy. Jestem prawie pewien, że Sefian wymieniony na tablicy jest tym samym kapłanem, którego mastabę odkryliśmy w Egipcie.

— Ale to chyba nie wszystko?

— Nie, ale reszty dowiesz się później. Chcę, żeby Andrzej też to usłyszał, w końcu był tam z nami i miał swój udział w tamtej wyprawie. Powiem ci tylko, że to niezwykle.

— A mówią, że to kobiety lubią tajemnice — westchnęła Anna z uśmiechem. — Nie ma szans, żeby wyciągnąć z ciebie te tajne informacje nieco wcześniej?

— Wiesz, że nie lubię się powtarzać. Chodźmy już. Chciałbym dotrzeć na Skałkę jak najszybciej. Nasi studenci wyruszyli już pół godziny temu.

Cała czwórka, nie licząc psa, którego Andrzej zabrał po drodze z pensjonatu, spotkała się na parkingu przed ośrodkiem "Merkury".

— Witaj. Anno — powiedział Stawicki na widok wysiadającej z samochodu profesora brunetki.

Anna zignorowała powitanie, zmierzyła chłodnym wzrokiem Izę, po czym odwróciła się bokiem, udając, że obserwuje studentów, którzy właśnie spychali do wody kilka łódek.

— Chyba bardzo cię nie lubi — szepnęła Iza. — Mnie zresztą też.

— Skoro już wszyscy są — zaczął Orańczak, zacierając ręce —

proponuję wyruszyć. Czekają nas pracowity dzień. Andrzej, masz aparat?

— Oczywiście. Nie ma za to Wysockiego — zauważył Andrzej.

— On akurat niezbyt mnie obchodzi. Kto późno przychodzi i tak dalej... Poza tym, mówiąc „wszyscy”, miałem na myśli wyłącznie tu zgromadzonych.

Po chwili kolejna łódeczka kierowana przez tego samego chłopaka, który towarzyszył im poprzedniego dnia, pruć fale, ścigając młodych archeologów. Ci ostatni właśnie docierali do Skalki. Wszyscy na pokładzie milczeli. Anna ostentacyjnie ignorowała Andrzeja. Orańczak zdawał się pogrążony w myślach, Iza czuła się nieswojo w obecności drugiej kobiety, a Adi leżał na dnie z nieszczęśliwą miną i uszami postawionymi na sztorc. Popiskiwał cicho, ale nikt tego nie słyszał przez ryk silnika.

Profesor ocknął się z zadumy, gdy mijali Skalkę.

— Przybijemy z drugiej strony, jak wczoraj! — oznajmił zupełnie niepotrzebnie.

Nikt nie zauważył łódki ukrytej w krzakach w pobliżu jedyne miejsce, gdzie można wyjść na brzeg od strony ośrodka.

Wkrótce po tym, jak ich motorówka spoczęła obok innych łodek, profesor różnym krokiem ruszył w stronę kaplicy, prowadząc swą małą grupkę.

— Mówiłem już Annie, że odczytałem tablicę, a właściwie tyle, ile się dało. część bowiem zatarła się z biegiem lat. Trudno poznać z jakiego okresu pochodzi pismo, ale stawiałbym na wczesny okres Starego Państwa. Historia, którą opowiada ta tablica, jest doprawdy niezwykła. Mówiąc w skrócie, kapłan

Chepriego imieniem Sefian wyruszył na zachód z czymś określonym jako Rydwan Bogów.

— Wydawało mi się, że to jakiś symbol — wtrącił Andrzej.

— Mnie również. Z tablicy wynika jednak, że jest to coś namacalnego, rzeczywistego, jakiś przedmiot.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak się spieszysz — mruknęła Anna. po raz pierwszy się odzywając.

Profesor uśmiechnął się pod nosem.

— Tak. Wierzę, że Rydwan, czymkolwiek jest. znajduje się

gdzieś w tej ziemi.

— Po co Sefian wyruszył na zachód i jak w takim razie trafił do Polski? — zapytał Andrzej. — Przecież to zupełnie bez sensu.

— Zgadza się. Nie potrafię odpowiedzieć na to drugie pytanie. Co do pierwszego, zdaje się, że jego zadanie polegało na zwróceniu Rydwanu Horusowi. Egipcjanie wierzyli, że ich bogowie mieszkają właśnie na zachodzie.

— Jakaś mistyczna podróż mająca na celu samopoznanie?

— Nie mam pojęcia. Nie potrafię zrozumieć jej głębszego sensu, ani tego, jak Sefian trafił tutaj... Ach, już jesteśmy.

W tym momencie cała czwórka stanęła na polanie. Studenci już się krzątali koło swoich stanowisk, przygotowując się do pracy.

— Jak tu cicho — powiedziała Iza.

Rzeczywiście, wokół panowała prawie absolutna cisza. Nie zumał wiatr, żaden ptak nie śpiewał wśród konarów drzew. Jedyne dźwięki dochodzące od strony wykopalisk, rozmowy studentów i brzęk rozkładanych narzędzi, wydawały się przytłumione, jakby dochodziły z większej odległości, niż w rzeczywistości.

— Nie stójmy tu tak beczynn timer. Naprzód — zakomenderował Orańczak.

Reszta poszła za nim.

Wkrótce dołączyli do pracujących studentów. Profesor z Anną natychmiast objęli nadzór, Andrzej kręci! się to tu, to tam, robiąc zdjęcia. Towarzyszyła mu Iza z Adim.

— Myślisz, że to prawda, co mówił profesor? — zapytała w pewnej chwili Iza.

— Co konkretnie?

— Że Rydwan rzeczywiście istnieje i że jest gdzieś tu?

— Nie wiem, naprawdę. Ale gdyby okazało się, że Orańczak ma rację, byłaby to nielicha sensacja.

Wciąż robiąc zdjęcia, które miały być podstawą przyszłego reportażu o odkryciach archeologicznych w pobliżu Kazimierza. Andrzej dotarł do kaplicy. Postanowił zajrzeć do środka. Iza poszła za nim. Adi, o dziwo, również.

Andrzej zrobił kilka kroków po zakurzonej posadzce i nagle zmarł.

— Leć po Orańczaka — powiedział do Izy. — Szybko.

— Co się stało?

— Ołtarz jest odsunięty.

Iza podeszła bliżej i przekonała się, że Andrzej mówi prawdę. Ołtarz przekrecono o dziewięćdziesiąt stopni wokół jednego z rogów tak, że teraz był skierowany w stronę wejścia jednym z węższych boków, zamiast szerszym, jak ostatnio, gdy tu byli. Odsłaniał głęboką dziurę wykopaną w ziemi.

— Idź — powtórzył Andrzej. — Ja w tym czasie porobię parę zdjęć.

Zbliżył się do ołtarza, gdy Iza wyszła. Pomimo dziury w dachu i wysokich okien, przez które wpadało światło, nic dało się spojrzeć w głąb czeluści skrywanej do niedawna pod kamiennym blokiem dalej niż na kilkadziesiąt centymetrów. Adi obwąchał ołtarz i krawędź otworu w ziemi.

— Co o tym sądzisz, staruszkę? — zapytał Andrzej, przykleknąwszy obok.

Husky w odpowiedzi niepewnie pomachał ogonem.

Flesz błyskał raz po raz, gdy do kaplicy wbiegł Orańczak, a tuż /a nim Anna i Iza. Kilku ciekawskich studentów wsunęło głowy do środka, żaden jednak nie wszedł. Orańczak obejrzał dokładnie ołtarz, następnie zaś podszedł do Andrzeja.

— To jakiś tunel — rzekł Stawicki.

— Skąd wiesz?

— Schodzi po kątem.

Profesor przykleknął i niemal wsunął głowę w prostokątny wykop.

— Masz rację — powiedział po chwili. — Czuć też prąd powietrza.

— Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić — stwierdził Andrzej.

— Jak w Egipcie, co? Jest tylko jeden kłopot. Nie dysponujemy żadną latarką, a tam jest ciemno, choć oko wykol.

W oczach naukowca zapaliły się iskierki. Andrzej wiedział, że jest to oznaką najwyższej ekscytacji. Orańczak ledwo panował nad sobą, żeby nie skoczyć wprost do tunelu i nie sprawdzić, jakie

tajemnice w sobie skrywa.

Wtedy usłyszeli dziwny dźwięk. Z początku cichy, przypominający pomruk, stopniowo narastał, aby w końcu zmienić się w ogłuszający huk, kiedy zawaliła się przeciwległa ściana świątyni, w której znajdowało się wejście. Budowla drżała w posadach. Ogromne krokwie odrywały się ze stropu i roztrzaskiwały o podłogę.

— O Boże... Wali się! — krzyknął Andrzej. — Zaraz nas Przygniecie!

Wydawało się, że ma rację. Dach już, niemal sypał im się na głowy. Cegły odpadały z bocznych ścian świątyni. Została im tylko jedna szansa, jedna droga ucieczki.

— Skaczemy! Szybko! — zawołał Orańczak i niemal wepchnął krzyczącą Annę do tunelu.

Zaraz za nią ześliznęła się w głąb Iza. Prawie połowa kaplicy już leżała w gruzach. Wyglądało to, jakby przerażająca fala zniszczenia przechodziła od wejścia, burząc wszystko na swej drodze. Andrzejowi skojarzyło się to z wolniejszą wersją podmuchu wywołanego eksplozją bomby atomowej.

Orańczak chwycił go za ramię, gdy tak zafascynowany wpatrywał się w nadciągającą śmierć. Profesor właśnie zniknął w tunelu. Nie było już czasu. Andrzej złapał przerażonego psa za futro i cisnął w ślad za profesorem, a następnie sam skoczył. Chwilę potem ogromna drewniana belka spadła w miejscu, gdzie stał przed chwilą. Zsuwał się po nierównej powierzchni, jak umiał najszybciej. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność. Nagle pośliznął się, stracił równowagę i przewrócił na plecy. Kręgosłup eksplodował bólem, a zaraz potem złapały go czyjeś ręce i pociągnęły w głąb. Kilka sekund później kaplica przestała istnieć, a wejście do tunelu zostało całkowicie zasypane.

Zapadła cisza. Wokół siebie słyszał tylko przyspieszone oddechy.

— Wszyscy cali? — zapytał Andrzej.

— Nie wiem — to była Iza.

— Chyba tak — to Anna.

— Trochę się podrapałem — powiedział profesor, a po chwili

dodał: — Dziwne. Z kaplicy nie dało się dojrzeć końca tunelu, jakby ktoś spuścił czarną zasłonę. Jednak my doskonale widzieliśmy, jak do nas zbiegasz, jeszcze przed chwilą światło docierało na samo dno.

— Później będziemy nad tym rozmyślać — uciął Andrzej. — Adi?

Poczuł na dłoni dotyk zimnego nosa i westchnął z ulgą. Wyglądało na to, że nikomu nic się nic stało, a dziura nie była tak głęboka, jak im się wydawało.

— Co, gołąbki, chyba nie będziemy tak beczynnie czekać, aż nas odkopią? — rozległ się jowialny głos profesora.

— Jeśli to tunel, to na pewno gdzieś się kończy. Nie ma sensu tu sterczeć.

Optymizm profesora był zaraźliwy i pomimo przeżytego szoku oraz egipskich wprost ciemności, dały się słyszeć nerwowe, urywane śmiechy.

Andrzej kilka razy błysnął fleszem. Jego nikon chyba nie odniósł poważniejszych obrażeń. Tunel był dość wysoki, aby dorosły człowiek mógł się w nim swobodnie wyprostować.

— Cóż, końca nie widać, ale za to droga jest prosta — stwierdził profesor. — Chodźmy więc.

Objął dowodzenie. Znów czuł się, jakby prowadził ekspedycję, która odkrywała zapomniane przez ludzi tajemnice. Był w swoim żywiole.

Powoli, krok za krokiem ruszyli w głąb tunelu rozświetlanego co jakiś czas fleszem aparatu Andrzeja, który zamykał pochód.

Każde z nich przez chwilę miało wrażenie, jakby trafiło na niewidzialną, rozciągliwą błonę hamującą ruchy, ale odczucie to minęło równie szybko jak się pojawiło i nic już potem nie zakłócało ich wędrówki starym, zapomnianym tunelem znajdującym się pod kaplicą stojącą na niewielkiej wyspie.

ROZDZIAŁ 13

Dominium

Tunel był ciemny i wilgotny, kształtem przypominał rurę wykutą w skale, o ścianach gładkich, jakby wyszlifowanych przez doskonałego kamieniarza

Przodem szedł Adi. Pies był spokojny, co, zważywszy na okoliczności, należało uznać za dobry znak.

Za Adim podążał profesor Orańczak. Nie stracił humoru. Tunel był równie niezwykły, co odkrycie na wyspie i profesor oczami wyobraźni już widział napisaną przez siebie monografię na temat jej tajemnic.

Anna niemal następowała na pięty Orańczaka. Nic lubiła ciemności, a tunel przyprawiał ją o klaustrofobię. Dłońmi wodziła po ścianach korytarza, aby upewnić się, że wciąż są w tej samej odległości i nie próbują jej zgnieść. Nie odezwała się ani słowem, odkąd ruszyli w głąb tunelu, podobnie jak idąca za nią Iza.

Iza nie podzielała strachu Anny. Była ciekawa, co znajduje się na końcu tunelu, a całe zdarzenie uznała za interesującą przygodę. Otuchy dodawała jej świadomość, że dwa kroki za nią jest Andrzej.

Zamykający pochód fotoreporter był tak samo podekscytowany jak profesor. Znow brał udział w wyprawie archeologicznej, jak na początku kariery. Ostatnie doświadczenia w pracy korespondenta wojennego uświadomiły mu, o ile bardziej wolał być uczestnikiem takich wypraw. Nie gwarantowały one takiego rozgłosu i sławy jak reportaże z pola bitwy, ale dla Andrzeja były i ciekawsze, i dawały mu o niebo większą satysfakcję. No i nie groziły nagłą śmiercią z rąk jakiegoś szaleńca.

Ciemności nie rozświetlały już błyski flesza. Baterie w aparacie Andrzeja wyczerpały się i teraz cała piątka podążała tunelem całkowicie po omacku.

Nie wiedzieli, ile czasu upłynęło od chwili, gdy wejście pod kaplicą zostało zasypane. Mogło to być dziesięć minut, pół godziny, godzina. Nie mieli też pojęcia, jaką pokonali odległość. Anna miała wątpliwości, czy dobrze zrobili, oddalając się od kaplicy. W końcu to właśnie tam będą ich szukać. Może trzeba było zostać i cierpliwie czekać na pomoc? Właśnie zamierzała zaproponować, aby zawrócili, gdy Adi zaczął szczekać.

Nie było to gardłowe, basowe szczekanie ostrzegające przed niebezpieczeństwem, ale radosne, jakby pies chciał przekazać jakąś dobrą wiadomość.

— Widzę światło! — zawołał profesor i wszystkich ogarnęła fala radości. — Adi!

Husky wyrwał się do przodu, ale stanął, słysząc Orańczaka. Merdał ogonem i szczekał, poganiając ludzi.

W tunelu zaczęło się rozjaśniać, ale światełko na jego końcu widzieli jedynie Adi i profesor, który zasłaniał je innym swoją głową.

Korytarz nagle się poszerzył i mogli iść dwójkami obok siebie. Anna natychmiast zrównała krok z profesorem, wpatrując się tęsknie w jasny krąg. Przyspieszyli. Husky nie słuchał już Andrzeja ani Orańczaka i pobiegł przed siebie.

— Co do... — mruknął profesor, gdy zbliżyli się do wylotu tunelu.

Adi stał bezradny na samej krawędzi, rozglądając się wokół i popiskując. Co chwilę podnosił łapę, jakby chciał zrobić następny krok, ale zaraz się cofał.

Andrzej przepchnął się koło Anny, przyklęknął przy psie i spojrział wprost w chmury. Wychylił się, spojrział w dół, na boki, a potem w górę.

— To najdziwniejszy widok, jaki w życiu widziałem— powiedział, cofając się w głąb tunelu.

Wydawało się, że tunel kończy się w pionowej skale. Tylko że skała ta porośnięta była trawą i drzewami, których pnie zamiast w górę, wystrzelały poziomo. Były też głązy zdające się wyrastać wprost z tej dziwnej, pionowej łąki.

— Jak się stąd wydostaniemy? — zapytała Iza.

Andrzej nie odpowiedział, tylko znów przysunął się do krawędzi. Znalazł mały kamyk, wysunął ramię poza tunel i wypuścił go z ręki. Kamyk upadł w trawę kilka centymetrów dalej,

— Z grawitacją dzieje się tu coś bardzo dziwnego — mruknął.

Potem, nie namyślając się długo, usiadł, przewieszając nogi przez krawędź, i się odepchnął. Usłyszał jeszcze krzyk przerażenia Izy i świat zawirował. Jego błędnik nic mógł się zdecydować, gdzie jest góra, a gdzie dół i Andrzeja zemdlilo. Zamknął oczy, nim uderzył o ziemię.

— Andrzej, wszystko w porządku? — zawołał profesor.

— Chyba tak — odparł Stawicki, unosząc powieki.

Usiadł na trawie, spojrzął na zatroskane twarze wyglądające z tunelu i zwymiotował.

— Niesamowite — rzekł Orańczak. — Zupełnie, jakbyś był przylepiony do pionowej powierzchni.

— Wy za to wyglądacie, jakbyście stali na ścianie studni — odparł Andrzej, podchodząc do towarzyszy.

Przez chwilę stali pod kątem prostym względem siebie, w konfiguracji niemożliwej w żadnym miejscu, gdzie grawitacja działa prawidłowo. Wreszcie Andrzej pochylił się i pomógł wyjść z tunelu profesorowi. Potem razem z nim wyciągnął kobiety i na końcu psa. Adi, stanąwszy pewnie na czterech łapach, podszedł do tunelu, dokładnie obwąchał jego krawędź i spojrzął na swojego pana, piszcząc.

— Ja też tego nie rozumiem, staruszk.

— I co teraz? — zapytała Anna.

Rozejrzeli się. Tunel, który z tej perspektywy przypominał raczej studnię, kończył się w samym środku kamiennego kręgu składającego się z kilkunastu grubo ciosanych głazów.

— Na wszystkich bogów tego świata, gdzie my jesteśmy?!
— zawołał Orańczak.

— Nie mam pojęcia — odparł Andrzej. — Ale raczej nigdzie w pobliżu Kazimierza... Pamiętasz, mówiłeś kiedyś, że w miejscu, gdzie dziś stoi kaplica, kiedyś był kamienny krąg.

— Sądzisz, że... Ale to niemożliwe!

— Myślę, że powinniśmy wrócić tą samą drogą, którą przyszliśmy — powiedziała Anna i ruszyła w stronę tunelu.

— Zaczekaj — powiedział Andrzej, łapiąc ją za ramię.

Wyszukał w trawie kolejny kamyk, przy okazji raniąc się boleśnie żdźbłem. Wrzucił kamyk do tunelu-studni. Nie usłyszał uderzenia o skałę. Kamyk przepadł gdzieś w głębi.

— Zdaje się, że tędy już nie wrócimy.

Kamienny krąg, do którego doprowadził ich tunel, wznosił się na rozległej polanie otoczonej lasem. Było ciepło, trawa się zieleńiła, ptaki ćwierkały, ale wszystkie stalowoszare drzewa były bez-

listne. Wiał lekki wiatr, lecz gałęzie nie poddawały się jego naporowi, mimo że trawa falowała i szumiała w rytm podmuchów.

— Gdzie my jesteśmy? — powtórzył Orańczak.

Nikt mu nie odpowiedział. Pozostała czwórka snuła się jak w jakimś transie pomiędzy głazami. Andrzej podszedł do 'jednego z nich i zaczął go uważnie oglądać. Na powierzchni zwróconej w stronę drzew dostrzegł symbole, na których widok serce żywiej mu zabiło.

-Antoni! — zawołał. — Chodź tu!

— Co się stało? — zapytał profesor, podchodząc.

Wołanie Andrzej przyciągnęło też Annę i Izę.

— Spójrz — rzekł Stawicki, wskazując na znaki wyryte w kamieniu.

— Niebywałe...

— Potrafisz to odczytać?

— Oczywiście. Przecież jestem egiptologiem!

Profesor podszedł bliżej i zaczął się przyglądać hieroglifom.

— I co? — zapytała Iza po chwili.

— Dajże mi trochę czasu, kobieto — rzucił, nie odwracając się, profesor.

Potem niemal biegiem ruszył do kolejnego kamienia, przystanął przy nim na chwilę i udał się do kolejnego. Anna zrozumiała, o co chodzi profesorowi i pobiegła w przeciwną stronę. Andrzej i Iza zostali przy pierwszym głazie, zakłopotani.

Kamieni tworzących krąg było w sumie dwanaście. Anna i profesor spotkali się w połowie drogi. Profesor o coś zapytał, jego asystentka odpowiedziała i oboje ruszyli w stronę towarzyszy.

— Są takie same — zaczął Orańczak. — Symbole na każdym głazie są identyczne.

— Co oznaczają? — zapyta! Andrzej.

— To ostrzeżenie — odparła Anna, ubiegając profesora.

— Nie wchodź do kręgu albo spotka cię śmierć z ręki strażnika, z grubsza rzecz biorąc.

— Może jednak powinniśmy z niego wyjść — zaproponowała Iza, cofając się poza granicę wyznaczoną przez dwanaście głazów.

Pozostała trójka razem z Adim poszła w jej ślady.

— Więc o co w tym wszystkim chodzi? — rzucił Andrzej-

— Cofnęliśmy się w czasie?

— Nie wiem — odrzekł profesor. — Nie sędzę. Owszem. Na wyspie kiedyś był kamienny krąg, być może podobny do tego, ale wyspa była wtedy wzgórzem. Ta polana jest płaska jak stół. Moim zdaniem to nie była podróż w czasie, lecz w przestrzeni.

— Tylko dokąd?

— Tu już nie będę zgadywał.

— Niech szlag trafi mój aparat — mruknął Andrzej. — Ze też baterie musiały się wyczerpać właśnie teraz.

— Nie trzeba było robić tylu zdjęć w ciemnym tunelu — odparła Anna.

— Chciałem oświetlić nam drogę.

— Jeśli o mnie chodzi, to tymi błyskami tylko bardziej nas oślepiłeś.

— Dajcie spokój — wtrącił Orańczak. — Tunel był tak ciemny, że nie moglibyśmy być bardziej ślepi. Inna sprawa, że twój flesz niewiele pomagał.

— Nic macie się o co kłócić? — dodała Iza. Głos lekko jej drżał. — Nie wiemy, gdzie jesteśmy, ani w którą stronę się udać. W ogóle powinniśmy być na wyspie, przecież tunel nie mógł biec pod całym jeziorem! Prawda?

— Nie bój się — powiedział Andrzej, biorąc ją w ramiona. — Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Anna patrzyła na tę scenę z obojętną miną.

— Iza ma rację — powiedział Orańczak. — Powinniśmy się zastanowić nad dalszymi krokami. Sugeruję, abyśmy ruszyli w drogę.

— W którą stronę? — zapytał Andrzej.

— Tam — odparł profesor, wskazując palcem kierunek.

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Orańczak wypatrzył ścieżkę prowadzącą przez las. I chociaż nie mieli Pojęcia, dokąd może ich ona zaprowadzić, była to jednak jakaś droga. Nie musieli już wybierać na ślepo kierunku: ścieżka sugerowała cel, do którego zmierzała. Wszak musi prowadzić skądś dokądś i idąc nią, w końcu do tego „dokądś” dojdą.

Ścieżka była kręta i wąska. Szli powoli, rozglądając się wokół.

— Nie pamiętam, żeby w okolicy Kazimierza rósł taki las — odezwał się Orańczak. — Na pewno nie w pobliżu jeziora.

Las rzeczywiście wyglądał niecodziennie. Wszystkie drzewa w nim rosące miały grube, szare pnie i bezlistne, niewrażliwe na podmuchy wiatru konary. Ściółkę stanowiła trawa, taka sama, jaka porastała polanę z kamiennym kręgiem. Jej źdźbła sięgały kostek wędrowców.

— Kto to widział, żeby o tej porze roku drzewa nic miały liści? — dziwił się profesor.

— Może zaatakowała je jakaś choroba — zasugerował Andrzej.

— Nie sądzę, aby to był powód — rzekła Iza. Zatrzymała się przy jednym z drzew i wodziła po nim dłonią. — Są z kamienia.

— Co?

— Są z kamienia. Niech pan sam sprawdzi, profesorze.

Orańczak podszedł do najbliższego pnia i dotknął go.

— Na rany Chrystusa, rzeczywiście... Gdzie my jesteśmy, do jasnej cholery?!

— Myślę, że bardzo daleko od Kazimierza — powiedział Andrzej.

Orańczak usiadł pod drzewem. Wyglądał na zdruzgotanego.

— Kamienny krąg w kamiennym lesie — mruczał. — To jakiś koszmar.

— Kto zadał sobie tyle trudu, żeby to wszystko wykuć i tak ustawić? — dziwiła się Anna.

— Te drzewa nic zostały wykute — odparł Andrzej. — Raczej... wzniesione z samego jądra Ziemi. — To znaczy?

— Co?

— Mówiłeś, że te drzewa zostały „wzniesione”, nie wykute — zirytowała się Anna. — Co miałeś na myśli?

— Ja... nie wiem.

— Jak to nie wiesz? Przecież przed chwilą...

— Nic pamiętam! Nie mam pojęcia, w jaki sposób powstał ten las! Niby skąd.

— Spokojnie, dzieci — powiedział profesor, wciąż oparty o

pień. Udało mu się już opanować. — Nie wiem jak wy, ale ja mam dość tego lasu. Proponuję ruszyć dalej.

To rzekłszy, wstał, podpierając się dłonią. Żdźbło trawy rozcięło mu naskórek wzdłuż kciuka.

— To cholerstwo jest ostre jak brzytwa — stwierdził, ssąc ranę — Przeklęte miejsce.

Po chwili wszyscy znów maszerowali ścieżką. Adi biegł nieco z przodu.

— Jak w *Czarnoksiężniku z krainy Oz* — rzucił Andrzej.

— Co masz przeciwko *Czarnoksiężnikowi*? — zaatakowała go natychmiast Anna.

— Nic, Dorotko. Absolutnie nic. Za to ty ewidentnie masz coś do mnie — odparł Stawicki. — Powiesz mi, o co chodzi?

Anna, nie odzywając się, przyspieszyła kroku.

— Słowo daję, nie mam pojęcia, co ją ugryzło... — powiedział Andrzej do siebie.

Adi zniknął im z oczu za zakrętem. Po chwili rozległo się jego głośne ujadanie. Gdy czterech wędrowców dogoniło psa, okazało się, że czeka ich kolejna niespodzianka.

W trawie przy ścieżce, twarzą do ziemi, leżał brat Tomasz Wysocki,

— A on skąd się tu wziął?! — zawołał Orańczak.

— Dobre pytanie — odparł Andrzej, przewracając franciszkani-
na na plecy. Policzki duchownego poznaczone były krwawymi pręgami.

— Żyje?

— Tak, ale jest nieprzytomny. Iza, masz wodę?

— Mam — odparła dziewczyna i wyciągnęła z plecaka plastikową butelkę. — Proszę.

Andrzej skropił wodą twarz mnicha, bez rezultatu. Dopiero, gdy poklepał go mocniej po policzkach, Wysocki otworzył szeroko oczy, ale natychmiast zmrużył je do wąskich szparek.

— Jak się czujesz? — zapytał Andrzej, ale nie uzyskał odpowiedzi. — Słyszysz mnie?

Brak reakcji, jedynie mrugnięcie.

— Zamrugaj jeszcze raz, jeśli mnie słyszysz.

Nic. Tomasz nie poruszył się nawet, gdy Adi zaczął go obwąchiwać i lizać po twarzy.

— Nie wiem, co mu jest. Wydaje się przytomny, ale...

— Podnieśmy go — zaproponował Orańczak.

We dwójkę chwycili Wysockiego za ramiona. Zakonnik stanął pewnie na własnych nogach, ale poza tym się nie poruszył.

— Ciało funkcjonuje, ale umysł gdzieś uciekł,

— Przynajmniej nie będziemy go musieli nosić — zauważył profesor.

— O ile może chodzić.

Anna złapała franciszkanina za rękę i pociągnęła. Wysocki zrobił dwa kroki i się zatrzymał.

— Nie będzie to łatwe — powiedział Orańczak.

— Zajmę się nim — zaoferowała się jego asystentka.

— Zatem w drogę.

— Zaczekajcie! — zawołał Andrzej.

Właśnie podnosił z trawy pęknięte okulary przeciwsłoneczna gdy ujrzał leżący nieopodal pistolet.

— To Glock 17 — stwierdził. — Dziewiętnastostrzałowy. Sprawnym ruchem wyjął magazynek i sprawdził komorę.

— Znasz się na tym? — zapytała Iza.

— Byłem w Iraku. Nauczyłem się kilku rzeczy.

— No tak...

Kolejne dwie godziny spędzili, idąc ścieżką i prawie nie rozmawiając. Każdy zajęty był własnymi myślami. Jedyne zakonnik, maszerujący w środku orszaku, zdawał się wolny od trosk i jakichkolwiek innych myśli. Bładoniebieskie oczy spoglądały tępo przed siebie spod przymkniętych powiek. Anna nie miała problemu z prowadzeniem Wysockiego. Był jak pies na smyczy.

— Ściemnia się — zauważył w pewnym momencie Andrzej. — Myślę, że powinniśmy się zatrzymać.

— I przespąć w trawie, która tnie jak skalpel pijanego chirurga? — zapytał Orańczak.

— Sądziś, że bardziej rozsądne jest maszerować nocą?

— W gruncie rzeczy — tak. Być może tylko kilka minut dzieli

nas od jakiegoś miasta, wioski czy choćby szosy.

— Tego nie wiemy.

— Nic wiemy też, czy tak nie jest. Poza tym nie uśmiecha mi się nocowanie w tym... lesie.

— To może zagłosujemy? — rzucił ironicznie Andrzej. — Kto jest za dalszym marszem, ręka w górę.

Anna i profesor podnieśli dłonie.

— Zwariowaliście! Chcecie iść w nieznane ciemną nocą?

— Myślę, że profesor ma rację. — rzekła Iza. — A ten las przyprawia mnie o dreszcze.

— Jak sobie chcecie — mruknął Andrzej.

Poprawił plecak i ruszył przodem.

— Tak z ciekawości — zagaił Orańczak. — Jak sobie wyobrażałeś spanie w tej trawie?

— Daj spokój. To że obaj się zacięliśmy źdźbłem, nie znaczy, że nas poszatkuje na kawałki, gdy będziemy spać.

— Spójrz na jego twarz — powiedział profesor, wskazując Wysockiego. — Spójrz i powtórz to. Chcesz zaryzykować?

Andrzej schylił się i przejechał dłonią po trawie. Syknął z bólu, gdy na śródreczu pojawiły się trzy czerwone kreski.

— Właśnie dlatego sądzę, że nocleg tutaj to zły pomysł — podsumował Orańczak, ruszając przed siebie.

Zapadła noc rozświetlana jedynie słabym blaskiem księżyca, prześwitującego zza nagich koron kamiennych drzew. W tej srebrzystej poświacie las wyglądał upiornie. Ciszę przerywał jedynie szum traw, falujących lekko na wietrze.

— Już nie mogę. Nóg nie czuję — powiedziała Iza i usiadła na środku ścieżki.

Pozostali dołączyli do niej. Rozległy się westchnienia ulgi.

— Tyle, jeśli chodzi o nocny marsz — powiedział Andrzej.

Profesor spojrzał na niego krzywo, po czym rzekł:

— To był dzień pełen wrażeń. Wszystkich nas poniosły nerwy. Postarajmy się zapomnieć o tych nieporozumieniach, dobrze?

— Dzień pełen wrażeń, mówisz? O mało co nie zginęliśmy pod gruzami kaplicy. Schroniliśmy się w tunelu, a kiedy z niego wyszliśmy, okazało się, że jest dziura w ziemi, w środku kamiennego

kręgu. Kto jak kto, ale ty, Antoni, wiedziałbyś, gdyby taki krąg znajdował się gdziekolwiek w Polsce, zważywszy choćby na widniejące na głazach hieroglify. Krąg znajduje się w kamiennym lesie. Czy ktokolwiek z was słyszał o czymś podobnym? Ja nie. Podobnie jak nie słyszałem ani nie widziałem trawy o źdźbłach tak ostrych, jak ta tutaj, a kawałek świata zwiedziłem. Znaleźliśmy naszego znajomego zakonnika, a przy nim pistolet. I wiecie co? W magazynku brakuje jednego naboju. Do kogo strzelał? On sam natomiast zachowuje się jak chodząca marchewka! Nic do niego nie dociera. Reaguje, ale czysto odruchowo, nie myśli. I ty mówisz, że to był dzień pełen wrażeń?! A, jeszcze jedno. Rozpoznajecie może księżyc albo którąkolwiek z gwiazdnych konstelacji świecących radośnie nad naszymi głowami? Bo ja nie.

— Więc co? Sugerujesz, że jesteśmy w jakimś innym świecie?

— Tak.

— To niedorzeczne — parsknęła Anna.

— Czyżby? Więc jakie jest twoje wyjaśnienie?

— Nie wiem! — krzyknęła Anna. — Nie wiem, co się stało! Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale na pewno nie tam, gdzie powinniśmy być!

Wybuchnęła płaczem. Nie mogąc ukryć łez, odwróciła się plecami do Andrzeja i reszty. Widząc, jak szloch wstrząsa jej drobnym ciałem. Andrzej poczuł się winny. Był rozdrażniony całą sytuacją i bał się tak samo jak wszyscy, ale nie zamierzał się na nikim wyżywać. Tymczasem zachowywał się jak idiota i to w stosunku do swojej dawnej kochanki i profesora, którego darzył szczerą przyjaźnią.

Czuł się głupio. Odszedł parę kroków, położył się na ścieżce. Podłożywszy sobie plecak pod głowę, zapatrzył się w nieznane mu gwiazdy. Chciał się spokojnie zastanowić nad wydarzeniami tego szalonego dnia, ale przed oczami wciąż stawała mu opłakana twarz Anny. Jego myśli wciąż powracały ku niej.

Anno, Anno, co się : nami stało? — zapytał sam siebie tuż przed zaśnięciem.

Nocą, pod wpływem przeżyć minionego dnia, budzą się sny. Te

zwykle, przyjemne, ale niemające sensu i znaczenia, prorocze, erotyczne, koszmary. Pierwsza noc w złowrogim, nieruchomym kamiennym lesie była dla szóstki towarzyszy nocą koszmarów.

Adi przebierał łapami, jakby coś gonił albo przed czymś uciekał. Iza śniła o mężu, który ją dusi, lecz miał on twarz Wysockiego, Anna odbijała się od zimnych murów celi bez okna i drzwi.

Profesor Orańczak we śnie wpadł do niezabezpieczonego szybu na terenie wykopalisk w Egipcie i złamał obie nogi. Nikt nie słyszał jego wołań o pomoc.

Andrzej po raz kolejny był w Iraku i przeżywał wszystkie okrucieństwa wojny, których apogeum oglądał w telewizorze znajdującym się w mieszkaniu wysokiego rangą członka partii Baas.

Jedynie mnich nie miał snów. Leżał na plecach, tak jak pozostali i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w pustkę.

Andrzej obudził się o pierwszym brzasku. Leżał na ścieżce, podobnie jak reszta, Iza spała wtulona w jego plecy. Było mu zimno i wcale nie czuł się wypoczęty.

Las spowity był mgłą. Szary całun kłębił się leniwie tuż przy ziemi, zasłaniając ścieżkę, i pieścił kamienne kolumny drzew. Było cicho. Nie odezwał się żaden ptak, nie zabrzączał w chłodnym powietrzu żaden owad, nie drgnęło żadne źdźbło trawy. Ponad koronami drzew płynęły ołowiane chmury. Andrzej usiadł, budząc tym samym Izę.

— Co za mgła — szepnęła, przecierając oczy. — I jak cicho.

— Tak. Chodź, obudzimy ich — rzekł Stawicki, wskazując na pogrążonych we śnie Annę i profesora. — I nie musisz mówić szeptem. I tak nikt nas nie słyszy.

— Wiem, ale ten las i mgła... Czuję się, jakbym była w katedrze.

Andrzej potrząsnął lekko ramieniem profesora. Orańczak obudził się natychmiast. Anna była bardziej oporna, w końcu jednak i ona otworzyła oczy. Spojrzała w twarz pochylonego nad nią Andrzeja i się uśmiechnęła. Uśmiech zgasł jednak po chwili i tylko ledwie widoczny rumieniec zdradzał jej zakłopotanie. Natychmiast poszła zająć się Wysockim. Mnich wpatrywał się w nią i poza nią, aż dreszcz przeszedł jej po plecach.

— Niech ktoś mi pomoże — rzuciła, chwytając zimną dłoń bra-

ta.

Podeszła Iza. Pomyślała, że to będzie najlepszy sposób na pozbycie się złego wrażenia wywołanego nocnym koszmarem. Nie chciała jednak spojrzeć Tomaszowi w oczy.

— Miałam straszny sen — powiedziała, podnosząc wraz z Anną Wysockiego do pozycji siedzącej.

— Ja również — odparła Anna.

— I ja — dodał profesor. — To nie była dla nas łaskawa noc.

Wkrótce wymieniali się nocnymi doświadczeniami, jakby chcieli się licytować, kto z nich miał najstraszniejszy koszmar. Andrzej nie brał w tym udziału. Siedział wciąż na ścieżce, nieco z boku, głaszcząc Adiego. Czuł, że demony, przed którymi uciekł do Kazimierza, wracały. Czaiły się w mroku, na dnie świadomości...

— A co tobie się śniło? — zapytała Iza, wyrywając Andrzeja ze stanu otępienia.

Drgnął i odparł:

—Irak.

Wszyscy zamilkli.

Wygrałem

— Przepraszam — powiedziała Iza, kładąc dłoń na ramieniu Andrzeja. — Nie chciałam.

— Wiem — odparł Stawicki.

— Widzę, że mamy drobny problem — stwierdził Orańczak, przerywając niezręczną ciszę. — Nie widać ścieżki. Nie wiemy dokąd iść.

— I tak nic wiemy, dokąd idziemy — stwierdził Andrzej.

— Musimy poczekać. Czy ktoś ma coś do jedzenia? Nic wiem jak wy, ale ja jestem głodny.

Pospieszne przeszukanie kieszeni i plecaków zaowocowało znalezieniem jabłka, dwóch batonów i butelki wypełnionej wodą do połowy. W pięć minut było po śniadaniu. Anna zdołała włożyć zakonnikowi do ust kawałek batona. Żuł mechanicznie, wciąż patrząc tępo przed siebie. Przełknął też łyk wody.

— To niesamowite — powiedział Orańczak, obserwując Wysockiego. — Pierwszy raz widzę coś podobnego... Jakby był w stanie jakiegoś zawieszenia, pół-śpiączki.

— Jak robot — zgodził się Andrzej. — Powinien być całkiem przytomny albo zupełnie nieprzytomny. Z drugiej strony, to miejsce nie jest zwyczajne, normalne. Spójrz tylko na te drzewa. Nie wiemy, co go zaatakowało.

— Myślisz, że został zaatakowany?

— Jak inaczej wytłumaczyć brak jednego naboju? Nic sędzę, żeby dla przyjemności strzelał do wróbli.

— O ile w ogóle są tu jakieś wróbli — mruknął profesor.

— Ciekawe po co mu w ogóle pistolet?

Potem odetchnął głęboko i dodał:

— Wiemy, że nic nie wiemy. Dosłownie nic. Gdzie jesteśmy, jak się tu znaleźliśmy ani co przydarzyło się naszemu drogiemu franciszkaninowi. Może więc zarzucimy te bezsensowne dywagacje, dobrze? Do niczego to nie doprowadzi, jedynie wzmoże frustrację. Skupmy się najpierw na wyjściu z lasu.

Wszyscy zgodzili się z Orańczakiem i postanowili poczekać, aż podniesie się mgła. Potem ruszą dalej tajemniczą ścieżką.

Wzeszło słońce i rozproszyło mgłę. Andrzej i reszta grupy mogli wreszcie wyruszyć w dalszą drogę. Stawicki wysforował się kilka kroków naprzód. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Dręczyły go wspomnienia z Iraku, znów tak wyraziste, niemal namacalne. Tylko wierny Adi dotrzymywał mu kroku.

Iza szła samotna na samym końcu. Chciała pomóc Andrzejowi, ale nie bardzo wiedziała jak. Z drugiej strony, widziała jak patrzył na Annę. Przypominał wtedy jej byłego męża. Skończonego drania, który odebrał jej kilka lat życia. Anna również nie była niewinna w oczach Izy. Zdecydowanie wciąż czuła pociąg do fotoreportera, który przecież należał obecnie tylko do niej. Izy. Zazdrość nie zna granic.

Wkrótce zrobiło się ciepło, a potem gorąco. Głód i pragnienie dawały się we znaki. Nie mieli nic do jedzenia, a pół butelki wody nie wystarczyło na długo. Wokół nie było nic. poza kamiennymi pniami i falującą trawą. Żadnych krzewów owocowych, żadnego strumienia. Marsz powoli stawał się nic do zniesienia.

Zatrzymali się koło południa.

— Doprawdy, ten las nas wykończy — powiedział profesor, ścierając pot z czoła.

— Ciekawe, jak daleko się ciągnie — dodała Iza. — Pierwszy raz widzę las taki... pusty. Tylko te drzewa i trawa. Czasami słyszę śpiew jakiegoś ptaka, ale żadnego nie widziałam. A wy?

Pozostała trójka pokręciła w milczeniu głowami.

Andrzej spojrział na zakonnika i potrząsnął głową.

— Zaczynam mieć halucynacje z pragnienia — rzekł.

— To znaczy? — zaniepokoiła się Iza.

— Przed chwilą zdawało mi się, że widzę jakąś szarą aurę wokół Wysockiego. Ale już zniknęła.

— Nie lekceważ tego.

— To tylko przywidzenie spowodowane odwodnieniem.

— Nie wierzysz w aury?

— Wierzę, przecież wiesz. Tylko...

— Tylko co?

— Jest różnica pomiędzy wiarą a wiedzą. Nie wierzę, że akurat ja mógłbym dostrzec aurę.

— Dlaczego nie? Sam mówiłeś, że masz pewne skłonności do przewidywania przyszłych zdarzeń. Dostrzeganie aury to tylko kolejny przejaw twoich zdolności.

— Iza, nie sądzę, aby to był odpowiedni czas i miejsce na takie rozważania.

— Jak chcesz — odparła dziewczyna, wzruszając ramionami.

— Lepiej chodźmy dalej — zdecydował Andrzej, wstając.

Las skończył się nagle. W jednej chwili szli ścieżką w cieniu kamiennych konarów, potem minęli zakręt i znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się łąka. Zwyczajna łąka pachnąca kwiatami, gdzie trawa nie cięła jak brzytwa. Na lewo i prawo rozciągał się szpaler kamiennych drzew, niczym oddział żołnierzy strzegących granicy.

Ścieżka prowadziła prosto jak strzała. W oddali można było dostrzec most.

— No więc dotarliśmy do końca lasu — stwierdził Orańczak. — I nic. Żadnej drogi, miasta, wsi, nic. Tylko ta przekłeta ścieżka.

A jednak było coś jeszcze. Z prawej strony w polu widzenia pojawiły się dwa punkty. Rosły w oczach.

— Jeźdźcy — powiedział Andrzej, gdy do jego uszu doszedł tętent koni.

— Wspaniale — ucieszył się Orańczak. — W końcu jakiś ślad cywilizacji.

Postąpił kilka kroków naprzód i zaczął machać rękami.

— Hej! Tutaj! — krzyczał.

Gdyby istniały jakieś wątpliwości, czy jeźdźcy ich dostrzegli, teraz zostały rozwiane. Rozległy się odgłosy poganiania koni, które przeszły w galop. Promienie słońca odbiły się od lśniących napierśników jeźdźców. Wyciągnęli miecze.

— Nie podoba mi się to — mruknął Andrzej. Adi zaczął ujadać jak szalony.

Jeden z jeźdźców zeskoczył z konia kilka kroków przed wędrowcami. Był postawnym mężczyzną o śniadej cerze, podobnie jak jego towarzysz. Obydwaj dzierżyli w dłoniach miecze, dodatkowo każdy miał przy pasie sztylet.

Adi stał na szeroko rozstawionych łapach i szczyrzył kły. Znów zaczął szczekać, gdy mężczyzna się zbliżył. Jeździec spojrział na psa i kopnął go z całej siły ciężkim butem. Husky zwałił się, popiskując, na ziemię.

— Adi! — krzyknął Andrzej, wyrywając się naprzód.

Jeździec zwrócił ku niemu ostrze miecza. Stawicki zatrzymał się, tymczasem drugi mężczyzna, wciąż na koniu, zajechał grapę od tyłu. Byli w kleszczach. Ten, który zszedł z konia, zawołał coś w języku, którego nie zrozumieli. Gdy nie uzyskał odpowiedzi, skinął na towarzysza, który zeskoczył na ziemię i odwiązał od siodła zwój liny.

— Co oni chcą zrobić? — szepnęła Iza. — Andrzej?

Andrzej nie odpowiedział, tylko spoglądał to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Nie wierzył, aby mieli dobre zamiary, a pewność uzyskał, gdy ten z liną przystawił miecz do pleców Profesora.

— Hej! — zaprotestował Orańczak. — Co to wszystko ma znaczyć'?

Zamiast odpowiedzi otrzymał mocne pchnięcie w plecy.

— Hej! — powtórzył.

Andrzej wyrwał zza pasa pistolet i wycelował w stojącego przed nim mężczyznę.

— Rzuć to żelastwo — wycedził.

Jeździec nie zareagował. Przyglądał się tylko pistoletowi, jakby widział coś podobnego pierwszy raz w życiu.

— Rzuć to! — powtórzył Andrzej.

Mężczyzna drgnął i spojrzał na Stawickiego. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Uniósł miecz i wtedy padł strzał.

Konie spłoszyły się i uciekły. Jeździec wypuścił z dłoni uniesiony miecz i upadł, krzycząc. Jego towarzysz stał osłupiały z wyciągniętym mieczem. Gapił się na kolegę wijącego się w trawie i trzymającego za ramię. Potem spojrzał na Andrzeja, opuścił miecz i odstąpił o krok. Czekał. Andrzej wycelował w niego i ruchem głowy wskazał na miecz. Broń upadła w trawę.

— Antoni, zabierz mu sztylet i zwiąż go. Razem z tym drugim.

Orańczak bez słowa zabrał się do wykonywania poleceń.

— Strzeliłeś do człowieka — powiedziała Anna.

— Miałem jakiś wybór?

— Mogłeś go zabić!

— To tylko postrzał w ramię. Wylize się.

— Czy to było konieczne?

— Żartujesz?! Nie widziałaś tych mieczy? Myślisz, że chcieli nas nimi podrapać po plecach?

— Nie jesteś na wojnie. To nie jest Irak!

— Może są z jakiegoś bractwa rycerskiego, co? — powiedział Andrzej, po czym zwrócił się do rannego: — Hej! Należysz do bractwa rycerskiego?

Mężczyzna patrzył na Andrzeja, niczego nie rozumiejąc.

— Co ty na to? Naprawdę muszą któregoś nas przeszyć na wylot, żebyś uwierzyła, że to nie żarty?

Tymczasem Orańczak skończył wiązać pierwszego jeźdźca i brutalnie poderwał z ziemi drugiego.

— Może przynajmniej go opatrzmy? — zaproponowała Iza.

— Jak już będzie związany.

Kilka minut później jeźdźcy byli unieruchomieni, a do tego przywiązani do najbliższego kamiennego drzewa. W ich oczach czaił się paniczny strach.

Rana postrzałowa okazała się niegroźna. Kula przeszła na wylot, nie naruszając kości. Bandaż z rękawa koszuli jeźdźca szybko zatamował krwotok.

Andrzej zabrał sztylety, a miecze odrzucił w las.

— Gdziekolwiek się znaleźliśmy, nie jest to przyjazne miejsce — rzeki.

— Masz jakieś sugestie co do dalszego postępowania? — zapytał Orańczak.

— Owszem. Idziemy.

— Dokąd?

— Przed siebie. Ścieżką, jak dotąd.

— A jeśli spotkamy kolejnych jeźdźców?

— Będziemy się bronić.

— A...

— Masz lepszy pomysł? — Andrzej stracił cierpliwość. — Jeśli tak, to słucham. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Zostać tu? Wrócić do kamiennego kręgu i umrzeć z głodu i pragnienia? Dopóki możemy iść, dopóty mamy szansę. Nie zamierzam tu siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć.

Orańczak zamilkł urażony ostrymi słowami przyjaciela.

— Zostawimy ich tak? — zapytała niepewnie Iza.

— Chcesz ich zabrać ze sobą?

— Nie, ale nic chcę też, aby tu umarli.

Andrzej wyszarpnął zza pasa jeden ze sztyletów i ruszył w stronę jeźdźców. Ci, widząc jego wściekłą minę, zaczęli coś bełkotać we własnym języku.

— Andrzej, nie! — krzyknęła Iza.

Widziała, że Sawicki stracił cierpliwość. Wiele razy była świadkiem takich zachowań, umiała rozpoznać symptomy. Z doświadczenia wiedziała też, że mężczyzna ogarnięty furją jest nieobliczalny.

— Andrzej!

Fotoreporter przesunął sztyletem przed twarzami przerażonych

jeźdźców, potem okrążył pień i naciął linę.

— Proszę — powiedział, zwracając się do Izy. — Jak się postarają, to przetną linę do końca i będą wolni. Zadowolona? Możemy już iść?

I nie czekając na odpowiedź, chwycił plecak, zawołał Adiego i ruszył przodem.

Iza poszła jako ostatnia, wpatrzona w plecy Andrzeja.

Rozdział 14

Dominium

Most spinał brzegi rzeki szerokiej jak Wisła, ale o niebo czystszej. Znużeni wędrowcy mogli przynajmniej ugasić pragnienie, nim ruszyli w dalszą drogę.

Za mostem zaczynało się pasmo wzgórz. Nagich, jeśli nic liczyć trawy i polnych kwiatów. Upał stawał się nie do zniesienia, a jak okiem sięgnąć nie było miejsca, gdzie by się można było przed nim schronić.

— Akurat jak człowiek potrzebuje drzewa, to go nie ma — zauważył Orańczak, pokonując kolejne wzniesienie.

— Sam chciałeś opuścić tamten las jak najprędzej — odparła Anna.

Na Andrzeju upał zdawał się nie robić wrażenia. Szedł żwawo przed siebie, nie oglądając się. z Adim przy nodze. Również Wysocki nie zdradzał zmęczenia temperaturą. Szedł sztywno wyprostowany tam, dokąd prowadziła go Anna.

Każde wzgórze było nieco wyższe od poprzedniego, co szczególnie dotkliwie odczuwał profesor. Każde podejście przypominało mu, ile ma lat i że nie cieszy się już kondycją dwudziestolatka. Zostawał w tyle. Ciężko dyszał, w uszach mu szumiało, a serce bilo coraz mocniej. Do tego dochodziło jeszcze osłabienie z głodu. W końcu Orańczak stracił siły.

— Czekajcie, dzieci — powiedział, siadając na trawie. — Już nie mogę.

Anna i Iza natychmiast znalazły się przy nim. Nawet nie zauważyły, kiedy zaczął odstawać od grupy. Andrzej, który wraz z Adim stał na szczycie kolejnego wzgórza, zawołał:

— Czekajcie tu! — i zniknął.

Orańczak spojrzął za siebie, na drogę, którą przebyli. Nie dostrzegł już kamiennego lasu, wzgórze go przysłoniły.

Kobiety usiadły z obu stron profesora. Wysocki stał tam gdzie zostawiła go Anna. Milczeli.

Andrzej wrócił po kilku minutach, prowadząc za uzdy dwa konie.

— Mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz, jak się dosiada takiego zwierzęcia? — zwrócił się do Orańczaka.

— Mój Boże! Przecież to konie tamtych dwóch!

— Zgadza się. Zajrzałem do sakw. Jest chleb, trochę czerstwy, ser, solone mięso i manierki z wodą.

Na te słowa wszystkim, z wyjątkiem Tomasza, ślinka napłynęła do ust.

Andrzej zdjął sakwy z grzbietów koni i puścił zwierzęta luzem.

— Nie uciekną? — zaniepokoił się Orańczak.

— Nie. Nie uciekały też, kiedy się do nich zbliżyłem.

Gdy cała grupa zabrała się do posiłku, zerwał się lekki wiatr, przynosząc nieco ulgi od upału.

— Słuchajcie — rzekł Andrzej pomiędzy kęsami. — Niedaleko stąd jest wioska. Widać ją ze szczytu tego wzgórza. Może uda nam się tam zasięgnąć języka.

Ta wiadomość ucieszyła wszystkich. W końcu jakaś siedziba ludzka. Może wreszcie skończą się ich kłopoty, a przynajmniej dowiedzą się, gdzie są.

Szybko skończyli posiłek i chcieli ruszać w drogę.

— Widzę mały problem — zaczął Orańczak. — Co z Wysockim?

— Sam się na koniu nie utrzyma — powiedziała Anna.

— Zresztą, jak go wsadzić na konia?

— Z tym jeszcze sobie poradzimy — wtrącił Andrzej— Ale czy koń to wytrzyma? Będziemy musieli się zmieniać. Antoni. wskakuj na grzbiet. Anna z Wysockim na drugiego konia, a ja go poprowadzę.

— Mogę wziąć Izę — dodał profesor.

Gdy wszystko zostało już ustalone. Andrzej pomógł kobietom

wdrapać się na grzbiety wierzchowców. Potem z pomocą Orańczyka posadził Wysockiego przed Anną.

— Jezu. ależ on ciężki — sapnęła brunetka, wciągając zakonnicę, a potem obejmując go, żeby nie spadł.

— Poradzisz sobie? — zapytał Andrzej.

— Oczywiście.

Stawicki przez chwilę przyglądał się Annie, po czym skinął głową i poszedł pomóc profesorowi.

Wreszcie wszyscy byli na swoich miejscach. Andrzej ujął lejce konia, na którym siedziała Anna z franciszkaninem i zaczęli się wspinać na kolejne zbocze.

Gdy stanęli na szczycie wzgórza, ich oczom ukazał się sielankowy krajobraz. Łagodne zejście prowadziło przez łąki ku dolinie pokrytej szachownicą pól i pastwisk,

— Chyba mają tu żniwa — zauważył Andrzej.

Rzeczywiście, w oddali można było dostrzec małe figurki wieśniaków ścinających dojrzałe kłosa. Posługiwali się kosami, wokół nie było ani jednego kombajnu, czy jakiegokolwiek innej maszyny. Nieco dalej stały domy, stodoły i obory gospodarstw tworzących wioskę. Wszystkie były drewniane, a dachy miały kryte strzechą.

Krzyżowały się tam cztery drogi, a właściwie bite trakty. Z tej odległości przypominające nitki makaronu.

Profesorowi, gdy ogarnął to wszystko wzrokiem, zrzęda mina.

— Cisza, spokój... — zaczął. — Albo trafiliśmy na jakąś enklawę Amiszów. albo...

Nic dokończył. Potrząsnął tylko głową i spuścił oczy.

— Nie ma sensu tak stać — zauważył Andrzej. — Chodźmy.

Kilka minut później znaleźli się wśród złocistych pól. Chłopi przerwali pracę i bacznie przyglądali się obcym. Byli chudzi, brudni i odziani w nędzne koszule i spodnie.

— Boją się nas — powiedział Andrzej.

— Nie wyglądają na przerażonych — odparła Iza.

— Ale są. Wierz mi, widziałem takie spojrzenie w oczach mieszkańców wsi. przez które przejeżdżały wojska.

— Boją się, bo jesteśmy obcy.

— Nie wiem. Nie wydaje mi się. W końcu jest nas tylko garstka, mogliby nas załatwić, gdyby chcieli. Nie. Myślę, że chodzi o konie.

— Jeźdźcy...

— Yhm.

Nagle zatrzymał się w pół kroku.

— Jeźdźcy — powtórzył. — Czterech... nie. sześciu. Za nami.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się Anna.

— Nadjeżdżają...

— Skąd wiesz?

— Wiem.

— Skąd?!

— Po prostu wiem!

— Zaufajcie mu! — zawołała Iza.

Andrzej nie wiedział, co robić. Owszem, bywał nieraz w niebezpiecznych sytuacjach, ale albo sam, kiedy ryzykował tylko swoim życiem, albo w towarzystwie kogoś doświadczonego. Teraz trzy pary przerażonych oczu wpatrywały się w niego, czekając, aż podejmie decyzję.

Wieśniacy przyglądali się podejrzliwie, mocno ściskając kosa w spracowanych dłoniach.

— Antoni, galopem do wsi! — krzyknął Stawicki. — Poszukajcie jakiejś pustej stodoły i schrońcie się tam. Dołączymy do was.

Gdy profesor spał konia, Andrzej zwrócił się do psa:

— Adi, pilnuj!

Husky zastrzygł uszami i pobiegł za wierzchowcem Orańczaka.

— Umiesz jeździć? — zapytał Stawicki Annę.

— Nie!

— Przesuń się — powiedział, wskazując na grzbiet drugiego konia, pomiędzy Annę i Tomasza.

Zwierzę sieknęło i ugięło kolana, ale wytrzymało dodatkowy ciężar. Anna natychmiast objęła Andrzeja w pasie, przywierając do niego całym ciałem, a on sięgnął po lejce, jednocześnie podtrzymując Wysockiego. Ruszyli z kopyta.

Ledwie wjechali między zabudowania, gdy zza wzgórza wyłoniło się sześciu jeźdźców. Galopem, rozciągnięci w tyralierę, gnali

jak wicher ku bezbronnej wiosce. Rozległo się granie rogu. Na ten dźwięk wieśniaków ogarnęła panika. Porzucili narzędzia i puścili się pędem ku domostwom. Wystraszona matka zaganiała dzieci do domów, mężczyźni poganiali kobiety. W kilka chwil wioska wyglądała jak wymarła. Jedyne bydło, ptactwo domowe wałęsające się tu i ówdzie oraz rosnące na polach zboże świadczyły, że tak nie jest.

— Widzieli nas? — zapytała Anna.

— Nie wiem — odparł Andrzej.

Obejrzał się przez ramię, ale nie dostrzegł jeźdźców. Zasłaniały ich pobliskie budynki. Natomiast doskonale słyszał tętent koni.

Zauważył za to coś innego. W mgnieniu oka wokół głowy Wysockiego znów pojawiła się szara aura, ciemniejsza niż poprzednio.

Wraca. Gdziekolwiek przebywa jego umysł, właśnie szuka drogi powrotnej.

Skręcili za róg jakiegoś budynku i Andrzej musiał mocno ściągnąć lejce, aby nie wpaść na konia Orańczaka.

— Nie ma dokąd uciekać — powiedział profesor.

— Tam! To chyba obora. Tam się schowamy.

— Myślisz, że nas nie znajdą?

— Miejmy nadzieję.

Po chwili byli już w starym, drewnianym budynku. Był pusty, ale unosił się w nim smród krowiego łajna. Andrzej zaryglował drzwi.

— Co teraz? — spytała Iza.

— Czekamy — powiedział Andrzej.

Zaraz potem usłyszeli tętent koni galopujących przez wioskę. Przez szpary między deskami widzieli niewyraźne sylwetki jeźdźców mijających oborę. Tętent ucichł. Andrzej odetchnął z ulgą.

— Chyba jesteśmy bezpieczni.

— Na jak długo? — rzucił Orańczak.

Andrzej spojrzał na niego bez słowa.

— Jak długo możemy uciekać? Czy następnym razem też trafimy na jakąś wioskę i pustą oborę? Andrzej, jesteśmy w tarapatach, poważnych tarapatach. Odkąd zatrzymali nas tamci jeźdźcy, a my

ich związaliśmy. Pewnie nas szukają za napaść na władzę albo coś podobnego.

— Może więc należało ich zamordować, a ciała pogrzebać?

— Nie wiem. Może należało się nic ruszać z lasu. może trzeba było tam szukać drogi powrotnej.

— Sam nalegałeś, aby stamtąd iść!

— Może to był mój błąd...

— Wracają — szepnęła Iza.

Znów rozległ się dźwięk kopyt uderzających o ziemię. Jeźdźcy wpadli między zabudowania i zatrzymali się na niewielkim placu w centrum wioski, doskonale widocznym z obory.

— Wiedzą, że tu jesteśmy — powiedziała Iza.

— Nie mamy szans — dodała Anna.

Andrzej wyciągnął pistolet. Jeźdźcy wpadli kolejno do kilku domów i wyciągnęli z nich przerażonych mężczyzn i płaczące kobiety. Krzyczeli. Wieśniacy bełkotali coś w odpowiedzi.

— Pytają o nas — domyślił się Stawicki.

Jeden z jeźdźców podszedł do młodej kobiety, trzymającej się kurczowo ramienia starszego mężczyzny, zapewne jej ojca. Szarpnął ją, a kiedy starzec zaprotestował, uderzył go w twarz, tak że ten upadł. Kobieta krzyknęła. Jeździec rozdarł jej koszulę, odsłaniając małe, blade piersi. Dziewczyna próbowała się zasłonić, wywołując tym śmiech bandy. Starzec chciał wstać, ale inny jeździec kopnął go w zębra, podchodząc do dziewczyny. Jego ramię okrywał strzęp koszuli, który tworzył opaskę uciskową

Andrzeja ogarnął szal. Podbiegł do wrót obory i już chciał je otwierać, kiedy powstrzymał go Orańczak.

— Co chcesz zrobić? — zapytał.

— Oni zaraz zgwałcą tę dziewczynę na oczach całej wioski i będzie to nasza wina!

— Co chcesz zrobić? — powtórzył profesor, wciąż trzymając Andrzeja za ramię.

Niektórzy wieśniacy próbowali udobruchać jeźdźców, mówiąc coś i pokazując palcami przeciwne kierunki.

—A więc widzieli nas wjeżdżających do wsi — stwierdził Andrzej.

Jeden z koni należących do jeźdźców zarżał.

Odpowiedziało mu rzenie z obory.

Jeźdźcy natychmiast stracili zainteresowanie półnągą dziewczyną i chwycili za łuki. Dziewczyna skorzystała z okazji i uciekła do domu.

— Kurwa mać! — syknął Andrzej. — Pod przeciwległą ścianę. już!

Cofnął się od wejścia i stanął za końmi.

Jeźdźcy byli ostrożni. Na pewno słyszeli od towarzyszy o dziwnym przedmiocie, który głośno huczy i rani na odległość. Ten, któremu Andrzej przestrzelił ramię, został przy koniach.

Wieśniacy pouciekali.

Jeden z jeźdźców nagle podbiegł i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Andrzej nacisnął spust i mężczyzna zniknął tak szybko, jak się pojawił. Konie stanęły dęba i rzuciły się do ucieczki, niemal tratując drugiego jeźdźcę.

— Trafiłeś go? — zapytał profesor.

— Nie.

Jeźdźcy rozproszyli się wokół obory. Nie byli pewni, co robić.

— Nie mamy szans — jęknął Orańczak.

Andrzej nie odpowiedział. Kucnął przy jednej z szerszych szpar między deskami, wycelował i strzelił.

Z łydki najbliższego jeźdźcy trysnęła krew i mężczyzna upadł na ziemię, krzycząc. Pozostali pierzchli za pobliskie budynki.

Co teraz? Uciekać? Dokąd? I jak, z Wysockim -warzywem Zostać i bronić się do końca?

Rozterki Andrzeja rozstrzygnęli za niego jeźdźcy. Jakoś zdołali się porozumieć i ze wszystkich stron posypały się płonące strzały. Kryty słomą dach momentalnie zajął się ogniem. Gęsty, gryzący dym zaczął się przedostawać do środka.

— Spalą nas żywcem! — krzyknęła Anna.

Adi zaczął szczekać.

— Musimy stąd wyjść — rzucił Andrzej, doskakując do drzwi.

Otworzył je kopniakiem, wyskoczył i przywarł do ściany. Rozejrzał się. ale wokół nie było nikogo.

Czuł się, jakby znów był w Iraku. Znów ogień wokół, znów ści-

skął w dłoni pistolet, czerpiąc z niego złudną siłę i nadzieję. Ale teraz nikt go nie pilnował. To on był odpowiedzialny za grupę ludzi i był to straszny ciężar.

Reszta wybiegła, kaszłąc. Anna popychała przed sobą Tomasza. Iza ciągnęła go za ramię. Adi przywarował przy Andrzeju. Drżał.

— Co teraz? — spytał Orańczak.

Co teraz?

Obrali go na dowódcę. Jednogłośnie, bez sprzeciwu. A on nie mógł powiedzieć „nie”.

Teraz już nic było wyboru. Jeśli chcieli stąd uciec, to musieli unieszkodliwić przeciwnika, w razie konieczności — zabić.

Andrzej pamiętał, za którymi budynkami zniknęli jeźdźcy, orientował się też mniej więcej, skąd nadleciały płonące strzały, i postanowił pójść w przeciwnym kierunku. Może uda się ich zająć od tyłu. zaskoczyć albo zniknąć niepostrzeżenie.

Ruchem ręki nakazał pozostałym, by się cofnęli. Gdy doszli do końca ściany, Andrzej pierwszy się wychylił. Ujrzał wąską alejkę pomiędzy oborą a jakimś domem. Tam mogliby się na chwilę schować, zyskać na czasie.

Poprowadził ich w tę alejkę. I kiedy zbliżał się do jej końca. Nagle stanął naprzeciw napiętego łuku. Byli w pułapce.

Andrzeja obudziły wstrząsy i hałasy. Próbował je ignorować, ale one nie ustawały. Bolała go głowa i miał mdłości. Gdy po raz kolejny uderzył głową o twarde podłoże, otworzył oczy i przewrócił się na plecy. Nad sobą widział szare niebo.. Usiadł. Był w wozie. Wstrząsy, które tak boleśnie odczuwał, były spowodowane nierówną drogą, po jakiej toczył się wóz.

— Nareszcie się obudziłeś — usłyszał.

Odwrócił się i ujrzał Izę. Annę, Antoniego i Tomasza. Siedzieli plecami do woźnicy ze związanymi rękami i nogami. Andrzej ze zdumieniem stwierdził, że i on jest związany.

— Co się stało? — zapytał. — Pamiętam, że poprowadzili nas na plac. a potem...?

— No cóż, zabrali ci pistolet i dali porządnie w łeb na wszelki wypadek. A potem wypróbowali działanie pistoletu na jakimś

wieśniaku — opowiedział Orańczak.

— Zastrzelili kogoś?

— Tak.

— O, Boże...

Rozejrzał się. Jechali w czymś, co przypominało furmankę do przewozu siana. Wóz eskortowało pięciu jeźdźców, szósty, ten, którego Andrzej postrzelił w łydkę, powoził. Jego koń był przywiązany do furmanki.

Jeźdźcy pozornie nie zwracali uwagi na więźniów, ale Andrzej zauważył, że ukradkiem spoglądali na niego, jakby z obawą.

— Adi?

— Uciekł — rzekła Iza.

— To dobrze...

Wóz jechał szerokim duktem wśród łąk. Krajobraz wokół był płaski jak stół.

— Jak długo byłem nieprzytomny? I skąd się wzięła ta furmanka? — zapytał znów Andrzej.

— Kilka godzin — odparł profesor. — A wóz zabrali wieśniakom. W drodze jesteście od jakiejś godziny.

Andrzej próbował się skupić na wydarzeniach ostatnich dni. Przybyli tu — gdziekolwiek owo „tu” się znajdowało — przez tunel wykopany pod starą kaplicą. Trafili do lasu, w którym drzewa były z kamienia, a trawa cięła jak brzytwa. Znaleźli franciszkani-
na, który, choć nieprzytomny, był w stanie chodzić, jeść i pić. Rozbroili i przywiązali do drzewa dwóch jeźdźców, którzy przejawiali wobec nich wrogie zamiary. Chyba nie znają tu broni palnej, sądząc po reakcji, boją się też kamiennego lasu. Ciekawe, czy wiedzą o znajdującym się w głębi kamiennym kręgu? Potem Andrzej i jego towarzysze trafili do wioski, gdzie zostali pojmani przez tychże jeźdźców. Teraz zaś siedzą w rozklekotanej furmance ze związanymi rękami i nogami.

Jeźdźcy chyba nie mieli zamiaru ich zabić, bo mogli zrobić to już dawno. Kto wie, co by się stało, gdyby wtedy pod lasem albo w wiosce jeden z nich zginął?

Bolała go głowa. Wyciągnął się na twardych deskach furmanki i zamknął oczy. Chwilę potem dobiegł go głos profesora.

— Musimy uciekać.

Andrzej ponownie usiadł i spojrzał na przyjaciela.

— Aha... Wystarczy tylko znaleźć coś ostrego do przecięcia sznurów i w nogi, tak?

— Otóż to!

— Świetnie. A dokąd?

— Jak najdalej stąd.

— Ale w którą stronę? Do lasu? Do najbliższego lasu? Rozejrzyj się. Jak daleko zdołasz odbiec, nim znów cię dopadną? I co zrobisz z nim? — powiedział Andrzej, ruchem głowy wskazując Wysockiego,

Jeden z jeźdźców zbliżył się do wozu i zdzielił Andrzeja nahajką po plecach, rzucając przy tym kilka słów. Stawicki krzyknął. kobiety wraz z nim. Orańczak odwrócił wzrok.

— To chyba znaczy, że mamy być cicho — jęknął Andrzej. Sty jeździec się oddalił, a potem dodał: — Nie rozumiecie? Nie mamy w tym świecie żadnych szans.

— Jak myślisz, co z nami zrobią? — zapytała Iza.

— Nie wiem. Ale żyjemy. Trzymajmy się tego. Gdyby "•cieli nas zabić, nie rozmawialibyśmy teraz.

O zmierzchu wóz zjechał z drogi i zatrzymał się na łące. Jeźdźcy zaczęli rozbijać obóz, a więźniowie przyglądali się temu w milczeniu. Wkrótce nadeszła noc. a na łące zapłonęło ognisko. Zasiadli wokół niego wszyscy jeźdźcy oprócz dwóch, którzy stanęli przy wozie.

Andrzej spojrzał w niebo, którego tym razem nie przesłaniały konary kamiennych drzew. Nie dostrzegł ani Wielkiego Wozu, ani Oriona, ani Kasjopei. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, dokąd zaprowadził ich ten tajemniczy tunel pod kaplicą.

Inny świat. To jest zupełnie inny świat, niepodobny do naszego. Może nawet inny wszechświat... ?

Im dłużej obserwował gwiazdy, tym bardziej się utwierdzał w tym przekonaniu. Całkowicie już odrzucił tezę o podróży w czasie. Dzięki gwiazdom właśnie. Wszak już starożytni Egipcjanie, budując piramidy w Gizie, odwzorowali na Ziemi układ gwiazd

konstelacji Oriona. Orion, jak i pozostałe gwiazdozbiory, był częścią ziemskiego nieboskłonu od zawsze. Skoro znanych mu gwiazd tu nie było, znaczyło to, że nic jest to Ziemia.

Ukrył twarz w dłoniach. Nagle stracił zupełnie nadzieję na powrót do domu.

Po pewnym czasie doszedł go smakowity zapach. Jeźdźcy piekli mięso. Andrzej natychmiast zrobił się głodny. Do tej pory nic miał nawet czasu myśleć o jedzeniu, ale teraz żołądek przypominał mu, że od rana niczego nie jadł. Po minach towarzyszy poznał, że myślała o tym samym.

Stawicki przyjrzał się jeźdźcom, ich ruchom, ich postawom. Sprężysty krok, czujność, broń zawsze w zasięgu ręki. Powinien był zauważyć to wcześniej. Ci ludzie, których wziął za bandytów, byli żołnierzami.

Nagle Andrzej spojrział na całą sytuację z zupełnie innej perspektywy.

— Las to granica — szepnął.

— Co takiego? — nie zrozumiał profesor.

— Jesteśmy winni nielegalnego przekroczenia granicy pomiędzy światami — odrzekł Andrzej.

Oczy mu błyszczały w blasku ogniska.

— Musieli ci naprawdę mocno przyłożyć...

— Nie. posłuchaj. Ci jeźdźcy nie znaleźli się w pobliżu lasu przypadkiem. Byli na patrolu. I to nie sami, dlatego tak szybko ruszyli w pościg. Być może nie my pierwsi przeszliśmy tunelem...

Dalsze rozważania przerwało pojawienie się przy wozie jednego z jeźdźców. Surowym wzrokiem powiódł po twarzach jeńców, powiedział coś chrapliwym głosem i rzucił im pod nogi kawał pieczonego mięsa.

Natychmiast zapomnieli, o czym rozmawiali. Rzucili się na jedzenie.

Przeżuwając kęs nieco łykowatej pieczeni. Andrzej spojrział na zakonnik, którego karmiła Anna.

Mrugnął? Nie... To tylko gra światła i cieni na jego twarzy...

Dreszcz przeszedł mu po plecach.

O świcie znów ruszyli. Krajobraz uległ urozmaiceniu. Widzieli drzewa, kilka wiosek w oddali, a przez jedną nawet przejechali, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Mijali inne drogi łączące się bądź przecinające tę, którą jechali. Przed oczami mignął im wóz wyładowany sianem.

Znaleźli się w bardziej cywilizowanej części krainy. Jeźdźcy zacieśnili eskortę i nie zachowywali się już tak swobodnie jak poprzedniego dnia.

Słońce było blisko zenitu, gdy wjechali w las. Tym razem jednak był to zwyczajny las, w którym drzewa liściaste rosły obok iglastych, a pomiędzy nimi paprocie. Wokół rozlegało się wesołe ćwierkanie ptaków, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach. Las dał im też schronienie przed bezlitosnym upałem, co wszyscy przyjęli z ulgą.

Późnym popołudniem wyjechali z lasu. Znaleźli się na rozległym płaskowyżu pokrytym polami zboża, kapusty i ziemniaków, pomiędzy którymi rosły zagajniki. Wieśniacy, lepiej ubrani i odżywieni niż ci ze wsi, w której pojmano Andrzeja i jego towarzyszy, pracowali w pocie czoła. Nad okolicą górowało miasto.

Tam właśnie prowadziła droga, którą podążał wóz z przybyszami z innego świata.

ROZDZIAŁ 15

Egipt. 3000 lat p.n.e.

Dwa dni później skończyła im się woda. Sefian przyjął to ze spokojem. Spodziewał się, że do tego dojdzie. Achona natomiast ogarnęła panika.

— Jak to „nie ma”? — pytał. — To niemożliwe.

— A jednak — odparł Sefian, na dowód przechylając pusty bukłak. — Ani kropli.

— I co teraz?

— Nic. Jedziemy dalej.

— Bez wody?

— Wolisz tu zostać i czekać, aż spadnie z nieba? Dalej, w drogę.

— Jak daleko stąd do oazy?

— Jakieś dwa dni. Achon jęknął.

— Zginiemy tu.

— Nie zginiemy, nie maż się.

— Nie możesz użyć magii?

Sefian się zaśmiał.

— I wyczarować wodę z powietrza? Stworzyć ją z niczego? Nie jestem aż tak potężny. Nikt nie jest.

Resztę dnia jechali w milczeniu. Achonowi strasznie dokuczało pragnienie, spieczone wargi i suche gardło krzyczały o kroplę wody. Natomiast patrząc na Sefiana, można było odnieść wrażenie, że nie odczuwa on wcale pragnienia.

W pewnym momencie zatrzymał wielbłąda i zapatrzył się w dal. Delikatny podmuch poruszał jego szatą, gdy spogląda na horyzont.

— Zbliża się burza piaskowa — oznajmił i jak gdyby nigdy nic ruszył dalej.

— Skąd wiesz? — zapytał Achon. lecz kapłan nic odpowiedział.

Chłopak również przepatrzył widnokrąg, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Niebo było bezchmurne, powietrze czyste i rozgrzane jak co dzień.

Trzy godziny później nieboskłon przesłoniła brunatna mgła.

— No i jest — stwierdził Sefian tonem, jakby zapowiadał przybycie miłego gościa.

Znaleźli kotlinkę między wydmami i postanowili tam przecze-kać burzę. Pościągali bagaże z wielbłądzich grzbietów, sami zaś skulili się tak, aby ciała zwierząt osłaniały ich przed nadciągającą nawałnicą. Opatulili się jeszcze w płachtę materiału i czekali.

Najpierw usłyszeli szum, który z każdą chwilą stawał się gło-śniejszy, aż zmienił się w niemal ogłuszający hałas. Potem wiatr sypnął piaskiem z taką siłą, że przygięło ich do ziemi. Słyszeli ryki przestraszonych wielbłądów, ale zwierzęta zamilkły, gdy piasek zaczął im wpadać do otwartych pysków.

Burza piaskowa przybierała na sile. Zdawało się, że to sama pu-stynia chce żywcem zasypać śmiałków, którzy ośmielili się zapa-ścić tak daleko w jej głąb. Achon starał się jak najbardziej skulić pod płachtą. Przytulił się do ojca, który go objął i razem obserwo-

wali, jak u ich stóp rosną małe wydmy. Płachta robiła się ciężka od nawianego na nią piasku i chłopiec pomyślał, że przykrycie się nią mogło nie być najlepszym pomysłem. Starał się jednak o tym nic myśleć, usiłował skupić się na czymś przyjemnym. Przywołał obraz oazy. rozłożystych palni i chłodnego stawu. Przez chwilę miał wrażenie, że rzeczywiście udało mu się tam przenieść, że znów stoi w cieniu drzew, spoglądając na lekko pomarszczoną taflę jeziora. A potem nagle znalazł się zupełnie gdzie indziej, w miejscu, którego nie znał, gdzie wokół zalegały cienie rzucane przez grube mury. a on sam był stary i zmęczony. Otworzył oczy i znów był dwunastoletnim chłopcem, synem Sefiana. kapłana i maga Świątyni Horusa. znajdującym się w samym sercu burzy piaskowej. A w wyciu wiatru i szumie przesypującego się piasku usłyszał głosy.

Na wszystkich bogów tego świata, gdzie my jesteśmy?

Nie mam pojęcia.

Ale to niemożliwe!

Zdaje się, że już nim nie wrócimy...

Tego było dla Achona za wiele. Chłopiec pomyślał, że odjęło mu rozum, a potem zemdlął. Nim jednak stracił przytomność, ujrzał w sypiącym się z nieba piasku twarz matki i usłyszał jej głos:

Musisz być gotów.

Achon obudził się w siodle, podtrzymywany silnymi ramionami ojca.

— Widziałem matkę — wychrypiał przez zaschnięte gardło.

— Nic nie mów.

— Słyszałem jej głos. I inne głosy.

— Jesteś odwodniony, synu. Oszczędzaj siły.

— Co się stało?

— Zemdląłeś. A burza piaskowa skończyła się wkrótce potem. Prawie nas zasypało. Musiałem pomóc wielbłądom wydostać się z piasku.

— Wody... — szepnął Achon. Czuł, jak drętwieje mu język. Trudno mu było przetykać, ale organizm też nie wytwarzał zbyt wiele śliny, którą mógłby przełykać. Bał się, naprawdę się bał, że

nie przeżyje, a przecież musiał być gotowy, gdy nadejdzie czas...

— Już niedługo — powiedział Sefian. — Wytrzymaj.

Chłopiec przypomniał sobie swoją samotną podróż do oazy, w której spotkał ojca. Był tak wyczerpany, że w końcu mógł tylko trzymać się kurczowo szyi wielbłąda i mieć nadzieję, a zwierzę jakimś cudem samo odnalazło zagubioną w morzu piasku wysepkę zieleni. Szczęście? Przypadek? A może, zgodnie z tym, w co wierzy Sefian, przeznaczenie?

Zapadał zmrok. Słońce spadło za krawędź świata, a jego miejsce zajął księżyc. Wkrótce potem na niebie zapłonął Syriusz.

Achon osunął się bezwładnie w siodle. Zasnął.

Karawana złożona z trzech wielbłądów i dwóch ludzi posuwała się powoli naprzód. Sefian nie zamierzał tej nocy rozbijać obozu. Jego syna mogłoby to kosztować życie. Kapłan wyrzucał sobie, że był zbyt mało wymagający wobec Achona. Powinien był zmusić chłopca do większego wysiłku, może dzięki temu nie doszłoby do tej sytuacji. Sefian bił się z myślami. Achon miał zaledwie dwanaście lat i podróż przez pustynię na pewno była dla niego dwa razy bardziej męcząca i wyczerpująca niż dla jego ojca. Czy mógł znieść jeszcze większe obciążenie? W chłopcu drzemała siła, co do tego nie było wątpliwości. Inaczej nigdy nie dotarłby do pierwszej oazy. Ale to była siła ukryta, nieuświadomiona, z której Achon nie potrafił jeszcze w pełni korzystać. W pełni i, co ważniejsze, świadomie. Sefian zdecydował, że jeśli tylko dotrą do kolejnej oazy. zatrzymają się tam na dwa, trzy dni, aby nabrać sił, a przy okazji kapłan popracuje nad edukacją syna. Potem ruszą na zachód, w stronę Nilu. wsiądą na pokład jakiejś łodzi i w ten sposób odrobnią choć część straconego czasu.

Na Horusa. ależ chciało mu się pić! Nigdy wcześniej nie czuł takiego pragnienia, tak palącego, przenikającego każdą komórkę ciała. Bolała go głowa. Niezawodny znak. że w organizmie jest zbyt mało wody. Woda... Ostatnia rzecz, o której powinien myśleć, bo to tylko wzmagало pragnienie, a jednak nie potrafił skupić myśli na niczym innym. Wszystkie rzeki i jeziora, jakie w życiu widział, pojawiały się teraz przed jego zmęczonymi oczami. Słyszał nawet szum wodospadów, które podziwiał kiedyś w dalekim

kraju. Przypomniał sobie zielona doline, wodospad i jezioro pod nim. Cudowna kraina, o ktorej nie mysał od lat, bo wiazaa sie z innymi wspomnieniami, a one z kolei prowadziy do nastepnych wspomnien i do tego ostatniego, bolesnego wspomnienia.

Wielbady szy powoli, zmeczone niekonczacym sie marszem. Noc zapowiadaa sie duga i zimna. Sefian wiedzia, *te* nie mog sobie teraz pozwoli na odpoczynek. Niewielka karawana przemierzaa wiec dalej milczcy i ciemny ocean piasku.

Swit zarozowi niebo, a oni w milczeniu pokonywali kolejne wydmy, liczac, e za ta nastepna dostrzeg zarys drzew albo chociaz krzeww rosnacych na skraju oazy. Achon na przemian zapada w odretwienie i budzi sie z niego. Sefian stara sie czuwa, ale i jego z wolna opuszczay siy.

Ich garda poney ywym ogniem, jezyki stwardniay i zeszywniay jak drewniane koki, wargi zsiniay i popekay. a oaza wydawaa sie coraz bardziej odlega, nierzeczywista.

Piasek. Wszedzie piasek, suchy, nieprzyjemnie szeleszczcy w rzadkich podmuchach rownie suchego wiatru. A ponad piaskiem — sonce, niezmiennie gorcy straznik pustyni.

Bole gowy stay sie nie do zniesienia. Kade uderzenie serca roznosio sie echem pod czaszka. W uszach szumiao jakby tu obok olbrzymi ptak zrywa sie do lotu. Zaczynali tez miec zwidy i omamy suchowe. Sefian je ignorowa, natomiast Achon wciaz sie rozglada, bo co i rusz wydawao mu sie, e dostrzega co katem oka albo sysza jakie szepty. Odwraca sie wtedy gwatownie, ale nie widzia nic, procz piasku.

Az za ktoryms razem co, co zauway, nie znikneo, gdy chcia sie temu dokadniej przyjrze. Szepty sie nasiliy, a brzmiay zupenie jak...

— Woda...

Sefian spojrze na syna.

— Woda... — powtorzy Achon. wskazujac palcem jaki ksztalt po lewej stronie.

By rozmyty i niewyrazny. Przypomina szary, nieregularny pagerek. W kilku miejscach wystrzelay z niego niezbyt wysokie

słupki, postrzępione na końcach, które Achon wziął za palmy. Wszystko to migotało i falowało, jakby nie mogąc się zdecydować jaki kształt ostatecznie przyjąć. Wielbłądy w ogóle się tym nie interesowały i wciąż szły przed siebie, w swoim własnym, leniwym tempie.

— To pułapka — stwierdził Sefian. ale Achon go nie słuchał. Próbował wyrwać ojcu lejce i skierować wielbłądy w stronę oazy, którą wypatrzył.

— To miraż — wyszeptał kapłan. — Fatamorgana. Zwierzęta potrafią wyczuć wodę. Tam jej nie ma.

Przez jakiś czas szarpali się o lejce, aż w pewnym momencie Sefian uderzył syna otwartą dłonią w twarz. Chłopiec spojrzał na niego. Niechybnie zapłakałby, lecz pustynia już dawno wysuszyła wszystkie łązy. Potem spuścił wzrok i oddał ojcu lejce. Widmowa oaza rozpływała się w drżący zlepek ciemnych punktów na horyzoncie, szepty cichły, aż umilkły zupełnie.

— Przepraszam — powiedział Sefian przez ściśnięte gardło.

•••

Oaza pojawiła się nagle, zupełnie jakby ktoś podniósł skrywającą ją niewidzialną kurtynę. Wszędzie dookoła była tylko pustynia, a potem w jednej chwili Sefian i Achon odkryli, że są o rzut kamieniem od niewielkiego spłachetka zieleni porośniętego niskimi krzewami, spośród których wznosiło się ku niebu kilka niewysokich palm. Nie była tak okazała, jak poprzednia, ale wycieńczonych podróżników to nie obchodziło. Dla nich oaza oznaczała życie, ratunek, na który czekali od dawna i byli wdzięczni za to, że udało im się do niej dotrzeć.

ROZDZIAŁ 16

Dominium

Wóz wraz z eskortą wjechał na zwodzony most, opuszczony w poprzek szerokiej fosy. Kopyta zadudniły na grubych deskach, zmuszając strumień ludzi zmierzających do miasta i opuszczających je do rozstąpienia się. Bramy strzegło dwóch wartowników uzbrojonych w halabardy. Mieli takie same zbroje jak jeźdźcy. Pozdrowili się wzajemnie skinieniem głowy.

Miasto otaczały wysokie mury z białego kamienia. Na blankach można było dostrzec przechadzających się znudzonym krokiem łuczników. Nad bramą o wysokim sklepieniu wznosiła się prostokątna wieża z dzwonnica.

Za bramą powitał ich gwar, ścisk i smród wielkiego miasta. Główna ulica była szeroka; mogłoby nią jechać czterech jeźdźców obok siebie. Odchodziła od niej niezliczona ilość dużo węższych uliczek prowadzących do równie małych zaułków i placyków. Zaprzęg wiozący więźniów przykuwał powszechną uwagę. Ludzie pokazywali sobie nawzajem Andrzeja i jego towarzyszy, głośno komentując ich przejazd. Z mieszczących się wzdłuż ulicy tawern i składów wychodzili klienci i właściciele, aby również przyjrzeć się niecodziennemu zjawisku.

W oddali wznosiła się wieża, podobnie jak mury zbudowana z białego kamienia. Przy jej szczycie znajdowało się coś, co wyglądało jak pomost, ale Andrzej nie miał okazji przyjrzeć się dokładnie, gdyż wóz nagle skręcił w boczną aleję.

Tłum gęstniał z każdą chwilą. W pewnej chwili oczom więźniów ukazał się rozległy plac. Wielkie, rozkrzyczane, kolorowe targowisko. Jak okiem sięgnąć wszędzie stały stragany i stoiska, a każdy kramarz usiłował zachwalać swoje produkty głośniej niż sąsiad. Pomiedzy stołami zastawionymi warzywami, owocami i innymi towarami przechadzali się liczni potencjalni klienci, inni targowali się zawzięcie o cenę.

Wóz ponownie skręcił i znaleźli się w wąskiej, ponurej i cichej uliczce. Gdzieś pomiędzy domami Andrzejowi znów mignęła biała wieża, smukła i strzelista.

Miasto przypominało labirynt. Ktoś, kto nie znał jego topografii, mógł się łatwo zgubić w gąszczu wyglądających tak samo uliczek.

Wreszcie wóz wjechał na spory dziedziniec. Stał na nim duży, okrągły budynek o wąskich, zakratowanych oknach. Otaczał go mur, a jedyna w nim spiżowa brama zamknięta była na głucho.

Więzienie.

— Żołnierze czy bandyci, żadna różnica — mruknął Orańczak — I tak wylądujemy w ciemnicy.

Otwarto bramę i wóz wjechał na podwórzec. Jeźdźcy zsiadli z

koni. Jeden z nich przeciął jeńcom więzy na nogach i gestem nakazał zejść z furmanki. Anna i profesor ściągnęli z wozu Tomasza. Cała piątka zbiła się w ciasną grupkę.

Nagle otworzyły się drewniane drzwi prowadzące do wnętrza okrągłego budynku. Stał w nich wielki mężczyzna w bogato zdobionej zbroi. Jeźdźcy skłonili się przed nim z szacunkiem, a jeden z nich, którego Andrzej uznał za dowódcę oddziału, podszedł i zamienił kilka słów z olbrzymem.

Wkrótce potem pięciu towarzyszy zaciągnięto do środka. Wewnątrz budynku było ciemno. Nieco światła dawały rozmieszczone tu i ówdzie pochodnie. Zdażyli tylko zauważyć kilku żołnierzy bacznie im się przyglądających, po czym trafili na schody prowadzące w dół. Anna nic zdołała utrzymać Wysockiego i zakonnik stoczył się po kamiennych stopniach jak szmaciana lalka, wywołując tym gromki śmiech eskortujących ich strażników.

Na dole pozwolili Annie podnieść franciszkanina i poprowadzili więźniów w głąb korytarza. W końcu otworzyli jakieś drzwi, przecięli jeńcom sznury krępujące ręce i wrzucili ich do środka. Zgrzytnął przekręcany w zamku klucz.

Iza usiadła na podłodze i się rozplakała. Anna natychmiast objęła ją, szepcząc do ucha słowa otuchy. Orańczak również usiadł, opierając się o ścianę. Wysocki leżał tam, gdzie upadł po tym, jak wepchnięto go do celi. Andrzej stał trzy kroki od drzwi i czekał, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności.

Komnata była przestronna i wysoka. Panowała w niej olbrzymia wilgoć. Jedyne źródłem światła był wąski świetlik tuż przy suficie. Na pryczach obok leżały sterty szmat. Podłoga była zasnuta lekko nadgniłą słomą. Ze ścian zwisały łańcuchy z kajdanami.

— Pięciogwiazdkowy hotel to to nie jest — powiedział Andrzej. Orańczak spiorunował go wzrokiem.

— Wesoło ci? Wylądowaliśmy w jakimś cuchnącym lochu. a ty sobie żartujesz?!

— A co innego mogę zrobić? Jesteśmy tu i nic na to nie poradzimy. Póki życia, pory nadziei...

— Ty i to twoje cholerne filozofowanie!

Sterta szmat na jednej z pryczy się poruszyła.

— Szlachetni panowie — odezwała się, — Mówicie po polsku?

Całą grupę zamurowało. Z podłogi dźwignęła się sylwetka niskiego mężczyzny. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że odziany był w bardzo już zniszczony i brudny habit.

— Jestem brat Jan Ulicki — przedstawił się. — Tam, pod oknem, leży brat Wojciech Bednarz. Wybaczcie mu, że nic powstał. Jest chory i osłabiony bardzo.

Nikt się nic odezwał. Czwórka nowo przybyłych wpatrywała się w mnicha. Był brudny i wychudzony. Splątana broda świadczyła o długim pobycie w celi.

Andrzej pierwszy odzyskał mowę.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Nazywam się Jan Ulicki — powtórzył mężczyzna. — Jestem franciszkaninem. Bogu niech będą dzięki! Obawiałem się, iż nigdy już nic usłyszę ojczystej mowy!

W jego oczach zalśniły łzy. Andrzej chwycił go za ramiona.

— Skąd się tu wzięliście?

— Och, panie! Przedziwny wypadek nas tu sprowadził. Wraz z bratem Wojciechem i innymi braćmi budowałem kaplicę na wyspie nieopodal Kazimierza, na miejscu bezbożnego kultu pogańskiego. Musiały jakieś siły nieczyste się tam ostać, bo wtem ziemia się rozstała pod naszymi stopami i pochłonęły nas ciemności. Okazało się, że był to tunel...

— Który doprowadził was do kamiennego lasu — dokończył Stawicki. - A gdy z niego wyszliście, pochwycono was i wtrącono tutaj.

— Tak! Tak jak mówisz, panie!

— Przebyliśmy tę samą drogę...

Nagle trafił do niego sens słów wypowiedzianych przez mnicha.

— Kiedy tu trafiliście?

— Dwa lata temu.

— Jaki to był rok?

— No jak to... Rok pański 1642. oczywiście.

— O. matko...

— To... — zaczął profesor, podrywając się z podłogi.

Chciał wykrzyknąć: „to niemożliwe”, ale doświadczenia ostatnich dni nauczyły go, że niczego już nie może być pewien. Tu nie ma rzeczy niemożliwych.

Inny świat, inny czas.

Orańczak podszedł do mnicha i obejrzał go dokładnie z każdej strony, jakby był on niezwykłym obiektem muzealnym.

— Dwa lala, mówisz?

— Tak, panie.

— **Niesamowite...**

— Co takiego, panie?

— Niesamowite. Ze dla ciebie to jest rok 1644...

— Antoni — wtrącił Andrzej. — To nie jest dobry pomysł.

— ...podczas gdy dla nas. jest rok 2004 — ciągnął Orańczak. nie zważając na słowa Stawickiego.

— Nie rozumiem jak...

— Przyszliśmy tą samą drogą co ty — przerwał mnichowi profesor. — Tylko ze trzysta sześćdziesiąt lat później.

Brat Jan siedział na pryczy, zasłaniając twarz dłońmi. Trzysta sześćdziesiąt lal! Nic mógł. nie chciał w to uwierzyć. Dobrze, że brat Wojciech tego nie słyszał, załamałby się. do reszty.

Trzy wieki, podczas gdy oni myśleli, że upłynęły dwa lata. Ci ludzie w dziwnych strojach, zupełnie niepodobnych do tych, które znał. nie mieli przecież powodu kłamać. A kobiety! Są prawie nagie! Jak nie wstyd im wyjść na ulicę?

— Czy to prawda? — szepnął. — Jak mam w to uwierzyć?

— Spójrz na nas — odparł Andrzej, który przysiadł obok. — Spójrz na nasze ubrania nasze buty. Pokazałbym ci przedmioty z naszego czasu, gdyby nam ich nie odebrano. Nic znano ich w XVII wieku. Technika i nauka poszły naprzód tak dalece, że mógłbyś je uznać za magiczne. Spójrz na tamtego człowieka. To twój współbrat, franciszkanin. Czy jakikolwiek duchowny ubierał się tak w 1642 roku

— W ogóle do duchownego niepodobny... Ale modlicie się przynajmniej tak samo?

— *Pater noster qui est in caelis...* — wyrecytował Orańczak.

Mnich skinął głową.

— A więc przynajmniej niektóre rzeczy się nic zmieniły powiedział.

— Wszystko się zmieniło — odparł Andrzej. — I wciąż się zmienia, o wiele szybciej niż w XVII wieku.

— Nie żyją — rzekł franciszkanin. — Wszyscy, których znałem, moja rodzina. Ich kości już dawno zamieniły się w proch...

— Przykro mi.

— Możesz... opowiedzieć mi więcej?

Andrzej odetchnął z ulgą. A więc Jan jest skłonny zaakceptować jego słowa. Andrzej bardzo bał się tego, że mnich zamknie się w sobie, w swoim zaprzeczeniu i straci z nim kontakt. Nie mogli sobie na to pozwolić. Brat Jan był im potrzebny.

Tak więc Andrzej siedział przy mnichu i mówił. Mówił długo, aż wszyscy inni zasnęli, znużeni ciężkimi doświadczeniami minionego dnia. a franciszkanin słuchał i chłonał słowa Stawickiego jak gąbka. Brat Wojciech przez cały ten czas nie poruszył się ani razu.

W końcu, gdy Jan poczuł się usatysfakcjonowany, opowiedział swoją historię.

Jan Ulicki, zanim został bratem Janem, był architektem. Budował domy na zamówienie bogatych mieszczan. Fascynował go gotyk i marzył, że któregoś dnia postawi wspaniałą katedrę ku chwale Boga, wielką, lecz lekką, ze strzelistą wieżą i przepięknymi witrażami.

Jednakże zdarzyła mu się przygoda z żoną bardzo bogatego i bardzo zazdrosnego właściciela ziemskiego. Jan musiał uciekać. Schronił się pod skrzydłami wuja, biskupa wrocławskiego, ten zaś wysłał go do zakonu franciszkanów.

Gwardian zakonu, dowiedziawszy się, kogo przysłał mu prowincjał, postanowił zrobić z Jana użytek. I tak Jan Ulicki, będąc już bratem Janem, udał się do Kazimierza nad Wisłą, aby pomagać przy budowie tamtejszego klasztoru franciszkanów.

Któregoś dnia usłyszał gwardiana klasztoru mówiącego o kamiennym kręgu znajdującym się na wyspie na pobliskim jeziorze. Gwardian twierdził, iż ów krąg jest siedliskiem szatana, że ludzie

oddawali tam cześć fałszywym bożkom, wobec czego należy go zburzyć. Jan zaproponował, aby na miejscu kręgu postawić kościół, jak było to w zwyczaju. Gwardian rozważył propozycję, ale uznał, że wyspa jest zbyt mała i zbyt odległa, aby budować na niej kościół. Jednak sam pomysł, aby w miejscu pogańskiego kultu postawić świątynię przybytek bardzo mu się spodobał. Ale stawiać świątynię w tak odludnym miejscu? Musiał być ku temu jakiś powód. Gwardian długo nad tym rozmyślał, aż wreszcie wpadł na pomysł, że Skałka idealnie nada się na franciszkański cmentarz. Po tym, jak zburzą kamienny krąg i postawią na jego miejscu kaplicę, aby ostatecznie przegnać siły nieczyste, będzie to doskonałe miejsce spoczynku, gdzie zmarłym mnichom nic nie zakłóci spokoju.

Ku wielkiej radości Jana, gwardian wyznaczył go na głównego projektanta i wykonawcę kaplicy, która miała stanąć na Skałce. Ulicki ochoczo zabrał się do pracy. Na pomocnika wybrał sobie młodego mnicha słabowitego zdrowia, Wojciecha. Wreszcie mógł spełnić swoje marzenie. Nie była to wprawdzie gotycka katedra, ale Jan i tak był wdzięczny Bogu za otrzymaną szansę.

Najpierw jednak należało się uporać z kamiennym kręgiem. Nie nastęczało to większych problemów. Kamienic łatwo kruszyły się pod uderzeniami ciężkich młotów, a następnie ładowały na dnie jeziora. Został jedynie ostatni głaz, leżący pośrodku kręgu, niczym ołtarz kościoła. Okazało się jednakże był raczej płytą nagrobną, gdyż przykrywał ludzkie kości. Znaleziono również kamienną, grubo ciosaną płytę pokryta dziwnymi symbolami oraz złotego chrabąszcza. Mnisi zdziwili się niepomierne. A więc na wyspie był już cmentarz. Jan zdecydował, że kości trzeba przenieść. Nie chciał stawiać na nich fundamentów swojej kaplicy.

Tak więc franciszkanie wykopali pierwszy na Skałce grób i złożyli w nim szczątki. Gwardian postanowił, że płytę i chrabąszcza należy złożyć do grobu obok kości. Nie chciał, aby ktokolwiek kiedykolwiek zadawał niewygodne pytania, toteż nie odnotowano tego wydarzenia w oficjalnych księgach klasztoru. Ulicki nie rozumiał decyzji przełożonego. Czy nic lepiej byłoby roztrzaskać ową płytę i zatopić w jeziorze? Gwardian jednakże pozostał nie-

ugięty, zupełnie jakby coś go opętało. Był niespokojny i nieobecny duchem aż do czasu ponownego pochówku. Dopiero potem odetchnął, jak gdyby zdjęto mu z piersi wielkie zmartwienie.

Ludzie niechętnie pracowali przy budowie kaplicy. Mówili, że na wyspie straszy. Słyszeli dziwne szepty, gdy wokół nie było żywej duszy, jeden czy dwóch widziało postać łysego mężczyzny z wyłupanymi oczami i z ciężkim, złotym łańcuchem na szyi. Jan nic wierzył w te historie. Twierdził, że to tylko wymówki, aby uniknąć pracy.

Któregoś deszczowego popołudnia jeden z murarzy pracujących na budowie przybiegł do klasztoru, krzycząc, że kaplica runęła. Słyszając to, Ulicki zbladł. Pozostał im już tylko dach do położenia, a tu trzeba będzie zaczynać wszystko od początku. Murarz nic potrafił powiedzieć, co było przyczyną nieszczęścia, ale dzięki Bogu nikomu nic się nie stało. Jan posłał Wojciecha. po czym wraz z murarzem udali się na wyspę.

Jakież było ich zdumienie, gdy deptając po kostki w błocie, przemoknięci i przemarznięci, wyszli na polanę i ujrzeli kaplicę wznoszącą się pośrodku jak gdyby nigdy nic! Ulicki zbeształ murarza, jak święty Michał diabła, ale ten zarzekał się, że wszystko co mówił, było prawdą. Nieopodal stali zbici w grupkę pozostali robotnicy. Zaleknieni, przysięgali, że gdy ich kolega pobiegł po Jana, kaplica była jedynie stertą gruzu, a po chwili znów wyglądała na nienaruszoną.

Ulicki zbliżył się do budowli. Po chwili wahania wszedł do środka, a Wojciech podążył za nim. Od progu coś Janowi nie pasowało. Zrobił trzy kroki, nim wreszcie zorientował się, co. Stał jak wryty. W środku nie padało! Było to niemożliwe, absurdalne wręcz, dlatego nie od razu to spostrzegł. A przecież kaplica nie miała jeszcze dachu. Jan uniósł głowę i spojrzał w czyste, błękitne niebo. Świeciło słońce, zdawało mu się, że słyszy śpiew ptaków. Odwrócił się w stronę Wojciecha i ujrzął, że jest on tak samo zdziwiony i dezorientowany. Potem spojrzał za siebie, poprzez łuk, w którym kiedyś miały stanąć drzwi do kaplicy. Przez gęstą kurtynę deszczu widział jedynie zarys postaci robotników stojących na zewnątrz. Przeżegnał się.

Nagle ziemia się zatrzęsła i zawaliło się wejście do kaplicy. Wstrząsy nasiliły się, a po chwili zaczęły się kruszyć ściany. Mni- si pobiegli w stronę transeptu, choć trudno im było zachować rów- nowagę. Za sobą słyszeli hałas walących się kamieni. Jan wie- dział, że ucieczka nie ma sensu. Nie mieli się gdzie schronić, ale instynkt kazał im biec. Więc biegli, aż w miejscu, gdzie miał sta- nać ołtarz, dokładnie tam, gdzie wcześniej znajdował się centralny kamień kręgu, pod którym leżały kości, ziemia się rozstała, po- chłaniając mnichów.

— I tak właśnie, mój panie, znaleźliśmy się w tym dziwnym świecie rzekł Jan, kończąc swą historię. — Kilka dni później wy- lądowaliśmy w tych lochach, a teraz zjawiliście się wy, oznajmia- jąc, że minęły nie dwa, lecz przeszło trzysta lat.

— Mówiłeś, zdaje się, że kaplica zaczęła się walić, gdy byliście w środku? — zapytał Andrzej.

— Tak, panie.

— Nam też się to przydarzyło, gruz przysypał wejście do tunelu... Antoni, czy w starych kronikach jest wzmianka o jakiejś katastrofie budowlanej?

— Nie, o ile mi wiadomo, nic takiego nie miało miejsca.

— O czym to może świadczyć...? — mruknął pod nosem Sta- wicki.

— O wielu rzeczach — odparł profesor. — Może gwardian nic chciał, aby i po tym zdarzeniu pozostał ślad? Może nie znamy wszystkich kronik.

— A może nic takiego nie miało miejsca? — wtrącił Andrzej.

— Jak to?

— Iluzja, przyjacielu.

— Obawiam się, że nic nadażam.

— Może gdybyśmy nie ruszyli się z miejsca, nic by się nie sta- ło? Okazałoby się, że kaplica stoi nadal, a wy, cali i zdrowi wy- szlibyśmy na zewnątrz, zamiast tułać się po obcym świecie.

— Nie uważasz, że było to bardzo realistyczne?

— Owszem.

— Poza tym jakim cudem mogłaby to być iluzja? Przecież holo-

gramy są dopiero w powijakach. No i kto miałby to zrobić?

— Nie mówię o hologramach — powiedział Andrzej. Oczy mu się zaszklily. — Tylko o magii i przeznaczeniu.

— Co?

— Każdy z nas ma swoje przeznaczenie... Swoje zadanie do wykonania. Może zostaliśmy tu wezwani...

— Aha... A po co?

— Nie mam pojęcia.

— Może po to, żeby przez resztę swoich dni tkwić w lochu? — zadrwił Orańczak, a potem zwrócił się do Jana. zmieniają temat:

— A propos, co działo się... tutaj? Po tym. jak tu trafiliście?

— Przesłuchanie — odparł Jan. wzruszając ramionami.

Orańczak jęknął.

— Kiedy zawiodły bezpośrednie metody i uwierzyli, że my naprawdę nie rozumiemy ich języka, zaczęli wzywać tłumaczy. Nie potrafię zliczyć języków, w których próbowali się z nami porozumieć, ale wszystko na próżno. W końcu więc dali nam spokój i od tego czasu tu siedzimy, ale...

— Gnijecie w lochu bez żadnej przyczyny? — zdumiał się profesor.

Jan skinął głową.

— Barbarzyńcy...

— A jakże, panie. Nie znają łaciny, ni francuskiego.

— Sądzisz, że nas również będą przesłuchiwać?

— Z pewnością, panie.

Zamilkli. Każdy wyobrażał sobie straszne rzeczy, jakie mogą ich czekać. Rozpalone żelazo, szpilki pod paznokciami, łamanie kołem... A wszystko dlatego, że przypadkiem zabłądzili do tunelu, który kończył się w środku kamiennego lasu...

— Antoni, jak łatwo twój umysł wraca na stare tory.— — odezwał się Andrzej. — Jesteś w innym świecie, widziałeś las cały z kamienia, rozmawiasz z siedemnastowiecznym mnichem i wciąż szukasz racjonalnych wyjaśnień?

— Za to ty, przyjacielu, zbyt często oglądasz *Z archiwum X*.

— Uważam, że ma rację — odezwała się Iza. — Ten kanony las. w którym byliśmy... Śniłam o nim kilka razy.

— Śniłaś? A czy te sny objawiły ci twoją rolę w tej hecy? Twoje przeznaczenie?

— Nie. ale...

— Nie? — zdumiał się Orańczak. — Nie wiecie, o czym mówicie. Zapominacie o bardziej przyziemnych sprawach. Jak na przykład o czekającym nas przesłuchaniu. Spróbujecie wcisnąć len kii śledczemu? Zaraz, o czym ja mówię, przecież nie znamy ich języka!

— Ja trochę znam... — wtrącił Ulicki.

— Jak to?

— Był taki strażnik... podjął mnich po chwili — Młody, bystry chłopak, który na żołnierza zupełnie się nie nadawał... Uczył mnie swojego języka.

— Uczył cię?

— Tak. Siadał przed drzwiami i próbował z nami rozmawiać. Zacząłem rozumieć niektóre słowa, proste zwroty, ale później, jeśli dobrze go zrozumiałem, dostał rozkaz wymarszu ze swoją jednostką na front. Od tamtej pory próbuję rozmawiać ze strażnikami, ale ich to chyba nie bardzo obchodzi. Jedyne czego się dowiedziałem, to że nigdy nie opuścimy więzienia...

— Nigdy?

Mnich pokręcił głową.

Zapadł zmrok i celę zalała fala ciemności. Jedyne światło dawał nikły blask gwiazd sączący się przez zakratowane okno. Andrzej spoglądał w nie przez jakiś czas. nim usnął, jak pozostali.

W kącie, w miejscu, gdzie leżał Wysocki, mrok zdawał się Jeszcze gęstszy, niemal namacalny.

O świcie zbudził ich zgrzyt klucza w zamku. Po chwili do środka weszło dwóch żołnierzy. Rozejrzeli się i podeszli do pryczy na której leżał Andrzej. Brutalnie zrzucili go z niej, no czym podnieśli za ramiona i pchnęli w stronę drzwi. Orańczak próbował protestować, ale jeden ze strażników pchnął go na ścianę z siłą, która pozbawiła profesora tchu.

Wtedy wtrącił się Ulicki. Powiedział kilka słów w obcym języku, a gdy strażnik spojrział na niego spode łba, dodał kilka następ-

nych. Żołnierz machnął ręką i mnich wyszedł wraz z Andrzejem.

— Ciekawe, co im powiedział — mruknął Orańczak, rozcierając ramię, na którym wykwitł spory siniak.

Nikt mu nie odpowiedział, toteż profesor westchnął i poszedł zobaczyć, co się dzieje z Wysockim. Stan Tomasza pozostawał bez zmian. Orańczak podszedł zatem do pryczy, na której leżał drugi mnich. Wojciech. Miał nadzieję, że może dowie się od niego kilku nowych rzeczy.

Mnich nie ruszał się, zupełnie jakby zdarzenie sprzed chwili nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Profesor dotknął ramienia Wojciecha. Było sztywne i zimne.

— Nie żyje — szepnął.

Próbował przewrócić ciało, ale stężenie pośmiertne sprawiało, że miał z tym pewne trudności. Kiedy w końcu mu się to udało, ciało mnicha spadło z pryczy, ukazując twarz zastygłą w masce przerażenia. Wybaluszone oczy spoglądały tępo w sufit, a wystający, spuchnięty język nadawał całej scenie posmak groteski.

Dziewczyny, które do tej pory siedziały cicho, obserwując jedynie najpierw żołnierzy wyprowadzających Andrzeja, a potem poczynania profesora, zaczęły krzyczeć.

— Bądźcie cicho! — zawołał Orańczak. — Na miłość boską, Anno, przecież to tylko trup mnicha! Oglądałaś setki takich i to dużo starszych!

Anna umilkła zawstydzona. Profesor miał rację, w trakcie prac wykopaliskowych odkryła mnóstwo trupów, ale nigdy nie była tak blisko śmierci.

— Musiał umrzeć w nocy — powiedziała.

Iza dygotała, była wstrząśnięta do granic.

— Wygląda jak... — zaczęła.

Wygląda, jak mój mąż tamtej nocy — chciała powiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. I tak nikt by nie zrozumiał, o czym mówi, więc umilkła i patrzyła tylko na zwłoki oczami wystraszonej sarny.

Anna spojrzała na Izę, ale się nic odezwała. Nic umiała pocieszać ludzi, nic wiedziała też jak zachować się w tej sytuacji, więc tylko przytuliła blondynkę, aby ta przestała dygotać.

Orańczak w tym czasie doskoczył do drzwi.

— Hej! — krzyczał, waląc pięścią w grube, okute żelazem deski. — Mamy tu trupa! Jeden z waszych więźniów zmarł!

Odpowiedziała mu tylko cisza, więc po chwili zrezygnował.

— Zdaje się, że musimy poczekać na brata Jana — rzekł. — Może on będzie w stanie wyjaśnić strażnikom, że miejsce włok jest na cmentarzu, a nie w celi...

Iza zaczęła szlochać. Pod wpływem tego cynicznego, wisielczego żartu zupełnie przestała kontrolować swoje emocje. Anna, choć niechętnie, przytuliła ją mocniej.

Strażnicy prowadzili Andrzeja i towarzyszącego mu mnicha długimi, ciemnymi korytarzami więzienia. Mijali rzędy cel. Zza niektórych drzwi dobiegały jęki i szlochy, od których Andrzejowi przechodziły ciarki po plecach.

W końcu stanęli przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Strażnicy otworzyli je i wepchnęli do środka Andrzeja i brata Jan.

Komnata była duża i jasna. Z lewej strony znajdowały się okna z widokiem na dziedziniec więzienia. Pod ścianą naprzeciwko drzwi stał długi stół, za którym zasiadło trzech mężczyzn. Ich zimne spojrzenia przeszywały Andrzeja. Ten siedzący po środku przemówił.

— Pyta, jak się nazywasz — przetłumaczył mnich.

— Andrzej Stawicki.

Mężczyzna kilka razy próbował powtórzyć, ale w końcu zrezygnował.

— Jestem kapitan Ceveriks, nadzorca tego więzienia — Jan nadal tłumaczył słowa przesłuchującego. — Skąd jesteś, ty i twoi towarzysze?

— Z tego samego miejsca, co on — odparł Andrzej, wskazując głową stojącego obok mnicha.

Ceveriks kiwnął głową, jakby dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewał. Nachylił się kolejno w stronę siedzących po jego lewej i prawej stronie mężczyzn. Przez chwilę coś szeptali do siebie.

— Sąd podjął decyzję — rzekł Ceveriks, a brat Jan przetłumaczył. — Ty i twoi towarzysze zostaniecie straceni. Za zranienie

żołnierzy królestwa kara zostanie ci bezzwłocznie wymierzona.

Pod Andrzejem ugięły się nogi. Mnich był równie przerażony. Egzekucja! 1 za co?

Kapitan pociągnął za sznur zwisający przy oparciu jego krzesła. Gdzieś za drzwiami rozległ się gong i po chwili do komnaty weszło dwóch strażników. Ceveriks wyrzucił z siebie kilka słów. Jeden ze strażników wyciągnął zza pasa drewnianą pałkę. Nagły cios w nerki zwałił Andrzeja na podłogę.

Wreszcie drzwi cicii znów się otworzyły. Orańczak, Iza i Anna ze zgrozą patrzyli. Jak strażnicy wnoszą nieprzytomnego Andrzeja i rzucają go na pryczę, jak worek kartofli. Za nimi uszedł blady jak ściana Jan Ulicki.

— Gdzie jest brat Wojciech? — zapytał Jan. gdy kobiety przypadły do Andrzeja.

— Nie żyje — odparł profesor, spoglądając na nieprzytomnego przyjaciela — Zorientowałem się. gdy wyszliście. W końcu zdołałem na siebie zwrócić uwagę strażników, którzy zabrali ciało. Przykro mi.

Jan bez słowa usiadł na pryczy do niedawna należącej do jego towarzysza niedoli. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Andrzej ocknął się dopiero późnym wieczorem. Do tego czasu franciszkanin zdołał zrelacjonować wszystkim przebieg przesłuchania.

Stawicki jęknął i otworzył oczy. Ujrzał zatroskaną twarz Izy.

— Jak się czujesz?

— Wszystko mnie boli...

— Stłukli cię do nieprzytomności — rzekł Orańczak. stając w pobliżu. — Zwierzęta.

— Jan wam powiedział?

— Owszem.

— Dlaczego...?

Orańczak wzruszył ramionami.

— Możemy się tylko domyślać. Może stanowimy zagrożenie?

— Jakie? I dla kogo?

— Jesteśmy tu obcy. Przyszliśmy z innego świata.

— I dlatego należy nas zabić?

— Cóż... Dopóki obcych było dwóch — podjął profesor, wskazując na brata Jana — zagrożenie nie było duże. Można ich było zamknąć i trzymać jako swego rodzaju ciekawostkę przyrodniczo-naukową. Ale większa grupa to większe ryzyko. Plotkami można się nic przejmować. Zawsze były i będą, jak baśnie i legendy. Ale nie można pozwolić, aby przybysze z innych światów wędrowali swobodnie ulicami naszych miast. To mogłoby wywołać panikę.

— Ale od razu zabijać?

— Może wolą nie ryzykować... Nie wiem, Andrzej, naprawdę nie wiem...

— Sugeruję więc uciec stąd, dopóki jeszcze możemy — odezwał się obcy głos.

Andrzej obrócił głowę i spojrzał wprost w lśniące, bladoniebieskie oczy siedzącego w kącie brata Wysockiego.

ROZDZIAŁ 17

Dominium

Andrzej miał wiele pytań do mnicha. Wiele rzeczy wymagało wyjaśnienia, ale w tej chwili najważniejszym pytaniem było:

— Po co?

Wysocki przekrzywił głowę.

— Naprawdę chcesz tu umrzeć?

— Po co? — powtórzył Andrzej. — Nie ma drogi powrotnej. Nigdy nie uda nam się wrócić do domu.

— Taki jesteś pewien? A gdybym tydzień temu powiedział ci, że istnieje inny świat, do którego można przejść, co byś odparł?

Stawicki milczał przez chwilę. Wykorzystał to Orańczak, odzyskując mowę. Odkąd zakonnik przemówił, profesor stał oniemiały, teraz jednak wykrzyknął:

— Obudziłeś się!

Wysocki uśmiechnął się, słysząc to banalne stwierdzenie faktu.

— Owszem — odparł. — Jak widać.

— Jak? Kiedy? — pytał Orańczak. — Co się z tobą w ogóle działo?

— Nie jestem pewien, myślę...

— Tak bezkrytycznie przyjmujesz to, że jesteśmy w innym świecie? - przerwał mu Stawicki.

— Przyjmuję to. co jest, takim, jakie jest. Wyszedłem z tunelu tak samo. jak wy. Przemierzyłem kamienny las... w każdym razie jego fragment. Domyśliłem się. że to nie jest Polska. A on — wskazał na Jana Ulickiego siedzącego wciąż na pryczy — nie jest z naszego czasu.

— Zdziwiasz mnie. zakonniku...

— Za to ty potrzebujesz odpoczynku — powiedział Wysocki. podchodząc do Andrzeja. — Musisz być silny, jeśli chcesz przeżyć.

Obejrzał Stawickiego, dotykając go tu i ówdzie przy akompaniamencie syków i jęków.

— Przynajmniej nic ci nie połamali. Chyba nie masz też odbitych organów wewnętrznych. Prawdziwy cud, rzekłbym.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Odpocznij, przyjdzie czas na odpowiedzi.

Andrzej zamknął oczy. Słyszał jeszcze, jak jego towarzysze zasypują franciszkanina pytaniami, on jednak powtarzał tylko, że na odpowiedzi przyjdzie czas. Z tą myślą Stawicki zasnął.

Przenikliwy ból obudził go w środku nocy. Zacisnął zęby. żeby nie krzyknąć. Strażnik, który go skatował, wiedział, jak posługiwać się pałką. Gdy ból minął. Andrzej rozejrzał się po celi. Wszyscy spali. Z pryczy rozlegało się równomierne chrapanie Orańczaka. Andrzej uśmiechnął się w mroku. Jedno trzeba było przyznać Antoniemu. Potrafił spać zawsze, w każdych warunkach.

A jednak nic wszyscy spali. Stawicki dostrzegł postać siedzącą w mroku, bez ruchu wpatrującą się w gwiazdy przez zakratowane okienko.

Świt nastał zimny i wilgotny. Przez okienko wlewała się mgła. gęsta niczym budyń. Andrzej otworzył oczy i dostrzegł Tomasza stojącego w kącie.

— Jak się czujesz? — zapytał zakonnik, mrużąc oczy.

— Jezu... cudownie, a czego się spodziewasz?

Wysocki pokiwał głową.

— Nie masz przypadkiem moich ciemnych okularów? — zapytał.

— Zabrali nam wszystko.

— Trudno — westchnął franciszkanin. — Będę musiał się ba nich obejść.

— Są dla ciebie takie ważne?

— Mam nadwrażliwe oczy. Razi mnie praktycznie każde światło.

Andrzej usiadł na pryczy, krzywiąc się boleśnie.

— Chętnie usłyszałbym teraz kilka odpowiedzi.

— Wierzę. Poczekajmy jednak na resztę, dobrze? Nie lubię się powtarzać.

.Andrzej się zgodził i przez jakiś czas siedzieli razem w ciszy. Stawickim co chwilę wstrząsały dreszcze, więc okrył się ciaśniej derką. Była brudna i śmierdziała, ale też grzała. Natomiast na Wysockim zimno i wilgoć zdawały się nie robić żadnego wrażenia.

W końcu koce na pozostałych pryczach zaczęły się poruszać, ustało chrapanie Orańczaka. Wkrótce wśród jęków i narzekań wszyscy się obudzili.

— Myśle, że już czas — powiedział Andrzej.

— Cóż... Od czego zacząć?

— Od początku najlepiej.

Zakonnik usiadł na zimnych kamieniach.

— Na początku było słowo... Orańczak skrzywił się na ten sarkazm.

— Do rzeczy, człowieku! — zawołał. — Wszyscy jesteśmy ciekawi, jak się tu znalazłeś i dlaczego miałeś przy sobie broń.

Z kolei Wysocki się skrzywił, a potem zaczął mówić.

— Nie jestem do końca pewien, co się stało. Tamtej nocy zostałem... wezwany. Jakby jakaś potężna siła, jakaś świadomość kazała mi się udać na wyspę. Posłuchałem tego głosu, nie byłem w stanie mu się oprzeć. Poszedłem do kaplicy. Wydawało mi się, że ze środka dobiegają jakieś głosy. Z bliska słyszałem szepty. Zastanawiając się, kto jeszcze może tam być o takiej porze, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Było ciemno, nie dostrzegłem nikogo. Głosy umilkły i nikt nie odpowiedział na moje wołania.

Wysocki spojrział kolejno na towarzyszy niedoli. Andrzeja zabo-
lała głowa, gdy zatrzymał się na nim wzrok Tomasza.

— Potem stało się coś niesamowitego. Jakby trzęsienie ziemi. Cała kaplica zaczęła się rozpadać. Najpierw runęło wejście. Wiedziałem, że nie mam dokąd uciec, ale i tak zacząłem biec w stronę ołtarza. Potknąłem się. wpadłem do tunelu, a po chwili gruz zasy-
pał jego wylot. Nic miałem innego wyjścia, jak tylko podążać tym tunelem, z nadzieją, że jego drugi koniec nie jest zasypany. A po-
tem znalazłem się w przedziwnym, kamiennym lesie. Pamiętam jeszcze, że coś mnie zaatakowało i obudziłem się tutaj.

Kłamiesz.

Wysocki spojrział w oczy Andrzeja, jakby usłyszał jego myśl, jego oczy błyszczały.

Andrzej sam nie wiedział, skąd w jego głowie wzięła się ta myśl, ale wiedział, że jest prawdziwa.

— Byłeś jak warzywo przez kilka dni. Cokolwiek cię zaatakowało, musiało ci wstrzyknąć jakąś truciznę, nie wiem jak inaczej wytłumaczyć twój stan. Coś jakby śpiączka, katatonia, ale nie do końca. Ciało reagowało, ale bez udziału umysłu. Zachowywałeś się jak robot.

Wysocki skinął głową.

— Muszę uwierzyć ci na słowo.

— Mówiłeś, że kaplica się zawaliła...

— Tak.

— To dziwne, bo gdy przybyliśmy tam rano. była nienaruszona.

— Jak to? — zdziwił się franciszkanin.

— Kaplica była cała — wtrąciła Anna. — Ale zaczęła się walić, gdy weszliśmy do środka.

— I mnie się to przydarzyło, gdy kaplica była dopiero budowa-
na — rzekł brat Jan.

Zapadła cisza.

W końcu odezwał się Wysocki.

— Wszyscy trafiliśmy do tego świata w ten sam sposób...

— To przeznaczenie — powiedziała Iza. — Mieliliśmy tu trafić.

— Do tego konkretnie lochu? — zapytał Andrzej.

— Nie śmieć się z tego. Mówię wam, to przeznaczenie.

— Chwileczkę, zanim zabrnjemy za daleko — przerwał Andrzej. — Skąd miałeś broń i po co ci ona?

Wysocki się uśmiechnął.

— Jak to „po co”? Do samoobrony. Wyrobiłem sobie pozwolenie, kiedy dwóch bandytów omal mnie nie zabiło którejs nocy, gdy próbowali ukraść mi portfel.

— I od tej pory zawsze nosisz przy sobie pistolet?

— Dodaje mi pewności siebie.

Kłamiesz.

— Nie ufasz mi — stwierdził Wysocki, patrząc na Andrzeja.

— Owszem.

— Dlaczego.

— Pistolet do samoobrony? Daj spokój.

— Co w tym dziwnego?

— Jesteś zakonnikiem!

— No i?

— Zabiłbyś drugiego człowieka?

— W obronie własnej, tak.

— Trafiłbyś prosto do piekła, przecież to ciężki grzech.

— Wierzę, że gdyby do tego rzeczywiście doszło, miłosierny Bóg ulitowałby się nade mną. Andrzej, pomimo wiary w Boga i Raj duchowni również chcą żyć. Myślę, że wiesz o czym mówię, widziałeś śmierć z bliska nie raz. Jasne, na wojnie jest inaczej. Ale gdy stajesz oko w oko ze śmiercią zaczynasz się gorąco modlić i jesteś w stanie zrobić wszystko, żeby się ratować. A ja... cóż. może nie jestem najlepszym materiałem na papieża. Boję się śmierci. Nie chcę umiera w ciemnym zaułku z dziurą w brzuchu, długo i boleśnie. Mam prawo do życia i będę go bronił za każdą cenę.

— Nie wierzę w to! — wybuchnął nagle profesor. — To jakieś szaleństwo! To... to nie może dziać się naprawdę...

Wysocki przyglądał się Orańczakowi ciekawie.

— To jakiś koszmar — wyszeptał profesor.

Anna objęła go tak, jak wcześniej Izę.

— Niestety, to nie sen — powiedziała. — Wszyscy w tyra tkwiemy. I musimy znaleźć drogę do domu.

— Wierzysz w to? — zapytał Orańczak franciszkanina; ten skinął głową.

— A ty? — zwrócił się następnie do Andrzeja. Andrzej milczał przez kilka sekund, nim odparł:

— Bardzo chcę w to wierzyć.

Wysocki klasnął w ręce.

— Świetnie! — zawołał. — W końcu jakaś zgoda. Proponuję zatem zacząć opracowywać jakiś plan. Nie mamy dużo czasu, sądzę, że góra tydzień.

— Dlaczego? — spytał Andrzej.

— Bo to niehumanitarne zabijać chorego. Będą chcieli, abyś odzyskał siły, żebyś każdą cząstką siebie czuł kaźń. Jaka ci zgotują. Wiesz mi. znam takich jak oni. Przede wszystkim nie mogą niczego podejrzewać, tak więc kiedy jakiś strażnik tu wejdzie albo przyniosą jedzenie. będę udawał warzywo. Ty również. Andrzeju, staraj się sprawiać wrażenie, jakbyś cierpiał bardziej, niż w rzeczywistości.

— To nie będzie trudne — mruknął Stawicki.

— Ale chciałbym, abyś odzyskał siły w ciągu trzech dni-

— A jak według ciebie mam tego dokonać?

- Są sposoby. Co do reszty, plan jest prosty jak świński, Im prostszy, tym lepszy, prawda?

Wieczorem Iza przysiadła na pryczy Andrzeja.

— I co ty o tym wszystkim sądzisz? — zapytał Stawicki.

— Czyste szaleństwo — uśmiechnęła się Iza. — Ale chyba nic mam innego wyboru.

— To jest szaleństwo. Orańczak ma rację. Nie wiem jak ty. ale ja nie wierzę w tę historyjkę z pistoletem. Wydaje mi się, że Tomasz coś ukrywa.

Przez chwilę milczeli oboje.

— Oddaliłeś się ode mnie — rzekła w końcu Iza.

— Wiem. Przepraszam, ale to wszystko...

— Tak. Inny świat, inny czas... Ale potrzebuję cię.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj. Przytul mnie.

Tulili się do siebie niczym wystraszone dzieci w lesie. Andrzej zatopił się w zapachu jej skóry, zapominając na moment obolu, strachu i całej ich beznadziejnej sytuacji. Uwierzył, że zdołają ująć z życiem, może nawet znaleźć drogę do domu. Iza dała mu siłę. I była tego świadoma.

— To, co mówiłaś wcześniej o przeznaczeniu — zaczął, gdy wreszcie oderwali się od siebie — wierzysz w to?

— Tak.

— Więc jaka jest nasza rola? Co my tu robimy?

— Nie wiem, Andrzej — odparła, a widząc jak nagle się zgarbił. dodała: — Ale wierzę, że się dowiemy. Wkrótce. Nic się nie dzieje bez przyczyny.

— Słuchaj swojej kobiety. Andrzej — rozległ się z kąta głos Wysockiego. Jego oczy lśniły w mroku. — Albowiem ma całkowitą rację.

Andrzejowi ciarki przeszły po plecach.

Godziny w celi mijały powoli, odmierzane podłym jedzeniem dostarczonym dwa razy dziennie i długością cieni. Rankiem, gdy podano skazańcom pierwszy tego dnia posiłek. Wysocki zauważył, że strażników jest dwóch. Pierwszy wszedł z załadowaną kuszą i kazał się wszystkim odsunąć. Na siedzącego obok drzwi Wysockiego w ogóle nie zwrócił uwagi, a zakonnik, pomimo że wzrok miał wbity w przeciwległą ścianę, obserwował wszystko. Potem wszedł drugi strażnik z tacą, na której stało sześć misek z rzadką papką. Strażnicy wyszli, ryglując za sobą drzwi.

— Jak się czujesz? — zapytał Wysocki Andrzeja, jedząc obrzydliwe śniadanie.

— Fatalnie...

— Myślę, że zaraz coś na to poradzimy.

Tomasz odstawił pustą miskę i podszedł do Andrzeja.

— Połóż się na brzuchu — polecił.

— Co? Chcesz mi zrobić masaż? — prychnął Stawicki.

— Zgadłeś. Gwarantuję, że po nim poczujesz się lepiej.

Andrzej z ociąganiem wykonał polecenie.

— Ostrożnie — syknął, gdy Wysocki zaczął uciskać mięśnie na

jego plecach.

— Spokojnie, to musi trochę boleć.

Kolejne piętnaście minut upłynęło wśród jęków Andrzeja, na które Tomasz w ogóle nie zwracał uwagi. Silnymi dłońmi pasującymi raczej do robotnika niż duchownego, ugniatał pisco Stawickiego niczym plastelinę.

— Jak się czujesz? — zapytał ponownie, gdy skończył masaż.

Andrzej przez chwilę leżał bez ruchu, potem przekręcił się na plecy. Usiadł.

— Lepiej — powiedział.

Wysocki z zadowoleniem pokiwał głową.

— Będziemy musieli to powtórzyć jeszcze parę razy.

— Jak to zrobiłeś?

— Ludzkie ciało ma zaskakujące zdolności samoleczenia, ale trzeba znać odpowiednie techniki. Ja tylko trochę ci pomogłem, kierując twą energią życiową w te obszary ciała, które najbardziej ucierpiały.

— Gdzie się tego nauczyłeś?

— Nigdzie. To taki mój talent. Dar, jeśli wolisz — odparł Wysocki, wzruszając ramionami.

Iza patrzyła na Tomasza, nie kryjąc zachwyty. Podeszła do Andrzeja i zapylała:

— Naprawdę czujesz się lepiej?

— O. tak. przynajmniej na razie.

— Niesamowite.

— Nasz braciszek kryje w sobie wiele niespodzianek.

Wysocki jeszcze kilkakrotnie w ciągu kolejnych dni powtarzał zabiegi, nim uznał, że Andrzej jest dość silny, aby spróbowali ucieczki.

O świcie obudził wszystkich, aby się przygotowali. Potem usiadł na swoim starym miejscu przy drzwiach, plecami do ściany.

Andrzej leżał na pryczy, udając bardzo obolałego i obserwując zakonnik. Mimo pomocy, jakiej mu udzielił Wysocki, "mimo jego szaleńczej odwagi w obliczu śmierci, Andrzej wciąż mu nie ufał. Było w tym mężczyźnie coś, co sprawiało, że gdyby nie sytu-

acja, Stawicki nigdy nie oddałby dobrowolnie swojego życia w jego ręce. Nie wierzył w jego opowieści. Nie podobały mu się również te dziwne, bladoniebieskie oczy "Wysockiego o wąskich źrenicach.

W końcu otworzyły się drzwi i do celi wszedł strażnik uzbrojony w kuszę. Obojętnym wzrokiem powiódł po więźniach, niemal nic zwracając uwagi na Tomasza.

Andrzej czuł, jak jego serce zaczyna walić jak oszalałe. Przeżył to wiele razy w Iraku, Jugosławii i innych krajach. Koniec czekania, nadszedł czas działania. Spod przymkniętych powiek obserwował Wysockiego. Ten wpatrywał się w ścianę jakby wciąż był nieprzytomny.

Strażnik wycofał się i wpuścił towarzysza. Gdy ten schylił się, aby postawić tacę na ziemi, Andrzej błyskawicznie zerwał się z pryczy i kopniakiem w szczękę posłał strażnika na ziemię, nim ten zdołał cokolwiek zauważyć.

W chwili, gdy tylko Stawicki się ruszył, Wysocki wyskoczył na korytarz i pchnął zaskoczonego strażnika z kuszą na ścianę. Dwa razy uderzył jego głową o mur, po czym u rzuci go do celi. Wbiegł za nim i potężnym ciosem pozbawił go przytomności. W tym czasie Orańczak zamykał drzwi celi. Cała akcja trwała kilka sekund. Żaden ze strażników nie wydał najmniejszego dźwięku.

— Szybko — rzucił Wysocki.

On i jego współbrat z XVII wieku zaczęli rozbierać nieprzytomnych strażników. Po minucie mieli już na sobie ich mundury, Sznurem, którym był przewiązany jeden ze strażników, Wysocki skrępował ręce pozostałym, ale w taki sposób, że można go było zrzucić jednym ruchem. Potem wręczył Andrzejowi i profesorowi sztylety znalezione przy strażnikach.

— Gotowi? — zapytał, podnosząc kuszę. Spojrzał na drżącego jak w febrze brata Jana.

— Weź się w garść — syknął.

— M... Muszę iść przodem?

— Tak. Tylko ty znasz ich język i w razie czego będziesz z nimi rozmawiał.

— Boże... — szepnął mnich i się przeżegnał.

— Nie licz na niego za bardzo — rzekł Wysocki i ponowić zapytał: Gotowi?

Rozległy się przytłumione mruknięcia.

— No to ustawiamy się parami przy drzwiach, jak w przedszkolu.

Po chwili wyszli z celi. Przodem szedł Jan, za nim w parach Andrzej z Orańczakiem oraz Anna i Iza, a na końcu Wysocki. Przez jakiś czas podążali ciemnymi korytarzami, aż dotarli do schodów. Wspięli się po wilgotnych stopniach.

Przed drzwiami prowadzącymi na zewnątrz stało dwóch strażników. Brat Jan porozmawiał z nimi przez chwilę, strażnicy rozśmieli się i otworzyli drzwi. Wysocki natychmiast mrużył oczy. co nadawało mu wygląd podejrzanego śledczego.

— Co im powiedziałaś? — zapytał Jana Andrzej, gdy wyszli na dziedziniec.

— Że spełniamy wasze ostatnie życzenie.

— A jakie ono jest?

— Poopalać się.

— Z nimi pewnie już tak łatwo nie pójdzie — stwierdził Andrzej, mając na myśli strażników stojących przy bramie.

Gdy zbliżyli się do bramy, mnich ponownie wdał się w rozmowę z wartownikami.

Nagle za ich plecami rozległy się krzyki. Andrzej odwrócił się. i ujrzał wypadających przez otwarte drzwi żołnierzy.

Wysocki nic tracił czasu na oglądanie się za siebie. Wiedział, że strażnicy, których zostawili w celi. obudzili się prędzej. niż przewidywał. Uniósł kuszę i przestrzelił gardło strażnikowi po prawej. Mężczyzna osunął się na bruk w kałuży krwi.

Drugi ze strażników zdążył wyciągnąć miecz z pochwy, ale tym momencie Andrzej zatopił ostrze sztyletu w jego sercu. i rzucił się do bramy. Andrzej skoczył za nim.

— Szybko! — krzyknął zakonnik, otwierając jedno ze skrzydeł.

Orańczak, Jan i Anna nie kazali sobie tego powtarzać dwa razy i wybiegli na ulicę. Jedynie Iza stała jak wrośnięta w ziemię i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w martwe ciała strażników.

Tymczasem z więzienia wysypało się kilkunastu żołnierzy.

Krzyczeli głośno i biegli w stronę bramy. Andrzej zauważył dwóch, którzy naciągali cięciwy kusz.

Jeden z żołnierzy był wyraźnie szybszy od pozostałych. Został towarzyszy z tyłu i wielkimi susami gnał w stronę Izy. Widząc to, Andrzej zaczął biec ku niej. Żołnierz dobiegł pierwszy. Chwytał kobietę za ramię i chciał przyciągnąć do siebie, ale w tym momencie Stawicki zwałił go z nóg ciosem w splot słoneczny. Żołnierz upadł, a Andrzej pociągnął Izę w stronę bramy. Dziewczyna poruszała się sztywno, wciąż oszołomiona sytuacją.

Koło ucha Andrzeja ze świstem przeleciał bełt. Krzyknij ze strachu i popchnął Izę przed siebie. Wypadli przez bramę, gdzie czekali pozostali.

— Iza, weź się w garść, musimy uciekać! — krzyknął Andrzej, potrząsając kobietą.

— Zabiłeś go...

— Nic miałem wyjścia. Chodź.

Ulica była zatłoczona i gwarna. Zaczęli się przepychać wśród przyglądających się im z ciekawością przechodniów. Udało im się zagłębić w tłum, gdy z bramy więzienia wybiegli żołnierze, rozglądając się nerwowo i pokrzykując. Podzielili się na małe grupki i rozpierzchli na wszystkie strony.

Andrzej obawiał się, że ich stroje będą wzbudzać zainteresowanie i nie mylił się. Szczególną uwagę zwracały odsłaniające ramiona bluzki kobiet. Przechodnie odwracali za nimi głowy, a oni udawali, że tego nie zauważają.

Szli szybkim krokiem. Bardzo uważali, żeby nie biec, już i tak wystarczająco wyróżniali się z tłumu. Wysocki prowadził ich małą grupkę. Zauważył wąską uliczkę odchodzącą w bok i wszedł w nią. Z lewej strony rzędem stały zaniedbane domy. z prawej wznosił się mur więzienia, nie dopuszczając światła słonecznego. Czuli się, jakby ponownie trafili do innego świata. Gwar głównej ulicy został za nimi i cichł z każdym krokiem. Uliczka była prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku staruszków siedzących na podnieszczonnej ławeczce przed wejściem do jednego z domów. Wzdłuż muru biegł rynsztok. Cuchnęło.

Minęli dwa domy. gdy Andrzej zauważył, że pomiędzy drugim

budynkiem a trzecim znajduje się kolejny zaułek, tak wąski, że gdyby spotkało się w nim dwóch ludzi idących w przeciwnych kierunkach, nie mogliby się wyminąć.

Nie namyślając się długo, zagłębili się w wąski zaułek. Był krótki, rozciągał się zaledwie na szerokość dwóch domów i prowadził zapewne do kolejnej uliczki. Mniej więcej w połowie długości zaułka zauważyli niewielki świetlik przy bruku, przypominający okienko piwniczne. Wysocki przyklęknął przy nim i zaczął się przyglądać.

— Dalibyśmy radę się precisnąć — mruknął.

— Jest zakratowane — zauważyła Anna.

— Nie sędzę, aby to był problem — odparł Tomasz, po czym na dowód szarpnął jeden z prętów. Był zardzewiały, a zaprawa, w którą był wpuszczony — zmurszała.

Kilka gwałtownych ruchów, a wokół pręta obsypał się tynk. Wysocki wstał i kopnięciem posłał żelazo w głąb piwnicy. Po chwili tak samo potraktował drugi pręt.

— Dobra, wystarczy — powiedział, spoglądając przez świetlik. — Nie jest wysoko.

Chwilę później wpełzł do piwnicy. W panujących tam ciemnościach mógł wreszcie otworzyć oczy. Ich ciągle mrużenie męczyło go. Rozejrzał się, ale nie zauważył nic godnego uwagi. Kilka skrzyń, jakieś połamane graty, schody i niskie drzwi na ich szczycie, a wszystko pokryte grubą warstwą kurzu, jak by od lat nikt tu nic zaglądał.

Pomógł zejść pozostałym, po czym wychylił się, zgarnął do środka drobiny tynku, które spadły na bruk i wstawił na miejsce żelazne pręty. Na pierwszy rzut oka nikt nie powinien spostrzec, że zostały wyrwane.

— Spójrzcie na to! — zawołał Orańczak.

Zajrzał do jednej ze skrzyń i właśnie wyciągał jakieś łachmany. Spodnie i koszule były wystrzępione, brudne i wyblakłe.

— Świetnie — stwierdził Andrzej, zrzucając ubranie.

— Co robisz? — spytała Iza.

— Przebieram się. Będą szukać grupy ludzi — dwóch kobiet, dwóch strażników, mnicha i dziwnie ubranego mężczyzny.

— Ma rację — przytaknął Wysocki, ściągając hełm.

Po chwili mężczyźni mieli na sobie workowate spodnie ściągnięte w pasie sznurem i koszule z długimi rękawami.

— A z nami co? — rzuciła Anna.

— Nie powinniście nosić spodni, będziecie zwracać na siebie uwagę — odparł Andrzej.

— A to niby dlaczego?

— Widziałas w pobliżu choć jedną kobietę w spodniach? Bo ja nie. Kobiety noszą tylko suknie i musimy wam je znaleźć.

— Wrócimy niebawem — powiedział Wysocki, wyciągając pręty. — Wstawcie je za nami na miejsce.

Zniknęli w zaułku. Orańczak na powrót wsunął pręty i zaczęło się czekanie.

Nie odzywali się. Profesor krążył po niewielkiej piwniczce, jak dzikie zwierzę w klatce. Anna z Izą siedziały na skrzyniach, a Jan odmawiał różaniec.

— Przestań! — nie wytrzymał w końcu Orańczak, zwracając się do mnicha.

Jan spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem.

— Odmawiaj swoje modlitwy w ciszy albo wcale — dodał Orańczak.

— Czy w twoim świecie nie ma już wiary?

— W co? W wasze kłamstwa i oszustwa?

— Obrażasz Pana Boga.

— Co? Jak śmiesz... Głosicie umiar i ubóstwo, a sami pławicie się w bogactwach i chodzicie na dziwki! Na Boga. pomagaliście nawet nazistom!

— Komu?

Orańczak stracił zapal. Nic miał ochoty wyklądać mnichowi historii współczesnej, której by pewnie i tak nie zrozumiał.

— Nieważne — powiedział. — Po prostu bądź cicho.

Znów zaczął krążyć po pomieszczeniu. W pewnej chwili podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho.

— Skąd w tobie taka nienawiść do Kościoła? — zapytał mnich, ale nic doczekał się odpowiedzi.

— Bądźcie obaj cicho — wtrąciła szeptem Anna. — Bo jeszcze

kogoś z mieszkańców mogą zastanowić te rozmowy w ich piwnicy i będzie po nas.

— Tu nikt nie mieszka — rzekł Orańczak, ciągnąc za klamkę. Drzwi ustąpiły, skrzypiąc.

— Co robisz? — przestraszyła się Iza.

— Spokojnie. Nie słysząc żadnej krzątaniny. Nikogo tu nie ma.

Przestąpił próg i znalazł się w niewielkiej kuchni. Świadczył o tym stary piec i leżąca w kącie na klepisku, pokryta pajęczyną patelnia. Oprócz tego w pomieszczeniu znajdował się połamany stół i sterty gruzu. Wszystko pokryte kurzem, jak w piwnicy. Za kuchnią były jeszcze dwie izby mieszkalne, tak samo puste i ponure.

— Jest opuszczony, mówiłem wam — zwrócił się profesor do dziewcząt i mnicha stojących za nim.

— Widzimy, Antoni — rzekła Anna. — Ale co z tego? To nam w niczym nie pomoże.

— Możemy się tu skryć i...

— Antoni...

— Po prostu musiałem stamtąd wyjść. Czuję się, jakbym znów był w celi.

— Wszyscy się boimy, ale musimy być silni. Ty musisz być silny. Powinniśmy zejść z powrotem do piwnicy, Andrzej i Tomasz pewnie niedługo wrócą.

Jakby na potwierdzenie słów Anny w tym momencie coś zachrobotało i rozległo się przytłumione przekleństwo.

— Tu jesteśmy! — zawołała Iza w kierunku schodów.

— Co w robicie, na Boga jedyne? — zapytał Wysocki, niosąc naręczce ubrań. Za nim pojawił się Andrzej, rozcierając ramię.

— Coś ci się stało? — zapytała Iza, podchodząc do Stawickiego.

— Huknąłem się, schodząc do piwnicy. Ale spójrz, znaleźliśmy z Tomaszem kilka fatałaszków.

Wysocki rzucił ubrania na połamany stół. Kobiety zaczęły wybierać ze stosu kolorowe suknie i bluzy dla siebie.

— Skąd to macie? — zainteresowała się Anna.

— Ze sznurów. Suszyło się — odparł Andrzej. — Przebierajcie się.

— Chyba żartujesz — oburzyła się Anna. — Najpierw stad

wyjdźcie.

Wysocki wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Natychmiast!

Mężczyźni zeszli do piwnicy.

— Więc co robiliście tam, na górze? — spytał ponownie Wysocki.

— Ta piwnica za bardzo przypominała celę.

— Aha. Niedługo stąd wyjdziemy.

Po chwili dołączyły do nich kobiety. Zmieniły się nie do poznania. Iza miała na sobie prostą, zieloną suknię sięgającą do kostek, a Anna równie długą, lawendową spódnicę i obszerną bluzę. Włosy obie schowały pod czepcami.

— Więc jaki jest plan?

— Dostać się do bramy — odrzekł Andrzej.

I — Czy ktoś może pamięta mniej więcej, którądy jechaliśmy do więzienia? — zapytał Wysocki. — Tak myślałem... Zatem będziemy musieli jej poszukać. Chodźmy — dodał, sięgając do żelaznych prętów.

— Co? W naszych nowych ubraniach? Chyba kpisz — powiedziała Anna. Iza zachichotała.

— Przecież nie wyjdziemy głównymi drzwiami domu, do którego nie weszliśmy... — zauważył Tomasz. — Nie marudźcie, jak coś się zniszczy, ukradniemy wam z Andrzejem nowe.

Wkrótce znaleźli się na zewnątrz. Wysocki ponownie wsunął pręty na miejsce i ruszyli gęsiego ku wylotowi zaułka. Kilka minut później wmieszali się w strumień ludzi na głównej ulicy. Ku zadowoleniu wszystkich, nie zwracali już na siebie uwagi.

Oddalili się od więzienia. Wcześniej ustalili, że nie będą się poruszali zwartą grupą, ale się rozdziela, tak aby każdy miał przez cały czas przynajmniej jednego z towarzyszy na oku. Dzięki temu mogli łatwiej pierzchnąć na wypadek niebezpieczeństwa, nie ryzykując zbytnio, że się zgubią.

Poruszali się po omacku w labiryncie ulic, uliczek, placów i skwerów. Nie wiedzieli, czy idą w stronę centrum, czy też może wracają ku więzieniu. Równie dobrze mogliby chodzić w kółko. Ulice miasta były brudne i zaśmiecone, kamienice, z których pła-

tami odpadał tynk, pokrzywione, a ich ściany popękane. Z bram dochodził odór starego moczu i łajna. Wszędzie wokół roiło się od ladacznicy, żebraków, kalek. Na Andrzeja i jego przyjaciół nie zwracali uwagi, ponieważ ich ubiór świadczył, że byli biedakami. Po mieście krążyło sporo patroli, na których widok uciekinierzy kryli się w bramach bądź wciskali się w tłum.

W końcu, szczęśliwym trafem, znaleźli się na placu targowym, który mijali prowadzeni do więzienia.

— Jesteś pewny? — zapytał Wysocki, podchodząc do Andrzeja. Ten skinął głową.

— Myślę, że wiem. w którą stronę iść — powiedział.

Zakonnik zrobił kilka kroków, po czym się zatrzymał. Coś przykuło jego uwagę. Odwrócił się i uniósł wzrok.

W niebo wystrzelała biała, smukła wieża. Trudno było stwierdzić, w jakiej odległości od placu się znajduje i jak jest wysoka. Zdawała się sięgać chmur.

— Widzisz to samo, co ja? — spytał Wysocki.

— Nie wiem. a co widzisz? — odpowiedział pytaniem Andrzej.

— Okręt cumujący na najwyższym piętrze.

Rzeczywiście, przy platformie blisko szczytu wieży znajdowało się coś, co można było uznać za okręt. Miał masywny kadłub i maszty ze zwiniętymi żaglami. Lecz pomiędzy masztami znajdowały się trzy ogromne, czerwone balony i kilka mniejszych, które utrzymywały go w powietrzu.

— Chciałbym mieć taką zabawkę — mruknął Wysocki.

— Kupię ci na urodziny, ale teraz lepiej stąd chodźmy — stwierdził Stawicki, rozglądając się niespokojnie.

Ruszyli dalej w głąb targowiska. Wysocki oglądał się za siebie kilka razy. dopóki okoliczne budynki nie zasłoniły mu wieży.

Targowisko było kolorowe i rozkrzyczane. Było też bardzo zatłoczone i musieli zdwoić uwagę, aby się nie zgubić. Przecieli się mozolnie między straganami z żywnością, ubraniami, a nawet bronią. Kilka razy musieli zanurzać się w boczne alejki albo udawać zainteresowanych kupnem jakichś towarów, gdy w polu widzenia pojawiały się hełmy żołnierzy.

Bez przeszkód udało im się przekroczyć morze ludzkich głów i

wkrótce znaleźli się po drugiej stronie targu. Teraz Andrzej błędnie wybierał drogę i pół godziny później stanęli przed główną bramą.

Była pilnie strzeżona. Rozpacz ogarnęła uciekinierów, gdy ujrzeli, jak żołnierze co jakiś czas wyławiali z tłumu wychodzących z miasta jakiegoś podejrzanego osobnika i zaczynali go przepytować. Taki nieszczęśnik wił się i kulił pod gradem pytań strażników, jakby spodziewał się najgorszego, lecz w końcu zostawał zwolniony i mógł iść dalej.

Wysocki dał dyskretny znak i po chwili grupa zebrała się w ciasnym zaułku nieopodal bramy. :

— Jakieś sugestie? — zapytał.

— Możemy poszukać innej bramy — rzucił Andrzej.

— Nie mamy czasu. Im dłużej tu tkwimy, tym większe ryzyko, że nas przydybią.

— Może poczekamy do zmroku? — zaproponowała z kolei Anna.

— Podejrzewam, że bramy są zamykane na noc. Jest jeszcze ten statek...

— Zwariowałeś — stwierdził Andrzej. — Chcesz ukraść ten podniebny okręt? Wiesz, jak się nim steruje? Wiesz w ogóle jak dotrzeć do wieży? Myślisz, że nas tam wpuszczą, ot tak?

— To tylko sugestia — mruknął Tomasz. — Głośno myślę.

— Nie tędy droga — odparł Stawicki, a po chwili milczenia dodał: — Chyba nie mamy wyboru. Musimy zaryzykować wyjście tamtą bramą.

Nikt na to nie odpowiedział. Andrzej miał rację i wiedzieli o tym. Szybko ustalili, że nie będą szli wszyscy na raz. Najpierw pójdą kobiety, za nimi Orańczak, potem Jan. a na końcu Andrzej z Wysockim.

Anna i Iza zebrały całą odwagę, odetchnęły głęboko i wyszły z zaułka. Andrzej obserwował je dyskretnie. Szły spokojnym, pewnym krokiem w niewielkiej odległości od siebie. Minęły pierwszych żołnierzy. Stawicki zamarł, gdy jeden ze strażników zaczął przyglądać się Annie. Z ulgą stwierdził, że nie było to spojrzenie czujnego strażnika, ale pożądlivy wzrok młodego chłopca na

służbie. Po chwili kobiety znalazły się na moście i zniknęły Andrzejowi z oczu.

Stawicki dał znak i Orańczak wyruszył w najdłuższą drogę w swoim życiu. Skulił się i stapał ciężkim krokiem starego chłopca. Nie wzbudzając niczyich podejrzeń, przeszedł pod lukiem bramy.

Z kolei poszedł Jan. Tak bardzo starał się nie zwracać na siebie uwagi, że zatrzymał go pierwszy strażnik. Andrzejowi serce podeszło do gardła. Rozgorzała dyskusja, którą zainteresował się drugi żołnierz. Ulicki zgarbił się i potrząsał głową. W końcu wskazał ręką zaułek, w którym ukrywali się Andrzej i Wysocki. Na ten widok Stawickiemu zrobiło się słabo. Już chciał rzucać się do ucieczki, kiedy ze zdumieniem zauważył, że żołnierze się śmieją. Ten, który zatrzymał Jana, klepnął go w plecy, aż ten się zatoczył, i pozwolił mu przejść.

— Nasza kolej — rzucił do Wysockiego.

— No to chodźmy. Masz sztylet, jakby co?

— Tak.

Wyszli z zaułka i wmieszali się w tłum. Nie stanowiło to problemu, gdyż żołnierze spoglądali jedynie na ludzi, którzy ich mijali.

Od bramy dzieliło ich najwyżej trzydzieści kroków. Wysocki szedł przodem. Stawicki obawiał się, czy nie zdradzą go tak niecodziennym kolorze i ciągle zmrużone. Niepotrzebnie. Wysocki udawał kalekę. Powłóczył lewą nogą, pojękiwał, głowę trzymał opuszczoną. Odgrywał swoją rolę tak świetnie, że gdy Andrzej na chwilę spuścił go z oczu, miał problem z ponownym dostrzeżeniem go, choć dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

Serce Andrzeja waliło jak oszalałe. Podczas swoich zagranicznych wojaży nie raz musiał przekraczać posterunki wojskowych, ale wtedy zawsze miał przy sobie legitymację prasową i wagon papierosów na wszelki wypadek. Tutaj był uciekinierem z więzienia, poszukiwanym za zbrodnię przybycia z innego świata. Jak również za morderstwo. Wydawało mu się, że wszyscy naokoło słyszą, jak głośno bije jego serce. Dla niego samego był to niemal ogłuszający dźwięk.

Minęli pierwszy posterunek. Zbliżali się do kolejnego, gdy stało się to, czego Andrzej najbardziej się obawiał. Błysk rozpoznania

w oczach młodzika, który taksował wzrokiem Annę. Chłopak ruszył w jego stronę. Palce Andrzeja zacisnęły się na rękojeści sztyletu ukrytego pod luźną koszulą. Strażnik był już o krok. już wyciągał rękę, aby złapać go za ramię. Andrzej już wyciągał sztylet, gdy dłoń chłopaka ominęła go i szarpnęła mężczyznę idącego obok. Ten zakwilił i próbował się wyrwać. Na to zareagowali pozostali żołnierze, podbiegając na pomoc strażnikowi.

Andrzej minął ich. wszedł w cień łuku bramy i odetchnął. Po chwili był już na zwodzonym moście.

ROZDZIAŁ 18

Dominium

Powoli zapadał zmierzch. Ukryli się w zagajniku nieopodal traktu, aby tam przeczekać noc. Nie odzywali się. Powinni się cieszyć, że uszli z życiem, ale nastrój psuło pytanie: co dalej? Nie mieli nawet jedzenia. Całe szczęście, że przez zagajnik przepływał strumyk, przynajmniej nie cierpieli pragnienia.

Andrzej stanął pomiędzy drzewami na skraju zagajnika i zapatrzył się na odległą białą wieżę lśniąca w ostatnich promieniach słońca.

Miasto nazywało się Istaria. Tak powiedział im Jan Ulicki. Dowiedział się tego od żołnierza, który uczył go języka. Była to ponoć stolica ogromnego i potężnego państwa.

— Hej — szepnęła Iza. podchodząc do Andrzeja. Objęła go w pasie szczupłym ramieniem.

Puściła go prędko, gdy Andrzej syknął z bólu.

— Przepraszam — powiedziała.

— Nie szkodzi. Hej.

— Co robisz?

— Myślę.

— O czym?

— O przyszłości.

— I co?

— Nie wiem. Czuję się jak dziecko zagubione we mgle-Działam pod wpływem chwili, bez jakiegokolwiek planu czy dalszego celu. I nie wiem, co robić dalej. Poza tym zamordowałem dziś człowieka.

ka.

— Nie miałeś wyboru...

— Czy to mnie usprawiedliwia? Był czyimś synem, może mężem Ktoś go teraz oplakuje. A i ty nie wyglądałaś na zachwyconą tam, na dziedzińcu.

— Byłam w szoku, to prawda. Ale gdybyś go nie zabił, mogłoby nas tu nie być. Dlatego uważam... uważam, że postąpili słusznie. A teraz chodź, wracajmy do reszty.

Weszli w głąb zagajnika, gdzie na małej polance siedzieli towarzysze Andrzeja. Stawicki usiadł między Izą a Orańczakiem. Spojrzał na Wysockiego.

— Masz jakiś plan? — zapytał.

— Plan?

— Tak. plan. Co dalej?

— Nie mam żadnego planu.

— Musimy coś wymyślić.

— Przynajmniej żyjemy — mruknął Orańczak.

— I co z tego?! — krzyknął Andrzej. — Co z tego, skoro utknęliśmy u obcym świecie i nawet nie mamy co jeść! Do końca życia pozostaniemy wyrzutkami, banitami, którzy żyją z tego. co ukradną.

— Straszny z ciebie pesymista, Andrzeju — odparł Wysocki. — Nic pamiętasz już słów Izy? To przeznaczenie.

— Przeznaczenie, tak? A jakie ono jest. to nasze przeznaczenie? Co my tu robimy?! Po co tu jesteśmy?! I czy jeśli już dopełni się to nasze przeznaczenie, to będziemy mogli wrócić do domu? Mój Boże. kto wie. ile czasu już tam upłynęło? Miesiąc, rok! Może już nie mamy po co wracać?

— Jeśli tak. to znaczy, że naszym przeznaczeniem jest zostać tu — odpowiedział Wysocki ze stoickim spokojem. — Nic nie dzieje się bez przyczyny, zawsze istnieje jakiś wyższy sens. nawet jeśli go nie dostrzegasz.

— No proszę, mistyk. Czy swego czasu nie palono takich jak ty na stosie?

Na usta Wysockiego wypełził uśmiech.

— Jesteś człowiekiem malej wiary, Andrzeju. Dlaczego?

— Nie wiem. Może dlatego, że jestem setki kilometrów a może również lat od domu i nie widzę sposobu, aby do niego wrócić!

— Może... Może jest sposób... — zaczął nieśmiało Ulicki. Aż się skulił, gdy zwróciło się w jego stronę pięć par oczu.

— No mówże, człowieku! — huknął Andrzej, gdy franciszkanin nie odzywał się przez długą chwilę.

— Garhus, żołnierz, z którym się przyjaźniłem na krótko przed zniknięciem opowiadał mi, że szykowana jest jakaś wyprawa w góry. Ponoć zaginęło tam wielu ludzi, nawet niewielki oddział armii. Mówiono, że w górach żyje potężny czarnoksiężnik, który ma w posiadaniu artefakt o niezwykłej mocy. Nazywano go Rydwanem Bogów.

Andrzej usłyszał syk. Obejrzał się i ujrzał, jak Wysockiemu błyszczą szeroko otwarte oczy. Znów pomyślał, że mnich coś przed nimi ukrywa.

— Co?! — krzyknął Orańczak. — Powtórz to!

— Czy coś się stało? Powiedziałem coś nie tak? — mnich był zdezorientowany, skurczył się w sobie jeszcze bardziej.

— Jak nazwałś ten przedmiot?! — Orańczak przyskoczył do Jana i chwycił go za poły koszuli. — Jak?!

— Nazwałem go Rydwanem Bogów, ale...

— A ten czarodziej, jak się nazywa?

— Nie wiem.

— Jak?!

— Jakoś na A... Achon, jeśli mnie pamięć nie myli.

— Achon...? Jesteś pewien? — profesor puścił mnicha i usiadł na ziemi.

Anna wyglądała na równie wstrząśniętą. Andrzej dopiero po chwili skojarzył, że na wyspie odkryli płytę nagrobną z inskrypcją, która głosiła, iż leży pod nią strażnik Rydwanu Bogów. Tylko że nazywał się...

— Sefian — powiedział Andrzej. — Skoro on został pochowany na Skałce, to znaczy, że gdzieś tu żyje jego towarzysz podróży.

— Na wszystkich bogów, masz rację — przyznał Orańczak. — Ktoś przecież musiał wykopać mu grób i wyryć inskrypcję na płycie. Ale to...

— Niemożliwe — dokończył Stawicki. — Tak, wiem, ale wszystko, co nam się przydarzyło w ciągu ostatniego tygodnia jest niemożliwe.

— Kiedy zamierzałeś nam o tym powiedzieć? — zapytał Wysocki.

Głos miał ponury, ciężki niczym ołów. Jego oczy zwęziły się w dwie ciemne szparki.

— Nie było czasu. Wasze przybycie, potem przesłuchanie i ucieczka z więzienia sprawiły, że zupełnie zapomniałem. Poza tym to tylko plotka, legenda...

— Nie wiesz, co mówisz — wtrącił Wysocki.

— Wiesz coś o Rydwanie? — zapytał Orańczak.

— Nic — skłamał. — Ale jeśli ten mnich ma rację, to może być nasza szansa. Jeśli rzeczywiście istnieje ten Achon i jest w połowie tak potężny, jak twierdzi Jan, to może zna jakiś sposób na wydostanie się stąd.

— I nie skorzystał z niego przez pięć tysięcy lat? — zauważył Andrzej. — Wątpliwe.

— A masz inny pomysł? Jasne, możemy się przez resztę życia błąkać po tej krainie i wskakiwać do każdej napotkanej dziury, z nadzieją, że któraś z nich może wyrzuci nas w naszym świecie.

— To idiotyzm. Uganiać się za widmem...

— Andrzej, sam widziałeś tę płytę — powiedział Orańczak. — Byłeś przy odkryciu grobu Sefiana w Egipcie. Pomyśl, może warto spróbować. Nie wiemy, czym jest Rydwan Bogów...

— No właśnie, nie wiemy. Może być niczym, ułudą. Może ogóle nie istnieć.

— Andrzej, na litość boską! Daj sobie przemówić do rozsądku! Znaleźliśmy w Egipcie pusty grób strażnika Rydwanu, Potem odnaleźliśmy drugi w Kazimierzu, z inskrypcją zapisaną w hieroglifach przez kogoś, z kim Sefian podróżował i kto po jego śmierci zaopiekował się Rydwanem. A teraz Rydwan i ten tajemniczy towarzysz odnajdują się tutaj!

— I ty. Brutusie? Wierzysz w czarodziejów i dobre wróżki?

— Wierzę, że to znak...

Dalszą rozmowę przerwał szelest, jakby coś albo ktoś przedzie-

rał się przez krzaki. Wszyscy zamarli, wpatrując się w stronę, z której dobiegały dźwięki. Andrzej i Tomasz dobyli sztyletów. W końcu poruszyły się gałęzie krzewów porastających skraj polany. Po chwili wynurzył się spomiędzy nich czarno-biały łeb.

— Adi...? — szepnął zdumiony Andrzej,

Pies był brudny i chudy, ale zdrowy. Zamerdał ogonem i szczeknął radośnie na widok swojego pana. Andrzej natychmiast przypadł do niego i zaczął tarmosić wielki łeb husky'ego.

— Gdzieś się podziewał, zbóju? — pytał, nie oczekując odpowiedzi. — Juz myślałem, że przepadłeś na dobre.

— Był z wami pies? — zdziwił się Jan.

— Owszem, ale uciekł, gdy pojмали nas żołnierze.

— Witaj, Adi — zwrócił się Wysocki do husky'ego. — Może twoje przybycie otworzy Andrzejowi oczy. Wierzę, że to znak.

Na te słowa Adi obnażył kły, położył uszy po sobie i warknął.

— A znakiem czego to może być, zakonniku? — zapytał Stawicki, patrząc Tomaszowi w oczy.

Kolacja była bardzo skromna. Wśród drzew znaleźli jedynie kilka krzewów porośniętych owocami podobnymi do poziomek, tylko słodszyimi i większymi. Później położyli się spać i wkrótce polana rozbrzmiewała spokojnym chrapaniem zmęczonych ludzi.

Andrzej nie spał dobrze. Dręczył go koszmar, w którym szamotał się w ciemnościach z niewidocznym wrogiem i ginął od jego ciosów. Obudził się z jękiem, ale szybko zapomniał, o czym śnił. Zamknął więc oczy i ponownie padł w objęcia Morfeusza.

Rankiem obudził go Adi. liżąc po twarzy.

— Już. staruszk, już idziemy na spacer — mruknął nie w pełni przebudzony.

Poczuł wilgoć na drugim policzku, chłód i powiew wiatru. Przypomniał sobie, gdzie jest.

Adi stał nad Andrzejem, z wywieszzonego języka kapął mu ślina. Andrzej przetarł twarz i usiadł.

Polana była skopana w rosie. Nieopodał, oparty o pień, siedział

Wysocki. Andrzejowi przypomniały się te dni, gdy wlekli go za sobą zawieszzonego między bytem a niebytem i zląkł się, że franciszkanin ponownie wpadł w katatonię. Ale wtedy Wysocki mru-gnął, uśmiechnął się i podniósł rękę w geście powitania.

Andrzeja przeszedł dreszcz. Wydawało mu się, że wokół tej dłoni i głowy Tomasza znów dostrzega ciemną aurę. Wrażenie jednak minęło równie szybko, jak się pojawiło.

Zacząli budzić pozostałych. Wkrótce wszyscy, głodni i rozespiani, zebrali się wkoło. Decyzja zapadła już poprzedniego dnia, jednak nikt nie kwapił się z jej artykulacją. Nikt, oprócz Wysockiego.

— Kto byt kiedyś harcerzem i potrafi powiedzieć, gdzie jest północ? Nikt? Dobrze, że ja mam jakieś pojęcie. Szczęśliwie dla nas ta rzeczka tutaj płynie mniej więcej na północny-zachód, więc w kierunku zgodnym z naszym.

Wyszli z zagajnika, przecięli niedużą łąkę i odkryli, że strumień płynie niemal równolegle do szerokiego gościńca. Było pusto. Odległa stolica i otaczające ją wioski na pewno budziły się już do życia, ale oni byli już daleko za nimi. Uciekając z miasta, nie zatrzymali się do momentu, gdy znaleźli się na niezamieszkanym terenie.

— Wiesz jak daleko stąd są te góry? — zapytał Andrzej Jana. Ten tylko pokręcił głową. — Świetnie. Możemy więc iść miesiąc, rok albo pół wieku. A jesteś pewien, że mamy iść dokładnie na północ, a nie na przykład na północny-wschód? Też nic? Wspólnie.

— Andrzeju, skąd w tobie tyle goryczy? — rzekł Wysocki. Oczy znów miał przymknięte z powodu ostrego światła. — Rozumiem tęsknotę za domem i tak dalej, ale teraz jesteś tutaj i zrę-dzenie na nic ci się nie przyda. Zresztą myślałem, że ustaliliśmy to wczoraj. Skoro nie ma innej nadziei, należy trzymać się tej. A może odnalezienie Rydwanu Bogów jest twoim przeznaczeniem? Pomyśl o tym. No chyba, że wolisz siedzieć w krzakach do końca życia.

— Wciąż mam wrażenie, że gonimy ducha.

— Lepsze to, niż nic nie robić — odparł zakonnik. — A może po drodze znajdzie się inna okazja.

— Ty naprawdę w to wierzysz, co?

— Czasem nic innego nie pozostaje.

— A może byśmy tak poszukali czegoś do jedzenia? — wtrąciła Anna. — Umieram z głodu.

Nie ona jedna. Ostatni posiłek zjedli poprzedniego wieczoru, a że składał się jedynie z owoców, nie napełnił im brzuchów.

- Boże drogi... — Andrzej zatrzymał się nagle, jakby dopiero teraz dotarła do niego waga słów Anny. — Przecież my nic nie mamy! Ani jedzenia, ani wody. ani nawet jakiejś torby w której moglibyśmy przechować żywność, nie mówiąc już o pieniądzach.

—Spokojnie — powiedział Wysocki. — Jeśli mamy dotrzeć w góry — dotrzemy. Woda jest tuż obok. A tymczasem, czy mi się wydaje, czy tam rośnie dzika kukurydza? Głowa do góry Andrzej, wszak jeśli czegoś bardzo pragniesz, to cały wszechświat ci sprzyja. Nawet nie wiesz, ile prawdy kryje się w tych słowach.

Wpadli między kukurydzę i zaczęli jeść szybko i łapczywie, niemal się dławiąc. W pewnej chwili Wysocki nadstawił ucha i kazał wszystkim ucichnąć. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem szepnął:

— Na ziemię.

Natychmiast padli na brzuchy, z ustami pełnymi żółtych ziaren.

— Adi, leżeć.

Pies posłusznie położył się przy Andrzej. Czekali. Po chwili do ich uszu dobiegło parskanie konia. Wkrótce potem pomiędzy łądygami kukurydzy dostrzegli zwierzę zaprzęzone do furmanki, którą powoził samotny chłop.

Ależ on ma .słuch... A nasze życie odtąd lak właśnie będzie wyglądać...

Leżeli jeszcze dobrą minutę, nim odważyli się podnieść.

—Co się z tobą działo, gdy byłeś taki... nieobecny duchem? — zapytał Andrzej Wysockiego, pogryzając kukurydzę, której nabrali pełne kieszenie, nim ruszyli znów w drogę.

Przez chwilę słyhać było jedynie chrzęst podeszew na żwirowym gościńcu. Słońce zaczynało się dawać we znaki.

— Nie jestem pewien — odparł po chwili zakonnik. — Miałem wrażenie, jakbym spał. ale to wcale nie był dobry sen. Przypomi-

nał koszmar o labiryncie, z którego nie ma wyjścia.

— Pamiętasz, co cię zaatakowało?

— Nie. Cokolwiek to było, zaszło mnie od tyłu. Usłyszałem tylko szelest, jakiś trzask, a potem... cóż, potem obudziłem się z wami w więziennej celi.

— Cela... Prawdziwe szczęście, że udało nam się uciec.

— Przeznaczenie — poprawił Wysocki, spoglądając z uśmiechem na Stawickiego. — Przeznaczenie, Andrzeju. Wciąż o tym zapominasz.

— A może po prostu kombinacja zaskoczenia, niedowierzania i niedoceniań nas?

— Nie — uciął Tomasz.

— Nie? Tak po prostu "nie"?

— Wierzę w przeznaczenie. Prawie tak, jak w Boga.

— Czyli dopuszczasz wątpliwości?

— Wątpię, więc jestem.

— Uniki. Same uniki. Nie potrafisz mówić wprost, czy nie chcesz?

— A ty? Nic potrafisz słuchać, czy nie chcesz? Masz oczy, a nie widzisz, masz uszy, a nie słyszysz. Zawsze taki byłeś, czy coś cię zmieniło? Ten świat, prawda? Nie potrafisz się pogodzić z tym, że jesteś tu i nic nie możesz na to poradzić. Do tej pory byłeś panem swojego życia, sam decydowałeś, którądy przebiec linię frontu. A tutaj tak się nie da. Jesteśmy tu razem i jesteśmy ograniczeni w swoich wyborach. A może powoli zaczynasz odkrywać, że nigdy nie byłeś wolny, że zawsze kierowało tobą przeznaczenie? Może to twój bunt?

Andrzej nie odpowiedział. Sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czuł się zagubiony. W ciągu jednego tygodnia trafił do innego świata, został uwięziony, zbiegł z celi i ruszył na poszukiwania jakiegoś mitycznego Starca z Gór. Jak ogarnąć to wszystko, jak zrozumieć? Przecież niedawno sam twierdził, że są, gdzie są i muszą się z tym pogodzić, muszą szukać wyjścia z tego świata, a teraz negował jego istnienie.

Dlaczego.?

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

Bo Wysocki przejął dowodzenie. To już nie ty kierujesz tą grupą, ule on.

Czy to możliwe? Czy chodziło o poczucie władzy? Ścierpła mu skóra. Grupa, stado i poczucie zagrożenia. Dwie samice i dwa samce alfa.

Absurdalność tego pomysłu wywołała uśmiech na jego twarzy, ale rozsądek kazał się dłużej zastanowić nad tą hipotezą. Ile w nas zostało utajonych instynktów z czasów, gdy jeszcze wspinaliśmy się na drzewa i chodziliśmy na czterech kończynach?

— Idiocyzm — mruknął.

— Proszę?

— Mówiłem, że to idiocyzm. Jesteś duchownym, powinieneś wierzyć w wolną wolę. a nie przeznaczenie, które nami kieruje. Nic mogę się pogodzić z tym, że kieruje nami jakaś niewidzialna siła. pozbawiając nas kontroli nad naszym życiem.

— Twój wybór — odparł Wysocki z uśmiechem. — Widzisz? Wybór. A więc i wolna wola.

Słońce grzało coraz mocniej. Najwyraźniej trafili na pełnię lata w tym świecie. Około południa zauważyli, że strumień zaczyna się coraz bardziej oddalać od gościńca, więc chcąc nic chcąc zeszli z wygodnego traktu i zagłębili się w trawy.

Jak Boga kocham, la kraina to jedna wielka łąka...

Teren łagodnie wznosił się i opadał. Za kolejnym, nieco większym wzniesieniem, ujrzeli dolinę, którą płynęła kręta, szeroka rzeka. Wpadał do niej strumień, wzdłuż którego szli. Kilkaset metrów dalej, po prawej stronie, dostrzegli niewielką wioskę. Ot, kilkanaście domów wśród łąk i pól. Na przeciwległym brzegu rzeki rozpościerał się gęsty bór.

Domy, jak i pozostałe zabudowania oraz płoty, przyozdobiono kolorowymi wstążkami i lampionami. Słychać było muzykę i śmiech. Większość mieszkańców tłoczyła się na centralnym placu wioski, gdzie na niewielkim podwyższeniu grali muzykanci.

— Trafiliśmy na imprezę — stwierdził Wysocki.

Ku wiosce zbliżały się dwa kryte wozy zaprzęzione w muły. Zjeżdżały z boczem na prawo od grupy wędrowców. Dróżka, rów-

niez ozdobiona, zapewne łączyła się nieco dalej z głównym traktem.

— W tej wiosce — powiedział zakonnik, spoglądając w dół zbocza — jest wszystko, czego potrzebujemy.

— Rozumiem, że zamierzasz to ukraść? — zapytał Orańczak.

— Nie wiem jak ty. ale ja nie mam czym zapłacić — odparł.

— Jaki masz plan? — spytał z kolei Andrzej.

— Poczekać do zmroku. Potem, jak sądzę, zabawa rozkręci się na dobre, co da nam okazję zdobycia żywności i transportu.

— Transportu?

— Widziałeś wozy, prawda? Chcesz drałować w te nieznane góry na pieszo? Ja wolę pojechać.

— Zakonnik bez dylematów moralnych — mruknął Stawicki.
— Zdziwiałające.

— Tu chodzi o przeżycie. Moralność nie ma z tym nic wspólnego. Jak powiedział Darwin: „Przetrwają tylko najlepiej przystosowani”.

A ty wzięłaś sobie to głęboko do serca, prawda?

— A co się stało z nadstawianiem drugiego policzka? — powiedział Antoni.

W odpowiedzi Wysocki tylko się uśmiechnął.

— Powinniśmy się chyba gdzieś ukryć do zmroku — stwierdził Andrzej.

— Kompletnie poszaleliście! — zawołała Anna. — Planujecie kradzież, jakby to były zakupy w hipermarkecie. Ten wóz. który chcecie zabrać, może być całym majątkiem biednego chłopca i jego rodziny!

— Masz lepszy pomysł? — zapytał franciszkanin.

Powtarzał to zdanie tak często, że wszyscy mieli już dość słuchania go.

— Może wystarczy poprosić — odrzekła Anna. Tomasz i Andrzej spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie przyszło mi to do głowy — przyznał Wysocki.

— Faceci — stwierdziła Iza z uśmiechem. — Najprostsze rozwiązanie jest dla was zawsze najtrudniejsze.

Jan był wstrząśnięty.

— Pozwalacie, aby wasze kobiety tak się do was odnosiły? — zapytał i natychmiast skulił się pod spojrzeniem Anny.

— Po pierwsze nie jestem niczyją kobietą — wycedziła. — A po drugie w naszych czasach istnieją takie pojęcia jak równouprawnienie i emancypacja. Więc przyzwyczajaj się, ojczulku.

— My tu gadu-gadu. a czas leci — wtrącił profesor. — Powinniśmy chyba rozważyć pomysł Anny.

W tej chwili Adi warknął.

— Za późno — stwierdził Andrzej, uciszając psa. — Już nas zauważyli.

Kilkuosobowa grupa mężczyzn z wioski zmierzała ku wędrowcom.

Andrzej wraz z towarzyszami wyszedł naprzeciw mieszkańcom wioski. Spotkali się mniej więcej w połowie drogi między szczytem wzniesienia a pierwszymi zabudowaniami.

Jan wystąpił kilka kroków naprzód i zaczął rozmawiać z tubylcami. Wydawało się, że przywódcą grupki jest niezbyt już młody mężczyzna kulejący na lewą nogę. Po kilku minutach mężczyźni, najwyraźniej usatysfakcjonowani wyjaśnieniami mnicha, odwrócili się i ruszyli w stronę wioski, dając znak, aby ich rozmówca i jego kompani poszli za nimi.

— Co im powiedziałaś? — zapytał Andrzej, zbliżając się do Jana.

— Ze pochodzicie z dalekiego południa, a zawędrowaliście tutaj powodowani ciekawością. Po drodze was napadnięto, więc niczego nie posiadacie, a ja jestem waszym tłumaczem.

— Aha. Czyli zrobiłeś z nas turystów. Najbardziej naiwnych przedstawicieli *homo sapiens*.

— Słucham?

— Nieważne...

Wioska nie była duża, ale święto najwyraźniej miało spore znaczenie, zważywszy na tłum, jaki się zebrał na placu. Jeden z mężczyzn powiedział kilka słów do Jana.

— Mówi, że to ich nowy rok — powtórzył mnich. — Zrównanie dnia z nocą.

— Nowy rok w środku lata? — zdumiała się Iza.

— Nie ma w tym nic niezwykłego — odparł Andrzej Początek i koniec roku to tylko umowna data. W Europie przez wiele stuleci nowy rok zaczynał się dwudziestego piątego marca.

— W dzień uważany za urodziny Jezusa — uzupełnił Wysocki.

— To największa wioska w promieniu wielu staj — podjął mnich. — Dlatego na święto co roku przyjeżdża tyle osób.

— Największa? — powtórzył Orańczak. — To ciekawe, jak wyglądają pozostałe...

Zabawa trwała w najlepsze. W centrum placu, przed podestem, ustawiono stoły, a pomiędzy nimi beczki z piwem. Wokół znajdowały się stragany ze smakołykami. Mężczyźni i kobiety ubrani w barwne stroje siedzieli przy stołach, przechadzali się tu i ówdzie, rozmawiali i śmiali się. a kilka par tańczyło w takt muzyki. Na łące opodal wioski kilku mężczyzn składało stos drewna.

— Szykują ognisko — domyślił się Andrzej. — Boże. a jestem głodny.

W tej chwili przewodnik usadowił ich przy jednym z długich stołów, a zaraz potem pojawiły się półmiski pełne jadła i ku ciemnego piwa. Adi położył się koło nóg swojego pana.

— Są bardzo gościnni — rzekł mnich, łapiąc pajdę chleba.

— I chyba potrafią czytać w myślach — dodał Andrzej, rzucając psu kawałek kiełbasy.

Mieszkańcy wioski z ciekawością przyglądali się przybyszom z obcych stron. Adi również wzbudzał zainteresowanie, co i rusz ktoś go głaskał, drapał za uchem albo podrzucał smakowite kąski.

Jeden z mężczyzn, ten okulały, próbował zagaić rozmowę z mnichem, ale ten zbyt był pochłonięty jedzeniem, aby odpowiadać. Mruczał tylko z pełnymi ustami i niecierpliwym machaniem rąk dawał znaki, że na konwersację przyjdzie czas później.

Gdy zaspokoili pierwszy głód. zaczęli się rozglądać. Wioska była czysta i zadbana, domy porządnie utrzymane, a ludzie wyglądali na zdrowych i silnych.

Redan, bo tak miał na imię kaleka, powiedział, że dobrobyt tej i okolicznych wiosek zawdzięczają bliskości stolicy, która stanowi doskonały rynek zbytu. Potem zapytał, czy już odwiedzili stolicę.

Jan potwierdził skinieniem głowy, nie wdając się w szczegóły. Wtedy Redan zaczął się rozwodzić nad wspaniałością Istarii. przede wszystkim zaś wychwalał Białą Wieżę.

— W innych miastach Dominium są podobne, ale niższe i nie tak wspaniałe. Ponoć tę w Istarii imperator wzniósł własnoręcznie — mnich starał się jak najwierniej tłumaczyć słowa Redana. — Inni twierdzą, że miał pomocnika...

— Zamilcz. Redanie — rzekł stary, siwobrody mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie stołu. — Nie wzywaj nadaremno imienia imperatora.

Wokół stołu zapadła cisza.

— Nie powiedziałem nic złego — bronił się Redan.

— Pilnuj się, aby tak pozostało. Szczególnie przy obcych — starzec obrzucił przybyszy niechętnym spojrzeniem, po czym wstał i odszedł, zabierając kufel z piwem.

Andrzej natychmiast zrozumiał. Imperatora tu nie kochano ani nie podziwiano. Władca budził strach, nie miłość.

Ktoś rzucił żart na temat starego ponuraka, rozbrzmiał śmiech i atmosfera nieco się oczyściła, ale złe wrażenie pozostało. Redan stał się oszczędniejszy w słowach, a przybyszy traktowano z większym dystansem.

— Ciekawi mnie historia tego kraju — powiedział Orańczak. — Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej.

— To dziwny naród — dodała Anna. — Najpierw zapraszają obcych ludzi na swoje święto, a potem stają się nieufni. Ciekawe dlaczego?

— Spijcie kogoś — poradził Wysocki. — A potem wypytajcie z pomocą naszego lingwisty.

— A może brat Jan mógłby nas nauczyć tego języka? — zaproponowała Iza. — Wtedy nie będziemy musieli się nim ciągle wysługiwać.

— Przednia myśl, pani — zgodził się Jan. — Sądzę, że nim nastanie wieczór, sami podchwycicie kilka prostych zwrotów.

— A na dalszą naukę czasu będziemy mieli aż nadto — mruknął Andrzej na koniec.

Alkohol rozwiązuje języki i wkrótce mieszkańcy wioski zapo-

mnieli o słowach starca. Coraz więcej było ciekawskich, którzy chcieli się dowiedzieć, skąd pochodzą przybysze i co ich spotkało po drodze, więc Jan co i rusz musiał powtarzać historyjkę o podróznikach i o tym, jak ich obrabowano.

Nadszedł zmierzch. Rozbłysły pochodnie i lampiony zawieszono na linach ponad stołami. Na łące rozpalono ognisko i ustawiono ruszt. Wkrótce po okolicy rozszedł się zapach pieczonego mięsa. Po kilku kuflach ciemnego piwa przybysze znów poczuli głód, a woń pieczeni tylko go podsyciała.

Ognisko stało się główną atrakcją zabawy. Wnet pojawili się przy nim muzykanci i rozpoczęły się śpiewy i tańce wokół ognia. Ludzie byli już dość mocno pijani, więc ich pieśni były raczej nieskładne. Można było odnieść wrażenie, że do jednej melodii śpiewanych jest kilka pieśni. Spośród tancerzy, głównie młodych ludzi, co jakiś czas pojedyncze pary wymykały się w mrok.

Andrzej wpadł w oko jednej z jasnowłosych panien. Podeszła do niego, kołysząc biodrami, chwyciła za rękę i powiedziała coś śpiewnym głosem. Andrzej uśmiechnął się zakłopotany. Nic miał pojęcia, o co pyta go dziewczyna. Ona również się uśmiechnęła i lekko pociągnęła Stawickiego ku sobie. W tym momencie pojawiła się Iza.

— On jest mój. Kochana — powiedziała, biorąc Andrzeja za drogą rękę. Ton, jakim wypowiedziała te słowa, nie wymagał tłumaczenia.

Dziewczyna burknęła coś pod nosem i odeszła.

— Czyżby zazdrość?

— Owszem — odparła Iza. — Ostatnio poświęcasz mi mało czasu.

— Och, wiesz przecież, jaka jest sytuacja...

— Nie wykręcaj się. Nie mam zamiaru pozwolić, aby jakaś chłopka cię uwiodła.

Po czym powiodła Andrzeja poza krąg światła rzucanego przez ogień. Adi chciał iść z nimi, ale Andrzej nakazał mu zostać z profesorem. Husky nie wyglądał na zadowolonego, jednak posłuchał. Gdy szli wśród traw, Andrzejowi zdawało się, że widział poruszające się sylwetki, ale Iza nie pozwoliła przyjrzeć się im bliżej.

W końcu znaleźli się tak daleko od wioski, że ognisko zmalowało do rozmiaru płomienia zapalki, a muzyka, śpiewy i śmiechy były przytłumione, jakby przechodziły przez ścianę.

— Tu będziemy sami — szepnęła Iza i pocałowała Andrzeja.

Stawicki chwycił dziewczynę w pól i oddał pocałunek. Potem Iza pociągnęła go w trawę.

— Szczęśliwego nowego roku, kochanie — powiedziała.

Pozostali tymczasem krążyli wokół ogniska, przysłuchując się śpiewom, przyglądając tańcom i wdychając woń dymu oraz pieczonego na wolnym ogniu mięsa. Wtem z tłumu wybiegł jakiś młodzieniec, złapał Annę za rękę i porwał w tany. nim ta miała okazję zorientować się w jego zamiarach.

Początkowo próbowała się wyrwać, ale młodzieniec był silniejszy. Zdawał się w ogóle nie zauważać bezowocnych prób dziewczyny i okręcił ją kilka razy wokół osi.

Widząc to. Orańczak chciał ruszyć na pomoc swojej asystentce, ale powstrzymało go ramię Wysockiego.

Profesor nieco ochłonął, gdy spostrzegł uśmiech na ustach Anny. Po chwili dziewczyna dała się zauroczyć chłopcu i muzyce, i para zniknęła w ciżbie tańczących.

— To duża dziewczynka — powiedział franciszkanin, cofając ramię. — Potrafi o siebie zadbać.

— Tak — przyznał Orańczak. wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Anna. — Oczywiście. A któż miałby to wiedzieć lepiej od ciebie, prawda?

Tomasz zignorował zaczepkę.

— No to zostało nas trzech mężczyzn, nie licząc naszego przewodnika — rzekł Jan. — Co będziemy robić?

— Zapytaj go, gdzie jest najbliższa baryłka piwa — odpowiedział Wysocki.

Mnich się roześmiał, klepnął współbrata w plecy i przetłumaczył Redanowi jego słowa.

Wkrótce zasiedli za stołem z pełnymi kufłami w dłoniach.

— Jak jest w waszym kraju? — dopytywał się Redan za pośrednictwem Jana.

— Zimno — odparł Orańczak. — Nie tak gorąco jak tutaj.

Mamy inne rośliny i zwierzęta. I więcej... powozów.

Tym ostatnim zdaniem zasłużył sobie na szturchańca od Wysokiego.

— Uważaj, co mówisz — powiedział franciszkanin.

— Nie pouczaj mnie. braciszku — odrzekł Orańczak. — Bardzo lubisz się wtrącać w cudze sprawy, prawda?

— Tylko, jeśli ktoś ma zamiar popełnić jakąś głupotę. I nie pij już tyle.

— Patrzcie! Znalazł się abstynent. A kto pierwszy zaproponował, żeby znaleźć beczkę, he? A nasze powozy mają więcej koni niż wasze — dodał, kierując te słowa do zdezorientowanego Redana.

— Stary głupiec — mruknął Wysocki.

Orańczak odwrócił się gwałtownie i posiał cios prosto w szczękę zakonnika, posyłając go na ziemię.

— Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj — warknął profesor, po czym czknął i odszedł.

Nie widział, jak złowrogo błysnęły oczy Wysockiego.

— O co się pobili? — zapytał Redan.

— To taka przyjacielska sprzeczka — wyjaśnił Jan.

— Dziwne obyczaje panują w waszym kraju.

Andrzej snuł się bez celu pomiędzy domostwami. Czuł potrzebę samotności, a o to trudno w czasie wioskowego festynu. Na szczęście, gdy wrócili z łąki. Iza spotkała Annę i obie kobiety natychmiast wdały się w ożywioną dyskusję, nawet nie zauważając jego zniknięcia.

Poza tym bolała go głowa.

Właśnie wszedł w jakąś boczną, ciemną uliczkę, gdy otoczyły go szepty. Brzmiało to zupełnie, jakby kilku ludzi krążyło wokół niego, mówiąc coś bardzo cicho w niezrozumiałym języku. Tylko że nikogo oprócz Andrzeja tam nie było. Szepty nasilały się, a Stawickiemu wszystkie włoski na karku stanęły dęba. Rozglądał się w panice, ale w ciemnościach nie mógł dostrzec nikogo, kto mógłby wydawać te dźwięki.

— To nie jest śmieszne — powiedział głośno, mając nadzieję,

że to zmusi żartownisiów do jakiejś reakcji, lecz nic się nie stało.

Próbował zrobić krok do tyłu, lecz ze zgrozą uświadomił sobie, że nie może. Zupełnie, jakby za nim stał kamienny mur. Spróbował postąpić naprzód i nie napotkał żadnego oporu. Ruszył więc powoli przed siebie, a szepty mu towarzyszyły.

Nagle zaułek wydłużył się do nieskończonej długości tunelu, ciemnego jak serce nocy, a on nie miał wyboru. Musiał iść naprzód, a strach zmroził mu krew w żyłach.

Odwrócił się, ale nie dostrzegł wylotu uliczki. Tam również, pomiędzy tym, co jeszcze przed chwilą było drewnianymi ścianami domów, rozciągał się tunel. Andrzej stał w samym środku drogi prowadzącej znikąd donikąd.

Nagle, gdzieś daleko rozbłysło słabe światło. Andrzej ruszył w tamtą stronę, a szepty mu towarzyszyły.

Po kilku minutach, a może godzinach stanął przed lekko uchylonymi drzwiami, zza których dochodziło światło. Pociągnął za klamkę, otwierając je szerzej, a wtedy ze środka wyszedł kot. Otarł się o jego nogi i odbiegł w mrok.

Szepty umilkły, gdy Andrzej przestąpił próg.

Znalazł się w małym, lecz gustownie urządzonej pokoju. Pod ścianami stały regały wypełnione po brzegi książkami. Te, które już się tam nie zmieściły, leżały w stosach na stole. Pokój rozświetlały świece oraz rozpalony kominek, a mimo to panował przyjemny półmrok.

— Wypuściłeś Moryca? — Andrzej podskoczył na dźwięk owego głosu.

Z ciemnego kąta wyłonił się staruszek.

— To mój kot. Cóż, pewnie poszedł polować na myszy i ptaki — powiedział, siadając w jednym z dwóch głębokich foteli ustawionych przed kominkiem. Pomiędzy nimi znajdował się niewielki stolik, a na nim filiżanka i, oczywiście, książka.

Sam gospodarz wyglądał jak wieszak — wysoki, chudy i o szerokich ramionach. Ubranie leżało na nim dość luźno. Miał krótką, siwą brodę i białe włosy. Żywym i chyba nieco rozbawionym spojrzeniem lustrował Andrzeja, wciąż stojącego przy drzwiach.

— No, nie stój tak w progu — powiedział. — Usiądź, tylko naj-

pierw zamknij drzwi. Wpuszczasz zimno.

Andrzej posłusznie zamknął drzwi, po czym zagłębił się w fotelu.

— Herbaty? — zapytał staruszek.

Andrzej jedynie skinął głową. Gospodarz wstał, zniknął gdzieś na chwilę, a gdy znów się pojawił, w ręce trzymał filiżankę, którą postawił przed swoim gościem. Stawicki upił łyk. Herbata była mocna i aromatyczna. Bez cukru.

— Spodziewałem się ciebie — powiedział staruszek. — Zabrało ci to trochę więcej czasu, niż myślałem, ale w końcu Poszedłeś.

— Kim jesteś? — zapytał Andrzej.

— A jakie to ma znaczenie? — odparł starzec pytaniem na pytanie. — Mógłbym podać ci moje imię, powiedzieć czym się zajmuję, ale tobie nic by to nie dało.

— Mówisz po polsku — stwierdził Andrzej. — Jak to możliwe? Tutaj?

— W miejscu, w którym jesteśmy, rzeczy tak trywialne jak różnice językowe nie przeszkadzają we wzajemnym rozumieniu.

— A gdzie jesteśmy?

— Jesteś dokładnie tam, gdzie miałeś być — odparł staruszek z figlarnym uśmiechem.

— Dlaczego?

— W końcu sensowne pytanie. Nic jest ważne jak, ani gdzie, tylko dlaczego.

— Więc dlaczego? — powtórzył Andrzej.

— Szukasz drogi do domu. Szukasz Rydwanu Bogów.

— Skąd wiesz? — zawołał Andrzej zdziwiony.

— Andrzej, doprawdy... To nieistotne.

— Dobrze. Cofnijmy się więc. Dlaczego tu jestem?

— Ponieważ szukasz Rydwanu Bogów — odrzekł gospodarz, popijając herbatę. — W każdym razie tak to nazywacie. Ja natomiast chcę ci dać parę wskazówek. Nic ty jeden szukasz Rydwanu. Jest jeszcze ktoś. Będziesz musiał pozbyć się części siebie, aby móc się z nim zmierzyć.

— Kim on jest?

— Dowiesz się. Wkrótce. Na razie wiedz, że jest potężny, ale i

słaby. Nie jest jeszcze przesądzone, który z was zdobędzie Rydwan, lecz cena będzie wysoka.

— Przesądzone? Mówisz, jakby decyzja należała do kogoś innego.

— O. nie. Wszystko zależy od ciebie i twojego przeciwnika. Lecz będziesz musiał coś poświęcić. Inaczej przegrasz.

— Nie rozumiem, o czym mówisz!

— Ale zrozumiesz. A teraz napijmy się jeszcze herbaty.

Chłodny poranek zastał go nad rzeką. Andrzej wstał, niepewny, gdzie jest. Obrócił twarz ku słońcu, pozwalając mu osuszyć twarz z rosy. Ze zdumieniem stwierdził, iż znajduje się spory kawałek od wioski.

Cała osada była pogrążona we śnie. Jedynie kilka psów krążyło wokół stołów w poszukiwaniu smacznych kąsków. Ognisko było już tylko dymiącą kupą popiołu. Wszędzie leżały porozrzucone brudne miski i kufle z resztkami zwiędłego piwa. Na łące w pobliżu rzeki stały wozy przyjezdnych. Ich właściciele zapewne właśnie odsypiali wczorajsze święto. Andrzej przykucnął na brzegu i zaczerpnął dłonią chłodną wodę. Suszyło go i wiele by oddał za tabletkę aspiryny.

Zastanawiał się, gdzie są jego towarzysze. Uznał, że chodzenie od drzwi do drzwi i pytanie o przyjaciół nic jest najlepszym pomysłem, więc usiadł przy jednym z długich stołów. Zauważył nieruszoną, zimną kiełbasę. Zjadł ją, żeby czymś zapełnić żołądek. Może przestanie mu być zimno i minie ból głowy.

Co właściwie stało się wczoraj? Kim był starzec, z którym rozmawiał? To wszystko zdarzyło się naprawdę, czy było tylko wytworem wyobraźni? Może po prostu za dużo wypił, a potem zasnął i to mistyczne przeżycie mu się przyśniło?

Czuł się zmęczony. Metafizyka, przejście do innego świata. Poszukiwania Rydwana Bogów, na którego ślad trafili jeszcze w Kazimierzu, jego własne zdolności przewidywania...

Wszystko to sprawiało, że Andrzej czuł się przytłoczony.

Nagle przy jego nodze pojawił się Adi.

— Cześć, staruszkule — powiedział Andrzej. — Gdzie się po-

dziewałeś?

Pies jedynie patrzył na niego smutnymi oczami.

Drzwi jednego z domów otworzyły się, skrzypiąc, i z wnętrza wyłonił się Tomasz. Rozejrzał się po podwórzu, mrużąc oczy. Dostrzegł siedzącego samotnie przy stole Andrzeja, podniósł dłoń w geście powitania i ruszył w jego stronę.

— Mogę się przysiąść? — zapytał.

Andrzej wzruszył ramionami.

— To duży stół — odparł, głaszcząc psa.

— Gospodyni przygotowuje duży dzban miejscowego odpowiednika kawy. Ponoć specyfik ten jest też świetny na kaca. Powinien szybko postawić wszystkich na nogi.

Andrzej kiwnął głową, wciąż głaszcząc duży łeb husky'ego.

— Gdzie byłeś wczoraj? — zapytał Wysocki. — Martwiliśmy się o ciebie.

Rozmawiałem z gościem, który przepowiedział moją przyszłość i wcale mi się to nie podobało, choć nic nie zrozumiałem.

— Nie wiem. Dopiero co obudziłem się nad rzeką. O. tam — odpowiedział Andrzej, niedbałym ruchem ręki wskazując kierunek.

Kilka minut później drzwi ponownie się otworzyły i stanął w nich Orańczak. Adi pobiegł się z nim przywitać.

— Cześć, staruszku — profesor nieświadomie powtórzył słowa Andrzeja, gdy pies oparł się łapami o jego tors. a Stawickiemu przeszły ciarki po plecach. — Nie przewróć mnie, dobrze?

Wolnym krokiem zbliżył się do stołu, przy którym siedzieli Andrzej z Tomaszem.

— Rany, ale fatalnie się czuję — wychrypiał. — Jest tu cos do picia?

— Suszy? — zapytał Andrzej.

— Bardzo.

— Tam jest cała rzeka wody.

— Tylko uważaj. Na twoim miejscu poszedłbym w górę rzeki— dodał Wysocki.

— A to dlatego, że...?

— Spójrz — powiedział franciszkanin, wskazując kierunek.

Jakiś wieśniak właśnie oddawał mocz wprost do rzeki.

— No tak. Dzięki — odparł profesor. Chwycił trzy kufle i poszedł po wodę.

— Nawet nie zapytał, czy nam też przynieść — powiedział Andrzej.

— Tak — odpowiedział Wysocki. — To miłe z jego strony.

Wracając, profesor szedł już pewniejszym krokiem.

— Nawet udało mi się nie rozlać po drodze — rzekł, stawiając na stole kufle wypełnione wodą.

— Chyba nie tylko profesora suszy — zauważył Andrzej, gdy po krótkiej chwili kufle zostały opróżnione.

— Wczoraj była niezła impreza — stwierdził zakonnik.

— A właśnie — wtrącił Orańczak. — Czyja cię aby wczoraj nie uderzyłem?

— W rzeczy samej — przyznał Wysocki.

— Jak to? — spytał Andrzej. — Za co?

— Szczerze mówiąc... nie pamiętam — przyznał profesor.

— A ja nie mam pojęcia — dodał Tomasz.

— W każdym razie przyjmij moje przeprosiny.

— Przyjmuję.

— No to ładnie się. chłopcy, zabawialiście, kiedy mnie nie było.

Zapadła cisza. Andrzej głaskał Adiego, Tomasz i profesor błędzili wzrokiem po okolicy.

— Więc jaki mamy plan? — spytał w końcu Orańczak.

— Plan? — powtórzył Andrzej.

— Tak, plan.

— Ogólnie rzecz biorąc — zaczął Wysocki — plan jest taki żeby znaleźć Starca z Gór i jego Rydwan Bogów, czymkolwiek jest, i zobaczyć, czy nam to pomoże wrócić do domu.

— Proste jak świński ogon — zauważył Andrzej. — Ale proponowałbym najpierw znaleźć te cholerne góry.

— Będziemy mieli przewodnika — rzekł Orańczak. — Ten cały Rodeo...

— Redan — poprawi! Wysocki.

— Właśnie ten. Więc Redan zaoferował Janowi swoją pomoc. Zorganizuje też zapasy, ma własny wóz, a tutaj nic go nie trzyma

prócz kilku kóz i krowy.

— I zrobi to wszystko za dobre słowo?

— Oczywiście, że nie. Obiecaliśmy mu sowitą zapłatę i że pokażemy mu nasz kraj.

— Genialnie. Okłamaliście biednego chłopaka, żeby porzucił dla nas swój dom.

— Daj spokój. To on pierwszy zaproponował nam pomoc.

— A wy nie uznaliście za stosowne wyjaśnić mu, że nic ma co liczyć na pieniądze ani na wycieczkę?

— Co mieliśmy zrobić? Całe towarzystwo było pijane...

— Zapytać o drogę i poprosić o chleb i wodę na drogę.

— Andrzej, twoje skrupuły tylko przeszkadzają — «tracił Wysocki. — Chłopak chce zobaczyć kawałek świata, a kiedyś był już w tamtych górach. Przyda się nam.

— A jak wyjaśniliście mu, że tak nam zależy na dotarciu do tych gór?

— Powiedzieliśmy, że nigdy jeszcze nic widzieliśmy gór-Nasz kraj jest płaski jak stół.

— Na południe stąd, aż do morza, nie ma gór — dodał Orańczak.

Drzwi znów się otworzyły i z chaty wyszli Anna, Iza oraz brat Jan. Za nimi stąpała tęga kobieta, niosąc na tacy dzban i sześć kubków, a także chleb, ser i kiełbasę.

— Słysząc was chyba w całej wsi — powiedziała Iza i pocałowała Andrzeja. - Dzień dobry, kochanie. Jak ci się spało.

— Dzień dobry. Parszywie. Obudziłem się nad rzeką.

— No ładnie. Nie trzeba było tyle pić.

Potem na jakiś czas rozmowy ucichły, gdy sześć wygłodniałych osób zabrało się do śniadania.

Około południa byli gotowi do drogi. Andrzej w końcu ustąpił. Nie miał wyboru. Klamka zapadła. Redan miał być ich przewodnikiem i koniec. A że go oszukano.. Cóż, to brutalny świat, prawda?

Najpierw ja, potem cała reszta.

Redan wyprowadził ze swojej stodoły wóz. Był stary, trzeszczał

przy każdym ruchu, płótno rozpięte nad paką było dziura-ale zdołał pomieścić siedem osób, psa i zapasy żywności. Wszystko to ciągnąć miały dwa woły kupione za wysoką cenę u innego mieszkańca wioski, tego samego, który poprzedniego dnia kazał się Redanowi zamknąć. Zapłacił za nie oczywiście przewodnik po tym, jak Jan obiecał mu rekompensatę. Zresztą Redana nie trzeba było długo przekonywać. Był zadowolony, że wybiera się w podróż i wierzył bezgranicznie w obietnice Jana.

Pożegnanie było dosyć długie i wylewne. Wszak mieszkańcy wioski należeli do bardzo gościnnych. Redana lubili prawie wszyscy. a niektórzy pewnie zazdrościli mu. że wybiera się podróż do nieznanego kraju z cudzoziemcami.

W końcu jednak ruszyli wąską dróżką wijącą się wzdłuż brzegu rzeki.

- Dojedziemy do mostu, tam przekroczymy rzekę i wjedziemy w las - powiedział przewodnik, a siedzący obok mena koźle Jan przetłumaczył.

293

— Jak daleko stąd do gór? — zapytał Andrzej.

— Jakiś miesiąc, może półtora. Na pewno dotrzemy tam wczesną jesienią.

— A ile nam zajmie znalezienie tego tajemniczego maga, Bóg jeden wie — zauważył Andrzej.

— Przestań marudzić — syknęła Anna.

— Wiecie, co jeszcze mnie martwi? — nie ustępował Andrzej.

— Jeśli ktoś nas ściga i trafi przypadkiem do tej wioski, będzie miał nas jak na talerzu. Sześciu obcych? Jasne, że ich widzieliśmy. Jeden z naszych prowadzi ich w góry.

— Gdyby nas ścigali, mielibyśmy ich już wczoraj na karku — powiedział Wysocki.

— Więc co, odpuścili sześciu uciekinierom?

— Może. A może nadal szukają nas w mieście. Istaria jest duża. a nas już raz nie docenili.

— Daj już spokój, kochanie — dodała Iza. — Będziemy się tym martwić, gdy będzie się czym martwić, dobrze? Na razie wszystko jest tak. jak miało być.

— Skąd wiesz?

— Zaufaj mi — odparła i posłała mu jeden z tych czarujących uśmiechów, od których kręciło się w głowie.

Późnym popołudniem dotarli do szerszej drogi. Andrzej przypuszczał, że był to ten sam trakt, którym dotarli do wioski, ale nic nie powiedział. Pół godziny później dojechali do kamiennego mostu przerzuconego przez rzekę. Za mostem rozciągał się las tak gęsty, że pierwsze drzewa rosły na samym brzegu, niemalże w wodzie.

Wjechali w cień pod gałęziami. Promienie słońca tylko gdzieś tam gdzieś przebijały się przez zasłonę liści i momentalnie zrobiło się chłodniej. Redan zatrzymał powóz, przez chwilę grzebał w tobołkach, po czym rozdał podróżnym ciepłe swetry.

— Przez jakiś czas będzie zimno — Jan przetłumaczył jego słowa i ruszyli.

Mrok pod drzewami zgęstniał, zrobiło się jeszcze chłodniej. Drzewa zdawały się napierać na trakt, gałęzie szumiały niespokojnie, jakby poirytowane obecnością intruzów. Nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz szeptu liści na wietrze, stukotu końskich kopyt oraz od czasu do czasu trełu jakiegoś ptaka, który milkł zaraz przestraszony własnym głosem.

— Jak tu strasznie — szepnęła Anna.

— To tylko las — stwierdził Orańczak.

— Ostatni las, jaki widzieliśmy, był kamienny, pamiętacie.

— Owszem, ale te drzewa są prawdziwe. Żywe.

— I bardzo stare — dodał Andrzej sennym głosem. — Czuję się, jakbym trafił na karty *Władcy Pierścieni*. Fangom...

— Nie spodziewałbym się tu Entów — parsknął Orańczak.

Rozległ się trzask, jakby coś dużego przedzierało się przez gęsto rosnące drzewa. Wszystkim, oprócz Redana i Wysockiego przyspieszyło tętno.

— To pewnie spadła jakaś sucha gałąź... — powiedział bez przekonania profesor.

— Jeśli nie, to ja nie chcę wiedzieć, co to było — dodała Iza.

Wysocki parsknął śmiechem.

— Nie mówcie mi, że boicie się lasu — zawołał.

— Łatwo ci mówić — odparła Iza. — Wędrówkę przez kamienny las przespałeś.

Żart. choć niezbyt zabawny, rozweselił grupę i rozładował atmosferę. Tylko Adi strzygł niespokojnie uszami.

Zmrok w lesie zapadł prędko. Gdy słońce schowało się za gałęzie, Redan zaczął się rozglądać za miejscem na nocleg. Dość szybko udało im się znaleźć niewielką polanę. Przypominała wnękę w gęstej ścianie lasu. Redan wyjaśnił, że wzdłuż drogi wykarczowano fragmenty lasu, tworząc właśnie takie polany, na których podróżni mogli odpocząć. Dodał też, że droga ta nie jest zbyt uczęszczana, obalając tym samym teorię Andrzeja, w myśl której miała ona być przedłużeniem traktu, którym wędrowali.

Rozniecili ognisko i przyrządzili ciepłą kolację. Potem Iza powiedziała:

— Nie wiem jak wy, ale ja bym chciała się nauczyć miejscowej mowy.

I tak rozpoczęła się pierwsza z wielu lekcji języka, jakim posługiwano się w Dominium.

Spali kręgiem wokół powoli dogasającego ognia, opatuleni w ciepłe koce. Gdzieś daleko jakieś zwierzę zawyło, zaczynając od wysokich tonów, kończąc na niskich. Struchleli, słysząc to żałosne wołanie po raz pierwszy, ale Redan ich uspokoił. mówiąc, że to, co wydaje ten dźwięk, jest niegroźne, a poza tym boi się ognia.

Ktoś jednak nie spał. Wysocki siedział oparty o pień pobliskiego drzewa, tyłem do ogniska. Lśniącymi w ciemności oczami wpatrywał się w mrok. Mimo zmęczenia sen nic nadchodził. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze wytrzyma, a przecież musi! Liczyło się jedynie zdobycie Rydwanu Bogów, *u* wszelką cenę.

Musiał wytrzymać.

Za to Andrzej spał głęboko, choć niespokojnie. Dręczyły go sny. Śniło mu się, że znów znajduje się w pokoju starego, ale tym razem po wyjściu nie budzi się nad rzeką, ale trafia do wysokiej komnaty z jednym, jedynym oknem znajdującym się tuż pod sufitem. Złote promienie słońca padały na łóżko, na którym leżała naga kobieta. Rozpoznał swoją żonę.

— Gosia — chciał powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się inne słowo, którego nic rozumiał: — Timmala.

Potem zobaczył siebie w tunelu, ciemnym i długim, jak wnętrzności węża. Każdy krok odbijał się od ścian niemal ogłuszającym echem, a jednak zdołał usłyszeć inne kroki. Odwrócił się, ale jedyne co zobaczył, to jeszcze czarniejszy cień tuż za nim, a po chwili poczuł zimne palce zaciskające się na jego gardle.

ROZDZIAŁ 19

Egipt. 3000 lat p.n.e.

— Ojczy, czym właściwie jest Rydwan Bogów? — zapytał Achon wieczorem tego samego dnia, w którym dotarli do oazy, gdy oboje już zaspokoili pragnienie i nieco odpoczęli.

Na oazę składało się niewiele więcej, niż mały staw z lekko mętłą wodą, która Sefianowi i jego synowi smakowała niczym najprzedniejsze wino. Wokół sadowiły się karłowate krzaczki, które w tej chwili wielbłądy pracowicie oskubywały z najdrobniejszych nawet listków. Kilka rosnących w rym ogrodzie palm wyglądało, jakby najłżejszy podmuch wiatru mógł je powalić w piasek.

Pytanie Achona kompletnie zaskoczyło Sefiana. Milczał przez dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

— Przepraszam, że cię uderzyłem — rzekł.

Od tamtego zdarzenia nie odzywali się do siebie, nie rozmawiali o tym, co się stało, a Sefiana wciąż to gryzło. Nie wiedział jak poruszyć ten temat, wykorzystał więc okazję, którą podsunął mu syn, przerywając ciszę jako pierwszy.

— Nie mam ci tego za złe — odparł Achon. — Wydawało mi się, że widziałem oazę. Mogłem sprowadzić na nas śmierć.

— Mimo wszystko nie powinienem był podnosić na ciebie ręki. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem i jest mi strasznie przykro, że nie zdołałem nad sobą zapanować.

— Pustynia wyczynia z ludźmi straszne rzeczy, ale nie możemy pozwolić, żeby nami zawiadnęły. Kto wie, co mogłoby się stać, gdybyś mnie nie uderzył?

— Nie wiem. Wiem tylko, że...

— Przestań — przerwał mu Achon.

Mówił łagodnie i spokojnie, ale w jego oczach przejawiała się skrywana uraza. Długo nie będzie mógł zapomnieć tego ciosu i wyrazu twarzy ojca, gdy jego dłoń opadała. Zobaczył wtedy Sefiana takiego, jakim jest naprawdę; potężnym magiem dysponującym ogromną mocą, który zbyt często staje na krawędzi i któregoś dnia może osunąć się w przepaść. Ale co najbardziej Achona przeraziło wtedy, w tym jednym ułamku sekundy poprzedzającym uderzenie, to czające się na dnie oczu ojca szaleństwo.

— Lepiej opowiedz mi o Rydwanie — poprosił znowu.

— Nie powiedziałem ci już wszystkiego?

— Nie. Myślę, że pomiñałeś najważniejsze. Czym jest Rydwan Bogów? Dlaczego jest taki ważny?

— Chyba się starzeję. Cóż... Trudno zdefiniować czym dokładnie jest Rydwan. Mówiłem ci już, że nikt nie rozumie do końca, z czym mamy do czynienia. Wiemy na pewno, że wzmacnia siłę woli.

— To znaczy, że wspiera człowieka w dążeniu do celu? Daje mu potrzebną siłę?

— Wiesz, jak faraon doprowadził do zjednoczenia Egiptu?

— Pokonał wrogów.

— Owszem, ale czy wiesz w jaki sposób?

— W bitwie?

— Nie. Spotkał się z przywódcami wszystkich walczących frakcji i przekonał ich, aby się poddali.

— I oni go posłuchali? Tak po prostu?

— Za tronem faraona stało trzech kapłanów Horusa. Tuż przed rozpoczęciem rozmów jeden z nich podał faraonowi niepozorną szkatułkę, w której zamknięty był Rydwan. Faraon trzymał go w dłoniach przez cały czas, gdy rozmawiał z wrogimi dowódcami.

— Chcesz powiedzieć, że faraon wpłynął na ich decyzje siłą swojej myśli?

Sefian skinął głową.

— Myślą wzmocnioną tysiącrotnie działaniem Rydwanu. Podejrzewam, że wtedy właśnie zaczęły się nasze kłopoty...

— Czekaj, czekaj. Skąd faraon wiedział do kogo się zwrócić, jeśli wszyscy sądzili, że Rydwan został zniszczony dawno temu?

— Nie wiedział. Kapłani sami zgłosili się do faraona, ujawniając tym samym istnienie Rydwanu.

— Ale... dlaczego? Myślałem, że to była najpilniej strzeżona tajemnica Świątyni.

— Bo była. Kapłani uznali jednak, że dla dobra państwa powinni zaryzykować. Zaryzykowali, co, jak sędzę, doprowadziło nas bezpośrednio tutaj.

— Czekaj — powtórzył Achon. W jego głowie kielkowało podejrzenie — Czy z pomocą Rydwanu moglibyśmy szybciej znaleźć wodę?

— Prawdopodobnie.

Słyszając to chłopiec spuścił wzrok i zaczął wpatrywać się w piasek.

— Ojczy, mogliśmy tam zginąć. Trzy dni bez wody. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś na to. mimo że byłeś w stanie temu zaradzić...

— Uspokój się.

— Chciałeś. żebym umarł?

— Nie waż się tak myśleć! — ryknął kapłan. — Nigdy! A teraz słuchaj uważnie!

Achon spojrział na ojca wzrokiem pełnym wyrzutu i ledwie skrywanego wzburzenia.

— Nie mogłem użyć Rydwanu w ten sposób.

— Dlaczego nie?

— Po pierwsze, bo nic wiem nawet, czy można go wykorzystać do przenoszenia ludzi czy przedmiotów na odległość. Po drugie, bo każde działanie magiczne wywołuje echo.

— Echo?

— Tak. Nigdy nie byłeś w górach, więc może ci być to trudno zrozumieć. Kiedy krzykniesz, dźwięk odbija się od skal. tak jakby ktoś inny powtarzał twój krzyk. Im głośniejsz krzyczysz, tym dłużej się on powtarza. Rozumiesz?

— Nie bardzo.

— Inny przykład — kapłan podniósł mały kamyczek i cisnął go do stawku. — Widzisz, jak od miejsca, w którym kamyczek wpadł do wody. rozchodzą się fale? Im większy kamyczek, tym większe fale.

Gdybyś tam wrzucił głaz wielkości swojej głowy, woda rozbryznięłaby się na piasek i tam wsiąkła. Każde rzucone zaklęcie wywołuje takie fale, echa. Tym mocniejsze, im potężniejsze jest zaklęcie. Niektórzy ludzie potrafią je wyczuć.

— Magowie?

— Tak. I kapłani w mniejszym stopniu. I znowu: im potężniejszy mag, tym lepiej i mocniej wyczuwa takie rzeczy. Ci najsilniejsi potrafią określić punkt, w którym kamyk wpadł do stawu. Użycie Rydwanu byłoby jak wrzucenie do tego jeziora posągu Horusa ze Świątyni.

— Rozumiem. Ale dlaczego zatem kapłani pozwolili faraonowi go użyć?

— Zaryzykowali. Spotkanie odbyło się w sercu pustyni, każdy przywódca mógł przyprowadzić ze sobą swoją gwardię przyboczną, ale żadnych magów czy kapłanów. Ponadto kapłani Świątyni uznali, że sposób w jaki zostanie użyty Rydwan Bogów, wywoła stosunkowo słabe echo. Wszak chodziło tylko o wpłynięcie na dość słabe umysły. Żaden z generałów nie był szkolony w zakresie magii, wykorzystywania potęgi myśli i obrony przed nią. W tej dziedzinie byli bezbronni niczym niemowlęta.

— I chyba kapłani mieli rację. W końcu doszło przecież do zjednoczenia Egiptu.

— Owszem. Boję się jednak, że w pewnych kwestiach się mylili. Wszak ktoś w jakiś sposób dowiedział się o Rydwanie. Jak? Skąd? Cały czas nie daje mi to spokoju — Sefian westchnął. Nagle poczuł na barkach ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. W końcu powiedział: — Chodź, czas na kolejną lekcję magii.

Ojciec i syn, mag i jego uczeń, podnieśli się ze swoich miejsc i odeszli kawałek od obozowiska, aby w ciszy i spokoju zasypiającej pustyni ćwiczyć się w sztuce wzbudzania fal i ech zauważalnych jedynie dla niektórych.

Świt ledwie zdążył zaróżowić horyzont, gdy Achon się obudził. Rozejrzał się wokół, szukając przyczyny swojego przebudzenia. Wielbłądy wciąż spały, z nozdrzy regularnie wyływały im ob-

łoczki pary. Chłopiec spojrział w drugą stronę i odkrył, że posłanie ojca było puste. Usiadł.

Kapłan stał na skraju oazy, odwrócony tyłem do syna, nieruchomy i wyprostowany jak struna. Czujny. Tuż nad jego głową wisiał blednący szybko, ale wciąż widoczny krążek księżyca, rosnąca nieopodal palma nachylała się, jakby w nabożnym skupieniu. Dla Achona Sefian był w tym momencie kapłanem bardziej, niż przez wszystkie poprzednie lata. W jego postawie było coś niemal boskiego. Chłopiec wręcz spodziewał się, że lada moment ojciec wyciągnie ręce do księżyca i pobłogosławi palmę, a z jego ciała wytrysną oślepiająco jasne promienie światła.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Sefian wciąż tylko stał na granicy pomiędzy oazą a pustynią, nieruchomy niczym posąg i po chwili Achon postanowił do niego dołączyć.

— Idą goście — mruknął kapłan, gdy stanął przy nim syn.

Achon podążył wzrokiem za spojrzeniem ojca i dostrzegł poddałi kilka czarnych punktów.

— Uciekamy? — zapytał.

Kapłan pokiwał głową.

— Nie wiemy, kim są, nie możemy ryzykować — rzekł, po czym wrócił do obozowiska.

W dwadzieścia minut zwinęli obóz. Na szczęście jeszcze poprzedniego wieczoru Sefian zmusił siebie i syna, żeby napełnić wodą bukłaki i nazbierać drew na opał. Achon wyprowadził objuczone wielbłądy poza oazę, po czym, za pomocą zerwanych liści palmowych, wraz z ojcem zatarł wszelkie ślady ich pobytu.

Ustawili się tak, aby oaza chroniła ich przed wzrokiem zbliżających się ludzi. Sefian szedł za wielbłędami, zamiatając piasek liśćmi. Gdy dotarli do grzbietu pierwszej wydmy, schował liście do juków, wskoczył na wielbłąda i popędził go do galopu. Liczył na to, że ich obecność w oazie pozostanie nieodkryta, a wiatr zasypie słabe ślady liści na piasku. Żałował tylko, że nie dane im było spędzić tam jeszcze jednego dnia.

Gdy słońce wreszcie zalało pustynię złotym blaskiem, oni byli już daleko.

Znowu w drodze. Zmierzali na północny zachód, w stronę Nilu. Sefian miał nadzieję, że uda im się znaleźć jakąś łódź, która powiezie ich do Inebu-Hedż. Stamtąd było już blisko do piramidy i pozbycia się brzemienia. To, co stanic się później z Rydwanem, nie będzie już jego zmartwieniem. Wypełni powierzona mu misję, a potem wróci z synem do Behdet, tym razem już jawnie, uczęszczanym szlakiem. Nie będą się już Musieli kryć na pustyni niczym banici. Pokaże Achonowi nie tylko Wielką Piramidę, którą tak bardzo pragnie zobaczyć, ale i inne cuda Egiptu. Może zawitają i do stolicy. Odwiedzą tamtejsze wspaniałe świątynie. Z bliska spojrzą na pałac faraona.

Sefian przywołał się do porządku. Rozmarzył się, a to bywa niebezpieczne. Marzenia mogą zaciemnić obraz rzeczywistości, a oni są w środku podróży. Do celu jeszcze daleko. Należało się na tym skupić. No i na Achonie. Ojciec co wieczór wprowadzał go w tajniki magii i chłopiec robił zdumiewające postępy. Sefian odkrył, że jego syn ma nieprzeciętny talent, a także wolę i chęć do nauki. Kapłana zaskoczyła determinacja Achona. Dziwił się też, że wcześniej nie zauważył zdolności chłopca.

Wyrzucał sobie, że zawsze był zbyt zajęty, zbyt mało czasu poświęcał chłopcu, szczególnie po śmierci matki, którą Achon tak bardzo kochał. Sefian również bardzo przeżył jej odejście, wciąż tęsknił za nią i właśnie dlatego nic mógł zająć się synem tak, jak należało. Achon tak bardzo przypominał matkę, że samo patrzenie na niego przyprawiało Sefiana o fizyczny ból. Chłopiec miał jej gesty, jej oczy i usta, a kiedy kogoś uważnie słuchał, w ten sam sposób co ona przekrzywiał głowę.

Zaczęli więc coraz bardziej się od siebie oddalać. Ironia losu, że dopiero podczas tej wspólnej podróży przez ocean piasku odnaleźli się na nowo. I to dzięki Achonowi. Gdyby chłopiec nie uciekł ze Świątyni... Jak bardzo musiał się bać, że straci ojca, tak jak stracił matkę. A może po prostu tak kochał Sefiana, że nie chciał się z nim rozstać nawet na czas jego podróży? Może widział w tym szansę, aby znów zbliżyć się do ojca? Wszystko to było nieważne. Liczyło się tylko to, że znów byli ojcem i synem, i ojciec mógł synowi przekazać swą wiedzę.

Mijał trzeci dzień odkąd opuścili oazę. Niebawem powinni dotrzeć do błękitnej wstęgi rzeki wijącej się przez cały kraj. Achon miał już serdecznie dość wszędobylskiego piasku, który potrafił się dostać dosłownie wszędzie, drapiąc i drażniąc ciało. Z drugiej jednak strony cieszyła go ta podróż. Była to przygoda, o jakiej marzył. Ekscytująca, trochę niebezpieczna i obfitująca w przeróżne niespodzianki. Do tego odkrył w sobie coś, czego istnienia nawet się nie domyślał. Ojciec pomógł mu to wydobyć na wierzch i teraz uczył go wykorzystywać ten dar. No i to, co dla Achona było najważniejsze: przebywanie z ojcem, rozmowy dłuższe, niż kilka minut wieczorami po kolacji i przed pójściem spać. W tym momencie chłopcu przyszła do głowy ta sama myśl, która nieco wcześniej nawiedziła Sefiana.

Co za ironia losu, że musiałem uciec ze Świątyni i Behdet. i udać się na pustynię, aby odnaleźć ojca...

Poczuł dreszcz niepokoju. Podróż jeszcze się nie skończyła, kto wie, co ich jeszcze czeka nim dotrą do stóp Wielkiej Piramidy.' I ten głos matki powtarzający, że musi być gotów...

Wieczorem, jak każdego dnia, odbyła się kolejna lekcja magii. Tak jak poprzednio Sefian i Achon odeszli kawałek od obozowiska i usiedli na piasku.

— Jesteś gotów spróbować jeszcze raz? — zapytał kapłan.

— Tak.

— Dobrze. Zaczniemy tak jak zawsze. Zamknij oczy. Wsłuchaj się w swój oddech. Uspokój i spowolnij jego rytm. Oddychaj głęboko, miarowo. Oczyść swój umysł ze wszystkich myśli...

Monotonne brzmienie głosu Sefiana miało na Achona kojący wpływ. Czuł się jakby zapadał w sen, słowa kapłana dochodziły z coraz większej odległości, ale umysł chłopca był jasny i czysty. Nagle poczuł wspaniałą pustkę, jakby zanurzył się cały w cichym, spokojnym jeziorze. Doznanie było tak silne i oszałamiające, że Achon zdołał je utrzymać zaledwie przez kilka sekund, nim otworzył oczy i spojrzał zdumiony na Sefiana. Kapłan się uśmiechał.

— To wcale nie takie trudne, prawda? Za każdym razem będzie

łatwiejsze, ale na razie prosiłbym cię. abyś nie odpływał tak daleko, zgoda?

Chłopiec skinął głową.

— Dobrze. Zrób to jeszcze raz, ale tym razem nie trać ze mną kontaktu. Oczyść swój umysł...

Achon ponownie zamknął oczy, odetchnął i się wyprostował. Po chwili wszelkie myśli zniknęły i ogarnął go cudowny spokój.

— Poczuj przepływającą przez siebie siłę... — mówił Sefian. — Pozwól jej przenikać siebie na wskroś. Poczuj, którądy do ciebie wpływa i którądy wypływa. Prześledź jej drogę. Jesteś teraz gotów, aby nią pokierować. Postaraj się skupić ją w swojej prawej dłoni. Niech napływa bez przeszkód, niech się gromadzi.

Obie dłonie Achona spoczywały na jego kolanach zwrócone wnętrzem do góry. Nagle poczuł, że prawa dłoń robi się cieplejsza. Wydawało mu się, że czuje na niej niewielki ciężar.

— Teraz przerzuć ją do lewej dłoni — polecił mu ojciec.

Achon zrobił to i poczuł jak ciepły ciężar się przemieszcza.

— Z powrotem do prawej — powiedział Sefian. — A teraz otwórz oczy.

Chłopiec spojrział na swoją dłoń. Trzymał w niej niewielką kulkę światła, która przez chwilę migotała, nim rozplynęła się w powietrzu.

— Bardzo dobrze — pochwalił go Sefian. — Właśnie zrobiłeś kolejny krok na bardzo długiej i krętej ścieżce wiodącej ku potędze.

Kapłan zadrżał, gdy przypomniał sobie, ile czasu jemu samemu zajęło uzyskanie takiej kuli czystego światła.

Lekcja dobiegła końca. Zmęczony Achon wrócił do obozowiska, a Sefian został na pustyni. Patrząc na srebrzystą w blasku gwiazd pustynię, pogrążył się w rozmyślaniach.

Przed oczami stanął mu on sam, gdy w wieku trzynastu lat Merukes wysiał go do Mezopotamii. Pod okiem mieszkającego w Unik jednego z największych magów, miał zgłębiać sztukę magii.

Jako sierota oddana pod opiekę Świątyni, Sefian był właściwie jej własnością. W hierarchii stał niewiele wyżej od niewolnika.

Czasem zastanawiał się, jakby się potoczyło jego życie, gdyby rodzice nic zginęli, gdy miał zaledwie cztery lata. Zawsze jednak bardzo szybko odgania! od siebie te myśli jako bezużyteczne i bezcelowe. Przeznaczenie zdecydowało za niego. Kiedyś Merukes powiedział Sefianowi, że śmierć jego rodziców to czysty przypadek, że statki na pełnym morzu czasem toną i nie ma w tym niczyjej winy. Sefian odrzucił ten pomysł, uznając go za niedorzeczny. Jego ojciec był bogatym kupcem i chciał, aby syn poszedł w jego ślady. Mawiał, że przypadek jest bezrozumny i tylko przeznaczenie nadaje ludzkiemu życiu sens. Nic chciał uznać swojego życia za bezcelowe i niemające znaczenia. Wiarę w przeznaczenie zaszczepił swojemu synowi.

Pewnego razu postanowił zabrać żonę w rejs. Miał zamiar przehandlować nubijskich niewolników za złoto i kosztowne tkaniny. Sefiana zostawili pod opieką znajomych. I właśnie wtedy przeznaczenie kupca dało o sobie znać. Nadszedł sztorm i roztrzaskał statek w drzazgi.

W jednej chwili życie Sefiana wywróciło się do góry nogami. Nagle stał się nikim. Nie miał się nim kto zaopiekować i dlatego, wzięto go do Świątyni. Patrząc z perspektywy czasu, stwierdził, że mógł trafić dużo gorzej. Czy też, biorąc pod uwagę jego przekonania, nic mógł. Pamiętał za to dobrze wszystkie krzywdy i upokorzenia, jakich doznał od swoich rówieśników. Różnica polegała na tym, że inne dzieci zostały wysłane do Świątyni przez swoich rodziców, którzy płacili za naukę synów i czasem ich odwiedzali. Sefian został zaś przygarnięty niczym bezpański pies, co też niejednokrotnie wypominali mu inni chłopcy.

Ale nigdy kapłani. Nigdy Merukes. Owszem, byli dla niego surowi, ale nic bardziej niż dla innych. Nie oceniali go za pochodzenie, ale za postępy w nauce i za to Sefian ich kochał. A był doskonałym uczniem. Zwrócił na siebie uwagę arcykapłana, który postanowił wykorzystać drzemiący w chłopcu potencjał, wysyłając go do Uruk.

Sefian nie mógłby powiedzieć, że Merukes zastąpił mu ojca, ponieważ tak nie było. Arcykapłan był mu życzliwy, ale nic ponadto. Jedynym przyjacielem Sefiana w tym smutnym okresie był Da-

ikan. dziś zastępca sędziwego Merukesa. a wkrótce, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, jego następcą.

Sefian obawiał się, że Achon może podzielić jego los. Nie był jasnowidzem. Nie wiedział, co go czeka. Dlatego teraz cieszył się z każdej spędzonej z synem chwili i miał nadzieję, że Achon ma podobne odczucia.

Z Mezopotamii Sefian wrócił po pięciu latach jako mag, ale bynajmniej nie najpotężniejszy. Jego nauki zakończyły się wraz ze śmiercią mistrza. Potem kontynuował je na własną rękę. Studiował starożytne księgi. Eksperymentował. Podróżował, szukając ludzi, którzy mogli i chcieli przekazać mu swą mądrość. Ale największym skarbem, jaki przywiózł do Egiptu nie była moc czy umiejętność posługiwania się magią. lecz młoda, śliczna żona.

Doskonale pamiętał dzień, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Szukał wtedy ustronnego, spokojnego miejsca, gdzie mógłby się oddać medytacjom. Natrafił na jezioro u stóp wysokiego wodospadu. Woda z rykiem spadała z trzydziestu metrów, rozbryzgując się o sterczące z dna jeziora skały. Kotlinkę otaczała dżungla, drzewa i krzewy rosły nawet na zboczu klifu po obu stronach wodospadu. Sefiana urzekł ten widok i choć hałas wykluczał wszelką medytację, postanowił zejść ze ścieżki i przyjrzeć się jezioru z bliska.

Dokładnie tego dnia. o tej godzinie nad jeziorem zjawiała się dziewczyna. Miała zamiar trochę popływać, ochłodzić ciało rozgrzane letnim upałem.

Spotkali się nad brzegiem jeziora. Stanęli naprzeciw siebie zaskoczeni i zdumieni obecnością drugiego człowieka. Potem dziewczyna odwróciła się na pięcie i uciekła tam. skąd przyszła.

Następnego dnia Sefian znów pojawił się nad jeziorem z nadzieją, że spotka ową dziewczynę. Ani w głowie mu były medytacje. Dziewczyna nic przyszła, więc nazajutrz Sefian ponownie poszedł nad jezioro. Chodził tam dopóty, dopóki nie przyszła i ona. Swojemu mistrzowi mówił, że znalazł idealne miejsce do medytacji, ale mag miał bystrzejszy wzrok, niż wydawało się Sefianowi. Zauważył rozbiegane spojrzenie, kłopoty z koncentracją, rozkojarzenie. Nic jednak nie powiedział, wychodząc z założenia, że młodym należy się odrobina prywatności i że sami muszą rozwiązy-

wać swe problemy. Był jednym z tych starców, którym wiek nie przyćmił pamięci o własnych młodych latach. Nie obchodziło go, co Sefian robi po zajęciach, w tych nielicznych wolnych chwilach, którymi dysponował, ale nieuwagi, braku zaangażowania i bujania w obłokach podczas lekcji nie zamierzał tolerować. Przez całe pięć lat Sefian nie zebrał tylu batów, ile przez ten tydzień, gdy szukał tajemniczej dziewczyny. I przez kilka następnych, gdy się poznawali.

W oczach początkującego maga była najpiękniejszą istotą świecie, ale każdy zakochany mężczyzna tak twierdzi. Siedemnastoletnia Timmala była jednak rzeczywiście piękna. Smukła sylwetka, drugie kruczoczarne włosy okalające twarz o mocno zarysowanej szczęce i wydatnych kościach policzkowych. Do tego była cudownie nieśmiała i niewinna.

Jej ojciec, garncarz, początkowo krzywym okiem patrzył na związek Timmali z Sefianem. ale, głównie za sprawą żony, nie zabronił córce spotykać się z Egipcjaninem. Pewnego wieczoru rodzice Timmali zaprosili Sefiana na kolację i niechęć garncarza minęła jak ręką odjął. Sefian bardzo przypadł rodzicom wybranki do gustu i szybko stał się nieoficjalnym członkiem rodziny, zawsze witany z otwartymi ramionami. Nic już nie stało na przeszkodzie miłości młodych.

Dwa lata później zmarł mistrz Sefiana, a wraz z nim zakończyła się nauka i młody mag mógł wrócić do domu. Zabrał ze sobą Timmalę. Byli już małżeństwem. Przez ten czas Sefian zdążył się przekonać, że za dużymi, czarnymi oczami kryje się zupełnie inna kobieta, nie tak niewinna i nieśmiała. Timmala potrafiła być twarda i nieustępliwa, tym bardziej, im mocniej jej na czymś zależało. Czasem bywała również zadziorna i irytująca. Powodowało to oczywiście najróżniejsze spięcia, mniejsze i większe kłótnie, ale ich miłość zawsze pozwalała przewyciężyć owe niedoskonałości życia małżeńskiego.

Kiedy urodził się Achon, dla Sefiana był to jeden z najszcześniejszych okresów w życiu. Miał cudowną, choć nieco kłótniwą żonę, ślicznego synka, cieszył się szacunkiem kapłanów Świątyni Horusa. Czego mógł chcieć więcej? Był szczęśliwy.

Nic nie trwa wiecznie. Ci, którzy używają słów „zawsze”, „nigdy”, „wszyscy” i „nikt”, najzwyczajniej w świecie kłamią. To są wygodne kłamstwa pozwalające wierzyć, że życie jest nieskomplikowane, panuje w nim ład, a nad każdym człowiekiem ktoś czuwa. Ludzie lubią myśleć, że mają wpływ na własne życie, że to oni sami podejmują wszystkie istotne i mniej istotne decyzje.

Sefian również dał się zwieść temu kłamstwu. Zapomniał, czego nauczył go ojciec i doświadczenie. Zapomniał o istnieniu sił, które nie dbają o ludzkie życie ani szczęście. Dla których człowiek jest narzędziem mającym do wykonania określone zadanie. I gdy przychodzi czas, człowiek zostaje wezwany przed siłę, którą obrał na swego pana, niczym wasal postawiony przed oblicze seniora i musi w pokorze pochylić głowę. Biada mu, jeśli zapomni.

Dokładnie dziesięć lat po powiciu syna, w porze wylewu, Timmala zachorowała. Początkowo objawy były łagodne. Bóle głowy, kaszel. Z czasem jedno i drugie przybrało na siłę i Timmala zaczęła spędzać całe dnie w sypialni zmorzona migreną i wstrząsana atakami głośnego, suchego kaszlu.

Sefian wzywał najlepszych medyków. Żaden z nich nie potrafił zdiagnozować choroby, ani określić jej źródła. Podobnie kapłani i magowie. Zdawało się, że nikt nie wie, co dolega Timmali, ani jak temu zaradzić. Ale „nikt” to przecież kłamstwo i Sefian nie ustawał w wysiłkach. Był gotów zrobić wszystko, aby ratować ukochaną żonę, może poza poświęceniem syna. Wiedział, że istnieje człowiek, który może pomóc, więc szukał go. Szukał długo i wytrwale, w końcu jednak zrozumiał, że nie zdąży go znaleźć.

Tymczasem z Timmala było coraz gorzej. Już niemal nie wstawała z łóżka, co i rusz atakowała ją gorączka, a jej piękne, aksamitne ciało pokryła paskudna czerwona wysypka. Gdy szkarłatne plamy zmieniły się w obrzęki, a obrzęki we wrzody, z których, gdy pękały, wypływała żółtozielona ropa. Sefian pojął, że nie pozostało mu już nic innego, jak tylko obserwować powolną śmierć żony. Przez ostatni miesiąc czuwał przy niej dzień i noc. Gorączka już nie spadała, kaszel ustąpił rzeżeniu dobywającemu się z płuc. Timmala zaczęła tracić przytomność. Okresy jej nieobecności coraz bardziej się wydłużały, aż nadszedł dzień, w którym zasnęła,

aby już się nie obudzić.

Zanim to jednak nastąpiło, zdołała zebrać siły, aby pożegnać się z mężem i synem. Potem koniecznie chciała pomówić z każdym z nich na osobności.

— Sefianie. opiekuj się naszym małym chłopcem. Nie pozwól, aby coś mu się stało — prosiła, a kiedy kapłan obiecał, że do tego nie dopuści, uśmiechnęła się z wysiłkiem i dodała: — Będę na ciebie czekać po drugiej stronie. Nie smuć się, bo jeszcze się spotkamy. Ale też nie spiesz się.

Miejsce Sefiana zajął Achon. Uklęknął przy łóżku matki. Twarz miał opuchniętą i zaczerwienioną od płaczu. Jemu Timmala również obiecała, że będzie na niego czekać, a potem powiedziała coś. od czego Achonowi zjeżyły się włoski na karku.

— Bądź gotów, synu.

— Na co? Mamo. na co mam być gotowy?

Ale Timmala nic powiedziała już nic więcej. Zapadła w ciężki, rzeźący sen. Dwa dni później umarła, nie budząc się przedtem już ani razu.

Tamtego dnia Sefian przeklinał przeznaczenie najgłośniej jak potrafił i używał najgorszych bluźnierstw. jakie przychodziły mu do głowy.

I tak kapłan został sam z synem. Ból po utracie żony i matki zamiast zbliżyć, oddalił ich od siebie. Potrzeba było. o ironio, Rydwanu Bogów i podróży przez pustynię, aby znów się odnaleźli.

Nazajutrz późnym popołudniem ujrzeli Nil. Granica między pustynią a doliną rzeki zaznaczała się wyraźnie. W jednej chwili kopyta wielbłądów zapadały się w piasek, a już w następnej natrafiły na miękkie kępy trawy. Dalej pojawiły się krzaki i drzewa, niektóre zdawały się wyrastać wprost z Nilu. Cały teren był podmokły. Zaczęła się pora wylewu.

Sefian zaklął pod nosem.

— Coś nic tak, ojczy? — zapytał Achon.

— Nil wylewa. Możemy mieć problem z przedostaniem się pa drugi brzeg.

Gdybym był sam, pewnie zbliżałbym się już do stóp piramidy.

— Gdybyś był sam. pewnie zbliżałbyś się już do stóp piramidy. .. — rzeki Achon.

Nic miał pojęcia, skąd wzięła się ta myśl. ale wiedział, że jest prawdziwa.

Sefian spojrział zaskoczony na syna.

Jesteś silniejszy, niż sądziłem.

— Jestem silniejszy, niż sądziłeś...? Ojczy, co...

Telepatia, synu.

Mogę rozmawiać z tobą w myślach?

Tak.

— Och... — jęknął Achon. — Czy to prawda, to, co pomyślałeś? Że sam byłbyś już na miejscu?

Sefian zawahał się, ale tylko na moment. Uznał, że nie ma sensu oszukiwać syna.

— Tak — przyznał. — Tak właśnie pomyślałem, a ty bezbłędnie odczytałeś moją myśl. Tę drugą, o tym, że jesteś silniejszy, niż przypuszczałem, również. Ale nie żałuję ani chwili z czasu, który spędziliśmy na pustyni razem. Ani minuty. Chcę, byś o tym wiedział, abyś w to uwierzył i nic zapomniał.

— Wierzę, ojczy. I będę pamiętał, bo czuję dokładnie to. co i ty.

Sefian kiwnął na znak. że rozumie i jest wdzięczny.

— Ale teraz, synu, musimy się zająć inną sprawą.

Jak przekroczyć Nil?

— Właśnie. I proszę, abyś przestał się już bawić swoimi nowymi zdolnościami.

Na prawo od miejsca, w którym się znajdowali i w odległości kilkuset metrów Sefian wypatrzył jakieś zabudowania. Trzy spore budynki z żółtego kamienia wznosiły się tuż poza granicą wylewu. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych budowli. Kto założył to gospodarstwo na takim odludziu? Kapłan bez słowa zwrócił swojego wielbłąda w tamtą stronę. Achon ruszył za nim.

— Kto tam może mieszkać? — zapytał.

— Nie mam pojęcia, ale liczę, że ugości dwoje znużonych wędrowców.

Już jakiś czas temu ustalili, że w przypadku napotkania innych

ludzi będą mówić, że udają się do Inebu-Hedż. gdzie Achon ma rozpocząć naukę zawodu w tamtejszym browarze. Było to wygodne, wiarygodne i zawierało element prawdy.

— Pamiętasz, co masz mówić? — upewnił się Sefian, gdy zbliżali się do zabudowań.

— Oczywiście.

Okazało się jednak, że ich zmyślonej historii nie będzie miał kto wysłuchać. Gospodarstwo wyglądało na opuszczone. Dom był największym z trzech budynków i przy nim właśnie zatrzymali się wędrowcy. Zsiedli z wielbłądów i przywiązali je do wbitego w piasek palika.

Wokół panowała nienaturalna wręcz cisza. Sefian sądził, że kokolwiek mieszka na tym pustkowiu, powinien ich już dawno zauważyć i wyjść naprzeciw. Przynajmniej jeden z budynków gospodarczych wyglądał na stajnię, ale i z niej nie dochodziły żadne dźwięki.

— Przybywamy w pokoju — zawołał Sefian na wypadek, gdyby domownicy czaili się w pobliżu z łukami gotowymi do strzału i natychmiast poczuł się głupio. — Jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza. Postanowił wejść do środka.

— Zostań tu — polecił Achonowi, wciąż stojącemu przy wielbłądach, po czym zniknął we wnętrzu domu.

W środku panował półmrok i przyjemny chłód. Sefian zatrzymał się za progiem, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do braku światła. Zanim jednak cokolwiek zobaczył, poczuł mrowienie na karku. Coś złego unosiło się w powietrzu. Strach. I śmierć.

W końcu wzrok przystosował się do nowych warunków i Sefian ujrzał krótki, ślepy korytarz z dwójgim drewnianych drzwi po obu stronach. Pchnął te po prawej stronie. Uchyliły się, skrzypiąc. W środku był stół, dwa krzesła i duże łóżko. Wszystkie meble były stare i wyglądały, jakby się miały rozpaść pod wpływem najłżejszego dotyku.

Wioski na karku kapłana stanęły dęba. Ktoś tu się czegoś śmiertelnie bał. Aura tego przerażenia wciąż wisiała w powietrzu. Strach był niemal namacalny. Skondensowany. Strach nic jednego, lecz wielu ludzi, ale w różnym czasie. Co tu się mogło stać?

Sefian wyczuwał w tym pomieszczeniu jedynie strach, z czego wywnioskował, że śmierć jest w drugim. Udał się tam. Wycho-
dząc, miał wrażenie, że słyszy szepty, niewiele głośniejsze od po-
dmuchu wiatru, lecz pokój był pusty.

Druga izba była identycznie urządzona. Te same. równie stare
meble. I zwierzęce przerażenie w powietrzu. Oraz śmierć. Według
Sefiana co najmniej jedna osoba straciła tu życie w okrutny spo-
sób, długo cierpiąc. Co to za przeklęty dom?

Wzrok kapłana spoczął na niewielkim podłużnym przedmiocie
leżącym koło łóżka. Schylił się z zamiarem podniesienia go. ale
rozmyślił się, gdy tylko rozpoznał przedmiot. To był sztylet o wą-
skim, zmatowiałym ze starości ostrzu. Sefian kucnął. aby przyj-
rzeć mu się dokładniej i zgodnie z oczekiwaniami ujrzał rdzawe
ślady zakrzepłej krwi.

To mu wystarczyło. Szybkim krokiem wyszedł na zewnątrz. Od-
wiązał wielbłądy i ruszył w stronę budynku, który uznał za stajnię.

— Przenocujemy dziś tam — powiedział, wskazując budynek.
— W domu są dwie duże sypialnie, ale sądzę, że nocleg tam nie
wyszędłby nam na zdrowie.

— Wiem — odparł Achon.

Sefian spojrzał na syna przez ramię.

— Bardzo proszę, abyś nigdy więcej nie czytał w moich my-
ślach.

— Przepraszam, ojciec. Dopiero się uczę, jak z tego korzystać.

Weszli do stajni. Było tam sześć boksów, po trzy z każdej stro-
ny. Dochodziła z nich nikła woń zwierząt i paszy. Sefian z ulgą
stwierdził, że prócz tego, nie wyczuwa nic innego, zwłaszcza żad-
nych negatywnych emocji.

Po zmroku rozpalili przed stajnią ognisko. Wielbłądy, umiesz-
czone razem w jednym boksie, spokojnie przeżuwały świeżą tra-
wę zebraną wcześniej przez Achona. Wówczas chłopiec kilkakrot-
nie podchodził do starego domu. ale nie odważył się wejść do
środka. Starał się wyczuć to. co jego ojciec, ale bezskutecznie.
Może z zewnątrz było to niemożliwe, a może on jeszcze nic był na
to gotowy. Tak czy inaczej, Achon nie miał zamiaru przekraczać

progu, aby to sprawdzić.

— Jak myślisz, co mogło się tam stać? — zapytał, gdy wraz z Sefianem siedzieli przy ognisku, przygotowując kolację.

— Nie wiem — odparł kapłan. — Ale nie zależy mi, aby się dowiedzieć.

— Może mieszkała tam jakaś rodzina pasterzy lub rolników...
— zastanawiał się chłopiec. — A jakaś wędrowna banda...

— Zostaw to — przerwał mu Sefian.

— Nie chciałbyś się dowiedzieć?

— Po co? Nie zwrócisz życia tym, którzy odeszli. Nic masz też chyba zamiaru ich pomścić? Niektóre rzeczy lepiej pozostawić nieodkryte.

Achon zamilkł, ale nie przestał rozmyślać nad tajemnicą domu. Przyciągała go. Kusiła. Czuł, że byłby w stanie poznać sekret wydarzeń, jakie miały miejsce wśród tych ścian. Chciał poznać ten sekret.

W nocy, gdy ognisko już wygasło, a Sefian smacznie spał na posianiu z trawy. Achon wymknął się ze stajni. Po raz pierwszy od tygodni nocowali pod dachem i pomiędzy ścianami, które I choć trochę chroniły przed dojmującym chłodem pustyni, ale on nie mógł zasnąć. W srebrzystym mroku nocy cykady dawały koncert. Nil leniwie toczył swe wody przez żyzną dolinę nieopodal opuszczonego gospodarstwa. Samotny dom odznaczał się prostokątną bryłą na tle rozświetlonej blaskiem księżyca rzeki.

Achon usiadł obok wygasłego ogniska i zapatrzył się w dom. Świerszcze ćwierkały rytmicznie, usypiająco. Dom stał pusty i zapomniany. Chłopiec patrzył i słuchał, nie zwracając uwagi na subtelne zmiany w melodii. Nie spuszczał wzroku z miejsca, gdzie jak sądził, znajdują się okna. Koncert świerszczy stanowił przyjemne, hipnotyczne tło. Achonowi w pewnej chwili wydawało się nawet, że w dźwiękach wydawanych przez owady pobrzmiewają słowa. Coś zamigotało we wnętrzu domu. Achon mrugnął i wrażenie zniknęło, a słowa ustąpiły miejsca ćwierkaniu. Jęknął zawiedziony. Pomyślał, że jeśli będzie nadal siedział bez ruchu, to może światło znów się pojawi. Tak więc siedział nieruchomy, nie odważając się nawet "mignąć, aż po nieskończenie długiej chwili

znów ujrzał nikły blask świecy w domu. Wstrzymał oddech, a wtedy do jego uszu dobiegły słowa ukryte w ćwierkaniu świerszczy. Były tak wyraźne, jakby ktoś stanął tuż obok i szeptał mu je wprost do ucha.

Chodź, chodź, chodź...

Chłopiec podniósł się z piasku i ruszył w stronę domu. Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Czarna bryła domu przyciągała go i wabiła.

Chodź, chodź, chodź...

Chciał wejść do środka, zajrzeć do pustych pokoi. Chciał poznać tajemnicę, jaką skrywały zimne mury.

Chodź, chodź, chodź...

To pragnienie było o wiele silniejsze, niż głos rozsądku rozpaczliwie próbujący przebić się do świadomości i ostrzec przed niebezpieczeństwem. Ten głos został ostatecznie zagłuszony przez ćwierkanie świerszczy, gdy Achon stanął przed pozbawioną drzwi futryną.

Wejdz, wejdz, wejdz...

Wejście przypominało szeroko otwarte usta. Prostokąt czerni wycięty w aksamicie nocy. Achon przekroczył próg i świerszcze zamilkły. Spod drzwi z lewej strony wylewało się na korytarz słabe światło. Chłopiec zrobił kilka kroków, aż stanął przed zamkniętymi drzwiami. Właśnie zamierzał je pchnąć, gdy usłyszał krzyk. Zamarł. Strach zmroził mu krew w żyłach. Co go podkusiło, żeby się tu zakraść? Jacyś ludzie zajęli dom. gdy on z ojcem spali, a teraz... Na bogów, co tam się mogło dziać?

Chciał uciec, ale nie mógł się ruszyć. Przerażony obserwował, jak jego ramię prostuje się, a dłoń opiera się na drzwiach. Nie mógł jej cofnąć. Nie mógł krzyknąć, żeby zawołać ojca na pomoc.

Dłoń. nad którą nie miał żadnej kontroli, pchnęła drzwi. Skrzypnęły przeraźliwie. W upiornej ciszy nocy dźwięk rozniósł się donośnym echem.

Achon ujrzał stojącą na stole wypaloną do połowy świecę, ale nie było nikogo, kto mógłby ją zapalić. Pokój był pusty.

A potem wypełnił go krzyk. Przerażliwy krzyk kogoś, kogo kroi się żywcem. Na starym materacu wykwitły czerwone plamy i roz-

lewając się szybko, pokryły całe łóżko. Krzyk ustał. Coś brzęknęło. Achon odwrócił się i ujrzał leżący pod drzwiami zardzewiały sztylet. Wcześniej go tam nie było. Rdza na ostrzu nabrała żywszego koloru. Krew.

Achon usłyszał szmer za plecami i gwałtownie się odwrócił, i środkiem pokoju stała krępa, śniadoskóra kobieta. Była naga. Z ran na udach, brzuchu jak i z pozbawionych sutków piersi oraz z pustych oczodołów płynęła krew, tworząc na podłodze małe kałuże. Kobieta się uśmiechnęła. Niektóre zęby były wybite, kilka złamanych. Krew z pękniętego dziąsła zalewała usta.

Chłopiec wrzasnął. Kobieta również. To był ten sam krzyk, który słyszał, stojąc pod drzwiami i później, obserwując rozlewającą się po materacu krew. Zrozumiał, że stała przed nim kobieta, którą zgwałcono i zamordowano w tym pokoju. Zauważył, że na ścianach zaczynają się pojawiać twarze innych kobiet. Wykrzywione bólem i nienawiścią zdawały się wychodzić z murów. Na ich rysy nakładała się faktura cegieł i tynku, ale Achon nie miał wątpliwości, że gdy uda im się wydostać, będą podobne do tej, która stała przed nim.

Nogi po raz kolejny odmówiły mu posłuszeństwa i nie mógł się ruszyć. Mógł tylko krzyczeć, więc darł się wniebogłose, a wraz z nim krzyczała kobieta. Inne zdołały już w połowie wyjść ze ścian, kilka wydostało nogi lub ręce.

Wrzasnął jeszcze głośniejsze, choć zdawało się to niemożliwe, gdy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Był pewien, że to jedna z kobiet chwyciła go i zaraz dołączą do niej inne, powoli rozmywając go na kawałki za zbrodnie, których nie popełnił.

Dłoń szarpnęła i chłopiec znalazł się na korytarzu. Potem ktoś zatrzasnął drzwi i wrzeszcząca kobieta zamilkła. Świeca zgasła, pograżając wszystko w nieprzeniknionym mroku.

— Głupcze — syknął Sefian. — Uciekaj stąd.

Achon zerwał się na równe nogi i zatrzymał dopiero w stajni. Po pewnym czasie przybiegł kapłan. Z rozmachem zdzielił syna w twarz.

— Co ty sobie wyobrażasz, gówniarzu?! — wrzasnął. — To nie zabawa, mogłeś tam zginąć!

W ciemności chłopiec widział jedynie gorejące oczy ojca i słyszał, jak ciężko dyszy ze złości. Zaczął płakać. Ze strachu, z bólu i wyczerpania.

— Przestań.

— N... Nie przyjdą tu... prawda?

— Nie. Jesteśmy bezpieczni — odparł Sefian, po czym zaczął pakować rzeczy i siodłać wielbłądy.

— Co robisz?

— Będziesz potrafił tu zasnąć?

Achon potrząsnął głową.

— A więc w drogę.

Kilkanaście minut później podążali brzegiem Nilu na północ. Opuszczone i nawiedzone gospodarstwo pozostawili za sobą. Achon parokrotnie odwracał się w siodle, ale nie dostrzegł już blasku świecy. Nie słyszał też świerszczy.

ROZDZIAŁ 20

Dominium

Dwa dni później nadal byli w lesie. Z tego, co mówił Redan, wynikało, że nie opuszczą boru jeszcze przez kolejne dwa dni. Od czasu do czasu mijali rozstaje, gdzie od głównego traktu odchodziły na wpół zarośnięte dróżki. Przewodnik nie potrafił wyjaśnić, dokąd kiedyś prowadziły. O zmierzchu znów rozniecili ognisko na niewielkiej polance.

— Myślicie, że uda nam się kiedyś wrócić do domu? — zapytała Anna, wpatrując się w ogień.

Początkowo nikt nic odpowiedział. W końcu Iza podniosła głowę.

— Straciliście nadzieję? Już?

— Nigdy nie było jej za wiele — odparł Orańczak

— Więc po co było w ogóle wyruszać? Mogliśmy zostać w tej wiosce i dożyć tam naszych dni.

— Albo zgnić w więzieniu — dodał Andrzej.

— A jednak tu jesteśmy. Postanowiliśmy się nie poddawać, szukać drugiego do domu. a teraz co? Tomaszu, pomóż mi... — Iza szukała wsparcia.

Redan wodził wzrokiem od jednego rozmówcy, do następnego. Jan nie tłumaczył, więc przewodnik nie rozumiał nic z tej wymiany zdań.

— Iza ma rację — zauważył Wysocki. — Nic wolno nam tracić nadziei. Inaczej zginiemy.

— Trzeba było zostać w kamiennym lesie i próbować przejść z powrotem tunelem — rzekła Anna.

— Nie udałoby ci się — powiedziała Iza.

— A skąd ty to możesz wiedzieć?

— Nie pamiętasz, jak Andrzej wrzucił kamień? Jak spadł na dno? Tobie też by się to przytrafiło.

— Więc dlaczego w ogóle udało nam się przejść do tego świata?

— Tunel był jednokierunkowy — stwierdziła Iza. — I nie pytaj mnie, skąd wiem, po prostu wiem i już. Cokolwiek go stworzyło, przeszło z naszego świata do tego i pozostawiło drogę.

— Rydwan Bogów — odpowiedział Andrzej. — Tajemniczy towarzysz Sefiana użył Rydwanu, aby się tu dostać.

— Pytanie, dlaczego? — wtrącił Orańczak.

— To nie ma znaczenia — powiedział Andrzej. — Jeśli uda nam się go znaleźć, to przekonamy go, aby otworzył nam drogę powrotną.

— O ile jeszcze jest w tym świecie — dodała Anna.

— Jest — zaczął Andrzej. — Z całą pewnością jest. Czeka i... przepraszam — rzucił, po czym pospiesznie odszedł w las.

Tam, za pniem grubego drzewa przykucnął i opuścił spodnie.

Czeka. Ale na co?

Miał wrażenie, że wszystkie odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki, ukryte za jakąś zasłoną. Gdyby tylko udało mu się ją zerwać...

Nagły skurcz jelit przerwał te rozmyślenia, ale Andrzej już wiedział, że zdoła odnaleźć posiadacza Rydwanu. Bo on czeka na niego.

Dlaczego nigdy nie wygrałem w lotka?

Wysocki siedział oparty o pień, plecami do ognia. Pozostali już dawno zasnęli; on nie, pomimo wysiłków.

Gdy przekroczył barierę światów i znalazł się w kamiennym lesie, stoczył walkę. Wbrew temu, co mówił towarzyszom, pamiętał ją dokładnie. Pamiętał błysk, uderzenie mocy, zasłonę. Walki nie wygrał, ale też nie przegrał. Zdołał wrócić z mroku, w który wciągnął go strażnik granicy, taki sam jak ten, którego zniszczył w kaplicy na Skałce, ale zapłacił za to utratą zdolności snu. Nie zmrużył oka od tego dnia w lochu, kiedy się obudził ze stanu swoistej katatonii. Jakaś część jego świadomości musiała pozostać w ciele, ponieważ ono reagowało poprawnie. Chodził, jadł. Ta częśćka pomogła mu odnaleźć drogę wśród mroku.

Iza miała sto procent racji, mówiąc, że tunel prowadził tylko w jedną stronę. Rydwan musiał więc być gdzieś w tym świecie, chyba że jego posiadacz ponownie go użył i odszedł jeszcze dalej. Wtedy Wysocki będzie musiał podążyć za nim, ale sam.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście mogło się tak wydarzyć? Czy jest inny tunel, prowadzący do innego świata, w którym skrył się właściciel Rydwanu? Zakonnik nie był w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nie wyczuwał obecności Rydwanu, ale to o niczym nie świadczyło. Mógł być po prostu zbyt daleko. Mógł też być blisko, ale nieużywany nic pozostawiał echa, które Wysocki byłby w stanie rozpoznać. W Z niechęcią musiał przyznać, że obecnie nie jest w stanie rozwikłać tej zagadki.

Inną zagadkę stanowił dla niego Andrzej. Było w tym człowieku coś... niepokojącego. Jakaś ukryta siła. W Izie również. Ta dwójka mogła się okazać niebezpieczna. Reszta grupy była balastem. Przydatnym na razie, ale na dłuższą metę uciążliwym. Wysocki postanowił, że pozbędzie się ich przy sprzyjającej okazji. A co do Izy i Andrzeja... będzie musiał ich pilnować. Mogą być niebezpieczni, ale również przydatni. Podejmie decyzję, kiedy przyjdzie czas.

Wysocki oparł się wygodniej o pień i spojrzał w górę. Dostrzegł księżyc poszatkowany podłużnymi kształtami liści kołysanych wiatrem. W pewnej chwili zauważył coś jeszcze jakby ciemniejszy cień płynący po niebie. Przez gęste listowie nie mógł określić jego wielkości ani kształtu, ale wydawał mu się znajomy. Mogła to być zwykła chmura, której zmęczona wyobraźnia zakonnika

usiłowała nadać jakieś znaczenie. Potem do jego uszu dobiegło słabe wołanie. Ludzkie? Raczej nie. Pewnie kolejne leśne zwierzę szukające towarzystwa albo kolacji.

Po chwili cień odpłynął w noc i Wysocki znów zapatrzył się w księżyc. Zdziwiło go podobieństwo do księżyca Ziemi. Był bez wątpienia inny, większy, jakby mniej poznaczony kraterami, ale poza tym niczym się nie różnił od księżyca, któremu często się przyglądał, gdy był jeszcze dzieckiem. Może ziemski satelita też kiedyś tak wyglądał? Albo będzie wyglądał?

Zapowiadała się długa noc.

Ranek był zimny i mokry. Zjedli pospieszne śniadanie, zwinęli obóz i ruszyli w dalszą drogę.

— Jak daleko jeszcze ciągnie się ten las? — zapytał Jan siedzący na koźle obok Redana.

— Już niedługo — odparł tamten. — Dziś wieczorem albo jutro rano powinniśmy wyjechać z lasu.

— I ty to nazywasz „niedługo“?

— Nic widziałeś Puszczy Ranarskiej. Przeprowa przez nią zajęłaby nam prawie miesiąc.

— Gdzie to jest?

— Daleko na wschodzie. Byłem tam z armią Dominium. Prowadziliśmy wojnę z tamtejszymi koczowniczymi plemionami. Do dziś nie mogę pojąć, jak to się stało, że potężna armia dostała tak w dupę... — Wojna poszła nie po waszej myśli?

— Nic po naszej myśli? Też coś! W pogoni za wrogiem — puściliśmy się daleko na stepy, a potem nadeszła zima... i o mały włos nic zamarzęm. Myślałem, że nóg się już nic da uratować.

— To dlatego kulejesz?

— Nie. To pamiątka z innej kampanii. Z gór, w które was prowadzę. Tam się dzieje coś niedobrego.

— Tam też trwa wojna?

— Coś w tym rodzaju — odparł Redan i zamilkł.

— Co masz na myśli? — zapytał Jan, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Cisza. A potem ledwie dosłyszalnie:

— Tam się czai zło.

— Diabeł mieszka w tych górach?

— Jakiś demon z pewnością. Całe oddziały armii ginęły tam bez śladu. Byłem w takim oddziale. Mieliśmy iść w góry. Każdy z nas przeczuwał, że stamtąd nic wróci. Podnóże gór otacza gęsia mgła, która nigdy się nie podnosi. Stąd ich na nazwa: Góry Mgli-
ste. Inni zwa- ją je Górami Przeklętymi, Górami Straceńców. Nic od-
dziś wiadomo, że wszyscy poszukiwań przestępcy szukają tam
schronienia.

— Mów dalej — poprosił Jan.

— W dniu, w którym mieliśmy wyruszyć, aby zginać we mgle, zaatakowali nas dzicy. Ponoć zeszli z gór. Robią tak co jakiś czas, aby przypomnieć o swojej obecności i przegnać żołnierzy. Obe-
rwałem toporem od jednego z nich. Strzaskał mi piszczel. Dlatego kuleję. Niewielu uszło z życiem z tej rzezi, ale tych, którzy prze-
żyli, odesłano do domu. I wiesz co? Jestem wdzięczny temu odzianemu w niewyprawione skóry, brudnemu, zarośniętemu dzi-
kusowi za moje kalectwo. Ocalił mi życie.

— Dlaczego więc nam pomagasz? Dlaczego wracasz w góry?

— Chcecie zobaczyć góry. To niczym nie grozi, pod warunkiem że nie będziemy się zanadto zbliżać. Poza tym obiecaliście mnie zabrać na południe. Wy nie widzieliście gór, a ja nic widziałem oceanu — powiedział Redan, uśmiechając się szeroko.

Jan poczuł, jak policzki zalewa mu rumieniec wstydu. Nigdy nie mieli zamiaru zabierać tego biednego człowieka na południe. Chcieli tylko wrócić do domu, za wszelką cenę.

Po południu, gdy zatrzymali się na popas, Jan podzielił się nie-
wesołymi informacjami z resztą grupy.

— Mgła... — mruknął Wysocki.

— Z której nikt nie wyszedł żywy — dodał Jan.

— Idealnie — odrzekł Wysocki, uśmiechając się.

— Co jest idealnego w barierze nie do przekroczenia? — zainte-
resował się Andrzej.

— To, że musi być to część systemu obronnego naszego maga, kimkolwiek on jest. A to oznacza, że Rydwan również jest gdzieś w tych górach.

— Wiecie co? — zagadnął profesor. — Często się zastanawiam, co Sefian. zwykły kapłan Chopriego. miał wspólnego z tym całym Rydwanem Bogów.

Wysockiemu podniosło się ciśnienie.

Głupcy! Ignoranci!

— Co ci jest — zapytała Iza, widząc jak Andrzej chwyta się za głowę.

— Nic — odparł Stawicki. — Boli mnie głowa. Zaraz przejdzie. Ale Wysocki już nie potrafił się opanować. Musiał im udowodnić, jak bardzo się mylą.

— Sefian nie był kapłanem żadnego boga — powiedział.

— Mylisz się — odparowała Anna. — Znaleźliśmy w Egipcie jego mastabę z symbolem Chepriego.

— Niech zgadnę: skarabeusz?

— Tak.

— Jak wiecie, Rydwan Bogów był też nazywany Okiem Horusa. Horus natomiast reprezentował siłę, którą zwano Bytem, przez duże „B”. Ten skarabeusz, którego widzieliście w mastabie i na płycie nagrobnej w Kazimierzu, nie był symbolem Chepriego. Był symbolem Bytu. A powinniście wiedzieć, że jednym ze znaczeń tego hieroglifu był właśnie „byt”

— Skąd o tym wiesz?

— Interesuję się trochę starożytnym Egiptem...

[— Teraz rozumiem, czemu wysłali właśnie ciebie — mruknął Orańczak.

— ...i kiedyś wpadła mi w ręce książka traktująca o skarabeuszach — dokończył spokojnie Wysocki.

— Wiesz co? — zaczął profesor. — Jestem egiptologiem od ładnych paru lat i nigdy nie słyszałem o żadnym kulcie bytu przez duże „B”. a ty. Anno?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Jak dla mnie - podjął Antoni - pleciesz bzdury. Przez duże „B”

Oczy Wysockiego pociemniały ze złości, poza tym me okazał targającego nim gniewu.

Ignoranci...

A jednak nadal nie potrafił powstrzymać chęci ukazania im' głębi ich niewiedzy.

— To nie są bzdury. Wszystkie religie tego świata wzięły' się z koncepcji Bytu i Niebytu.

— Nie trafia do mnie argument o odwiecznej walce dobra ze złem.

— Nie mówię o dobru i złu! Mówię o Bycie i Niebycie. Nie możesz porównywać Bytu z dobrem, a Niebytu ze złem. To nie działa w ten sposób.

— Więc wyjaśnij nam — poprosiła Iza, zafascynowana wynurzeniami Tomasza.

Wysocki nie dał się prosić. Iza mile polechtała jego próżność i w tej chwili gotów był wyjawić wszystko.

— Przybliżę wam to na podstawie innego symbolu. Jin i Jang. Dwie, splecione ze sobą łyzy, jedna czarna, druga biała, a każda zawiera w sobie cząstkę tej drugiej. Są nierozzerwalnie ze sobą związane, choć przeciwstawne. Na tym opiera się cały Wszechświat.

— Kłamstwa! Błuznierstwa! — krzyknął Jan. — I ty śmiesz siebie nazywać franciszkaninem? Zrozumiałem, do czego zmierzasz. Jest tylko jeden prawdziwy Bóg, a ty jesteś synem Szatana! Plugawym heretykiem! Zamilcz!

— Czy wspomniałem choćby słowem o Bogu? — zapytał spokojnie Wysocki. — Szczerze mówiąc, nic jestem pewien, czy On w ogóle istnieje. Ale wiem, że istnieje coś innego. Byt i Niebyt, z których wszystko wzięło początek.

— Zamilknij! — wrzasnął Jan ogarnięty histerią. — W imię Boga nakazuję ci zamilknąć!

— Twoja reakcja wiele mi o tobie mówi — ciągnął Wysocki tym samym, łagodnym tonem. — Mówi mi, że się boisz. W głębi duszy czujesz, że coś z tym wszystkim jest nie tak, że pod jarmarczną tandetą katolicyzmu kryje się jednak coś więcej. Boisz się, że mogę mieć rację.

W tym momencie Jan ryknął jak ranne zwierzę i rzucił się na Tomasza, powalając go na ziemię. Andrzej i Orańczak natychmiast zerwali się z miejsc i podskoczyli do kotłujących się mężczyzn. Profesor chwycił mnicha za ramiona i odciągnął go, wciąż

szamoczącego się, tymczasem Andrzej przytrzymał Wysockiego, widząc w jego oczach furie.

— Będziesz się smażył w piekle! — wył Ulicki, cały czas próbując się wyrwać. — Pomioście diabła!

W końcu jednak zwiotczał w ramionach Orańczaka. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

- Drugi raz w ciągu dwóch dni — westchnął Wysocki, podnosząc się z trawy i wycierając krew z kącika ust. — Czym sobie zasłużyłem?

— Irytujesz ludzi samym faktem istnienia — stwierdził Andrzej Wysocki spojrzawszy na niego spod łba. Potem nagle roześmiał się i klepnął Stawickiego w plecy tak, że ten poleciał do przodu, prawie się przewracając.

W nocy Iza leżała obok Andrzeja, nie mogąc zasnąć. Myślała o Bycie i Niebycie. Jin i Jang. Zastanawiała się, co kryją w sobie pojęcia Bytu i Niebytu, ale nie odważyła się spytać, aby nie sprowokować kolejnej awantury. Czowała jednak, że słowa Wysockiego niosą prawdę.

Przez resztę dnia wędrowcy mało mówili. Jan siedział na koźle z Redanem. Wydawał się załamany, bezbronny. Potem, gdy rozbili na noc obóz, wziął swój koc i oddalił się niemal poza zasięg światła rzucanego przez ognisko. Wcześniej ich przewodnik ostrzegł Jana, aby nie wychodził poza polanę. Teraz Iza widziała podłużny kształt leżący na granicy światła i cienia. Zastanawiała się, czy mnich zdołał mimo wszystko zasnąć. Potem jej myśli wróciły do Wysockiego.

Dziwny to był zakonnik, poddający w wątpliwość istnienie Boga, któremu przecież miał służyć. Była w nim jakaś dwoistość, zupełnie jak w niej. Byli do siebie podobni w tym świecie tak niepodobnym do ich własnego.

Jin i Jang.

A Andrzej, słodko śpiący obok Andrzeja? Już od dawna nie miał koszmarów. Czy to ten świat go uzdrowił? Czy ona? Kim on dla niej w ogóle był? Kochała go, pragnęła, ale też się bała. Nic chciała, aby skończyło się tak, jak poprzednim razem. Ostatni mężczy-

zna, z jakim była, zmarł z nożem w brzuchu, a ona, ciężarna, wyładowała w zakładzie psychiatrycznym. Andrzej przypominał jej tamtego mężczyznę. Czasem ją przerażał.

Kiedy znów obudzą się jego demony?

Drzemała w nim jakaś moc, to pewne Iza wiedziała o tym, czuła tę moc, podobnie jak czuła moc Wysockiego. Nie potrafiła określić jej natury, ale zakonnik z pewnością był potężny. I nie mówił im wszystkiego. Fałsz, jak zdradliwa nuta, wyzierał z jego słów i wyglądało na to, że tylko ona potrafiła to dostrzec. Ale na razie zachowała tę wiedzę dla siebie. W tym świecie nic nie było tym, na co wyglądało.

Siła Andrzeja natomiast była uśpiona, lecz już się budziła. Całe jego życie próbowała się uwolnić, dawała mu znaki w postaci przeblysków jasnowidzenia, a on to ignorował! Tu i teraz, w tym obcym świecie, w końcu mogła się ukazać w pełni.

A jej, Izy, rola poległa na tym. aby temu zwinieciemu w spiralę wężowi siły Andrzeja pomóc wyprostować się na pełną długość i obnażyć kły. Zrozumiała to już pierwszej nocy tutaj. Jakże to było proste i oczywiste. Przeznaczenie nią pokierowało, jak wtedy w zakładzie, gdy zbliżał się dzień wyjścia na wolność. Przeznaczenie w snach ukazało jej właściwą drogę. Kazało odstawić tabletki przytłumiające zdolność jasnego myślenia i duchowego odczuwania, i udać się do Kazimierza. A tam czekał na nią Andrzej. I jego zawiodło tam przeznaczenie.

A teraz obydwójce są tutaj. Jakie zadanie mieli do wykonania? Oni i pozostali towarzysze: Antoni. Anna, Jan. Tomasz, Adi, Redan. Ani przez chwilę nie wątpiła, że znaleźli się tu z określonego powodu, lecz pozostawał on przed nią ukryty. Na razie wiedziała, co ona ma zrobić i to jej wystarczało. Nie zastanawiała się po co. ani dlaczego. Z ufnością podążała ścieżką. którą, jak sądziła, wytyczyło jej przeznaczenie. Skoro ma pomóc Andrzejowi, niech tak będzie. Kropka.

Kolejny dzień wstał ponury i deszczowy. Woły ciągnące wóz człapały traktem, który powoli zamieniał się w błotniste bagno. Pogoda wprawiała wszystkich, z wyjątkiem Wysockiego, w apatię i

senność. Mało ze sobą rozmawiali. Zakonnikowi nie przeszkadzały warunki atmosferyczne. W półmroku ulewy nie musiał mrużyć oczu, w końcu mogły odpocząć od słońca. Orańczak siedział na samym końcu, obserwując drogę. Spoglądał na ciężką zasłonę deszczu, na wodę wypełniającą koleiny powstałe po przejeździe wozu. Jego myśli błądziły bez celu. Spojrzą! na ściany lasu otaczające ich z obu stron. Obudziła się w nim natura odkrywcy. Chciałby wejść między drzewa, odszukać ślady dawno nieistniejącej cywilizacji. Redan nie mówił wiele o rym lesie, jakby się go bał. Twierdził, że niegdyś istniało tu wiele dróg, ale pozostała tylko ta jedna. a i to wyłącznie dlatego, że pilnowano, aby las nie objął jej we władanie. On sam. ani nikt. kogo znał, nie pamiętał tamtych czasów, musiało to być bardzo dawno temu.

Las ponoć był niebezpieczny, choć ich przewodnik nigdy nie określił, na czym owo niebezpieczeństwo miałyby polegać. Ale czyż wszystkie lasy nie są niebezpieczne? Czyż nie w każdym żyją dzikie zwierzęta stanowiące zagrożenie dla samotnego podróżnika? A jednak nic ich do tej pory nie zaatakowało. Adi był spokojny, a zazwyczaj szczekaniem reagował na pojawienie się dzikiego zwierzęcia czy człowieka, który nie budził jego zaufania. Orańczak wiedział o tym, bo Andrzej i jego pies towarzyszyli mu już nic raz. Więc jakież to straszliwe niebezpieczeństwo czyhało między tymi drzewami, że Redan co wieczór ostrzegał ich, aby nie zapuszczali się dalej, niż sięga blask ognia? Owszem, słyszeli odgłosy nocnego życia, dźwięki wydawane przez mające tu swoje legowiska zwierzęta, ale nic było to ani wycie wilków, ani ryk głodnego niedźwiedzia. Nic nie zbliżało się do ogniska, Adi rzadko podnosił łeb. czy choćby strzygł uszami.

Co kryje ten tajemniczy las? Czy są tam może piramidy, jak w Ameryce Południowej, porośnięte bluszczem, z drzewami wyrastającymi spomiędzy kamieni? Ruiny dawno minionej chwały i potęgi? Tak bardzo chciałby to sprawdzić!

Zebrał się w sobie i zeskoczył z wozu.

— Antoni! — krzyknęła Anna. widząc, jak jej mentor z chlupotem ląduje w błocie. — Co robisz?

Wydawało się, że profesor nic słyszy albo po prostu nie zwraca

uwagi na jej słowa. Stał w deszczu, wyprostowany, wpatrzony w drzewa. A potem, bez słowa, wbiegł między nie.

— Co on wyprawia? — zdziwił się Andrzej.

— Antoni! — krzyknęła Anna, zeskakując z wozu.

— Stój! — zawołał za nią Andrzej.

— Zatrzymaj wóz — rzekł Wysocki, zwracając się do niczego nierozumiejącego Jana. — Każ mu zatrzymać wóz. Ktoś tu chyba postradał rozum.

Po chwili wszyscy stali w deszczu na środku drogi. Anna podeszła na skraj lasu i wołała profesora.

— Boże. czy ani jeden dzień nie może tu minąć spokojnie? — westchnął Andrzej. — Gdzie on się podział?

— Zniknął w lesie — odparła Iza.

— Ale dlaczego? Co temu staremu durniowi strzeliło do głowy?

— Tylko on to wie. Powinniśmy go odszukać.

— Pójdę z Tomaszem. Wy tu na nas zaczekajcie.

Nikt się nie sprzeciwił. Andrzej gwizdnął na Adiego i po chwili razem z Wysockim wbiegli między drzewa. Redan gorączkowo coś tłumaczył Janowi.

— Co on mówi? — zapytała Anna.

— Że to źle, bardzo źle. że wasz towarzysz zapuścił się w las. Jeszcze gorzej, że inni poszli go szukać. Mówi. że powinniśmy stąd natychmiast odjechać.

Anna podbiegła do przewodnika i chwyciła go za klapy kurtki.

— Powiedz mu — wycodziła — że jeśli ruszy wóz o milimetr, nim oni wrócą cali i zdrowi, osobiście urwę mu jaja i powieszę na gałęzi!

Puściła Redana. Przewodnik stał. zbyt zaskoczony i przerażony. aby cokolwiek powiedzieć.

— Myślę, że zrozumiał — rzekła Iza.

— Szukaj. Adi. szukaj — wołał Andrzej, biegnąc przez las. Wysocki trzymał się tuż za nim.

Poszycie było mokre i śliskie. Deszcz chłostał liście, ciężkie krople z łoskotem rozbijały się na rosnących gęsto krzewach paproci.

Orańczaka nic było nigdzie widać, ^

— Żwawy staruszek! — zawołał Wysocki, biegnąc obok Andrzeja.

— Ta... — wysapał Stawicki. — Chciałbym tylko wiedzieć... co mu strzeliło do łba.

Nie mogli go dogonić. Nie minęła minuta od ucieczki Orańczaka do rozpoczęcia pościgu, a wydawało się, że profesor w tym czasie pokonał kilka kilometrów.

Deszcz kołysał gałęziami drzew i liśćmi paproci, gdy tak biegli coraz dalej w głąb lasu za oszalałym nagle towarzyszem.

Orańczak nie biegł prosto przed siebie, poruszał się zakosami, nagle zmieniając kierunki, jakby chciał zmylić pościg. A może po prostu sam nie wiedział, dokąd biegnie.

Nagle znaleźli się na rozległej polanie. Na środku, nad bezładną stertą kamieni, stał Orańczak.

— Spójrzcie! — wykrzyknął, dostrzegając przyjaciół. — Czyż to nie piękne?

— Co takiego, Antoni? — zapytał Andrzej, podchodząc.

— To — odparł profesor, wskazując na kupkę kamieni.

— Tu nic nie ma.

— Ślepi jesteście? Spójrzcie, tylko spójrzcie.

— To tylko kamienic — powiedział Stawicki, stając naprzeciw przyjacielowi. Z niepokojem zauważył, że oczy profesora niezdrowo błyszczą.

Próbował dotknąć ramienia Orańczaka.

— Nie dotykaj mnie — syknął tamten, odsuwając się. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

— Antoni, powinniśmy wracać — powiedział Andrzej, znów podchodząc.

— Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki się nie dowiem, co to jest — odparł Orańczak, klękając przed stertą kamieni.

— Ale tu niczego nie ma!

— Nie potrafiłbyś dostrzec piękna, nawet gdybyś się o nie potknął — mruknął profesor, przesuwał dłoń po śliskich głazach.

— Antoni... — zaczął Andrzej, ale natychmiast urwał.

Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka przykuł jego uwagę.

Po chwili spośród drzew wyszli ludzie. Była ich garstka, pięciu, może sześciu. Niscy, skąpo ubrani, ale za to uzbrojeni w dzidy i łuki.

•••

— Co tam jest takiego, że on tak się trzęsie? — zapytała Iza, patrząc na skulonego na wozie Redana. — Nie chce powiedzieć — odparł Jan. — Mówi, że to jakieś pradawne zło, czy coś podobnego. Nie do końca rozumiem,...

— To się bardziej postaraj! — krzyknęła Anna. — Chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia!

Redan drgnął. Potem zaczął z siebie wyrzucać słowa.

— Żyło tu kiedyś złe plemię — tłumaczył Jan. — Obdarzone niezwykłymi zdolnościami. Jeszcze przed powstaniem Dominium. Ponoć wabili swoje ofiary, aby potem uśmiercać je na ołtarzach swoich bogów. Niektórzy mówią, że je zjadali.

— Kanibale?

— Potem, kiedy nadeszło Dominium, potomkowie tego plemienia zaszyli się w głębi lasu. Te drogi, które widzieliśmy po drodze, prowadziły do ich siedzib. Nigdy nie wychodzą na trakt, ale biada tym, którzy wejdą do ich lasu.

— Wiedziałeś o tym wszystkim i poprowadziłeś nas tą drogą?! — zawołała Anna. |

— Mówiliście, że chcecie dotrzeć w góry jak najszybciej. Tędy prowadzi najkrótsza droga. A zawsze była bezpieczna. Od dawna już nie było wieści o członkach tego plemienia. Przestali się nawet pokazywać.

— A teraz głód ich wygnał — szepnęła Iza. — I znów polują na ludzi.

— Nie, są już na to za słabi — powiedział Redan ustami mnicha.

— Skąd wiesz? — zapytała Iza. — Skąd wiesz, co działo się w tych lasach przez te wszystkie lata?

— Dlaczego Dominium nic z tym nie zrobiło?

— A co mogli zrobić? Wysłali kilka wypraw, które odnalazły i zniszczyły siedziby plemienia, ale zawsze były one puste. Samych ludzi nigdy nie udało się wytropić. Dominium zawarło milczące

porozumienie z tym ludem. Nic będą ich gnębić, jeśli pozostaną w swym lesie i umożliwią bezpieczną przeprawę wędrowcom.

— To się nie trzyma kupy — powiedziała Anna, siadając na wozie obok Redana. — Stare plemię, „obdarzone niezwykłymi zdolnościami”, bawi się z wojskiem w kotka i myszkę? A Dominium spokojnie wytycza drogę przez ich las, wiedząc o niebezpieczeństwie? Czy to tylko ja jestem przewrażliwiona?

— Nigdy nie stanowili wielkiego zagrożenia. Jeśli się trzymałeś traktu, to nic ci nie groziło.

— Ale to się już zdarzało, prawda? — spytała Iza. — Co jakiś czas ktoś wbiegał w las, aby już nie wrócić, prawda?

Redan niechętnie skinął głową.

— To ich cena. czyż nie? — kontynuowała Iza. — Raz na jakiś czas. niezbyt często, jedna ofiara w zamian za dogodny trakt skracający drogę o wiele dni, a nawet tygodni, gdziekolwiek prowadzi.

Ponowne kiwnięcie głową.

— Lasy w rym świecie naprawdę są przeklęte.

Zza drzewa wyszedł jeszcze jeden tubylec. Wyższy niż pozostali, z twarzą zasłoniętą maską przystrojona piórami, przedstawiającą jakieś dzikie zwierzę, którego ani Andrzej, ani Wysocki nie potrafili zidentyfikować. W dłoni dzierżył laskę, raczej symbol statusu, niż podpórę, gdyż z pewnością nie był stary.

Pozostał na skraju polany, podczas gdy reszta ruszyła powoli w kierunku trójki wędrowców. Podchodząc, jednocześnie przesuwali się bokiem, zmuszając Andrzeja. Tomasza i Antoniego do ciągłego obracania się. Stawicki i zakonnik wyciągnęli sztylety zza pasów.

Adi położył uszy po sobie i warknął. Zjeżył zmoczoną sierść.

— Spokój — powiedział Andrzej, ale pies ani myślał słuchać.

Obnażył kły i przypadł do ziemi.

— Adi!

Husky skoczył najbliższemu napastnikowi do gardła. Ten zrobił krok do tyłu. uniósł włócznię, zamachnął się i zdzielił psa w łeb. Potom odwrócił włócznię ostrzem w dół i przebił psa. nim ten zdążył się podnieść z ziemi. Adi zaskomlał tylko raz. Łapy w kon-

wulsjach zadrapały poszycie, potem husky znieruchomiał. Wypływająca z rany ciemna krew, zmieszana z deszczem, zaczęła wsiąkać w ziemię. —Adi! — wrzasnął Andrzej na widok swojego martwego ulubieńca. — Nie!

Rzucił się z nożem na mordercę Adiego. Szal Andrzeja całkowicie zaskoczył niskiego wojownika. Nie zdążył się obronić przed pchnięciem, które przebiło mu żołądek. Zgiął się w pół, z jękiem wypuszczając powietrze. Andrzej przekreślił ostrze w ranie, po czym wyrwał sztylet i z nieludzkim wrzaskiem pchnął ponownie, w gardło. Krew z przeciętej tętnicy zbryzgała mu twarz, ale nie zwracał na to uwagi. Przeciwnik osunął się na ziemię, z niedowierzaniem spoglądając na Stawickiego, któremu deszcz rozmył krew na twarzy, tworząc przerażającą maskę.

— Który następny, skurwysyny?! — krzyknął.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Pozostali napastnicy spojrzeli na człowieka w masce. Ten uniósł dłoń. Andrzej Poczul mrowienie w karku. Wyobraźnia podsunęła mu wizję muru, który stawia przed sobą. Nic zastanawiał się. skąd wziął się ten obraz. Po chwili ujrzał, jak powietrze przed nim zadrżało, jak czasem się to dzieje w upalne dni.

Maska nie pozwoliła dojrzeć wyrazu twarzy maga, ale bez wątplenia był on zaskoczony. Nie mniej niż Wysocki.

Zablokował magiczny atak! Jak?

Człowiek w masce szybko otrząsnął się ze zdumienia. Podniósł obie dłonie i ponowił cios. Tym razem Andrzej nie zdołał się zasłonić. Poczul uderzenie w pierś i poleciał do tyłu. Padł na trawę i stracił przytomność.

Nie chcieli ich zabić, to było pewne. Inaczej Andrzej leżałby obok swojego psa, podziurawiony jak sito.

A to daje mi dużą przewagę — pomyślał Wysocki.

Spojrzał na człowieka w masce. Wyczuł w nim pokrewną duszę, w pełni oddaną Niebytowi. W innych okolicznościach może mogliby stanąć u swych boków, ale nie tu i nie teraz. Poza tym Niebyt nie znosił współdziałania, najważniejsza była jednostka.

Zakonnik rzucił okiem na Orańczaka. Widok roztrzęsionego, przerażonego i niezdolnego do ruchu profesora ucieszył go. Uznał,

że nic musi się nim przejmować. Otoczył się czarem ochronnym, rzucił sztyletem w wojownika, który właśnie podbiegał do Antoniego, trafiając go w serce, po czym doskoczył do nieprzytomnego Andrzeja i wyrwał mu nóż z dłoni.

Gdy tylko poczuł mrowienie na karku, odwrócił się w stronę człowieka w masce. Wyprostował się i uśmiechnął drwiąco. Mag zawahał się i ta chwila zwątpienia całkowicie wystarczyła Tomaszowi. Uniósł dłoń i krzyknął coś w obcym języku, bardziej dla efektu, niż z potrzeby. Przyszpilił obcego maga do pnia stojącego za nim drzewa. Mimo usilnych prób człowiek w masce nie mógł się wyrwać, był zdolny poruszać jedynie głową. Laska wyleciała mu z bezwładnej dłoni.

Widząc to, jeden z wojowników rzucił włócznią. Ostrze zatrzymało się na niewidocznej barierze chroniącej zakonnika i strzaska-na dzida spadła na ziemię.

Wysocki uśmiechnął się znów do człowieka w masce. Mógł mu skrócić kark siłą woli, ale wolał nie próbować. Już teraz był osłabiony. Dawniej taka sztuczka nie wywołałaby nawet rumieńców, ale odkąd nie mógł spać, siły miał nadwątlone. Nie chciał ryzykować, że zemdleje z wyczerpania. Chwycił sztylet za ostrze i rzucił. Mag nie był w stanie nic zrobić, mógł jedynie patrzeć, jak śmiercionośny kawałek stali mknie w jego stronę, aby w końcu przebić gardło i na dobre przyszpilić go do drzewa.

Wysocki zwolnił magiczny chwyt. Ciało maga zwisło bezwładnie na ostrzu sztyletu. Po chwili jego ciężar przeważył i zwłoki osunęły się w trawę.

Na ten widok pozostali napastnicy rozpierzchli się.

Wyszli na trakt zmęczeni, przemoczeni, podtrzymując nieprzytomnego Andrzeja. Pozostali, z wyjątkiem Redana, podbiegli natychmiast.

— Co się stało?! — zawołała Anna.

Jan i Iza zastąpili Wysockiego i Antoniego przy Andrzeju.

— Zostaliśmy zaatakowani — odparł Orańczak, podchodząc do wozu.

Wdrapał się do środka i usiadł, dysząc ciężko.

— Gdzie Adi? — zapytała Iza.

— Nie żyje — powiedział Tomasz.

— O. Boże... I zostawiliście go tam?

— A co mieliśmy zrobić, kobieto? — syknął Wysocki. • jego oczy zapłonęły. — Ledwo uszliśmy z życiem, twój kochanek oberwał kijem i stracił przytomność. Mieliśmy targać jeszcze psiego trupa?!

— Nic mów tak o nim — szepnęła Iza. Łzy. ledwie widoczne w ulewie. popłynęły jej po policzkach.

— Zbierajmy się stąd — rzucił Wysocki. — Udało nam się |eh wystraszyć, ale mogą wrócić. W większej grupie.

— Ale co tam się stało?! — krzyknęła ponownie Anna.

— Proszę cię. nie teraz. Uciekajmy stąd, szybko.

Redan pogonił woły. zmuszając je do większego niż zwykle wysiłku. Po chwili koleiny powstałe po przejeździe wozu wypełniła woda.

ROZDZIAŁ 278

Dominium

Ciemność.

Pustka

Cisza

Niebył

Nie. nie to. Nie ostatnie.

Świadomość.

Pytania. Gdzie jestem? Skąd się tu wziąłem? Jak? Nie, to nieistotne. Nieważne. Dlaczego? To jest ważne. Dlaczego?

Twarze. Znam je. Iza. Anna. Antoni, Tomasz, Jan, Redan, Adi? Adi nie żyje. Dzielny pies. Odważny. Druh. przyjaciel.

Inne twarze. Nie widziałem ich wcześniej, ale znam imiona. Se-fian. Achon. Timmala. Skąd wiem? Dlaczego?

Ciemność się rozprasza. Znów tamten pukaj w Tikricie

Znów telewizor, film i te wszystkie dzieci... Boże! Jak mogłeś do tego dopuścić? Jak? Dlaczego?

Wiem. co będzie dalej. Żołnierz z prawej rzuci hełmem. Telewizor eksploduje, ale obrazy pozostaną w mojej głowie. Znów będą mnie dręczyć. Przez całą wieczność. Muszę wyjść z tego pokoju,

muszę wrócić w ciemność i pustkę, gdzie mają demony mnie nie znajdują i nie będą mnie prześladować. Do Izy.

Jak mam wrócić?

Znów coś wylania się z pustki. Czy to ja się odwracam czy ten obiekt wpływa w moje pole widzenia? Niebiesko-biała kula. Ziemia rozświetlona blaskiem niewidocznego Słońca. Piękna. A tuż za nią. częściowo zasłonięta, kolejna. I jeszcze jedna. I jeszcze... Jest ich nieskończenie wiele, nieskończenie wiele światów. To cudowne!

W którym z nich jest mój dom? W tym? A może w tam. tym?

Muszę odnaleźć Rydwan Bogów. Tylko z jego pomocą uda mi się wrócić. I.. zwyciężyć moje demony raz na zawsze.

Jest blisko. Czuję pulsowanie jego mocy, jak bicie serca.

Bum. bum. bum.

Jest tu. na wyciągnięcie ręki, za kurtyną ciemności. Czeka. Czeka na mnie... i na kogoś jeszcze. Kogokolwiek, kto wydobędzie go z więzienia na światło. Dla Rydwanu nie ma znaczenia, kto to będzie.

Mam siłę, mam moc, aby go odnaleźć i osiąść, uczynić narzędziem w moim ręku. A polem — oddać. Dlaczego? Bo tak trzeba. Bo takie jest moje przeznaczenie. Zawsze takie było. Ten drugi ktoś go nie odda. Chce go dla siebie. Chce zbudować na nim swoją potęgę. Jest blisko.

Muszę się spieszyć.

•••

— Muszę się spieszyć — powiedział Andrzej, otwierając oczy.

Był na wozie. Trzęsło, Przez płótno rozpięte na metalowym szkielecie nad wozem przebijały promienie słońca. Chciało mu się pić.

— Andrzeju! — zawołała Iza. nachylając się nad nim. — Nareszcie się obudziłeś.

— Spałem? — zapytał Stawicki, przyglądając się Izie. — Świecisz — stwierdził po chwili.

— Co takiego?

— Nic, już zniknęło.

— Majaczysz,

— Tak. Pewnie tak — przyznał. A jednak był pewien, że przez moment widział wokół Izy zieloną poświatę.

— Potężnie oberwałeś, kolego — rzekł Wysocki, nachylając się z drugiej strony. Bładoniebieskie oczy miał mocno zmrużone.

Andrzej przyglądał mu się przez chwilę.

— Jak długo spałem? — zapytał w końcu, przenosząc wzrok z powrotem na Izę.

— Dwa dni.

— Dwa dni! — wykrzyknął, podnosząc się do pozycji siedzącej. Zakręciło mu się w głowie i upadł na deski.

— Spokojnie, kochanie — szepnęła Iza głaszcząc Andrzeja po włosach. — Jesteś osłabiony, .

— Dwa dni...

— Martwiliśmy się o ciebie — dodał Orańczak.

— Pomóżcie mi usiąść — poprosił Andrzej. — I dajcie mi wody.

— Myślicie, że można mu ufać? — zapytał Andrzej, mając aa myśli Redana, po wysłuchaniu opowieści Izy o wydarzeniach u le-sie.

— Nie wiem — odparł Orańczak. — Wystawił nas na nielicze niebezpieczeństwo.

— A mimo to wciąż powozi — zripostował Wysocki, — Gdyby miał wobec nas jakieś niecne plany, miał mnóstwo okazji.

— Ale ta sprawa z leśnym ludem...

— Tak ich nazywają? — przerwał Andrzej. — Leśnym ludem?

— Według Jana — tak.

— Liczył na szczęście — rzucił franciszkanin ze swojego miejsca na koźle, — Dawno już nie było o nich słyhać, a skoro zaję-chaliśmy tak daleko...

— Mógł nas uprzedzić! — wybuchnął Andrzej. — Mielibyśmy się na baczności!

— I co by to dało? — spytał Wysocki.

— Wybralibyśmy inną drogę.

— Nic sędzę. Musielibyśmy objechać całą puszcę, co za-braloby długie tygodnie, a przecież liczy się czas.

— Ma rację — wtrąciła Anna. — Nie wiemy, ile czasu minęło w naszym świecie. Miesiąc, dwa. rok? Czy nasi krewni i przyjaciele jeszcze nas pamiętają, czy jeszcze żyją?

Andrzejowi nagle przed oczami stanęła jego sąsiadka. Krysia.

Co się z nią dzieje?

Zaraz potem zapytał sam siebie, dlaczego nagle pomyślał o Krysi, ale nie znalazł odpowiedzi. Pomyślał o Adim. o tym, jak Krysia opiekowała się psem pod nieobecność jego pana. Na wspomnienie husky'ego łzy zakręciły mu się w oczach. Potem jego umysł skreślił w nową ścieżkę i Andrzej zaczął się zastanawiać, czy ktoś zauważył ich zniknięcie? Czy ktoś ich szuka? Czy Krysia wie? Jeśli tak. co o tym myśli? A jego koledzy z pracy? Maciek? Czy ktoś za nim tęskni?

— Dość tego — powiedział bardziej do siebie niż do innych, ocierając oczy wierzchem dłoni. — Nie sędzę, żebyśmy mieli jakiś wybór. Redan jest nam potrzebny, ale myślę, że powinniśmy go pilnować. Co powiecie na wystawianie warty?

Rozległy się pomruki aprobaty, tylko Wysocki nic zabrał głosu. Taki obrót sprawy go zaniepokoił. Na razie nikt nie wiedział o jego problemach ze snem i Tomasz wolałby, aby tak zostało. Część tego obcego bytu. ducha, strażnika, którego nawet nie potrafił nazwać, musiała pozostać w ciele Wysockiego, pozbawiając go snu. Nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Będzie musiał udawać, że śpi, a to nie jest łatwe.

Na noc zatrzymali się w małej kotlinie pomiędzy wzgórzami.

— Redan twierdzi, że jutro znajdziemy się już na terenach zamieszkałych. Będą gospody przy drodze i więcej podróżnych — powiedział Jan.

— Dobrze — odparł Orańczak. — Stęskniłem się za cywilizacją.

— Musimy się mieć na baczności -- dodał Andrzej. — Pamiętajcie, że prawdopodobnie wciąż jesteśmy poszukiwani. Nie sędzę, aby zatrzymywanie się w gospodach było dobrym pomysłem

— Nic zgadzam się — rzekł Wysocki. — Gospody mogą być świetnym punktem informacyjnym. Moglibyśmy zasięgnąć języka

na przykład na temat poszukiwań zgrai uciekinierów czy sytuacji panującej w głębi kraju.

—A poza tym, czy nie byłoby miło przespać się w końcu w czystej pościeli? — dodała Iza.

Andrzej westchnął.

— Widzę, że niewiele mam do powiedzenia w- tej kwestii — stwierdził. — Ale uważam, że to błąd. Ryzyko jest zbyt duże. Jak nas złapią, nie będzie drugiej szansy.

Wysockiemu warta przypadła w najczarniejszą godzinę nocy. przed samym świtem. Ognisko już całkiem wygasło, zrobiło się zimno Opatulił się ciaśniej w koc. Miał pilnować Redana, ale ich przewodnik i woźnica chyba nie zamierzał wywinąć im żadnego numeru, sądząc po tym. jak głośno chrapał. W mroku nic dało się rozróżnić szczegółów krajobrazu, więc zamiast wypatrywać się we wzgórze z rzadka porośnięte drzewami, czy zagajniki rozrzucone tu i ówdzie, zakonnik skierował wzrok ku gwiazdom. Lubił spoglądać w te migające dalekie punkciki. Uspokajało go to. W długie, bezsenne noce nie miał się czym zająć, więc rozmyślał. Zastanawiał się, gdzie się znaleźli. Czy to jakiś alternatywny wszechświat? A jeśli tak. to czy gdzieś tam. wokół tych dalekich gwiazd nie krążą inne planety zamieszkałe przez inteligentne istoty? A może są w tym samym wszechświecie, tylko na innej planecie? Nic sposób było znaleźć odpowiedzi na te pytania. Chociaż, mając Rydwan, może uzyskałby odpowiedź?

Trafili do naprawdę dziwnego miejsca. Wszystko było tak inne. a jednocześnie tak podobne do ich świata. Chociażby ludzie. Wyglądali i zachowywali się zupełnie tak samo jak mieszkańcy Ziemi, krwawili i umierali w ten sam sposób. Z kolei flora i fauna była inna. Podobna, ale nie identyczna, jak w przypadku ludzi. Atmosfera nadawała się do oddychania... Tyle pytań, żadnych odpowiedzi. Wysocki zastanawiał się. czy komuś jeszcze przyszły do głowy podobne pytania Szczerze w to wątpił.

Znów pojawił się cień. Przysłonił gwiazdy, przepływając powoli nad głowami śpiących wędrowców. Lecz tym razem konary ani liście nie zasłaniały go i Tomasz był w stanie dokładniej mu się

przyjrzeć. Tajemniczy obiekt leciał na północ, w przeciwnym kierunku, niż kilka nocy temu, gdy Wysocki ujrzał go po raz pierwszy.

Wiedział, co to jest.

Następnego dnia znów jechali rozklekotanym wozem na północ, w stronę gór, których wciąż nie było widać na horyzoncie.

Krajobraz, lekko pofałdowany, pokryty polami i łąkami, koł oczy. Przejeżdżali przez zagajniki, podziwiali inne lasy, nie tak gęste i zbite jak puszcza, w której o mało co nie zginął Andrzej. Według Redana były bezpieczne, nie zamieszkiwały ich żadne dzikie plemiona, ale nie do końca mu ufali. Za pośrednictwem Jana polecili swojemu przewodnikowi, aby w miarę możliwości omijał lasy. Redan skinął jedynie głową na znak, że przyjął życzenie podróżnych do wiadomości.

Mijali niewielkie wioski, widzieli ludzi pracujących na roli. Zauważyli nawet kilka wozów. Znów byli na terenie, gdzie królowała cywilizacja.

Wysocki siedział oparty plecami o burtę wozu ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami. Wydawało się, że drzemie. Orańczak przysunął się do siedzącego za kozłem Andrzeja.

— Musimy pogadać — szepnął.

— O czym? — zapytał Stawicki, wpatrując się w fioletową poświatę wokół głowy profesora.

Jesteś zdenerwowany, ale czym? Zaraz mi powiesz.

— Tamtego dnia w lesie... — zaczął Antoni, ale zaraz zamilkł

— Tak? — zachęcił go Andrzej.

— Tamtego dnia w lesie widziałem coś.

— Bandę kanibali, którzy zabili mi psa. Też ich widziałem.

— Nie o tym mówię - - odparł Orańczak, wciąż szepcząc, — Chodzi mi o Tomasza. On... zrobił coś i ten dziwak w matce na twarzy umarł.

— Wybacz, ale nie chwytam. Byłem wtedy nieprzytomny.

— Nic tak głośno

— Co, mam mówić szeptem? Dlaczego?

— Nie chcę, żeby się obudził i nas usłyszał.

Żebyście tylko wiedzieli, durnie...

Czaszkę Andrzeja przebiła igiełka bólu. Przed oczami ujrzał Orańczaka i siebie w czapkach błaznów. Wizja zaraz znikła. Potrząsnął głową.

— Przecież śpi — powiedział,

— I chcę, żeby tak. zostało.

— O czym tak szepczecie? — zapytała Iza, zupełnie ignorując wykrzywioną w grymasie twarz profesora.

— Bądź cicho, kobieto.

— Nie chce, żeby Wysocki nas słyszał — szepnął Andrzej i puścił oko do obu dziewczyn. — Jakaś tajemnica.

— To nie jest gra, bałwany — zirytował się Orańczak. — Nie było was wtedy na polanie — zerknął na Andrzeja — a ty się nie liczysz, bo byłeś nieprzytomny. Nie widzieliście, jak włócznia, która powinna przebić naszego braciszka na wylot, nagle spadła na ziemię. Nic widzieliście, jak człowieka u masce, pewnie ich szamana, przygwoździło do pnia, tak że nic mógł się ruszyć.

— Co przygwoździło? — zapytała Anna

— Właśnie nie wiem. Widziałem tylko, jak Tomasz wyciągnął rękę i ten szaman po prostu poleciał do tyłu. prosto na drzewo.

— I sądzisz, że co to było? — zapytała Andrzej.

— Nie wiem...

— Antoni... Nie powiesz mi chyba, że wierzysz w czary?

— Sam nie wiem... W tym świecie wszystko jest możliwe.

— Daj spokój. Gdzie się podział ten naukowiec w tobie.

— Uciekł z wrzaskiem, gdy przekroczyliśmy barierę między światami.

— Ale czary?'

— Nie wierzysz w magię? — zapytała Iza.

— Jakoś nie bardzo...

— A twoje przebłyski jasnowidzenia, postrzeganie aury, myślisz, że co to jest?

— Na pewno nie jest to magia.

— Zależy, jak ją interpretować. Jeśli uznamy, że magia to możliwość wywoływania określonych efektów siłą umysłu, to jest nią zarówno jasnowidzenie, jak i telepatia, telekineza i tak dalej.

— No, ale żeby rzucać ludźmi o drzewa? Bez przesady.

— Nie lekceważ siły szatana — odezwał się ze swojego miejsca na koźle Jan przysłuchujący się rozmowie.

— Jeszcze tego brakowało. Więc Tomasz jest pomiotem szatana, czarownikiem z piekła rodem?

Wysocki nic mógł powstrzymać uśmiechu. Na szczęście nikt nie zauważył uniesionych kącików jego ust.

— Pomógł nam uciec z więzienia — mówił Andrzej — Stał w twojej obronie. Antoni. A wy podejrzewacie go. O co właściwie? O czary? Może chcecie go spalić na stosie?

— Andrzej, nie w tym rzecz — powiedziała Iza.

— Więc w czym? Wyjaśnij mi? Sądzisz, że chce ukraść Rydwan i zostawić nas tu samych?

Bingu, kolego.

— Nie. Tylko, jeśli dysponuje taką mocą i nie powiedział nam o tym, to co jeszcze ukrywa?

— Nic wierzę — parsknął Andrzej, kręcąc głową. — Nie wierze, że istnieje coś takiego jak magia która pozwala rzucać **ludźmi i Bóg wie co jeszcze.**

— Jeszcze się przekonasz, kochany. Sam jesteś dowodem i istnienie tej magii,

Magia, też coś. Skąd u naukowca takie bzdury? A reszta? Jakby się uparli, żeby mu wmówić istnienie nadnaturalnych mocy. Tylko Wysocki spał głęboko i miał to wszystko gdzieś.

A jednak... Kiedy zaczął się zastanawiać nad tym wszystkim w popołudniowej ciszy zakłócaney jedynie przez miarowy klekot kół, do jego myśli wkradły się wątpliwości. Bo przecież, jak mówiła Iza, miał te przebłyski jasnowidzenia, miewał wizje, widział kolory wokół swoich towarzyszy. Czy tak objawiała się magia? Czy jego umysł rozwinął sam w sobie pewne zdolności, o których Andrzej wcześniej nie miał pojęcia? A może miał je cały czas, teraz zaś zaczęły się w jakiś sposób uaktywniać? Skąd to się wzięło?

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie dokładnie wydarzenia sprzed paru dni. Dokuczliwe brzęczenie much przeszło w miarowy szum kropel deszczu uderzających o liście drzew. Byli otoczeni przez grupę dzikusów dowodzonych przez człowieka w ma-

sce. Jak wyglądała ta maska? Był zbyt daleko, żeby móc jej się dokładnie przyjrzeć, ale wydawało się, że wykonano ją z grubo ciosanego drewna. Przedstawiała twarz pomalowaną na biało, czerwono i czarno. Miała wycięte otwory na oczy. Przyozdabiała ją pióra ... suche mimo ulewy? Andrzej mocniej zacisnął powieki, starając się dojrzeć szczegóły umykającego obrazu. Tak, pióra na pewno były suche. Ale to przecież niemożliwe w takim deszczu!

Co jeszcze? Musiało być coś jeszcze, już po śmierci Adiego. Andrzej pamiętał, że ogarnął go wtedy szal, wzrok przesłoniła mu czerwona mgła. Działał szybko, instynktownie, bez zastanowienia. Teraz musiał odtworzyć całe zajście w zwolnionym tempie. Klatka po klatce. Mordercę Adiego przebił nożem dwie sekundy po rym, jak husky upadł na ziemię. Człowiek nie zdążył nawet unieść dłoni w obronnym geście. Pozostali wyglądali na zaskoczonych takim obrotem sprawy. Spojrzeli na postać w masce, a ten uniósł dłoń. dając sygnał do ataku. Nic, to nie tak. To było coś innego. Andrzej przypomniał sobie mrowienie na karku. Pomyślał wtedy, choć nie miał bladego pojęcia dlaczego, o murze. Murze otaczającym go z każdej strony, bez jednej szczeliny. I wtedy poczuł uderzenie. Tak, powietrze zawibrowało, a jego mur pękł na drobne kawałki.

Człowiek w masce nic był dowódcą grupy w sensie militarnym. Był ich szamanem, może magiem. Andrzej przypomniał sobie niepewność rysującą się na twarzach wojowników, postawa człowieka w masce też wyrażała skrajne zdumienie.

Facet był w szoku, że zdołałem się przed nim obronić!

Ale trzeba przyznać, że szybko się pozbierał. Andrzej powtórnie odczuł mrowienie w karku, a zaraz potem stracił przytomność

Tego wieczoru zatrzymali się w tawernie w niewielkim miasteczku. Andrzej miał obiekcje, ale pozostali towarzysze przekonali go. Redan twierdził, że nie muszą się bać, tutaj wszyscy są życzliwi dla obcych. Ale on nie wiedział, że ci konkretni obcy są poszukiwanymi zbiegami, a nikt nie zamierzał go w tej kwestii uświadamiać.

Miasteczko, otoczone lichą palisadą, było brudne i dość cuchnące.

— W tym świecie nie wynaleziono jeszcze kanalizacji, czy co?
— mruknął Andrzej, przeskakując nad rynsztokiem, którym płynął zdechły szczur.

Miasteczko nazywało się Tadwyw. o ile dobrze zrozumieli. Składało się z kilku ulic, przy których przycupnęły budynki mieszkalne i różnego rodzaju sklepy oraz składy, centralnego placu, na którym wznosiła się świątynia, a raz w tygodniu odbywał się targ, oraz tawerny.

Gospoda przypominała bardziej podrzędną spelunę niż zajazd dla podróżnych, ale była najlepszym tego typu lokalem w promieniu wielu kilometrów, więc cieszyła się dużą popularnością. Na parterze drewnianego budynku mieściła się sala jadalna oraz bar, zasnutę dymem z fajek aż po sufit. Znaleźli wolny stół pod ścianą. Redan gestem przywołał dziewczkę roznoszącą jadło i napoje.

Później, gdy pozostali czekali na kolację. Andrzej udał się z Izą na spacer wzdłuż brzegu szemrzącego nieopodal tawerny strumyka.

— Zaczynam wierzyć — powiedział,

— W magię?

— **Tak**

Opowiedział jej o tym, co zdołał sobie przypomnieć tego popołudnia.

— Wiedziałaś — odparła Iza z uśmiechem.

— Nie wiem, co w tym zabawnego.

— Na pewno nie ma też powodu do smutku.

— Boje się tego.

— Bo nie rozumiesz, jak to działa. Sam mi kiedyś mówiłeś, że ludzie boją się tylko tego. czego nie potrafią zrozumieć

— Racja.

— Więc spróbuj zrozumieć.

— Jak? — zapytał Andrzej. — Od czego mam zacząć"

— Spróbuj sobie przypomnieć, co wywołało w tobie te zdolności? Bo o ile jasnowidzenie czy postrzeganie aury może pojawić się bez wyraźniej przyczyny, to takie nagłe wyzwolenie mocy musi mieć jakiś katalizator. Nigdy wcześniej nie używałaś magii. prawda?

Andrzej potwierdził skinieniem głowy

— O tle wiem. nie miałeś w ogóle styczności z okultyzmem ani nie próbowałeś zgłębić tajemnych nauk — kontynuowała Iza. — A więc rym bardziej musi być jakaś przyczyna, dla której ujawniła się ta siła. Musisz mieć jakieś wrodzone predyspozycje, kochany.

— Gniew — stwierdzi! Andrzej. — To gniew wyzwolił takie reakcje. Zabiłem człowieka, nim zdążyłem mrugnąć, i nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do dzisiejszego popołudnia

— Och... — Iza wyglądała na zatroskaną. — To niedobrze. Gniew jest narzędziem czarnej magii.

— Mówisz jak Yoda. To nie *Gwiezdne Wojny* — roześmiał się Andrzej, — Strzeż się ciemnej strony Mocy, Luke...

— Ale to prawda. Andrzej. Nazwij to jak chcesz. Moc, magia... Zasada pozostaje ta sama.

— Przerażasz mnie.

— Nic bój się, Pomogę ci. A teraz chodź już na kolację

— Jeszcze jedno — powiedział Andrzej, chwytając odchodzącą Izę za ramię — Chodzi o aury... (

— Tak?

|— Dostrzegam je coraz wyraźniej. Twoja na przykład jest jasnozielona. bardzo intensywna. Ale nie potrafię dostrzec aury Tomasza Zupełnie jakby jej nie miał

— O, nie. Ma na pewno

— Więc w czym problem?

— Sądzę, że się maskuje, k

— Maskuje?

— Ukrywa swoją aurę. I nie tylko.

— Nie rozumiem.

Iza się zamyśliła.

— Sądzę — powiedziała po chwili — że Tomasz Wysocki nie jest tym. za kogo się podaje Miałam już wcześniej podejrzenia, a twoje słowa w jakimś stopniu je potwierdzają.

— Podejrzenia? — zachnął się Andrzej. — Znowu?

— Daj mi skończyć.

— Proszę bardzo.

— Jestem w pewien sposób wyczulona na różne przejawy nie-

naturalnych zdolności u ludzi. Myślę, że częściowo jest to powodem, dla którego tak mnie do ciebie ciągnęło. U Tomasza też zdawało mi się, że czuję coś podobnego, ryle że odpychało mnie .od niego.

— Miło...

— Nic bądź zgryźliwy. Usiłuję ci powiedzieć, że Tomasz dysponuje również jakąś mocą. ale z jakiegoś powodu ukrywa to przed nami. Poczułam to tego dnia. gdy Orańczak pobiegł do lasu. a wy za nim. Myślę, że Tomasz użył magii w walce z tamtymi.. ludźmi. Twoja opowieść to potwierdza.

— Czowałaś, jak rzuca czar?

— Tak. A zważywszy na odległość... Musi być bardzo silny.

— Niepokoi cię to — zapytał Andrzej.

— Bardzo — przyznała Iza. — No bo sam powiedz. Czy gdyby miał czyste intencje, ukrywałby to przed nami?

— A kto oprócz ciebie by w to uwierzył? — odparł pytaniem na pytanie Stawicki.

— Fakt.

— Poza tym nic zapominaj, Ze bez niego nie dalibyśmy rady uciec z więzienia. A nawet gdyby, to może nie byłoby z nami Antoniego. Albo nawet mnie.

— Nie mów tak.

— Kiedy to prawda. Wtedy w lesie uratował nam tyłki. Mnie i Antoniemu.

— Myślisz, że to tylko moje paranoje?

— Myślę, że Tomasz jest porządnym człowiekiem i bez niego nie dotarlibyśmy tutaj.

— Może masz rację... Czasem, jeśli chodzi o mężczyzn, bywam przewrażliwiona.

— Wiem — odparł Andrzej i pocałował Izę. — A teraz chodźmy już na kolację.

A jednak musiał przyznać, że i jego coś niepokoiło w Tomaszu, Miało to związek z czymś, co ten powiedział, a czego Andrzej nic mógł sobie przypomnieć...

— Gdzie Redan? — zapytał, siadając przy stole.

— Poszedł doglądać wołów — odparł nieco podchmielony Jan.

W tym momencie w drzwiach tawerny pojawił się przewodnik. Podeszedł do baru. powiedział coś do barmana. Ten skinął głową. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Barman zniknął na zapleczu, a Redan podeszedł do stolika.

— Zamówiłem kolejne piwo — rzekł, siadając.

Z tych trzech słów zrozumieli tylko „piwo”. Mimo codziennych lekcji języka, znali jedynie jego podstawy, z wyjątkiem Jana. który całkiem biegle się nim posługiwał. Przetłumaczył słowa Redana. Odpowiedział mu zgodny chórek mruknięć oznaczający zarówno aprobatę, jak i to, że mimo braków edukacji zrozumieli ogólny sens sentencji. Po chwili na stół wjechał parujący półmisek pieczonego mięsa przybranego warzywami. Sam zapach powodował gwałtowny wzrost apetytu. Za pieczeniem, ku uciechu całego towarzystwa, pojawiło się piwo.

.Redan nałożył sobie porcję mięsa. Nie tknął piwa.

Jako pierwszy źle się poczuł Orańczak.

— Co jest... — zaczął, wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. Potem zwałił się na podłogę.

Po kolei zasłabli wszyscy: Iza. Andrzej. Jan. Anna. Wysocki trzymał się najdłużej. Wpatrywał się w Redana i usiłował nucić zaklęcie. Nie zdołał.

—Przeklęty... — syknął.

Nim stracił przytomność, ujrzał żołnierzy wchodzących do karczmy.

Ocknęli się na wozie, dużej klatce na kołach. Był środek nocy. księżyc w pełni zalewał świat upiornym blaskiem. Czuli zawroty głowy. Orańczak wymiotował. Związani, z rękami na plecach. mieli ograniczone ruchy.

—Otruł nas — powiedział profesor pomiędzy spazmami. — Drań nas otruł. Niech ja go...

Nie dokończył. Przerwał mu gwałtowny skurcz żołądka.

— **Jest tutaj — oznajmił Wysocki, domyślając się, kogo Orańczak ma na myśli. — Nasz nieoceniony przewodnik jest tutaj, związany jak baleron.**

Sześć par oczu zwróciło się ku tyłowi zakratowanego wozu. Tam, wciśnięty w kąt, siedział Redan. Oczy ze stracha niemal wychodziły mu z orbit. Dygotał.

— Jak cię dorwę, to cię wypatroszę, sukinsynu - syknął profesor, powstrzymując mdłości — Wypatroszę. Janie, przetłumacz mu.

— Myślę, że pojmuje — odparł Jan, spoglądając na Redana spode łba.

— Zarżnę jak wieprza! — ryknął Orańczak, szarpiąc sznury krępujące mu dłonie.

Nagle z boku wozu wyrósł jeździec. Kolbą kuszy huknął w metalową kratę, aż zadźwięczało, wyrzaskując przy tyra niezrozumiałe słowa.

Zapadła cisza.

Po kilku minutach odezwał się Wysocki.

— Przynajmniej wciąż jedziemy na północ.

— Skąd wiesz? zapyłała Anna.

— Tamta gwiazda - odparł zakonnik, ruchem głowy wskazując kierunek — jest jak nasza Gwiazda Polarna tylko wskazuje zachód Skoro mamy ją wciąż po lewej stronie, jedziemy na północ.

— Ale dlaczego? — wybuchła nagle Anna. — Redanie, dlaczego?

Przewodnik nic odpowiedział. Nic zrozumiał, a może po prostu nie miał odwagi się przyznać. Wszak przebywając w ich towarzystwie, miał aż nadto okazji, aby podłapać ich język. Lekcje nie działały tylko w jedną stronę. Bądź co bądź, nie odpowiedział nic.

— Mnie z kolei bardziej ciekawi — mruknął Wysocki — co on tu z nami robi. Podejrzewam, że wyznaczono za nas nagrodę. a ten głupek dał się nabrać. Pytanie, dlaczego zamiast nagrodzić, uwięzili go.

— Bo miał z nami styczność — odparta Iza

— Otóż to — podchwycił Andrzej. — Jest podejrzany, mógł...

Przerwało mu kolejne uderzenie w kraty i gniewne pomruki

strażnika

— Nie podoba im się, że rozmawiamy — zauważyła Iza.

— Jeszcze nas nic zakneblowali — powiedział Orańczak. —
Więc nic musimy milczeć.

— Ale leż nie mamy o czym rozmawiać — stwierdzi! Wysocki

— Jak to? Musimy im zwać.

— Po pierwsze, nie wiemy nawet ilu ich jest. Po drugie, po co? Wiozą nas przecież we właściwym kierunku — dodał Tomasz, a jego oczy lśniły szelmowsko.

Noc była zimna. Zbyt zimna aby zasnąć. Towarzysze Andrzeja zapadli w stan odrętwienia przerywanego tylko czasem urywanymi chrząknięciami i szelestem ubrania przy zmianie pozycji. Skrzypienie wozu. miarowy stukot kół i końskich kopyt wprawiały w trans

Andrzej pogrążony był w półśnie. Wiedział dokładnie, ilu jest strażników Sześciu plus woźnica. Widział ich aury, w ciemności lśniły jak latarnie. Wiedział też, że Wysocki wie. Wyczuł kłamstwo.

Zastanawiał się, co jeszcze zakonnik ukrywa i dlaczego. Czy rzeczywiście, jak mówiła Iza, zna arkana magii? Czuł, że jest w tym coś więcej, ale nie potrafił ustalić co. Nie dawało mu spokoju, a miało związek z czymś, co powiedział Wysocki. Nie mógł sobie tego przypomnieć.

Chłód przeniknął go do szpiku kości. Przytulił się mocniej do Izy. Ciepło jej ciała przyjemnie mrowiło. W końcu usnął płytkim snem z głową i w jej ramieniu.

O świcie znów się obudził. Lodowata mgła otaczała ich z każdej strony, ledwie mógł dostrzec sylwetki koni wokół wozu. Pozostali, poza Tomaszem, spali. Andrzej wciąż nie mógł zobaczyć jego aury.

Wysocki poczuł na sobie wzrok Andrzeja i odwrócił się ku niemu.

— Dobrze spałeś? — zapytał szeptem.

— Nie żartuj. Jedziemy bez przerwy od wczoraj?

— O ile mogę się zorientować, to tak.

— Ciekawe dokąd

— Niebawem się dowiemy. Jak sędzę, do kolejnego więzienia.

— Orańczak miał rację. Musimy uciec.

— Masz jakiś pomysł?

— Myślałem. .. Widzisz, mówi się...

— Mówi się, tak?

— Tak. Mów i się, że dysponujesz jakaś mocą.

— Andrzej — uśmiechnął się franciszkanin — Muszę cię rozczarować Nie dysponuję żadną mocą, nie znam żadnej sztuczki, która mogłaby nam pomóc. Oprócz tej.

To powiedziawszy, wyciągnął przed siebie dłonie Z nadgarstków zwisały luźno sznury.

— Jak to zrobiłeś?

— Podczas gdy słodko spaliście, ja pracowałem — odparł Wysocki. — Krótco przed świtem udało mi się poluzować więzy I nie była to żadna magiczna sztuczka Odwróć się, to cię rozwiążę. I obudź Orańczaka. tylko po cichu.

Potem już w trójkę oswobodzili Annę, Izę i Jana. Mgła była nieocenioną pomocą. Całą akcję udało im się przeprowadzić na tyle cicho, że nie wzbudzili podejrzeń. Strażnicy niczego nie zauważyli, a jeśli nawet dobiegły ich jakieś szepty, to nie zwrócili na nie uwagi. Redana pozostawiono związanego

Mgła stopniowo się przeredzała Wilgotne pasy unosiły się i rozpływały pod gorącym słońcem.

Już bez trudu mogli rozpoznać sześciu jeźdźców na karych baniach, odzianych tak samo jak ci, którzy pojмали ich pod kamiennym lasem. Każdy z nich miał przy pasany miecz, a na plecach kuszę. Jechali szerokim gościńcem wśród pól i zagajników.

A potem ujrzeli miasto Nie tak duże, jak Istaria i otoczone zwycajnym murem, ale również z wieżą. Niższą, szarą i nie tak smukłą, lecz jak ta w stolicy, wyrastającą w samym centrum miasta. Na jej szczycie zakotwiczona była gondola wyposażona w ogromne balony unoszące ją w powietrzu. — Wiedziałem — wyszeptał Wysocki.

— Co wiedziałeś? — zapytał Orańczak.

— Że ten statek będzie na nas czekał. Widziałem go dwukrotnie Nocą Zabiorą nas tam.

— Nie możemy do tego dopuścić — syknął profesor. — Gdy raz wsiądziemy na pokład, będziemy zgubieni

— Wręcz przeciwnie - odparł zakonnik i wyłuszczył im swój plan.

Bramę minęli bez przeszkód, odprowadzani ciekawskimi spojrzzeniami miejskich strażników Wóz wjechał na brukowane ulice i z głośnym turkotem potoczył się na rynek. Tam, w samym centrum dużego, owalnego placu, wznosiła się wieża.

Szeroka u podstawy, zwężała się ku górze. Na tle otaczających ją budynków zdawała się sięgać nieba, mimo że nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięter.

Zajechali przed wysokie, dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do wnętrza wieży. Jeden ze strażników otworzył kraty, złapał siedzącego najbliżej Redana i wywlókł wprost na bruk. Pozostali pojęli. Wyszli sami.

Dwóch jeźdźców i woźnica zostali, pozostałych czterech eskortowało grupę do wieży.

Znaleźli się w przestronnym, okrągłym holu. Kilkoro drzwi prowadziło do dalszych części wieży, a na środku znajdowały się spiralne schody. Nieotynkowane wnętrze było oświetlone kilkoma pochodniami Surowy wystrój łagodziły rozwieszony pomiędzy drzwiami arrasami przedstawiające steny wojenne.

— Na chwałę Dominium — zauważył Andrzej.

Jeden ze strażników mocnym pchnięciem nakazał mu się ruszać.

Wspięli się na schody; przodem dwaj strażnicy, Wysocki, Anna, Iza, Redan, Orańczak, Jan i Andrzej. Konwój zamykali znów dwaj strażnicy.

Wspinaczka nie miała końca. Przechodzili z kondygnacji na kondygnację, z piętra na piętro. Mijali dziesiątki drzwi.

Na drugim piętrze Orańczak dostał zadyszki. Na piątym serce waliło mu jak miotem. Coraz częściej zatrzymywał się dla zaczerpnięcia tchu Na siódmym piętrze strażnik stracił cierpli-

wość. Przepchnął się kolo Andrzeja i zaczął krzyczeć na profesora. Szarpnięciem chciał go zmusić do dalszego marszu. Orańczak potknął się, zachwiał i mało brakowało, aby uderzył twarzą o stopień. W ostatniej chwili wyciągnął przed siebie rękę, amortyzując upadek.

— Tomasz! — krzyknął Andrzej, widząc zaskoczenie strażnika. Nic czekając na reakcję zakonnika, odwrócił się i z całej siły kopnął idącego za nim wojownika w twarz. Ten stracił równowagę i potoczył się na dół. Andrzej skoczył za nim. W tym czasie Wysocki, widząc, co się dzieje, złapał za nogi strażnika stojącego nad nim i szarpnął. Strażnik uderzył głową j kamienny schodek i stracił przytomność. Tomasz przeskoczył go i zaczął się siłować ze strażnikiem idącym jako pierwszy .

Iza ruszyła na ratunek Orańczakowi. Wyrznęła strażnika pięścią w nerkę, a profesor kopnął go kolaniem w brzuch. Gdy strażnik zgiął się w pół, Antom poprawił kolaniem raz jeszcze, łamiąc jeźdźcowi nos.

Wrócił Andrzej. W dłoni miał zakrwawiony sztylet. Przeskakując po dwa schodki, dopadł ostatniego strażnika wciąż siłującego się z Tomaszem. Odgiął mu głowę do tyłu i poderżnął gardło. Krew chlusnęła na mury i schody. Bezwładne ciało upadło u stóp Stawickiego. Walka była skończona. Jedyną ranę odniósł Andrzej, szarpiąc się ze strażnikiem, który zdążył wyciągnąć sztylet i ciąć Sawickiego w ramię. Krew przesiąkła przez rękaw i kapiała i schody.

— Andrzeju! - zawołała Iza na ten widok. — Krwawisz.

— Nie mi nie będzie — odparł Andrzej. - Antoni, co z tobą?

— W porządku — odpowiedział zapytany, ciężko dysząc.

— Właśnie widzę. Tomasz, Anna?

— Wszystko gra. Dzięki za pomoc

— Jan?

— Bogu dzięki nic mi nie jest.

— Doborowi żołnierze, nie ma co — stwierdził Wysocki, spluwając na trupa. - Chłuba Dominium, jak mniemam.

— Mieliliśmy szczęście — odrzekł Andrzej. — Na otwartej przestrzeni nie dalibyśmy im rady.

— **Taa. Może masz rację. A co z nim? — spytał zakonnik, wskazując Redana.**

Przewodnik siedział na schodach. Zapach jego strachu unosił się w powietrzu.

— Zabierzemy go.

— Po co? Zdradził nas. Proponuję poderznąć gardło.

Jan się przeżegnał.

— Boga w sercu nie masz. heretyku? Toć to niewinny człowiek.

— Winny jak cholera. Zdrady. A zdrajcom należy się szubienica. Jako że nie dysponujemy liną ani gałęzią, na której mógłby za-
dyndać, musimy to zrobić inaczej.

— Oszalałeś — stwierdził Andrzej. — Nie możemy zamor-
dować go, ot tak. z zimną krwią.

— Powiedział człowiek, który właśnie zabił dwóch ludzi.

— To było w walce — Iza stanęła w obronie Andrzeja — W sa-
moobronie

Wysocki parsknął.

— Kobieto, walczymy o życie!

— Więc szkoda czasu na kłótnie.

— Redan idzie z nami — uciał Andrzej, po czym zwrócił się do
Orańczaka. — Jak się czujesz?

— W porządku.

— Dasz radę iść dalej?

— Muszę, prawda?

Andrzej skinął głową.

— Zejdźcie na dół raczej nie wchodzi w rachubę — powiedział.
— Tomasz, zabierz kusze tym z góry Ja wezmę tamte dwie.

— Polem znów przebierzemy się w ich mundury — dodał Wy-
socki.

— Nie ma czasu — rzucił Andrzej, wycierając sztylet w koszulę
jednego z wojowników i nie w dając się w dalsze dysputy zbiegi
na niższą kondygnację.

Wrócił po chwili, przytracząc kuszę do pleców, na wzór straż-
ników. Chwycił drugą kuszę i napiął ją, po czym rzucił:

— Chodźmy

Wysocki wzruszył ramionami. Zebrał kusze, jedną przewiesił

przez plecy i przeskakując po dwa stopnie. ruszył za Sawickim.

Kobiety zostały z tyłu, pomagając Orańczakowi. Jan prowadził wciąż związanego i bliskiego zawału Redana.

— Jesteś pewien słuszności swojej decyzji? — zapytał Wysocki

— Nie — przyznał Andrzej.

— Dlaczego nie przebraliśmy się za żołnierzy, jak wtedy w więzieniu?

— Słuchaj. twój plan porwania tej maszyny ma szansę się powieść, ale musimy się spieszyć. Chociaż, szczerze mówiąc, od początku miałem co do niego wątpliwości.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś?

— Nic miałem lepszego pomysłu.

— Ale teraz przebierając się...

— Nie ma czasu.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Ktoś niżej mógł usłyszeć. Idą za nami.

Wysocki tylko pokręcił głową i przyspieszył kroku.

Wartowników uzbrojonych w piki i krótkie miecze było na szczycie czterech, po dwóch na każdym korcu krótkiego kamiennego pomostu nieograniczonego żadnymi barierami. Ci przy łukowym sklepieniu prowadzącym do wnętrza wieży nawet nie zorientowali się. co ich zepchnęło wprost na bruk dwadzieścia pięter niżej. Pozostali natychmiast ruszyli na intruzów.

Andrzej i Tomasz jak na komendę przystanęli, wycelowali i pociągnęli za spusty. Dwa ciała legły w konwulsjach na kamieniach. Stawicki aż syknął, gdy poczuł odrzut kuszy. Krew popłynęła po ramieniu.

Do przycumowanego okrętu pozostała zaledwie kilka metrów. Odrzucili kusze i ściągając z pleców zapasowe, przeskoczyli drewniany trap prowadzący na pokład.

Stawicki z miejsca zastrzelił oficera sięgającego po miecz, po czym rzucił kuszą w nadbiegającego marynarza. Nie trafił, wyciągnął sztylet i wbił go aż po rękojeść w brzuch przeciwnika.

Wysocki zdzielił jednego z marynarzy kolbą kuszy w potylicę. drugiego w kręgosłup. Obaj bez czucia padli na deski. Oszczędzaj załogę, przydadzą się! — zawołał do Andrzeja

Marynarzy zostało czterech na dziobie. Byli bez broni i nie kwapili się zbytnio do walki. Wysocki celował do każdego z osobna, jasno dając do zrozumienia, że nic zawaha się pociągnąć za spust.

Na podest wbiegli pozostali towarzysze.

— Szybko! — krzyknęła Iza. — Są tuż za nami!

— Andrzej, zwolnij cumy! — zawołał Wysocki, nie spuszczać oczu z załogi

Stawicki dopadł burty i zaczął walczyć z pierwszą z dwóch lin.

Anna wepchnęła Orańczaka na pokład. Profesor upadł na deski. Przewrócił się na wznak i głośnymi haustami łapał powietrze.

Andrzejowi udało się odwiązać linę chwilę po tym, gdy Jan jako ostatni wpadł na pokład. Powietrzny statek pchany wiatrem zaczął odwracać się rufą do wieży. Drewniany trap runął w przepaść między budowlą a okrętem.

— Każ im rozwinać żagle! — krzyknął Andrzej do Jana.

— Ale druga cuma..

— Zajmę się nią! Już!

Mnich zaczął gorączkowo tłumaczyć polecenie Andrzeja. Marynarze zrozumieli i rzucili się do pracy. Jeden z nich dopadł koła sterowego znajdującego się na niewielkim podwyższeniu na dziobie. Widzieli, co się stało na podeście i chwilę potem na pokładzie okrętu. Nie chcieli umierać. Stawicki tymczasem dobiegi do drugiej cumy. W tej samej chwili z wieży wybiegło kilku żołnierzy.

— Kryć się! — wrzasnął Andrzej, gdy bełt przeleciał mu koło ucha

Załopotały rozwijane żagle Lina się napięła. Podest zaroił się od żołnierzy Nie mogąc dostać się na pokład, ostrzeliwali okręt Jeden z marynarzy został trafiony

— Andrzeju, pospiesz się! — zawołała Iza. słysząc krzyk ranne-

go. Stawicki rozpaczliwie ciął cumę. nie bacząc na niebezpieczeństwo. Trzymani na uwięzi nie mogli uciec. Jego ramię płonęło ostrym bólem.

W końcu lina puściła. Okręt zaczął się oddalać od wieży.

:to, żołnierze zaczęli strzelać w balony. Bełt przedziurawił jeden z mniejszych balonów rufowych Statkiem zatrzęsło, ale poza tym

nic się nie stało. Andrzej wbiegł na rufę i rzucił sztyletem. Niecelnie, ale przynajmniej udało mu się na jakiś czas rozproszyć uwagę strzelców, gdy sztylet z brzękiem uderzył kolo nogi jednego z nich.

Stawicki poczuł mrowienie na karku, a potem nagle, na jego oczach, pomost pękł. Połowa platformy runęła na plac w centrum miasteczka, a wraz z nią żołnierze strzelający do okrętu. Krzyki spadających brzmiały jak skowyt chóru potępionych Szybko milkły.

Wysocki, zlany potem, opadł na kolana.

— Muszę... chwilę odpocząć — powiedział, gdy Anna podtrzymała go za ramiona

Marynarze nie zdążyli i chyba nie mieli zamiaru próbować wykorzystać sytuacji Naładowana kusza przeszła w ręce Andrzeja

— Wygląda na to, że miałeś rację — zwrócił się do niego franciszkanin. — Byli luz za nami. Gdybyśmy próbowali się przebrać,,,

— Taa.

— Siła ich było — dodał Jan.

— Spójrzcie tam. przed nami — rzekł Andrzej i trzymam się za krwawiące ramię, postąpił na dziób.

Daleko na horyzoncie, ledwie widoczne majaczyły błękitne sylwetki gór.

ROZDZIAŁ 22

Dominium

Gdybyśmy my spróbowali się przebrać, mógłbyś już nie żyć. Dlaczego ja was wszystkich jeszcze nie pozabijałem? Co mnie powstrzymuje? Wtedy w więzieniu potrzebowałem was. Wcześniej prawdopodobnie uratowaliście mi życie. Ale potem? Myślę, że dałbym sobie radę sam. Czy to moja wdzięczność sprawiła, że wciąż, żyjecie? Nędzne, bezwartościowe robaki. Mógłbym was zgnieść niczym muchy. Każdemu z was mógłby się przydarzyć tragiczny w skutkach wypadek Nawet wam wszystkim w tej samej chwili. Wystarczyłby moment, aby połamać wam karki nawet bez podniesienia ręki. Tylko

chwila, aby wdrzeć się w wasze aury. wasze ciała, poszukać wyłącznika i pstryknąć Mógłbym to zrobić.

Mógłbym.

A jednak wciąż żyjecie, moje robaczki. W gruncie rzeczy jaki jest sens zabicia was? Nie ma takiej potrzeby. Nie wchodzić mi w drogę. a nawet bywacie użyteczni, jak przy zdobywaniu tego okrętu. Maże waszym przeznaczeniem jest przeżyć? Więc żyćcie sobie dalej nieświadomi, że mógłbym was wszystkich pozabijać.

Mógłbym..

Statek sunął po błękitnym niebie. Nad nim płynęły białe jak śnieg chmury, pod nim przesuwały się łąki. pola i lasy. Miasto nikło w oddali Wysoka, majestatyczna wieża z tej odległości nie była większa niż drzazga, którą Iza wyciągnęła z dłoni Andrzeja.

— Au! — syknął Stawicki.

— Wybacz, kochanie — powiedziała Iza — ale te igły są strasznie tępe. A przecież nie chcesz, aby kawałek drewna dostał ci się do krwiobiegu i uszkodził serce, prawda?

— Prawda.

— Więc zachowuj się jak mężczyzna.

—Au...

Siedział na stołku ustawionym na czymś, co mogło uchodzić za śródokręcie. Lewe ramię powyżej bicepsa miał przewiązane przesiąkniętym już krwią kawałkiem materiału. W prawej dłoni dzierżył kuszę, pilnując marynarzy.

Statek nie był wcale taki duży. jak im się początkowo zdawało. Do utrzymania go w powietrzu i sterowania wystarczyło trzech ludzi. Co prawda początkowo musieli się zdrowo nabiegać przy tych wszystkich linach i linkach, ale dali sobie radę. Teraz okręt płynął po bezkresnym oceanie nieba niemal bez żadnej interwencji ze strony załogi. Ciała zabitych wyrzucili za burtę, gdy tylko minęli granicę miasta.

Jan z pomocą Orańczaka zamknął Redana w ładowni pod pokładem, przy okazji odkrywając spore zapasy żywności i wody. Sta-

tek był przygotowany do dalekiego rejsu z licznymi pasażerami. Andrzej podejrzewał, że miał ich zawieźć z powrotem do Istarri. gdzie czekałaby ich cicha śmierć w wilgotnych lochach.

Role się odwróciły. Mieli być ładunkiem, zostali załogą. Mieli wrócić do Istarri. a lecieli w stronę gór.

Niesamowite, jak to życie czasem się toczy...

Przeznaczenie. Jestem dokładnie tam. gdzie miałem być.

Był co do tego silnie przekonany, choć nie miał żadnych racjonalnych przesłanek, aby tak sądzić. Rozsądek jednak bywa zawodny.

— Izo... — zaczął po długiej chwili milczenia. — Wtedy, gdy ten pomost pękł. poczułem...

— Patrzcie, co znalazłem! — przerwał mu radosny okrzyk Orańczaka.

Zwrócili głowy w jego kierunku. Dziarski profesor dzierżył w dłoni sporą butelkę.

— Znalazłem to w kajucie tego żołnierza, któregoś podziurawił — oznajmił. — Wino. Jest tam tego trochę.

Otwartą i w jednej trzeciej już pustą butelkę podał Izie. Gdy odmówiła, spojrzał pytająco na Andrzeja, który złapał za szyjkę i pociągnął długi łyk.

— Dobrze — powiedział. — Mocne.

— Nie umywa się do bordeaux, ale cóż zrobić — odrzekł profesor, wyraźnie już poweselały. — Na bezrybiu .. et cetera...

— Nie wiem. czy to dobry pomysł, abyś tyle pił — powiedziała Anna, podchodząc do Orańczaka.

— Co ty mówisz, moja urocza asystentko? Czyżbyś się obawiała, że popadnę w alkoholizm?

— Przypomnij sobie, co się działo ostatnio, jak sobie chlapnąłeś mruknięła. — W wiosce, pamiętasz?

— Może byłem w tedy odrobinę zbyt porywczy — przyznał [profesor — ale nic teraz. Zresztą pokażę ci. W imię dobrej woli, podzielę się napitkiem z naszym zakonikiem. A co tam. nawet z dwoma.

To mówiąc, odszedł w stronę burty, o którą oparł się Wysocki. Po drodze jeszcze poczęstował trunkiem Ulickiego,

— Zdaje się, że chciałeś mi coś powiedzieć? -- rzekła Iza, gdy Orańczak się oddalił, a z nim i Anna.

— Tak. Wtedy, gdy runął ten pomost coś poczułem. I nie tylko wtedy...

— Hej! — zawołał Antoni. — Idę się podzielić winem z Redanem, więc jak ktoś ma jeszcze ochotę, to się pospieszy.

— Mówiłeś, że jest tego trochę — odparł Andrzej. a do Izy powiedział: —Później ci opowiem, jak przestaną nam przeszkadzać.

— A, tak — odpowiedział Orańczak — Jakieś dwie czy trzy butelki.

I zachichotał, jakby opowiedział przedni dowcip.

— Antoni... —jęknęła Anna.

Podążyła za nim jak cień. gdy zmierzał w kierunku ładowni

— Jak myślisz, co ich łączy? — zapyła Iza.

— Co? Kogo? — nie zrozumiał Stawicki

— Annę i Antoniego.

— Jak to? Jest jego asystentką.

— Mężczyźni — westchnęła Iza. —Patrzycie, a nie widzicie. Ona się w nim kocha.

— Bzdura - parsknął Andrzej

— Mówię ci. Do ciebie też jeszcze coś czuje, choć złamałeś jej serce.

— Przecież on mógłby być jej ojcem!

— Może właśnie o to chodzi.

— Rany Boskie. Iza!

— Zgorszony? — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Nawet nic wiesz, jak.

— Ale to właśnie tak działa. Kobiety szukają kochanków na wzór swoich ojców, mężczyźni - na wzór matek.

— A ja zawsze myślałem, że wolicie nieogolonych, spoconych i brutalnych osiłków.

— Tylko w łóżku i tylko czasami — zaśmiała się Iza. — Na co dzień szukamy delikatnych i opiekuńczych.

— Redan nie żyje! - krzyknął Orańczak, wybiegając po schodkach z ładowni.

Był blady jak ściana, podobnie Anna
— Poszedłem tam z butelką, a on... on...

Andrzej zerwał się z miejsca

— Co się stało? — zapytał.

— Mówię przecież! Nie żyje!

Andrzej zaklął i ruszył w stronę ładowni. Iza za nim.

— Hej! — zawołał Wysocki. — Oddaj przynajmniej kuszę.

Stawicki odwrócił się i rzucił broń Tomaszowi, który złapał ją w locie i natychmiast skierował w stronę marynarzy. Ci nadal nie przejawiali chęci podjęcia jakichkolwiek buntowniczych działań, jakby było im obojętne, kto nimi dowodzi. Co prawda kusza była jedna, ale nigdy nic wiadomo, kogo trafi belt. Poza tym ludzie, którzy byli w stanie porwać statek, na pewno nie będą mieli problemu z trójką nieuzbrojony marynarzy.

Ładownia była ciemna i chłodna. Światło wpadało jedynie przez zakratowany świetlik, pełniący rolę wjazdu. Słychać było trzeszczenie desek i łopot żagli na wietrze. Andrzej i Iza przeszli obok czterech dział ustawionych po obu stronach ładowni, pomiędzy beczkami wypełnionymi solonym mięsem i wodą a workami z mąką. aby dotrzeć na koniec pomieszczenia, gdzie oparty plecami o ścianę siedział związany Redan.

Głowę miał opuszczoną. Z kącika ust ściekała ślina. Andrzej dotknął ciała i poczuł silne mrowienie w karku. Syknął i cofnął dłoń. a wtedy mrowienie ustąpiło. Przełamując opór, wniósł głowę przewodnika i znów poczuł tysiące drobnych ukłuć jakby przepływał przez niego prąd. Spojrzał wprost w wywrócone białkami do góry oczy. Iza głośno wciągnęła powietrze. Andrzej rozchylił usta Redana

— Połknął swój język — stwierdził.

— O Boże! Popelnił samobójstwo?

— Nie sądzę. Ktoś mu pomógł.

— Kto? Myślisz, że Antoni...

— Nie. Myślę, że Tomasz,

— Jesteś pewien?

— Nie — powtórzy! Andrzej. — Ale czuję tu takie samo mro-

wienie, jak wtedy na polanie i gdy porywaliśmy ten statek. Zawsze w jego pobliżu. Myślę, że jakkolwiek skłonił Redana do pokłnięcia języka, jakiś ślad po tym pozostał.

— Sądysz, że Tomasz użył na nim magii?

— Nic wiem. Nie mam pojęcia. Skąd mogę wiedzieć? Ale bardzo mi się to nie podoba. O tym właśnie chciałem ci powiedzieć na pokładzie. Zawsze, gdy dzieje się coś, co... trudno wytłumaczyć, czuję, jakby po moim karku chodziło stado mrówek. A tu, przy Redanie, to uczucie jest szczególnie silne. Myślę, że możecie mieć rację. Ze Tomasz coś ukrywa i jest niebezpieczny.

— Co teraz zrobimy?

— Pozbędziemy się ciała.

Wyszli z ładowni. Iza opowiedziała pozostałym o przyczynie śmierci Redana, natomiast Andrzej udał się wprost do Wysockiego, który nie ruszył się ze swego miejsca przy burcie.

— Musisz mi pomóc.

— W czym?

— Musimy go wyrzucić.

— Masz na myśli ciało?

— **Tak.**

— Wiec nie „jego”, ale „to”. To tylko trup, Andrzeju. Prawdziwego Redana kimkolwiek był, już w nim nic ma.

— Nieważne. Chodź. Załatwimy to szybko — wypowiedziawszy te słowa, Andrzej ruszył w stronę ładowni,

Wysocki podążył za nim, po drodze przekazując kuszę Annie.

— Co ja mam z tym zrobić? — mruknęła dziewczyna.

— Staraj się wyglądać groźnie — poradziła jej Iza. — Niestety, nasz profesor jest zbyt pijany, aby można mu było zaufać w tej kwestii. A Jan...

— Jestem mnichem — zaprotestował Jan, unosząc ręce. — Nie umiem posługiwać się bronią.

— Sama widzisz — stwierdziła Iza. — Padło na ciebie.

W ładowni Wysocki oglądał jedną z małych armat. Po krótkiej chwili siłowania się z zatraskiem, otworzył klapę, przez którą można było wysunąć lufę.

— Dlaczego chcesz go wyrzucić, a nie pochować? - za, pytał

— Nie „go”, tylko „to”, pamiętasz? — sapnął Andrzej, ciągnąc ciało w stronę otworu. Czuł prąd przeszywający mu głowę i ręce.

Wysocki się uśmiechnął.

— Racja. Ale nic odpowiedziałeś na pytanie.

— Wiesz, jak się tym łąduje?

— Nie mam pojęcia ale załoga powinna wiedzieć.

— Tych trzech ludzi ledwie wystarcza, aby utrzymać tę łajbę w powietrzu. Po drugie, gdy tylko dotkniemy ziemi, zwieją, gdzie pieprz rośnie i będziemy zdani tylko na siebie. Wreszcie po trzecie, nawet jeśli nie uciekną i uda nam się i ponownie wzbić w powietrze, to stracimy mnóstwo cennego czasu

— Więc lepiej potraktować ciało jak zbędny balast — skwitował Tomasz, pomagając unieść trupa.

— Właśnie — potwierdził Andrzej, gdy wspólnymi siłami wypchnęli Redana przez klapę.

Stawicki wychylił się, patrząc jak ciało, wirując, leci na spotkanie ziemi. Potem przypomniał sobie, kto za nim stoi i cofnął się jak oparzony. Napotkał zaciekawione spojrzenie franciszkanina. Jego jasne oczy o źrenicach jak główki szpilek lśniły w mroku.

— Lepiej uważaj, bo jeszcze wypadniesz — powiedział.

— Wiesz, czasem mmc przerażasz — rzekł Andrzej. Wysocki ponownie się uśmiechnął. Stawicki poczuł mrowienie na karku i odruchowo zrobił to, co w myślach nazywał już stawianiem barier. Mrowienie ustąpiło

— **Wszyscy boimy się tego, co w nas drzemie — odparł enigmatycznie Wysocki i nie mówiąc już nie więcej, wy. szedł, zostawiając Andrzeja samego w ładowni.**

Stawicki oparł się o burtę i westchnął. Wiedział, że jego podejrzenia są słuszne. Wysocki sam je potwierdził, gdy próbował na nim swoich sztuczek. To mrowienie... było jak znak rozpoznawczy. Jak syrena ostrzegająca przed atakiem bombowym, żeby ludzie zdążyli się schować w piwnicy Ile jeszcze potrwa, nim nadejdzie chwila, gdy. pomimo ostrzeżenia, nie zdąży się schować za barierą?

Doszedł do wniosku, że tymczasem może spać spokojnie Tomasz potrzebował go tak samo. jak on Tomasza. Wspólnie sta-

nowili zgrany zespół, a osobno żaden z nich nie dałby sobie rady. Tak więc żyli w symbiozie, która była tym bardziej zagrożona, im bliżej byli podnóży gór. W końcu Wysocki stwierdzi, że już ich nie potrzebuje, a wtedy ..

Andrzej pomyślał o Redanie. Owszem, był zdrajcą, ale czy zasłużył na taki los?

A ci żołnierze, których zabiłem. czy oni zasłużyli na taki los?

Zapytał sam siebie, po czym osunął się na podłogę i zapłakał.

Tak znalazła go Iza, gdy. zaniepokojona jego długą nieobecnością, zeszła pod pokład.

— Andrzej? — podeszła bliżej i przykucnęła. — Co z tobą?

— Właśnie sobie uświadomiłem — zaczął Stawicki, ocierając oczy wierzchem dłoni — że jestem mordercą. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Dziwne, jak ludzki umysł czasem funkcjonuje, prawda?

— Andrzej...

— Zawsze mi się wydawało, że nic jestem do tego zdolny — mówił dalej, jakby nie słyszał Izy. A jednak okazało się, że jestem. Widziałem wojnę, ale nigdy nic skrzywdziłem nikogo. A teraz? Tutaj?

— Andrzej... — Iza ponowiła próbę.

— Ilu ludzi już zabiłem? Czterech? Sześciu? Najpierw był więzienny strażnik. Potem wojownik na polanie. Co najmniej dwóch. gdy porywaliśmy ten okręt.

— Andrzej! Posłuchaj mnie.

Stawicki umilkł i spojrzał na Izę.

— My nie tylko jesteśmy teraz na wojnie — powiedziała. — Bierzemy w niej udział. Walczymy o własne życie.

— Mówiłem już, widziałem wojnę..

—Ale wtedy byłeś sam Teraz jest nas sześcioro Jeśli jednemu się nie uda. to nikomu się nie uda. Rozumiem, że czujesz się winny, ale gdybyś się zawahał na dziedzińcu więzienia albo w tamtej wieży, moglibyśmy już nie żyć.

— Może Ale można było użyć innego sposobu.

— Na przykład jakiego? Nie mieliśmy dużego wyboru. Gdy-

by nas przepuścili przez bramę, może by się obeszło bez ofiar. W lesie miałeś do wyboru: walczyć lub umrzeć. A na wieży ... sędzę, że jakkolwiek potoczyłyby się wypadki- ktoś musiałby zginąć. Inaczej zmierzalibyśmy z powrotem do więzienia.

— Wiesz, co mmm naprawdę przeraża?

— Co takiego?

— Tomasz. To. że nie zawahał się ani na moment. Zabijał, jakby..

— Robił to już wcześniej?

— I zdołał do tego przywyknąć. Kim on jest. do diabła?

— Nie wiem. Ale bez niego również nic dalibyśmy rady. Andrzej, przestań się zadręczać, pozbawiłeś życia tych ludzi w akcie samoobrony. Bronieś nie tylko siebie, ale nas wszystkich przed losem, który ledwo możemy sobie wy. obrazić. Bronieś mnie.

— Ale wciąż jestem mordercą. Tak jak Tomasz.

— My albo oni. Andrzej. My albo oni. Czasem po prostu nie ma innego wyjścia. Wiesz... — zawahała się. — Ja także kiedyś omal nie zabiłam człowieka. Swojego męża.

— Nie wierzę.

— A jednak. Kiedy za mego wychodziłam, był wspaniałym człowiekiem. Szczery, kochający, łagodny. A potem, niemalże w ciągu chwili, zmienił się w potwora. Zaczęło się bicie, znęcanie psychiczne... Nawet, gdy byłam ciąży — po jej policzku potoczyły się łzy. — Gdy nosiłam pod sercem jego dziecko. Więc kiedyś powiedziałam „dość” Chwyciłam kuchenny nóż i... kiedy spal. . Sąd stwierdził, że przekroczyłam granice obrony koniecznej. Oskarżyli mnie o próbę morderstwa i umieścili w ośrodku dla umysłowo chorych. Tam urodziłam. Jedyne, co dobre, to Ze mąż się wystraszył i zostawił mnie w spokoju Tak więc sam widzisz, że jeśli chcemy przeżyć. W musimy walczyć.

Przytulili się do siebie mocno i trwali w tym uścisku przez kilka minut. Pozwolili, by łzy płynęły swobodnie, oczyszczając ich dusze. Nie próbowali się pocieszać, bo słowa były zbędne

— A teraz chodź — powiedziała w końcu Iza. - Nie chcesz chyba spędzić tu całej podróży, prawda.

— Uważam, że powinniśmy zmienić kierunek — stwierdził Andrzej.

Zapadał zmrok. Na niebie zawisł księżyc. Góry, choć wciąż dalekie, zdawały się bliższe Lecieli już dobre kilka godzin, a wiatr wciąż im sprzyjał.

Wszyscy siedzieli na głównym pokładzie, oprócz Orańczaka, który odsypiał pijaństwo w kajucie kapitana.

— Dlaczego? — zapytała Anna.

— Całe miasto widziało, że odlecieliśmy na północ. Dominium może właśnie teraz przygotowuje pułapkę na nas.

— Myślisz, że zmylimy ich, zmieniając kierunek?

— W każdym razie kupimy sobie trochę czasu.

— Co konkretnie proponujesz? — wtrącił Wysocki.

— Północny zachód.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Po prostu przeczucie.

— Przeczucie, mówisz? W porządku. W zasadzie to bez znaczenia, dopóki nie zawrócimy.

— Co z załogą? — spytał Jan.

— Dobrze pytanie — mruknął Andrzej,

— Będziemy trzymać warty — zaproponował Wysocki.

— Mamy jedną kuszę i dwa bełty — przypomniał Andrzej — Myślisz, że długo zdołamy utrzymać ich w ryzach?

— Cały dzień byli grzeczni.

— Skąd wiesz, czy nic knuli czegoś?

— Co w tak im razie?

— Nie jestem pewien. Ale nie ufam im.

— Więc co powiesz na to? Obserwowałem ich cały dzień. To mały siatek, jak widać, trzech marynarzy wystarcza w zupełności. Sądzę, że sami sobie poradzą ze sterowaniem i nawigacją.

— Oszalałeś

— Nie. Po starcie, który był nieco chaotyczny, pociągnęli i za trzy, cztery sznurki

— Na początku było ich siedmiu — zauważył Jan.

— Może to była nocna zmiana. A z trzech pozostałych przy ży-

ciu, jeden zawsze stał za kołem sterowym. Myślę, że całym kra-
mem rządzi sprytny system przekładni, bloczków i lin połączony
właśnie z kołem sterowym. Zauważcie, że znajduje się ono na
dziobie, blisko większości żagli. Rzekłbym, nietypowe miejsce.

Kitka minut później marynarze zostali zamknięci w ładowni. a
Andrzej stanął za kołem sterowym. Przed sobą widział jedynie roz-
ległą połąć nocnego nieba. Na próbę zakręcił kołem Reja wystają-
ca poza bakburtę złożyła się jak skrzydło, statek przechylił się i
zatonął łuk.

— Widzę, że opanowałeś podstawy — powiedział Wysocki,
zbliżając się do Andrzeja.

— Problemy się zaczną, jak trzeba będzie zmienić ustawienie
żagli.

— Wtedy wypuścimy marynarzy. Za bardzo się przejmujesz.

— Taa...

— Skoro tak dobrze się bawisz, zostawiam cię. Idę się zdrzem-
nąć. Obudź mnie, jak poczujesz się zmęczony,

— Nie ma sprawy.

Andrzej zapatrzył się w mrok. Przez chwilę obserwował żółtą
kulkę światła śmigającą po niebie. *Nietoperz*

Rozpoznał zwierzę po jego aurze i wcale go to nic zdziwiło. Wi-
dział też sowę. Kiedy nieco się wychylił i spojrział w dół. dostrzegł
mrowie różnokolorowych światełek i wiedział, że właśnie przela-
tują nad wioską. Odwrócił się. Trzy jasne poświaty pod pokładem
Dwie w kajucie: to Iza i Anna wygoniły Orańczaka, którego lekko
wzburzona aura jaśniała teraz przy burcie, gdzie leżał obok Jana..
Jednej aury brakowało. Widział postać Wysockiego opartą o burte
w pobliżu śpiącego profesora i Jana, ale spowijał go mrok. An-
drzej wciąż nie był w stanie przeniknąć zasłony, za którą skrył się
Tomasz. Potem spojrział na swoje dłonie i się uśmiechnął Otuląła
je delikatna. lśniąca złotem mgiełka.

Koło północy Andrzej poszedł po Wysockiego Sam zajął jego
miejsce, nakrył się kocem i zasnął.

Obudził się przed świtem. Księżyc odpłynął gdzieś daleko, nie-
bo poszarzało, a potem się zaróżowiło odbitym przez chmury bla-

skiem. Było zimno, lecz ani Janowi, ani Antoniemu nie przeszkadzało to w spaniu. Andrzej usiadł i spojrzał na dziób. Tomasz siadł przy kole sterowym, nieruchomy jak posąg. Słońce oświetlało go od tyłu i w tej pozycji wyglądał zupełnie jak...

Kapłan.

W jednej chwili Andrzej znalazł się zupełnie gdzie indziej. Wokół był piasek. Tuż nad głową łysego mężczyzny w białej szacie wisiał błędny szybko, ale wciąż widoczny krążek księżyca. Rośnąca nieopodal palma nachylała się jakby w nabożnym skupieniu.

Wizja rozplynęła się tak szybko, jak się pojawiła i Andrzej znów siedział oparty o burtę powietrznego statku, gapiąc się w plecy Wysockiego. Ten jakby wyczuł to i się odwrócił.

- Dzień dobry. Andrzej — powiedział. — Nie możesz spać?

— A ty? — odpowiedział Andrzej pytaniem na pytanie podchodząc do Tomasza. — Stoisz tu pół nocy.

— Nie czuję zmęczenia.

— Góry są coraz bliżej — stwierdził Stawicki, patrząc na błękitne, poszarpane szczyty.

— Owszem. Myślę, że jeszcze tydzień, może dziesięć dni lotu i będziemy u ich podnóża.

— Dobrze. A co dalej?

— Znajdziemy Rydwan i wrócimy do domu — odparł zakonnik, błyskając zębami w uśmiechu. — Mówiłem ci, za bardzo się martwisz.

— Taki jesteś pewien, że znajdziemy ten cudowny Rydwan?

— O, tak — na twarzy Tomasza zagościł niepokojący Andrzejego uśmiech.

— Chciałbym mieć taką wiarę jak ty.

— Po twoich czynach sadziłem, że masz.

— Nadzieję. Podszytą lękiem, że wszystko to na nic.

I ciebie lei się boję. Tomasz. Nie widzę twojej aury i to mnie przeraża.

— Będzie dobrze Andrzej. Przeznaczenie nami pokieruje.

— To świetnie. Ja tymczasem poszukam czegoś do jedzenia.

Poszedł do ładowni. Związani marynarze patrzyli na niego bezradnie, kiedy ich mijał. Nie zdecydował się ich uwolnić.

W kącie znalazł deskę, która mogła służyć za tacę. Wymuszony sojusz z franciszkaninem kazał mu wziąć dwa płyty solonego mięsa i dwa kubki wody. Podniósł prowizoryczną tacę i wrócił na pokład.

— Dziękuję — powiedział Wysocki, wgrzyzając się w mięso. — Jestem głodny jak wilk.

— Tak właśnie myślałem

— Chyba wiatr się zmieni — stwierdził zakonnik, wyszarpując kolejny kęs,

— Skąd wiesz?

— Czuję to. Zawsze wyczuwałem zmianę pogody. W powietrzu jest wtedy coś takiego...

— Więc trzeba będzie uwolnić marynarzy.

— Chyba masz rację.

— Obudzę Antoniego.

Profesor głośno protestował przeciwko wyrywaniu go *te* snu.

— Mam kaca — marudził. - Boli mnie głowa.

— Nie trzeba było wczoraj pić. Musisz mi pomóc.

— Jan nie może?

— Jest mnichem. Nie potrafi posługiwać się bronią. A ja muszę uwolnić naszą załogę.

— Uwolnić? A co się z nimi stało?

— Zamknęliśmy ich na noc.

Wkrótce marynarze krzatali się na pokładzie. Okazało się. Wysocki ma rację. Zaczął wiać wschodni wiatr, spychając ich z kursu.

Obudzili się pozostali uczestnicy wyprawy Zebrali się na dziobie, aby podziwiać panoramę gór

— Wydają się na wyciągnięcie ręki - powiedziała Anna.

— Piękne złudzenie — westchnął Antoni.

—Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za tydzień przestanie być złudzeniem odparł Andrzej.

—Jak Bóg da — zakończył Jan.

Wysocki tylko mrużył oczy i się uśmiechał.

— Mówiłaś, że mi pomożesz. Jak?

— Nie wiem. Ale będę wiedziała, gdy nadejdzie czas.

— Boję się, że zanim się dowiesz, będzie za późno.

— Przeznaczenie na to nie pozwoli.

— Wysocki jest zbyt niebezpieczny, abym mógł zawierzyć czemuś tak mglistemu, jak przeznaczenie, którego nie znam

— Andrzej, nie nauczę cię magii, którą zna Tomasz. Tego możesz się nauczyć tylko ty sam. Na razie mogę cię wysłuchać i służyć radą

— Wiem. Przepraszam. I dziękuję.

W nocy Andrzejowi znów śniły się światy Nieskończona ilość światów, jeden za drugim, a on wisi w próżni i podziwiał ich piękno. Takie same, a jednak inne. Każdy z nich był oddzielnym, niezależnym bytem, na którym ewolucja mogła pójść w całkiem innym kierunku, ale jedno miały wspólne. Blask, który je oświecał, miał jedno źródło. Andrzej o tym wiedział, mimo że nie mógł się poruszyć i widział ten blask tylko kątem oka. Promienie światła wyciągały się w stronę światów, niczym palce. Wyglądały jak żywe. Andrzej chciał się odwrócić, chciał spojrzeć w to światło choćby przez moment, ale nie mógł. Odmówiono mu tego prawa i jego serce ogarnął wielki żal.

Potem znalazł się na orbicie jednego ze światów, który wessał go i sen się skończył. Andrzej obudził się na twardych deskach pokładu powietrznego statku.

Przez kolejne dwa dni nic mieli żadnych problemów. Marynarze byli zamykani na noc i wtedy ster przejmowali na zmianę Andrzej, Tomasz i Antoni Jan nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Iza i Anna zaanektowały dla siebie kajutę.

Przelatywali nad rzekami, polami, lasami i wioskami. Wiatr im sprzyjał. Mknęli prosto do celu i zdawało się, że nic nie może ich zatrzymać Góry każdego dnia były coraz bliżej Widzieli już śnieżne czapy na ich szczytach

Trzeciego dnia natrafili na duży problem.

ROZDZIAŁ 312

Egipt 3000 lat p.n.e.

Podróż z biegiem rzeki była o wiele przyjemniejsza i łatwiejsza niż przemierzanie piasków pustyni, lecz dla Achona nie miało to znaczenia. Od momentu, gdy poprzedniej nocy opuścili gospodarstwo, Sefian nie odezwał się do syna ani razu.

Atmosfera między nimi była napięta jak struna. Chłopiec nie potrafił rozszyfrować nastroju ojca. Kapłan nie okazywał złości ani żadnych innych uczuć, po prostu zamknął się w sobie i jakby przestał zauważać syna. Achon próbował przeproszać, tłumaczyć się, ale jego słowa trafiały na kamienny mur milczenia. Wkrótce więc przestał próbować i tym sposobem od kilku godzin nie zamienili ze sobą słowa. Przez chwilę rozważał możliwość spojrzenia w myśli ojca, ale szybko odrzucił ten pomysł. Obiecał przecież, że nie będzie tego robił.

Wlókł się więc na swoim wielbłądzie za ojcem i rozmyślał nad wydarzeniami poprzedniej nocy. Wyraźnie pamiętał tylko to, co stało się po tym, jak przekroczył próg domu. Ale dlaczego w ogóle postanowił tam wejść? Nie mógł zasnąć, to też pamiętał. Mimo że był bardzo zmęczony, sen nic nadchodził, więc wyszedł ze stajni. Coś usłyszał.

Chodź, chodź, chodź...

Świerszcze. A polem ujrzał światło w jednym z okien. Nagle zrozumiał, co się stało.

Wpadłem w trans

Tak nim to wstrząsnęło, że musiał natychmiast podzielić się nowiną z ojcem.

— Dobrze wiem, co to było — burknął Sefian, gdy Achon go dogonił.

Chłopiec ucieszył się, że wreszcie powstał wyłom w murze, jakim otoczył się jego ojciec.

— W tym, co zaszło, nie było twojej winy. Nie byłeś na to przygotowany — ciągnął kapłan, a w chwilę potem dodał: — Przepraszam.

Chwilową, dziecięcą wręcz radość z faktu, że ojciec nie jest jednak zły, przesłoniło wspomnienie piekącego śladu na policzku, oczu błyszczących w mroku i krzyku. Sefian powoli zbliżał się do granicy, zsuwał się w otchłań

A ja muszę być gotów, gdy to nastąpi.

— Kim była ta kobieta? — zapytał.

Sefian skulił się w siodle. Achon najpierw się zdziwił, a potem zrozumiał.

— Nie widziałeś jej. prawda'.

Cisza.

— Widziałeś kogoś innego.

Milczenie.

— Mamę.

— Mówiłem ci. żebyś tego nic robił! — wrzasnął Sefian.

Znów te gorejące oczy i ślina bryzgająca z wykrzywionych grymasem wściekłości ust..

— Mówiłem, czy nie?!

— Nic nie zrobiłem! — odparł Achon. z trudem hamując płacz.

— Więc skąd wiesz? — twarz kapłana znalazła się o centymetry od ucha chłopca. — Skąd tak dobrze wiesz?

— Domyśliłem się.

— Domyśliłeś...

— Tak! Przybrałeś maskę, laka samą jak po śmierci mamy!

— Zamknij się...

— To ją widziałeś! Ją! Taką jak wtedy, gdy umierała! Z ropiejącymi wrzodami na całym ciele i...

Umilkł na widok uniesionej ręki kapłana. Jechali tuż obok siebie. siodło w- siodło i Sefian mógł bez przeszkód zadać cios. który zrzuciłby Achona z siodła. Nie zrobił tego. Dłoń przez chwilę wisiała nieruchomo w powietrzu. a potem opadła. Rysy twarzy kapłana zmiękły. Oczy straciły swój szaleńczy błysk.

— Jak długo tam stałeś? — zapytał chłopiec.

Sefian odwrócił wzrok

— Jak długo stałeś tam sparaliżowany i patrzyłeś, zanim mnie wyciągnąłeś?

— Długo. Zbyt długo Mogłeś tam zginąć i byłaby to moja wina.

— Minęło tyle lat... Sądziłem, że już dawno pogodziłeś się ze śmiercią mamy...

— I ja tak myślałem, synu. Ale każdy człowiek ma ciemne zakamarki duszy, gdzie ukrywa rzeczy, których nic chce lub nie

może zaakceptować. To, co brałem za pogodzenie się z losem, było właśnie takim zepchnięciem dręczących mnie uczuć w podświadomość. I one tam tkwiły, nierozwiązane, powiedziałbym: nieprzerobione, czekając na okazję, aby znów wypłynąć na powierzchnię. No i wypłynęły.

— Zamierzasz coś z tym zrobić?

— Tak. Teraz, gdy to, co było ukryte, zostało ujawnione, nie da się tego ukryć ponownie. Nie mam wyboru. Muszę spróbować rozprawić się z tamtymi wydarzeniami i towarzyszącymi im emocjami raz na zawsze.

— Jak?

— Udam się na pustynię. Sam. Nie wtem, ile czasu tam spędzę, ale gdy znów się spotkamy, będę wolnym człowiekiem.

— Pójdę za tobą.

— Nie. Nie tym razem. Muszę sobie z tym poradzić sam. Teraz.

To powiedziawszy, Sefian poderwał wielbłąda do galopu. Achon patrzył na malejące w oczach sylwetki, aż zniknęły wydrami. Otarł łzę spływającą po policzku i się uśmiechnął. Polem ruszył wzdłuż brzegu Nilu, nie oglądając się za siebie.

Tej nocy sam rozbił obóz. Zupełnie jak na początku podróży, gdy uciekł ze Świątyni. Z tą jednak różnicą, że teraz miał dwa wielbłądy, z czego jeden był objuczony żywnością i drewnem na opał, a wody było pod dostatkiem. Achon miał nadzieję, że Sefian ma przy sobie coś do jedzenia. Być może znajdzie też dość suchego drewna, aby ogrzać się przy ognisku.

Niepokoił się o ojca. Liczył, że do zmroku spotka go czekającego gdzieś przy brzegu. Nie sądził, aby stało się coś złego, wyczułby to. Przynajmniej tak mu się wydawało, bo pewności nie miał.

No i nie uśmiechało mu się znów samotnie spędzać noc na pustyni. Miał wszak tylko dwanaście lat i wszelkie prawo, aby się bać. Gdy uciekał ze Świątyni, też się bał. Wtedy tulił się do wielbłąda, szukając ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Teraz oprócz wielbłąda miał też ogień, ale nie poprawiało mu to samopoczucia.

Próbował przeniknąć ciemności, dojrzeć gdzieś w oddali blask

ogniska, przy którym siedział jego ojciec, ale na próżno Sefian albo był za daleko, albo nie rozpałił ognia.

Achonowi nie pozostało nic innego, jak wtulić się w sierść wielbłąda i zasnąć. Lecz tej nocy sen również nie chciał nadejść. Ilekroć chłopiec zamykał oczy, widział stary dom, sypialnię i kobietę o krwawiących oczodołach. Zastanawiał się, dlaczego Sefian widział coś zupełnie innego? Dlaczego on sam nie widział matki? Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Znowu naszała go ochota, aby poszukać ojca myślą, ale oparł się pokusie

Był zmęczony i się bał. Na każdy głośniejszy szmer reagował przyspieszonym biciem serca. Za to zwierzęta były zupełnie spokojne. Gdyby do obozowiska zbliżał się jakiś drapieżnik czy duch pustyni, na pewno pierwsze podniosłyby alarm.

W końcu ich spokój udzielił się Achonowi i chłopiec zasnął, aby śnić swoje własne koszmary.

Sefian siedział w ciemnościach daleko od brzegu Nilu. Nic rozpałił ognia, nawet nie szukał drewna. Potrzebował ciszy i spokoju, a ogień tylko by go rozpraszał. Nawet parskanie wielbłąda mu przeszkadzało.

Ze swojego miejsca nie widział ogniska, ale wiedział, że Achon jest bezpieczny. Chłopiec był silny, na pewno da sobie radę w życiu. Nic jednak nie przygotowało go na przeżycia ostatniej nocy. Pułapka na niczego nieświadomych ludzi była zmyślnie skonstruowana. Ilu z tych zabłąkanych, którzy weszli do środka, nigdy nie opuściło tamtego budynku? Achon również otarł się o śmierć, ale nic było go łatwo zwabić, upierał się, nawet jeśli nieświadomie, i właśnie dzięki temu Sefian zdążył go wyciągnąć. Być może, gdyby chłopiec jeszcze za dnia w szedł wraz z nim do środka, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Próżne gdybanie. Przeznaczenie nie pozostawiało nikomu wyboru. Achon przeszedł lekcję. Sefian również. A skoro już mowa o sile, on także nic był przygotowany na to, co ujrzał w pokoju. Wiedział natomiast, jaki przekaz się za tym krył, co musi zrobić. Żal i poczucie winy nic odstępowały go na krok przez te wszystkie lala, mimo że zepchnął je na samo no swojej duszy, okłamując

samego siebie, że to już przeszłość. Łudził się, że był wolny od tych uczuć. Dopiero wydarzenia poprzedniej nocy uświadomiły mu, że to nieprawda. Nic mógł żyć dalej, nie rozwiązawszy tej sytuacji. Nic było wyboru.

Musi ponownie przeżyć śmierć Timmali, aby ostatecznie się od niej uwolnić i oczyścić z emocji, które nie pozwalały mu iść do przodu. Jutro ponownie spotka się z synem i razem ruszą w dalszą drogę, ale nim to nastąpi, on. Sefian. musi uporać się z przeszłością.

Wstał i, jak zwykle w takich wypadkach, oddalił się od tego. Co z braku lepszego określenia nazwał obozowiskiem, aby w spokoju oddać się medytacjom.

Komnata była zalana światłem, ale on tego nie widział. Klęczał przy łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Czekał.

— Nareszcie — odezwała się z łóżka Timmala. Podniósł głowę i ujrzał swoją żonę wpatrzoną w niego i uśmiechniętą. Bogowie, jak on kochał ten uśmiech! Jej twarz i ciało były czyste, bez śladu wrzodów, ale on wiedział, że jest tylko o krok od śmierci.

— Co tak długo? — zapyłała, nie przestając się uśmiechać.

— Przepraszam.

— Za co?

— Zawiodłem cię.

— Czyżby?

— Umierasz, bo nie znalazłem lekarstwa na twoją chorobę, ani nikogo, kto mógłby ci pomóc.

— Może za słabo się starałeś?

Błysk w jej oku zdradził, że wcale tak nie myśli. Prowokowała go, jak zwykle, gdy zanosilo się na kłótnię. Ale nie tym razem. Mieli mało czasu i nie zamierzał trwonić go na głupstwa.

— Kochany, musisz wreszcie przesiać się winić za moją śmierć.

— Jak mogę spojrzeć w twarz naszemu synowi, wiedząc, że pozwoliłem ci umrzeć.

— Dureń — prychnęła — Naprawdę sądzisz, że miałeś lej materii cokolwiek do powiedzenia? Ze miałeś jakikolwiek wpływ na tę sytuację? Moja śmierć była nieunikniona. Nadszedł mój czas. I naprawdę dziwi mnie, że właśnie ty, kapłan wielkiej Świątyni Bytu. Horusa. czy jak go tam zwiecie, nie potrafi tego zrozumieć.

— Rozumiem, ale nie godzę się na to.

— O! Nareszcie zaczynasz mówić z sensem. Nazywasz rzecz po imieniu. Niestety kochany, jak już mówiłam, nie masz w tej kwestii nic do gadania. Nic zostało nam już dużo czasu. Niedługo znów zacznę rzezić, moja skóra zbieleje i pokryje się ropiejącymi wrzodami, a ty będziesz musiał na to patrzeć. Będziesz musiał tym razem to przyjąć i zaakceptować, odrzucając żal i poczucie winy. Musisz to zwalczyć, aby móc wykonać powierzone ci zadanie do końca. Jeszcze się spotkamy, ale nieprędko Jesteś golów?

— Nie.

— Musisz.

— Kocham cię

— Ja ciebie też kocham

Przestała się uśmiechać. Odwróciła głowę, półprzytomny mętny wzrok wlepiła w sufit. Oddech stał się płytki i urywany, a potem w jej gardle zebrała się flegma i każdemu wydechowi towarzyszył nieprzyjemny, wilgotny dźwięk. Wykwitły pierwsze czerwone plamy Najpierw na dłoniach spoczywających luźno na kocu. pod którym leżała, następnie na ramionach, szyi, brodzie, policzkach i czole. Błyskawicznie zaczęły się tworzyć wrzody, które w mgnieniu oka dojrzewały i pękały. Żółtozielona ropa ściekała na koc i materac W końcu rzeźenie ucichło i Timmala umarła.

Sefian przez cały czas stał nad łóżkiem i patrzył, a po policzkach ciekły mu łzy.

Świt zastał go siedzącego na piasku w tej samej pozycji, w której rozpoczął medytację Skrzyżowane nogi zdrętwiały, więc wyprostował je. nie próbując nawet wstać. Zaczęły boleć, gdy wróciło im krążenie.

Położył się na plecach. Był zmęczony, ale jednocześnie czuł się lekko i radośnie. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę lekko.

Zasnął.

Nie spał długo. Pustynne słońce szybko zauważyło jego obecność i zaczęło go przypiekać. Wrócił do obozu. Wielbłąd leżał tam, gdzie zostawił go wczoraj przywiązanego do palika. Szybko go osiodłał, pozbierał rozrzucony bezładnie bagaż i wrzucił zwierzęciu na grzbiet, po czym ruszył w stronę Nilu, zajadając daktyle. Zatrzymał się u brzegu rzeki i czekał na syna. Achon pojawił się jakieś dwie godziny później i już razem ruszyli w dalszą podróż.

Nic rozmawiali o tym, co Sefian przeszedł w nocy. Kapłan nie mówił, a chłopiec nie pytał, ale skutki były widoczne gołym okiem.

Achon ze zdumieniem odkrył, że ojciec jest wesoły. Często się uśmiechał i nic był to krzywy uśmiech starego cynika, lecz uśmiech szczery, czysty i wyrażający prawdziwą radość. Czy taki właśnie był Sefian, nim zmarła Timmala? Tego Achon nie pamiętał. Był jednak pewien, że ta radość i wesołość nie potrwają długo. Wkrótce kapłan przypomni sobie o misji, którą ma do wykonania i na powrót przybierze szorstką postawę. Może, gdy wypełni już swoje zadanie, znów stanie się wesołym, wolnym od trosk człowiekiem, który czerpie radość z życia, tym razem na stałe?

Tak będzie, jeśli jest mu to przeznaczone. Achon uważał, że jego ojciec dość już się wycierpiał, ale czy i bogowie są tego zdania? Na razie jednak cieszył się z tego światła, które rozświetlało mroki duszy Sefiana i chciał, aby trwało to jak najdłużej. Dlatego nie odzywał się, tylko jechał w milczeniu obok swego ojca, zmierzając ku przeznaczeniu, które czekało [na nich u stóp Wielkiej Piramidy.

Nazajutrz dotarli do miasta. Sindu, bo tak się ono nazywało, leżało po obu stronach Nilu. a łączność pomiędzy oboma brzegami zapewniał prom. We wschodniej, większej części miasta znajdowały się: targowisko, warsztaty rzemieślników oraz ich domostwa, świątynie zaś i mieszkania bogatych kupców oraz miejscowej arystokracji mieściły się na zachodnim brzegu. Nieopodal

przeprawy promowej znajdowała się przystań.

Cale miasto otoczone było polami uprawnymi, teraz podtopionymi. Rolnicy w oczekiwaniu na koniec pory wylewu pracowali zapewne gdzieś przy budowie świątyń i pałaców ku chwale bogów i faraona.

Sefian i Achon wkroczyli do miasta, nie zwracając na siebie uwagi. Zsiedli z wielbłądów i prowadząc je za uzdy, ruszyli wąskimi ulicami w stronę portu. Udało im się ominąć centrum i wkrótce trafili na brukowaną promenadę, która łączyła się z przystanią. Tam, na rzece leniwie kołysał się tylko jeden statek

— Zostań tu — powiedział Sefian, podając Achonowi lejce swojego wielbłąda, po czym wkroczył na drewniane molo, do którego przycumowany był statek.

Stanął przy trapie i zawołał do kręcących się po pokładzie ludzi, że chce rozmawiać z kapitanem. Po chwili przy burcie pojawił się siwowłosy mężczyzna. Nie powiedział ani słowa, tylko spojrzał wyczekująco na kapłana.

— Dokąd płynie twój statek, panie? — zapytał Sefian

— W dół Nilu, aż do delty. A potem dalej — odparł kapitan po dłuższej chwili.

— Czy zechciałbyś, panie, zabrać dwóch pasażerów, mnie i mojego syna do Incbu-Hedż?

— Statek nie należy do mnie i decyzja kogo zabrać, a komu odmówić, również nie należy do mnie.

Sefian spuścił głowę na myśl o dalszej wyczerpującej podróży przez pustynię.

— Ale jeśli chcesz — ciągnął kapitan — możesz spróbować porozmawiać z kupcem, który jest właścicielem statku i wszystkiego, co znajduje się na jego pokładzie.

— Gdzie go znajdę, panie?

— Jeśli pójdziesz tą szeroką ulicą na wprost mola, to trafisz na targowisko. Towary tego kupca są bardzo cenione i cieszą się tu ogromną popularnością. Zauważysz go bez trudu, gdyż ma najbardziej oblegane stoisko na całym targu.

— Dzięki ci, panie — rzekł Sefian, kłaniając się w pas, a gdy podniósł wzrok, siwowłosego kapitana już nie było.

Kapłan wrócił do syna i streścił mu przebieg rozmowy. Dostyć szybko znaleźli stajnię, gdzie za drobną opłatą mogli zostawić wielbłądy, i udali się na targ.

Przywitał ich wielobarwny, rozkrzyczany tłum. Kupcy starali się ich nakłonić do kupna warzyw, owoców, zwierząt, glinianych dzbanów i dziesiątków innych towarów, lecz oni ich wszystkich ignorowali, kierując się ku centrum placu. Tam zebrała się największa liczba ludzi. Na drewnianym podwyższeniu, wysoki, barczysty mężczyzna w asyście kilku strażników zachwalał swój towar. Właśnie w tej chwili licytowana była śliczna, młoda, czarnoskóra dziewczyna. Za nią w rzędzie stali jej pobratymcy z dalekich stron. Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Wszyscy w kajdanach i skuci łańcuchami.

— Handlarze niewolników — szepnął Achon. — Nie widziałem czegoś podobnego nigdy wcześniej.

— W Behdet kapłani Bytu nie pozwalają na takie rzeczy. Każda forma niewolnictwa, czy to fizycznego, czy psychicznego, jest przez nas uważana za zło. Brzydzimy się tym. Kiedyś cały Egipt był wolny od niewolnictwa, ale odkąd Set zdobywa nowych wyznawców, wszystko ulega zmianie na gorsze. A my nie możemy nic na to poradzić.

— Nawet z pomocą Rydwanu?

— Sam Rydwan nie rozwiąże wszystkich problemów tego świata! Najpierw muszą się znaleźć ludzie, którzy dostrzegają istotę problemu i chcą go rozwiązać. Poza tym...

— **Co poza** tym ?'

— Czasem mam wrażenie, że Rydwan bardziej służy sprawie Seta niż Horusa. Sprawia, że chce się go użyć. Ulepszyć świat, naprawić go. Sęk w tym, że nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć konsekwencji naszych czynów, ani tego, dokąd nas zaprowadzą. Dość już tych wynurzeń. Chodźmy porozmawiać z tym... kupcem.

Targ właśnie się kończył. Strażnicy sprowadzali z podestu niewolników, których nie udało się sprzedać, tłum powoli się rozchodził. W końcu na platformie został tylko handlarz. Siedział za stołem, na którym piętrzył się stos monet i liczył zyski. Za nim stali dwaj strażnicy uzbrojeni w drugie miecze. Gdy Sefian i Achon

zbliżyli się do handlarza, mężczyźni chwycili za rękojeści, jasno dając do zrozumienia, że jakikolwiek nieprzemyślany ruch będzie miał bardzo nieprzyjemne konsekwencje.

— Panic? — zaczął kapłan, całkowicie ignorując strażników.

Mężczyzna przerwał liczenie i spojrzał na intruzów. Lewe oko miał całkowicie białe.

— Panie — powtórzył Sefian, kłaniając się w pas — Podróżuję z synem do Inebu-Hedź. gdzie oddam go na naukę zawodu piwowara. Wędrówka przez pustynię okazała się dla nas bardzo nużąca, a dowiedzieliśmy się, że stojący na przystani w tym mieście statek należy do ciebie. Czy zechciałbyś, panie, wyświadczyć nam tę przysługę i zabrać nas ze sobą do Inebu-Hedź?

Handlarz przez chwilę przyglądał się na przemian kapłanowi i chłopcu, a potem się uśmiechnął. Był to szeroki, ciepły i budzący zaufanie uśmiech człowieka życzliwego całemu światu.

— Podaj mi jeden powód, dla którego miałbym to zrobić — odezwał się głębokim basem.

— Mogę zapłacić.

— Przemawiasz wprosi do mego serca. Skąd jednak mam wiedzieć, że nic kłamiesz?

— Nie kłamię, panie — rzekł Sefian. wyciągając z sakwy kilka złotych monet.

Handlarzowi na ten widok zabłysły oczy. a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy

— Wyplywamy wieczorem, Bądź w porcie.

Sefian skłonił się ponownie, objął syna i zszedł z nim z platformy.

— Nie mówiłeś chyba poważnie, że z nimi popłyniemy? — zapytał Achon. gdy oddalili się poza zasięg słuchu handlarza

— Nie mamy wyjścia.

— Ale to handlarz niewolników!

— Do którego należy jedyny dostępny statek

— Więc jedźmy dalej pustynią. Jak dotychczas.

— Nie mamy czasu.

— Skąd wiesz?

— Czuję to. Musimy się spieszyć, a to jedyny sposób.

W ciągu godziny znaleźli kupca, któremu sprzedali swoje wielbłądy wraz z siodłami i sakwami, zostawiając sobie tylko najpotrzebniejsze rzeczy i żywność. Potem udali się do gospody, gdzie za część uzyskanej sumy zjedli przyzwoity posiłek. Przeczekali tam kilka godzin, a o umówionej porze stawili się w porcie.

— Gdy znajdziemy się na pokładzie, musimy być czujni — mówił Sefian, kiedy zbliżali się do opuszczonego trapu — Nie możemy ani na chwilę zapomnieć, że to są handlarze niewolników, ludzie pozbawieni skrupułów.

— A mimo to włączymy im prosto w łapy...

— Mówiłem ci już. Nie mamy wyjścia. Ale razem jesteśmy silni i wierzę, że poradzimy sobie w każdej sytuacji.

Z tymi pokrzepiającymi słowami weszli na pokład. Tam już czekał na nich handlarz w towarzystwie kapitana i jeszcze jednego mężczyzny, niskiego chudzielca o szczurzej twarzy, żółtej cerze i skośnych oczach.

— Witajcie! — zawołał ślepy na jedno oko handlarz. — Jesteście w samą porę. Nazywam się Eneron. to mój zastępca i asystent Kendo i Panemes, kapitan tego statku. Wkrótce wypływamy. Kendo zaprowadzi was do waszej kajuty.

— Dzięki ci, panie. Ja nazywam się Sefian. a mój syn to Achon Jeśli chodzi o zapłatę ...

— Później, mój dobry człowieku — przerwał Eneron. — Później. Mamy na to dużo czasu.

Kajuta była ciasna i miała tylko jedno łóżko, dokładnie tak, jak spodziewał się Sefian. Kendo wpuścił podróżnych do środka, skinął im głową, poczym wyszedł. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, statek odbił od przystani.

Ojciec i syn usiedli na wąskim łóżku. Achon był przybity i wystraszony. Myśl, że płynie statkiem należącym do handlarza niewolników, napelniała go lękiem.

Kolacje zjedli w swojej kajucie, rozświetlanej jedynie przez skromną lampkę oliwną. Potem Sefian wyszedł porozmawiać z

Eneronem. pozostawiając Achona sam na sam z jego myślami.

Chociaż od początku podróży zamienili ze sobą ledwie kilka stów, Achonowi wydawało się, że po wyjściu ojca w kajucie zrobiło się jeszcze ciszej. Słyszał skrzypienie drewna, trzeszczenie napiętych lin. łopot żagla. A także jęki. Przytłumione, ciche jęki dobiegające spod pokładu. Płacz kobiet i dzieci. Achon leżał w łóżku, nic mogąc zasnąć, i wsłuchiwał się w zawodzenie wiatru zmieszane ze szlochem niewolników.

W końcu, nie mogąc dłużej tego wytrzymać, wyszedł na pokład. Gdy tylko otworzył drzwi, noc uderzyła go lodowatym biczem. Wydęty żagiel łapał wiatr, który wraz z prądem rzeki pchał siatek ku delcie Nilu i odległemu morzu. Chłopiec przez chwilę stał bez ruchu, spoglądając to na rozgwieżdżone niebo, to na umykające brzegi.

— Wszystko w porządku"

Achon aż podskoczył ze strachu. Odwrócił się i ujrzał kapitana przyglądającego mu się z troską.

— Tak. w porządku — odparł. — Wystraszyłeś mnie. panie.

— Nie było to moim zamiarem. Co robisz tu na pokładzie?

— Szukam ojca

— Aaa. .. Jest pod pokładem, w kabinie Enerona. Nic radziłbym ci tam schodzić, jeśli nie masz naprawdę ważnego powodu — powiedział kapitan i odszedł.

Achon spoglądał na oddalającego się Panemesa. nie zdając sobie sprawy, że jego samego z dziobu statku obserwuje Kendo. W pewnym momencie chłopiec odwrócił się i zdążył zauważyć żółtoskórego mężczyznę, gdy ten właśnie schodził pod pokład.

— Kendo jest cudzoziemcem — wyjaśnił Sefian. gdy Achon zapytał go o Żółtoskórego człowieka - Pochodzi z ziem leżących daleko na wschodzie.

— Jak znalazł się w Egipcie?

— To chyba wic tylko on sam i może jeszcze Eneron Ale gdybym był na twoim miejscu, nie pytałbym o to żadnego z nich

— Nic zamierzam — bąknął chłopiec Ci ludzie mnie przerażają. Szczególnie Kendo. Jest w nim coś. . Sam nie wiem. jak to określić. Coś jakby nieludzkiego.

— Mówisz tak. bo po raz pierwszy widzisz kogoś o takiej barwie skóry i skośnych oczach. Ludzie najbardziej boją się tego. czego nie znają i nic rozumieją. Musisz sobie uświadomić, że Kendo. choć tak odmienny, jest takim samym człowiekiem jak ty czy ja. Jego lud ma swoją kulturę, swój język, bogów i historię.

— Ale on trzyma z handlarzem niewolników!

— Nie wiesz dlaczego. Nic masz pojęcia, w jaki sposób lot Kendo związał go z Fneronem. Nic osądzaj go zbyt pochopnie.

— Mnie wystarczy fakt, że jest zastępcą człowieka, który sprzedaje ludziom innych ludzi.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, mój synu — westchnął kapłan. — Nie wszystko w życiu jest tylko białe lub czarne. A teraz spróbuj zasnąć.

I Achon zasnął, lecz nie był to spokojny sen Śnił, że znów znajduje się w tamtym domu. idzie ciemnym korytarzem i staje oko w oko ze zjawą. Widzi broczące krwią puste oczodoły i słyszy przeraźliwy krzyk.

Obudził się o świcie, zlany potem i równie zmęczony jak w chwili, gdy zasypiał.

Podróż przebiegała spokojnie. Za dnia Achon starał się przebywać jak najdłużej na świeżym powietrzu. Najczęściej siadywał pod masztem lub na dziobie, nie rzucając się w oczy ani nie wchodząc nikomu w drogę. Do kajuty wracał tylko na posiłki, po czym znów wychodził. Nie kładł się do łóżka nim był pewny, że zaśnie natychmiast, gdy tylko zamknie oczy.

Mimo to był wciąż boleśnie świadom obecności czarnoskórych, przeznaczonych do niewoli ludzi, ciasno stłoczonych w ładowni statku. Niczym zwierzęta. Niczym towar.

Czasami w nocy słyszał plusk i wiedział, że właśnie wyrzucono za burtę ciało kolejnego niewolnika, który zmarł pod pokładem. Słyszał też inne dźwięki, których natury nie chciał znać.

Sefian widział to wszystko i martwił się o syna. Nie był w stanie mu pomóc w żaden sposób, chłopiec nie chciał o tym rozmawiać. Kapłan mógł jedynie obserwować. On również zauważył, że Achon wzbudził jeszcze czyjeś zainteresowanie.

Którejś nocy chłopiec nie mógł zasnąć. Wiercił się na łóżku długie godziny, aż wreszcie zmęczony bezsennością, wyszedł na pokład.

Noc była cicha i bezksiężycowa. Siatek pruł fale Nilu, kołysząc się lekko. Wokół przemykali nieliczni członkowie załogi, niezbędni, aby utrzymać statek w ruchu i na kursie. Oprócz nich i Achona wszyscy spali.

Nagle chłopiec usłyszał jakiś trzask, łomot i zduszony jęk. Dochodziły spod pokładu. Chwilę się wahał, potem podszedł do znajdującej się przed masztem kłapy. Uniósł ją, odsłaniając schody. Zszedł na dół, przystając za każdym razem, gdy deska skrzypnęła pod naporem jego stopy. W końcu stanął naprzeciw zaryglowanych drzwi. Obok paliła się oliwna lampka, dając akurat tyle światła, aby mocniej podkreślić mrok, niczego nie rozświetlając.

Przysunął twarz do drzwi i usłyszał to, czego najbardziej się obawiał. Ktoś kaszlał. Ktoś inny pochrapywał pogrążony [W niespokojnym śnie. Jakaś kobieta nuciła coś, być może swojemu dziecku.

Uświadomił sobie, że ta kabina znajduje się niemal dokładnie pod kajutą, którą zajmował wraz z ojcem.

Sięgnął do żelaznej sztaby ryglującej drzwi. Chciał uwolnić tych ludzi, dać im szansę na ucieczkę. W momencie gdy palce zacisnęły się na zimnym metalu, znów usłyszał ten zduszony jęk, teraz nieco głośniejszy. I szept.

Odwrócił się i zamarł ze zgrozy niezdolny nawet krzyknąć. Obok schodów stała kobieta, którą widział w nawiedzonym domu. Wpatrywała się w Achona pustymi oczodołami, a jej popękane wargi poruszały się, wypowiadając słowa, których chłopiec nie rozumiał.

— Dlaczego mmc prześladujesz? Odejdź... Proszę — jęknął, zaciskając z całych sił powieki.

Gdy otworzył oczy, zjawy już nie było. Ucichły też szepty.

Achon ujrzał kolejne drzwi, wcześniej zasłonięte przez ducha kobiety. Nie były zaryglowane. Ustąpiły bezszelestnie, gdy chłopiec je pchnął.

Za drzwiami był wąski korytarz. Mniej więcej na środku jego długości dwie lampki rzucały migotliwy blask na drewniane ściany. W ich świetle Achon dostrzegł dwoje drzwi. Jedne po lewej stronie, drugie po prawej. Serce biło mu jak oszalałe. Całkiem niedawno szedł podobnym korytarzem i ledwo uszedł z życiem. I Chciał się wycofać, ale coś mu mówiło, że to byłby zły pomysł.

Przebaczenie

Czy to o to chodzi? Miał tu do wykonania jakieś zadanie? Dlatego znalazł się najpierw w tamtym domu, a teraz tutaj?

Ruszył powoli przed siebie, a każdy krok zdawał się trwać wieczność. Serce trzepotało szaleńczo, jak ptak uwięziony w klatce.

Kiedy był w połowie drogi, usłyszał płacz. Drzwi po lewej stronie. Jeszcze dwa kroki. Ponownie obserwował, jak unosi się jego ramię, tym razem posłuszne nakazom świadomości. Dłoń oparła się na gładkim, wypolerowanym drewnie. Nie było odwrotu.

Drzwi otworzyły się, ukazując kajutę, której centralnym miejscem było łóżko. Przed nim, tyłem do Achona, stał Kendo. Był nagi, a w dłoni trzymał sztylet. Jego plecy poznaczone były bliznami jak po uderzeniach bata. Na materacu, zwinięta w kłębek, leżała czarnoskóra dziewczyna. Nie mogła być dużo starsza od tej, która została sprzedana na targu w Sindu. Płakała. Kendo zdawał się delectować strachem i cierpieniem dziewczyny. Wiedziała, co ją czeka i nie nic mogła na to poradzić.

W pewnej chwili mężczyzna odwrócił się i wbił spojrzenie swoich skośnych oczu w Achona. Miał erekcję, podniecało go to, co robił tej dziewczynie,

— Wiedziałem, że będą z tobą kłopoty powiedział Miał dziwny akcent, ale język opanował doskonale — Od chwili kiedy cię ujrzałem, po prostu byłem lego pewien.

Achon milczał.

— Mowę ci odjęło? — Kendo przechylił głowę i się uśmiechnął. — Jesteś sam? A gdzie twój tatuś? Nie pilnuje synka? Świń,

które wypasa, też nie potrafi upilnować?

— Jest kapłanem Bytu — odparł chłopiec. — I nie musi mnie pilnować.

— O, naprawdę?

— Tak! — drwina w głosie mężczyzny rozżłościła Achona — Jest kapłanem i magiem!

— Aha... Powiedz mi, synu kapłana i maga, czy jego czary ochronią cię przed moim sztyletem? Teraz, gdy smacznie śpi w waszej kajucie?

Kendo nagle podskoczył do chłopca, chwycił go za kark., wepchnął w głąb pomieszczenia i zamknął drzwi Mimo niskiego wzrostu był silny i zwinny jak kobra.

— Co chcesz zrobić?

— Nie jestem jeszcze pewien - odparł Kendo, rzucając chłopcem o ścianę. Dziewczyna krzyknęła i zakryła twarz dłońmi. — Może na razie sobie popatrz.

Złapał dziewczynę za włosy i zmusił, aby na niego spojrzała. Przerażenie i łzy w jej oczach pobudziły go jeszcze bardziej.

— Dlaczego to robisz? — zapytał Achon.

— A dlaczego nie? Mogę to zrobić i mam na to ochotę. Czy to nie wystarczy? Mam moc niszczenia! Jak bóg!

— Myślę... — zaczął Achon, przetykając ślinę. — Myślę., że bóg ma większego ptaszka.

Kendo z furją rzucił się na chłopca, zapominając o dziewczynie. Jego dłoń zacisnęła się na gardle Achona Podniósł chłopca jak szmacianą lalkę, przycisnął do ściany i zaczął dusić.

— Właśnie zasłużyłeś sobie na bardzo bolesną śmierć — ryczał. — Ale najpierw zmuszę cię, żebyś patrzył i słuchał jej krzyków.

Achon zamknął oczy. Przez chwilę jego umysł błędził spanikowany w ciemnościach, a potem odnalazł kontakt ze stalowoszarym umysłem Kenda. Nagle przed chłopcem otworzyły się jasne ścieżki neuronów mordercy. Achon wizualizował sztylet, który przecina te świetliste wstęgi, a te, które przerwał, zwijały się i czerniały.

Uścisk na gardle zelżał i chłopiec upadł na ciało obcokrajowca. Po chwili uniósł powieki i, łapiąc oddech, spojrzał w rozwarte,

zdumione oczy Kenda. Mężczyzna leżał bez ruchu.. Jego członek wciąż przeżył się w pełnym w zwodzie, mimo że był martwy.

— O bogowie, co ja zrobiłem. .

Nagle zamieszanie, jakie wybuchło na pokładzie, obudziło Sefiana. Spostrzegł. Ze w kajucie nie ma Achona i wyskoczył na zewnątrz. Na deskach pokładu rozgrywało się istne pandemonium. Czarnoskórzy mężczyźni, a za nimi kobiety z dziećmi wylewali się falą ze swojego więzienia i rozbiegali po całym statku. Marynarze próbowali zagrozić im drogę, ale niewolników pchanych nadzieją odzyskania wolności nic nie mogło powstrzymać. Urwany krzyk zwiastował czyjąś śmierć.

W oku cyklonu, pod masztem, stał Achon i wpatrywał się przerażony w ojca. Sefian powoli pokręcił głową, dając mu znak. aby nie ruszał się ze swego miejsca.

Zabiłem człowieka.

Ta myśl uderzyła kapłana niczym miot. Zaraz po mej napłynęła seria obrazów tak realistycznych, że Sefian musiał się przytrzymać futryny, aby nie upaść. W jednej chwili poznał przyczyny i skutki konfrontacji swojego syna i Kenda.

Statek przechylił się gwałtownie na bakburtę. a potem osiadł na mieliźnie. Niewolnicy zbiegli na ląd i rozplnęli się w mroku nocy. Zapanowała cisza. Marynarze, którzy byli w stanie podnieść się o własnych siłach pomagali tym. którzy mocniej ucierpieli. Nikt na razie nie myślał o pościgu.

Sefian ruszył w stronę Achona, który stał. kurczowo trzymając się masztu, ale jakaś postać go ubiegła. Kapłan nie zauważył, skąd przybiegł mężczyzna, widział natomiast doskonale, jak uderzył chłopca.

— Ty psi synu! — krzyczał, stojąc nad Achonem w rozkroku i ciężko dysząc. — Czy ty wiesz, co narobiłeś?!

— Eneronie! Zostaw mojego syna w spokoju — rzekł Sefian. zbliżając się do handlarza.

— O. nie. O. nie Gówniarz wypuścił mój towar. Kendo nie żyje. Ktoś musi za to zapłacić.

— A jak sobie to wyobrażasz? — zapytał kapłan, stając

przed Eneronem. — Jestem tylko biednym rzemieślnikiem.

— Więc może zatrzymam twojego syna? Będzie moim niewolnikiem.

— Nic sędzę.

— A jak mnie powstrzymasz?

Nagle Eneron wy ciągnął z za pasa nóż i rzucił się na Sefiana. Kapłan, spodziewając się ataku, z łatwością go uniknął. W jego dłoni błysnęło ostrze sztyletu i zatopiło się w ciele handlarza niewolników. Mężczyzna upadł, a jego krew rozlała się po pokładzie ciemną kałużą. Widząc to, kilku marynarzy ruszyło w stronę Sefiana, ale drogę zastąpił im kapitan.

— Spokój — powiedział. — Dość już krwi jak na jedną noc.

Potem zwrócił się do kapłana

— Natomiast ty, panie, kimkolwiek jesteś, bo na pewno nie tym, za kogo się podajesz, wraz z synem powinieneś opuścić, mój statek.

— A więc teraz, gdy prawowity właściciel nie żyje, to jest twój statek? Ale zgadzam się z tobą — odparł Sefian, lekko się kłaniając. — Powiedz mi tylko, panie, gdzie jesteśmy?

— Dotrzecie do Inebu-Hedż w ciągu trzech dni. A teraz bądźcie łaskawi zabrać swoje rzeczy i zejść na brzeg.

Sefian nie na to nie odpowiedział, przyklęknął tylko przy ciele Enerona i wytarł ostrze sztyletu w jego ubranie. Potem Wraz z Achonem udał się do kajuty, spakował i zszedł z pokładu. Nic rozmawiając ze sobą, ojciec i syn ruszyli zbiegiem rzeki, aby jak najbardziej oddalić się od stojącego na mieliźnie statku.

ROZDZIAŁ 330

Dominium

Minęło południe. Właśnie zjedli posiłek przy siole wyniesionym z kajuty. Za krzesła służyły dwa stołki i kilka pustych beczek.

Pogoda się zmieniła. Ciemne chmury wisiały nisko, zapowiadając rychły deszcz, a może nawet burzę. Szczyty Gór Mglistych niemal zlały się z tłem.

Nagle od dziobu dobiegi glos Orańczaka, który akurat miał dyżur przy sterze:

— Andrzeju. Tomaszu, pozwólcie na chwilkę! — zawołał i kiedy podeszli, kontynuował: — Macie lepszy wzrok ode mnie. Widzicie tamte dwa punkty?

— Tak potwierdzi! Andrzej, spoglądając w kierunku wskazanym przez profesora.

— Ledwo — dodał zakonnik.

— Jak myślicie, co to może być?

— Jakies tutejsze wielkie ptaki? zasugerował Wysocki.

— Tomasz pewnie ma rację - poparł go Andrzej. — Idź coś zjeść. Zmienię cię.

— Dzięki — odparł Antoni i odszedł z Tomaszem do stołu.

Andrzej nie miał problemów ze sterowaniem okrętem. Właściwie jedyne, na czym musiał się skupić, to żeby przed dziobem wciąż widzieć góry. Resztą, bez żadnych sprzeciwów, zajmowała się trzyosobowa załoga.

Zaczęło padać. Pierwszych kilka kropel zadudniło, uderzając w balony, a potem nastąpiło oberwanie chmury. Potoki laty się z nieba, sprawiając, że ubrania podróżników modnie przemokły. Dziewczyny z piskiem uciekły do kajuty, Jan i Antoni pobiegli za nimi. Na pokładzie został tylko Andrzej, Tomasz i trzech marynarze.

— Nic boisz się zmoknąć - zadrwił Stawicki.

— Nic jestem z cukru — odparł Wysocki. — Poza tym ktoś musi ich pilnować.

Niebo poszarzało jeszcze bardziej, pozwalając franciszkaninowi szerzej otworzyć oczy. Rozejrzał się.

— Te ptaki Orańczaka chyba odleciały — stwierdził.

— Całe szczęście. Wydawały się duże. Nie wiadomo, co mogło by im strzelić do głów na widok naszego okrętu

— Sądzę, że na takie wypadki trzymają haubicę w ładowni — Wysocki wyszczerzył zęby w uśmiechu

— A potrafisz coś takiego obsługiwać?

— Nie. Ale mogę się nauczyć.

— Ciebie to bawi. prawda?

— Co takiego?

— Sam nic wiem. Cała ta podróż, niebezpieczeństwa...

— Nie bawiłem się tak dobrze od czasów seminarium.

— ...zabijanie — dokończył Andrzej.

— A! O to ci chodzi — Tomasz się zamyślił. — Nie sprawia mi to przyjemności, wcale. Ale jaki mamy wybór. Poddanie się oznacza gnicie w lochach lub szafot. Sam nie wiem, co byłoby lepsze.

— Więc czujesz się usprawiedliwiony?

— Jak najbardziej — przyznał Wysocki. — Darwinizm dochodzi do głosu. My albo oni. Pośrodku nic ma niczego.

Ulewa siekła z ukosa. Byli już mokrzy od słup do głów. i ściekała im z włosów wprost na oczy i nosy, a stamtąd | a koszule

— A twoja dusza? — zapytał Andrzej po chwili milczenia. — Nie boisz się o nią?

Wysocki parsknął.

— **A ty się boisz? Chcesz, żebym cię rozgrzeszył? Uklęknij i powiedz: „wybacz mi. ojcze, albowiem zgrzeszyłem”.**

— **Stroisz sobie żarty.**

— **Po prostu nie uważam, że zrobiłem coś złego**

— **A co się stało z nadstawianiem drugiego policzka?**

— **To dobre dla naiwnych i słabych. Usprawiedliwia tchórzostwo. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy nadstawili nasze policzki?**

— **Tak. Więzienie i szafot.**

— **Zgadza się Urwaliby ci głowę i naszczali w szyję.**

— **Wiesz co? Ty się chyba minąłeś z powołaniem. Powinieneś zostać żołnierzem, nie mnichem, wtedy przynajmniej...**

— **Kurwa mać! — Wysocki przerwał Andrzejowi.**

— **Prawda kole w oczy?**

— **Zamknij się i spójrz — powiedział zakonnik, wskazując palcem coś od strony sterburty. - To nie są ptaki.**

Zza kurtyny deszczu powoli wylaniały się dwa kształty.

— **Leć po resztę — powiedział Andrzej. Wysocki pobiegł do kajuty.**

Andrzej wpatrywał się w dziwne obiekty jak zaczarowany. Można było już wyróżnić maszty, wielkie płachty żagli i

ogromne balony nad nimi. Dwa okręty, a każdy cztery razy większy niż ich. zbliżały się szybko. Miały po trzy główne balony i co najmniej kilkanaście mniejszych. Żagle wyglądały jak fragmenty wielkiego pancierza. Wyrastały nie tylko z masztów nad pokładami, ale niczym skrzydła zwisały po obu stronach burt tak drugie, jak wysoki był kadłub okrętu.

Marynarze leż już dostrzegli niebezpieczeństwo i zaczęli coś wykrzykiwać w swoim języku. Andrzej zdołał wyróżnić pojedyncze słowa takie jak „straszne” czy „martwy”. Domyślił się, że załoga jest przerażona, ale nie mógł pojąć, dlaczego. Przecież to były okręty Dominium, ich flota. I nagle zrozumiał. Dowódcy tamtych statków nie będą pytać. Nie będzie wezwań do poddania się. Rozniosą ich w pył. nie pytając, kto jest na pokładzie.

Stawicki gorączkowo szukał jakiegokolwiek wyjścia, które pozwoliłoby im uniknąć śmierci. Widział, jak wrogie okręty dokonują zwrotu i pojął, że gdy tylko ustawią się równolegle do ich statku, rozlegnie się armatnia salwa. Spojrzał przed siebie i w dół. Dostrzegł nadzieję.

W tej chwili na pokład wbiegli przerażeni podróżnicy.

— Jan, każ im się uspokoić — zarządził Andrzej, — Tomasz. Antoni, odetnijcie kilka mniejszych balonów.

— Zwariowałeś? — zaczaj Orańczak. — Polecimy na łeb i szyję.

— Tylko obniżymy pułap. A teraz spójrz w prawo. Widzisz? Zestrzelą nas. a wtedy polecimy jak kamień.

— Święty Boże — jęknął mnich. — Ratuj nas

— Janie, zajmij się załogą! Powiedz im, że odbijamy na bakburkę

— Na co...?

— W lewo!

— A co my mamy robić? — zapyłała Iza w imieniu swoim i Anny,

— Módlcie się, żeby starczyło nam czasu — mruknął Andrzej. — I trzymajcie się czegoś, sam nie wiem...

Franciszkanin już rozmawiał z marynarzami. Z ich min

można było wywnioskować, że niewiele rozumieją.

Okręt nagle przechylił się na sterburcie. To Antoni odciął jeden z balonów. Chwilę potem statek odzyskał równowagę, gdy Tomasz przeciął linę podtrzymującą bliźniaczy balon z drugiej strony.

Andrzej krzyknął:

– Powiedz im, że będziemy wodować!

Jan spojrział najpierw na Sawickiego, potem na krajobraz przed nimi. Mimo deszczu widać było, że zbladł. Przełknął ślinę i zaczął tłumaczyć słowa Andrzeja.

Rozległ się pierwszy, na szczęście chybiony, strzał. Brzmiał jak grom. Jeden z okrętów zasnuła mgiełka armatniego dymu. Kolejny błysk i huk doszedł z drugiego okrętu. W tej chwili największym sprzymierzeńcem Andrzeja i jego przyjaciół był deszcz, przez który celowniczy ze ścigających okrętów nie mogli namierzyć ich statku.

— Janie, powiedz im, niech zwiną żagle, czy co. Musimy wytracić wysokość i prędkość.

To nie potrwa długo. Jak już wycelują, wystarczy jedna salwa i po nas.

Marynarze się rozbiegli. Okręt się zakołysał i zaczął znów opadać. Wysocki i Orańczak odcięli kolejne balony. Jezioro było już niemal pod nimi, ale wciąż lecieli za szybko i za wysoko.

Pierwszy z wrogich okrętów oddał salwę z kilku dział. Słyszeli świst kul przelatujących nad nimi. Po chwili dał ognia drugi okręt. Jeden z pocisków trafił w balon na dziobie, powodując gwałtowny przechył statku w dół. Marynarze i Jan stracili równowagę i przewrócili się na deski. Andrzej oparł się o koło sterowe. Nie widział, co się stało z dziewczynami ani Tomaszem i Antonim, ale słyszał ich zaskoczone krzyki. Skoncentrował się na tym, co widział przed sobą.

Panoramę przesłaniały wierzchołki drzew, za którymi rozpościerało się sporych rozmiarów jezioro. Kadłub już tarł o konary szczególnie wysokich drzew. Towarzyszący temu dźwięk brzmiał, jakby ogromne szpony dały poszycie.

Oba wrogie okręty były teraz ponad nimi. Jeden z nich prze-

chylił się na bakburtę i oddał salwę, trafiając w główny balon

— Trzymać się! — zdążył krzyknąć Andrzej, nim ich okręt spadł.

Dziób statku zarył w spienione wody jeziora wyrzucając za bur-
tę wszystkich, którzy byli na pokładzie. Okręt niemal natychmiast
zaczął nabierać wody i tonąć

Andrzej wynurzył się tuż kolo ciała jednego z marynarzy Roz-
glądając się. dostrzegł Annę i Jana.

— Płyńcie do brzegu! — polecił.

— Ja nic umiem pływać! — wrzasnął mnich.

Andrzej popłynął kraulem ku niemu najszybciej jak mógł. Wi-
dział rozpaczliwe wysiłki franciszkanina, aby utrzymać się na po-
wierzchni i nie zachłysnąć wodą.

— Na plecy! — krzyknął. Przewróć się na plecy!

Jana ogarnęła panika Zaczął wierzgać i machać bezładnie rękami. Stawicki zdołał go chwycić za kołnierz i pociągnąć, tak aby
położył się w wodzie na plecach.

— Przestań się szarpać albo utoniemy oboje — poleci! łapiąc
mnicha pod pachami

Jan się uspokoił i wtedy Andrzej zaczął go holować w stronę
brzegu. Anna była już w połowie drogi, ale nic widział po-
zostałych.

Pokład statku zanurzył się już pod wodą. Zza drzew, wysoko
nad nimi. wyłoniły się okręty. Rozległy się dwie salwy Dwie kule
trafiły statek, którym podróżował Andrzej i jego towarzysze, prze-
łamując go na pół. W powietrze wzniosła się chmura szczątków,
Kilka mniejszych i większych desek uderzyło w powierzchnię
wody wokół Andrzeja, na szczęście w sporej odległości.

Nic miał pojęcia, gdzie są Iza, Tomasz czy Antom, ale i tak nie
mógłby im teraz pomóc. Skoncentrował się na tym. aby jak naj-
szybciej dotrzeć do brzegu. Anna już wydostała się z jeziora i stała
teraz bezradnie w strugach deszczu, obserwując powierzchnię
wody. W końcu dostrzegła Andrzeja i Jana. i rzuciła się pomóc
wyciągnąć mnicha na brzeg.

— Gdzie reszta? — zapytał Stawicki, domyślając się od-
powiedzi.

— Nie wiem — odparła Anna.

Andrzej spojrział w górę. Oba okręty Dominium były ledwo widoczne przez kurtynę deszczu. Miał nadzieję, że nikt ich nie spostrzegł, jak płynęli do brzegu.

Trójka towarzyszy cofnęła się za linię drzew. Obserwowali niebo. Ku ich uldze, okręty odleciały, gdy tylko wrak statku, którym podróżowali, skrył się całkowicie pod wodą.

Anna, dotychczas sparaliżowana strachem, pobiegła na brzeg.

— Antoni! — krzyczała. — Antoni!

Andrzej poszedł w jej ślady i zaczął nawoływać Izę. Bezskutecznie. Po kilku minutach, ochrypli, zaprzestali krzyków. Nie odpowiedziała ani Iza, ani profesor, ani Tomasz. Anna usiadła na mokrym piasku i zapłakała. Andrzej przyklęknął obok.

— Nie martw się — pocieszał. — Na pewno nic im się nie stało

— Skąd wiesz? — zapytała dziewczyna, patrząc na Stawickiego oczami opuchniętymi od łez. — Skąd to wiesz?

— Po prostu wiem - odparł, siląc się na uśmiech, choć wiedział. Ze wypadnie on blado i raczej nieprzekonująco. — Czuję to.

— Obyś miał rację.

— Chodź, Schowajmy się przed tą ulewą,

— Bardziej już i tak nie zmokniemy — odparła Anna ale pozwoliła, aby Andrzej pomógł jej wstać i zaprowadził pod drzewo.

Jan siedział oparty o pień, odkąd wyciągnęli go z wody. Wstał, gdy Stawicki zbliżył się z Anną.

— Nie ma ich? — zapytał.

— Pewnie popłynęli w drugą stronę — odparł Andrzej.

— Dziękuję za uratowanie życia — rzekł mnich, spuszczać wzrok. — Gdyby nie ty, utonąłbym.

— Nie ma o czym mówić — odpowiedział Stawicki, nagle zawstydzony.

— To już drugi raz — kontynuował franciszkanin. — Wraz z przyjaciółmi wyciągnąłeś mnie z więzienia. Wtedy ci nie podziękowałem.

— Nic ma o czym mówić — powtórzył Andrzej. — Nie zostawiłbym tam rodaka.

Nastąpiła chwila ciszy, przerywana jedynie szumem deszczu pa-

dającego na liście, piasek i powierzchnię jeziora. W końcu odezwała się Anna:

— Co teraz?

Andrzej westchnął, gdy wyrwała go z zamyślenia.

— Myślę, że powinniśmy przejść na północny brzeg. Reszta tam nas będzie szukać.

— **Co?**

— Udajemy się na północ, prawda? Logiczne więc. Ze Antoni, Iza i Tomasz będą na nas tam czekać.

— A w którym kierunku jest północ?

Andrzej spojrział w stalowoszare niebo i pokręcił głową.

— Nie wiem — przyznał. — Nigdy nie byłem harcerzem Będziemy musieli poczekać na słońce.

Usiedli więc pod drzewem i, moknąc, czekali, przygnębieni i milczący.

Ody w końcu przestało padać i zza chmur nieśmiało wyjrzało słońce. Andrzej zorientował się, że są na wschodnim brzegu ; jeziora.

— Tam — powiedział, wskazując północ, — Chodźmy.

Mieli przed sobą spory kawałek drogi, do tego zbliżał się wieczór, dlatego od razu wydłużyli krok

Jezioro było spokojne, senne. Nic nie wskazywało na to, że niedawno pochłonęło cały okręt i co najmniej jedno życie ludzkie. Fale, gnane delikatnym wiatrem, łagodnie obmywały brzeg w całości otoczony drzewami. Ich wierzchołki przesłoniły góry.

Trójka towarzyszy maszerowała plażą, dopóki teren nie zaczął się wznosić, tworząc urwisko. Weszli w las i z konieczności zwolnili, klucząc pomiędzy pniami i wystającymi korzeniami Ani na chwilę nie spuszczała z oczu powierzchni jeziora. Co jakiś czas nawoływali też przyjaciół. Odpowiadało im jedynie echo i z rzadka jakiś ptak.

Cienie się wydłużały, a oni byli może w połowie drogi. Słońce schowało się za drzewami w momencie, gdy doszli do punktu, w którym brzeg zaczął załączać łagodny łuk. Niemal natychmiast zrobiło się szaro i chłodno. Andrzej zszedł na brzeg w nadziei, że

dostrzeże jakiś ślad towarzyszy.

Nic. Wokół panowała cisza i spokój.

— Nie ma ich. prawda? — zapytała Anna. podchodząc do Andrzeja.

— Mam nadzieję, że są. Czekają na nas. A może idą przeciwnym brzegiem w tym samym kierunku co my?

W końcu zapadła noc i musieli się zatrzymać.

— Będziemy musieli tu przenocować — stwierdził Andrzej.

Anna jęknęła zrozpaczona.

— Niech Bóg ma nas w opiece — szepnął mnich.

— Naprawdę chcecie ryzykować wędrówkę nocą przez las? — zapytał Andrzej — Możemy sobie połamać nogi o wystające korzenie. Nie. Musimy tu spędzić noc. Przykro mi.

— Spróbujmy zatem rozpaść ognisko — powiedział Jan i zabrał się za zbieranie chrustu.

— Żadnego ogniska — zaproponował Stawicki.

— Jak to?

— Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Owszem zestrzelili nasz okręt, ale kto wie. czy nie wrócą sprawdzić czy ktoś nie przeżył? O ile dobrze widzę, nasi przyjaciele też nie próbują rozpaść ognia. Przypuszczam, że Tomasz również na to wpadł

Anna zaczęła płakać. Andrzej podszedł i objął ją. Wiele lat temu również trzymał ją w ramionach, lecz w zgoła innej sytuacji. To wspomnienie, pobudzone bliskością jej ciała, sprawiło, że krew Andrzeja zaczęła szybciej krążyć.

— Nie płacz - szeptał jej do ucha. głaszcząc po włosach. — Nic płacz. Wszystko będzie dobrze.

Anna wtuliła się w niego, czując jak ogarnia ją spokój. Jak kiedyś, przed laty... Spojrzała mu w twarz.

— Dziękuję — powiedziała i się odsunęła.

Andrzej rozejrzył się wokół raz jeszcze. Uśmiechnął się. gdy jego wzrok padł na leżącą na brzegu beczkę.

— Co powiecie na solone mięso na kolację? — zapytał. — Może być wprawdzie trochę przemoczone, ale lepsze to niż trawa i korzonki.

Wąziutki sierp księżycy wychynał zza drzew, zamieniając jezio-

ro w czarę pełną płynnego srebra. Andrzej stanął na brzegu i wysilił wzrok. Tak jak się tego obawiał, nie mógł dostrzec ani Izy i Orańczaka. Wyglądało na to, że się mylił. Nic było ich na północnym brzegu. Albo jeszcze tu nie dotarli, albo... Wolał nawet nie myśleć o drugiej możliwości.

Rano Mogą się zjawić rano.

Nieco tylko pokrzepiony tą nadzieją, wrócił między drzewa i położył się na wilgotnej ściółce. Anna i Jan leżeli przytuleni, grzejąc się wzajemnie. Andrzej wtulił się w Annę, pozwalając, by ciepło jej ciała wniknęło w niego i próbował zasnąć.

Ta noc była długa i męcząca. Żadne z trójki towarzyszy nie spało. Często się budzili, zziębnięci i długo potem nie mogli zasnąć. Wilgotne ubranie nieprzyjemnie lepiło się do ciała. Zimno wypełzające z ziemi oraz chłód nocnego powietrza przenikały do kości.

Z ulgą powitali nadejście świtu, bo choć równie, a może nawet bardziej zimny niż noc, to jednak oznaczał początek dnia, a co za tym idzie — działanie. Tego właśnie potrzebowali po nocy spędzonej na mokrej ściółce. Nie rozmawiając wiele, ruszyli dalej brzegiem jeziora.

Szare pasma mgły snuły się po tafli wody. Wokół panowała niezmacona cisza, w której ich kroki zdawały się rozbrzmiewać, jakby przez las przedzierało się stado dzikich zwierząt, a nie trójka zagubionych, drżących z zimna ludzi.

Ody słońce wzeszło wyżej, zatrzymali się na niewielkim wysuniętym cypelku, pozwalając, aby promienie osuszyły ich ubrania.

— Nie ma ich tu — stwierdziła Anna.

Andrzej skinął głową. Z każdą sekundą coraz bardziej jasne stawało się, że nie znajdą przyjaciół na tym brzegu.

— Co teraz? — zapytała dziewczyna.

Stawicki nie odpowiedział. Wiele by oddał, aby ktoś inny podjął decyzję.

Co dalej?

Czekać? Czy iść? Ale dokąd?

— Nie wiem — odparł w końcu.

Nadzieja, że spotkają się tu z Izą, Tomaszem i Antonim, prysła

jak bańka mydlana.

— Może zaczekamy — zaproponował nieśmiało.

Anna odeszła kilka kroków i zaczęła wołać towarzyszy po imieniu. Odpowiedziało jej jedynie echo i kilka wystraszonych ptaków, które zapewne po raz pierwszy słyszały ludzki głos.

Andrzej usiadł na piasku obok Jana, który wystawił twarz do słońca i zamknął oczy. Wydawało się, że to wszystko, czego mu w tej chwili potrzeba do szczęścia.

— A co ty o tym myślisz? -- zapytał Andrzej.

Mnich otworzył oczy i odwrócił się do rozmówcy.

— Sądzę, że Bóg nami pokieruje — odparł.

— Jakiej innej odpowiedzi mogłem się spodziewać — mruknął Stawicki, a po chwili dodał: — Czy Bóg może zdradził ci swoje plany na najbliższe dni?

— Powiedział mi, że jesteś narzędziem w Jego ręku — odrzekł Jan.

— No to pięknie. Czyli tak czy inaczej, na mnie spoczywa cała odpowiedzialność... W ogóle skąd wzięłeś ten pomysł?

— Gdy tonąłem... przez krótką chwilę widziałem, jak pojedynczy promień słońca pada wprost na ciebie. To był znak. Dla mnie, abym się nie lękał, i dla ciebie, żebyś wiedział, że On ma cię w swojej opiece.

Andrzej nie mógł sobie przypomnieć żadnego promienia. Przez niemal cały poprzedni dzień lalo jak z cebra, a już szczególnie, gdy wylądowali w tym przeklętym jeziorze. Było szaro i na pewno zapamiętałby, gdy by przez grubą pokrywę chmur przebiło się światło słoneczne. Choćby na sekundę. Po krótkim namyśle uznał, że Jan widział po prostu wywołany paniką odpowiednik tunelu i światła na jego końcu. Tak czy owak, w niczym mu to nie pomagało. Nadal nic wiedział, co zrobić.

Rozważył możliwości i doszedł do wniosku, że ma do wyboru jedną z trzech: czekać, obejść jezioro dookoła albo odejść na północ w poszukiwaniu Rydwanu. Trzecią opcję natychmiast odrzucił, ponieważ oznaczała ona, że musiałby porzucić przyjaciół. I Izę. Pierwsza również przepadła, gdyż zakładała bierność, a Andrzej nie znosił czekać. Wolał działać. W ten sposób drogą elimi-

nacji złych rozwiązań, wybrał to, które wydawało mu się najwłaściwsze. Wstał, otrzepał spodnie z piasku i powiedział:

— Idziemy

— Dokąd? — zapyłała zaskoczona Anna.

— Szukać reszty — odparł Andrzej i ruszył przed siebie.

Jego zapal i determinacje powstrzymał franciszkanin Jednym słowem.

— **Wrócili...**

Stali pod drzewami, obserwując, jak od wschodu nadciągają dwa okręty. Teraz, w świetle dnia, wydawały się jeszcze większe, bardziej imponujące i przerażające. Patrzyli, jak powoli osiadają między wierzchołkami drzew i zwijają żagle. Załogi zarzuciły liny na grube konary, cumując w ten sposób oba statki. Potem zza burt wypadło i rozwinęło się coś, co z tej odległości mogło przypominać drabinki sznurowe.

— Szukają nas — powiedział Andrzej, w myślach skreślając opcję numer dwa. — Musimy uciekać.

— A co z resztą? — zapytała Anna,

Pierwsi marynarze już się pojawili na drabinkach.

— Jeśli jeszcze są gdzieś w tej okolicy, to nic pomożemy im, dając się złapać. Bierzcie tyle mięsa, ile zdołacie. Czuję. Ze będzie nam potrzebne.

Kilka chwil później już biegli przez las

Siedem dni. Tydzień. Cały tydzień w tym przeklętym lesie, jedząc korzonki i dziwne, nienazwane owoce, śpiąc na posłaniu z igieł i idąc. Ciągłe idąc. ciągle na północ. Gdzie są te cholerne góry? Jak daleko jeszcze. Ile jeszcze wytrzymamy? Anna i Jan trzymają się dzielnie, choć są równie wycieńczeni, brudni i obszarpani jak ja. Gdybyśmy nie stracili okrętu, moglibyśmy już być na miejscu. U podnóża gór, szukając Rydwanu. Teraz już wiem, że tam jest. Czuję bicie jego serca, jego przyciąganie. Jest blisko. Wtem to. I wiem, że Tomasz też to wie.

Szli tak długo, aż zrobiło się zbyt ciemno, by mogli rozpoznać w

mroku kształty poszczególnych drzew. Tak samo. jak wczoraj, przedwczoraj. I trzy dni temu

Usiedli tam. gdzie stali, opierając się o pnie. Mięso skończyło się dwa dni temu. Byli głodni. Dziś nie znaleźli żadnych owoców, jedynie kilka marnych jagód po drodze. Napotkali tylko jeden strumyk, dzięki któremu ugasili pragnienie. Ze zmęczenia nie mogli nawet zasnąć.

Przez wszystkie te dni Andrzej prowadził ich pewnie przez las. Twierdził, że wie. gdzie iść. bo czuje Rydwan. Narzucał im tempo, które ledwie wytrzymywali. Mówił, że muszą się spieszyć, bo czasu jest mało.

Nie wiedzieli, czy ktoś ich ścigał, czy ktoś ich jeszcze szukał. Nie mieli pojęcia, co się dzieje z ich towarzyszami. Andrzej miał nadzieję, że znajdą ich u podnóża gór. Zresztą nie mieli wielkiego wyboru. Jedynie nikła nadzieja, że odnajdą przyjaciół i Rydwan, dawała im siły do dalszego wyczerpującego marszu. Gdyby tej nadziei brakło, gdyby się poddali, pomarliby w tym lesie. Tak więc Andrzej nic pozwalał, aby ta nadzieja zgasła, a Anna i Jan rozpaczliwie się jej trzymali.

Andrzeja z kolei ogarnęła obsesja odnalezienia Rydwanu. Był pewien, że jest w stanie go odnaleźć, i że Tomasz prowadzi Izę i Antoniego w to samo miejsce. Gdy Anna zapytała go, skąd to wie. odparł:

— Któregoś dnia Tomasz zaczął nam opowiadać o różnicy między Bytem a Niebytem. Nie dokończył wtedy, ale powiedział coś ważnego, czego później nie mogłem sobie przypomnieć. Ale w końcu sobie przypomniałem. Powiedział, że Rydwan Bogów był nazywany również Okiem Horusa. Dokładnie takie same słowa były wyryte na tablicy, którą znaleźliśmy na Skałce „Sefian, strażnik Oka Horusa. Rydwanu Bogów”.

— I co z tego?

— To. że słowa „Oko Horusa” zostały odczytane później, już na starym łądzie, a Tomasza wtedy nie było.

— Wiec nic mógł o tym wiedzieć...

— Właśnie. Chyba, że wie o tym z innego źródła. A to z kolei może oznaczać, że wie. czym jest Rydwan i jaką posiada moc. Są-

dzę., że szuka go od dawna. I że po raz pierwszy znalazł się tak blisko celu.

— Ale dlaczego nie powiedział o tym wcześniej?

— Bo nic chciał, żebyśmy wiedzieli. Chciał nas wykorzystać do pomocy. Sama wiesz, jak nalegał. Teraz już nas nie potrzebuje. Rydwan jest na wyciągnięcie ręki.

— Dlatego musimy się spieszyć? Boisz się, że Tomasz nie będzie na nas czekał?"

— Boję się, że jeśli Rydwan Bogów wpadnie w jego ręce, to nie tylko utkniemy w tym świecie, ale czeka nas o wiele gorszy los.

Leżeli teraz na posłaniu z liści paproci, czekając na sen, który nie nadchodził. Zmęczeni, głodni, spragnieni Czerpiąc siłę z nadziei na odnalezienie artefaktu, który przywędrował tu jakimś cudem wprost ze starożytnego Egiptu. I ze strachu przed tym, co będzie, jeśli Wysocki odnajdzie go pierwszy

Andrzeja napędzała jeszcze jedna siła Miłość do Izy. Odkąd się rozdzielili nad jeziorem, nie wiedział, co się z nią dzieje. Jeśli była z Tomaszem, to groziło jej spore niebezpieczeństwo. O ile w ogóle jeszcze żyła. Ta myśl ścisnęła Andrzejowi serce Być może błąkała się gdzieś samotnie. A może została nad jeziorem i dopadli ją żołnierze Dominium.

Andrzej zagłuszył wszystkie te myśli. Musiał wierzyć, że spotka Izę u podnóża gór To była jedyna pomoc, jakiej mógł od niej oczekiwać.

Z tej części podróży Andrzej zapamiętał niewiele. Monotonne, szare dni, wypełnione marszem i poszukiwaniem żywności. Czasem wydawało im się, że krążą w kółko. Że mijali już te drzewa, że przechodzili nad tym korzeniem. Nie byli nawet pewni, że idą we właściwym kierunku.

Któregoś dnia natrafili na ciało martwego zwierzęcia. Zabrali je ze sobą, pomimo że krążyły już nad nim stada much, a zapach sugerował, iż leżało tam co najmniej dwie doby. Mięsa nadającego się do spożycia wystarczyło im na kilka dni.

Wychudzeni, wyczerpani, nie poddawali się jednak Pokonywali kolejne jary. zarośla i wzniesienia w niekończącym się lesie Prze-

brnęli przez moczary, gdzie zapadali się w grząską ziemię aż do połowy łydek.

Aż wreszcie któregoś dnia. zdawałoby się. że całe wieki od katastrofy ich okrętu, dostrzegł., że poranna mgła nie podniosła się całkowicie, a jedynie rozrzedziła. Jej pasma przez cały dzień pełzały tuż nad ziemią, ukrywając przeszkody i utrudniając marsz.

— Góry są blisko — szepnął Andrzej, a jelita skurczyły mu się boleśnie.

Miał rację, ale minęły jeszcze dwa długie dni. nim wreszcie wyszli z lasu i ujrzeli góry w całej krasie.

ROZDZIAŁ 344

Egipt, 3000 lat p.n.e..

Trzy dni. Tylko trzy dni i pozbędę się brzemienia z mych barków.

Tak myślał Sefian, kapłan Bytu pod postacią Horusa. w najzimniejszą godzinę nocy. Za trzy dni miał się zobaczyć z faraonem u stop Wielkiej Piramidy. Przekaze mu Rydwan Bogów i będzie mógł wrócić z synem do domu.

Obaj bardzo się zmienili podczas lej podróży. Przeznaczenie rzuciło ich na dziwną drogę, pełną przeszkód i niebezpieczeństw, ale pokonali je wszystkie. Wspólnie. Achon nie był już tym samym dwunastolatkiem, który kilka tygodni wcześniej opuścił Świątynię w poszukiwaniu ojca Sefian nie był już szorstkim, zdystansowanym cynikiem, jaki wyruszył w podróż.

Oboje byli mordercami

— Ojczy?

— Tak, synu? Dlaczego nie śpisz?

— Nie mogę zasnąć tak jak i ty. Ojczy... wybacz mi.

— Nie mam ci czego wybacząć.

— Zabiłem człowieka.

— Sam sobie musisz wybaczyć Nie potrafię uzdrowić twojej duszy. Tylko ty możesz to zrobić.

— **Ale...**

— Posłuchaj Przeznaczenie doprowadziło do zdarzeń w tamtym domu i do konfrontacji na statku, ale to ty. nikt inny. tylko ty, dokonałeś wyboru, jak przeprowadzić tę konfrontację. Wybrałeś

śmierć Może nie było innego sposobu, a może był. To już nie ma znaczenia Ważne jest to, jak sobie poradzisz z wyborem, którego dokonałeś

— Boję się.

— To dobrze Martwiłbym się o ciebie, gdybyś się nie bał. A teraz już śpij.

Wkrótce po pustyni rozniosło się lekkie chrapanie Achona. Sefian również zasnął i znów śnił swój sen. w którym był jednocześnie sobą i nie sobą, jakby obserwował wydarzenia oczami kogoś innego Widział skrzynię, która pokazywała te straszne obrazy i żołnierza, który cisnął w nią hełmem, a ona rozpadła się na tysiąc kawałków w ogniu i dymie

Świt zbudził ich szybko. Zbyt szybko Zmęczeni i niewyspani po pełnej napięcia nocy ruszyli w dalszą drogę.

Szli. nic rozmawiając ze sobą Każdy zatopiony był we własnych rozmyślaniach. W końcu ciszę przerwał Achon

— Jak myślisz, ojcze, co się stanie z tymi niewolnikami?

Sefian milczał Bał się obarczać syna jeszcze większym poczuciem winy. a jednocześnie wiedział, że chłopiec powinien znać prawdę.

— Pobiegli w głąb pustyni - odparł. - Prawdopodobnie zginą w ciągu kilku dni z pragnienia. Chyba, że będą mieli nieprawdopodobne szczęście.

Achon zwiesił głowę.

— Chciałem tylko, aby odzyskali wolność. Nie chciałem ich zabić.

— Wiem Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć konsekwencji swoich czynów. Dlatego lepiej nie podejmować pochopnych decyzji.

Drugiego dnia od opuszczenia statku skończyła im się żywność Sefian pocieszał syna, że nic będą długo głodowali, bo nazajutrz dotrą do piramidy, gdzie z pewnością ugości ich faraon.

— Skąd będzie wiedział. Ze się zbliżamy?

— Ma wszędzie swoje oczy i uszy. Sądzę też, że wysiał swojego

wysłannika albo nawet syna, aby na nas czekał w umówionym miejscu. Już niedługo Achonie, już niedługo.

Dzień dłużył się nieznośnie, jak to zwykle bywa, gdy się na coś czeka. Oni czekali na wieczór i następny poranek, oznaczający koniec ich podróży. A gdy wieczór nadszedł, schronili się w palmowym gaju rosnącym nieopodal rzeki. Znaleźli kilka awokado. Ich miąższ nie zaspokoił głodu, ale przynajmniej nieco go przytłumił. Zapakowali sobie kilka na drogę, poczym rozpalili ognisko. Długo rozmawiali o różnych, mniej lub bardziej błahych sprawach. Nim zmorzył ich sen, było już grubo po północy.

W trzeciej godzinie po wschodzie słońca ujrzeli w oddali szczyt Wielkiej Piramidy i serca żywiej im zabiły. Gdzieś z góry dobiegł ich krzyk, a gdy unieśli głowy, dostrzegli sokoła zataczającego kręgi wysoko na niebie.

— Myślisz. Ze to dobry znak?

— Mam nadzieję, synu — odparł Sefian. lecz w głębi duszy czuł niepokój. Ci, którzy na nich czekali, już wiedzieli, że nadchodzą.

Dokładnie w południe stanęli na grzbiecie wydmy, z której po raz pierwszy mogli podziwiać piramidę w pełnej krasie.

Achon aż westchnął z zachwytu. Doskonały ostrosłup był cały pokryty olśniewająco białym wapieniem. Złoty czub piramidy oślepił odbitymi promieniami słońca, tak że nie dało się na niego patrzeć.

— Jest wielka... — powiedział chłopiec. — I taka piękna...

— Masz przed sobą pierwszą na ziemi egipskiej kryjówkę Rydwanu, z której został siłą wyrwany Tyle krwi zostało przelane za jego sprawę. Chodź, już niedaleko.

Piramida rosła z każdym krokiem. Monument, niczym *pomnik* wzniesiony ku chwale swych budowniczych, wyrastał z piasku i górował nad całą okolicą. Im bardziej Sefian i Achon zbliżali się do piramidy, rym mniejsi i mniej znaczący się czuli.

Minęli kolejną wydmy w nieskończonym morzu piasku i nagle znaleźli się przed dwoma szpalerami doborowego wojska. Cała kompania siała na baczność; pobliskie wydmy obsadzili łucznicy.

— Królewska gwardia — mruknął kapłan, wchodząc między żołnierzy.

Achon pospieszył za nim.

Żaden z gwardzistów nawet nie mrugnął, gdy tak szli tą szeroką aleją pomiędzy tarczami i mieczami, zmierzając wprosi ku okazałemu tronowi ustawionemu u stóp Wielkiej Piramidy.

— Jakie to ostentacyjne, niepotrzebne — mówił Sefian.

Jego niepokój wzrósł, a on nie wiedział, dlaczego. Przecież niczego nie wyczuwał.

Na tronie, w otoczeniu najlepszych gwardzistów wybranych z najlepszych pułków, siedział mężczyzna. Był wysoki i doskonale zbudowany. Długie, kruczoczarne włosy opadały łagodną falą na opalone i jakby wykute w granicie ramiona. Głowę zdobiła mu korona Dolnego i Górnego Egiptu Wstał na powitanie zbliżających się gości.

Sefian rozpoznał w mężczyźnie najstarszego syna sędziwego faraona. Denebera. Korona, którą nosił on na swojej głowie świadczyła, iż faraon odszedł z tego świata i Deneber zajął jego miejsce.

— Panie — zaczął kapłan, kłaniając się nisko. Achon poszedł w jego ślady.— Zgodnie z poleceniem twego ojca i na prośbę Merukesa. najwyższego kapłana Bytu. przynoszę ci Rydwan Bogów.

Powinien czuć ulgę. Za chwilę Deneber weźmie Rydwan i rola Sefiana w tej historii dobiegnie końca, powinien więc czuć ulgę Ale nie czuł niczego, oprócz dziwnego, nieokreślonego niepokoj.

Co jest nie tak? Czego nie dostrzegam? Czy to tylko moja paranoja?

— Powstań, mój wierny sługo — rzeki faraon. — I ty również, chłopcze W dniu koronacji przyjąłem imię Immatohetep.

— Mam nadzieję, że twój ojciec odszedł w spokoju

— Zmarł we śnie. nie czując bólu. niecały miesiąc temu A teraz kapłanie, wypełnij swą misję — rzekł faraon, wyciągając dłoń.

— Faraon wcale nie zmarł we śnie — powiedział Achon — Ty go zabiłeś.

Sefian był wstrząśnięty.

— **Panie, błagam o wybaczenie, mój syn nie chciał...**

— **A dlaczego tak sądzisz, młodzieńcze? - przerwał Immatohetep. nie zwracając uwagi na słowa kapłana. Był wyraźnie zaskoczony.**

— **Wiem, że tak było**

— **Achanie? Jak możesz. — zaczął Sefian. ale przerwał, gdy spojrzał na syna.**

Chłopiec dyszał ciężko, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w faraona. To było to. To był ten moment, na który miał być gotowy. Sefian niczego nie zauważył. Jego umysł spowija mgła. a on nawet o tym nie wiedział. Ale chłopcem nikt się nie przejmował. Nikt nie wiedział, jak głębokie zmiany w nim zaszły podczas tej podróży, jakie zdolności opanował.

Achon był gotów. Był leż przerażony, bo wiedział, że właśnie wydał na siebie wyrok.

W jednej chwili Sefian wszystko zrozumiał, jakby mu spadła z oczu opaska. Nic nie czuł. A powinien. Był magiem, a magowie potrafią wyczuć emocje. Było tu tylu ludzi, którzy mieli zadanie do wykonania. Powinien wyczuć ich skupienie, napięcie i determinację. Powinien wyczuć gorące pragnienie faraona, jego żądze posiadania Rydwanu.

Zrzucili na niego zasłonę. Gdzieś w pobliżu musiał być mag, potężny mag, a może nawet dwóch. Na Achona nie zwrócili uwagi, bo nie zdawali sobie sprawy z jego siły. A teraz cały ich plan legł w gruzach.

Sefian spojrzał na faraona i wiedział, że i on to zrozumiał.

Immatohetep błyskawicznym ruchem zagarnął chłopca, odwrócił go. tak że sam stał za jego plecami i położył dłonie na ramionach Achona. Łucznicy naciągnęli cięciwy, żołnierze wysunęli miecze z pochew, ale poza rym nie wykonali żadnego ruchu. Czekali na rozkaz.

— **Och, nie tylko zabiłem starego faraona — powiedział Immatohetep. spokojnie patrząc w oczy kapłana, pewny swej przewagi.**
— **Zburzyłem też twoją Świątynię. Roztrzaskałem posąg Horusa i osobiście ściałem głowę Merukesowi. Nastanie nowa era nowych**

bogów. To już się zaczęło. A każdy, kto będzie ich czcił, będzie tym samym czcił Seta, bo to on stoi za nimi. on powołał ich do życia! A ja będę jego zastępcą, najwyższym z bogów. A teraz, proszę, oddaj mi Rydwan

Sefian powoli sięgnął do jednej ze sakw.

Ojcze, nie!

Kiedy dam ci sygnał, padnij na ziemię

Kapłan zdjął sakwę z ramienia i podał ją faraonowi. Cały starał się myśleć z lękiem o synu. mając nadzieję, że w ten sposób uda mu się zmylić magów Immatohetepa

W chwili, gdy faraon miał chwycić sakwę, Sefian wypuścił ją z dłoni, jednocześnie krzycząc w myślach:

Teraz!

Achon wyrwał się z rąk faraona i padł na piasek. Z sakwy wytoczyło się awokado.

Sefian w tym czasie rzucił zaklęcie fali. która powaliła stojących najbliżej żołnierzy i faraona. W chwili, gdy sięgał do drugiej sakwy, aby wyciągnąć Rydwan, zza złotego tronu Immatohetepa wyszedł mag. Sefian widział go już wcześniej To był specjalny wysłannik faraona, ten. który przywiózł do Świątyni jego wolę przekazania władcy Rydwanu.

Mag wyciągnął przed siebie dłoń i Sefian runął na piasek, wyrzucając w powietrze lśniącą, czarną kulę. Rydwan wylądował niemal u stóp faraona, który właśnie wstawał.

— Zabij go — powiedział do maga.

Achon patrzył, jak mag formuje w dłoniach śmiertelnościaną kulę światła, która miała zmienić jego ojca w przypalone mięso.

Bądź gotów.

Chłopiec się rozejrzył. Żołnierze stali jak zahipnotyzowani, z nagiemi mieczami w dłoniach. Zapewne dostali rozkaz, aby interweniować tylko na konkretny sygnał. Na niego samego znów nikt nie zwracał uwagi.

— Jestem gotów — mruknął pod nosem i pobiegł w stronę Rydwanu.

Mag wciąż był zajęty powiększaniem pocisku. Cieszyła go myśl, że zaraz spopieli ostatniego kapłana Bytu. który bezsilny wił

się teraz na piasku.

Achon poderwał z ziemi Rydwan i skoczył ku ojcu. Nic miał pojęcia, jak posługiwać się artefaktem, ale może Sefian wiedział. Przywarł do ciała ojca i wcisnął mu w dłoń Rydwan.

— Nie! — wrzasnął Immatohetep. — Nie pozwól im! Zabijcie ich!

Żołnierze ruszyli się ze swych miejsc, gdy palce kapłana objęły zimną kulę. Na jej powierzchni rozbłysły złote symbole, migotały przez chwilę i zgasły. W tym momencie mag wypuścił swój pocisk, a wokół leżących na piasku sylwetek uformował się powietrzny wir.

Gdy rozwiął się dym po uderzeniu ognistej kuli. Immatohetep, jego mag i żołnierze zobaczyli jedynie piasek. Nigdzie nie było ciała.

Woda łagodnymi falami atakowała pustynię Ojciec i syn, kapłan-mag oraz jego uczeń, stali po kostki w pieniącej się wodzie, spoglądając w dal.

— Co teraz będzie? — zapytał Achon.

— Będziemy uciekać - odparł Sefian. — Faraon nic odpuści. Rydwan jest teraz dla niego zagrożeniem. Musimy być ciągle w ruchu. Nic możemy pozwolić, aby Rydwan wpadł w jego tace.

— Nigdy już nie zobaczymy Egiptu, prawda?

— Nie, mój synu. Od tej chwili Egipt nie jest już naszą ojczyzną.

— Dokąd się udamy?

— Nie wiem Ale zaczniemy od pokonania tego morza.

ROZDZIAŁ 350

Dominium

Znajdowali się na zboczu wzgórza Z lewej i prawej strony las ciągnął się aż po horyzont. Teren przed nimi wznosił się łagodnie. Pasma mgły. niczym długie, smukłe palce, pieściły gęsio rosnące krzewy. Oprócz Andrzeja Anny i Jana wokół nie było żywego ducha. Przed nimi w odległości może kilku kilometrów, wznosiły się góry. Poszarpane szczyty dźgały wieczorne niebo, a zachodzące słońce barwiło ich wyższe partie na złoto

— Piękne — skomentował Stawicki.

— Jestem już taka zmęczona — powiedziała Anna. — Nie dam rady dłużej iść.

Postanowili, że jeszcze tę noc spędzą w lesie. Usiedli na jego skraju i zapatrzyli się na góry. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie dalekim szumem. Zaintrygowany tym Andrzej zostawił przyjaciół pod osłoną drzew i wybrał się na rekonesans.

Kilka minut zajęło mu wejście na szczyt wzniesienia. Po drugiej stronie ujrzał dolinę, przez którą przepływała szeroka rzeka. Jej drugi brzeg całkowicie skrywała gęsta mgła.

— Tu jest rzeka! — zawołał w stronę lasu.

Słyszając to, Anna i Jan poderwali się z miejsc i ruszyli ku Andrzejowi, który tymczasem miał okazję przyjrzeć się dokładnie dolinie. Zauważył sterczące z ziemi tu i ówdzie czarne kikuty i wypalone kręgi. Spozstrzegł kilka ruin i hałd gruzu. Terenem zawaładnęła roślinność, co sugerowało, że pożar tego miejsca to odległa przeszłość.

— Kiedyś mieszkali tu ludzie — powiedział Andrzej, gdy stanęli przy nim przyjaciele. — Była tu wioska.

— Czy to możliwe — zaczął Jan — żeby tam był sad?

Spojrzeli w kierunku wskazanym przez mnicha. W pewnej odległości od śladów dawnej osady rosły drzewa. Odstępy między nimi były zbył regularne jak na dzieło natury.

— Przekonajmy się — odparł Andrzej, któremu na myśl o sadzie kiszki zagrały marsza.

Okazało się, że gałęzie drzew wprosi uginają się od dorodnych owoców. Były soczyste i bardzo słodkie. Zabrali się do jedzenia z łapczywością ludzi, którzy nader często ostatnimi czasy chodzili spać głodni i spragnieni. Andrzej pomyślał, wgrzyzając się w kolejny owoc, że to cud, iż zaszli tak daleko.

Po raz pierwszy od długiego czasu najedzeni, doszli do wniosku, że dość już mają lasu. Obok sadu odkryli ruiny budynku, składające się z dwóch ścian i kawałka pochyłego dachu, i stwierdzili, że tam spędzą noc.

Gdy zapadał zmierzch, Andrzej stanął nad brzegiem rzeki. Spoj-

rzał w jej leniwy nurt. a potem na przeciw legły, skryty za mgłą. brzeg. Pomyślał, że gdzieś tam jest jego ukochana, razem z Antonim i Tomaszem. Zastanawiał się. czy nie powinien dalej pójść sam i doszedł do wniosku, że tak.

Nagle poczuł czyjąś obecność. Gdzieś tam. za tą ścianą mgły. ktoś na niego czekał. I byt tam również Rydwan Bogów, ukryty przed światem, bezpieczny. Andrzej wyczuwał jego obecność. Był tak blisko!

— Wyruszę z samego rana — powiedział, kładąc się na trawie w kącie ruin,

— Jak to wyruszasz? — zdziwiła się Anna. — Chyba wyruszymy.

— Nie — odparł Andrzej — Idę sam.

— A dlaczego? — zapytał Jan.

— Nie wiem. co się znajduje po drugiej stronie rzeki. Jeśli zgubimy się we mgle. nie będę w stanie was odszukać. Tutaj macie dobrą kryjówkę i dostatecznie dużo żywności, aby nie umrzeć z głodu.

— Andrzeju, co ty sobie wyobrażasz? — zawołała Anna, zrywając się na równe nogi — że zostaniemy tu, podczas gdy ty będziesz tam narażał życie?

Andrzeja wzruszyły jej słowa.

— To miło, że tak się o mnie troszczysz — powiedział - Ale zrozum. Gdyby coś poszło nie tak, tutaj macie szansę Tomasz jest groźnym przeciwnikiem. Jeśli pójdziecie ze mną...

— Nie mów tak. Zabraniam ci.

Andrzej wstał i objął dziewczynę.

— Anno. wrócę. Obiecuję ci.

— Nie składaj obietnic, których nic możesz dotrzymać — syknęła, wyrwała się z jego objęć i pobiegła w- stronę sadu

— Kobiety... — rzucił Andrzej, uśmiechając się niepewnie do Jana. — Któż je zrozumie"

— Ja na pewno nie. Jestem mnichem.

— Zaopiekujesz się nią, prawda? Na wypadek, gdybym nie dotrzymał obietnicy...

Jan skinął głową.

Noc nie była dla niego łaskawa. Znów śnił o wojnie, o obrazach w telewizorze na ostatnim piętrze kamienicy w Tikncie. Obudził się w środku nocy i zrozumiał, że demony, które przywiózł z Iraku, nigdy go nie opuszczą. Nigdy.

Rankiem Andrzej zaczął się przygotowywać do wyprawy. Poszedł do sadu nazbierać owoców. Anna wróciła w nocy i zasnęła wtulona w niego, był więc teraz sam wśród drzew. Słońce już wyszło zza horyzontu. Odezwały się ptaki. Nie uszło uwagi Andrzeja, że żaden ptak nie poleciał na drugi brzeg rzeki. Żaden też stamtąd nie przyleciał.

Nazbierał tyle miękkich owoców, ile zdołały pomieścić kieszenie jego płóciennych spodni. Nie było sposobu, aby zabrał ze sobą wodę. Wybierał więc największe i najbardziej soczyste sztuki. Miał jednak nadzieję, że w górach płyną jakieś strumienie. Góry zdawały się na wyciągnięcie ręki, ale przez mgłę trudno było oszacować rzeczywistą odległość.

Tyle niewiadomych. Czas. odległość... Liczył. Ze kompas w jego głowie, który wskazywał mu drogę do Rydwanu, nie zawiedzie go na drugim brzegu. W przeciwnym razie było spore niebezpieczeństwo, że zabłądzi, kręcąc się w kółko tak długo, aż umrze z głodu, nim w ogóle dotrze do podnóża gór.

Przez chwilę jeszcze pozwalał, by słońce pieściło mu twarz, nim wrócił do ruin, w których wciąż jeszcze spali jego przyjaciele. Jan leżał na plecach, wyciągnięty pod jedną ze ścian. Wydawało się, że nie przeszkadza mu rosa, która zebrała się na nawie i jego ubraniu. Sporo czasu spędził w lochu, może przyzwyczyił się do wilgoci. Anna zwinęła się w kłębek w miejscu, które niedawno zajmował Andrzej. Odcisk jego ciała jeszcze był widoczny w trawie. Stawicki przyklęknął i odgarnął mokre, kruczoczarne włosy z jej twarzy. Anna mruknęła, ale się nie poruszyła, ani nic otworzyła oczu.

Wstał. Nadeszła pora, aby wyruszyć. Potrząsnął ramionami Anny i Jana, budząc ich ze snu.

— A więc idziesz — mruknął mnich, widząc pochyloną nad sobą twarz Andrzeja.

—Idę.

— I nadal upierasz się. aby iść samemu? — zapytała Anna. siadając na trawie.

— **Tak.**

Ruszyli w stronę rzeki.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz? — spytała znów Anna. gdy stanęli na brzegu.

— Nie — odparł Andrzej. — Przydałby się ten pistolet, który znaleźliśmy przy Tomaszu. Albo chociaż kusza, proca, cokolwiek. I łódź. A także kompas, mapa i...

— Dość już — powiedziała Anna. śmiejąc się mimowolnie

— Wiesz dobrze, że nic z tego nie zdobędziemy tutaj

— Pytałaś, czy mam wszystko, czego potrzebuję — odrzekł Andrzej. — Nie mówiłaś, że muszę się ograniczać do dostępnych środków Jeśli o to chodzi - mam kieszenie pełne słodkich owoców.

Zapadła cisza, gdy cała trójka zapatrzyła się w przeciwległy brzeg,

— Czas na mnie — powiedział Andrzej Anna objęła go za szyję.

— Uważaj na siebie — powiedziała ze łzami w oczach.

— I pamiętaj, że obiecałeś

— Znajdę Rydwan i wszyscy wrócimy do domu.

Potem uściskał Jana i już miał wejść do wody, gdy Anna chwyciła go za ramię. Obrócił się. a wtedy dziewczyna pocałowała go delikatnie w usta. Potem puściła jego ramię i. przygryzając wargę, odstaąpiła o krok, zarumieniona jak nastolatka Andrzej uśmiechnął się ciepło i zanurzył w rzece.

Woda była lodowata. Ubranie natychmiast przyłgnęło do ciała. Na szczęście nurt nie był zbyt rwący i nie groziło mu. że zostanie przezeń porwany Owoce zaciążyły w kieszeniach Spodnie, koszula i budy krępowały ruchy. Płynął powoli i niezgrabnie. Wydawało mu się. że brzeg wcale się nic przybliży

To nie był dobry pomysł.

Problem w tym. że lepszego nie miał W zasięgu wzroku nie było mostu, kładki, brodu czy łodzi. Być może któraś z tych rzeczy

znajdowała się gdzieś dalej, ale nie było czasu na poszukiwania.

Tak więc płynął wpraw, starając się nie udławić wodą i nie utopić. Rzeka była niemal tak szeroka, jak Wisła, którą tak dawno temu Andrzej podziwiał z ławki nad zakolem w Krakowie

Wreszcie, po kilku nieznośnie długich minutach, dotarł na drugi brzeg. Dysząc ciężko, usiadł w kępie trawy i poszukał wzrokiem przyjaciół. Widział tylko ich odległe sylwetki, jakby mgła przekroczyła rzekę, gdy on płynął. Pomachał im, ale chyba nie zauważyli. Po chwili odwrócili się i odeszli.

Andrzej westchnął. Był teraz naprawdę sam. Rozejrzał się wokół, ale wzrok nic sięgał dalej, jak na kilka metrów. Na początku planował, że posiedzi jakiś czas na brzegu, pozwalając, aby słońce osuszyło jego ubranie, ale plan spalił na panewce, gdyż światło słoneczne tu nie dochodziła. Ciężka kurtyna mgły skutecznie rozpraszała promienie, sprawiając, że krajobraz tonął w odcieniach szarości. Andrzej zastanawiał się, jak cokolwiek mogło tu wyrosnąć

Wsiadł, odwrócił się plecami do rzeki i ruszył przed siebie. Gdy po kilku krokach spojrzął za siebie, nie dostrzegł już rzeki, choć wciąż słyszał jej szum.

Marzył. Ubranie, nic mogąc wyschnąć, wciąż przylegało do ciała. Stopy zlodowaciały. Słyszając nieprzyjemny chłupot w butach, po raz kolejny stwierdził, że chyba nie do końca przemyślał tę wyprawę. W końcu zdjął buty i niosąc je w rękach, szedł dalej boso.

Teren wznosił się łagodnie. Kompas w głowie Andrzeja prowadził go pewnie w stronę Rydwanu. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Trawa pod stopami kłuła nieprzyjemnie. Andrzej przypomniał sobie pierwsze dni w tym świecie. Kamienny las, równie niesamowity i nierealny, jak mgła, przez którą się obecnie przedzierał. W lesie, w ustawionym tam kamiennym kręgu, znajdowało się wejście do krainy. Czy teraz zmierza do wyjścia?

Z rozmyślań wyrwał go ból. Nic zauważył nisko rosnącego krzaka i podrapał sobie dłoń o jego gałąź. Krzak, mimo wilgoci w powietrzu, był suchy. Nic miał ani jednego liścia. Andrzej chwycił w dłoń jedną z gałęzek. Złamała się z trzaskiem. Składając wo-

kół, zauważył, że trawa jest poszarzała i zwiędła. Brak słońca zabił wszystkie rośliny.

Szedł przed siebie tak długo, aż pogłębiająca się szarość podpowiedziała mu, że dzień ma się ku końcowi. Niezbyt cieszyła go myśl, że musi spędzić noc w takich warunkach, ale nie miał wyboru. W głębi duszy liczył, że uda mu się przejść pierścień mgły w ciągu najwyżej kilku godzin. W czasie marszu zrobił sobie jedynie kilka krótkich przerw i posilił się dwoma owocami. Pogratulował sobie oszczędności

Usiadł na ziemi i poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Ból ogarnął nogi od stóp po uda. Andrzej wyciągnął z kieszeni wszystkie owoce i ułożył je obok, aby ich nie zgnieść podczas snu. Potem się położył i zapatrzył w szarość nad głową.

Czuł w głowic rytmiczne pulsowanie. Wiedział, że to Rydwan, Nic rozumiał, jak to się stało, że był w stanie wyczuć jego obecność, podobnie jak nie wiedział, skąd się wzięła zdolność postrzegania aury. ale tak właśnie było. Nie miał problemu z zaakceptowaniem tego. Miało to na pewno jakiś związek ze śmiercią Adiego. Zupełnie, jakby w tamtej chwili coś się w nim odblokowało. Zastanawiał się, czy wszyscy ludzie posiadają takie ukryte zdolności. Z tą myślą zasnął.

Nowy dzień był tak samo szary i ponury, jak poprzedni. Andrzej spił rosę, która zebrała się na źdźbłach trawy oraz w zagłębieniach ubrania, zjadł słodki owoc i pomimo bólu nóg, ruszył w dalszą drogę. Rydwan wyczuwał tak samo wyraźnie, jak wczoraj.

Teren nadal się wznosił. Andrzej szedł, drżąc z zimna. Wilgoć przesiąkła przez cienką koszulę i spodnie, i Andrzej znów był cały mokry. Zaczął się obawiać, że się rozchoruje.

Ody uznał, że minęło już południe, zjadł kolejny owoc. Zostały mu jeszcze trzy. Z wolna podupadał na duchu. Redan twierdził, że w tej mgle zaginęły całe armie. Jak mógł sądzić, że jemu samemu uda się przedrzeć i dojść do gór?

Jakiś czas później ujrzał coś, co sprawiło, że krew zaczęła krążyć szybciej. Daleko z przodu, zdawało się, że o wiele dalej, niż sięgał wzrok. Andrzej dostrzegł szarą sylwetkę człowieka. Wyglądał jak

zawieszony we mgle. Pełen nadziei ruszył na spotkanie tajemniczego człowieka, który szedł dokładnie w tym samym kierunku, co Stawicki. Gdy po kilkunastu minutach Andrzej zorientował się, że wcale się do niego nic zbliża, zaczął biec. Ku jego zdziwieniu, postać przed nim również. Po chwili zmęczony przystanął i oparł dłonie o kolana. Człowiek, którego gonił, zrobił to samo

W co on ze mną gra?

Andrzej podniósł dłoń. Posiadać przed nim powtórzyła gest.

— Przestań się wygłupiać! — wrzasnęła. Odpowiedziała mu cisza.

— Nie masz nawet odwagi odpowiedzieć?! Cisza.

— Czemu przede mną uciekasz?! Znów nic

— Nie poddam się tak łatwo! — zawołał i znów zaczął iść.

Tajemniczy człowiek także ruszył przed siebie. Stawicki zastanawiał się, kim jest towarzysz. Przyjaciel czy wróg? Może przewodnik? Ale jeśli tak, to dlaczego nie pozwoli się dogonić? A może, wykorzystując fakt, że Andrzej podąża jego śladem, prowadzi go na manowce? Stawicki zmienił kierunek i odkrył, że postać przed nim również skrzyła i znów była przed nim. Najdziwniejsze było to, że powtarzając ruchy Andrzeja, ów człowiek robił to w tej samej chwili, w identyczny sposób i bez sekundy opóźnienia. Jak to możliwe? Przecież nawet gdyby szedł, cały czas oglądając się przez ramię, musiałaby minąć chwila, nim zorientowałby się, że Andrzej na przykład zaczyna biec. Takie sztuczki możliwe są tylko przed lustrem. No chyba, że miał do czynienia z magią. Ostatnie doświadczenia nauczyły go, że magia, czy jakkolwiek nazwać by to zjawisko, istnieje nie tylko w bajkach

Z rozmyślań wyrwał go ból. Nie zauważył nisko rosnącego krzaka i podrapał sobie dłoń o jego gałęzie.

Deja vu...

Przyklęknął i serce w nim zamarło. Nic miał wątpliwości, że to ten sam krzak, który minął poprzedniego dnia. W trawie leżała nawet ułamana gałązka. Uderzył pięścią w ziemię. Był tak blisko... Wiedział, że Rydwan znajduje się za tą kurtyną mgły i nie mógł go dosięgnąć. Czuł się sfrustrowany i pokonany. Zaczął krzyczeć w niebo, palem upadł na kolana. Spojrzał przed siebie. Tajemnicza

postać również klęczała, jakby drwiąc *i* niego. Popatrzy ! znów na krzak wyrastający z jałowej ziemi tuż. obok. Kątem oka zauważył coś jeszcze. Odwrócił się i ujrzał kolejną klęczącą posiać. Podniósł rękę i postać zrobiła to samo Wtedy Andrzej zrozumiał, że wcale nic miał do czynienia z innymi ludźmi, którzy go zwodzą i prowadzą na manowce. Przez cały ten czas gonił sam siebie.

Jak dogonić swój własny cień?

Andrzej siedział na ziemi obok krzaka, jadł owoce i patrzył na siebie samego jedzącego owoce. Pulsowanie Rydwanu odbijało się echem w jego czaszce. Tak blisko i tak daleko.

Powoli wzbierani w- nim rezygnacja i czarna rozpacz. W którakolwiek stronę by się zwrócił, szedł jednocześnie przed i za sobą. a po jakimś czasie znów mijał wciąż ten sam samotny krzak. Nic mógł iść naprzód, nic mógł zawrócić. Wiedział, że tę pętlę, w której się znalazł, stworzył Rydwan Bogów, a właściwie ten. kto go strzeże.

Pozwolił swoim myślom krążyć bez ładu i składu, bez związku.

To dziwne, tak znać odpowiedź na każde pytanie. Zupełnie, jakbym otrzymał dostęp do olbrzymiej biblioteki

Nagle poczuł mrowienie w karku.

— Wcale nie takie trudne. Andrzej. Wystarczy wiedzieć, gdzie szukać.

Stawicki poderwał się na równe nogi. Za nim stał Tomasz.

— Ty!

Zakonnik pokiwał głową.

— Trudno cię znaleźć, Andrzej — powiedział.

Tysiące pytań kłębiło się Andrzejowi w głowic. Wysocki wiedział doskonale, które zada jako pierwsze.

— Masz. napij się — powiedział. podając Andrzejowi niewielki bukłak. — Wyglądasz na wysuszonego.

— Gdzie jest Iza? — zapytał Stawicki, przyjmując wodę

— Jest bezpieczna — odparł Tomasz. - Po tym. jak nasz statek runął do wody i rozdzieliliśmy się. Iza i ja poszliśmy razem. Miałem nadzieję, że spotkamy was po drugiej stronie jeziora, ale niestety. A potem musieliśmy uciekać. Zostawiłem ją w naszej pętli.

— Waszej pętli?

— Tik. Na pewno już zdążyłeś zauważyć, że mimo iż wciąż idziesz naprzód, jednocześnie za i przed sobą samym, co jakiś czas mijasz znane ci już miejsca. Choć trzeba przyznać, że w tej mgłę wszystko wygląda tak samo... W każdym razie — podjął, nim Andrzej zdążył mu przerwać — sędzę, że wszystko, co wchodzi w tę mgłę, trafia do swojej własnej pętli, gdzie w końcu umiera z głodu, pragnienia, wyczerpania, szaleństwa lub wszystkiego naraz. Nikt, kto tu wejdzie, nic potrafi się wydostać.

— A jednak ty się wyrwałeś ze swojej pętli. Jak? I podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym cię zabić na miejscu.

— Odpowiedzi na oba te pytania łączą się ze sobą. Tutaj działa magia. Potężna, ale nie niezwyciężona. Iza, ty i ja możemy ją przełamać

— Więc to prawda Jesteś magiem.

Wysocki nieznacznie się uśmiechnął, samymi kącikami ust

— Potrzebujesz nas, prawda? - ciągnął Andrzej. — Sam nie dasz rady.

Tomasz przez chwilę rozważał, czy nie powiedzieć Andrzejowi o tym, że odkąd przebudził się w lochach, ani razu nie zmrużył oczu i jak bardzo czuje się zmęczony. Gdyby był wypoczęty i w pełni sił, podjąłby się tej próby sam. Ale był osłabiony W końcu powiedział:

— Wy dwoje macie siłę, której potrzeba, aby się stąd wyrwać. Widzisz, aby cię odnaleźć, musiałem przemierzyć kilka wymiarów. To dość wyczerpujące. Jeszcze bardziej męczące będzie wydostanie się z tej przeklętej mgły. Wybór jest prosty Albo wszyscy tu zginiemy, a ty już nigdy nie zobaczysz Izy, albo wszyscy przeżyjemy.

Andrzejowi nie umknęła zawarła w tych słowach groźba A potem zniechęcony zapytał:

— Antoni jest z Izą?

Tomasz przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale szybko się opanował.

— Nie. Nie ma go tutaj. A teraz podaj mi dłoń i wynośmy się stąd.

Andrzej wyciągnął rękę, którą natychmiast objęły szorstkie palce zakonnika. Jego bladoniebieskie, lśniące oczy wpiły się w Stawickiego. Zaczął szeptać coś w języku, którego Andrzej nie rozpoznał. Poczuł znów mrowienie w karku, świat zawirował mu przed oczami, złożył się jak domek z kart i po chwili w miejscu, gdzie siali, nic było już nikogo. Został jedynie suchy krzak z ułamaną gałązką.

Gdyby ktoś zapytał Tomasza, dlaczego zabrał Izę ze sobą, nie odpowiedziałby od razu. Być może dlatego, że przeczuwał, iż Andrzej pójdzie za nim, a Iza miała być jego kartą przetargową. A może dlatego, że drzemiąca w dziewczynie siła, rozbudzona i odpowiednio pokierowana, miała mu pomóc wydostać się z lej pułapki. Kierował się przecuciem, nie wiedział, że mgła otaczająca góry okaże się tak... oporna. Wiedział natomiast, że powstała z pomocą magii. Ufał w swoją siłę i wierzył, że poradzi sobie z tą barierą. Mylił się.

Ostateczna przyczyna nie była ważna. Jak zawsze zdecydowało przeznaczenie. Tomasz zabił Antoniego, ponieważ uznał, że do niczego mu się nie przyda, a wręcz będzie tylko zawadzał. Okazało się jednak, że sama Iza nie wystarczy. Potrzebował jeszcze Andrzeja. Mieli się tu znaleźć w trójkę i tak też się stało.

Wszystko układało się jak kamienic na dnie rzeki, aby przeprowadzić Tomasza bezpiecznie na drugi brzeg, wprosi do Rydwanu Bogów.

Gdy świat ponownie nabrał kolorów, Andrzej się zachłysnął, zakłósał i byłby się przewrócił, gdyby nic podtrzymał go Tomasz.

— Zapomniałem ci powiedzieć, żebyś nabrał powietrza mruknął. — Takie coś potrafi czasem odebrać oddech.

Andrzej, jeszcze przed chwilą w pełni sił, teraz czuł się bardzo zmęczony.

— Co się stało? — zapytał.

— Przeskoczyliśmy. O niecały kilometr w przestrzeni i kilka wymiarów.

— Iza...

Tomasz wskazał ręką kierunek. Iza leżała skulona na gołej ziemi.

— Śpi — wyjaśnił.

Andrzej przykucnął koło dziewczyny i lekko potrząsnął jej ramieniem. Iza otworzyła oczy. zogniskowała mętny wzrok na Stawickim i rzuciła mu się na szyję.

— Już dobrze — powiedział Andrzej, tuląc ją. — Już dobrze.

Ciałem Izy wstrząsnął szloch i mocniej przywarła do niego.

— Już dobrze...

— Tak się bałam — zaczęła. — Tak się bałam, że zginąłeś w katastrofie.

— Ja też się bałem. Ale nie pozwoliłem, aby strach odebrał mi nadzieję i miałem rację — ujął w dłonie zapłakaną twarz Izy i się uśmiechnął. Przeżyłem. I odnalazłem cię.

— A reszta?

— Anna i Jan są cali i zdrowi i czekają na nas. Ale nie wiciu, co się stało z Antonim.

— Antoni nie żyje — powiedziała Iza, patrząc Andrzejowi w oczy.

— Nie...

— Jezioro wyrzuciło jego ciało na brzeg. Widziałam go. Łzy napłynęły Andrzejowi do oczu.

— Ten świat... Rydwan... odebrał mi już dwóch przyjaciół.

— Teraz nie czas na płacz. Musimy się pospieszyć — wtrącił Tomasz. Oczy mu błyszczały.

— Dlaczego? — zapytał Andrzej — Dlaczego tak ci się spieszy?

— Nie chcesz wrócić do domu? Ja już spędziłem tu wystarczająco dużo czasu.

— Najpierw odpowiedz mi na dwa pytania.

Wysocki teatralnie westchnął. Gdyby miał zegarek, prawdopodobnie spojrziałby na niego.

— Pytaj — rzucił.

— Skoro potrafisz tak przeskakiwać przestrzeń to dlaczego podróżowałeś z nami? Dlaczego nie przeskoczyłeś od razu tutaj?

— Ponieważ teleportacja jest nieopłacalna. Na przemieszczenie

się od punktu A do punktu B potrzeba więcej energii, niż na przejście tego odcinka pieszo. A jeśli będziesz chciał przeskoczyć zbyt dużą odległość, to skończysz martwy, bo twój organizm nie wytrzyma obciążenia. Chyba że masz Rydwan, wtedy ryzyka właściwie nie ma. Poza tym istnieje jeszcze szereg innych niebezpieczeństw, jak na przykład teleportacja wprost do wnętrza góry - - zakończył franciszkanin z uśmiechem - A drugie pytanie?

— Czym jest Rydwan?

Twarz Wysockiego stężała.

— Daj spokój, wiem, że ty coś wiesz albo czegoś się domyślasz — powiedział Andrzej. — Zdradziły cię dwa nieostrożne słowa

— Jakie?

— Oko Horusa. To część inskrypcji z tablicy, którą znaleźliśmy na Skałce. Antoni odcyfrował ją, ale ty nie byłeś przy tym obecny.

— I przypomniałeś sobie o tym dopiero teraz?

— Niedawno - przyznał Andrzej.

— Ha! No cóż. Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, powiem ci, co wiem. Różnie go nazywano. Wyznawcy Horusa mówią o nim Oko Horusa. Wyznawcy Seta nazywali Okiem Seta. Ale zawsze istniała jedna wspólna nazwa. Rydwan Bogów. Tak jak Graal zawsze jest Graalem. Właściwie nie dziwi mnie, że i w tym świecie mówi się o Rydwanie. Nie sądzę, aby znano tu Horusa albo Seta, ale na pewno mają jakichś bogów. Może Achon sam im przekazał tę nazwę. Nie wiem i, szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Ważne jest to, że istnieje, choć niewielu o tym wie. Podobnie jak niewielu wiedziało o Graalu, zanim przedostał się do popkultury za pomocą Wolframa von Eschenbacha i jemu podobnych

— Skąd to wszystko wiesz?

— Są ludzie, którzy szukali go przez wiele dziesiątek, a nawet setek lat.

— Jesteś jednym z nich?

— To już czwarte pytanie, ale zaspokoję twoją ciekawość. Tak, jestem jednym z tych, którzy szukają Rydwanu. Szukamy go od dawna, starannie ukrywając zarówno nasze działania, jak i wszelkie informacje dotyczące Rydwanu.

— Watykan? — zapytał Stawicki.

Tomasz wybuchnął śmiechem.

— Nie bądź śmieszny. Watykan, też coś. Choć przyznaję, że oskarżanie ich o wszystkie możliwe spiski bardzo nam pomaga. Wracając do Rydwanu.. Naprawdę cud, że udaje nam się utrzymać w tajemnicy jego istnienie. Wystarczyłoby, aby jakiś archeolog, na przykład taki Antoni Orańczak, odkopał ruiny świątyni albo właściwie zinterpretował hieroglify Kapłan Chepriego, też coś... Sefian nie był kapłanem żadnego Chepriego, był kapłanem Bytu! Byt to Horus, Niebyt to Set. To takie proste, banalne wręcz, a nikt na to nie wpadł. Mówiłem wam kiedyś, że wszystkie religie świata wywodzą się z wierzeń Bytu i Niebytu, prawda? Rydwan jest narzędziem obu tych sił. Należy zarówno do Horusa jak i do Seta. Ma w sobie pierwiastek Bytu i pierwiastek Niebytu. Jin i Jang.

— Ale czym on jest? — powtórzył Stawicki. — I dlaczego tak ci na nim zależy?

— Jest potężnym, starożytnym artefaktem. Z jego pomocą można dokonać wielu wspaniałych rzeczy. Ma nieograniczoną moc tworzenia. Można wrócić do domu. . A zależy mi, ponieważ szukałem go przez całe życie. Na razie musi ci to wystarczyć. Chciałbym się już wydostać z tej mgły. a wy?

Iza potwierdziła skinieniem głowy.

— Nie boisz się? — zapytał Andrzej. Tomasz spojrzał na mego z zainteresowaniem

— Nie boisz się, że wylądujemy we wnętrzu góry?

Wysocki westchnął.

— Masz lepszy pomysł? — zapytał. — Jeśli tak. to chętnie posłucham. Nic wiem. czy zauważyłeś, ale konwencjonalne metody nie zaprowadzą nas donikąd, co najwyżej w to samo miejsce, z którego wyruszyliśmy. Będziemy się kręcić w kolko, aż umrzemy z głodu. Nasza jedyna szansa, to spróbować przeskoczyć jak najbliżej podnóża gór. I to najlepiej za pierwszym podejściem, bo nie wiem. czy wystarczy nam sił na drugi skok

— Chodź, Andrzej — powiedziała Iza. — Wynośmy się stąd wreszcie.

Tomasz wyciągnął rękę. Iza podała mu prawą dłoń. Andrzej lewą. Potem chwycili się za dłonie i zamknęli krąg

— Nigdy nie robiłem lego na laskę skalę. Możecie się poczuć nieco... dziwnie — uprzedził franciszkanin. - I na pewno będziecie osłabieni.

Nawet nit wiecie, jak.

Wysocki sam czuł się bardzo zmęczony i słaby. Chciał wyssać z Andrzeja i Izy tyle siły, ile będzie mógł. samemu angażując się minimalnie. Bał się, że jeśli nie zdobędzie Rydwanu szybko, to nie zdobędzie go już nigdy. A był przecież tak blisko, na wyciągnięcie ręki!

— No dobra. Zaczynamy. Zamknijcie oczy — powiedział, a po chwili jeszcze dodał: — Aha, i weźcie głęboki oddech.

Andrzej poczuł najpierw silne mrowienie w karku, potem usłyszał, jak Tomasz coś szepcze. Miał wrażenie, że coś go wsysa, a następnie wypluwa, a jeszcze potem, nim zdążył otworzyć oczy, czy choćby zaczerpnąć powietrza, poczuł nagłe uderzenie w tył głowy. Osunął się nieprzytomny na ziemię.

Gdy się ocknął, próbował zogniskować wzrok na kamieniu, który leżał tuż przed jego oczami. Kiedy po kilku minutach mu się to udało i świat przesiał się kołysać, usiadł.

Był sam. Żadnego śladu Tomasza ani Izy. Zawołał ich kilka razy, ale bezskutecznie.

Głowa bolała go okropnie. Dotknął potylicy i syknął, gdy natrafił na potężnego guza. Zbierało mu się na wymioty. Zgodnie z zapowiedziami Wysockiego, czuł się wyczerpany. Najchętniej położyłby się na ziemi i zasnął. Krajobraz wciąż jeszcze lekko falował mu przed oczami.

Znajdował się na przedgórzu. Teren wznosił się stromo, a góry były bardzo blisko. Spojrzał za siebie, w dół i zobaczył pas mgły. Wydawało mu się, że daleko na horyzoncie dostrzega cienką, srebrną nić rzeki, ale nie był pewien. Perspektywa lubiła płatać figle.

A więc teleportacja się powiodła. Pytanie tylko, gdzie oni się podzieli?

Wsiadł, znowu go zaczęło mdlić, ale tym razem nie zdołał się opa-

nować. Wymiotował żółcią i wodą. Gdy się wyprostował po ostatnich spazmach, ujrzał napisaną patykami na ziemi wiadomość.

Pamiętaj, że mam twoją dziewczynę.

Nie zbliżaj się do Rydwanu.

Wróćcie do domu.

Obiecuję.

— Na pewno — mruknął Andrzej i splunął na ziemię.

Stało się to. czego się obawiał Został zmuszony do zawarcia sojuszu z wrogiem i wykorzystany. A teraz jeszcze szantaż. Tomasz okłamał ich już kilka razy. nic było powodu, aby wierzyć, że tym razem będzie inaczej. Nigdy nie zamierzał nikomu z nich pozwolić wrócić.

Nagle Andrzejowi zaświtała straszna myśl.

A jeśli to on zamordował Antoniego? Wiem, że jest do tego zdolny.

Jakby samego porwania Izy było mało. Andrzejowi zagotowała się krew. Teraz już nic chodziło tylko o Rydwan i powrót do domu. Teraz miał osobiste porachunki z zakonikiem. A czuł się taki zmęczony...

Zamknął na chwilę oczy Odetchnął głęboko kilka razy Skoncentrował się. Otworzył oczy.

Zobaczył ją. Wysoko nad jego głową, na stromej górskiej ścianie lekko lśniła zielona aura Izy. Andrzej nie wątpił, że Wysocki jest tuż obok niej. Mieli nad nim co najmniej godzinę przewagi, ale on ich dogoni

Musi.

ROZDZIAŁ 365

Północna Europa. 3000 lat p.n.e.

Achon obudził się o świcie, jak co dzień od pewnego czasu Zadygotał z zimna, mimo iż spał pod trzema warstwami futer Wstał i szybko założył grube ubranie, zawiązał skórzane buty i wyszedł z namiotu.

Na zewnątrz było jeszcze zimniej. Ziemię pokrywał gęsty, biały puch. drzewa były nagie. Cisza aż dzwoniła w uszach Oddech Achona zamieniał się w obłoczki pary, co wciąż go dziwiło. Zadrżał.

Cała wioska jeszcze spala Cała, oprócz jednego człowieka poza Achonem.

Osada składała się z kilkunastu namiotów rozstawionych w dolinie. Nieopodal płynęła wąska rzeka. Achon mijał kolejne namioty, zmierzając ku wzgórzom za wioską. Jeden z psów śpiących koło małego szałas podniósł łeb, słysząc skrzypienie śniegu pod stopami Achona. Postawił uszy, zaskomlał i położył pysk na łapach. Obserwował chłopca, aż ten nie zniknął za sąsiednim namiotem.

Achon dotarł do zbocza wysokiego wzgórza i zaczął się wspinać po śladach, które pozostawił ktoś inny. Znalazłszy się na szczycie, podszedł do skulonej figurki siedzącej tyłem do niego. Ze wzgórza roztaczał się piękny widok na zaśnieżoną dolinę i skutą lodem rzekę. Można by pomyśleć, że siedzący tam człowiek podziwia widoki, gdyby nie wczesna pora i mróz.

— Ojczy? — powiedział Achon, stając za plecami Sefiana — Znow nie możesz spać?

Otulony futrem kapłan odwrócił się do syna. Jego twarz wydawała się stara ponad swój wiek. Już jakiś czas temu przestał też golić głowę, co upodobniło go do mieszkańców wioski.

— Co tutaj robisz? — zapytał Sefian. — Powinieneś być w namiocie.

— Niepokoilem się o ciebie, ojczy.

Chłopiec usiadł na śniegu obok kapłana i zauważył, że Sefian trzyma Rydwan.

— Wracajmy do namiotu, ojczy Jest zimno

Po wydarzeniach pod Wielką Piramidą przemierzali morze. Na pokładzie statku handlowego dotarli do Hellady, gdzie zaopatrzyli się w niezbędne produkty, w tym broń. Udali się na północ, polem na zachód. Opuścili cywilizowane tereny i zapuszczali się coraz głębiej w dzikie puszcze i na równiny obcego im kontynentu, ciągle w ruchu, ciągle uciekając Sefian wierzył, że podążając na zachód w końcu odnajdzie Krainę Bogów. Wtedy odda Rydwan Horusowi i jego misja się zakończy.

Achon kilkakrotnie pytał ojca, dlaczego nie użyje Rydwanu,

aby trafić do pałacu Horusa. jednakże kapłan za każdym razem odmawiał, twierdząc, iż potężny artefakt nie może im pomóc. Mówił też, że Rydwan posiada jedynie moc niszczenia. Achon zrozumiał, że jego ojciec boi się tajemniczej, czarnej kuli.

A potem zdarzyło się coś. co popchnęło Sefiana jeszcze bliżej krawędzi szaleństwa.

Tygodnie mijały, a Sefian coraz mocniej podupadał na duchu Kraina Bogów wciąż była nieosiągalna. Pewnego dnia zauważyli w lesie ciało młodego mężczyzny ubranego w skóry. Obok ciała leżała włócznia. Na piersi myśliwego wykwitła szkarłatna róża krwi, Gdy Sefian pochylił się nad nim i dotknął jego ramienia, mężczyzna drgnął i otworzył oczy.

— Żyje! — wykrzyknął! Achon.

— Tak — potwierdził kapłan. — Ale już niedługo. jeśli mu nie pomożemy.

Myśliwy patrzył przerażony na dwójkę obcych. Sefian wyciągnął z sakwy garść zaszuszonych ziół i buteleczkę z jedną z mikstur przygotowanych przez Merukesa. Na migi pokazał mężczyźnie, że ma wypić płyn. Ten, widząc, że obcy nie zamierzają go skrzywdzić, a mogą być jego ostatnią nadzieją, słabo kiwnął głową. Wtedy Sefian przytknął buteleczkę do ust młodzieńca, który po dwóch rykach zasnął.

Kapłan rozwiązał rzemienie na piersi myśliwego i delikatnie odsunął poły ubrania.

— Tak myślałem — mruknął. — Został zaatakowany przez rozjuszone zwierzę.

Potem zwrócił się do syna:

— Kilka minut temu minęliśmy strumyk. Weź czarę i przynieś mi wodę.

— Dobrze, ojciec — odparł Achon i po chwili zniknął wśród drzew.

Gdy wrócił, zastał ojca wciąż klęczącego nad myśliwym. Obok wokół dużego kamienia, płonęło ognisko. Sefian trzymał dłonie na czole rannego i szeptał zaklęcia. Przerwał, gdy zauważył Achona.

Wziął z rąk syna czarękę z wodą. Zanurzył w niej kawałek materiału i zajął się oczyszczaniem rany.

— Przeszał krwawić — powiedział. — To dobrze. Trzeba go teraz pozszywać. Zagotuj resztę wody.

Achon postawił miskę na gorącym kamieniu, Gdy woda zaczęła wrzeć. kapłan wrzucił do czaruki garść ziół. Potem pogrzebał w sakwie. Po dłuższej chwili wyciągnął kościaną igłę oraz cieką nić.

— Już myślałem, że zgubiłem — stwierdził i dodał: — Pamiętaj, synu. żeby zawsze mieć przy sobie igłę i nici.

— Żeby się pozszywać. gdy mnie zrani dzikie zwierzę?

— Nie — odparł Sefian z uśmiechem. — Żeby sobie pozszywać zniszczone ubranie.

Myśliwy drgnął, gdy igła przebiła jego skórę, ale się nie obudził. Kilka minut później było już po wszystkim. Kapłan poprosił Achona. żeby mu ponownie podał miskę.

— Ojczy, śmierdzi — zauważył Achon. przynosząc czarękę z brunatną teraz wodą.

— Owszem, ale za to powinno zapobiec zakażeniu. Sefian zanurzył w cieczy nowy kawałek materiału, po czym przyłożył go do rany myśliwego i obwiązał rzemieniami wyciągniętymi z jego ubrania.

— Teraz musimy poczekać. Przypilnuj chorego.

To mówiąc, zabrał luk i poszedł na polowanie. W czasie swej wędrówki dużo ćwiczili, więc już po godzinie wrócił z kilkoma przepiórkami. W tym czasie Achon ponownie rozpał przygasające ognisko i ustawił prosty rożen.

Wieczorem młodzieniec dostał wysokiej gorączki i drgawek. Przysunęli go bliżej ogniska, a Sefian spędził pół nocy, próbując różnymi środkami, w tym magią, zbić gorączkę. Rano był kompletnie wyczerpany, ale stan chorego się poprawił. Po południu młodzieniec się obudził i pierwsze, co zobaczył, to dwie ciemnoskóre twarze przyglądające mu się uważnie. Mówiły w dziwnym, chrapliwym języku, którego nie rozumiał, ale wiedział, że to im zawdzięcza życie. Ze zdumieniem obejrzał szwy założone przez Sefiana.

Następnego dnia na tyle odzyskał siły, że mógł zaprowadzić wy-

bawiciele do swojej wioski. W ten sposób dwójka Egipcjan została przyjęta do niewielkiej społeczności.

— Znów śniła mi się twoja matka — powiedział Sefian, siedząc obok syna na zaśnieżonym szczycie wzgórza. — I ten dziwny człowiek, wiesz który...

Achon przytaknął. Znał sny ojca. Wiedział, że są bardzo realistyczne, tak jakby Sefian uczestniczył w przeżyciach owego człowieka... i odwrotnie. Było to niepokojące.

— Nie sędzę, abym dał radę — szepnął kapłan.

Achona uderzył smutek i rezygnacja brzmiące w tych słowach.

— Dlaczego tak mówisz?

— Minęły już niemal dwa lata od czasu, gdy wyruszyliśmy w tę podróż. Ostatnie kilka miesięcy spędziliśmy tutaj. Nie sędzę, abym miał siłę wyruszyć wiosną znów w drogę. Chciałbym... chciałbym móc pozbyć się Rydwanu. Zniszczyć go. Wyrzucić.

Achon nie odpowiedział. Coraz bardziej martwił się o ojca. Przeczuj, że wkrótce wydarzy się coś ważnego. Coś, co być może zaważy na ich dalszym życiu.

— Ojczy, dlaczego nie spróbujesz użyć Rydwanu, aby... — zaczął, choć wiedział, że i tym razem, tak samo jak zawsze, jego propozycja spotka się z ostrą reakcją.

— Nie! — przerwał mu Sefian. Jego głos, słaby jeszcze przed chwilą, nabrał mocy. Oczy mu błyszczały. — Już ci mówiłem, że nie użyję tej przeklętej kuli! Czy mnie nie słuchałeś?!

— Przepraszam, ojczy,,.

*On traci zmysły. Boi się użyć Rydwanu, aby jego moc **nim** nie zaważyła. Ten strach doprowadza go do obłądzenia i wiesz o tym.*

To był głos matki Achona. Timmala przemawiała do niego łagodnie, jak wtedy, gdy podążali na spotkanie z faraonem pod Wielką Piramidą.

Co zrobisz, gdy ogarnie go szaleństwo? Na co się odważysz? Musisz być...

— Gotowy... — dokończył Achon.

— Co mówiłeś? — zapytał Sefian, znów zapatrzył się na ośnieżony krajobraz i głos syna wyrwał go z zamyślenia.

— Pytałem, ojcze, czy jesteś golów zejść na dół — to zdanie miało niewiele sensu, ale Achon nie zdołał wymyślić nic innego. Liczył, że Sefian nic zwróci na to uwagi.

Nie mylił się.

Zycie w wiosce płynęło spokojnie. Członkowie plemienia byli przychylni dwóm obcym, którzy zawitali na ich tereny. Tę gościnność zawdzięczali oczywiście uratowaniu młodego myśliwego. Gdy Ekar, bo tak miał na imię ów myśliwy, opowiedział swoją historię na plemiennym zgromadzeniu, Sefian i Achon natychmiast zostali włączeni w poczet jego członków.

Z radością przyjęli przygotowany dla nich namiot, tym bardziej, że dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Ekar osobiście upolował kilka jeleni i wyprawił ich futra, z których potem kobiety uszyły ciepłe ubrania.

Egipcjanie powoli uczyli się nowego języka. Achon, jako młodszy, w mig opanował podstawy. Szybko zaprzyjaźnił się z rówieśnikami i spędzał nieraz całe godziny w ich towarzystwie, na co Sefian patrzył z uśmiechem. Odkąd wyruszyli w tę długą podróż, Achon pozbawiony był kontaktu z innymi dziećmi. Był dojrzały ponad swój wiek, co nic zmieniało faktu, że wciąż był dzieckiem.

Nadeszła zima.

Sefian i Achon po raz pierwszy zobaczyli śnieg. Owszem, kapłan słyszał o nim wcześniej, lecz nigdy go nie widział.

Zdziwienie przybyszy wywołało ogólną radość mieszkańców osady. Plemię wyrosłe na tej ziemi znało zimę, było do niej przygotowane. Egipcjanie — wręcz przeciwnie. To, co dla ludów północy było zaledwie przymrozkiem, oni odczuwali jako straszliwe zimno.

Achon, tak jak w przypadku języka, pierwszy przyzwyczyił się do nowych warunków. Pewnego ranka Sefiana obudziły krzyki syna. Wybiegł z namiotu i zobaczył chłopca na środku zamarznętej rzeki. Serce na moment zamarło mu w piersi. Pobiegnął Achonowi na pomoc, lecz zatrzymał go jeden z mężczyzn. Próbował uspokoić kapłana. Gdy ten raz jeszcze ogarnął całą scenę, zrozumiał, że jego syn wraz z innymi dziećmi bawi się, ślizgając na lo-

dzie. Mężczyzna się uśmiechnął. Poklepał Sefiana po ramieniu i odszedł.

Tak minęły pierwsze trzy tygodnie zimy. Życie w wiosce przypominało sielankę i przybysze czuli się szczęśliwi. Ich spokój burzyła tylko świadomość, że wraz z nastaniem wiosny będą musieli opuścić gościnne plemię. Choć Achon nigdy o to nie zapytał, wiedział. Ze Sefian tak to zaplanował. Kapłan jeszcze tego nie zdradził ani synowi, ani starszemu wioski Chciał odwlec ten moment. Chciał tu pozostać

Przeznaczenie nie pozwoliło na to.

Co kilka dni myśliwi wybierali się na polowanie, aby uzupełnić zapasy mięsa. Czasem wracali z pustymi rękami, czasem udawało im się coś upolować. Kilka razy Ekar zabrał ze sobą Achona. Tego dnia, gdy z całej grupy myśliwych wrócił tylko jeden, chłopiec pozostał w wiosce.

Mężczyzna ślaniał się na nogach. Zataczał się od drzewa do drzewa, znacząc drogę plamami krwi. Jedna z kobiet wrzasnęła przeraźliwie, gdy myśliwy znalazł się w obrębie wioski. Mężczyzna upadł. Wyszeptał tylko jedno słowo, nim oddał ducha.

— Nadchodzą...

Starszy wioski, Sefian, Achon i jeden z wojowników, którzy tego dnia zostali w osadzie, wspięli się na niedalekie wzgórze.

Ujrzeni gromadę ludzi przemykających między drzewami. Poruszali się bezszelestnie, doskonale wiedząc, dokąd zmierzają. Byli uzbrojeni, a niektórzy mieli zakrwawione ubrania

— Przybyli z powodu Rydwanu — syknął kapłan

— Jak to? — zdziwił się Achon. Przecież nikt nie wie, że tu jest. Nawet nasi gospodarze o nim nie wiedzą.

— Goście również nie. Ale to on ich tu zwabił. Przez Rydwan zawsze wybuchały wojny. Ta rzecz jest przeklęta...

Achon uznał, że to bezsens. Byli tu przecież nie dłużej, niż dwa miesiące

Mężczyzna, który towarzyszył im we wspinaczce, na rozkaz starszego ruszył ostrzec pozostałych.

— Idź z nim — polecił Sefian synowi.

Kiedy Achon nie ruszył się z miejsca, powtórzył:

— Idź do naszego namiotu. Już!

Po chwili został na wzgórzu sam ze starszym wioski.

Obcy szli szybko. Byli coraz bliżej. W osadzie zapanowało poruszenie. Mężczyźni chwyтали za broń. kobiety z dziećmi chowały się w namiotach. Gdy obie grupy spotkały się w lesie. Sefian z przerażeniem spostrzegł, że najeźdźcy dysponują miażdżącą przewagą liczebną. Starszy wioski spojrzał na niego błagalnie. Domyślał się, że Sefian dysponuje jakąś tajemniczą mocą od chwili, gdy Ekar przyprowadzi! dwójkę wędrowców. Starszy wioski dokładnie zbadał myśliwego i wiedział, że takiej rany nie można było uzdrowić. Nie metodami, które znali.

Sefian skinął głową. Potem posłał myśl do Achona.

Przynieś mi Rydwan.

Ojciec?

Pospiesz się.

Zamknął oczy. Uspokoił oddech. Skoncentrował się. I ujrzał aury obcych. Jasnoczerwone, wszystkie, co do jednej. Pulsujące żądzą mordy. A co najgorsze, za tą pierwszą grupą szły następne. Atakujących były setki. Obrońcy nie mieli żadnych szans. Sefian sam nic był w stanie powstrzymać najeźdźców. Cała nadzieja w Rydwanie.

Tymczasem u stóp wzgórza rozgorzała bitwa. Obcy zaatakowali, dodając sobie odwagi dzikimi wrzaskami. Garstka mężczyzn z osady stawiała zaciekle opór. lecz było jasne, że nie wytrzymają długo.

Kapłan uformował w dłoni pierwszą kulę ognia i cisnął ją w mężczyznę, który właśnie zamierzał przebić włócznią leżącego w śniegu wojownika. Skóry zapłonęły momentalnie, a sam zaatakowany zamienił się w żywą pochodnię. Jego wrzaski rozniosły się echem, ale towarzysze nie przejęli się jego losem. Sefian, formując kolejną kulę, zastanawiał się, czy cokolwiek zauważyli. Kilku obrońców wioski zmarło przerażonych, co kosztowało ich życie. Starszy wioski wyglądał na wstrząśniętego, ale się nie odezwał. Wiedział, że przegranie tej bitwy będzie jednoznaczne ze zniszczeniem osady i plemienia.

Sefian wypuścił kolejną kulę. jednocześnie ponaglając syna.

.Achon. na Horusa, prędzej!

Potem rzucił następną. I jeszcze jedną. Czuł, jak słabnie. Jeśli Achon nie zjawi się szybko, wkrótce zabraknie mu sił.

W tym momencie na szczyt wbiegł, dysząc ciężko, chłopiec z zawiniątkiem pod pachą. Sefian wyrwał mu z rąk pakunek i odrzucił tkaninę, w którą zawinięty był Rydwan. Kula zapłonęła jasnym światłem, a kapłan poczuł przyływ sił. Natychmiast, nie zastanawiając się nad tym, co robi, nakazał telepatycznie wojownikom, aby wycofali się do osady Nieprzyzwyczajeni do takiej formy kontaktu, zdezorientowani mężczyźni odebrali to jako rozkaz starszego wioski.

Gdy Sefian uznał, że oddalili się na bezpieczną odległość, podpalił las.

Rozpoczął inkarnację powoli i cicho. Potem jego głos stawał się coraz donośniejszy. starożytne słowa płynęły coraz szybciej. Uniósł ręce i zamknął oczy, wykrzyczał ostatnie słowo, a w sekundę później pierwsze drzewo stanęło w płomieniach. Potem kolejne. Ogień przeniósł się na najeźdźców, pałac ich żywcem. Sefian nie słyszał ich wrzasków. Pod zamkniętymi powiekami widział, jak gasną poszczególne aury. Pchnął ścianę ognia w głąb lasu, gdzie płomienie dosięgły kolejne grupy zmierzające w stronę wioski. Wreszcie, gdy zniknęła ostatnia jaskrawoczerwona aura, kapłan ugasił pożar.

Gdy otworzył oczy, ujrzał pogorzelisko. Z lasu pozostały jedynie szerniałe kikuty pni, pomiędzy którymi leżały zwęglone ludzkie szczątki. Cały teren u stóp wzgórza był wypalony do gołej ziemi.

Sefian zadrżał. Wstrząsnęło nim uczucie, którego jeszcze wtedy nie potrafił nazwać

Od tamtych wydarzeń minął tydzień. Śnieg litościwie przykrył popioły. Sefian codziennie rano przychodził na wzgórze i patrzył na dzieło zniszczenia, którego dokonał.

— To było jak euforia — powiedział, schodząc po stromym zboczu w towarzystwie syna — Naprawdę praż chwilę czułem radość, wiedząc, że płoną. Spaliłem tych ludzi i cieszyło mnie to.

Nawet nie wiesz, jakim wstydem mnie to napawa. Przecież jestem kapłanem Bytu! Takie uczucia powinny mi być obce!

Achon milczał. Był wstrząśnięty słowami ojca.

— Wiem. co myślisz — rzekł Sefian. — Myślisz, że twój ojciec to potwór.

— Nieprawda, ojcze,, — zaczął chłopiec, ale kapłan nie dal mu dokończyć.

—] masz racje. Jednym ruchem reki zmiotłem z powierzchni ziemi mnóstwo istnień. Nawet nie wiem ile! Rydwan jest przeklęty. Niewielu ludzi może go używać bez obawy przejścia na stronę Seta. Ja okazałem się za słaby...

W końcu znaleźli się przed swoim namiotem. Weszli do środka, a Sefian niemal od razu zapadł w płytki sen. Achon zostawił śpiącego ojca i wyszedł.

Po raz pierwszy odważył się zapaść na pogorzelnisko. Ud czasu bitwy nikt tam nie chodził.

Masakra. Przecież to była masakra.

Śnieg był puszysty, nietknięty ludzką stopą. Skrzypiał pod butami Achona. a w uszach chłopca brzmiało to. jakby rozdeptywał czaszki. Pozbawione gałęzi, czarne pnie strzelały w szare niebo. Wiele drzew spłonęło niemal do korzeni.

Achon czuł mętlik w głowie. Nieobca była mu śmierć, wszak sam też zabił człowieka, ale wyznanie Sefiana, że czuł radość, paląc żywcem ludzi, wytrąciło go z równowagi. Wątpił też w słowa ojca. jakoby to Rydwan był bezpośrednią przyczyną ataku na osadę. Przecież byli tu tak krótko. W Egipcie, w Świątyni Bytu. Rydwan był ukryty o wiele dłużej, a nie podobnego się nie zdarzyło.

Nie miał też kłopotu z samym aktem wywołania śmiertelnego pożaru. Jego ojciec bronił wioski, której zawdzięczał schronienie w tym ciężkim czasie. Zrobił to. co uznał za konieczne. Problem stanowiło jedynie to. że czerpał z tego przyjemność. Z tym chłopiec nie potrafił się pogodzić.

Czyżby rzeczywiście Sefian okazał się za słaby, jak sam niedawno przyznał? Czyżby nie mógł używać Rydwanu bez uszczerbku na duszy? Jeśli tak. myślał Achon. to nie może już dłużej być strażnikiem Rydwanu Bogów.

Ledwie to pomyślał, przeraził się swojej śmiałości, a potem wybuchnął śmiechem. Jakie prawo ma on. Achon, jeszcze dziecko, decydować kto może, a kto nie może być strażnikiem"

A jednak w głębi duszy wiedział, że ma rację. Musi odebrać ojcu Rydwan. Ukryć go. Potem, gdy nastanie wiosna, sam wyruszy na dalsze poszukiwania Krainy Bogów, a Sefian zostanie w osadzie. Jej mieszkańcy dobrze się nim zaopiekują.

— Gdzie on jest? — warknął Sefian. — Masz mi natychmiast powiedzieć, gdzie on jest!

Kapłan już następnego ranka zorientował się, że materiał jakim był okryty Rydwan, zawiera kamień. Stał nad śpiącym Achonem i mocno nim szarpnął.

— Gdzie? — powtórzył.

Oczy kapłana miały błyskawice Usta miał wykrzywione w dzikim grymasie. Palce jego dłoni zaciskały się na ramieniu chłopca niczym szpony. Achon nie poznawał własnego ojca. Zniknął mądry, stateczny kapłan Świątyni Bytu. strażnik Rydwanu Bogów. Jego miejsce zajęła bestia.

Achon zerwał się na równe nogi. strząsając z siebie dłoń Sefiana.

— Jesteś moim synem? Bo nic wydaje mi się, aby mój syn był na tyle głupi, na tyle naiwny, żeby ukrywać przede mną Rydwan!

Chłopiec powoli, tyłem wyszedł z namiotu. Sefian podążał za nim.

— Powiesz mi, gdzie go ukryłeś.

— Nie. Nie mogę... — Achon przerwał, czując mrowienie, a potem silny ból w potylicy.

Kapłan próbował się wedrzeć do umysłu syna i siłą wyciągnąć informację,

— Au! Ojczy, to boli!

Chłopiec próbował się bronić, stawiał bariery przed atakami ojca. lecz Sefian był wściekły, przez co jego szturm zyskał na sile. Jego wola kruszyła wszystkie mury, jakie wznosił Achon, myśl ostra jak nóż. wdzierała się, w mózg chłopca, sprawiając mu nieopisany ból. Krzyki dziecka zwróciły uwagę mieszkańców, lecz

nikt nie śmiał się przeciwstawić magowi, który uratował plemię. Nikt nie chciał się narażać na spalenie żywcem.

Achon, nie potrafiąc już dłużej bronić się przed atakami ojca, na chwilę opuścił wszystkie blokady, aby móc kopnąć go w piszczel. Czaszka Achona momentalnie eksplodowała bólem, ale fortel się udał. Zaskoczony Sefian krzyknął i upadł, uwalniając umysł chłopca, co ten wykorzystał i pobiegł w stronę pogorzelniska.

Miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie biegł tak szybko, a mimo to słyszał za sobą kroki ojca. Wbiegając pomiędzy pierwsze spalone drzewa zorientował się, że Sefian go dogania. W pewnym momencie spojrzął za siebie, potknął się o zagrzebany w śniegu korzeń i przewrócił. Gdy podniósł wzrok, ujrzał swojego ojca o kilka kroków dalej.

Sefian trzymał w dłoni rozpaloną do białości kulę ognia

— Gdzie on jest? Gdzie ukryłeś Rydwan?

— Nie powiem ci, ojczu. Nie możesz się już do niego zbliżyć.

— Jak śmiesz mi mówić, co mogę, a czego nie mogę?!

— Spójrz, co on z tobą zrobił! Sam mówiłeś, że jest przeklęty!

Ukryłem go, żebyś się nie zamienił w potwora, jak teraz!

— Myślisz, że nie znajdę go sam, robaku? Nie ma tu zbyt wielu kryjówek.

— Potrzebujesz pomocy! Ja sam pójdę do Krainy Bogów.

Kapłan obnażył zęby w okrutnym uśmiechu.

— Sam, tak? Sądzisz, że tobie się uda?

— Nie wiem, Ale spróbuję.

— Raczej nie, mój synu. Nigdzie stąd nie pójdziesz.

W tym momencie Achon zrozumiał, że ojciec naprawdę zamierza go zabić, To już nie były pogrożki. Musiał się bronić.

— Proszę, proszę! — powiedział Sefian — Nauka nie poszła w las.

Achon uformował swoją własną ognistą kulę. Nie była tak jasna i gorąca, jak ta, którą stworzył jego ojciec, ale powinna wystarczyć.

— Spalę cię, chłopcze. Spalę jak ich wszystkich, a popioły rzucę na wiatr

— Nie — szepnął Achon. — Proszę...

Jednocześnie wzniesli dłonie do góry. jakby przygotowywali się do rzutu kamieniem. Kapłan wciąż się uśmiechał. Z tego szaleństwa nie było już odwrotu i chłopiec wiedział, że jeśli nic zdoła zabić swojego ojca. to cała wyprawa pójdzie na marne, a on sam zginie. Po policzkach popłynęły mu łzy.

Żaden z nich nie zdołał posłać swojej kuli w przeciwnika. Uśmiech Sefiana zgasł nagle, zmieniając się w grymas zaskoczenia. Oczy wyszły mu na wierzch, z ust pociekła krew. Ogień w jego dłoni zgasł i kapłan upadł twarzą w śnieg. Z jego pleców sterczała włócznia.

Nieco dalej stał starszy wioski. Był czerwony na twarzy i głośno dyszał. Musiał biec. aby zdążyć na czas. a nie był już młody. Opierał się o pień drzewa, a po chwili osunął się po nim na śnieg. Achon podbiegł do niego. Starszy wioski powoli uspokajał oddech. Uśmiechnął się do chłopca.

Wydrapywanie hieroglifów na kamieniu, który później włożył do grobu na wzgórzu, zabrało Achonowi dwa dni. Niemal przez cały czas płakał. Modlił się do Horusa. aby, mimo że grób znajduje się poza Egiptem, zechciał przyjąć duszę Sefiana

do twojego pałacu. Postanowił, że naszyjnik Sefiana, symbol jego kapłańskiego stanu, zabierze ze sobą. Do grobu ojca włożył tylko złotego skarabeusza.

Sunąc nad otwartym jeszcze grobem i słuchając zawodzenia starszego wioski, który odmawiał modlitwę w swoim języku. Achon zastanawia! się. dlaczego tak się to musiało skończyć

Przeznaczenie

Czy aby na pewno? Czy szaleństwo Sefiana było nieuniknione? W takim razie, gdzie w tym wszystkim było jego miejsce? Czy teraz jego przeznaczeniem jest zostać strażnikiem Rydwanu Bogów? Czy i on skończy jak jego ojciec? I najważniejsze: czy uda mu się dokończyć dzieło ojca i co. jeśli nie"

Przyjdzie ktoś inny

To znów głos jego matki. Słyszał ją w swojej głowic, zupełnie jakby stała obok mego.

Twoim zadaniem jest ukryć Rydwan, jat to zrobiłeś teraz I cze-

kać.

A wiec niech tak będzie.

Po ceremonii, gdy wszyscy wrócili do swoich namiotów. Achon został na wzgórzu sam ze starszym wioski. Odeszli od grobu kapłana. Chłopiec przekazał mu, jak umiał najdokładniej, co zamierza. Starzec jedynie pokiwał głową.

Achon wyjął Rydwan, Gidy zamknął oczy i wizualizował swe pragnienie. Rydwan uniósł się z jego dłoni, zajaśniał błękitnym blaskiem i uderzył w ziemię. Gdy chłopiec podniósł powieki, ujrzał przed sobą łagodnie opadający tunel. Nic wiedział dokąd prowadzi, ale wiedział, że musi nim podążać. Poprosił starszego wioski, aby jego plemię zasypało później tunel i aby nikł za nim nie szedł

Obawiając się echa, jakie mogło pozostać po użyciu Rydwanu. Achon przyzwał ducha pustyni, jedyne go jakiego znał i jakiego potrafił wezwać, i związał go ze wzgórzem i z tunelem. Miał gorącą nadzieję, że postępuje słusznie...

Nic pozostało już nie do zrobienia. Achon pożegnał się starszym wioski, jeszcze raz prosząc o zasypanie tunelu, pożegnał się z ojcem i zszedł pod ziemię.

ROZDZIAŁ 378

Już pierwsze minuty wspinaczki osłabiły krwiożerczość Andrzeja. Był o wiele bardziej pozbawiony energii, niż myślał. Każdy krok wiązał się z ogromnym wysiłkiem, a najtrudniejszy odcinek drogi był jeszcze przed nim. Do tego stonca niemiłosiernie przypiekało, a on nie miał ani kropli wody. Nie mógł się też schronić w cieniu.

Zbocze góry było skaliste i strome, porośnięte z rzadka krzewami. Nie dawały one zbyt dużego wsparcia przy wspinaczce, gdyż były słabo zakorzenione i łatwo odrywały się od podłoża. Po kwadransie Andrzej znalazł się na wąskiej, w miarę równej półce skalnej. Postanowił odpocząć przez chwilę. Wyciągnął z kieszeni ostatni, nieco zmiażdżony owoc i zjadł go, siedząc na krawędzi i wpatrując się w dal. Mgła rozciągała się u jego stóp aż po horyzont. Daleko po prawej stronie dojrzał smugę dymu. Być może właśnie tam leżała jedna z wiosek plemienia broniącego dostępu

do tej krainy. Ci, którzy trzymali armię Dominium z dala od włości tajemniczego władcy, posiadacza Rydwanu Bogów, Starca z Gór.

Dość rozważań. Tomasz i Iza oddalali się coraz bardziej Andrzej zastanawiał się, skąd franciszkanin czerpie siłę, i niemal natychmiast uzyskał odpowiedź.

Wysysa z niej

Wstał i znów zaczął się wspinać.

Zastanawiał się, czy Wysocki rzeczywiście wierzył, że zabierając Izę, skłoni jego, Andrzeja, do pozostania na dole. Teraz, gdy wiedział już, kim jest Tomasz i do czego zmierza Nie, raczej planował coś innego A może, po prostu, potrzebował jej siły i energii, aby skończyć to, co zaczął. A kiedy położy rękę na Rydwanie, nic będzie dla nich ratunku

Andrzej zdwoił wysiłki. Ostre krawędzie skał poraniły jego dłonie i stopy. Zostawiał za sobą krwawe ślady.

W pewnej chwili spojrzał w górę i nie dostrzegł aury Izy. Strach ścisnął mu serce. Zaczął się gorączkowo rozglądać, szukając jakiegokolwiek śladu. Jeszcze raz popatrzył w górę i zauważył to, co poprzednio mu umknęło

Wejście do jaskini. Był blisko. Coraz mocniej czuł bicie serca Rydwanu. I coraz wyraźniej czuł czyjaś obecność. Strażnika Rydwanu.

Dotarcie do szerokiej półki skalnej, w której mieściło się wejście do jaskini, zabrało Andrzejowi kolejne pół godziny. Kiedy w końcu się na nią wdrapał, musiał usiąść i odpocząć kilka minut.

Stopy i dłonie paliły go. mięśnie ud i ramion bolały i drżały pod skórą. Oparł się o skałę i wyciągnął nogi przed siebie. Słońce prażyło jak na pustyni.

Pomimo bólu i zmęczenia. Andrzej się cieszył. Dotarł tu, na krańiec obcego świata, wspinał się na górę. a za plecami miał wejście do groty, w której krył się Rydwan Bogów. Na moment zapomniał o Izie i Tomaszu, Cieszył się, że dokonał tego pomimo przeciwności losu.

Przeznaczenie

Był o krok od powrotu do domu. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Wreszcie uznał, że odzyskał wystarczająco dużo sił i stanął przodem do wejścia do pieczary. Po krótkiej chwili wahania wszedł do wnętrza.

Ogarnęła go niemal namacalna ciemność. Powolne pulsowanie Rydwanu przypominało teraz łopot ogromnych skrzydeł.

Gdy wzrok przyzwyczał się nieco do mroku. Andrzej zauważył, że słoi w wąskim tunelu o nieregularnych ścianach i niskim sklepieniu. Kilka metrów dalej tunel zakręca! w prawo.

Tunel Znowu tunel...

Andrzej ruszył przed siebie. Minał pierwszy zakręt, potem drugi. Światło słoneczne już tu nic docierało i Stawicki czuł się jak kret. Charakter tunelu się zmienił. Pod palcami Andrzej nie czuł już poszarpanej skały, lecz gładkie, wyszlifowane ściany, schodzące się w łuk nad jego głową. Zaskoczony tą zmianą zatrzymał się na chwilę, zaraz jednak podjął wędrówkę.

Po kilkudziesięciu metrach, sunąc dłonią po jednej ze ścian, poczuł, że tunel ponownie zakręca. Jakież było jego zdumienie, gdy za zakrętem ujrzał jasne smugi światła wpadające ukośnie przez świetliki wykute w stropie! Promienie słońca rozświetlały tunel, który był teraz niemal dwukrotnie szerszy i wyższy. Przywodził na myśl galerię. Zarówno obie ściany, jak i strop były gęsto pokryte hieroglifami. Zafascynowany Andrzej przesuwiał palcami po wizerunkach starożytnych bogów, skarabeuszy, piramid, budowli, łodzi i różnych postaci. Gdyby tylko Antoni mógł to widzieć... Byłby wniebowzięty.

Wtem jego wzrok padł na dwie postacie, większe od otaczających je innych portretów i symboli. Pierwsza z nich, wyższa, trzymała w wyciągniętej dłoni kulę. druga, o głowę mniejsza, podążała śladem pierwszej.

Ojciec i syn. Sefian niosący Rydwan Bogów.

Andrzejowi dreszcz przebiegi po plecach, gdy sobie to uświadomił. Wiedział, że ma rację. Ta galeria opowiadała historię Rydwanu, a on mógłby ją odczytać, gdyby miał na to czas. Przyspieszył kroku, myśląc, że i tak zmarnował go tu za dużo.

Wkrótce pozostawił za sobą galerię i znów pogрузił się w mroku. Szedł długo, aż stracił poczucie czasu i kierunku. Nic był już pewny, czy idzie przed siebie, czy może tylko tak mu się zdaje. Jedynymi dźwiękami były odgłosy jego kroków i szelest dłoni przesuwanej po gładkiej ścianie tunelu.

Wokół panowała całkowita ciemność. Kilkakrotnie Andrzej usiłował zobaczyć aurę Izy, ale bezskutecznie. Zastanawiał się, jaką przewagę miał nad nim Tomasz,

•••

Nie wiedział ile minęło czasu i jak długą trasę przemierzył, nim dostrzegł w oddali światło.

Światelko w tunelu...

Andrzej szedł krok za krokiem, a światło stawało się coraz jaśniejsze. Nic miało takiego blasku jak promienie słońca oświetlające galerię, miało żółte zabarwienie, a po pewnym czasie Andrzej spostrzegł, że migotało. Domyślił się, że gdzieś przed nim znajduje się pochodnia. A gdzie była pochodnia, mogli być i ludzie.

Stawicki zwolnił. Starał się posuwać jak najciszej, stawiał kroki powoli i ostrożnie. Oderwał również rękę od ściany. Poruszał się tak przez kilka minut, aż dotarł do kolejnego zakrętu.

Przystanął, oparł się plecami o skałę i ostrożnie się wychylił.

Za załomem tunel dalej biegi prosto jak strzała. W ścianie po lewej wykute było łukowate przejście, obok którego w żelaznych pierścieniach wisiały płonące pochodnie, po jednej z każdej strony. Zza łuku również dochodziło światło.

Ani śladu Tomasza i Izy.

Andrzej postąpił kilka kroków i spojrzał za łukowe przejście. Zobaczył przestronny pokój. Zdziwiony stanął i rozejrzał się dokładniej.

Podłogę pokrywał piękny, gruby dywan. W głębi stał siół i dwa proste krzesła. Po prawej stronie znajdowało się biurko, czy sekretarzyk, a przed nim kolejne krzesło. Obok szatka, na mej kilka starych ksiąg. Z sufitu zwieszał się metalowy żyrandol, na którym płonęły dziesiątki świec

Andrzej wszedł do wnętrza pomieszczenia. Przekraczając próg, poczuł, jak zatrzymuje go jakaś niewidzialna błona, która po

chwili ustąpiła i Stawicki znalazł się w pokoju.

Spojrzał w lewo. Z wygodnego fotela ustawionego w rogu podniósł się mężczyzna. Był wzrostu Andrzeja, o smagłej cerze, twarzy pokrytej siecią zmarszczek i łysej czaszce.

— Jesteś — powiedział, a Andrzej nawet się nie zdziwił, że rozumiał jego słowa.

Kiwnął głową, bo jedynie to przyszło mu do głowy.

— Mam na imię Achon, jestem strażnikiem Rydwanu Bogów, tak jak wcześniej mój ojciec, Sefian. Wiem. po co przyszedłeś.

•••

— Usiądź — powiedział Achon, na powrót sadowiąc się w fotelu

Andrzej przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw starca.

— Czekałem na ciebie ponad pół wieku, a kiedy wreszcie się pojawiłeś, okazało się, że jest was dwóch,

— Nie rozumiem.

Achon przewiercał Andrzeja spojrzeniem

— Zapomniałeś. To proste — odparł. — Jesteście tu obaj z tego samego powodu.

— Mówisz o Tomaszu?

Achon skinął głową.

— Był tu? Kiedy? Czy była z nim kobieta? — Andrzej zasypał starca pytaniami, jednocześnie podnosząc się z krzesła

— Usiądź — powtórzył Achon i gdy Andrzej usłuchał, kontynuował: — Był tu. Z kobietą. Natomiast nic ma znaczenia, kiedy. Czas płynie tu inaczej. Spójrz.

Andrzej odwrócił się w stronę, w którą wskazywała wyciągnięta ręka Achona. Z miejsca, w którym siedział, mógł dostrzec jedną z pochodni znajdujących się przed wejściem. Jej płomień zdawał się nie poruszać.

— Mamy cały czas tego świata — powiedział Achon, widząc zdumioną minę Andrzeja. — Nic wiedziałem, kiedy przyjdiesz. Musiałem się jakoś zabezpieczyć, stworzyłem bańkę, w której czas płynie wolniej. Rzadko stąd wychodzę. Gdyby nie ona mógłbym nie doczekać twojego, a właściwie waszego. przybycia.

— Nie rozumiem nie z tego. co mówisz — stwierdził Andrzej.

— Muszę iść. Powiedz mi. gdzie jest Rydwan.

— Cierpliwości.

— Gdzie on jest?

— Niedaleko.

— Powiedz mi. jak mam się nim posłużyć.

— Będziesz wiedział. Mam nadzieję, że tego nie zapomniałeś.

— Mówisz tak. jakbyś mnie znał!

— Bo cię znam. Ojciec mi o tobie opowiadał.

— Co?! To niemożliwe!

— Mylisz się. Powiedz, miewasz sny. które są w istocie dwoma snami śnionymi przez dwie osoby? Czy nic zamieniasz się w nich w inną osobę i nic obserwujesz snu jej oczami, tak jak wcześniej ona obserwowała twoimi?

Andrzej przytaknął.

— Tą osobą był Sefian. Śnił twoje sny. tak jak i ty śniłeś jego sny. Opowiadał mi o nich. dlatego wiem. co w nich widzisz

Andrzejowi naraz przed oczami stanął Irak, pokój w starym budynku i telewizor. Łzy stanęły mu w oczach. Bał się ..

Wiedział, że gdy ta historia się skończy, gdy wróci do domu, sny pozostaną.

— **Mówią, że jesteś potężnym magiem — zaczął. — Czy mógłbyś... sprawić, żeby przestały mnc nawiedzać?**

— **Nie mogę uzdrowić twojej duszy. Tylko ty sam możesz to zrobić.**

— **Jak?**

— **Nie mogę ci pomóc - powtórzył Achon.**

Andrzej zakrył twarz dłońmi

— **Wiesz, co masz zrobić — powiedział starzec. — Masz wszystko, czego potrzebujesz. A w odpowiednim czasie przypomnisz sobie resztę.**

Andrzej w milczeniu pokręcił głową.

— **To twoje przeznaczenie! — wykrzyknął Achon.**

— **Co? Co jest moim przeznaczeniem?! — zawołał Andrzej.**

— **Słyszę to słowo wciąż wokół mnie. Przeznaczenie to. przeznaczenie tamto. Mam tego dość! Kim jesteś, aby mówić mi. co mam robić?!**

— Jesteś tu aby oddać Horusowi jego Oko. Rydwan Bogów.

— Jestem tu. bo była to jedyna nadzieja na powrót do domu Dlatego potrzebny mi Rydwan. Nic obchodzi mnie Horus, jego Oko. ani inne części ciała. Chcę wrócić z Izą do domu.

— Musisz zwrócić Horusowi Rydwan! — zagrzymiał Achon

Podniósł się z fotela Jego sylwetka zdawała się sięgać sklepienia. Potem nagle opadł z powrotem na fotel. Wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby ten wybuch wyczerpał go.

— Dlaczego? Podaj mi choć jeden powód,

— Powinieneś sam wiedzieć.

— Co powinienem wiedzieć?

— Wieki temu — odparł po chwili milczenia Achon — mój ojciec podjął się zadania, które przerosło jego siły. Przymknął, że zwróci Rydwan Bogów Hansowi, aby świat nigdy już nie był zagrożony. Ale Rydwan go pokonał. Stałem naprzeciw mojego ojca, nim Rydwan w pełni nim zawładnął. Ale byłem zbyt słaby, aby dokończyć jego dzieło Zamiast zwrócić Rydwan, znalazłem się tu. Ukryłem się w górach, ale niczego to nie zmieniło. Znów, jak za dawnych lat w Egipcie i jeszcze wcześniej na Wielkiej Wyspie, wybuchła wojna. Ludzie nie wiedzieli sami. o co walczą, więc wymyślali preteksty. Zawsze tak było. Ale ja wiedziałem, że walczą o Rydwan. Jeśli ty nie oddasz Rydwanu Horusowi. to twój przeciwnik zanieś wojnę do waszego... naszego świata.

— Czym jest ten Rydwan?!

— Jest narzędziem bogów. Stworzyli go wspólnie, a potem z jego pomocą wykreowali świat. Ale Set zapragnął mieć Rydwan tylko dla siebie. Bogowie pokłócili się okrutnie, a Rydwan wylądował na ziemi, w miejscu, gdzie nie powinien się nigdy znaleźć. Wielka Wyspa stanęła w ogniu. Ludzie podzielili się na dwie frakcje i rozpętała się bratobójcza walka. Wreszcie ludzie miłujący pokój postanowili zniszczyć Rydwan. W wyniku ich prób, Wielka Wyspa zatonała. Rydwan jest skażony i niezniszczalny, dlatego musi wrócić do siedziby bogów. Według mnie. choć pierwotnie służył do tworzenia, wola Seta. złego brata Horusa. sprawiła, że ma moc jedynie niszczenia.

Chyba, że znajdzie się człowiek dostatecznie silny, aby nim zawładnąć. Nawet mój ojciec, wielki kapłan Świątyni Bytu. tego nie potrafił. Ty jesteś ostatnią nadzieją. Jesteś tu. aby Rydwan nie trafił w ręce twojego przeciwnika.

Przeinaczenie Jakie piękne, prosie słowo, dzięki któremu można wmówić komuś, że powinien postępować tak. a nie inaczej.

— Niczego ci nic wmawiam — powiedział Achon. jakby usłyszał myśli Andrzeja — Taka jest prawda. Rydwan nie może zostać w tym ani w żadnym innym świecie. Jeśli zostanie, wojnom nie będzie końca. Uwierz mi, wiem, co mówię.

— Dlaczego go nie zatrzymałeś? — zapytał Andrzej, mając na myśli Tomasza.

— Nie ode mnie zależy dalszy los Rydwanu.

— Chcę wrócić do domu... — szepnął Andrzej. — Jestem taki zmęczony... Proszę...

— Myślę, że w tym aspekcie akurat mogę ci pomóc

Achon wstał i pochylił się nad Andrzejem. Położył dłoń na jego czole i zamknął oczy. Stawicki poczuł znajome mrowienie w karku. Usłyszał wokół siebie szepty, ale nie pochodziły one od Achona. Ciarki przeszły mu po plecach.

Po chwili Achon ponownie usiadł w fotelu Wyglądał, jakby w ciągu chwili postarzał się o kilka lat.

— A teraz idź — powiedział słabym głosem.

•••

Andrzej biegł ciemnym korytarzem z płonąca pochodnią w dłoni. Gorzał w nim gniew. Achon przywrócił mu część sił. Na pytanie, czy podobną przysługę oddał Tomaszowi, starzec odparł, że nie. ponieważ ten go o to nie poprosił. A gdyby poprosił?

— Otrzymałby pomoc — powiedział Achon. — Nie do mnie już należy decyzja, kio stanie się następnym strażnikiem Rydwanu Bogów.

— Ado kogo? — zapytał Andrzej.

— Do was. A przez was do sił. które reprezentujecie.

Andrzej zastanawiał się. czy właśnie do tego przygotowywał się całe życie? Czy jako zagraniczny reporter nie szukał czasem, podobnie jak Tomasz., Rydwanu, tyle, że o tym nic wiedział?

Co miał na myśli Achon. mówiąc, że Andrzej zapomniał. Stawicki miał jedną przewagę nad zakonnikiem. Odzyskał część sił. podczas gdy Tomasz słabł z każdą chwilą.

Korytarz był wąski i kręty. W pewnym momencie zaczął opadać, jakby prowadził do korzeni góry. Światło pochodni połyskiwało na szorstkiej skale, wydobywając z mroku najgłębsze cienie.

Andrzej biegi tak szybko, jak mógł. Czuł się jak olimpijczyk niosący znicz. Tak się zapamięta! w tym biegu, że niemal wpadł do lodowatej wody, gdy rozpostarło się przed nim podziemne jezioro.

Na środku jeziora była wysepka.

Z brzegu prowadziła do niej grobla.

Andrzej przypomniał sobie historię, według której Skalkę z brzegiem również łączyła grobla, dopóki nie zniszczyli jej franciszkanie.

Pewien cykl. rozpoczęty na malej wyspie znajdującej się na jeziorze koło Kazimierza, zamknął się i Andrzej wiedział, że znalazł Rydwan.

Na środku grobli migotało światło Dwie postacie podążały w stronę wysepki. Andrzej upuścił pochodnię do wody: zgasła z sykiem. Potem wszedł na wąską Ścieżkę prowadzącą do Rydwanu.

Jak wielka była owa jaskinia kryjąca w sobie jezioro, mógł się jedynie domyślać. Światło pochodni franciszkanina nie docierało ani do jej ścian, ani do sklepienia. Woda była nieruchoma, od wieków niezmacona podmuchem wiatru czy płetwą ryby.

Andrzejowi dzwoniło w uszach. Dudnienie Rydwanu Bogów było teraz niemal ogłuszające.

Chodź...

Chodź...

Chodź...

Był pewien, że Tomasz odczuwa to tak samo. może nawet silniej. Czy Iza także słyszała?

Słyszysz to. skarbie? Wota nas do siebie To dźwięk naszego pociągu do domu.

Niewidoczny w ciemności, niczym duch skradał się za Tomaszem i Izą. którzy niemal dotarli już do wyspy. W blasku po-

chodni mnicha z mroku powoli wyłaniał się piedestał, kamienny ołtarz Rydwanu Bogów, stojący na samym środku wysepki.

Chodź...

Chodź...

Chodź...

Andrzej nie mógł pozwolić, aby Tomasz dotknął artefaktu, czy choćby zbliżył się doń jeszcze o krok.

— Stój! — wykrzyknął, a jego głos odbił się echem od ukrytych w mroku ścian i wrócił zwielokrotniony.

Reakcja Wysockiego całkowicie go zaskoczyła. Tomasz nie tracił czasu. Odwrócił się, złapał Izę za szyję i zasłonił się nią jak tarczą. Jednocześnie uniósł w górę prawą rękę, w której trzymał pochodnię.

— Andrzej! — krzyknęła Iza. Była przerażona.

— Nie umiesz czytać. Andrzej? — zapytał, idąc tyłem w stronę piedestału i ciągnąc za sobą Izę. — Myślałem, że jesteś inteligentny.

Andrzej ruszy! w stronę zakonnika.

— Nie podchodź — powiedział Tomasz, wciąż zbliżając się do środka wyspy. — Nie podchodź, bo ją zabiję, tak jak zabiłem profesora.

Stawicki się zatrzymał. Dostrzegł łzy na twarzy Izy. Ból ścisnął mu serce. Ponownie wezbrał w nim gniew.

— Właśnie tak. Zostań tam, gdzie stoisz. Wkrótce będzie po wszystkim i wszyscy będą szczęśliwi.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć? — zapytał Andrzej, znów zbliżając się do Wysockiego. — Przygotowałeś dla nas *happy end* czy wieczną kąpiel w tym jeziorze?

— Andrzej, kurwa, nie bądź głupi!

Jest słaby. Niepewny. Boi się. Boi się mnie.

— Dlaczego miałbym ci oddać Rydwan?

— Nie możesz mi niczego oddać. Andrzej. Rydwan nie należy do ciebie.

— Ani do ciebie,

— Już niedługo...

W tym momencie Iza, korzystając z rozluźnienia chwytu spowo-

dowanego rozkojarzeniem zakonnika, z całej siły nadepnęła mu na stopę i poprawiła ciosem łokcia w brzuch. Tomasz krzyknął i pchnął wyrywającą się dziewczynę, łaża uderzyła głową o skałę i straciła przytomność.

Widząc to. Andrzej dał upust swojej złości. Wrzasnął coś niezrozumiale i rzucił się na Wysockiego, który zdołał już zrobić kilka kroków w stronę piedestału. W świetle pochodni obaj mogli zobaczyć, że z podstawy wyrasta półtorametrowa kolumna, a na niej leży duża. czarna kula.

— Jest mój! — wrzasnął zakonnik, wyciągając przed siebie wolną dłoń.

Wtedy dopadł go Andrzej, rzucając się na jego plecy i przewracając go. Pochodnia wypadła franciszkaninowi z ręki i potoczyła się pod kolumnę.

— Mój! — krzyknął ponownie Wysocki. — Nie pozwolę ci go sobie odebrać!

— Po moim trupie — mruknął Andrzej, mocując się z zakonnikiem.

Przez chwilę siłowali się. aż nagle Tomasz uderzy! czołem w nos Stawickiego. Andrzej, czując na brodzie ciepłą krew, rozluźnił uchwyt. Wysocki wykorzystał chwilę i zrzucił z siebie przeciwnika. Przykucnął i poprawił prawym prostym, trafiając w podbródek. Potem wstał, dysząc ciężko, i spojrzał na zalanego krwią rywala.

— Po twoim trupie, tak? — powiedział. — To się da załatwić.

Podniósł nogę, chcąc zmiażdżyć głowę Andrzeja. Stawicki wyciągnął ramię i ułożył palce w specyficzny sposób.

Nie miał pojęcia, skąd w jego głowie pojawił się taki zamysł, ale gdy tylko to zrobił, w jego dłoni zapłonęła na króciutki moment kula światła. W ciemności jaskini, rozświetlanej jedynie blaskiem pochodni, wydawała się jasna jak słońce. Franciszkanin, oślepiiony rozbłyskiem, zasłonił twarz i się zatoczył. Trafił plecami w kolumnę. Odwrócił się i zaczął obmacywać piedestał. Nim Andrzej zdołał wstać, wciąż oszołomiony tym. co się stało. Wysocki trzymał w dłoniach Rydwan Bogów. Odwrócił się do Stawickiego, który zdążył się już podnieść.

— Mówiłem ci. jest mój --rzekł, oddalając się od Andrzeja o kilka kroków.

Stawicki patrzył bezradnie na czarną kulę w dłoni zakonnika. Wysocki uniósł ją na wysokość piersi. Jej wnętrze zaczęło się żarzyć bladym, błękitnym blaskiem, a na powierzchni zatańczyły złote symbole Wokół rozległy się szepty

— Słyszysz, Andrzeju? — zapytał Tomasz. — Słyszysz, co mówi?

Andrzej słuchał i patrzył, niezdolny do ruchu Błękit w kuli był coraz jaskrawszy.

— Nie wrócisz do domu — powiedział Wysocki.

Rydwan zajaśniał jeszcze mocniej, aż Andrzej musiał zasłonić oczy. Zrobił krok naprzód, gdy tuż przed nim przemknął cień. Pochodnia leżała za franciszkaninem, więc Stawicki nie mógł rozróżnić sylwetek, ale i tak wiedział, że to Iza. Przyłgnęła do zakonnika. Tomasz krzyknął. Rydwan Bogów uwięziony między ich ciałami błysnął oślepijająco.

Przez chwilę Andrzej nic nie widział Potem z mroku wyłonił się słaby płomień pochodni. Z załzawionymi oczami, niemal po omacku, szedł w stronę leżących ciał.

— Iza! — zawołał. Odpowiedziało mu jedynie echo.

— **Iza!**

Dziewczyna leżała na zakonniku. Gdy Andrzej ją odwrócił, z koszuli Wysockiego stoczyła się czarna kula.

Andrzej przykucnął nad Izą. W świetle pochodni widział, że ma otwarte oczy. ale nie patrzyła na niego.

— Och, nie... — jęknął. — Nie!

Polem chwycił w dłonie jej twarz. Poczul, że naprawdę odeszła, gdy dotknął chłodnych policzków. Nie potrafił leż pomimo starań dostrzec jej aury. Nie było już Izy, została tylko pusta skorupa. Oparł czoło o jej czoło i zapłakał. Uratowała mu życie. Przecież powiedziała, że mu pomoże, prawda?

I pomogłaś.

Zapłaciła za to życiem, a on tego nie przewidział. Jego talent, który tak bardzo przydałby mu się jeszcze kilka minut temu. zawiódł go. Może i tak nic mógłby zmienić biegu wydarzeń? Może

takie było przeznaczenie?

Przesunął dłońmi *po* ciele Izy i wyczuł coś miękkiego i chropowatego pod palcami. Podniósł pochodnię, żeby móc się lepiej przyjrzeć.

Ujrzał szerniałą, ruszczącą się tkanę w miejscu, gdzie powinna być gładka skóra brzucha przykryta koszulą. Tkanina w tym miejscu spaliła się całkowicie, pozostawiając nieregularną dziurę o postrzępionych, zwęglonych brzegach

Izę pochłonał ogień, który miał spopielić Andrzeja.

Pochodnia powoli przygasła, a Andrzej wciąż klęczał z głową Izy na swoich kolanach. Zamknął jej oczy. bo miał wrażenie, że patrzy na mego z niemą skargą. Było to złudzenie zrodzone z poczucia winy i wiedział o rym. ale nie potrafił nic na to poradzić.

W końcu Izy obeschły i Andrzej zdecydował, że czas opuścić tę grootę. Wypalony brzuch Izy przykrył swoją koszulą, na **którą położył Rydwan. Poczul nagły przyływ sil. gdy tylko dotknął kuli. jakby przejął część energii w niej zgromadzonej** Potem podniósł ciało dziewczyny tak. jak czyni to pan młody, gdy przenosi żonę przez próg. Schylił się jeszcze po pochodnię i ruszył ku wyjściu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nic wrzucić ciała Wsockiego do jeziora, gdzie puchłoby i rozkładało się przez lala. ale zrezygnował z tego pomysłu.

Znów przemierzał te same korytarze. Nie zdziwił się, gdy zauważył, że komnata strażnika Rydwanu Bogów zniknęła Tam. gdzie było wejście, teraz znajdowała się jedynie skala Nie było nawet uchwytów na pochodnie. Czas Achona się skończył

Andrzej przeszedł przez galerię rozświetloną czerwonym światłem. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Wydawało się. że hieroglify opowiadające historię Rydwanu pokryte są krwią **Przystanął przed jedną płaskorzeźbą. Był na mej mężczyzna, przedstawiony z profilu, na typowo egipską modłę, niosący ciało, na którym spoczywał Rydwan Bogów. Smutny uśmiech przemknął po twarzy Andrzeja.**

Kilka minut później był już na zewnątrz Mgła zniknęła Po prawej strone ognistoczerwona kula słońca powoli tonęła za

horyzontem.

Andrzej odrzucił bezużyteczną teraz pochodnię i rozejrzał się po okolicy. Szara, jałowa ziemia. Minie wiele czasu, nim wyrośnie tu coś prócz trawy. Teraz nic już nic powstrzyma wojsk Dominium przed spacyfikowaniem tej prowincji.

Potem spojrział w dal. Bez trudu dostrzegł wąską nie rzeki, pomarańczową w świetle zachodzącego słońca. Wyteżył wzrok i zobaczył Annę i Jana. Najpierw przypominali ledwo widoczne punkciki, nie większe niż mrówki, po chwili widział ich tak, jakby siał nie dalej niż kilkadziesiąt metrów od nich. Rozpalili niewielkie ognisko.

A wiec działa...

Delikatnie położył ciało Izy na ziemi. Przyklęknął obok, jedną dłoń kładąc na jej czole, a drugą na Rydwanie. Spojrział w stronę dzikiego sadu w- pewnej odległości od ogniska.

I przypomniał sobie. Po chwili zniknął, a wraz z nim ciało i Rydwan.

W mroku jaskini zaśniły bladoniebieskie oczy

Gdy Andrzej wyszedł spomiędzy drzew, niosąc martwą Izę. Annie ze strachu serce podeszło do gardła.

— O mój Bole! — krzyknęła, podbiegając. — Co się stało?

— Zdobyłem Rydwan, ale Iza zapłaciła za to życiem — odparł, podchodząc do ogniska.

Położył ciało Izy w trawie i zakrył jej twarz. Potem opowiedział o tym, co się wydarzyło w jaskini. Opowiedział wszystko ze szczegółami. Na długo zapadła cisza,

— Widzieliśmy, jak mgła rozwiała się w jednej chwili — powiedział w końcu Jan. — Mieliliśmy nadzieję, że ci się udało

— Powinniśmy ją pochować — stwierdzi! Andrzej, ignorując słowa mnicha

Polem Andrzej poszedł do sadu. wybrał najdorodniejsze drzewo, o rozłożystych konarach i zaczął pod nim kopać gołymi rękoma. Po chwili bez słowa dołączyła do niego Anna.

— Nigdy nic powiedziałem jej, że ją kocham — szepnął w

pewnym momencie, przerywając kopanie.

— **Ona wiedziała — odparła Anna**

— Tak myślisz? — zapytał, patrząc na nią oczyma mokrymi od łez.

— Tak. Tak myślę.

Andrzej skinął głową i powrócił do pracy. Kilka minut później zjawił się Jan.

— Znalazłem to — powiedział, pokazując zardzewiały szpadel z ułamanym trzonem. — Pomyślałem, że może się przydać.

•••

Gdy Tomasz wyszedł z jaskini, słaniając się na nogach, na niebie lśniły gwiazdy. Rozejrzał się po okolicy, tak jak wcześniej Andrzej. Polem spojrzął w dal. Wiedział, że ma tylko jedną szansę, żeby odzyskać Rydwan. Wyczuwał, że Andrzej zdołał już go wykorzystać, więc nie pozostawało mu nic innego, jak przeskok. Teleportacja. Nawet, jeśli go to zabije.

•••

Pochowali Izę w ostatnim świetle tego dnia. Nie było mów pożegnalnych. ani modlitw, choć Jan zaproponował, że odmów i połączanie litanie za zmarłych. Andrzej się nic zgodził.

Potem wrócili do ogniska i usiedli bez słowa. Jako pierwszy ciszę przerwał mnich.

— Nie chcę wracać — rzeki. — Czasy się zmieniły. Świat poszedł naprzód i nie mam do czego wracać.

— Mogę spróbować wykorzystać Rydwan tak. aby przeniósł cię w czasie — odparł Andrzej,

— Czy w ogóle potrafisz go wykorzystać? — zapytała Anna

— Myślę. Że tak.

— Nie chcę wracać — powtórzył Jan. - Język znam. zostanę tutaj.

— Więc tylko my dwoje... — zaczęła Anna. lecz Andrzej przerwał jej. kręcąc głową. — Jak to? Ty też?

— Nic. ja po prostu. .. wybieram się w inne miejsce.

— Co to znaczy?

Andrzej uśmiechnął się bez radości.

— Muszę oddać tę... rzecz właścicielowi - powiedział.

— Ale dlaczego?

Przeznaczenie...

— Ktoś musi. Żeby był o jeden powód mniej do zabijania ludzi.

— Nie! Wróć ze mną!

— Z Rydwanem pod pachą" Nie będę miał chwili spokoju. Skończę w jakiejś samotni, jak Achon. Poza tym... ja również nie mam po co wracać. Iza nie żyje. Antoni nie żyje. Nawet Adi przypłacił życiem tę wyprawę. Do końca życia będą mnie prześladowały koszmary. O wojnie, o Śmierci Izy...

Anna zwiesiła głowę. Nic chciała, żeby zobaczył, jak bardzo zabolą ją jego słowa.

— W takim razie — zaczął Jan. — Czas chyba się pożegnać.

— Masz rację — przyznał Andrzej. — Nie ma sensu tego przedłużać

Po czym wstał i odszedł z Rydwanem kilka kroków. Przez chwilę przyglądał się czarnej kuli. Nic wiedząc, co robić. Jak otworzyć portal do innego świata? Czy to w ogóle możliwe?

Oczywiście, że tak. Jak inaczej znalazłby się tu Achon?

I Andrzej wiedział. Przypomniawszy sobie, zupełnie, jakby kiedyś już to robił.

Zamknął oczy i się skoncentrował. Poczł mrowienie w politycy, ale tym razem wiedział, że to on sam jest jego źródłem. Nie obca ingerencja. Rydwan zaśnił błękitem, po jego powierzchni przepłynęły złote znaki.

Otworzył oczy i ujrzał przed sobą nocną panoramę Kazimierza. Jakby zrobił dziurę w otaczającej go rzeczywistości. Wystarczyło zrobić krok. przejść przez otwór o poszarpanych i falujących brzegach, aby znaleźć się na wzgórzu Trzech Krzyży. Stała tam piątka dzieciaków: czterech chłopców i dziewczyna. Mieli szeroko otwarte ze zdziwienia oczy. Jeden z chłopców otworzył też usta. Andrzej uśmiechnął się i pomachał do nich. Niepewnie i bardzo powoli odmachali mu.

Miejsce dobre, jak każde inne

Anna właśnie wyzwoliła się z uścisku Jana i podeszła do Andrzeja.

— Wygląda jak prawdziwe — powiedziała.

— Jest prawdziwe. Musisz tylko przestąpić próg.

— Jesteś pewny, że nie chcesz wrócić ze mną?

Andrzej kiwnął głową. Raz. Anna westchnęła i zarzuciła mu rękę na szyję,

— w takim razie żegnaj — powiedziała. — Mam nadzieję, że ci się uda.

— Ja również

Polem pocałowała go w usta

— Dziękuję — dodała, gładząc jego policzek. Potem odwróciła się w stronę portalu.

Zrobiła krok i znalazła się na wzgórzu. Chciała się odwrócić, lecz Andrzej zamknął przejście, nim zdążyła to zrobić,

— Ostaliśmy sami — rzekł mnich, zbliżając się.

— Tak.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

— Tak — powtórzył Andrzej

— W takim razie powodzenia — powiedział Jan. wyciągając dłoń. Niech Bóg ma cię w opiece.

— Ciebie również, przyjacielu.

Po chwili Rydwan znów zajaśniał i Andrzej otworzył portal Tym razem nie było panoramy Kazimierza. Nie było niczego, tylko pustka. Czerń ciemniejsza od mroku nocy.

— Nie wygląda zachęcająco — mruknął mnich

— Jest w porządku

Andrzej zrobił krok. jak wcześniej Anna, a wtedy zza drzew wypadł Wysocki. Zdążył przeskoczyć w samą porę. Słyszał i widział wszystko ukryty za pnem Widział, jak Anna przeszła i wiedział, co chce zrobić Andrzej. Zdążył, choć był ledwie żywy. Ale to nic miało znaczenia. Jak tylko położy dłoń na Rydwanie, nic nie będzie miało znaczenia.

Andrzej wkroczył w pustkę. Tomasz skoczył szczupakiem, nim portal się zamknął Zdążył.

Prawie

Zdumiony Jan obserwował, jak Wysocki rzuca się i znika do połowy w przejściu. W tym momencie portal zamknął się i część ciała, od pępka w dół, leciała jeszcze kilka metrów siłą rozpędu,

nim uderzyła w nawę. Krew i wnętrzności wylały się na ziemię. Na widok powoli wypływających jelit Jan zwymiotował obficie. Reszta zwłok zniknęła i mnich nie miał ochoty się zastanawiać, co się z nią stało. Nie mógł się też zdobyć na to, aby pogrzebać to, co pozostało.

Nie czekając świtu, zerwał kilka owoców z drzewa i ruszył na zachód z biegiem rzeki.

EPILOG

Na początku nie widział ani nie czuł niczego. Czysty umysł dryfujący w przestrzeni. A potem je zobaczył. Nieskończona ilość światów, jeden za drugim, jak białe niebieskie perły nanizane na sznur. I blask po swojej lewej stronie. Widział to już wielokrotnie w snach, tyle że tym razem, inaczej niż we śnie, miał pełną swobodę ruchów. Odwrócił się więc w stronę blasku i ujrzał słup czystego światła.

Powinienem oślepnąć.

Ale nie oślepl. Zamiast tego spostrzegł, że ognista kolumna jest osią, wokół której krążą wszystkie światy. I zrozumiał, że tam właśnie znajduje się pałac Horusa.

Andrzej stał przed wysokimi i szerokimi schodami. Nad nimi wznosiła się kolumnada, wysoka na co najmniej dwa piętra i szeroka na pół kilometra. Kolumny były gładkie, pozbawione jakichkolwiek ozdób. Pałac był ogromny. Andrzej nie potrafił dostrzec żadnych spojeń pomiędzy kamieniami. Najpierw sądził, że odległość jest zbyt wielka, ale w pewien sposób wiedział, że po prostu ich nie ma. Budowla została nie ryle wzniesiona, co wykuta w skale.

Pod stopami czuł ciepły piasek, słońce grzało przyjemnie. Spojrzał na swoją dłoń i zobaczył, że wciąż trzyma w niej Rydwan. Polem uniósł wzrok. Na szczycie schodów stała postać, której wcześniej tam nie było, Andrzej zaczął się wspinać na wysokie stopnie. Zabrało mu to kilka długich minut, ale wcale się nie zmęczył. Nawet się nie zasapał. Przez cały ten czas postać u szczytu się nie poruszyła. Mniej więcej w połowie drogi Andrzej dostrzegł, że jest to wysoki, silnie umięśniony mężczyzna, ubrany je-

dynie w jakiś rodzaj białej tuniki. Miał głowę sokoła.

Stanąwszy przed Horusem, Andrzej nie wiedział, co powiedzieć. Egipskie bóstwo przewyższało go o głowę.

— Witaj — powiedział sokołogłowy bóg.

— Ty jesteś Horus...

— Jestem przedstawicielem Bytu o wielu imionach.

Kiedy Andrzej nie odpowiedział, dodał:

— Czy moja postać cię niepokoi?

— Tak — odparł Andrzej, choć wcale nie czuł niepokoju. Nie wiedział, jak określić to, co czuł.

W jednej chwili ptasi łeb zastąpiła ludzka głowa.

— Czy tak jest lepiej? — zapytał Horus, a Andrzej skinął głową.
— W takim razie zapraszam.

Przeszli pod trzema rzędami kolumn i dotarli do masywnych, drewnianych drzwi. Bezszelestnie otworzyły się przed Horusem, mimo że nawet ich nie dotknął. Wewnątrz panował mrok i chłód. Horus zatrzymał się na środku komnaty i spojrzął z góry na Andrzeja.

— Przed tobą tylko jeden człowiek dostał się tu cieleśnie — powiedział. — A nic miał tego, co masz ty.

Andrzej spojrział na swoją dłoń, w której zaciskał Rydwan.

— Chciałem ci to oddać — rzeki, wyciągając ramię przed siebie.

Horus wziął kulę. W jego rękę zaśniła błękitem.

— Czym on jest? — zapytał Andrzej.

Bóg uśmiechnął się łagodnie. Otworzył dłoń i pozwolił, by Rydwan się z niej stoczył, Andrzej patrzył przerażony, jak kula spada. Obserwował to w zwolnionym tempie. Rydwan nie tyle spadał, co opadał, a gdy dotknął posadzki, zgasł i rozprysnął się na tysiące małych kawałków.

— Wiec to po to? Po to tylko zginęli moi przyjaciele?

— Takie było ich i twoje przeznaczenie.

— Nienawidzę tego słowa. Nie godzę się z myślą, że całe moje życie było kierowane przez jakąś tajemniczą siłę.

Horus pokręcił głową.

— Wy, ludzie, wciąż zapominacie Sami wybieracie sobie wasze

przeznaczenia, wasze cele. jeszcze przed narodzinami. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego dziecko płacze już po urodzeniu? Bo zapomniało. Jeszcze minutę wcześniej znało swój cel. a potem rozbłysło oślepiające światło i jedyne, co pozostało, to pustka. Chwilę później dziecko nic pamięta nawet, co było wcześniej w miejscu tej pustki. Kroczyście przez życie jak ślepcy, zawsze gło-
wi przypisywać efekty swoich działań czynnikom zewnętrznym, innym ludziom, przedmiotom A o wszystkim decydujecie sami. Wcześniej wyznaczacie sobie coś. co mógłbyś nazwać punktami kontrolnymi, do których dążycie zupełnie tego nieświadomi. A jeśli chodzi o tę kulę... To tylko kolejny przykład na to. co ci przed chwilą powiedziałem. Rydwan nie był obdarzony żadną specjalną mocą. To ludzie mu ją przypisali. Tymczasem cała ta moc jest w każdym z was. wystarczy wiedzieć, jak ją obudzić. Niektórym się to udaje w większym czy mniejszym stopniu, ale większość jest tak głęboko zakorzeniona w materialnym świecie, że nie ma o niej pojęcia. Dopóki sobie tego nie uświadomicie, będziecie potrzebowali takich Rydwanów.

Zapadła cisza.

— Wypełniłem swoje zadanie — rzeki Andrzej. — To, którego nie udało się wykonać wcześniej Sefianowi. To. które sam sobie wybrałem i o którym zapomniałem...

— Wkrótce wszystko zrozumiesz — odparł Horus.

— I co teraz?

— Twoja rola w tym przedstawieniu dobiegła końca. Chodź ze mną.

— Dokąd?

— Zobaczysz — powiedział Horus, uśmiechnął się i otoczył Andrzeja ramieniem.

Razem poszli w głąb pałacu.

— Czy będzie tam Iza?

— Tak. Sądzę, że tak.